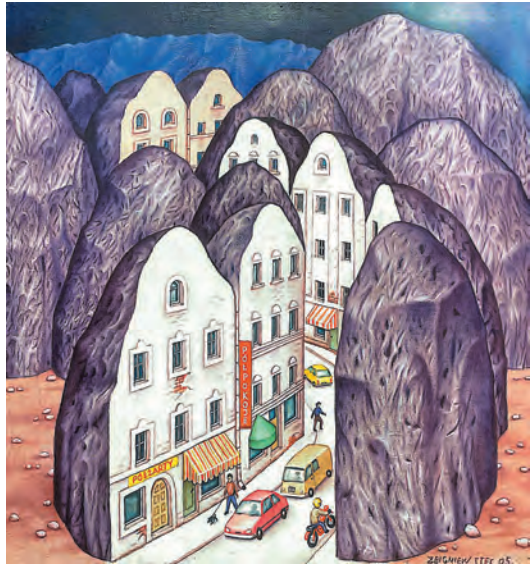


Zbigniew Stec



„Skalne miasto”, olej na płótnie



„Moment wyboru”, olej na płótnie, wł. Muzeum Ziemi Kujawskiej i Dobrzyńskiej we Włocławku



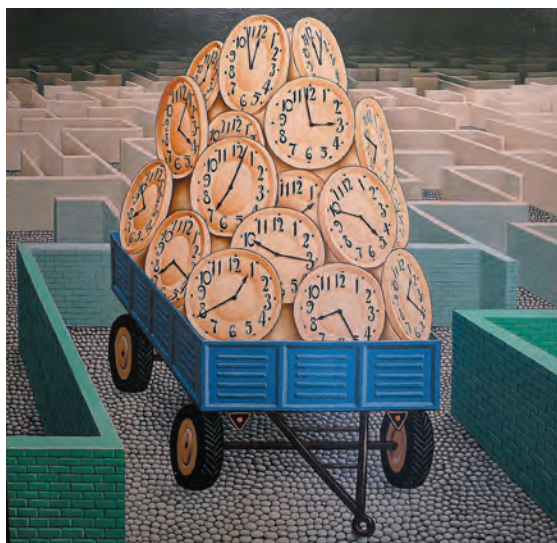
„W granicach miasta”, olej na płótnie



„Ptak wieloznaczności”, olej na płótnie, wł. Muzeum Ziemi Kujawskiej i Dobrzyńskiej we Włocławku

Ypsilon kwartalnik literacko-artystyczny • nr 11 •





„Wehikuł czasu”, olej na płótnie, wł. Muzeum Ziemi Kujawskiej i Dobrzyńskiej we Włocławku



„Opowieści starych domów”, olej na płótnie



„Echa leśne”, olej na płótnie, wł. prywatna



„Za horyzontem”, olej na płótnie, wł. Muzeum Ziemi Kujawskiej i Dobrzyńskiej we Włocławku



„Telewizyjny sen”, olej na płótnie



„Senne miasteczko”. olej na płótnie, wł. Muzeum Ziemi Kujawskiej i Dobrzyńskiej we Włocławku



„Czytelnia - pustelnia” olej na płótnie



„Spowolniony rytm budzącego się dnia”, olej na płótnie, wł. Muzeum Ziemi Kujawskiej i Dobrzyńskiej we Włocławku



„Fatamorgana” - olej na płótnie, wł. Muzeum Ziemi Kujawskiej i Dobrzyńskiej we Włocławku

Szanowni Czytelnicy,

Zapraszamy Państwa serdecznie do lektury jedenastego numeru czasopisma literacko-artystycznego Ypsilon.

W tym wydaniu znajdziecie prawdziwe perełki: wywiad z aktorem o wyjątkowej osobowości – Mirosławem Baka, a także bogaty wybór poezji, pełnej intensywnych emocji i refleksji.

Ponadto w numerze: stałe działy, impresje, poruszające eseje, felietony, filozoficzne rozważania, wspomnienia i recenzje. Całość domyka wyjątkowa okładka autorstwa wrocławskiego artysty malarza Zbigniewa Steca.

Redakcja czasopisma Ypsilon

Rozmowa z aktorem Mirosławem Baką

Rozmawia Sylwester Kurowski



poniżej naszych oczekiwań.

A jak ocenia Pan najnowszą produkcję komedii „Sami swoi. Początek”, w której brał Pan udział? Widział Pan już ten film?

-Widziałem, widziałem.

Jako że zazwyczaj doszukuje się Pan w swoich rolach minusów i niuansów, zapytam: czy tu również?

- To nie było jakieś wielkie wyzwanie aktorskie, ale była to przygoda i przyjemność znalezienia się w kultowej opowieści o Kargulach i Pawlakach. Nie mam tam sobie wiele do zarzucenia, ale zawsze coś by się znalazło.

Dobrze się pracowało z Arturem [Żmijewskim] jako reżyserem oraz z Adasiem Bobikiem, który moim zdaniem jest doskonałym, wielkim aktorem, jak również z resztą znakomitych kolegów. Takie spotkania z Zamachowskim czy Chabiorem, z którymi znam się od lat, są czymś bardzo przyjemnym.

Używa Pan sformułowania: w mojej filmografii, podczas gdy większość artystów mówi: w mojej karierze, czy to wynika z tak dużej dozy skromności, jaką Pan w sobie niesie, czy z dbałości o język, czy może z potrzeby indywidualizacji, bycia osobnym?

-Wie pan, słowo: kariera, jest takie trochę ulotne. Nie lubię tego określenia, bo zaczęło mi się bardziej kojarzyć z karierowiczostwem wszelkiego rodzaju niż z prawdziwą, autentyczną sztuką. Czyjaś kariera może istnieć w social mediach, być oparta na tym całym celebryctwie, ktoś może zrobić karierę i ona może się nagle urwać, bez względu na to, co zrobił, bo opinia publiczna przestanie

Często przyznaje Pan w wywiadach, że został aktorem, żeby walczyć ze swoją wstydlivością, czy ta walka została zakończona zwycięsko raz na zawsze, czy też jest to proces, w którym każdorazowo przed występem trzeba staczać tę walkę na nowo?

- Nie, ta walka się nie zakończyła i podejrzewam, że nigdy się nie skończy, bo to we mnie tkwi. Chociaż oczywiście lata pracy, doświadczenia, różnych sytuacji w filmie i teatrze spowodowały, że musiałem oswoić tę swoją nieśmiałość. Może ona przesunęła się trochę w stronę ochrony własnej intymności albo dbania o swoją przestrzeń, do której, poza najbliższymi, staram się nikogo nie wpuszczać.

A jeśli chodzi o to, co nazywamy tremą, to ona wcale nie maleje. Myślę nawet, że czasami jest większa, bo z biegiem czasu, kiedy człowiek próbuje stworzyć swoją pozycję w świecie aktorskim, to równocześnie z drugiej strony ten wektor przechyla się i oczekiwania, którym trzeba sprostać są coraz większe. Za każdym razem przed premierą filmu czy premierą teatralną jest jakaś obawa, czy udało mi się stworzyć coś dobrego, nowego, czy powiedzą: E! to

upsilon

Redakcja

Redaktor naczelna:

Agnieszka Modrzejewska

Sekretarz redakcji:

Beata Poczwardowska (Maria Ćma)

Współpraca organizacyjna:

Sylwester Kurowski

Redaktor graficzny:

Grzegorz Misiak

Redaktorzy

Dariusz Chrobak

Okładka

Zbigniew Stec

Okładka: obraz pt. „Zapis”

(olej, płótno – 1983)

wł. Muzeum Ziemi Kujawskiej i Dobrzyńskiej
we Włocławku

foto: Grzegorz Misiak

Kontakt do redakcji Ypsilon:

redakcja@upsilon.org.pl

www.upsilon.org.pl

Wydawca:

Fundacja Ypsilon Art

www.upsilonart.org.pl

e-mail: s.kurowski@upsilon.org.pl

tel. 736 848 444

ISSN 2720-3123



ze zbiorów rodziny artysty - Zbigniewa Steca



ze zbiorów rodziny artysty - Zbigniewa Steca

Jeśli miałbyś ochotę wesprzeć działalność
literacko-wydawniczą czasopisma Ypsilon
Numer konta:

PL 76 2530 0008 2016 1059 1487 0004

Redaktorzy i Autorzy pracują pro bono publico

Dochód w całości zostanie przeznaczony
na papierowe wydania kwartalnika.

się nim interesować. I koniec kariery. Natomiast jakieś dokonania zawodowe, to już jest coś utrwalonego na nośnikach, zapisanego w historii filmu czy teatru i tego się tak łatwo: skreślić, wymazać, zapomnieć, nie da. Dlatego może używam pojęcia filmografia.

Jeśli aktor debiutuje u Kieślowskiego i to główną rolę [mowa oczywiście o „Krótkim filmie o zabijaniu”], jest w Cannes, osiąga rozpoznawalność i sukces nie tylko w kraju, ale i za granicą, to jak mu się udaje pozostać nadal tym samym człowiekiem? Czy był taki moment, kiedy mówiąc kolokwialnie: uderzyła Panu sodówka?

- Gdy patrzę na swoje dokonania zawodowe, to wszystko wydaje mi się dość stonowane i umiarkowane. Osiągnąłem bardzo wiele na początku swojej drogi aktorskiej, czyli zagrałem w filmie, który zyskał pierwszą europejską nagrodę filmową (Felix) i był doceniony na wielu światowych festiwalach poczynając od Cannes. Może nawet był bardziej ceniony na świecie niż w Polsce. Ale w związku z tym wszystko co robiłem później, było właściwie potwierdzaniem swojej pozycji zawodowej. Dostawałem najróżniejsze propozycje, grałem w różnych krajach i wciąż istotne było to, żeby nie zejść poniżej tej wysoko postawionej, już na samym początku, poprzeczki. Jak przyjrzeć się mojej filmografii, to wszystko tak przebiega... nie chcę powiedzieć równo, bo oczywiście są lepsze i gorsze momenty, ale harmonijnie.

Teraz żyjemy w czasach, gdy ludzi zbyt często nazywa się gwiazdami, gwiazda: serialu, programu, czy czegoś tam. I paparazzi biegają za nim, a ja właściwie nie wiem, kim ten człowiek jest, co on zrobił? I muszę sobie dopiero wygooglać. Dlatego ukułem powiedzenie, że w Polsce bardzo łatwo jest zostać gwiazdą, natomiast znacznie trudniej jest nią pozostać.

Jeśli chodzi o świat filmowy to [Humphrey] Bogart był gwiazdą, Merlin Monroe była gwiazdą-i to są określenia, które zostały trochę przylepione, przyswojone z

hollywoodzkiej tradycji, natomiast u nas gwiazdorstwo w PRL-u, to właściwie co oznaczało? Później dopiero coś się zaczęło, nastąpił okres lansowania ludzi na gwiazdę i tej całej otoczki wokół tego. Nie chcę umniejszać...

Na gwiazdę, ale taką właśnie ogólnoswiatową, to dopiero wyrasta nam Marcin Dorociński. Natomiast ja starałem się pozostawać na pewnym poziomie i nie znikać ze świata filmowego, bo świat teatralny, który jest w moim życiu zawodowym równoległą drogą, to jest coś zupełnie innego i tam nie mam takich obaw i wątpliwości. Natomiast świat filmowy jest dosyć kapryśny i często bywa tak, że aktor jest po prostu modny albo w obsadzie są ludzie, którzy mają więcej lajków w mediach społecznościowych. Ja nie mam ani Instagrama, ani TikToka, ani Facebooka, więc nie istnieję. Moja obecność w świecie filmowym polega wyłącznie na tym, że swoją pracę udowadniam, czy jestem tam potrzebny, czy nie.

Jak w ogóle do tego doszło, że zadebiutował Pan na dużym ekranie będąc jeszcze studentem Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej we Wrocławiu? Krążą legendy, że wtedy władze uczelni artystycznych niechętnie, o ile w ogóle, zgadzały się na to, by studenci występowali. Zatem jak się to Panu udało i czy trudno było przekonać rektora/dziekana?

- Dekalog [„Krótki film o zabijaniu”] nie był moim debiutem, byłem już wtedy na trzecim roku, a zgodę na granie, uzyskałem będąc na pierwszym. Zagrałem wówczas w filmie, jak to się wtedy określało: telewizyjnym, pt. „Daleki dystans”. Wtedy był taki wyraźny podział na film telewizyjny i film fabularny-kinowy. Już na pierwszym roku udało mi się więc zagrać za zgodą dziekanatu, ale chyba tylko dlatego, że główne sceny w filmie miałem ze swoim pedagogiem, więc on zagwarantował, że ja jestem pod jego opieką, co miało oznaczać: nie odbije mu szajba i będzie to część nauki aktorskiej. Później, na drugim roku, zagrałem w serialu: „Ballada o Januszkę”, bo może już się nie obawiano, że mi się przewróci w głowie. A

na trzecim roku, to już oparło się o rektora krakowskiej szkoły, bo ja studiowałem we Wrocławiu, a to była filia zamiejscowa szkoły krakowskiej, i wiem, że Krzysiek Kieślowski porozumiał się w tej sprawie z Jurkiem Trelą, który wtedy był rektorem i jakoś się udało mnie umieścić w kalendarzu zdjęciowym. Chociaż wiązało się to z ciągłym lataniem samolotami pomiędzy Warszawą a Wrocławiem i były to bardzo męczące dni. Przylatywałem po zdjęciach do Wrocławia, żeby nie zawalić kolegom próbowania scen do egzaminu, pracowałem do drugiej nad ranem, kładłem się na krótką drzemkę i rano pierwszym samolotem leciałem do Warszawy. Anegdota była sytuacja, gdy ja tak często wtedy latający na krajowych liniach, chciałem się zdrzemnąć, a ostatnie siedzenie w tych naszych Antkach (AN - samolot), które wtedy latały, zajmowało dwóch zomowców. I pamiętam, jak ja taki zmarnowany wsiadałem rano do samolotu, a oni znajdowali taki pretekst, mówili: chłopak leci znowu zmęczony, to dajmy mu się kimnąć, i szli podrywać stewardessy. Człowiek był wtedy młody, więc tyle snu nie potrzebował, i tak udawało się pogodzić film i egzaminy we Wrocławiu.

Zdarza się aktorom bardzo długo (nawet jeszcze po zakończeniu zdjęć do filmu czy gry w teatrze) pozostawać w roli. Pan mówi, że kiedy wychodzi po spektaklu do ukłonów jest już znów sobą, nie postacią, którą przed chwilą grał. Czy to znaczy, że łatwo przychodzi Panu wyjście z roli? I czy zdarzyła się kiedykolwiek taka rola, która nie pozwoliła na to, by ją tak szybko pożegnać?

- Jest troszkę inaczej. W momencie pracy nad rolą, przygotowania jej, prób w teatrze czy czasu realizacji filmu, to ja faktycznie noszę tę rolę ze sobą, bo człowiek co chwila o tym myśli, nie przestaje o tym myśleć i stara się swoje myśli w ten sposób poukładać jak bohater, którego gra. To wtedy jest taki okres, kiedy się tę rolę nosi ze sobą, natomiast jak ta postać zostanie już stworzona i jest po premierze teatralnej, to wtedy ja wykonuję swój zawód: idę do teatru wieczorem, gram

to i już nie jest to taki czas, kiedy ja wychodzę i wciąż jestem tą postacią. Nie, myślę, że to już jest z latami nabyta umiejętność takiej higieny psychicznej. Ja muszę wyjść, wyjść z teatru, otrząpać się, zająć się codziennymi sprawami: życiem, dziećmi, wnukiem, domem, ogrodem. Podobnie w filmie, kiedy się kończą zdjęcia, to człowiek zaczyna myśleć o następnym projekcie, o innych rzeczach i tę postać już gdzieś się zostawia za sobą. To wszystko mieści się w rozdziale pt. higieniczne wychodzenie z roli, którego aktor uczy się zazwyczaj z powodzeniem.

Lubi Pan grać z Dorotą Kolak i nawet zdarzyło się, że przyjął Pan rolę właśnie ze względu na jej obecność na planie. Zatem jakie cechy powinien mieć aktorka czy aktor, żeby współpraca na planie czy na scenie dobrze się układała? I czy ważniejszym kryterium doboru roli jest dobry scenariusz czy dobra obsada?

- Jakie cechy, to ja nie wiem, na to pytanie nie umiem odpowiedzieć, bo to będzie takie mądrowanie się, w moim przypadku będą ważne te cechy, w przypadku innego aktora inne cechy. Na pewno trzeba być otwartym na partnera, to jest najważniejsze, ufać partnerowi. Mówi się o nas, że pracujemy na tych samych częstotliwościach, o aktorstwie myślimy w podobny sposób, to ułatwia. Są aktorzy doświadczeni, z którymi się spotykam w pracy i okazuje się, że jakoś nie mogę się z nimi porozumieć. Z Dorotą udało nam się od pierwszego zawodowego spotkania, czyli po raz pierwszy stanęliśmy obok siebie na scenie teatralnej w 1988 roku. Proszę policzyć ile to już lat, nie zliczę, ile ról zagramy jako: małżeństwo, rodzeństwo, wrogowie, przyjaciele, wszelkie możliwe konfiguracje.

Myślę, że ważniejszy jest jednak scenariusz, bo kiedy dostaję propozycję, to pierwszym co mam przed podjęciem decyzji, jest scenariusz, a dopiero później dowiaduję się z kim zagram: co to będą za aktorzy, czy ich znam, czy pracowałem z nimi, czy nie. Oczywiście fajnie jest, kiedy można spotkać starych przyjaciół, z którymi już się pracowało i sprawdziło w różnych filmowych

warunkach. Chociaż muszę uczciwie przyznać, że zdarzają się też takie sytuacje, kiedy wiedząc, kto będzie reżyserem i, że ten reżyser nie bardzo mi leży, obsada też raczej średnio, to sobie tak po cichu myślę: a co ja się będę męczył. Mam swoje lata, nie muszę w to wchodzić. Takie rzeczy w moim wieku też już trzeba brać pod uwagę, żeby się przyjemnie pracowało.

Czym według Pana charakteryzuje się ciekawy scenariusz, którego się nie odrzuca? Czy to taki, w którym są ciekawe dialogi, intrygująco nakreślona postać, czy też może po prostu taki, który wciąga jak kawał dobrej literatury? Czym się Pan kieruje w swoim wyborze?

- Wybieram w najnaturalniejszy, organiczny, intuicyjny sposób. Czytam coś i albo mi się podoba, albo nie. Albo budzi moje zainteresowanie i widzę w tym ciekawy materiał, albo nie. To działa na podobnej zasadzie, jak wybieranie filmu w kinie. Wybieramy spośród różnych filmów i nagle jakiś nas wciągnie, zainteresuje przez swoją formę, treść. Sztukę trudno zdefiniować. Jednemu podoba się realizm, drugiemu surrealizm, trzeciemu impresjonizm. Nie ma na to reguł. Lubię różne malarstwo, różną sztukę, różne scenariusze. Musi być to coś, co sprawi, że chcę w tym uczestniczyć, chcę być częścią tego projektu.

Czy to prawda, że jest Pan osobą, która, jak Edith Piaff, niczego nie żałuje i nie rozpamiętuje? I czy w związku z tym również nigdy nie żałował Pan wyboru swojej drogi zawodowej? Oraz czy stojąc dziś przed jej wyborem, ponownie wybrałby Pan aktorstwo?

- Gdy byłem jeszcze w liceum, myślałem o reżyserii, ale stwierdziłem, że muszę najpierw skończyć jakiś inny wydział, żeby spróbować szans na reżyserii, bo ona była wtedy w formie studiów podyplomowych. Zdecydowałem, że najlepiej skończyć wydział aktorski, gdyż wtedy będę znał materię, z którą miałbym pracować, czyli świat teatru i filmu od strony aktora. Ale jak się potem okazało, zaczęło mi się udawać

to aktorstwo, więc reżyseria pozostała w kwestii niezrealizowanych planów.

Kiedyś Kieślowski, gdy mu się zwierzyłem z tych planów, powiedział: Ty się chłopaku zajmij tym, co ci dzisiaj całkiem dobrze idzie, czyli aktorstwem. Reżyserem możesz w każdym wieku zostać, jak ci się znudzi aktorstwo. I często są takie przykłady, że aktorzy po jakimś czasie zaczynają reżyserować. Ja się od tego oddaliłem, dlatego że bardzo uważnie przyjrzałem się temu i zobaczyłem na czym polega ogrom trudności reżyserii: to praca z aktorami, pozyskiwanie pieniędzy, przekonywanie ludzi do swojego pomysłu. A teraz nie mam na to ani siły ani ochoty. Raz spróbowałem czegoś na kształt reżyserii teatralnej i byłem tym zagadnieniem okropnie zmęczony, bo oczywiście chciałem za wszystkich aktorów zagrać wszystkie role, wiedząc, jak sobie je wyobrażam; ale tak nie może funkcjonować reżyser. Jak się okazało, nie mam predyspozycji pozwalających mi z powodzeniem wykonywać zawód reżysera, natomiast mam do zawodu aktora. I już pozostanę w tym do końca.

W „Demonach wojny” zagrał Pan Cichego, rolę kultową czy jak kto woli legendarną, choć podobnie mówi się też o Szajbie z „Fali zbrodni”, ale co ciekawe, obie te postaci to milczący, introwertyczni bohaterowie, oscylujący gdzieś blisko Pańskich osobistych cech. Przyznawał Pan, że właśnie dlatego tak lubił Pan ich grać. Czy rzeczywiście tak jest, że łatwiej czy chętniej gra się postać osoby podobnej niż tej będącej przeciwieństwem nas?

- Nigdy nie dobierałem ról, nie przyjmuję propozycji pod kątem takiego kryterium: czy będzie łatwo, czy będzie trudno, tylko przede wszystkim: czy będzie ciekawie i czy scenariusz daje mi jakieś pole do popisu. Chociaż owszem zdarza mi się podchodzić do scenariusza z taką chęcią podniesienia sobie poprzeczki i znalezienia czegoś, co sprawi mi pewną trudność aktorską, rzemieślniczą, żeby nie dać się uśpić. Wiem, że reżyserzy chętnie obsadziliby mnie w rolach, w których się sprawdziłem, ale ja cenię nowe

propozycje i jestem otwarty na te, które pozwalają mi poszukać troszkę inaczej, gdzie indziej, coś pokombinować. Oczywiście teatr daje mi większą różnorodność ról i w teatrze grałem najróżniejsze postaci. Natomiast w filmie rzadko który reżyser odważa się obsadzać na przekór charakterowi aktora, jego predyspozycjom czy emploi. Amanci to amanci, twardziele to twardziele, a komicy to komicy. I leci się tym schematem. Cudownie jeśli ktoś, mimo wszystko, zechce od aktora czegoś innego, odmiennego, bo to jest moment kiedy trzeba troszkę inaczej pomyśleć i to jest zawsze ekscytujące.

Niektórzy aktorzy mają swoje techniki uczenia się tekstu, budowania postaci. Czy Pan również?

- Zdaje się, że mam. Od początku nauki aktorstwa zdarzało mi się czytać dzieła Stanisławskiego czy Czechowa, teorie aktorstwa, ale zawodowe życie nauczyło mnie słuchać swojej intuicji albo uczyć się od różnych ludzi, natomiast nie tworzyć jakiegoś schematu pracy, bo za chwilę, przy kolejnej roli, podczas pracy z kolejnym reżyserem, może się okazać, że ten schemat pójdzie w diabły, w ogóle się nie sprawdzi. Jestem otwarty i całe życie się uczę, więc dopóki będę uprawiał ten zawód, to będę się uczył od różnych ludzi. Staram się zachować - co jest przydatne w tym zawodzie - świeżość dziecka, które wciąż z otwartymi oczami dziwi się i mówi: można i tak.

Pisze Pan jeszcze wiersze?

- Nie. Wiersze pisałem w młodości.

Dla siatkarek?

- Dla siatkarek, dla dziewczyn z którymi chodziłem. To są poniewierające się na strychu stare zeszyty, w których coś tam gryzmołem. Nie mam już chyba duszy poety, chociaż to nie znaczy, że nie cenię poezji. Bardzo ją cenię i bardzo lubię czytać dobrą poezję, ale przez to, że przeczytałem jej tak dużo, zdaję sobie sprawę z tego, że ktoś może być poetą, a ktoś inny powinien

być aktorem.

Ma dla Pana znaczenie kontakt z publicznością?

- Mówimy o teatrze? Tak, ma ogromne znaczenie. Dlatego, że to właśnie kontakt z publicznością stanowi w dużej mierze o tej wspomnianej świeżości. Jak to się zamyka wyłącznie w świecie filmu, to jest oko kamery i opinia jedyne najważniejszego widza czyli reżysera. Natomiast każdy wieczór spędzony na graniu przedstawienia w teatrze, to wieczór kolejnego egzaminu, bo widownia tu i teraz w każdym momencie, na bieżąco daje odpowiedź: czy pięknie kłamiesz, czy nie, czy jesteś dobry w tym co robisz, czy nie.

A czy jest taka postać historyczna, którą chciałby Pan zagrać?

- Nie. W całym moim aktorskim życiu nie projektowałem sobie marzeń, które by stwarzały przestrzeń do rozczerowania, że się nie spełniły. Nie. Brałem to, co przynosił los, czas i dzięki temu wyzbyłem się choćby cienia frustracji. Zagrałem Hamleta, Ryszarda, mnóstwo ról w teatrze, zapamiętane role filmowe. Marzyć to ja mogę o wielu innych dziedzinach życia: o podróżach, spotkaniach.

Czeka Pan każdego roku z niecierpliwością czy niechęcią na listopad, kiedy wyjeżdża Pan odpocząć?

- To jest nie tylko czekanie, to jest też przygotowywanie się, logistyka podróży. Osobny rozdział mojego życia, który powoli staje się ważniejszy od wszystkiego innego, bo to jest coś, co kocham, uwielbiam. Oboje z żoną bardzo lubimy planować podróże. Zresztą planujemy nie tylko ten listopad, ale nawet już następny. Jest tyle wspaniałych rzeczy do zobaczenia na świecie. Życia nie wystarczy na to wszystko, więc trzeba to dokładnie zaplanować.

Dziękuję za spotkanie.



Andrzej Munk – fatum nad klanem

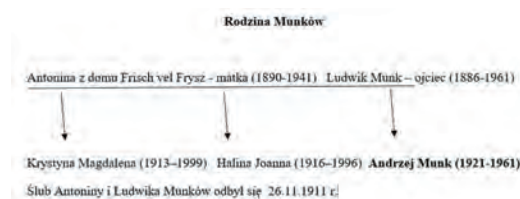
Agnieszka Modrzejewska

Choć nieczęsto się o tym wspomina (chyba za sprawą utrwalonego mitu bohaterstwa niezłomnego), to jednak wielu ludzi i wiele rodzin wychodziło z wojny z traumami, przetrąceniami, złamaniami, poturbowani psychicznie i fizycznie. Nie inaczej było z tą rodziną, nad którą jednak widmo śmierci i nieszczęścia krążyło jakby częściej. Spójrzmy na klan rodzinny i zawodowy.

Munk sam mówił, że należy do pokolenia ludzi przegranych, którym życie naznaczone wojną niosło pasmo: rozczarowań, zawodów i odroczeń.

Reżyser Andrzej Munk urodził się 16.X.1921 r. w Krakowie, jako najmłodsze dziecko Antoniny i Ludwika Munków, miał dwie starsze siostry: Krystynę i Halinę. „Pięcioosobowa rodzina Munków mieszkała przed wojną w śródmieściu Krakowa przy ulicy Dunajewskiego 9. Andrzej uczył się w VIII Państwowym Gimnazjum i Liceum Matematyczno-Przyrodniczym im. Augusta Witkowskiego”[1]. Była to zamożna, inteligentna rodzina, w której dużo się czytało, słuchało muzyki poważnej, kolekcjonowało płyty, chodziło do teatru oraz uprawiało sporty (zarówno letnie jak i zimowe). Wszystkie dzieci państwa Munków przejawiały również zdolności artystyczne.

Rodzina zamieszkiwała „w ogromnej kamienicy Fraenkłów, stojącej do dziś”[2].



Ojciec

Ludwik Munk urodził się jako najmłodsze dziecko z siedmiorga rodzeństwa w zasymilowanej żydowskiej rodzinie Majera Munka i Reginy (Rebeki) Radelmesser. Miał cztery siostry: Gizelę (ur.1867), Dorotę (ur.1869), Helenę (ur.1876) i Leonorę (ur.1883) oraz dwóch braci: Juliusza (1879-1881) i Sigmunda (ur.1872).

Aż do wybuchu II wojny światowej Ludwik był krakowskim przedsiębiorcą budowlanym, pracującym przy budowie dróg i mostów kolejowych, natomiast później „nestor rodu [...] ratując majątek, w 1940 przeniósł część cennych mebli i obrazów do Warszawy, do trzypokojowego mieszkania przy ul. Berezyńskiej 15. Przez denuncjację, Gestapo i tak zabiera wszystko, w tym 22 obrazy: J[ózefa] Fałata, S[tefana] Filipkiewicza, F[erdynanda] Ruszczyca, J[ózefa] Pankiewicza, M[aurycy] Gottlieba, dywany perskie, starą porcelanę, szkło, srebra, meble gabinetowe, antyki. Ludwik ucieka, ale do końca wojny będzie się ukrywał i opłacał szmalcowników”[3].

W Warszawie początkowo zamieszkali przy ul. Dolnej 42 w Domu dla psychicznie chorych[4], później Berezowskiej 15, skąd po wizycie gestapo uciekli na Żoliborz i gdzie ukrywali się w mieszkaniu Haliny Zarębskiej przy ul. Pogonowskiego 1. Ludwik i Hala ukrywali się także w łomiankach (niektóre źródła podają, że również tam była to ulica Dolna)[5].

Jako że przez pewien czas po przybyciu do Warszawy, rodzina Munków ukrywała się razem, Ludwik czuł, że przez swój semicki wygląd oraz obrzezanie, dodatkowo naraża rodzinę na większe jeszcze niebezpieczeństwo. W związku z tym poddał się operacji chirurgicznej penisa, likwidującej

skutki poprzedniego zabiegu. Była to jedna ze strategii przetrwania.

Jako pierwsza w 1936 r., a więc na trzy lata przed wojną, do Warszawy przyjechała Halina, po to by uczyć się w szkole tańca Ruth Sorel na Nowym Świecie, a w 1940 r. dołączyli rodzice i Andrzej.

Autor i etnolog Jerzy S. Łątka wspomina w swej książce o jeszcze jednym, nieślubnym, dziecku Ludwika Munka, a mianowicie o synu Teodorze Burnacie (urodzonym w 1929 r. zmarłym w 2010),[6] którego miała urodzić pomoc domowa o nazwisku Burnat (z domu Kwaśny), pochodząca z Chojnika, która była służącą w domu Minków w Krakowie przy ul. Dunajewskiego 6.

Matka

Antonina Munk pochodziła z licznej zasymilowanej rodziny żydowskiej. Miała trzy siostry: Annę, Felicję i Gabriellę oraz dwóch braci: Izydora (Ignacego) i Leona.

Nas najbardziej interesować będą losy dwóch jej siostr, a ciotek Andrzeja: Anny Frisch po mężu Mycińskiej (1889-1944) oraz Felicji Frisch po mężu Binder (1902-1944).

Ich pełne rodziny:

Anna poślubiła Jana Mycińskiego (Ukraińca), z którym miała dwie córki: Irenę i Janinę (Joannę). Felicja zaś wyszła za mąż za żołnierza AK Stanisława Bindera, z którym miała córkę Basię. Zatem Irena, Janina (Joanna) i Basia były siostrami cioteczными Andrzeja.

Spróbujemy odpowiedzieć na pytanie: dlaczego wszystkie cztery panie zginęły w sierpniu 1944 r.

Zagadka mordu w Lichwinie.

Dwie ciotki Andrzeja (siostry jego matki): Anna Mycińska i Felicja Binder wraz z córkami:

Janiną Joanną (córka Anny) i Basią (córka Felicji) giną z rąk partyzantów w sierpniu 1944

we wsi Lichwin.

Zacznijmy od tego kim były i co robiły tam panie Mycińskie i Binderowe. Otóż będąc z pochodzenia Żydówkami, ukrywały się na wsi. Anna używała wtedy imienia Helena, a jej córka Janka imienia Joanna, stąd błędne imiona na nagrobku.

Anna i Janka mieszkały we wsi Lichwin u gospodarza Józefa Pieprzyckiego.

Felicja Binderowa, podobnie jak jej mąż, który zginął w Katyniu, była nauczycielką, a jej córka Basia 16-letnią uczennicą. Natomiast 22-letnia Janina Mycińska była lekarzem weterynarii, zaś jej matka prowadziła dom.

Na nagrobku również wiek zmarłych podany jest nieprawidłowo, bowiem Anna w chwili śmierci miała lat 55, a nie 40, natomiast Felicja miała 42 lata (tej informacji akurat brak na pomniku).

Anna Mycińska miała jeszcze drugą córkę Irenę, która przeżyła wojnę, wstąpiła do UBP w Krakowie i próbowała się dowiedzieć, jak zginęła jej matka, siostra, ciotka i kuzynka. Jej drugim mężem został aktor Tadeusz Waczkowski, który, co istotne dla tej opowieści, zagrał wraz z Ireną Dziedzic w filmie Munka „Zezowate szczęście”.

Ale wróćmy do historii z 1944 r.

Jako pierwsza zginęła zastrzelona w lesie przez niejakiego Zdzisława Bryckiego (pseudonim: Podchorążak, Żuczek vel Żuk) sąsiada Mycińskich jeszcze ze Lwowa, 22-letnia Janka. Partyzant wywabił ją z domu pod pretekstem pomocy okulałym, chorym koniom, a ponieważ dziewczyna była z zawodu weterynarzem, poczuła się zobligowana do udzielenia tej pomocy. Niestety z lasu już nie powróciła. Podobno Brycki „pałał chorobliwą namiętnością”[7] do niej i „nie panując nad swymi żądzami, zastrzelił ją”[8], po czym jeszcze tej samej nocy wrócił do Anny i przekonując ją, że córka będzie się bała wracać sama przez las, także i ją zwabił na pewną śmierć. Do morderstwa Mycińskich: matki i córki doszło 7 sierpnia 1944 r. Felicia i Basia mieszkały początkowo u Stanisława Kubicza, jednak po morderstwie Mycińskich przeniosły się do domu

Marii Kwaśny w Chojniku.

Jako że Felicja była obecna przy tym, gdy Brycki wywoływał Jankę z domu, a potem świadoma tego, że ani siostrzenica ani siostra nie wróciły, bała się o siebie i córkę. „Binderowa wiedziała, co je czeka, i w momencie napadu udało jej się z córką umknąć z domu niepostrzeżenie i ukryć w szopie. Zostały tam jednak odnalezione i sprowadzone do domu”[9]. Przyszła po nie cała horda: Franciszek Kurczab z Chojnika, Stanisław Pieprzycki z Lichwina, Kazimierz i Stanisław Gacek (bracia), „Cymbał” z Chojnika, Julian Softys, nieznani z nazwisk ani nawet pseudonimów ludzie ze wsi Brzozowa oraz prawdopodobnie: Bronisław Mruk i Eugeniusz Nicpoń.

Zabrano je w nocy z 24 na 25 sierpnia 1944 r. z domu Marii Kwaśny w Chojniku na rozkaz kpt. Omegi[10] i wyprowadzono poza wieś, gdzie pobito, zgwałcono i zastrzelono w lesie. Basia zginęła od razu, Felicja podobno o świcie.

Łątka wspomina, że tamtej nocy Maria Kwaśny spała na poddaszu z wnukami, a jednym z nich był nieślubny syn Ludwika Munka, wówczas już nastoletni Tolek Bałut.

Jaki był motyw tej okrutnej zbrodni?

Rasowy czy materialny?

„Kobiety te zostały zamordowane z chęci zysku, ponieważ po spełnionym morderstwie akowcy zabrali od nich 8 walizek rzeczy”[11]. Krążyła także plotka, jakoby miały ponoć ukrytych aż 25 tys. zł.

Autor dodaje: „Aby nie było wątpliwości. Docierając do coraz bardziej bulwersujących faktów w sprawie śmierci Mycińskich i Binderek, nie twierdzę, że podziemne Wojsko Polskie było z założenia instytucją antyżydowską. Ale zdarzali się w nim osobnicy tacy jak Brycki i oficerowie, którzy sympatyzowali z ideologią głoszoną przez ONR”[12].

Rodzice sióstr Antoniny, Anny i Felicji, a dziadkowie Andrzeja to: Sime Debora

ve i Dora Frisch i Samuel Frisch- naczelnik stacji kolejowej w Zadworzu, gdzie najprawdopodobniej Antonina wraz z mężem zamieszkali tuż po ślubie i gdzie na świat przyszła ich najstarsza córka Krysia.

Krystyna Magdalena[13]

Najstarsza z trojga rodzeństwa, Krystyna Magdalena Munk, choć urodziła się w Zadworzu, dzieciństwo i młodość spędziła w Krakowie, gdzie w latach 1932-1939 studiowała medycynę na Uniwersytecie Jagiellońskim. Działała wówczas w stowarzyszeniach i ruchach lewicowych: w Związku Niezależnej Młodzieży Polskiej oraz w PPS-ie.

„Latem 1939 r. wyjechała do Aten, na wieść o wybuchu wojny wróciła do kraju i podjęła pracę lekarza frontowego we Lwowie, skąd po 17 września przez Węgry i Jugosławię przedostała się do Francji. W styczniu 1940 r. na polecenie konsula polskiego w Marsylii została lekarzem na transportowcu m/s <<Warszawa>>, gdzie przez następne dwa lata jako nurse-doctor opiekowała się rannymi uchodźcami i żołnierzami transportowanymi do Europy. Zastąpiła bezgranicznym poświęceniem i odwagą. Mówiono o niej jako jedynej kobiecie lekarzu we flocie brytyjskiej i jedynej kobiecie, która znalazła się w oblężonej twierdzy w Tobruku. W wigilię 1942 r. załogę storpedowanej przez hitlerowską łódź podwodną <<Warszawy>>, uratowała brytyjska korweta. Krystyna wylądowała w Liverpoolu, gdzie na polecenie rządu polskiego na emigracji dokończyła studia w Polskiej Szkole Medycznej, utworzonej przez Edinburgh University, a następnie podjęła obowiązki lekarza w szpitalu w Edynburgu. Po wojnie, nie mając nadziei na powrót do wolnego kraju, pozostała w Szkocji. W 1947 r. ratowała przebywającego na kuracji w Szwecji chorego na gruźlicę brata Andrzeja. W 1951 r. wyszła za mąż za projektanta statków, Symingtona MacDonalda. Była znakomitym lekarzem, służącym swą wiedzą i sercem tysiącom pacjentów, Polaków i Szkotów. Opiekowała się m.in. generałem Stanisławem Maczkiem i jego rodziną. Jej miłość do życia i świata kazała jej niestrudzenie działać aż do

chwili, kiedy sama zapadła na zdrowiu. Przez prawie 30 ostatnich lat życia w heroiczny sposób zmagając się z chorobą Parkinsona i utratą wzroku. Zmarła 5 marca 1999 r. w Edynburgu”[14].

Andrzej, dzięki Krystynie, leczył się z odmy od czerwca do października 1947 r. w szwedzkim uzdrowisku Hasleby niedaleko Sztokholmu. Oficjalnie został tam oddelegowany na kurację przeciwgruźliczą przez Światową Organizację Pomocy Studentom, ale za wszystkim stała oczywiście pomoc siostry.

Halina Joanna[15]

Choć druga z dwóch starszych sióstr Andrzeja miała na imię Halina i w rodzinie nazywano ją Halą, to po wojnie wróciła do swojego drugiego imienia Joanna i właśnie nim posługiwała się aż do śmierci.

Joanna Munk-Leszczyńska była starsza od Andrzeja o sześć lat. „Od dzieciństwa przejawiała talenty muzyczne i taneczne. Uczyła się w Instytucie Muzycznym w klasie fortepianu i w szkole baletowej Lidii Falter. Słynęła z bystrości umysłu, ciętego języka i nieprzeciętnej urody. Związana ze środowiskiem krakowskiego Teatru Cricot, brała udział w jego przedstawieniach. 10 sierpnia 1940 r. poślubiła znanego działacza PPS Józefa Cyrankiewicza, który po ucieczce z niewoli ukrywał się w domu Munków (ich drogi rozeszły się w roku 1946, na krótko przedtem zanim objął on funkcję premiera RP). Po ucieczce rodziny z Krakowa, okupację przeżyła w Warszawie. Tam została adeptką szkoły baletowej Ruth Sorel (jej koleżanką była m. in. Stefania Grodzieńska). Działała w konspiracji. Po upadku powstania aresztowana przez gestapo, została uwięziona w obozie koncentracyjnym. Joanna prócz muzyki i tańca miała jeszcze jedną życiową pasję: sztukę ludową. Po wojnie pracowała w Ministerstwie Kultury i Sztuki, a następnie od 1957 r. w Telewizji Polskiej jako specjalistka od folkloru, promując autentyczne przejawy kultury ludowej. Drugim mężem Joanny został utalentowany skrzypek, a następnie zasłużony dla poezji polskiej redaktor <<Iskier>>,”

krakowianin Adam [Anatol] Leszczyński (1913-2002). W roku 1949 urodził się ich syn Piotr[16], od 1968 mieszkający w Anglii i pracujący obecnie jako redaktor BBC. Joanna Munk-Leszczyńska zmarła 30 października 1996 r. w Warszawie”[17].

Hala „pod koniec powstania warszawskiego wyczerpana natyka się na uzbrojonego Ukraińca w niemieckim mundurze z bronią, ten każe jej iść ze sobą i prowadzi do grupy innych mężczyzn. Na tym opowieść się urywa...Potem w niemieckim obozie w Halle z powodu ciąży jest w tak ciężkim stanie, że nie może pracować przez dwa, trzy dni. <<A tam upokorzenie za upokorzeniem. W pierwszym rzędzie miałam taką febrę, bo byłam chora. Ja roniłam, byłam w ciąży i roniłam przez cały ten okres pobytu, jak byłam w Niemczech. Lekarz, jak byłam w szpitalu, przyszedł i tylko tak machnął ręką>>.W obozie Halle, utworzonym po 1 sierpnia 1944 roku, musiała zdarzyć się jakaś potworność, bo znów te cedzone słowa...Pamięta obraz, jak <<do naga rozebrana, wprowadzona zostałam poprzez prysznice mężczyzn, którzy tam stali rozebrani pod prysznicami, a ja namawiana przez Niemców, żebym sobie wybrała, z którym chcę. A ja tutaj zakrwawiona, staniająca się na nogach. To było straszne przeżycie dla mnie, jedno z najgorszych przeżyć na świecie. Upokarzające>>. Obcy ludzie ją <<poubierali, bo byłam bosa i goła, ktoś nakarmił, ktoś kupił bilet>>, dotarła do Warszawy”[18].

Być może to właśnie owe traumatyczne przeżycia wojenne zmieniły jej osobowość.

Biografka Niny Andrycz przedstawia ją bowiem w osądach współpracowników z nieco innej, rzecz by można, nie najlepszej strony: „Halina Joanna Munk-Leszczyńska przepracowała w redakcji muzycznej TVP zawodowe życie. Była ekscentryczna, głośna, uzależniona od leków”[19].

Sąsiadka Joanna Nagórna twierdzi, że „Halina Munk-Leszczyńska to była świszczypała, funkcjonowała w lekowo-użytkowym świecie. Na luzie; żyła i zachowywała się, jakby jej na niczym nie zależało”[20].

„Nie darzyła szacunkiem Cyrankiewicza”[21]-twierdziła Kira Gałczyńska, a Halina Szpilmanowa dodawała, że „kiedy pierwsza żona rozmawiała z premierem, eksmężem, wchodziła pod biurko z telefonem: ciężkim, czarnym, ebonitowym. Ponoć, żeby nikt ich nie podsłuchał”, inni zaś słyszeli, gdy wykrzykiwała do Cyrankiewicza: „Zawsze byłeś skurwysynem i takim pozostałeś”[22].

Było to o tyle dziwne i zaskakujące, że sporo mu jednak zawdzięczała i trochę dla niej poświęciła. Począwszy od zapewnienia jej względnego bezpieczeństwa w czasie wojny poprzez zawarcie z nią małżeństwa w kościele katolickim (mimo że kochał nie ją, a jej siostrę), po załatwienie (już po wojnie) najpierw pokoju w Hotelu Bristol dla rodziny Munków, a następnie dwóch osobnych mieszkań: dla niej i jej rodziców przy ul. Hożej 19 (Leszczyńscy zajmowali mieszkanie numer 19, a Munkowie seniorzy mieszkali po sąsiedzku pod 18-tką) w Warszawie, a także, gdy zachodziła taka potrzeba Munkowie korzystali z leczenia w Lecznicy Rządowej przy ul. Emilii Plater.

Według Kiry Gałczyńskiej Joanna: „Sprawiała wrażenie sensownej, inteligentnej, a jednocześnie <<przetraconej>>, po prostu niezrównoważonej. W sposobie formułowania sądów, myśli, była za szybka. Najpierw mówiła, później myślała, klęła jak szewc, rzucając mięsem w sposób niewiarygodny”[23].

Paradoks losu polega na tym, że choć Hala tak szczerze nienawidziła Cyrankiewicza i otwarcie okazywała mu niechęć, to do historii przeszła właśnie jako pierwsza żona premiera Polski Ludowej Józefa Cyrankiewicza.

Bracia Cyrankiewicz: Jerzy i Józef w życiu panien Munkówien

Józef był zakochany w Krystynie, planowali nawet ślub, a jednak ożenił się z jej młodszą siostrą Haliną vel Joanną. Z Krystyną natomiast ożenił się (czy według innej wersji żył w konkubinacie) jego młodszy brat Jerzy.

A jaki początek miała ta historia?

Otóż „i Józefa C. dopadła miłość. W Akademickim Związku Pacyfistów poznaje ciemnowłosą Krystynę Munkównę, studentkę medycyny, córkę Ludwika – to wzięty przedsiębiorca, jak ojciec Józefa [...]. Uczucie ulokowane rozsądnie. Józef zakochuje się jak nigdy dotąd i w piśmie PPS <<Naprzód>> teksty podpisuje <<Krysin>>, czyli jakby nie było <<jestem Krysi>>. Jak na takiego homo ludens, gest romantyczny.[...] Mieli wziąć ślub w święta bożonarodzeniowe 1939 roku, wojna ich jednak rozdzieliła, a po wojnie z Krystyną ożenił się... jego młodszy brat Jerzy Cyrankiewicz w Edynburgu”[24].

„Jerzy i Krystyna po wojnie kończą studia, szybko decydują, że do Polski nie wracają. Krystyna odwiedza PRL raptem trzy razy: w 1957 roku, w 1964 (na jubileusz UJ) i w marcu 1968 r. Jerzy przed śmiercią w 1960 roku był w Polsce dwa razy”[25].

Andrzej

Najmłodsze dziecko państwa Munków. „Gdy w otoczeniu znalazł się ktoś dopiero co poznany, Andrzej milknął, sztywniał, poważniał. Zapora nieśmiałości nie od razu padała. Mógł wtedy robić wrażenie człowieka zamkniętego w sobie, małowównego i chmurnego”[26] – mówił Jerzy Pelc.

Natomiast Zawieyski pisał o Andrzeju: „...uroczy człowiek, delikatny, nieskończenie dobry, do którego nie było innej drogi, jak tylko przez przyjaźń, który hojnie obdarzał ludzi uczuciem i przywiązaniem”, ale też „[...] śmiem twierdzić, że w większym stopniu niż zdarza się to u każdego artysty, pożerał go demon zwątpienia. Popadał często w depresję, z której wydobywał się z trudem. Łamał się w sobie, trapił nadmierną autokrytykę i przez wyczulone sumienie artystyczne”[27].

Przebieg nauki i pracy zawodowej Andrzeja Munka:

Przed wojną – podjął naukę w VIII Państwowym Gimnazjum i Liceum Matematyczno-Przyrodniczym im. Augusta Witkowskiego

w Krakowie przy ul. Studenckiej 12, które ukończył zdaną w czerwcu 1939 r. maturą.

We wrześniu 1939 r. wyjechał na Śląsk, gdzie brał udział w Junackich Hufcach Pracy, a po ich rozgromieniu przez Niemców, wrócił znów do Krakowa.

Od marca 1940 r. – ukrywał się w Warszawie, pracując kolejno jako: „pisarz, magazynier, technik i kierownik robót w firmie budowlanej Inż. K. Żółciński i Ska. Firma wykonywała roboty torowe na kolei w Otwocku i na Bródnie”[28].

Od 1942 r. – ukrywał się w Warszawie pod nazwiskiem Andrzej Wnuk.

W latach 1943-44 – został konspiratorem w szeregach Organizacji Wojskowej PPPS, gdzie funkcjonował pod pseudonimem Ksawery. Zapewne wtedy poznał swoją przyszłą żonę.

Ukrywał się w warszawskim mieszkaniu przy ul. Gdańskiej 2, gdzie uniknął aresztowania, ale ze względów bezpieczeństwa musiał opuścić okupowaną stolicę.

Od jesieni 1943 r. – ukrywał się w Denkówku (miejscowości położonej nieopodal Ostrowca Świętokrzyskiego) u przyjaciela.

W roku 1944 – brał udział w powstaniu warszawskim (przydział otrzymał w lipcu 1944 r. do II Obwodu „Żywiciel” (Żoliborz) Warszawskiego Okręgu Armii Krajowej – zgrupowanie „Żyrafa” – IV Batalion OW PPS im. Jarosława Dąbrowskiego – 2. kompania im. Komuny Paryskiej – pluton 219/I.)[29] a po jego upadku udało mu się dostać do rodzinnego Krakowa.

Jesienią i zimą 1944 r. – pracował w Monopolu Tytoniowym w podkrakowskiej miejscowości Mogiła.

Od grudnia 1944 r. do wiosny 1945 r. pracował w kolejce na Kasprowym Wierchu jako palacz i dozorca. Tam doczekał wyzwolenia.

Jesienią 1945 r. wrócił do Warszawy, w której

podjął pracę w firmie Inż. Sobiepan i Ska jako kierownik budowy.

W 1946 r. – rozpoczął studia na wydziale architektury Politechniki Warszawskiej, które przerwał po dwóch latach ze względu na pogarszający się stan zdrowia.

W 1947 r. rozpoczął studia na wydziale prawa Uniwersytetu Warszawskiego, które również przerwał po roku.

Jedne i drugie studia przerywa z powodu gruźlicy.

W 1948 r. – Munk (wówczas już dwudziestosiedmioletni) po odbytej w Szwecji kuracji, rozpoczyna studia jednocześnie na dwóch wydziałach łódzkiej filmówki: reżyserskim i operatorskim.

W 1951 r. – uzyskuje dyplom obu wydziałów.

W latach 1950-1955- pracuje w Wytwórni Filmów Fabularnych przy Chełmskiej jako operator Polskiej Kroniki Filmowej.

W latach 1957-1961 – pracował jako wykładowca na wydziale reżyserii w Łódzkiej Szkole Filmowej, gdzie pod jego kierunkiem studiowali m.in.: Roman Polański, Jerzy Skolimowski czy Krzysztof Zanussi.

Partia

Konflikt z Anką Kowalską vel Joanną Broniewską-Kozicką

„W roku 1946 [Andrzej] wstąpił do Polskiej Partii Socjalistycznej (był członkiem Stołecznej Rady PPS, oddział Warszawa Śródmieście) oraz do Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej. Jako aktywista tej organizacji został wybrany najpierw na przewodniczącego Środowiska Warszawskiego ZNMS, a następnie – na III zjeździe w maju 1948- na sekretarza generalnego Komitetu Wykonawczego ZNMS”[30].

Większość opracowań ujmuje konflikt między Andrzejem, a Anką Kowalską jako

ideologiczny, podając dość enigmatycznie, że jakaś koleżanka bądź nadgorliwa koleżanka wysłała donos na Munka, wskazując jego zachowanie jako nieobyczajne, za co usunięto go z partii. Większość tych źródeł nie podaje ani kim była owa partyjna koleżanka, ani na czym miało polegać owo nieobyczajne zachowanie. Znalazły się jednak takie publikacje, które wyjaśniają jedną i drugą wątpliwość.

Koleżanką z partii była córka znanego poety Władysława Broniewskiego, po śmierci, której napisał słynny cykl trenów, porównywanych do tych Kochanowskiego. Za życia była to jednak wojująca działaczka partyjna, która niejednemu zasłała za skórę.

Ale zacznijmy od początku.

Munk „W czasie studiów w 1948 roku, zapisał się do ZMP, a w grudniu tego samego roku, po tak zwanym kongresie zjednoczeniowym – został członkiem PZPR. Chociaż jego krytycyzm i ironia sprawiały, że zawsze był traktowany jako <<element niepewny>>, bo mający własne zdanie. Dość szybko jego partyjną karierę zakończyło oskarżenie o nieobyczajne zachowanie, niegodne członka <<wiodącej siły narodu>>. W 1951 r. przymierzał się do filmu o Nowej Hucie, z kilkoma innymi osobami pojechał na dokumentację do Krakowa. Zatrzymali się w hotelu Polonia, naprzeciwko dworca. Wieczorem popili, ktoś przez okno wyrzucił płonącą poduszkę. W hotelu zjawili się milicjanci. Nikt do niczego się nie przyznał, więc spisali reżysera. W tym czasie odbywało się już <<czyszczenie szeregów partyjnych>>. <<Na zebraniu w Wytwórni Filmów Dokumentalnych córka Broniewskiego, Anka, ostro i pryncypialnie zaatakowała Andrzeja>> – opowiadał Witold Lesiewicz. <<Ona już wcześniej klóciła się z nim o jakieś sprawy polityczne czy ideologiczne. Wyszło na to, że Andrzej od niemowlęcia był wrogiem Związku Radzieckiego i Stalina. W jego obronie odezwały się nieśmiało tylko dwie osoby, a jak doszło do głosowania, czy wykluczyć go z partii, ja jeden byłem przeciw”[31]– mówił Lesiewicz. Było to, jak słusznie zauważa w swej książce Marek Hendrykowski, swoiste polowanie na czarownice. Munk bowiem od zawsze podejrzewany był o bycie elementem

niepewnym politycznie.

Skoro faktycznie chodziło o Ankę, to jest to o tyle dziwne, że sama do Polski wróciła na stałe dopiero 20 stycznia 1951 r., wcześniej przebywając na stypendium w Paryżu, gdzie jej mąż pracował w ambasadzie. Czyżby zatem Anka sama w tym ideologicznym sporze nie kryształowała, miała oskarżać Munka? A może konflikt podsyciała jej matka Janina, która była znacznie bardziej ideowo zaangażowana i z pewnością bardziej wojująca. W końcu to Janina przyjaźniła się z Wandą Jakubowską, Jakubem Bergmanem i Józefem Cyrankiewiczem, czyli jakbyśmy to dziś określili: sztandarowymi komunistami kraju.

W liście do matki z sierpnia 1951 r., kiedy to przebywała na festiwalu filmowym w Berlinie, Anka pisała: „Myślę o Was wszystkich i bardzo już mi się chce być w domu. Za to na myśl o powrocie do tych wszystkich drani z ulicy Chełmskiej[32] i Puławskiej robi mi się niedobrze”[33]. Ma na myśli oczywiście współpracowników z wytwórni filmowej.

Jako ciekawostkę dodam, że z zachowanych listów Anki wynika, iż pisząc do męża, zwracała się doń [identycznie jak Andrzej do żony] „Syneczku”.

Mąż Anki Stefan, podobnie jak żona Andrzeja, studiował [i skończył w 1951 r.] socjologię. Przypomnę, że wydział ten uznano za burżuazyjny i w roku akademickim 1951/52 zlikwidowano. Przywrócony został dopiero w 1957 r.

Czy w konflikcie miała swój udział zazdrość o wykształcenie i zawodowe sukcesy Andrzeja?

Córka Anki- Ewa, po latach tak opisuje zdarzenia z 1951 r. „Mama 27 września zdawała egzamin dyplomowy (dyplom IDHEC uprawniał jedynie do realizacji filmów, a ona chciała być samodzielnym reżyserem) w Państwowej Wyższej Szkole Filmowej w Łodzi. Jako pracę dyplomową przedstawiła film <<Komuna Paryska>>. Komisja egzaminacyjna nie chciała go z początku uznać, co uzasadniano wątpliwościami,

czy film ikonograficzny może dawać pełny obraz umiejętności reżysera. Po złożeniu eksplicacji oraz odwołania do ministerstwa Anka dyplom w końcu dostała i pracowała w WFD na Chełmskiej już jako samodzielny reżyser (wcześniej była asystentką reżysera I stopnia)”[34].

Czy właśnie to było prawdziwym zarzewiem konfliktu? Tego się już pewnie nie dowiemy. Anka zmarła bowiem w 1954 r. w wyniku zatrucia gazem, mając zaledwie 25 lat.

Trzy kobiety w życiu Andrzeja

Żona

Halszka Kazimiera Próchnik-Munk, podobnie jak szwagierka, po wojnie używała (swego konspiracyjnego) imienia Joanna. Urodziła się 12.05.1919 r. w Piotrkowie Trybunalskim, dokąd jej rodzice wyjechali ze względu na pracę ojca w tamtejszym archiwum państwowym, którego został dyrektorem. Jej rodzice to Jadwiga z domu Gorzycka i Adam Próchnik-historyk, polityk, poseł i publicysta, nieślubny syn innego znanego polityka Ignacego Daszyńskiego.

Rodzice Halszki zawarli związek małżeński 10 listopada 1917 r. W Piotrkowie małżeństwo Próchników mieszkało najpierw w oficynie przy ulicy Bykowskiej, a następnie w dwupokojowym, prawie nieogrzewanym mieszkaniu przy ul. Piłsudskiego 55, bez dostępu do bieżącej wody. Niestety trudne warunki materialne, ciągła nieobecność męża zaangażowanego społecznie oraz tęsknota za Lwowem, z którego wyjechali, czy też po prostu za życiem w większym mieście, spowodowały rozpad małżeństwa Próchników. Jadwiga zamieszkała w Warszawie, gdzie kilka lat później wyszła ponownie za mąż, tym razem za szkolnego kolegę swojego byłego męża- Aleksandra Krona. Także ojciec Halszki ułożył sobie ponownie życie, żeniąc się w czerwcu 1925 r. z koleżanką z pracy, kancelistką Józefą Sawicką. Z tego związku 22.08.1927 r. narodził się przyrodni brat Halszki – Ryszard Henryk. Macocha była osobą łagodną i opiekuńczą, która wprowadziła w życie

niepraktycznego męża, pewien ład. Niestety żona zachorowała na nowotwór mózgu, w skutek czego w styczniu 1935 r. zmarła. Pod opieką owdowiałego Adama Próchnika została szesnastoletnią córką z pierwszego małżeństwa Halszka, jej przyrodni ośmioletni brat, a także osiemdziesięcioletnia wówczas matka Felicja z Nossigów Próchnikowa.

Adam ożenił się ponownie jeszcze tego samego roku 1935 z Ireną Gomólińską, jednak trzecia żona okazała się zupełnym przeciwieństwem poprzedniczki. Apodyktyczna, nieznosząca sprzeciwów, a przy tym nieskora do żadnych ustępstw czy kompromisów. Małżeństwo zamieszkało w Piotrkowie w domu przy ul. Krasińskiego 18. Jednak władczy i konfliktowy charakter świeżo poślubionej pani Próchnikowej, doprowadził do zwady między nią a pasierbami, szczególnie między nią, a ośmioletnim wówczas Ryszardem, zwanym w rodzinie Szarkiem. Konflikt przybrał jeszcze na sile, gdy Próchnikom urodziła się córeczka. Chłopiec wolał uciec z domu i przez kilka dni błąkać się po mieście niż wrócić pod wspólny dach z macochą. Ostatecznie zamieszkał wówczas razem z Halszką i jej matką Jadwigą, nigdy już do ojca nie wrócił. Zginął w powstaniu warszawskim w 1944 r. w nieznanych okolicznościach.

Sama Halszka tak wspominała swój dom rodzinny: „Pamiętam [...] atmosferę naszego domu w Piotrkowie. Gdy pewnego razu zapytałam ojca, czy ma jakieś możliwości finansowe, bo przecież był posłem, dyrektorem archiwum, wiele pisał, a sąsiadki na podwórku pytały się, dlaczego u nas jest taka straszna bieda i dlaczego jestem taka zaniebana, otrzymałam odpowiedź: <<Tak powinno być, ludzie, którzy są socjalistami, powinni przez ofiarę własną, a nie cudzą, realizować socjalizm>>. I wydaje mi się, że robił to bardzo dokładnie. Nasz dom nie był domem. To była jakaś instytucja, w której na co dzień normalnie było mnóstwo robotników, którzy siedząc przy stole obok profesorów rozmawiali, dyskutowali na różne tematy. To było autentyczne współżycie inteligencji twórczej z robociarzami. Pamiętam, że obiad nie był nigdy taki, jaki miał być, bo dolewano

zawsze tyle wody, aby starczyło dla wszystkich, którzy przyszl. Pamiętam, że w dniu urodzin ojca robotnicy przychodzili rano o godz. 7-ej. Orkiestra grała pod oknami do późnego wieczora”[35].

Munkowa (wówczas Próchnikówna) pamiętała dobrze jeszcze jedno zdarzenie: „[...] kiedy zaszła midrzazga zapaznokieć i zła mała się. Wtedy jakaś pani zaproponowała ojcu, że zaprowadzi mnie do świetnego prywatnego lekarza. Wówczas byli u nas Kmieci i Kluska – dwaj robociarze, którzy zwrócili się do ojca tymi słowami: <<No Adam, tobie to dobrze, bo pójdziesz do prywatnego lekarza, a co w takim wypadku byłoby z nami>>. Ojciec będąc członkiem kasy chorych, posłał mnie więc do szpitala kasy chorych i zdał mnie na taki los, jaki spotkałby w takim wypadku wszystkie dzieci robociarzy. Uznał to za swój obowiązek. Nie jeździł też nigdy w wagonie poselskim – jeździłam z nim kilkakrotnie do Warszawy, jako mała dziewczynka, ale nigdy nie jechaliśmy klasą poselską, ojciec zawsze rezygnował z tego. I to była jego postawa”[36].

W czasie wojny zarówno Adam jak i jego córka byli zaangażowani w pomoc konspiracyjną. W kwietniu 1940 r. Stefan Grot-Rowecki zaczął tworzyć konspiracyjne Wojskowe Biuro Historyczne (WBH), którego prace miał nadzorować dr Stanisław Płoski, znający się z Próchnikem od dawna. To właśnie jemu zlecił tworzenie i kierownictwo nad działem „Kronika okupacyjna”. W ramach tego projektu zarówno Adam jak i Halszka zaangażowali się w pisanie kronikarskich raportów, dotyczących zbrodni i terroru hitlerowskiego w Polsce. Powstały 624 strony tej kroniki. „Pod kolejnymi datami dziennymi znajdują się przedruki dekretów, proklamacji, zarządzeń, rozporządzeń, odezwy naczelnego dowództwa niemieckiego i cywilnych władz okupacyjnych, oficjalne komunikaty radiowe, informacje o wyrokach śmierci, aresztowaniach, egzekucjach, masowych wysiedleniach ludności, łapaniach, wywózkach do Niemiec, tworzeniu obozów koncentracyjnych, burzeniu pomników kultury narodowej i różnych innych akcjach represyjnych.[...] Rejestr tych dokumentów i faktów pozbawiony jest zupełnie komentarza. Widać, że jego głównym celem jest ściśle udokumentować i obraz i rozmiary terroru i masowej eksterminacji podbitego

narodu. [...] W kronice tej znajdują się również zapisy świadczące, iż mimo okrucieństw, które przynosiła codzienność okupacyjna, warszawiaków nie odstępował humor. I tak np. pod datą 22 maja 1941 r. Próchnik zapisał informację: <<W wielu punktach Warszawy ukazały się nalepki: Ogłoszenie: <<Zginął pies, nazywa się Hess. Odprowadzić sukinsyna za nagrodą do Berlina. Podpisał Himmler>>”[37]. Raz na dwa tygodnie raporty te były wysyłane do naczelnego wodza do Londynu.

A tak zapamiętała to Halszka: „W okresie okupacji [...] pracowałam z ojcem na tyle, że on mnie uczynił łączniczką do zbierania danych. [...] Pamiętam, że otrzymałam polecenie zbierania danych o terrorze niemieckim. Robiłam to bardzo dokładnie. Chodziłam po domach i zbierałam skrupulatnie wszystkie dane, że w tym domu, w taki a taki sposób, kogoś maltretowano czy szantażowano”[38]. Ale praca obojga Próchników nie ograniczała się do kronikarstwa, pomagali także ludziom w inny sposób. Ukrywali różne osoby, w tym właśnie Andrzeja Munka.

Córka Wilhelma Holllendra- przyjaciela i współpracownika Munka- Barbara Hollender, po latach tak opisała to w książce: „Munkowie, choć całkowicie zasymilowani, byli żydowskiego pochodzenia. 21-letni Andrzej zmienił nazwisko na Wnuk. Pracował w firmie budowlanej, należał do Organizacji Wojskowej PPS-u, gdzie miał pseudonim Xawery[39]. To wtedy poznał Halszkę Joannę Próchnik[40], córkę wybitnego lewicowego działacza i publicysty, Adama Próchnika. Joanna ukrywała przyjaciela przez jakiś czas w mieszkaniu rodziców”[41]/[42].

Witold Lesiewicz ujął to tak: „Przez znaczną część okupacji [Andrzej] ukrywał się. Między innymi u Próchników, Joanna uratowała mu życie”[43].

Munkowie pobrali się w maju 1946 r. w Warszawie. Po ślubie zamieszkując w niewielkim mieszkaniu przy ul. Sarbiewskiego 2 na warszawskim Żoliborzu.

Andrzej pieścił (także w listach i

telegramach) zwracał się do żony: „Syneczku”.

„Syneczku, uważaj na wiatr, żeby mi Ciebie nie zwał”, „Całuję mojego Synka czule i niech mi zrobi słońce”[44]

Jaka była Joanna?

„Starsza od Andrzeja o dwa lata, krucha i delikatna, była – podobnie jak mąż – osobą o niezwykłych zaletach towarzyskich oraz ujmującym sposobie bycia. Od młodości życiową pasję Joanny stanowiło łączenie i jednoczenie ludzi w <<dobrej sprawie>>. Działalność społecznikowska była jej powołaniem. Powodowana spontanicznym porywem serca zawsze chętnie i bezinteresownie służyła innym pomocą [...]. W późniejszych latach życia Halszka [...] pracowała w tygodniku <<Kobieta i Życie>>, pełniąc w redakcji trudną i często bardzo niewdzięczną funkcję kogoś, kto zastępuje-powołane do tego- instytucje w niesieniu wsparcia osobom bezradnym i potrzebującym [...]. I, podobnie jak on, miała poważne problemy ze zdrowiem”[45].

Po wojnie Joanna pracowała najpierw w Krakowie, gdzie była jedną ze współzałożycielek Teatru Kameralnego TUR, działającego przy Św. Jana 6, a następnie w Warszawie w departamencie prasowym Ministerstwa Informacji i Propagandy.

Skończyła Liceum im. K. Młczewskiego[46] [?] w Warszawie, po czym podjęła studia na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie w latach 1946-1950 studiowała socjologię, uzyskując dyplom w 1952 r.

Od 1952 r. pracowała jako dziennikarka (podobnie jak jej ojciec, żywo zainteresowana i zaangażowana w problematykę społeczną) w redakcji gazety „Kobieta i Życie”.

Tak opisują ich przyjaciele: „Munk i jego żona nie mogli być ulubieńcami władzy. Należeli do intelektualnego środowiska stolicy. Przez ich małe mieszkanie na Żoliborzu, gdzie przy ul. Sarbiewskiego 2, zawsze przewijały się tłumy. Stale u nich siedzieli goście, czasem ktoś

nocował – w kuchni lub przedpokoju, gdzie po rozłożeniu łóżka polowego nie można było otworzyć drzwi wejściowych. Ale tak się wtedy żyło. Inteligencja trzymała się razem, ludzie się odwiedzali, rozmawiali”[47].

Inny przyjaciel domu – Paweł Beylin również pamięta tamto żoliborskie mieszkanie i czas z nimi spędzany: „, mieszkanie to posiadało niepojętą właściwość rozszerzania swych wymiarów i wchłaniania ilości ludzi, przekraczającej najśmielsze fantazje architektów. Któż nie przychodził wtedy do Munków. Przyjaciele, przyjaciele przyjaciół, bliscy i dalecy znajomi tych ostatnich, starzy i młodzi, uczeni i uczący się, zdecydowani na coś i niezdecydowani na nic, zakochani i zawiedzeni, u progu kariery i u jej schyłku, prześladowani i prześladowający, nabierający wątpliwości i zrzucający je z siebie z poczuciem nagle odzyskanej lekkości, która w rezultacie okazywała się tym cięższa, smutni pijaństwem i smutni trzeźwością, ratujący własny entuzjazm i opłakujący jego utratę, przesyleni własnym domem i bezdomni. O każdej porze dnia i nocy istne pielgrzymki ciągnęły do domu Munków, zwabione otwartymi drzwiami, graniczącą z apostołstwem pasją Joanny do ludzi oraz stoicką, niekiedy tylko naruszaną cierpliwością Andrzeja. Przychodzili po pomoc, materialną lub moralną i nie wychodzili z pustymi rękami. Przychodzili rzucić ciężar i na głowy Munków waliła się nieustanna lawina spraw ludzkich. Do dziś nie mogę pojąć, jak to się stało, że oboje od tego wszystkiego nie zwariowali”[48].

Podobnie wspominał tamten czas reżyser Witold Lesiewicz: „, Andrzej z żoną Joanną mieli maleńkie mieszkanie na Żoliborzu, przy ulicy Sarbiewskiego. Pokój z kuchnią. Zainstalowali mnie w tej kuchni. Musiałem wstawać wcześniej, bo przychodziła pani, która Munkom gotowała. Rano robiła zawsze Andrzejowi płatki owsiane z żółtkiem, a ja pędziłem do baru na Słowackiego. Ale było wspaniale. Andrzej i Joanna prowadzili otwarty dom. Czasem jeszcze nocował ktoś w przedpokoju”[49].

Nie zmieniło się to także po przeprowadzce na

Rynek Nowego Miasta, do pięknego mieszkania usytuowanego w pobliżu kina „Wars”.

„W dwupokojowym mieszkaniu, które mieściło się na parterze warszawskiej kamienicy przy ul. Starej 3 na Nowym Mieście – dokąd Munkowie przeprowadzili się wiosną 1956 roku z Żoliborza – oprócz dziecięcych zabawek z drewna i ludowych świątków, zwracała uwagę gości unikatowa kolekcja piszczałek, okaryn i fujarek. Jej właściciel nie był żadnym wirtuozem, ale podczas wizyty przyjaciół lubił sięgać po instrument, aby trochę na nim pograć solo lub wspólnie z gośćmi”[50].

Na Nowym Mieście do rodziny Munków dołączył jeszcze gładkowłosa jamnik Kajtek.

Tak się również złożyło, że Munkowie i Lesiewiczowie zamieszkali znów po sąsiedzku, przez ścianę przy ulicy Starej na Nowym Mieście. „Mieliśmy wspólną gospozię Locię, która gotowała obiady. Jadaliśmy je u Munków o trzeciej. Goniliśmy do domu na tę trzecią jak wariaci, bo Locia nie tolerowała spóźnień”[51] – wspominał Lesiewicz.

„Mieszkanie Andrzejów robiło wrażenie małego muzeum. Muzeum sztuki ludowej różnych regionów świata. Munk z zamiłowaniem zbierał świątki, szczególnie figury Chrystusa Frasobliwego, ulepione przez słynnego Pastuszkiewicza z Ilży. Miał ich całą kolekcję, rozdarowywał je przyjaciołom [...]. Skupował też ceramikę ludową, talerze. Ale naprawdę ludową, unikając stylizacji i imitacji. Jego dostawcami nie były ani Desa ani Cepelia, tylko wiejskie babiny...” [52].

O mieszkaniu tym wspominał także reżyser Andrzej Brzozowski: „Scenopis <<Ojca Królowej>> piszemy w Andrzejowym mieszkaniu. Trochę dziwny jest ten dom na Starówce, z oknem na podwórze, gdzie zawsze pełno rozbawionych dzieci, hałasują, ale można się do nich przyzwyczaić, ten pokój też nie jest dorosły, dziecinne zabawy przenikają aż tutaj, dużo koni na półkach, drewnianych i z gliny, dużo książek, dużo fujarek. Bardzo jasny pokój”[53].

O muzyce, która odgrywała w życiu i w filmach Andrzeja wielką rolę, wspominał Jerzy Pelc: „Pierwszy duży wydatek, gdy zaczęli z żoną trochę lepiej zarabiać: wielkie dwunastolampowe radio EAW-Amati i adapter <<Bambino>>. Potem z każdej podróży zagranicznej płyty: klasycy i romantycy, jazz, folklor. Muzyka była dla niego ważną sprawą życiową. Nie urozmaiceniem wolnego czasu, nie jedną z przyjemności czy rozrywek, tylko czymś niezbędnym na co dzień”[54].

Sam Munk zresztą mówił, że chciał zostać dyrygentem, kochał muzykę (zwłaszcza klasyczną) i w każdym niemal dźwięku potrafił ją dostrzec, np. w kroplach wody kapiących z kranu. Bardzo bliski muzycznie był mu współczesny kompozytor Jan Krenz. Andrzej miał także kolekcje instrumentów: piszczałek, okaryn i fujarek.

Lubił również tańczyć. „Gdy był wśród przyjaciół, w domu u siebie czy u bliskich, zawsze tylko przez chwilę <<wytrzymywał>> i tańczył <<normalnie>>. Później zaczynał grać: był marynarzem w portowej speluncie, to znów markizem na francuskim dworze, amantem z filmów niemych, szlachcicem w kontuszu podkreślającym wąsa. Umiał partnerkę wciągnąć do tej zabawy, zarazić własnym wcieleniem”[55].

Życie Joanny i Andrzeja to jednak również ciągłe rozstania i powroty. Pierwsze spowodowane wojną, gdy Andrzej musiał opuścić Warszawę i ukrywać się w Zakopanem, gdzie pod zmienionym nazwiskiem pracował przy obsłudze kolejki na Kasprowym Wierchu. Drugie naznaczone jego chorobą, gruźlica bowiem, której nabawił się w trakcie wojny, jeszcze długo po niej, nie dawała o sobie zapomnieć. Wyjechał więc wtedy na leczenie do Szwajcarii, gdzie odbywała wówczas staż lekarski jego najstarsza siostra Krystyna. No i trzecie rozstanie spowodowane podjęciem studiów w Łodzi.

Nie dane im było długo cieszyć się sobą, oboje bowiem odeszli młodo.

Halszka „zmarła 12 października 1968 r., w

szpitalu Akademii Medycznej przy ul. Banacha w Warszawie, w wieku 49 lat. Przyczyną jej śmierci był rozległy wylew krwi do mózgu. Kilka dni wcześniej została napadnięta w swoim mieszkaniu przy ul. Starej 3 [m.8] przez nieznanego sprawcę”[56]. Przeżyła męża o 7 lat.

Aktorka Anna Ciepielewska

Jedną z dwóch głównych bohaterek filmu Andrzeja Munka pt. „Pasażerka”, obok niedościgle utalentowanej Aleksandry Ślaskiej, była wcielająca się w postać oświęcimskiej więźniarki Marty – Anna Ciepielewska.

Na planie tego absolutnie niezwykłego filmu, do którego pozwolę sobie jeszcze powrócić w dalszej części tej opowieści, reżyser zauroczył się młodą aktorką, jak się okazało z wzajemnością.

Cała ekipa mieszkała na terenie byłego obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, przez ponad miesiąc nie opuszczając go, zaś sam reżyser zakwaterowany był w pokoju dawnego komendanta obozu Hößa.

Na planie działały się rzeczy wręcz metafizyczne, o czym wspominało wiele zatrudnionych przy tym projekcie osób.

Anna Ciepielewska zapamiętała dojmujący odgłos oświęcimskich drutów targanych wiatrem, który szczególnie nocą wywoływał przynębiająco silne poczucie strachu. Aktorka mówiła potem w wywiadach, że było to wręcz nie do wytrzymania.

Sceny kręcono co prawda latem, ale było to wyjątkowo zimne i deszczowe lato, a niektóre noce były tak chłodne, że oddychając, widzieli parę wydobywającą się z ust. Część filmu była nagrana wcześniej, jeszcze bez tej pary, więc nagłe pojawienie się jej, stanowiło problem w dalszym kręceniu scen. Wtedy kierownik produkcji Wilhelm Hollender wpadł na pomysł, by dostarczyć im na plan lody, które jedli potem przez całą noc podczas nagrywania, a wtedy para znikała. Ciepielewska w

wywiadzie wyznała, że właśnie od tamtej pory nie znosi już lodów. Aktorka wspomina również, że reżyserowi zdarzało się głodzić ją, bynajmniej nie po to, żeby schudła, lecz by poczuła dojmujące uczucie głodu, zrozumiała czym jest prawdziwy głód, a wszystko po to, by potrafiła, to wiarygodnie zagrać. Podobnie rzecz miała się z wielokrotnymi dublami, chodziło o zbliżenia kamery kierowane na jej twarz tak długo, aż uda się osiągnąć wyraz silnie odmalowanego na niej np. gniewu czy wzburzenia, których oczekiwał Munk.

Asystentka Andrzeja, Hanka Dyrka-Brzozowska wspominała, że ona sama ciągle w unoszącej się nieustannie nad Oświęcimiem mgłę, widywała ludzi-duchy, stojące, nieprzemieszczające się postaci ludzkie.

Ekipa, żeby oswoić, obłaskawić nieco to poczucie lęku, ten straszny, mroczny nastrój, przynębiający krajobraz tego miejsca, wymyślała różne, niekiedy zakrawające o makabryczność, żarty. I tak pewnego dnia Andrzej założył na nogi dwa lewe kalosze i wszedł na motor. Jadąc, krzyczał tylko: Powiedźcie mi, gdzie jest hamulec? Skończyło się to wypadkiem, ponieważ wpadł prosto na druty kolczaste i bardzo się pokaleczył. Niektórzy twierdzą, jakoby miał wtedy powiedzieć: Jeśli zginę, to przynajmniej nie będę już musiał kończyć tego filmu. Ile w tym prawdy, a ile legendy? Ekipa podkreślała, że Andrzej Munk był zarówno humorystą jak i makabrystą, i ta scena chyba właśnie najlepiej oddaje słuszność tej tezy.

Andrzej był również badaczem, lubił analizować, zagłębiać się w ludzkie postawy, wybory, umysły. I któregoś dnia, gdy Anna pochłonięta była czytaniem oświęcimskiej korespondencji, czytała akurat list pewnego rolnika, który idąc na śmierć, wydawał w tymże liście precyzyjne prośby dotyczące zajęcia się jego gospodarstwem, Anna zorientowała się, że drzwi do jej pokoju zostały zamknięte na klucz, co w takim miejscu robiło nieprzyjemne wrażenie. Trwało to krótko i drzwi po kilku minutach otworzono, jednak Munk lubił podobne eksperymenty. Mimo to ekipa go kochała.

Anna Ciepielewska i Andrzej Munk co prawda zbliżyli się do siebie na planie, i w tej atmosferze grozy i samotności zrodziło się między nimi jakieś uczucie, ale oboje byli w związkach małżeńskich, i gdy tylko Andrzej dowiedział się o przyjeździe Joanny do Oświęcimia, natychmiast zadbał o wszelkie detale, które miały zapewnić żonie, na ile to oczywiście możliwe w tego rodzaju miejscu, komfortowe warunki. I tak poprosił ekipę o dostarczenie kwiatów i zaciemnienie okien, ponieważ Joanna nie potrafiła zasnąć, jeżeli do pokoju dostawało się światło. Telefonując i pisząc listy również zapewniał żonę o swoim niestłabnym uczuciu.

Jedna z osób z ekipy, gdzieś między wierszami napomina dyskretnie, że Andrzej się w tamtym czasie pogubił i cały czas czegoś poszukiwał, i nie chodzi tylko o film, ale także o życie.

Hanka Dyrka-Brzozowska asystująca Munkowi przy filmie „Pasażerka”, stawiała kabałę i czytała z ręki. Kiedy spojrzała na dłoń Andrzeja, od razu spostrzegła krótką linię życia, taką tylko do połowy dłoni i powiedziała: „Oj Andrzej, nie pożyjesz ty długo”...

Piosenkarka Sława Przybylska

W swojej autobiografii Stanisława [takie imię otrzymała na chrzcie przyp. red] Przybylska napisała: „Wierzę, że urodziłam się po to, aby całe życie marzyć o idealnym świecie, unosić się marzeniami jak na latającym dywanie i dążyć do nieosiągalnego! Ciągłe próbować łapać niedościgłe. Ciągłe było mi ciasnawo. [...] Czułam ciągle dziwne pragnienie, jak wędrowiec na pustyni”[57].

Zarówno Sława jak i Andrzej przeżyli okropności i dramaty wojny, łapanek, wymordowanie ich sąsiadów i bliskich, utratę młodości i beztrudny pięciu bezpowrotnie minionych okupacyjnych lat. Czy to może ludzi łączyć? Być może oboje nieśli w sobie ten głód wolności, która mogła się wyrażać jedynie poprzez sztukę, a i to nie w pełni, bo wtedy, w których debiutowali nie były sprzyjające swobodzie twórczej.

„Śpiewam, ponieważ to kocham. Tak się szczęśliwie zdarzyło, że mogę to robić profesjonalnie, uprawiać ten zawód. A nie było to do końca oczywiste, ponieważ w młodości byłam dość nieśmiałą osobą, niepewną siebie”[58]-pisała dalej Przybylska. Czy zatem tej młodej, nieśmiałej śpiewaczce mógł zaimponować odnoszący już wówczas sukcesy Andrzej? Z pewnością.

Zapytana o to „- Czy ma jakiś ideał mężczyzny?”, odpowiada: „- Owszem. Musi być wysportowany i... okropnie brzydki. Najpiękniejszy dla mnie, to najbrzydszy dla innych”[59]. Kogo ma wówczas na myśli, pozostaje jej tajemnicą.

W jej książce pojawia się wreszcie wzmianka o Munku: „Sława miała 29 lat. Osiągnęła wiele i równie wiele straciła. Była popularna, sławiona, rozchwytywana. W całym <<rozgardiaszu>> sukcesu odczuwała dręczącą ją samotność. A jak pisał Honoré de Balzac <<samotność to próżnia>>. U Sławy była to samotność emocjonalna. Nie wyżyta w pełni młodość, zaczęła dopominać się o swoje prawa. Ogarnęło ją pragnienie pełni życia, spotęgowane przez długie oczekiwanie na to <<coś>> lub tego <<kogoś>>, kto zaspokoi jej potrzebę miłości. Odtrącała licznych <<podbijaczy serc>>, tworząc sobie mozolnym wysiłkiem zaporę rozumowych argumentów. Wreszcie pojawił się On, człowiek, artysta. Wybitny reżyser filmowy, jeden z twórców polskiej szkoły filmowej – Andrzej Munk. Sława była zafascynowana jego twórczością, wiedzą, kulturą i magnetyzmem jego oczu. Z fascynacji zrodziła się wielka miłość, zapełniająca tak dokuczliwą i dręczącą pustkę emocjonalną. Sława poczuła się prawdziwie szczęśliwa. Związek tych dwojga artystów był pilnie strzeżoną sprawą osobistą i nie stał się przedmiotem środowiskowych plotek i komentarzy”[60].

O ile Sława była wtedy kobietą wolną: „Skończyłam studia, wyszłam za mąż za kolegę z grupy [Jerzego Kostarczyka]. Nie było to udane małżeństwo i szybko się rozpadło. Jedynym co pozytywne jest córka Blanca”[61],

o tyle Andrzej był nadal mężem Halszki.

Reżyser i piosenkarka poznali się w 1960 r. na planie filmu „Zezowate szczęście”, w którym Sława wykonywała piosenkę „Kriegsgefangenpost”, będąc po raz pierwszy widoczną na ekranie. „Tym razem film utrwalił nie tylko jej głos, ale i ją samą. Śpiewała o czasach, które wprawdzie minęły, ale wtedy wszyscy je pamiętali. O listach bez adresu zwrotnego, które podawały jedynie owo Kriegsgefangenpost, co było domem, miastem, ulicą. Ta jej wyjątkowa interpretacja i niewątpliwy talent aktorski sprawiły, że tę scenę i piosenkę długo się pamiętało”[62].

Po wypadku i przedwczesnej śmierci Andrzeja naturalnym uczuciem zakochanej kobiety była rozpacz. „Szczęście jak ciepła krew wpłynęło do serca falą powolną, a falą gwałtowną, tajfunem, tornadem odpłynęło. Gdzie byłś mój duchu opiekuńczy? [...] Zmęczenie mojej duszy i mojego umysłu muszę pokonać, gdyż inaczej zginę. Nie mam żadnego autorytetu, żadnego Przyjaciela. Cóż mi pozostaje? Nadzieja! Że znajdę sposób, coś w rodzaju miecza Demoklesa, którym oddzielę dobro, które jest we mnie, od zła, którym obdarza mnie świat zewnętrzny. [...] Moim ukojeniem będzie praca. [...] Doświadczylam tego na własnej skórze, jak nieszczęście, które spada na nas niespodziewanie i całkowicie niezasłużenie, zabiera nam sporą część naszego istnienia”[63].

Jak więc sama przyznaje ucieczką od dojmującego smutku i rozpacz, była praca i przeżycie żałoby: „Dzięki wypłakanym łzom poznałam radość chwil samotności, samotnego spacerowania leśną ścieżką i samotnego leżenia w słońcu na leśnej polanie lub nadmorskim piasku”[64].

„Jestem tym, co umiem, co pamiętam, czym żyję, o czym śpiewam, tym, czym się raduję i wszystkim tym, czym jestem naznaczona”[65].

Reasumując: „Myśl o śmierci zupełnie mnie nie przeraża, gdyż żywię mocne przekonanie, że duch nasz jest istotą niezniszczalną, że działa od wieczności do wieczności [...]. Nie wątpię w nasze dalsze trwanie, gdyż przyroda nie może się obejść bez entelechii”[66].

Wypadek

20 września 1961 r. Andrzej Munk zginął w wypadku samochodowym. Miał zaledwie 39 lat. Tego dnia rano wrócił do Warszawy z Oświęcimia, gdzie kończono jeszcze zdjęcia do filmu „Pasażerka”. Wybrał się z żoną do podwarszawskich Lasek, by pospacerować po lesie, po czym wyruszył swoim Fiatem 600 w kierunku Łodzi, gdzie czekały na jego akceptację dekoracje do dalszej części filmu. Do Łodzi jednak nie dotarł, ponieważ między Sochaczewem a Łowiczem we wsi Kompina doszło do wypadku. Samochód Andrzeja zderzył się z ciężarówką. Z licznymi obrażeniami zwłaszcza w obrębie klatki piersiowej trafił do szpitala w Łowiczu, gdzie około godziny dwudziestej trzeciej zmarł.

Munk został pochowany na warszawskich Powązkach 23 września 1961 r.

„Wśród tłumu otaczającego świeży grób Andrzeja Munka widniały odświętne góralskie stroje. To jego przyjaciele z podtatrzzańskich wsi przyjechali, żeby się z nim pożegnać. Nie było w tej przyjaźni ani śladu artystycznej <<młodopolskiej>> pozy, wymuszonej <<ludowości>>, sztucznego zbratania [...]. Munk kochał Podhale: ludzi i krajobraz, folklor, sztukę, język”[67].

Rzeźba

Przyjaciół, sąsiad i drugi reżyser „Pasażerki”- Andrzej Brzozowski, zamówił na grób Andrzeja Munka rzeźbę Chrystusa Frasobliwego u łżeckiegoceramikaStanisławaPastuszkiewicza. Artysta przyjął zamówienie i kazał przyjechać po figurkę za dwa tygodnie. Gdy Brzozowski udał się do Łży w wyznaczonym czasie, okazało się, że cała łżecka społeczność jest nieobecna w domach, ponieważ wszyscy właśnie poszli na pogrzeb Pastuszkiewicza. Ulubiony rzeźbiarz

Andrzeja, zmarł bowiem wkrótce po nim. Figura Chrystusa została jednak ukończona i zgodnie z ostatnią wolą artysty przekazana na grób Munka. Jednak los, a raczej ludzie nie obeszli się z nią łaskawie, rzeźba była bowiem ciągle niszczona, utracane były ręce, nogi lub głowa, i w końcu bliscy Munka dowiedzieli się od Zarządu Cmentarza, że znaleziono kartkę, na której ktoś napisał: Na grobie Żyda nie będzie stał Chrystus.

Pasażerka

Na koniec przedstawiam analizę ostatniego i moim zdaniem najważniejszego w filmografii Andrzeja Munka, filmu „Pasażerka”, stworzonego na podstawie utworu Zofii Posmysz o tym samym tytule.

Droga „Pasażerki”:

W 1959 r. powstało słuchowisko pt. „Pasażerka z kabiny 45”, które usłyszał Munk.

W 1960 r. powstał spektakl telewizyjny „Pasażerka” w reżyserii Andrzeja Munka, który niestety nie zachował się, bowiem wówczas emisja odbywała się na żywo.

W 1962 r. – powstała nowela „Pasażerka”,

która została potem rozbudowana (z dodaną postacią Bradleya) i przekształcona w powieść.

W latach 1961-1963 – powstał film fabularny „Pasażerka” w reżyserii Andrzeja Munka, skończony przez Witłoda Lesiewicza.

[Później jeszcze w roku 1968 r. – powstała opera Mieczysława Wainberga „Pasażerka”].

Zofia Posmysz, która przeżyła Oświęcim, opisała w „Pasażerce” losy swoje i swojej przyjaciółki Marty, z którą pracowała w obozowej kuchni, splatając je w jeden wspólny obozowy los. W przetrwaniu oświęcimskiej gehenny pomogła jej Niemka Annelise Franz, proponując pracę w buchalterii.

Po wojnie Zofia będąc na wycieczce w Paryżu, przy Placu Zgody słyszy niemiecki głos łudząco podobny właśnie do głosu Annelise Franz. Po powrocie do Polski ta historia tak głęboko osadza się w duszy i pamięci autorki, że ta (za namową męża) w końcu postanawia opisać swoje obozowe przeżycia, co stało się później kanwą zarówno słuchowiska, jak i spektaklu, a w końcu filmu Munka.

Szczegóły różniące:

życie obozowe	„Pasażerkę” – książkę Zofii Posmysz	„Pasażerkę” –film Andrzeja Munka	uwagi
Osoby, których losy zostaną przedstawione w książce (najpierw w noweli, a następnie w powieści) oraz w filmie, to: Zofia Posmysz- więźniarka obozu Auschwitz, numer obozowy:7566			
Osoby, których losy zostaną przedstawione w książce (najpierw w noweli, a następnie w powieści) oraz w filmie, to: Zofia Posmysz - więźniarka obozu Auschwitz, numer obozowy:7566			
Marta Sawicka (z domu Salwik) - więźniarka obozu Auschwitz, numer obozowy:13103. Do obozu trafiła wraz z całą rodziną: rodzicami, dwoma braćmi: Tadeuszem i Stanisławem, siostrami: Marią i Jadwigą, (które oprócz niej jako jedyne z rodziny przeżyły	Marta W książce losy Zofii i Marty zostało splecione w jeden wspólny życiorys i przedstawione jako	Marta -więźniarka Marta Steward - pasażerka statku Liza – nadzorczyni, również pasażerka statku.	Filmowa Marta (w tej roli Anna Ciepielewska) ma wytatuowany na przedramieniu numer obozowy:13417 ⁷¹

wojną),szwagrem i mężem Wacławem (po-
brali się zaledwie sześć tygodni przed aresz-
towaniem).
Po wojnie w 1945 r. Marta wyemigrowała naj-
pierw do Anglii, potem do USA. Ponownie
wyszła za mąż (za Polaka Kazimierza Kołtu-
niaka, uczestnika powstania warszawskiego,
z którym łączyły ją wojenne losy i tragedie).
Urodziła im się córka Ewa, która podczas wa-
kacji w 1960 r. utonęła w jeziorze Michigan. Z
tej tragedii Marta już się właściwie nigdy nie
otrząsnęła, choć próbowała jeszcze żyć z dnia
na dzień, przetrwać.
Jej prochy zostały rozsypane nad tym samym
jeziorą, w którym zginęła jej córka.

Zofia i Marta pracowały razem w obozowej
kuchni, tam się zaprzyjaźniły, były dla siebie
jak siostry.
A gdy Zofia podjęła pracę szrajberki, postara-
ła się o podobną posadę także dla Marty, po
tym, gdy ta uległa poparzeniu nóg.

Tadeusz Paolone (w obozie występujący pod
nazwiskiem Lisowski – to jego konspiracyjny
pseudonim) – więzień obozu Auschwitz, ofi-
cer Wojska Polskiego w stopniu kapitana.
Jego numer obozowy to: 329 (z pierwszego
transportu).

W prawdziwym życiu miłością Tadeusza była
Roma Sygnarska (córka nauczycieli spod Dę-
bicy). Spotykali się przez 7 lat.

Nie przeżył obozu, wraz z grupą 74 innych
osób został rozstrzelany 11.X.1943 r. Miał wów-
czas 34 lata. Stojąc przed plutonem egzeku-
cyjnym zdążył jeszcze krzyknąć: Niech żyje
wolna i niep...

Tadeusz jako jedyiny z rodziny pozostał w Pol-
sce, gdy jego rodzice (ojciec w 1927, a matka i
czworo rodzeństwa w 1929 r.) wyemigrowali
do Argentyny.

W obozie uczył Zofię buchalterii (prowadze-
nia ksiąg), poznali się w obozie, **spotkali za-
ledwie trzy razy**. Był dla Zofii kimś w rodzaju
mentora, przewodnika, podczas trzeciego
(czyli ostatniego) ich spotkania podarował jej
wykonany (ze srebra) przez innego więźnia
Wiktora Tolkina (o czym pani Zofia dowia-
duje się sześćdziesiąt lat później) medalik z
wyrzeźbioną głową Chrystusa ze słowami:
„Weź na pamiątkę ode mnie. Niech cię chroni.
Strzeż go i jeśli Bóg pozwoli, donieś do wolno-
ści”.⁶⁸ I co podkreślała pani Zofia w każdym
wywiadzie -doprowadził -i był jej amuletem
do końca życia.

„Na blok przeniosłam go w bucie- staników
nie miałyśmy, a kieszenie przede wszystkim
podlegały rewizji”⁶⁹.

Marty.
Jak przyznała sama au-
torka, zrobiła to niejako
na cześć prawdziwej
Marty, która przeżyła
kacet.

Tadeusz (w książce nie
pojawia się jego nazwi-
sko), który niestety nie
przeżył obozu.
W książce występuje on
jako narzeczony Marty,
z którym nie tylko znała
się przed wojną, ale na-
wet byli zaręczeni.

W książce mowa o tym,
że spędzili razem jeden
dzień.

W filmie **Tadeusz** rów-
nież występuje jako nar-
zeczony Marty sprzed
wojny.

W filmie Marta i Tade-
usz **spotykają się wielo-
krotnie**.

Filmowy **Tadeusz** (w tej
roli Marek Walczewski)
ma przymocowany do
pasiaka numer obozo-
wy: 163016⁷²

Munk pozostał w tym
wierny książce, nie ży-
ciu.
Chciał pokazać obozową
miłość.

Medalik „Chrystus
Oświęcimski” (a do-
kładnie jego wierna
kopia) został w 2019 r.
przekazany przez panią
Zofię Posmysz-Piasecką
Bibliotece Publicznej
gminy Tymbark, której
nadano imię Tadeusza
Paulone.

Niemka Aufseherin Annelise Franz-
(występują także inne formy jej pełnego nazwiska np.: Annelise oder Anni Franz oraz Anneliese Hedwig Emma Franz)
- nadzorczyńi w obozie.
Niska, szczupła, szatynka o brązowych oczach, powściągliwa, kulturalna.

(Młodsza o trzy lata) siostra Annelise Franz – to **Aufseherin Elisabeth Hasse-** również nadzorczyńi obozu (sadystka, z którą Liza często jest mylona, nawet przez badaczy i historyków) po wojnie.
Blondynka, o niebieskich oczach, zawsze krzycząca i złorzeczące, o Polakach nie wyrażała się nigdy inaczej, jak: „ci parszywi Polacy”⁷⁰.

Pierwszy mąż Annelise Franz ginie w czasie wojny, nie jest więc pierwowzorem Waltera.

Mówi mężowi:

Aufseherin Franz nadzorowała kuchnię (jedną z wielu w obozie Austchwitz) oraz magazyn chleba.

Aufseherin Franz wybrała Zofię na swoją szrajberkę/ sekretarkę/ buchalterkę niejako przypadkiem, zapytała bowiem kapo, która z dziewczyn zna niemiecki i kapo (jako że stały w kuchni akurat przy kotle Zofii) wskazała na nią.
Zofia była odwrócona tyłem, więc nim po raz pierwszy zobaczyła swą późniejszą szefową, najpierw usłyszała jej wysoki, skrzeczący głos.

Liza vel Lischen Kretschmer

Walter Kretschmer (mąż Lizy)

Mówiła mu przed ślubem, że była w kobiecych formacjach.

W „Pasażerce” akcja (tej części obozowej) rozgrywa się w komandzie Effektenkammer, zwanym Kanadą, czyli tam, gdzie następowały rozładunki i sortowanie rzeczy ludzi, którzy trafili do gazu.

W książce ma to inny wydźwięk:„[...] nie różniałam ich twarzy. Były wszystkie jednokowe, może dlatego, że wszystkie miały ten sam zgłodniały wyraz. A przecież - ją zobaczyłam. Nie wiem, dlaczego właśnie ją jedną zobaczyłam. Nie wyróżniała się niczym. Była tak samo zbiedzona, spod chustki, tak jak innym, sterczały obcięte przy skórze włosy. Jak wszystkie miała na twarzy ten meszek, który oznaczał ostateczne wycieńczenie. Tyle może tylko, że nie

Liza

Inga Weniger

Walter (mąż Lizy)

06:09
-Ja nie byłam więźniarką, ja byłam nadzorczynią- wyznaje mężowi Liza. a w książce mówiła mu przed ślubem, wcześniej, że była w kobiecych formacjach.

W filmie również pokazano rampę i wielkie magazyny usytuowane poza obozem, gdzie sortowano rzeczy.

„W Marcie dostrzegłam coś kruchego i dziewczęcego, coś co budziło współczucie”⁷⁴ - mówi bohaterka filmu.

Munk, a potem już Lesiewicz, pozostaje wierny książce.
W komentarzach do zdjęć ze statku pojawiają się bowiem imiona: Liza i Walter.

Zabieg ten Zofia Posmysz zastosowała świadomie, żeby pokazać miejsca prawdziwego dramatu, bliżej krematorium.
Munk zapewne również.

Zarówno w książce jak i w filmie Marta zostaje wybrana na zewnątrz bloku, gdy stoi w szeregu pośród innych więźniarek.
„Munk chciał osiągnąć mocny efekt, potrzebował czegoś wyjątkowego na początek znajomości głównych bohaterów. Tak naprawdę to Anneliese podszła do mnie i porozmawiałyśmy. Powiedziała: Będzie pani moją szrajberką”⁷⁵.

łowiła mego spojrzenia. Patrzyła prosto przed siebie, może nawet na mnie? Ale tak, jak ja nie widziałam ich, ona nie widziała mnie. Towarzyszkimówiły potem o tym sposobie jej patrzenia:<<Uważaj, jej oczy mają dno. Jest tam coś innego niż to, co wyrażają na nasz użytek>>⁷³”.

Była szefową magazynów.

W książce szefową kuchni.

W filmie również szefową kuchni.

Gdyby zaufać stronie internetowej Franz przyjechała:„, W październiku 1942 roku do KL Auschwitz”⁷⁶. Jednak sama pani Zofia Posmysz w wywiadzie rzece Michała Wójcika wspominając o swoim pierwszym spotkaniu z Franz podaje datę czerwiec 1943 r. ⁷⁷

W książce widnieje zdanie: „W **marcu 1943** byłam już w tym <<piekle Europy>>”⁷⁸ - mówi Liza o Auschwitz.

W filmie bohaterka wypowiada słowa: „Do Oświęcimia przystanomnie **latem 1943 roku**”⁷⁹.

Zatem Munk w filmie trzymał się prawdy historycznej bardziej niż książki i sporządzonego na jej podstawie scenariusza.

Jak wspomniałam pierwszy mąż Franz zginął w 1943 na froncie wschodnim. Drugi raz wyszła za mąż już po wojnie. Zmarła w 1956 r.

Walter Kretschmer mąż Lizy (w książce) wiedział, że żona w czasie wojny pracowała w „kobięcych formacjach” w „magazynach rzeczy”⁸⁰ (enigmatycznie i tajemniczo to określiła, ale coś jednak wspomniła). Walter (w książce) przedstawiony jako ten, z którym można rozmawiać o wszystkim,
- który na ochotnika zgłosił się do Wehrmachtu, żeby uchronić się przed naciskiem (głównie ze strony wuja i matki) wstąpienia do SS,
- początkowo walczył na froncie wschodnim (został postrzelony w udo, rana okazała się niegroźna; w przeciwieństwie do swego pierwowzoru przeżył), otrzymał nawet odznaczenie (krzyż zasługi), następnie walczył na froncie zachodnim, był jeńcem;
w końcu (ale już po wojnie) wyemigrował.
Żona wiedziała o nim tylko to, że był jeńcem wojennym.

Liza w filmie przyznaje, że jej mąż nic nie wiedział o niej z czasu wojny, ponieważ był na emigracji.

Czy chodziło o zestawienie kontrastujących postaci? Liza ma się tłumaczyć przed niczego nieświadomym, a zatem niewinnym zbrodni wojennych, mężem?

W prawdziwym życiu tego spotkania nie było.

Więzień, którego ma zastąpić Tadeusz, by spotkać się z Martą, wymyśla „niebezpieczną infekcję oczu”⁸¹

W filmie kapo zawiadamia, że jest „podejrzanie tyfusu”⁸²

Czy chodziło o to, że na ekranie łatwiej pokazać człowieka po tyfusie niż po chorobie oczu?

kwestia róż

Rajsko było podobozem, gdzie więźniowie pracowali na eksperymentalnej stacji hodowli roślin (warzyw, owoców i kwiatów). Jedną z kierowniczek obozu była Aufseherin Annelise Franz (a także jej siostra) - ⁸³

Opis róż, które Liza zarekwirowała (odebrała Marcie) przedstawiony w książce naprawdę robi wrażenie: „**lle ich było tych róż, o aksamitnych szkarłatnych płatkach**, bezsensownie pięknych na tle rupieciarni po spalonych przed godziną ludziach? W każdym razie więcej, niż otrzymywał ktokolwiek na wolności”. [...] „Nasz róż. **Z naszych oranżerii w Rajsku**. My, niemieckie kobiety, zostałyśmy z nich

W filmie różesą widoczne od 26:19 minuty. Jest to jedna z dłuższych i bardziej znaczących scen/sekwencji filmu. Tyle, że prezentuje jednak mały, skromny bukiecik (zawierający nie więcej niż 9 drobnych, lekko przywędłych i sfatygowanych kwiatów). Nie robią tu wrażenia, trudno wywołać nimi zachwyt równy marzeniu, o jakim pisze w książce Zofia Posmysz. Film jest wprawdzie

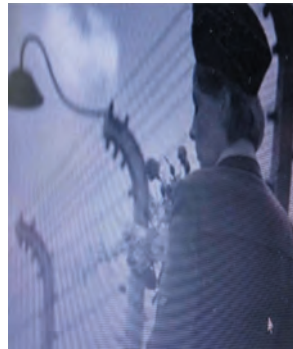
Liza w filmie odbiera Marcie kwiaty i idzie z nimi wzdłuż drutów. Już na zestawieniu tych dwóch fotografii, będących uchwyceniem kadru, widać, że Liza zabiera Marcie te jasne (prawdopodobnie białe) różę, po czym nagle w kolejnym ujęciu niesie wzdłuż drutów zupełnie inny bukiet: złożony z kwiatów białych (w każdym razie jasnych) i ciemnych (zapewne pąsowych) i nagle w tym bukiecie zmieniają

ograbione. Nasze róże. **Nigdy nie dostałam takich, nigdy, nie mogłam nawet o nich marzyć**, a dla nich, tych numerów, było to takie proste.[...] Wystarczyło słowo tamtego, żeby ktoś w Rajsku dał je tym szmuglerom z Essenfahrerkommando⁸⁴ - mówiła Liza.



W książce Marta mówi, że ma **imieniny** i stąd te róże. Liza odbiera więźniarce bukiet, lecz w swej łaskawości pozostawia jej jedną różę.

czarno- białą i trudno w istocie ustalić, jakiego naprawdę były koloru, ale zdają się jednak białe lub bladoróżowe, bo czerwień szkarłatna, to czerwień wyrazista, zwana królewską lub kolorem utlenowanej krwi, więc powinny być zdaje się ciemniejsze.



W filmie Marta mówi, że ma **urodziny**, jednak Liza zabiera róże, nie pozostawiając Marcie ani jednej.

się nie tylko kolory, ale i rodzaje kwiatów, bo oprócz róż pojawiają się także inne (może są to piwonie, może lewkonie), trudno to ustalić na czarno- białej taśmie, w dodatku z bukietu wystaje i powiewa na wietrze modny wówczas zielony dodatek-asparagus⁸⁵, którego wcześniej tam nie było. Wniosek nasuwa się jeden: jest to już zupełnie inny bukiet.

Przypomnijmy: jest rok 1961 r, kiedy Munk kręci film. Nasza poprawność polityczna i sojusz z sąsiadami ze wschodu, zobowiązują. W ZSSR obchodzi się urodziny.

Jest rok 1961, w filmie nie mogą pojawiać się symbole religijne. Cenura przecież czuwa. Ale można spróbować to obejść, zastępując słowo medalik, medalionem.

Wina (?) niewspółmier-na do kary. Jaka szkoda, że Aufseherin Annelise Franz- wobec siebie nie była równie konsekwentna. A przypomnijmy, że wraz z komendantem Kramerem była uwikłana w proceder, który polegał na „masowym wywożeniu produktów bardzo wartościowych z magazynu żywnościowego na użytek SS-manów, wojska i dla celów prywatnych. Czyli, że

loną głową i tabliczką umieszczoną **na podbrzuszu**, na której figurował napis:<<wszystko, co miałam, oddałam mężczyznom>>⁹⁰. „W czwartej godzinie <<sportu>> Ziuta została skopana na śmierć. Nie podniosła się z pozycji <<padnij>> i Pörschel ją wykończył”⁹¹.

Gdy naga Ziuta stoi przy bramie, ma spuszczoną głowę. Marta szeptem i wymownym gestem zachęca ją, by wysoko i dumnie ją uniosła. Wszystkie więźniarki się z nią solidaryzują.

Kiedy przy bramie rozgrywa się dramat Ziuty, gra orkiestra obozowa, Posmysz o tym nie wspomina, ale rzeczywiście, gdy komanda wracały przed zmrokiem do obozu, grała orkiestra.

Ta scena w filmie wygląda bardzo podobnie z tym, że Marta nie szepcze, a krzyczy i nie imię: Ziuta, lecz Anna.

W filmie obozowa orkiestra wtedy grała.

W książce Liza raczej potępia ów gest Marty: „Na bloku wezwałam ją do siebie. Powiedziałam wprost: Rapportführ Taube jest sadystą i zwyrodnialcem. Takimi pomysłami niweluje wychowawczą funkcję kary. Wbrew temu jednak ukaranie było słuszne. [Marta przyp. red.] milczała. Postanowiłam przyprzeć ją do muru: << -Pani się z nią solidaryzuje?>> Odpowiedziała po chwili:<<Jesteśmy w tej samej sytuacji, Frau Aufseherin. Pojęłam wtedy: poczucie wspólnoty z tamtymi odgradza ją ode mnie i mojego celu. Jeśli go nie złamię, przegram”⁹².

Gdy Aufseherin Annelise Franz znajduje na ulicy gryps, żąda by któraś się przyszała, ponieważ jednak nikt się nie zgłasza, zarządza dwie godziny „sportu”, czyli ostrej gimnastyki.

Dla Zofii była jednak łaskawa, „zatrzymała ją na chwilę w kantorku i powiedziała, że jeśli ma coś do roboty, to może zostać. Czyli może uniknąć kary.[...] Należę do komanda! A ona na to: „Jak pani chce”⁹³.

W filmie Marta uczestniczy w „sporcie”.

kradła”⁹⁴ - jak twierdzi Seweryna Szmagłewska, lub jak próbuje bronić Zofia Posmysz, jedynie „przechowywała mu [Kramerowi przyp. red.] łupy”⁹⁵.

Czy napis na brzuchu byłby zbyt mały dla oka kamery, czy też chodziło o to, że w PRL nie pokazywano gołego podbrzusza, dlatego napis był nad głową?

W książce jest szept, u Munka krzyk. Czy to dlatego, że Munk lubi w swoich filmach głośne, wyraziste dźwięki, czy też szept w filmie ginie? A może trzeba było propagandowo podkreślić, że polskie bohaterki są tak niezłomne, że nawet w obliczu przerażającej przewagi zła, wyrażają swój sprzeciw krzykiem?

W filmie jest zgoda inaczej: „Gest Marty nawet mi się spodobał. Nie podejrzewałam, że jest czymś więcej niż mimowolnym odruchem”- mówi w filmie Lisa⁹³.

Czy była to próba ucłowieczania, czy jakbyśmy to dziś określili „ocieplania wizerunku” kata/ oprawcy/ nazisty?

Medalik

Ziuta

Herr Major

Pies wabiący się Herr Major, istniał naprawdę i należał do Aufseherin Elisabeth Hasse. Był rudym **wilczurem**.

Pies ten miał pewną wyjątkową słabość, otóż uwielbiał ser szwajcarski, co przyptacił życiem.

Został zwabiony swym ulubionym serowym przysmakiem, a następnie rzucony na druty.

W książce również występuje pies Herr Major, ale był to **wyżeł**. Miał tę samą słabość do sera szwajcarskiego, co jego pierwowzór.

Został zwabiony serem i rzucony na druty. -W jego żołądku naleziono ser⁹⁶.

Był to pies agresywny, szkolony do...

W filmie właścicielka psa nazywa się Inga Weniger i przedstawiona jest raczej jako rywalka niż siostra nadzorczyńni.

W filmie był to **owczarek niemiecki**.

W filmie ser znaleziono na drutach

Każdy raczej bardziej kojarzy nazistów z owczarkami niemieckimi niż wyżłami, więc Munk znów trzyma się prawdy historycznej. Zwłaszcza, że scena, w której nadzorcy obozu idą wraz z psami wzdłuż drutów kolczastych, jest jedną z tych najwzmowniejszych i najbardziej zapadających w pamięć.

Opuszczenie Oświęcimia przez Aufseherin Annelise.

W rzeczywistości nie było to staż i przeniesiono ją do filii Dachau. Ponadto uciekali w popłochu, zbliżał się powoli front i raczej nie uciekali do Berlina.

Zofia poprosiła dr Pyrzanowską o przyjęcie jej do szpitala, udawała chorą. Pani doktor wstrzyknęła jej podobno nawet mleko pod skórę, by wywołać gorączkę. A wszystko to, żeby nie musieć wyjeżdżać z Aufseherin Annelise, która chciała ją ze sobą zabrać.

53:50 Bezpośrednia przełożona wzywa Lizę na rozmowę i mówi: „Twój staż dobiega końca. Za dwa dni masz się stawić w Berlinie. Zostaniesz przeniesiona do centrali.”

Czemu Munk zastoso- wał ten chwyt? Może, żeby podkreślić jej ważność, rangę, że jak przenoszą ją do samego Berlina, to znaczy, że wypełniała swoje obowiązki bez zarzutu i przełożeni byli z niej zadowoleni.

Komisja

Koncerty odbywały się naprawdę, ale nie dla więźniów, były przeznaczone wyłącznie dla esesmanów, obozowej elity i funkcyjnych.

Alma Rose- wiedeńska skrzypaczka, gwiazda, w Oświęcimiu zarządzała żeńską orkiestrą obozową, a ogólnie orkiestry obozowe były trzy. W niedzielę dla esesmanów, którzy mieli akurat służbę, orkiestra obozowa grała koncerty.

Jedną z więźniarek również Zosia nazywana przez Zofię Ptaszką, nie chciała grać w obozowej orkiestrze, mimo iż była skrzypaczką, wołała umrzeć.

„Ja dla nich nie będę grać” i Zofia zawsze już zastanawiała się, czy mówiąc, „dla nich”- miała na myśli nazistów, czy ludzi idących do gazu.

Po wojnie Zofia Posmysz nie może słuchać muzyki, szczególnie walcze Straussa przenoszą ją natychmiast do obozu.

Obóz odwiedza komisja PCK.

34: 40 minuta Na rewirze odwiedza chorą Martę Tadeusz. Niemcy mówią o tym nawet Międzynarodowej Komisji, że więźniowie mogą się wzajemnie odwiedzać podczas choroby. Marta bojąc się im narazić, przytakuje.

Scena gdy podczas koncertu – apelu więźniowie przesuwają się i podają medalik

42:27 przekazanie sobie medalika – w ten sposób niemożliwe.

U Munka scena koncertu odbywa się w męskim obozie.

Gryps

W wywiadach Posmysz mówiła, że jej grypsy z Tadeuszem były nietypowe, ponieważ jeśli ktoś w Auschwitz ryzykował taką korespondencją, to były to zwykłe listy miłosne, a te ich zupełnie nie. Tadeusz w swoich listach- grypsach opisywał np. piękno gór, po czym domyślała się, że pewnie stamtąd pochodził.

W książce Marta się przyznała.

W filmie Inga znalazła gryps w ścianie, nikt się nie przyznał. 53:46 minuta Liza ogląda przechwycony gryps napisany po polsku i choć nie zna języka, dziwi się, że w rzekomym liście miłosnym występują liczby i niemieckie nazwiska.

Czyżby Munk chciał pokazać Martę, jako patriotkę, która wykorzystując swoją pozycję (znajomość z Aufseherin) przekazuje pożytki w grypsach ważne dla polskiego wywiadu informacje? Miała być kobiecym odpowiednikiem Klosa?

Lalka

Jest o niej mowa w książce

Jest w filmie 54:56 Do rozmowy o lalce-żydowskim dziecku włącza się komendant obozu.

Zdaniem Posmysz to było niemożliwe, on się nigdy do takich spraw osobiście nie mieszał. Nie dociekał, nie wyjaśniał tego sam.

Bicie

W rzeczywistości Aufseherin Annelise nigdy nie biła, brzydziła się tym. Często mówiła: „Nie będą sobie brudzić rąk.”

57:47 minuta Liza policzkuje Martę.

Czy tą sceną Munk chciał wprowadzić więcej dramaturgii?

Do części nagrywanej na statku dialogi początkowo pisał Jerzy Andrzejewski, i o ich poprawienie poprosił go Munk, tego dnia, gdy wrócił z Oświęcimia do Warszawy.

Niestety po śmierci Munka, gdy okazało się, że wystąpił problem z kamerą i zdjęcia są statyczne, ktoś wpadł na pomysł, aby komentarze dopisał Wiktor Woroszyński. I to było najgorsze, co mogło spotkać ten film.

A oto przykłady ideologicznego bełkotu:

3:22 minuta: „My jednak, przypatrując się tej idylli, nie możemy naśladować radosnej obojętności świata.”

W domyśle oczywiście- obojętności świata zachodniego na zbrodnie wojenne.

41: 27 minuta „Tymczasem życie obozowej rodziny toczyło się dalej. Miało swój dzień powszedni i swoje święta”- miała powiedzieć Liza.

Brzmi to, jakby był to sielankowy pobyt na koloniach, a nie w obozie koncentracyjnym.

Co byłoby dalej...

Andrzej Munk miał jeszcze w planach zrobienia co najmniej kilku filmów, więc jego odejście w tak młodym wieku jest niepowetowaną stratą dla polskiej kinematografii.

Z relacji jego współpracowników wynika, że po swoich największych dziełach: „Eroice”(1957), „Zezowatym szczęściu”(1959) i niedokończonych „Pasażerze”(1961-1963), zamierzał stworzyć najpierw film, z gatunku płaszcza i szpady,

Zresztą nie tylko więzień nie pomyślałby nigdy w ten sposób, ale również żaden nazistowski nadzorca nie wypowiedziałby podobnych słów. Dla nich więźniowie to były numery, podludzie, insekty; a nie żadna „obozowa rodzina”, no tu Woroszyński odpłynął.

Druga sprawa, że transporty przyjeżdżały wciąż, a ludzie byli paleni w krematoriach całodobowo (ci, którzy palili zwłoki nawet zamieszkali nad krematorium, żeby byli tam wciąż obecni i żeby nie tracić czasu na ich sprowadzanie z baraków, więc nie wiem, o jakim święcie tu może być mowa. Każdy dzień w obozie był takim samym piekłem.

Co zresztą słysząc na filmie, bo gwizd wjeżdżającego na rampę parowozu, przerywa koncert. Czyli komentarz o święcie nie tylko z gruntu już żenujący, ale dodatkowo jeszcze zaprzeczający temu, co słysząc na filmie.

o teściu króla Jana Sobieskiego, czyli ojcu królowej Marysieńki (we współpracy z francuskim producentem, był już nawet gotowy scenariusz, który wyszedł spod pióra Jerzego Stawińskiego) a następnie chciał stworzyć film o niemieckim zbrodniarzu Adolfie Eichmannie (z tym pomysłem zwrócił się do Munka argentyński producent).

Jak widać była szansa na międzynarodową współpracę i kooperację, międzynarodowe sukcesy, którym naprzeciw stanęła śmierć reżysera. Oba projekty miały już nawet skryzalizowane tytuły, pierwszy „Ojciec królowej”, drugi „Bestia w potrzasku”. Przyjaciel Paweł Belyn namawiał go również do przedstawienia losów niemieckiego dyrygenta Wilhelma Furtwänglera, który od miłości do muzyki przeszedł do drogi do uwikłania się w nazizm.

Czy jednak doszłoby do realizacji tych filmów, skoro oprócz samego Munka, tak wielu z jego ulubionych aktorów również zginęło w wypadkach:

- 8 stycznia 1967 r. w wypadku kolejowym we Wrocławiu Zbigniew Cybulski

- 2 lipca 1969 r. w wypadku samochodowym w Buszkowie koło Koronowa Bogumił Kobiela

- 17 stycznia 1976 r. Adam Pawlikowski (który miał podobno zagrać rolę Eichmana) wypadł z okna swego mieszkania na ósmym piętrze bloku przy Nowogrodzkiej

- 21 kwietnia 2010 r. w Ruszkach pod Sochaczewem Wojciech Siemion.



foto: archiwum Autorki, Łódź ulica Piotrkowska

- [1] M. Hendrykowski, Andrzej Munk. Ludzie polskiego kina, Warszawa 2007, s.14
- [2] J.S.Łątka, Bezkarci zabójcy Basi Binder, Warszawa 2018, s.158.
- [3] L. Śnieg-Czaplewska, Nina i Józef. Sceny z życia, które minęło, Poznań 2023, s.87
- [4] Dziś mieści się tam nadal Samodzielny Zespół Publicznych Zakładów Psychiatrycznej Opieki Zdrowotnej w Warszawie oraz Centrum Zdrowia Psychicznego.
- [5] <https://getto.pl/pl/Wydarzenia/Na-Dolnej-w-Lomiankach-pewna-Polka-prowadziła-wynajem-pokoju-pod-plaszczykiem-dla-psychicznie-c>, dostęp 02.11.2024
- [6] J. S. Łątka, Bezkarci zabójcy Basi Binder, Warszawa 2018, s.158.
- [7] J. S. Łątka, Bezkarci zabójcy Basi Binder, Warszawa 2018, s.301
- [8] Tamże
- [9] Tamże, 303
- [10] Marian Fiszer
- [11] J. S. Łątka, Bezkarci zabójcy Basi Binder, Warszawa 2018, s.305
- [12] Tamże, s.294
- [13] Jerzy Łątka w swej książce „Bezkarci zabójcy Basi Binder” uparcie i konsekwentnie podaje imiona Magdalena Krystyna.
- [14] M. Hendrykowski, Andrzej Munk. Ludzie polskiego kina, Warszawa 2007, s.13-14
- [15] Jerzy Łątka w swej książce „Bezkarci zabójcy Basi Binder” uparcie i konsekwentnie podaje imiona Halina Jadwiga, nie Halina Joanna.
- [16] Obecnie Piotr Leszczyński to Peter Langer
- [17] M. Hendrykowski, Andrzej Munk. Ludzie polskiego kina, Warszawa 2007, s.14
- [18] L. Śnieg-Czaplewska, Nina i Józef. Sceny z życia, które minęło, Poznań 2023, s.90
- [19] L. Śnieg-Czaplewska, Nina i Józef. Sceny z życia, które minęło, Poznań 2023, s.136
- [20] L. Śnieg-Czaplewska, Nina i Józef. Sceny z życia, które minęło, Poznań 2023, s.136
- [21] L. Śnieg-Czaplewska, Nina i Józef. Sceny z życia, które minęło, Poznań 2023, s.72
- [22] Tamże, 136
- [23] Tamże, s.136
- [24] L. Śnieg-Czaplewska, Nina i Józef. Sceny z życia, które minęło, Poznań 2023, s.71
- [25] L. Śnieg-Czaplewska, Nina i Józef. Sceny z życia, które minęło, Poznań 2023, s.72
- [26] Jerzy Pelc, * [w] A. Munk, Warszawa 1964, s.60
- [27] Jerzy Zawieyski, [w] A. Munk, Warszawa 1964, s.80-81
- [28] M. Hendrykowski, Ludzie polskiego kina. Andrzej Munk, Warszawa 2007, s.15
- [29] <https://www.1944.pl/powstancze-biogramy/andrzej-munk,55122.html>, dostęp 02.11.2024
- [30] M. Hendrykowski, Ludzie polskiego kina. Andrzej Munk, Warszawa 2007, s.16
- [31] B. Hollender, Od Munka do Maślony, Warszawa 2017, s.19
- [32] Przy Chełmskiej znajdowała się wówczas Wytwórnia Filmów Fabularnych, w której pracował wówczas przy tworzeniu Polskiej Kroniki Filmowej, Andrzej Munk.
- [33] E. Zawistowska, Dziadek Władek. O Broniewskim, Ance i rodzinie, Warszawa 2019, s.295
- [34] Tamże, s.297-298
- [35] S. Nicieja, A. Próchnik historyk, polityk, publicysta, Warszawa 1986, s. 165.
- [36] Tamże, s.165-166
- [37] Tamże, s. 367
- [38] Tamże, s. 369
- [39] W książce B.Hollender „Od Munka do Maślony” występuje pisownia tego pseudonimu przez „X”, natomiast w innych

- publikacjach, w tym np. u M. Hendrykowskiego, Ludzie polskiego kina. Andrzej Munk, Warszawa 2007, s.15- ten pseudonim konspiracyjny pisany jest przez „Ks”- Ksawery.
- [40] Podaję imiona za autorką, by zachować wierność cytatu, natomiast prawdziwe imiona to Halszka Kazimiera. Joanna to jedynie pseudonim konspiracyjny.
- [41] W mieszkaniu, któregoś z rodziców, bo jak wiadomo, rodzice Halszki byli już wówczas rozwiedzeni i nie mieszkali wspólnie.
- [42] B.Hollender, Od Munka do Maślony, Warszawa 2017, s.15
- [43] <https://www.rp.pl/film/art5946131-moja-przyjazn-z-munkiem>, dostęp 17.09.2024
- [44] <https://www.youtube.com/watch?v=cUoEYsiKLbo>, dostęp 1.11.2024, 35:00
- [45] M. Hendrykowski, Ludzie polskiego kina. Andrzej Munk, Warszawa 2007, s.17
- [46] Informację tę podaję za Markiem Hendrykowskim, który umieścił ją w swej książce „Ludzie polskiego kina” na stronie 18, jednak w spisie liceów warszawskich (obejmującym również okres ich przedwojennego istnienia), nie widnieje liceum z takim patronem: https://pl.wikipedia.org/wiki/Licea_o_g%C3%B3lnokszta%C5%82c%C4%85ce_w_Warszawie, dostęp 02.11.2024
- [47] B. Hollender, Od Munka do Maślony, Warszawa 2017, s.20
- [48] P. Beylin, Widziany z bliska [w] A. Munk, Warszawa 1964, s.50
- [49] <https://www.rp.pl/film/art5946131-moja-przyjazn-z-munkiem>, dostęp 17.09.2024
- [50] M. Hendrykowski, Andrzej Munk. Ludzie polskiego kina, Warszawa 2007, s.82
- [51] <https://www.rp.pl/film/art5946131-moja-przyjazn-z-munkiem>, dostęp 17.09.2024
- [52] Jerzy Pelc, * [w] A. Munk, Warszawa 1964, s.60
- [53] Andrzej Brzozowski [w] A. Munk, Warszawa 1964, s.55
- [54] Tamże, J. Pelc, s. 61
- [55] Tamże, s.60
- [56] M. Hendrykowski, Ludzie polskiego kina. Andrzej Munk, Warszawa 2007, s.18
- [57] S. Przybylska, Radosny smutek przemijania, Warszawa 2016, s.15
- [58] Tamże, s.48
- [59] Tamże, s.75
- [60] Tamże, s.87
- [61] Tamże, s.61
- [62] Tamże, s.107
- [63] Tamże, s.89
- [64] Tamże, s.141
- [65] Tamże, s.101
- [66] Tamże, s.122
- [67] Jerzy Pelc, * [w] A. Munk, Warszawa 1964, s.61
- [68] Z. Posmysz, Chrystus oświęcimski, Oświęcim 2014, s.11
- [69] Tamże
- [70] M.Wójcik, Zofia Posmysz Królestwo za mgłą, Kraków 2021, s.187.
- [71] Film „Pasażerka” to 12:36 i 30.19 minuta filmu.
- [72] Film „Pasażerka” to 10:34 i 19:13 minuta filmu.
- [73] Z. Posmysz, Pasażerka, Czytelnik, Warszawa 1971, s.47
- [74] Pasażerka” to 9:20 minuta filmu.
- [75] M.Wójcik, Zofia Posmysz Królestwo za mgłą, Kraków 2021, s.162
- [76] <https://ssaufseherin.blogspot.com/2022/07/anneliese-franz-nadzorczy-ni-z-filmu.html>, dostęp 24.05.2024
- [77] M.Wójcik, Zofia Posmysz Królestwo za mgłą, Kraków 2021, s.160.
- [78] Z. Posmysz, Pasażerka, Czytelnik, Warszawa 1971, s.44
- [79] „Pasażerka” to 7:53 minuta filmu.
- [80] Z. Posmysz, Pasażerka, Czytelnik, Warszawa 1971, s.41-42
- [81] Z. Posmysz, Pasażerka, Czytelnik, Warszawa 1971, s.64

- [82] Film „Pasażerka” 18:22 minuta filmu
- [83] <https://www.auschwitz.org/historia/podobozy/raisko/>, dostęp 05.06.2024
- [84] Z. Posmysz, Pasażerka, Czytelnik, Warszawa 1971, s.94
- [85] Film „Pasażerka” 26:50 minuta filmu
- [86] Słowo medalik, strona 83
- [87] Film 28:47 minuta filmu
- [88] M.Wójcik, Zofia Posmysz Królestwo za mgłą, Kraków 2021, s.179.
- [89] Z. Posmysz, Pasażerka, Czytelnik, Warszawa 1971, s.66
- [90] Tamże, s.67
- [91] Tamże, s.72
- [92] Tamże, s.68
- [93] Film „Pasażerka”, 31:38 minuta filmu.
- [94] M.Wójcik, Zofia Posmysz Królestwo za mgłą, Kraków 2021, s.167
- [95] Tamże, s.167
- [96] Z. Posmysz, Pasażerka, Czytelnik, Warszawa 1971, s.79

Anna Makselon-Patoń

Trzęsawisko

Już się zlatują
zbierają w kłęby
paplają chichoczą
szepczą...

Stawiają zakłady
zacierają ręce
Wskakują na sznury
by rozhuścić dzwony

Ramiona nam dygoczą
w szarych płaszcach
po pachy w błocie

Chcieliśmy przecież
komuś pomóc
być dobrymi ludźmi

a skończyliśmy
polerując
sobie buty
cudzym nieszcześciem



fot. Anna Makselon-Patoń

modelka: Grażyna Elżbieta Jasiewicz

Amelia Pudzianowska

Kobiety

nie wierzę ranom milczącym i mamroczącym
włóż pieniążek między uda i ściśnij
nie ma nic piękniejszego niż czyste piętro
w domu który płonie i już chyba dogasa

wracam naga jak orzech rozbity przez gawrona
całuję martwe wargi
które kiedyś mówiły moje imię
dziś ja szepczę do gładkiej skóry brzucha
że oto skończyła się wojna

zaszyto trociny z ciszą i mlekiem
chroń uszy i palce chroń uszy i palce
nie chcemy kobiet które nic nas nie kosztują

Koła

w mojej głowie koła
koła poza moją głową niebezpieczne
z koła wychodzi dziecko i mówi
dlaczego mnie nie rodzisz?
ja mówię koło to macica
i oko i usta i kość ogonowa też
ja mówię nie urodzę koła
i już

koła poza głową gryzą się z psami
nie chcą kupić wierszy początkującej poetki
z koła wychodzi dziecko i mówi
urodę się samo jestem dziewczynką
potrafię wziąć szczypce jestem dziewczynką
ja mówię koło nie istnieje

jestem dziewczynką
mam macicę oko usta kość ogonową też
ja mówię koło jest niebezpieczne

założę się że wejdę w tę szczelinę
założę się że ciebie już nie ma

Całujesz ją

całujesz ją choć wiesz że rzygała
smakuje tysiącem zabitych much
wasze języki dwa nagie mięśnie
wasze usta milczą słysząc tylko
plusk śliny to nie tak miało być
z tym życiem nie tak miało być

potem się modlisz choć znasz
tylko bardzo brzydkie słowa
a ty jesteś dobry jak święty
całujesz ją nie odmawiasz
choć wiesz że rzygała
jesteś tonącą boją
nie umiesz stawiać
granic

to nie tak miało być z
tym życiem nie tak

co jest tam

może tylko rzygi
może tylko
rap
może tylko ona
w twoich dłoniach jej włosy

szanuj ją chłopcze
drugiej takiej nie

Dysonans

Tam gdzie mnie prowadzisz jest ciemno i mokro
Każesz się rozebrać więc zdejmuję bluzkę
Odpinam stanik i nagle się wstydzę
Moje ciało to świątynia Ducha Świętego
Moje ciało to świątynia Ducha Świętego

Oczy masz ciemne i mokre wiem że żądasz
Nic nie mówię i ty nic nie mówisz to nas łączy
Moje piersi jak motyle w ustach mam skrzydła
Mieszka we mnie Królestwo Boże
Mieszka we mnie Królestwo Boże

Chcę się ubrać mówisz teraz będziemy blisko
Tego chciałaś wiem tu ciemno jest i mokro
Bunt w moim ciele zaszywa się i zrasta
Jestem owieczką Pana
Jestem owieczką Pana

Żuk

szukam piękna w gołębiach
w ich upartej śmierci
w ich dobroci przed i po

liczę że utonę w wodzie z ciała
nie wiem jak smakuję od środka
nigdy nie pytałam o dokładkę

jestem przyjaciółką mężczyzn
wiem gdzie dotknąć aby włączyć pranie
wiem kiedy milczeć aby mnie wysłuchano

serce mam pełne piachu
kładę żuka na grobie prababki
i obserwuję ciszę o którą prosiłam

Anna Buchalska

szeptem o miłości

subtelna układanka wypływa szeptem
z rozgorączkowanych ust
omdlewają słowa
bezwładnie wznoszone na grzbietach zapachu miłości
obciążone ilością znaczeń
rozpromieniają uśmiech
karmią poję pokrzepiają
słodzą w niekończącym się pragnieniu czułości
a gdyby ucichł szept
zgorzkniały wicher powiał
skradł cząsteczkę esencji życia
drżące usta zaczęły by krzyczeć
pierwszą literę alfabetu przywoływać do bytu
ze strachu otwarte
wypluwać słowa
brzmiały w melodii szeptu

niemożliwe

Anna Nazar

Mechanizm

Poszumem wiatru
w arteriach żył
pulsuje krew

ożywczym tlenem
oddychają
pęcherzyki płuc

komory serca
rzęzą agonalnie
zamknięte na miłość

usta zębami
przygryzione
czerwienią trysnęły

dłonie przysposobione
do brania i dawania
wiszą martwe

zardzewiały mechanizm
raptownie zdechł

Symbioza

Jesteśmy doskonałą całością
nasze elementy złożone
tworzą harmonijne dzieło
nasz obraz

drażymy korytarze umysłu
rozplątujemy nitki nerwów
stymulujemy uczucia
z nadzieją na spełnienie

zaglądamy w czaszki
zagnieżdżamy się w sercu
skrapiamy eliksirem miłości
poimy życiodajnym płynem

Fatamorgana

Wybrańcy losu
układali bukiety poematów
zachwycali się pięknem wersów
pieścili struny serc

przez nieuwagę stłukli
kulę szczęścia
odłamki poraniły dusze
rozsypały się słowa

oaza
pustynia

Fanfary umarły
jazgotliwy tłum
zadusił się
własnym wrzaskiem

tchórze w norach
pająki w sieciach
parszywe muchy
w śmietnikach

a karaluchy żerują

Anna Przybył

Inwestycja

miłość to lokata
zdeponowana w banku serca
czasem przynosi zysk
często jednak stopa
zwrotu jest nieopłacalna
nie opiera się inflacji
może zostać zmarnowana
jeśli wycofa się ją zbyt
wcześnie albo zbyt późno

Tu

bierzesz w dłonie noc
przeżywasz niespełnione marzenia
okruszki życia załzawiają ci oczy
myślisz o czymś wielkim
kiedy tu takie małe

Tęsknota

wśród szmerów nocy
ćma walczy z oknem
tak bardzo tęskni za światłem
my też tęsknimy
całkiem po cichu

Podążam

upuszczam krew
próbuję wyzdrowieć
podziwiam filary życia
niegdyś przeżytego
pomijam przeszłość
mijam się polubownie
podążam ścieżką
poza scenariuszem

moje serce
ma kształt
twoich
ostatnich
słów

Anna Stanek

wiersz o nieodbyłym spacerze

gdy rzeczywistość zawodzi
uciekam w sen

więc spaceruję z tobą
pod kopułą klonów i kasztanowców
a słońce złoci twoje włosy i liście

miłorząb nad stawem
wróży nam długą rozmowę
a my nieopodal na ławeczce
pijemy herbatę z filiżanek zielonych
jak jego liście
aromat róży i wanilii
dopełnia chwilę szczęścia

więc idziemy alejkami parku
stukają nasze buty i kasztany
wypychamy nimi kieszenie
uśmiechamy się do siebie
i na przekór miłorzębowi
nie mówimy nic

czasem milczenie znaczy więcej
niż słowa

miało być

miało być
jak w niebie
były przysięgi
że miłość aż po grób
wesele
i ślubne prezenty

o czym myślisz teraz
gnana wyzwiskami
pchająca samotnie wózek
z owocem
czy nadal miłości
o trzy kroki
przed swym oprawcą

czy jeszcze pamiętasz
słowa miłości
dłonie ściśnięte w pięść
czy są zdolne
do pieszczoty

miało być
jak w niebie
a jest piekło
zwyczajnie codzienne

nie zatrzymasz

trzymałeś miłość
jak motyla
starając się nie dotykać
delikatnego rysunku
skrzydeł

odfrunął

trzymałeś miłość
jak motyla
wiedząc że może odfrunąć
mocno przytulałeś
do siebie

udusiłeś go

trzymałeś miłość
jak motyla
nie za mocno by nie zgnieść
nie za lekko by nie odfrunął
zbudowałeś dla niego
wspaniały pałac

umarł z tęsknoty za słońcem

zwiedzanie obozu Gross-Rosen

w tym obozie
nie było komory gazowej
więźniowie umierali sami
lub przy niewielkiej pomocy
oprawców

wystarczyła praca ponad siły
limit granitowych trumien
wynoszonych na plecach
po drabinie
z dna kamieniołomu
omsknięcie się nogi
na śliskim szczelblu

dzienne racje żywności
przy których umarłby
wróbel
szybko zmieniały chłopów
na schwał
w powłóczące nogami cienie

bicie na śmierć
za zbyt wolną pracę
lub dla zabicia nudy
stało się rutyną
powodem do przechwałek
nadczołowiek Kurt Vogel
szczycił się
zabijaniem jednego więźnia
dziennie

jakże mam chodzić po ziemi
która nasiąkła śmiercią
jak deptać trawę
wyrasta z ich życia

Anna Tlałka

oobe

we śnie przemierza ulice wielkich miast
szuka kogoś nadaremnie
wciąż opowiada te same historie
aby ktoś wreszcie zrozumiał
wtedy odetchnie z ulgą
że nie jest strzępkiem
przypadkowych zdarzeń
swetrem przeznaczonym do sprucia
bo szydełko zgubiło się w czasie pracy

słowa się kończą
kiedy kończy się świat
nie kończą się inne
a w oknach wciąż twarze starych kobiet
czekają aż ktoś spojrzy w ich stronę

wyjście z trybu incognito

wychodzisz z cienia
masz tę samą parasolkę
z którą skakałaś przez kałuże
padał rzęsisty deszcz
jego krople uderzały
w małe pory roku

uczyłaś się nazw kwiatów
po łacinie
spisywałaś niezrozumiałe słowa
w ozdobnym notesie
nim gradobicie rozpuściło sól na ciele

ktoś powiedział że twoje ciało
pachnie pelargonią
dziewczynko z obrazu Zamorskiej
z oczami powstałymi u źródła

żagiel wciąż ten sam
a ład nieznany

kiedy wychodzisz z cienia
pachniesz jak dojrzała kobieta
rozdajesz sól
wciąż skaczesz przez kałuże

dandelion

tak trudno otworzyć drzwi
za którymi stoi nieznane
najbezpieczniej mi w sobie
bez chłosty oczu

nie pamiętam adresów
ale każdy detal
zapisane w notesie znaczenie słów
aby ukryć strach

kiedy tną bardziej niż nóż
zdania wypowiedziane bez oddechu
dlaczego ścieli wierzbę spod
balkonu?!

płaczesz za drzewem
widzisz muzykę
słyszysz obrazy
dotykasz niewidzialnego

jesteś dmuchawcem
całym i odległym

Beata Poczwardowska

Z cyklu: Dychotomia

Mój świat zmałał nagle Może jednak niepostrzeżenie
Cichcem Powoli od sączącej się degrengolady przełomu wieku

W każdej chwili mógł wpaść w szparę płytek chodnikowych
Lub w wykruszoną fugę między cegłami domu

Nie wiedziałem w co wierzyć więc wierzyłem w naukę
I utkwilem na placu wolności w pułapce jak lis we wnykach

Groteska stała się moim wybawieniem Do czasu
Prawda stanęła na mojej drodze Patrzyła w oczy

Schroniłem się pod mostem Cykady grały koncert
Maciejka kwitła pośród traw odkrytych odpływem

W mieście sterczącym nad rzeką kłamstwo kosiło domy
Świat się nagle załamał choć można to było przewidzieć

Rozłożyłem się pod mostem Rozrośłem bluszczem
Wątlę Gibkim Zimozielonym Zapatrzonym w niebo

Mój świat uczepił się ziemi na brzegu Styksu
Gdy przekwitła maciejka wplotłem się w sieć dekadencji

I nie pamiętam
czy stałem się wierszem czy wiersz stał się mną

Myśląc o sztuce myślę o życiu
Szukam możliwości życia i kreacji

Utrzymanie się na powierzchni przerosło wartości
Przypominało brutalnie rzeczywistość biznesu

Myśląc o życiu myślę o sztuce

Szukam możliwości przetrwania

Depresja i alienacja stały się modą w relacji
Nie znalazłem w nich miejsca dla siebie

Żyjąc myślę o aksjomatach
Szukam sensu w absurdzie

Wyobcowanie i samotność stały się znakiem czasu
Egocentryzm manierą i potrzebą zaistnienia

Sens znajduję w absurdzie i absurd w sensie
Gdy aksjomaty wprowadzam w życie

Niczego nie kreuję Po prostu jestem

Krążę zdumieniem po ruinach mojej rzeczywistości
Świat rozpadł się niespodziewanie pociskiem postępu
Potykam się o pustkę i rodzinę poległą w karierze
Kikuty samotności sterczą ciszą oniemiałą z niepojęcia

Błąkam się zagubiony i zgubiony Wpatruję się w masę gruzu
Nie rozpoznaję pamięci Nie znajduję znajomych twarzy
Serce łopocze na wietrze Strach dusi i zatrzymuje kroki
Rozgrzebuję domy Szukam bliskich Dotyka mnie lęk

Dostrzegam billboard pomiędzy ziemią a niebem
Adresy www i linki stron przemykają przez ekran
Wirtualna rzeczywistość pulsuje w mojej głowie
Rozpad świata gorszy od ruin Alienacja po pustce

Siadam na zgliszczach człowieka i odwracam wzrok
Nie ma gdzie spojrzeć by ukoić samotność i niepokój
Myśli snują się niezatrzymane spojrzeniem
Nie rozpoznaję w nich siebie ani nikogo innego

W poezji ratunku szukam Ale i poezji nie znajduję
Postanawiam umrzeć na tym pustkowiu człowieka
Serce spiskuje Nie chce przestać kochać
Zanurzam się w oddechu I oddech żyje za mnie

Barbara Felczak

Znaki

Gdyby moja doczesność zakończyła się
drastycznie i ciało czekało na identyfikację
pamiętaj że pod prawym policzkiem
ukrywałam bolesną bliznę

Gdyby jednak twarz zatraciła dawny wyraz
pamiętaj o zabliznionym półokręgu
na prawej piersi wokół sutka
skąd chirurg usunął niepokój

Gdybym musiała poświęcić kobiecość
pamiętaj o zakończeniu lewego uda
tam znajdziesz bruzdę z dzieciństwa
po udanym skoku w przepaść

Gdyby jednak to co zewnętrzne
okazało się niezdatne do oględzin
Nie zapomnij że przechowuję
DNA we fragmentach naskórka

bym mogła przyznać się do siebie
własny krzyż wbić w ziemię
i zamieszkać pod oswojonym kamieniem
by moje życie pozostało dla ciebie

Szczególne

Złodziejka

Tak przyznaję się
Nie mam nic na swoją obronę
W tamtym momencie nie dbałam o jutro

Gdy przechodziliśmy przez jesienny park
i noc tak czule żegnała miniony dzień
włamałam się do jego kieszeni
gdzie ukrywał lewą dłoń
i ukradłam odrobinę ciepła

i tak bardzo powstrzymywałam się
przed ponownym naruszeniem
nietykalności cielesnej

Musiałam patrzeć jak moje słowa
rozbijają się na szybie zimnych oczu
strącał je z płaszcza za kolejną
jak niechciane paprochy
co szpecą wizerunek

wtedy dotarło do mnie
że w życiu za mało cenimy
rzeczy których nie zrobiliśmy

Jesienna impresja

Latarnie słoneczników
prześwietlają polną drogę
by moja dusza nie błądziła
A każda przestrzeń samoczynnie
nawłocia się wypełnia

Dla mnie defilada
wojsk kukurydzy
na baczność postawiona
żołnierze gotowi
pochwycić za kolby karabinów
by uchronić mnie przed złem

Na horyzoncie stary dąb
doczekał własnego boru
słyszę jak gubi wspomnienia
Pod dębem Krzyż upamiętniający
wojenną drogę krzyżową
zakończoną strzałem w skroń

Nie poznałam Męczennika
a stał się moim bratem jak świat
znany mi zaledwie
z jednej perspektywy

własnych myśli
w poszukiwaniu prawdy

Muchy

W domu od powodów do lęku
więcej mieliśmy już tylko much
barwiły ściany mrokiem

Do żyjących w bezruchu
zlatywały się chmarami
jak sępy do padliny
oblepiając obolałe ciała
dla krwi potu i łez

Trapiły nagie twarze
zaglądały do oczu
a przez oczy do skrywanego
misterium bólu

Ich triumfujący brzęk
nad człowieczą niemocą
zaburzał nasze myśli

Dla odparcia ataków
rozedrgane ciała
zanosiły się od spazmów

Owady zatrzuwały nam życie
a ojciec zatrzuwał powietrze
aerozolem gniewu
padaliśmy jak muchy

Barbara Orłowski

Pocałunek wiatru

przywiązana do swoich myśli
pomiędzy niebem a ziemią

bez powodu
czuję okropną melancholię

cisza skrywa sekrety
a czas impregnuje pamięć

tylko skrzynie i walizy z zamkami na kłódki
przypominają stare wspomnienia

nie chcą się dzielić łupem fantazji i wytrwałości
jakby sprzeciwiały się temu co piszę

tylko wiatr śle pocałunki i zagląda ciekawsko
przez okno - na mój ostatni wiersz

Barbara Jackiewicz

Bez nadziei

tutaj mnie zostaw
w liściach wierzy płaczącej
zamienię się w drzewo
pośród traw zieleni
pójdę po schodach gałęzi
bardzo wysoko
tonem smutnej muzyki
oszukana niczyja
bez nadziei
na nowe jutro

Ślady na piasku

ostatnie ślady stóp odbite na piasku
ukryte w kryształowych kulach wspomnień

strofy modlitwy schowane w futerale na skrzypce
a słowa zamierają ze strachu w kieszeniach mędrca

targane na wietrze wspomnienia myśli i marzenia
czyhają w zaułkach zapomnienia białych róż

mrok schował wszystkie ścieżki w ulewną i burzliwą noc
tylko gliniane dzbany zawieszane na płotach - grają

powoli powraca zapach anyżowej herbaty i mięty
a piołun odkrył na nowo kapryśne marzenia

Drzewa cieni

dzień przenikania - między rzeczywistością i marzeniem
 zamykasz oczy szukasz w mirażu marzeń
 czegoś nieoczekiwanego czegoś co przynosi radość
 budzisz się - stajesz przed rzeczywistością
 - bez twarzy odcisków palców i głosu
 nieoczekiwany niepokój samotności
 tylko próżność i zarożumiałość rozbierają ciszę
 niech poczuć- twoje serce i dusza - poezję
 niech płynie muzyka poprzez struny
 i cudowne ręce geniuszy życia
 kartki papieru przytulone do drzew cieni
 niech błyszczą metaforami niech przemawiają do ciebie
 kiedy dusza znika w nicości i rozbiera ciszę

Beata Małgorzata Moniuszko**Boso po ściernisku**

nie stąпам po ściernisku
 by nie krwawiły stopy

pogodzeniem przymykam powieki
 pozwalając by sen mógł zawładnąć
 ciałem i umysłem

jutro
 zdarzeniom nadam nowe imiona
 pójdę
 piętą stroną świata

Jej portret

wysoko upięty kok
 z długich ciemnych włosów
 dodawał elegancji

zręczność palców
 przejawiała się
 w szydełkowych splotach serwet
 tudzież sweterków

ranki
 witała promieniem
 słonecznego uśmiechu
 i ciepłym dotykiem
 wiosennego wiatru
 z nadzieją
 na dobry
 dzień

dziś
 gdy czas
 oszronił skronie
 nie oczekuje wdzięczności
 tylko potwierdzenia -
 zawsze będę Jej małą córeczką

Beata Nicoś-Trenk**Pęknięcie**

poranek

skaza
 na białej porcelanie
 wąska ścieżka pomiędzy
 miedzą wspólną bezsporną
 w nowonarodzonej zieleni
 po wewnętrznej stronie powiek

palce szukają palców
 ranne jak zorze
 na białym prześcieradle

burza
 w filiżance zielonej herbaty

deszcz

spłukuje
 linie papilarne z szyb
 wirują
 płatki jaśminu
 skrzydła

przecinają dzień
 na przed i po

południe

stygnący czas
 w porcelanowej filiżance w koty
 stygmat
 pod nadgarstkiem
 błada aureola

zmierzch

korowód kropel
 liczę gwiazdy głoski godziny
 galaktyki
 pod białą koszulą

rosea areole

mały pustynny obszar

jeszcze daleko

daleko stąd
 do deszczu

pohukiwania sowy
 (zabłąkanej w prowincjonalnym mieście)
 między zwrotkami
 zwracam się
 w Twoją stronę
 zawsze
 teraz

północ

odwrócona klepsydra
 zatrzymane pod powieką
 ziarenko piasku

palce szukają palców
 ranne jak zorze
 na białym prześcieradle

poranek

yerba mate
 w dwóch zielonych tykwach
 oddzielonych milami powietrza
 dwa białe fiołki
 w zielonej trawie
 splecione łodyżki

areolis germinis
 axis mundi
 appassionate

Ty - ja my

Bogusława Chwierut-Bodzia

Niewiersz żałobny

kiedy upadał byłam zajęta napadem paniki napad paniki zajmował mnie całą kiedy upadał
znasz to uczucie kiedy trzęsie całym ciałem tak że nie sposób (się) ruszyć?
bądź łaskawa wpaść do mnie bądź uprzejma przywieźć garnek
pisze ona gdy ja wołam tatusiu dlaczego tatusiu kocham cię
tatusiu przepraszam tatusiu przytul mnie tatusiu tęsknię

garnek garnek gotuję (się) w garnku do wrzenia wrzę wrę (wrzeć wreć przemieniać
się w parę przy odpowiedniej temperaturze pienić się i kłębić
tętnić rozgwarem życiem być pełnym niepokoju wzburzenia dziać się
szybko i intensywnie być podnieconym, zdenerwowanym) w warkot
żenada pisze ona że nie dzwonisz nie płacisz nie jesteś na cały gwizdek

ani na pół jestem gdzie indziej i nicnikomudo czy sroka może być
ptakiem nakręcaczem tatusiu? - terkocze requiem qui qui ubi ubi
biiiiiip plułka mucha opluwa wyjmij te kolczyki z ust kobieto
bzsyczy do żałobnicy tylko te dwie stówki jak każde z dzieci (sic!) seriusly?-
sympie banknoty wypełniają święty garnek po gołąbkachdogąbki

przecież dostałaś emeryturę pępkuję światowo światłowodowo
woduje potoki pretensjonalnych pretensji chironex fleckeri
zegar wciąż chodzi głośno tatusiu słyszeć każdą sekundę
Alicja z krainy dystopii topi w łyżkach wody w tropienio-topieniu ma top jeden
przeprowadziliśmy już zwierzęta zadamawiają się u ciebie bez ciebie

Babcia Anna

mrok spowijał stropy nieba
bezsensność schodziła jak cień ze sztywnych drzew
oplatała mury rozlewała się po kamieniach jak deszcz

brak słońca uderzył w światłoczułą ziemię
w zaułku ulicy z lamp rozkwitał strumień światła
to eden mroku

z pożółkłych kartek ulatują słowa
grawerowane jej wargami

twarz babci wita dzień
jej siwa głowa jak pajęcza sieć srebrzy się spod chustki
powiela litanie każdego poranka
patrzac z czułością na obraz powieszony w kuchni

drży jak osikowe drzewo
przytulając swoją książeczkę
korzenie modlitwy rozrastają się po domu
pękają jak na rzece lód

wciąż trwa na ziemi wysyłając SMS-y w niebo
zanim zegar zatrzyma się między dniem i nocą
nim rozpali się w piecu
wspomni swoje życie które dostała od matki

z prostych składników upiecze chleb z kminkiem
ugotuje kompot z rdzawych śliwek
rozjaśni się jej wspomnienia wykute w głowie
i zacznie żeglować
aż po horyzont wraz z wronami po błotnistym niebie

Most

strzępy wyobraźni pośród śpiącego lasu
 slajdy murów wtopione w pejzaż miasta
 cisza jak na cmentarzu
 parę torów biegnących donikąd
 ślady butów do przyszłości
 szelest liści dotykanych przez wiatr
 kamienie zespolone ze sobą stoją jak ludzie
 kilka kółców zadrapanych przez deszcz
 nierównych krawędzi porośniętych mchem
 plamy krwi
 pomiędzy wczoraj i dziś
 historia lubi się powtarzać
 płomienie niszczą wspomnienia
 co roku ubywa lasu
 pamięć tutaj wciąż tkwi
 most jak muzealny eksponat
 połączone kamienie
 milczą
 stoją ze sobą jako klucz
 do przeszłości
 dziecinnych zabaw
 walki zwierząt
 bójki młodzieży naćpanych narkomanów
 niewiele zostało
 zgłiszczą jak po wojnie
 parę fotografii i wspomnień ludzi
 kiedyś był tu most do lepszego świata
 wrota do przyszłości
 wiatr potrafi się tu modlić
 a ludzie boją się chodzić

Panna Młoda

widziałam niedawno niewidomą kobietę
 prowadziła przez jezdnię białą łaskę
 z zadowoleniem obejmowała zimny kawałek rączki
 jak dwie przyjaciółki na dobre i złe
 z pleców zwisał czerwony plecak wypchany po brzegi nicością
 blond włosy łaskotały delikatną skórę szyi
 wiatr uczepił się jej loków
 pasażer na gapę
 poskręcał kosmyki w serpenty

jazda w góry i dół a za uszami ballady śpiew
 widać było jej kręgi szyjne po których można było się wspiąć jak po drabinie
 lekko unosiła małe stopy nad asfaltem
 tajemnicza jakby nagle wyszła z filmu „Po omacku”
 sandały obejmowały jej palce pomalowane czerwonym lakierem
 w błękitnej sukience w trójkąty stuknęła białą laską ogłaszając że nadchodzi
 nikt nie zwracał uwagi
 ludzie spieszyli się jakby za chwilę miał być koniec świata
 gibka jak brzoza nie stwarzała wrażenia że nie może sobie poradzić
 jak po niebie z aniołem za pan brat
 szczęśliwa promieniała jak wiosenny żonkil
 weszła do sklepu ze ślubnymi sukniami
 wraz ze swoim posłańcem

Najcenniejsza walizka

listy szumiące topolą
 słowa wieczornych rozmyślań przy księżycu
 zapiski zwinięte jak papirusy Cyserona
 ważne wskazówki
 tajemnicze zagadki miłostek
 pachnące jaśminem fotografie
 pożółkłe wspomnienia lat dziecinnych
 głosy gęgania gęsi i szczekanie Kajtka
 dźwięk otwieranych drewnianych drzwi
 skrzyp studziennych kropel wody
 pierścionek babci z koralem czerwonym
 za duży na chude palce
 klucz do przeszłości zardzewiały od mgły porannej
 porwany różaniec bez Jezusa
 Szkaplerzna Matka Boska znaleziona na drodze
 chusteczka od mamy z haftowaną różą
 strzępiaste rogi prują się jak dni jesiennej zadumy
 parę piór kurzych małej kolorowej liliputki
 która zносиła kropkowane jajka
 ciężka walizka złota
 cenne kilogramy lat

coraz cięższa
 można ją nieść jak naręczą pachnącego rumianku
 po kres

Chrystian Medard Manteuffel

Z drugiej strony wiersza

„...denn unsre Seelen leben von Verrat“

(„...albowiem dusze nasze karmią się zdradą”

R. M. Rilke - „Östliches Taglied”

...coraz mniej w nas pewności, że to niebo jest puste,
w niespokojnych gestach kryjemy obłudę,
naszej mowie bezładnej nadajemy z trudem
treści; przeciw naszym duszom mówią nasze usta

podglądani, spłoszeni, w dachu nieba jak w lustrze
stroimy galerię kunsztownych iluzji,
tym lepiej im gorzej możemy odróżnić
nasze ciało od duszy strojnej w nie nasz uśmiech

czarne jest światło nocy - Bóg stary zaciąga kotarę,
już nie podnieca go widok składanej ofiary
z odciętych głów,
spermy zmieszanej z krwią,
z czerwonym winem – ekskrementów,
konwulsji śmierci i orgazmu dreszczy
- dusze zdradzają nas bez słów

- tuż za kotarą nieba,
dokładnie –
po drugiej stronie naszych wierszy...

Upadek poety

...oddać każdemu, co z niego odeszło;
Bogu na wysokości, co boskie – ziemię,
człowiekowi strąconemu - nieba przychylić,

by klęcząc pod aureolą mamiących szczytów,
kolanami wyczuwał nierówność podziału,
i niech wymawia, skroś bólu, słowa oderwane

od nieposłusznej myśli, aby raz poznał
obłudę, a nisko schylonemu palec stwórcy
nakaże się unieść powyżej pychy po to,

i tylko po to, aby upadł
i poczuł,
że jest tylko boskie gównno.

Genésthai x

...wiatr znów zawraca; stoją jeszcze drzewce dawnych chorągwi,
a wiatr strzepuje z nich nierozpoznawalne barwy i wyblakłe hasła.

Wiatr niesie wieści o dinozaurach wychodzących ze skamielin.

Pierwszy człowiek szuka samicy; własne żebro oblepia gliną,
pożądanie wodzi jego dłonie w kształty, które wygładza językiem.

Wiatr pędzi chmury; bezwolne trą się skrapiając ziemię;
po zboczach niesie się krzyk orgazmu i glina staje się brzemienią.

Samiec krwawi ciągle z rozdartego boku;
czerwienieje oko wulkanu,
czerwienieje brzeg i odpływająca fala,
płonący las
i usta kobiety

Danuta Chyła

Tu teraz potem

nie chcę odliczać
piasku przeszłości
w klepsydrze oczekiwań

wtapiać w воск
nierealne marzenia
niech płoną
nieskażone przeszłością

wspomnienia
są natarczywe i nudne
upominają się
o niechciane przez nikogo opowieści

chcę oglądać blask
teraźniejszości
ten sam wiatr
nie wieje dwa razy

potrzebne są nowe podmuchy
tu teraz potem

Feniks

Feniksie ulegam ci
ciągniesz mnie za sobą
ku słońcu
z tobą buduję gniazdo
z wonnych uczuć
piję wodę
ze strumienia miłości
spalam się
pachnę różą
zmartwychwstaję
więc usiądź
na moim ramieniu
spraw by moje serce
jak paulownia cesarska

odrodziło się

Zielona sukienka

zawsze lubiłeś
moją zieloną sukienkę
wynurzyłam się w niej
z szarości mgieł

bezwiednie wtulałeś się
mówiłeś dotykiem dłoni
odpowiadałam drżeniem ciała

zachłysnęliśmy się
własnym oddechem
zgubiliśmy właściwą drogę

poszukajmy zagubionych ścieżek
rozepnijmy guziki nadziei
w zielonej sukience

Poezja

poezja to strofy budujące wiedzę
satyra pełna istotnych pouczeń
bajki wypełnione optymizmem
liryzm zakochanych

wywołuje emocje
osadza się w myślach

niewidzialna
delikatnie wkrada się
do naszego ego
buduje wyobraźnię
antidotum na stres
powierniczka najgłębszych tajemnic

cisza nocy
radość poranka
piękno dnia

maluje obrazy życia
jak chce i kiedy chce

żyje w nas

bez definicji

Danuta Chmielowska

Moje Kilimandżaro mgłą osnute
wiatrem wychłodzone
niedostępne, dalekie
odstraszające widokiem
śmiełków nie dość wprawnych
broni swego majestatu
przed wszędobylskimi
marzeniami

Joanna Janosz

już piszą do mnie

już piszą do mnie tylko generałowie tacy
amerykańscy z białymi zębami
szukają w moich zmarszczkach
rozpaczy z bycia starą
już w pociągu nie ma pociągu
a inni pytają o godzinę w nadziei
na 5 złotych
tylko
złotowłosa dziewczynka we mnie
tańczy

wychodzę

wychodzę na ludzi
wychodzę z siebie
z tego świata
wychodzę
po angielsku

Danuta Sut-Karykowska

Dzisiaj

pamięci Sylvii Plath

Dzisiaj odwracam bieg zdarzeń
Otwieram wszystkie zamknięte drzwi
Uchylam okna porośnięte mchem
Wpuszczam ożywczy przeciąg
Do zatęchłych przestrzeni
(Ale ty wiesz, że ja wiem, prawda?)

Rozkładałam ramiona i tańczę mój taniec
Nie wariatka nie szalona nie głupia nie
Już nigdy nie pozwolę sobie tak nazwać
Ani sama nie pomyślę tak o sobie
Mówię nie każdej formie przemocy
(To nie wydarzyło się tylko w mojej głowie)

Dzisiaj mówię tak życiu miłości i pięknu
Zaszczepiam dobre myśli aby wydały owoc
W postaci szlachetnych słów i czynów
Odnawiam moje przymierze z Bogiem
I wybaczam dla siebie i dla świata
(Zastanów się, co ty z tym zrobisz)

Nie odkręcę gazu będę kochać będę tworzyć
Żyję również dla ciebie
Piszę również dla ciebie
Twoje dobro jest moim dobrem
Lak'ech (Jestem innym tobą)
Ala K'in (Jesteś kolejnym mną)*

**Powitanie Majów i odpowiedź na nie. Oznacza,
że cokolwiek czynimy innym, czynimy sobie.*

Kiedy cisza

Kiedy cisza jest szelestem
Liściem brzozy lub topoli
To samotność bywa dobra
I nie męczy i nie boli

Kiedy cisza jest strumieniem
Który koi i obmywa
To i kamień bywa gładki
To i rzeźkość wody miła

Nawet kiedy pachnie burzą
I pomruki gniewne słyszać
To i grzmotu krzyk niestraszny
W szepcie deszczu mieszka cisza

Powroty

Pamiętasz
jak chciałeś pobiec przed siebie,
do utraty tchu?
Powiedziałam: „Biegnij!”
Wiedziałam, że wrócisz.

Pamiętasz
jak chciałeś popłynąć daleko,
aż po horyzont?
Dobrze, że popłynęłaś.
Cieszę się, że wróciłaś.

Teraz
pragniesz lotu.
Rozkładasz skrzydła.
Krzyczę w myślach: „Nie leć!”
Boję się, że nie wrócisz...

Dorota Górczyńska-Bacik

chlupią
mi w duszy
tłumione słowa
cisza
zasiada się makiem
kiełkuje we mnie
bez pozwolenia

Czy wolno być smutnym
tak po dziurki w nosie
z wysmarowanym uśmiechem
dopóki patrzę
w miękkim łóżku
i z kocem chroniącym od zmierzchu

smutnym
w kokonie bujanym
i Stróżem Aniołem
na krzeselku obok

tak po prostu
na opak
i w pełni szczęścia
tłumacząc się
z zasmarowanego samopoczucia
pyleniem
słoneczników
i astrów

Nie ma już we mnie potrzeby smutku
sprzedałam na pchlim targu za grosze
kupiła pani w słomkowym kapeluszu
żałująca się na stół z powyłamywanymi
nogami
świeczkę zbyt pachnącą
i tę co nie pachnie wcale
zamknęłam wczoraj co marudne
i otwieram dzień
widokiem świerków zielonych
na jednym przysiadł kos
z pomarańczowym
słońcem na dziobie
i pałaszuje swoje śniadanie
z widokiem
jeszcze chwila leniwa
i naciągnę poranek na duszę
zaraz sąsiad zapuka na herbatę
zrobię taką naszą bez mleka
przy której poskubiemy
wczorajsze drożdżowe od mamy
gdzieś za drogą pies ujada na poranne ptaki
aniele się w tych dźwiękach zapomnianych
pierwszy raz od dawna czuję
w sobie nadchodzącą wiosnę.

Dorota Nowak

iluzja

miałam pięć lat
oraz pewność że jeśli zdołam
wspiąć się na mur i wyciągnąć rękę
to złapię księżyc i zamknę go w dłoni
że wtedy zdarzy się wszystko – główna
rola w jeziorze łabędzim i każda miłość
również ta od pierwszego wejrzenia

dzisiaj trzymam księżyc w dłoni
zadziwiające ile światła można wydobyć
z popiołu

górski chłopiec

mogłabym dzisiaj rozmawiać z tobą
o bieszczadzkich motywach roślinnych
między światem żywych a krainą zmarłych
jednak wrzosowy kolor runa leśnego
skłonił do wspomnień o chłopcu
który w górskich potokach zbierał kamyki
wierząc że będą rosły i lśniły wraz z nim

zmysłowe i jasne wymiany myśli tworzą
wrażenie luksusu – lękam się o nie jakby
chodziło o życie i śmierć skalnych bryłek

homeomorfizm

najpierw spróbujmy zawiązać sznurówki
później będziemy rozmawiać łączyć
słowa budować krokwie łatać
wzmacniać jętkami pochyłe belki

dawno temu widziano jak pioruny
uderzały w dom i ogród nikt nie zginął
w miejscu leja wyrosło drzewo – teraz
rozważmy historię nawleczonych słów

na gałęziach drzewa budowaliśmy domek
nad nami niebo pod stopami pochyłe belki
sznurówki butów naprężały się ścisnęły
rozszerzały spójrz zachowały ciągłość

epifania

z drzewa klonowego wypływa sok
a ty smakujesz jak woda z rzeki tego lata
gdy za moim uchem różowiłeś ślad

nie przeprasza za tamten ból

Ewa Kłobuch

a wtedy

zamknie oczy
nagość dłoni rozebranych z młotka i dłuta
może peszyć
uwięzionego w lipowym klocku ptaka

choć wydobył zaledwie kontury
żadnych szczegółów
po których rozpoznałbyś zamiary

co z tego że nie zaśpiewa
chyba że w ogniu rozjarzony boleśnie
sękatą nogą wyrzuci iskry
nim wzleci hen

unosząc ze sobą swąd palonych piór
dojrzewających jeszcze
w pękających słojach

tajemnica Vermeera

czy tło ma oddać nastrój
kierunek myśli
nikt nie odgadnie
kiedy tak patrzysz na mnie
przeze mnie
błyszczący perła
przyćmiewa blask twoich oczu

a może to tylko światło
może przygaś już wcześniej
i po to ta błyskotka
jak jedyna gwiazda na niebie
zachmurzonym ręką artysty

a może to nie niebo
może to ściana
do której przyparta
odwracasz wzrok i nie wiem
czy bardziej się boisz
czy wstydzisz

rozchyłasz usta
nadstawiam uszu i głuchnę na świat
na ciebie
i cichnę twoim milczeniem
nieobecna jak reszta
pominięta przez pędzel

buty van Gogha

przecież musiał być ktoś gotowy pójść
za tobą mistrzu
mimo tych butów
nie do kościoła nie do tańca
zamszowo nijakich
brązowych i zmęczonych jak ty

szaleństwo niczym namiętność
spalało was oboje aż do wystrzału
po którym proch na ubraniu na rękach

niepotrzebne to pociągnięcie za spust
które nie poderwało od stołu
jedzących kartofle
nie zwiędły od niego słoneczniki
nie zadrżało gwiaździste niebo

tylko rozwiązane sznurówki
jasno mówiły że spacerniak nieczynny
i nigdzie już nie pójdziesz

a przecież musiał być ktoś
w Paryżu Londynie czy Arles
gotowy wyrwać języki podszeptom

madonna niekarmiąca

już mi nie miniesz
czekałam długo
i ani się tobą pochwalić
ani zaprzeczyć istnieniu

większych od ciebie widziałam
więc nie do końca ośleptałam

moja matka
która od piersi nie odstawi nawet głupca
przy życiu jak za rękę przytrzyma
a uścisk ma pewny
moja matka
ze sutkami wyciągniętymi
przez głodnych hołubiona
powtarza za mną przykazanie miłości
i drogi dokłada bym mogła iść

podstawia wyschniętą pierś
i ssij ssij jak mantrę powtarza
z taką pewnością
że nawet jeśli usta mam puste
to nogi gotowe do marszu

widzenia Marii

w jej ogrodzie co noc gromadzą się wisielcy
niektórych już zna i wymieniają uprzejmości
nowi milczą skupieni na śmierci
kołysząc się miarowo uspokajają nurt odległej rzeki

Maria wyobraża sobie wtedy że przechodzi po wodzie
po tamtej stronie czeka wszystko czego się wyrzekła
kusi obiecany odpust i miejsce na odwieszenie krzyża

w jej ogrodzie szumi i złowróży
zwłaszcza gdy patrzeć pod światło świat staje się przejrzysty
by w końcu rozmyć się przeistoczyć w wielobarwną plamę
do starcia powiek albo rękawem

tym bardziej gdy sączy się siąpi uwalnia przez pory
sól ze sparciałych sznurów czy lizawki w miejsce księżycy
na szczęście na wszystko jest sposób
i Maria zakrywa defekt kolejną głową

do świtu powinna się utrzymać

Isabella Degen

Czas przeszły dokonany

życie przepływa jak obłoki na niebie
czas marzeń skamieniał w bursztynie
w zgiełku toczących się spraw
w kołowrotku póz i manier
zostawiam wiersze na murach
wieści pędzą po niewidzialnych falach
zamykają się w źrenicy oka
jestem życia podróżnikiem
zmarszczki rysują twarz
mój czas chyli się ku ziemi
tu i tam wypełza welonem zmierzchu
zapisuje melancholię
błądzi po manowcach iluzji
rzeźbi ciało i duszę
kiedyś odpocznę w cieniu drzewa
wszystko przeminie
i czas dokona się

Autoportret

olej наносzony wiele razy
na płótno tężeje w swym wyrazie
naśladuje rękę mistrza
światlisty pejzaż
z wulkanicznych brązów
ochry i czerwieni
staje się jednością pulsuje
w odprawianym rytuale pędzla
lustrzane odbicie trwa
patrzac przed siebie
czeka

Smak morza

najczęściej wędruję brzegiem morza
stopami szukam wolnego kawałka ciszy

morze ma kolor szmaragdu
wyrzuca na brzeg perłowe muszle

z takiej narodziła się Wenus

z dłoni wypełnionych muszlami
spadają ziarenka piasku
zamieniają się we wstęgę czasu

sól osiada na wargach na skórze
w nierównym wietrze czuły dotyk fal
wypłoszone mewy zakłócają ciszę

stare łodzie wyciągnięte na piach
poskręcane liny węzły chorągiewki
wszystko ma morza smak

przepełniona tym słonym smakiem
skreślam na dowód parę wersów
są miejsca w których jestem zawsze

klepsydra cicho przesypuje piasek
wsluchuję się we wstęgę czasu
pasuje do moich marzeń

Sen (z obrazu S. Dali)

zawisła w beładzie
monstrualna poczwara
jak worek
szczelnie wypchany sennością
unoszący się
w przestrzeni surrealizmu
pozbawionej grawitacji
porywa się i wznosi
opada na kule
ugina się pod ciężarem
przez uchylone usta
ciężko oddycha
zwinęta skóra czoła
zawisła na nosie

serce mistrza
ogarnia przerażenie
sen kamienieje w obrazie
...
klucz do niego ma Freud

Hommage - Salvadorowi Dali

reminiscencja raju utraconego
zawiodła cię do wieczności
z niepokalaną intuicją
wkroczyłeś w trwałość pamięci
która rozpułyła się na zawsze
w miękkich zegarach
wibrująca energia kosmologii
między niebem a ziemią
wyzwoliła zmysły twoje

syna Katalonii
rozpułała burzę uczuć
cierpienia namiętności pożądania
nieokiełzanych pragnień
czających się w szufladach
sekretnych twych tajemnic
w poszukiwaniu archetypu
częstek materii
twego *feniksologicznego*
się odradzania

Katarzyna Anna Koziorowska**Nie sposób wyrazić dotykiem**

Odkąd twoja terażniejszość stała się
znakomitym rozwiązaniem
dla moich bólów; odkąd ciało,
nasycone przez dotyk,
zamieszkało pośród sennych piedestałów -
zrozumiałam, jak niedużo dzieli
nasze tzy, jak bardzo podobne są
do siebie tęsknoty, wydarte z piersi wiatru.

Zrozumiałam, długo musiałam żyć,
aby oczekiwanie stało się pretekstem
do istnienia.
Dzisiejszego wieczora odzywają się
cienie, których się nie spodziewałam.
Przetaczają się burze - dla nich mogłam
obudzić się i patrzeć,
jak kolidują we mnie nieznane uczucia.

Aby nie drażnić nadziei, zamykam
drzwi do świata;
ten osobisty pragnę wręczyć tobie,
abyś mógł zasnąć bez wątpliwości.
Czają się krnąbrne obrazy -
nie widać w nich nostalgii, nie ma miejsca
dla lodowatych dłoni zimy.

Czas, wypielegnowany i powierzony
przyszłości, obumiera dziś
pod grubą warstwą ciała, aby stać się
wiecznością, której nie sposób wyrazić
dotykiem, nadać imienia pocałunkami.

Tłamszę w sobie oddech,
będący zwiastunem powrotu.
Ukrywam kolejne uderzenia serca,
aby tańczyły pośród godzin,
w których odnalazłam czelność smutku,
obojętność straconych na zawsze,
zwiewnych poranków.

Kasia Dominik**Łatwo się skaleczyć każdym z nas¹**

W sercu kryształowej klepsydry
człowiek, odprysk lustra,
łatwo tnie krawędzie nieba,
po których chodzi w amoku.

Fragment chaosu wyłania z nocy
postacie bez twarzy,
dłonie delikatne jak pajęczyna,
dotyk, który chlasta
kroplę krwi w odbiciu wszechświata.

Dostając cios w plecy łatwo kruszeje,
zamienia się w pył, rozbite szkło.
Rozprasza światło tęczę bólu
w nieznany wymiarze.

Kiedy chwyta za czerep upada
na kolana przed własnym odbiciem
w odłamkach innych.

¹ Cyt. Maria Pawlikowska-Jasnorzewska.

Tren samobójcy

Ostrze wiatru cieniem krzywym tnie
agonii echo. Wołam z pustej ciszy.
Lustro ciała tłukę jak kryształ
Każdy odłamek niesie ból istnienia.
Czuję burzę, nieopisany amok

Krwawa łaźnia płynie rzeką huraganu.
Psyche szlakiem cieni strachu.
Przecinam skórę, by odnaleźć spokój.
W samookaleczeniu widzę jasność.

Łza, rubinowa biżuteria, piętnuje
na płótnie skóry samobójczy plan.
Oczy szkliste, szemrana nienawiść
do siebie, wciągają w piekło.

Każde pochlastanie ścieżką do wolności
złudnej zamkniętej w szramach po żyletce,
która cierpieniem dziara mój portret
dziewczyny z tatuażem autoagresji.

Katarzyna Bomba

człowiek podbiał i dzik

budujemy szafas dla myśli
parę patyków wbitych w piach
okrywamy zeszłoroczną trawą
rozwiązujemy wątpliwościami
tylko żółte oczy nadziei
dwa kwiatki
ślad racic w błocie
trzymają jeszcze przy tym
miejscu na ziemi

nadzieja patrzy
z wilgotnej trawy
z zeszłorocznych liści
żółtymi oczami
podbiału

traktat o łuskaniu

dawniej no dawniej
to zawsze chciałam
dokładnie wybierać z głowy

zmiażdżonej przez dziadka

teraz jak to się stało
że przyszło teraz
nie chcę precyzji
dłubania w załomkach
drewnianego mózgu
po treści pożywne

chcę by gdzieś
na wysypisku błogostawili
rękę niezbyt skrupulatną
serce nie nadto chciwe

listopad pod Rydlówką

jak co roku
naciąganie garnituru
ze słomy
przymus symbolizowania spraw
kolorowo narodowo szarugowy
jest róża
jest chochoł
jest strach

Krzysztof Janiszewski

Dark Jazz Cafe

w Dark Jazz Cafe –

Tępy dźwięk saksofonu
Rozpoczyna leniwą frazę
A melancholia powietrza
Zamgławia moje oczy

Czarne strumienie dźwięku
Ranią ale dają ukojenie
Zapach kawy wybudza lęk
Przed końcem smutnej melodii

Kelnerka w czarnym koku
Niesie na tacy minorowe nuty zwątpienia
Kocham je –
Są bliskie podziurawionej duszy

Przechylałam filiżankę mrocznego jazzu
I przeżyłam dźwięki apatii
Smakują bez cukru – doskonale
Odstawiam szkło i wychodzę

– z Dark Jazz Cafe

Duszę się – może to tylko program
Może nas tu nie ma – są hologramy
Może to nie ja i nie mam pewności
Czy nasz pocałunek nie miał kodu

Tam gdzie gaśnie muzyka (we mnie)

Niewiedza jest moją domeną
Dominantą jest stres
Krzyżyk podwyższa nastroje
Nastroję się jak tylko chcesz

Przeciętność jest refrenem
Bez melodii pustą gamą
Codziennością zwrotka płynie
Płaczą się moje pięciolinie

Odczuwam tylko bemole
I przybliża się mój kres
W oktawie niedzieli palmowej
Słyszę dysonansową śmierć

Nie trzeba mi

Leniwe lewitowanie tramwajem
sprawia przyjemność
A refleksyjne spojrzenie na
gotyckie mury onieśmiela

Twarze ludzi zamyślane
Odpoczywają w bezruchu
Chroniąc się przed upałem
Sączą klimatyzację z trąkacji

Nie trzeba adrenalinowych odysei
Wysokogórskich wejść na szczyt oceanu
Aby poczuć że się oddycha

Szczęściem

Niepewność

Zamazuje się Prawda
Szukam jej na monitorze
Ile to razy skalpel Manipulacji
Wyciął gen szczerości

Moje oczy otępiały
Nie rozróżniają intensywnych barw
Od błędnych kopii fałszu
Jak stąd uciec Dokąd

Czy naprawdę to twój głos
W słuchawce telefonu
Powietrze jest jeszcze faktem
Czy może cyfrową fatamorganą

Lidia Ryś

lawenda

tamto lato pachniało lawendą i drzewem piniowym
nie znosiłaś lawendy. to zapach starych szaf mówiłaś
dni były długie noce krótkie i gorące
tańczyliśmy bez troski do świtu

rano zaskakiwał nas widok żagliówek stojących na piasku
woda odpływała wartkim nurtem. nieporadne kraby pokracznie
goniły umykające morze które wracało niezmiennie
każdego popołudnia

tymczasem nie ma reguł w twoich powrotach
do wspomnień. pamięć chaotycznie przemierza
opuszczoną przestrzeń. zapach lawendy stał się nieoczekiwane
zapachem młodości

mimoza

być może jednak Paryż wart był mszy. drobne kwiaty mimozy
obiecwały mnóstwo słonecznych dni, układały usta w uśmiech
na schodach przed Sacré-Cœur starszy mężczyzna grał na harfie

nie rozpoznaliśmy melodii. wielu rzeczy nie rozpoznaliśmy
w tym wieku częściej niż w miłość wierzy się w rozczarowanie
nie ufa się zmysłom, słucha się rozumu i ciężko już o rezygnację
z ułożonych skrupulatnie planów trzymanyh długo pod kluczem

nie było fałszu w tej urzekającej melodii płynącej ponad miastem
nie było go i w nas, ale mimoza okazała się wróżbą. zniszczył nas
brak dotyku

kochankowie

nie znały was tamte miasta ani tamte pokoje
łóżka nie układały się pod wasze wypukłości, wklęsłości
ściany dziwiły się okrzykom i westchnieniom
krótkie sny błędziły pod sufitami nie wydostawały się

na zewnątrz. świat był szary, czerstwy jak chleb

który nie syci. wciąż głodni wpadaliście w tęczową bańkę
mrużyliście oczy od kolorów i światła, dopóki nie pękła
nie rozpadła się na dziesiątki kropel. od czasu do czasu

czujesz je na policzkach

tamtego dnia

tamtego dnia nie spodziewałam się niczego dobrego
ani złego. dzień był zwyczajny, zimowy, chłodny
czas zdawał się milczeć jak woda w stawie

nie spieszyło mi się donikąd. jak zwykle
po południu upychałam pogniecione wspomnienia
w zacinających się szufladach, wygładzałam dłonią

uparte skrawki, udając, że przydadzą się
jeszcze. nie byłam wcale gotowa na spotkanie
z tobą twarzą w twarz. bez makijażu byłam bezbarwna

ale zostałeś

nie chcemy pamiętać

jesteśmy śmiertelni. nie chcemy pamiętać
pijemy białe wino, budujemy domy
w nich cztery łazienki i dwie garderoby

planujemy wakacje na odległych wyspach
zmieniamy meble w kuchni, suknie
płaszcz, buty, pijemy białe wino

zaciągamy kredyt na nowszy samochód
dzieci ślemy na studia, pijemy białe wino
na zmarszczki mamy botoks, na depresję spa

wierzmy w bliski awans, że możemy
wszystko. wciąż nam brakuje czasu
pijemy białe wino. nie chcemy pamiętać

jesteśmy śmiertelni
starczy jedna chwila

Lilianna Pawełkiewicz–Mustafa

Biblioteka uczuć

Na przestrzeni lat
kolekcja naszych słów
wzbogaciła się o kolejne zbiory

jaskółki niedomówień
uzupełniono o korekty
aby każda z nich czyniła wiosnę

subskrybowane półsłowa
dają się wychwycić w locie
nim zdążą na dobre
osiąść na języku

transkrypcja kodu woluminu
w dziale fantastyki
pozwala na czytanie w myślach

nasze wymiany zdań
umieszczono w katalogu
obowiązkowej kłótni małżeńskiej

tylko nasze szepty
nie zmieściły się w kanonie lektur

Myśli

Moje myśli stąpają po kruchym lodzie
prowadzę je ostrożnie
w każdej chwili mogą się rozprysnąć
na tysiąc drobnych kawałków
i poranić mi serce
które zacznie krwawić
a na mojej szpulce starań
właśnie zerwała się nić porozumienia
co łączyła serce z rozumem

moje myśli dotykają grząskiego gruntu
trzymam je tuż nad ziemią
wprowadzam w bezpieczny stan nieważko-
ści
napęczniała wyobraźnia
traci wagę problemu

i przybiera postać lekkiego puchu
tylko ty potrafisz zdmuchnąć go
z moich powiek
przywołując na nowo dobry sen

Pamięć

W piwnicach
podświadomości
natknęłam się
na wypreparowane
szczątki

wspomnień

utrwalona
w formalinie
żywa tkanka
pamięci o tobie

makabryczne odkrycie

Przemijanie

Krawędź mojej filizanki
już dawno nie krzyczy
czerwienią szminki

oczy nie uwodzą blaskiem spojrzenia
nie dostrzegają ani źdźbła ani belki
za to sięgają dużo głębiej
w ponadprzeciętność

motyle zamieniły brzuch
na odległe łąki
widocznie bardziej kuszące
niż przewidywalność

i czas stał się bardziej kruchy
wystarczy nieostrożny ruch ręki
a rozbije się na atomy

Powrót

Odsączyłam własne pragnienia
z obcych oczekiwań
wycisnęłam z kłębow myśli
nadmiar chmurnych wspomnień
i adresów dawno wyblakłych

w esencji życia
tylko treść prawdziwa
wypełnia sensem
istnienie
dróg krętych
niełatwych

odwirowałam mój czas z kilku
niechcianych spotkań
przecedziłam przez sito
wywar
z niepotrzebnych słów
i numerów milczących telefonów

po drodze minęłam
kilka rozstań
i nic nie znaczących rozmów
parę zatrzaśniętych drzwi
jak dobrze powrócić

do domu

Lucyna Bełtowska

nemo sine culpa¹

na najwyższej gałęzi urodziłam owoc
podobno gorzki

z niegdysiejszych wzlotów i uniesień
pozostało uniesienie brwi

wzruszam ramionami
w lustro spoglądam tylko gospodarczo
i nie jestem zdziwiona kiedy przyczajony za ramą
smutek wystawia środkowy palec

odwdzięczam się tym samym
choć wiem że już odpuściłam

nie antyszambruję w przedpokojach
możnych i mogących
jak trawa
najlepiej czuję się na łące
wyściełane krzesła mnie nie kuszą

kiedy pod powiekami bledną
ślady rozkołysania nocy pachnących
naszym bezgrzechem
odchodzę

nieprzekonana

¹ Nikt nie jest bez winy

Palimpsest

czyli luźne nawiązanie do „Zasad filozofii” Georga W.F. Hegla

szumy w tle są ważne
mimo że zamazane nie pozwalają zapomnieć
niewiele znaczą pokrywające je runy nie sięgają
sekretu

trzeba położyć szare na szare by uzyskać
wyrazistość kiedy sowa Minerwy wyleci o zmierzchu
wszystko stanie się jasne
czy dlatego nawet myśl jest tylko ciemnofioletowym
cieniem rysującym krakelury wybrzmiałych
wspomnień

we wnętrzu jeszcze ciepłej dłoni układam niedopasowane
puzzle pamięci rozsypane paciorki
zbędnych słów skarżą się
żałośnie

próbuję pozbierać nie kalecząc przyszłych marzeń
bezszelestnie upadających czarno-białymi snami
kiedy chłód prześcieradła kładzie się cieniem
na powiekach
znikam

chłonąc ostatnie ślady
czułości

wrózenie ze starych fotografii

w mieście cichego poranka
gdzie kolor błękitny jest symbolem oddalenia
ulica urwana chciałaby spotykać się z ulicą wspólną
przechodnie nie podnosząc oczu blakną
kiedy ból stacza (zwycięską) walkę z rozumem
więc nie dziw się że uciekam
choć w bagażu mam jeszcze tyle miejsc
do wypełnienia

podobno pustka jest dobra
nie rdzewieje
i ma odcień twoich oczu

Scherzo ma non troppo, czyli sonet muzyczny

Nie namawiaj na miłość w tonacji durowej
na lśniącej politurze, chłodnej i bez rysy.
Głos podnosisz i rękę. We mnie cisza krzyczy,
kiedy ćwiczysz ten akord, który dudni w głowie,

a nocą pachnie piżmem. Nie dręcz klawiatury,
moich nut nie przyśpieszysz, więc graj piano, piano
– jej ciepło, biel i gładkość – całe moje wiano.
W tej tonacji molowej, nie podrap mi skóry,

Zgubiona w dźwięków ciżbie, rezonuję tonem
fałszywego odprysku, półnutą zdziwienia.
Na kimś innym ćwicz solfeż. Ciszej kamertonie

wyznaczniku nieczuły. A ty nuty zmieniasz,
choć krąg kwintowy zgodny, klawiatura milczy.
Zły instrument wybrałeś. Apetyt mam wilczy.

Małgorzata Kulisiewicz

w jaskini snują się cienie
Platon dziś tu nie zajrzy
żyty pokłute
przetaczana krew samotności
tampony w nosie
cienie przechodzą przez most
nadziei
oddychasz ciężko
w puchowym tunelu
miętko zasypiasz
z tamponadą oddechu

Magda Bogusz

tchnienie

przynoszę pustynnym wargom
wodę ze źródła przemian
które zachodzą we mnie
wraz z księżycem

czerpię z czerni
nocnej materii
zlepiającej palce

stając się jaszczurką

śliska skóra
rozpostarta na kamieniu
błyszczą na firmamencie
samotności

pławiąc się w ciszy
rzucam słowa na wiatr
zasiewając spokój
w burzliwych czasach

wieczny szum

granatowe niebo
lepi się do skóry

chcemy zdjąć
ciężar
naszych ciał

szybko i dobitnie
przedrzeć warstwy
dotrzeć do źródła
na chwilę która
wtłoczy ciepło w żyły
zamknięte w nas
jak muszle

drewutnia

jestem sztuką
celebruj mnie

zębami

zgrzytam z zimna
w środku lata

płonie czas
na policzkach

jęzory ognia
trawia las rąk
wyrosłych na pniu

ścinasz mnie z nóg

leżę jak kłoda
płynąca rzeką
pod prąd

łowisz mnie wzrokiem
w sieć kłamstw
które podajemy sobie
z ust do ust

bliżej

zaczniemy mówić
na poważnie
otwierać skorupy
zwalniać tempo

patrzyć na siebie
bez różowych okularów
żeby stworzyć obraz
bez wzoru i podobieństwa

daleko nam do boskości
kości nasze zmęczone
trzymają ciała w ryzach
kruche jak chleb

w powszedni dzień
nadal się nie łamiemy
łapiemy w locie
jak głodne ćmy

światła

Magdalena Łubkowska

wędruję do twoich rąk

mówią że jest we mnie
dużo jesieni

wplątuję się w skrzydła
odlatujących żurawi

na gałęziach nagich drzew
rozwiązuję słowa naszej kołysanki

nitkami babiego lata
wędruję do twoich rąk

nakładam ciszę na powieki

wrosnę ci w sen

mówią że jest we mnie
dużo jesieni

cisza i wiatr

dla ciebie trzymam
w dłoniach ciszę i wiatr

twoim dłoniom oddam
martwe cienie
i jaskółki błękitnych źrenic

wrośniemy w gniazda brzoź
na brzegu ostatnich pożegnań

zamienimy się w szept
beziemiennych ptaków

przed świtem

Pod niebem ciężkim od snów
ptaki zanoszą się krzykiem,
a ona czekała na świt.

W dłonie nabrała ich zgubionych
piór, w oczy ostatnich ziaren
światła.

Zasiała w sobie ciszę.
Zwierzała się drzewom,
których niecierpliwe włosy
układała w długie warkocze.

Kiedy zrosną się jej skrzydła,
odejdzie z kluczem dzikich
ptaków.

wilcza rzeka

urodziła się za horyzontem
bez tła

prawem motyla
została na stałe

zostawiała ciepły oddech
na skórze najcichszych brzoź

przesiadywała nad wilczą rzeką
matka ziemia drżała
od jej łez

palce szukały ostatnich sekund
spragnionych nieba

kiedy brzozy umarły
wszystkie puste dni przykryła
słonym skrzydłem

Magdalena Podobińska

mgła oddechu na szybie

chcesz dać znać
że żyjesz
mimo
że w swoim świecie
i powiedzieć coś
ale nie umiesz
więc zostawiasz wiersz
jak mgłę oddechu na szybie

księżycowa sonata

księżyc znów szpieguje
to jedyne co nas teraz łączy
ten widok za oknem nisko na niebie
choć to też nic pewnego
może zasunąłeś rolety?

letni wiatr kołysze mną jak drzewem
waham się co zrobić z tą piosenką
masz mnie w niej jak na dłoni
możesz zamknąć i ochronić
albo rozgnieść

przymykam oczy
odpływam żeglując za horyzont

mówią że łączy łączy dusze
a sen przywraca niewinność

prawda

chciałam mu się przypodobać
wystroiłam się w słowa
kolorowe jak pióropusze
ale nie tędy droga
on woli nagą prawdę

czekając na tramwaj

coś się zdarzyło pomiędzy ich oczami
raz tylko
a już jest inaczej
inny odcień uśmiechu
inny dźwięk powitania

szmaragdowe obłoki
i wata cukrowa

kaszmirowe myśli ogrzewają
gdy na przystanku marznie
czekając na tramwaj
z lęku jeszcze nienazwany

Małgorzata A. Jędrzejewska

W niebieskim ci do twarzy...

W niebieskim ci do twarzy –
mówiło lustro zaśniebiałym spojrzeniem.
Ale strzaskło się,
widząc moje pociemniałe z niedowierzania oczy.

W niebieskim ci do twarzy –
mówiłeś, wpatrując się w pokrytą kurzem podłogę.
Ale odszedłeś,
zostawiając mnie i moje pociemniałe z bólu oczy.

W niebieskim ci do twarzy –
powiedział grabarz, kładąc niezapominajki na płycie.
I też uciekł.
Chyba przestraszył się moich pociemniałych z gniewu oczu.

Nieobecna

Mamie

zajęta łataniem dziur w płucach ojca i w budzecie
domowym, omijała mnie wzrokiem. chyba byłam
bólem. jednym z pięciu.

gdy on umarł, skoczyłyśmy sobie do gardeł.
ona ostrymi zakazami. ja pozorną uległością nastolatki.
jej siła przytłaczała. dusiła pewność, że nie można mnie
kochać.

gdy urodziłam dzieci, jej strach stał się moim.
zrozumiałam. utkałam swój kokon, w który się wkradła,
gdy po latach weszła w rolę dziecka. wraz z zasłoną na oczach
narodziła się uległość. garda poszła w dół.
odeszła, nie chcąc być ciężarem.

nie wiem, czy zdążyłam powiedzieć wszystko.

Małgorzata Borzeszkowska

Do wyjścia

powoli rok kieruje się do wyjścia
 chudnie ścienny kalendarz
 za siódmą chmurę
 i dym z kominów odchodzi rok
 brzydną drzewa chodniki łuszczą się płatami
 rozrasta się chłód
 zasadziliśmy rok w doniczce podlewaliśmy ogniem i nawoziliśmy krwawą miazgą -
 mieszaniną tkanek i mchu
 teraz kończy się jak zawsze
 unurzany w mokrej brei
 w rudym błocie
 zawsze tak samo
 jeszcze tylko kroplówka świąt nadzieje na pomyślniejsze losowanie
 pech
 a potem od nowa dobro i zło - paski w kodzie kreskowym kolejnego roku
 nic nowego
 nawet wojna jakby spowszedniała
 już kończy się
 czas
 szarzeje wychładza się

Nowa poezja

rozrywanie słów na strzępy może zacząć się od pewnego Iskandera -
 wiersz rozcięty mieczem
 wraz z autorką
 jak węzeł
 powstaje nowa poezja obrazu wprost z drona
 redukcja ciał - dłonie i głowy, i lewa noga
 okopowe reality show
 gra: złóż człowieka w minutę
 poziom trzeci wymaga większych umiejętności: złóż poetkę
 i wiersz w logiczną całość
 w ten czas pozbawiony logiki
 i serca

a ja odmawiam, nie chcę
 popatrzę tylko na chmury
 one nie mają wyjścia - wiszą nad tą wojną
 i bieleją z rozpacz
 albo rozwiewają się jak strzępy słów
 całkiem nieważkich

365 dni

rok - można spłodzić dziecko i pozwolić mu się narodzić
 nauczyć się uważności
 choćby w miłości lub przewijaniu
 rok - można rozpocząć wojnę i wytresować
 tępego golema, żelaznego wilka
 nauczyć jak rozrywać ciała i przestrzeń
 można przeżyć rok z wojną za szybą i ludźmi na progu
 codziennym serwisem okropności, czasem przerywanym
 zwyczajnym, uczciwym koszmarem trzęsienia świata
 albo powodzi, choćby w Auckland

można, bo cóż można
 poza odwołaniem końca
 historii

Remedium

świat się nam przewraca
 podszewką, strachem na prawą stronę
 cienia nie sposób nie zauważyć
 to-nie-my na razie po kolana
 podnosi się poziom zacienienia, niedawno był tylko do kostek

podskakuję na jednej nodze, jednej nocy
 by nie popełził wyżej po udzie
 przez pępek czy usta nie wnikał we mnie
 dobrze, że jesteś, kładziesz dłoń na moim brzuchu
 zamykasz mnie
 wypełniasz sobą
 na cień już nie ma miejsca
 na nadzieję
 jest

Przecinanie bieli

pasma mgły układają się równo -
 w biały tiul
 który rozłożył na stole widmowy krawiec
 nie widać nożyczek
 pewnie poleruje je w chłodzie oddechem
 biel przenika biel
 i biel się łączy z bielą

gdzieś poza planem
 trzy Parki ostrzą nożyce
 która będzie pierwsza by przeciąć
 tę przejrzystość
 naznaczyć równą kreską szarości

Mariusz S. Kusion

In my Mindfulness's eye¹

wypijmy za błędy zanim nadejdą
za przebudzony sen kiedy błądzi
nieporadnie po tekstach źródłowych
prowadzimy rozważania za rękę

nie wiadomo czy zacząć nowy akapit
czy dać przypis czy lepiej za wygraną
życie odbiega od normy w puste ulice
puste piwnice puste urodziny

Kraków ma teraz tętno samotnika
Plan(t)y osuwają się w retrospekcje
kiedy słońce zachodzi na wschodzie
jak zwykle trwa jakaś wojna

tutaj prawdziwe emocje teoretycznie
mijam dzisiaj połowę życia rozmieniam
samorozwój fake newsy samoizolację
dostałem link do zdalnej spowiedzi

gdzieś błędzą pierwsze kolaże
nasz labirynt ma murale na zakrętach
między liniami czasowymi niepamięć
przelewa się gdy myślimy „gdyby”

Home office

pracuję zdalnie
nad sobą

(p)oszukiwanie

wena waha się u progu
czy ma wejść czy zasnąć
na wieczne nieoddanie
czy dostaniesz złoty pociąg złotych płyt
czy smutki anulowane przez coaching

obniosą depresję przekutą w twórczość –
tego dowiedzieć się w następnym odcinku

rozwartą gotową na dobrze płatny sen
sensualny sens ma długonogie słowa
sława i obrazy burczą obrazoburczo
dialogi przedłużone przez wyobraźnię
wypełniają porzucone w ogniu katedry

umyć aureolę przed użyciem sprawdź
czy samotna nadzieja jeszcze czeka
na reinkarnację w słonecznej karnacji

urodzić się ze starą duszą to pech
grzech genetycznie modyfikowany
między ego a stanem poświadczonym
przekonanie przyjdzie przelewem

kwaśnEgo

niebo kwaśniej w rękach kończą się mapy
myśli ścigają pamięć fotograficzną
po ścieżkach dźwiękowych

to nic takiego przecież
światło do picia jeszcze nie zwietrzało

z nowym wiatrem pora zachwycić się od nowa
odnalezionym kolorem i nagraniem demo

demony piszą pamiętniki w wysokich nakładach
piętrzą się formy kostnieją kontrasty i *alter ego*
spaceruje po podwójnym dnie z głową

w chmurach wypchanych magnetyzmem

dźwięczy każda funkcja i fraza wdzięczy się
każdy wąty wątek dobry na dobry początek

najwyżej wykona się remiks

Marta Basąg

Czarne na białym

Nie lubię nagłych wizyt
ciętych kwiatów
bieli na ścianie
telefon to nie szatański wynalazek
a umrzeć w pięknym stylu
znaczy wystroić się jak na bal
jasnowidzów kojarzę z ciemnej strony
chodzili po ścianach
zamiast przebić mur
wyglądało niebezpiecznie
wszystko jedno
nie żyje gardenia
jak to mówią – trzask prask
i gdyby nie czarne na białym
przeżyłabym że to ja

Wystarcza

Roztrzaskują swoje głowy
by zwiedzić choć jedną półkulę
nie chcą się spóźnić
więc nerwowo sprawdzają czas
mogliby luźno szukać wejścia
ale po co skoro wolą wyjść
zamiast rwać ostatni włos
wróciliby pierwszemu
wolę odrodzenia

żeby wiodło się znakomicie
mogą wyciąć nerkę
wyjąć oko
wyrwać bok
jacy mądrzy i szczęśliwi
bo wystarcza im co mają
a jaka ja głupia
mnie wystarcza czego nie mam

Wynalazki

Kiedy na nich patrzę
mijają lata
puste dłonie
w oczach ćwierć zdania
nogi bez zapowiedzi
mówią o sobie – wynalazki
idą półkrokiem
stoją w półkroku
głowa wysoko
zdrowi i śmiertelnie poważni
nie chcą się śmiać
mówią – bez przesady

wydłuża się moja szyja
kiedy na nich patrzę
oczy wchodzą do głowy
i nic i nic a jednak
tracę wiarygodność
gdybym widziała siebie
śmiałabym się
nie mówiąc przesadnie
głowę schyliłabym nisko
patrzając pod nogi

¹ Tytuł nawiązuje do słynnych słów Hamleta: „In my mind's eye” – oczami duszy.

Marta Świć

Paradoks człowieczeństwa

Rozruszać kości
Uśmiechnąć się do człowieka
Realnie nie online
By się uczłowieczyć
Trzeba iść do szpitala

Po staremu
Bez Internetu
Z książką i krzyżówką
Z prawdziwą rozmową
Trzeba iść do szpitala

Mirosława Stojak

Śmierć nietoperza

Była oczywistą pomyłką
Pomylił dzień z nocą
Kołatał do drzwi zaplątany w Twoje
włosy
Mdlął
Chciał zbawić księżyc
Nie zbawił siebie
Umarł w ciemnościach

Skarb

Wystarczą twoje diamentowe oczy
pełne świetlistych korytarzy
Pędzących spojrzeń
i jawnych marzeń...
Wystarczą twoje dłonie
otulone miłością wszystkich ludzi
Napęczniałe pracą i troską
Zawilgotniałe siłą majowego deszczu
Czyste jak góry...
Wystarczą twoje duże-małe stopy
przemierzające stopy akermiańskie
i łąki

Stopy jak warkocze zatopione w błocie
Bo jesteś
Niekoniecznie złoty
Niekoniecznie wieczny
mój...

Minione lato...

Jeśli zasnę snem kamiennym
zamkną moje myśli
i ciało w walizce
To znaczy że nie ma mnie już dla nikogo
pokonałam czas
Nareszcie
Zatrzymał się dla mnie
na drodze wśród pól złocistych
Wśród wspomnień minionego lata...

Marzanna Kołodziej

Rehabilitacja

od czasu do czasu
robię okłady z wierszy
wybieram te z blaskiem
czarne dziury
zostawiam innym
mam przecież wybór
(chichot którego nie słyszę
trochę udaję że nie słyszę)

od czasu do czasu
robię okłady z wierszy
na porannej trawie
w szeleście liści
w pączkach brzozy rosochatej
zresztą
pora roku
nie ma tu znaczenia
tak jak dzień czy noc
mam przecież czas
(chichot którego nie słyszę
trochę udaję że nie słyszę)

na zielonych tarasach myśli
gnieźdzą się zbyt ważne słowa
mnożą znaki zapytania poezji
czasami wciśnie się chwast
taki z najbardziej pospolitych
dajmy na to palusznik krwawy
muszę zastosować prądy

foniatra zwraca uwagę na
dysfonię hiperfunkcyjną
znów za dużo słów
leżały na wątrobie
utknęły w gardle
zalecane płukanie wierszy

po zabiegach
wchodzę w życie od ręki
a chciałam od nogi
tanecznym krokiem
w baletkach
(w drugiej torebce szpilki)

będę żyła

Alla prima

opowiedz snem
szmaragdową farbą
niemożliwe do opowiedzenia
pokryte kłębkami kurzu
głęboko ukryte tęsknoty
dawno zaginione w czasie światy
jednym pociągnięciem pędzla
zamaluj czerń nocy
wyjmij z szarej nicości
jak się wyjmuję z koszyka
dojrzałe latem jabłka
jasny dzień
muśnięty alabastrem wschodu
blaskiem z obrazów Vermeera
wszystkimi językami nadziei
jasny dzień podążający za jasnym dniem
głęboki jak zieleń malachitu
delikatny jak szum morza
opowiadający lepszą historię świata
alla prima przyszłości
kompozycja otwarta
śnij

mów do mnie

kiedy do mnie mówisz
kwiaty otwierają kielichy
ciepło dotyka powietrza

wszystkie słowa są pierwsze
wślizgują się prosto
do serca

Michał Zbroja

W granicach początku

Starsza Pani z nogami
Manekina siedzi przy
Stoliku zaślania oczy przed bijącymi
Po twarzy światłami
Na zgnieciony uśmiech brakuje chęci
Pordzewiały jej wszystkie kości
Zaraz podbiegną do niej dziennikarze
By wydrzeć ostatek sił

Właśnie została poinformowana o
Możliwości wypełnienia ankiety
Która zadecyduje o jej dalszej karierze
Wybrała o dziwo reinkarnację
Mimo że kwadracikiem najczęściej
Dotąd zakreślanym było
Ostateczne zakończenie swej
Działalności na tym też padole

Trudno stwierdzić co zaważyło
Libacje wielopokoleniowe
Czy w krwiobiegu wrośnięta tradycja
A być może było to nowe
Zgoła niestandardowe podejście np.
Kabaret niemoralnego pokoju
Egzaltacja buchająca z trzewi
Asteroidy na sterydach
Dystorsje w torsjach itd. itd.
Aby wróciła do początków
Z nowo wypraną wyperfumowaną nadzieją

Lecz starsza Pani odesłała
Wszystkie te pytania w niebyt
Jednym susem znalazła się przy oknie
I z impetem wyskoczyła
Wnet też wyrosły jej skrzydła
A głos stał się jakby dźwięczniejszy
Niby poczuł smak wolności
Niby poszczuty smakiem wolności

23.

Dreszczę się na samą myśl
Chodząc po rzeczowych drogach
Tak do krzaczastej wąsistości podobnych.
Miasto toczy się powoli żuczym tempem
Kiedy wracam zdyszany do domu -
Moja chata z kraja,
Chatka z mięsistej gliny;
Wyśmienity sztafaż zdyszańca.

Do okna dobija się tężyzna tęczowych kolorów,
Promieniuje ślamazarnym kształtem.
Przedziera się przez słabnące palce
Próbujące być śmieszną tarczą dla powiek.

Ręce pomarszczone jak u starca,
Patrzę na nie codziennie.
Rozmyślam czemu mi
Nie dano miękkich, gładkich rąk
Jak u mężczyzn w reklamach,
Lub przynajmniej pięknych.

Lecz nie dano.
Stanowczo postawiono wielki i głośny wykrzyknik
Po zwyczajnym nie.
O, nie będziesz miał, mój drogi kolibrze,
Przyjemnych, zanedo łatwych w obsłudze rąk.
Będziesz za to tylko wpatrywał się w nie
Codziennie o długiej godzinie
Rozmyślając.

Tak ci nakazano	Tak mi nakazano
Dochowaj więc tajemnicy	Dochowam więc tajemnicy

Pięć godzin

Nasze twarze błyszczały sklezione
Nad unoszącym się w przestrzeni miastem,
Cieniem swym światło na dwoje przecinają-
cym.
Jak rakieta płomień ten buchał,
Niczym rysowany kreską w fachu wprawio-
nych,

A jednak i smutek i radość, co w sobie
Jednym zawsze były, teraz
Jedynie słyszą kroplę wzruszenia
Potykającą się o asfalt drogi.

Tak spędziliśmy pięć godzin,
Na tej sennej wyspie,
W objęciu obłoków i uśmiechu słońca.

Natalia Owsiana-Bilska

zapach palonych włosów
gdy podmuch suszarki
wciąga kosmyk

i dźwięk
gdy się nadeptnie ślimaka
odbierając mu wszystko
i ten dyskomfort
rozmażany
zaledwie na podeszwie
której dotyka stopa
i ciężar ciała
jak sąd ostateczny

potem
stajesz nad rzeką
i myślisz o rybie
którą rozpruwa
haczyk wędkarza
i czujesz
że to nie ryba
to ty

świat jest z papieru
płonie od jednej zapałki

my nie potrzebujemy
martwych bohaterów
niech niosą żywe światło

matki trzymają się życia
wiedzą że niedługo przyjdzie nowe
świat jest z papieru
zapisują na nim dobre treści

nigdy
nie chciałam
się z tobą zestarzeć

nie do śmierci
mnie ciągnie

lecz
do życia z tobą

cierpkiego
soczystego

i z pestką
słodczy
w środku

Paulina Sacharczuk

marsz stoni

drepczą w jednym kierunku
ciągną całym stadem
jeden drugiego
trąca drewnianym nożem

toną w popiołach porzuconych gniazd
i nieba
które wszechdrogą odeszło
w mleczną dal

języki zlizują resztki wiekowej mądrości
wędrują po wyszczerbionych zębach czasu
spękanych ustach
chłonąc słone wspomnienie morza

przez lata w samotnym kroczą tłumie
niewidomi
nieświadomi
że brak im
mądrości stoni

jabłko

w ręku trzyma jabłko
soczyste i czerwone
poznałeś ją
kiedyś w parku

oplata Cię wzrokiem
czujesz nagle
palący ból w żebrach

zmysłowe siniaki

poobijane mam dziś zmysły
poturbowane kalekim wieczorem
boli mnie mój człowiek

na szczęście
sumienie mam czyste

melodia synaps

klik klik klik
jedno kliknięcie jedna komórka nerwowa
ile takich kliknięć usłyszał już świat

klik klik klik
na naszych oczach umiera
melodia synaps

Shurouk Hammoud

Tłumaczenie wszystkich wierszy: Bożena Helena Mazur-Nowak

Blind Time - Ociemniały czas

Na dzisiaj nic nowego.
Handlarze, z bogatą ofertą drewnianych płaszczy,
Niezmiennie są w dobrym nastroju,
Który towarzyszy im od urodzenia.
W tych krajach na mapie,
o których Bóg zapomniał,
Poeci wciąż udają, że są mądrzy,
Aby nie zawieść swojej próżności,
Nadal przepowiadają życie i śmierć,
Zbawienie i koniec.
W tym samym czasie
Tyrani,
Jak zawsze,
Mieszkają w naszych snach
Pałeczkami z naszych żeber.
Ich dupy cuchną,
Z ich ust dobywa się odór strzelniczego prochu,
Który wlewają do ciał naszych dzieci,
Ciągłe się powiększają, aż urastają do wielkości kraju.
Co się tyczy umarłych
Nadal się rozmnażają
Z entuzjazmem kochanków,
Którzy urodzili się
W tych gwałtownych czasach.

My handbag - Moja torebka

Moja torebka jest bardzo przezorna.
Są w niej guziki różnej wielkości,
Igła i czarne nici,
Które pozszywają poranione serce,
jak i podarte ubrania
Torebki higieniczne na wymioty,
które tutaj nie są rzadkością,
Mokre chusteczki do usuwania strzępów makijażu.
Moją torebkę wypełniają błahe przedmioty,

Pasta do butów straciła swoją ważność po drodze,
 Komórka pełna imion, których nie potrafię już spamiętać,
 Rozklekotane okulary wykonane przez optyka
 Pod pretekstem, że nie widzę nic poza czubkiem własnego nosa,
 Wykruszone papierosy i zapalniczka, która zaraz wyzionie ducha,
 Zasuszone kwiaty i wiersze, które nie nadawały się do zapisania,
 Chusteczki do nosa zmęczone pożegnaniami.
 I ty mnie pytasz od czego mnie bolą plecy?

I am not here - Mnie tutaj nie ma

Nie słucham ciebie,
 Zgiełk zapomniał przerwać rozmowę w mojej głowie.
 Otwieram okna na zardzewiałe stoły nocy,
 Na noże, tkwiące wciąż w karkach kochanków,
 Trumny, które w nocy rozbrzmiewają melodią oczekiwania,
 Żołnierskie buty, które straciły swoich właścicieli,
 Torby, które obciąża tylko próżnia,
 Morza, które bełkocą modlitwy za tych, którzy
 zginęli w drodze po życie,
 Piosenki wyśmiewające tych, którzy odeszli,
 Na niebo, które dławi ucho świtu,
 Domy, które zmieniły swoje nazwiska,
 Flagi, których kolory skazano na śmierć
 I barykady, których piaski uciekły przed krzykiem.
 Powstały z letargu przemówienia,
 Których już nikt nie wygłosi,
 Więc proszę, nie rozdrapuj mojego milczenia.
 Już mnie tutaj nie ma.
 Mogiła zapomniała o telefonie zostawionym
 W mojej głowie
 I opuściła swoje zaślony.

Poeci spotkają się

Poeci na pewno się spotkają
 Może w kawiarni, w której spotykają się bankruci
 lub na chodniku, gdzie ludzie z marginesu palą swoją przeszłość

a może na scenie jakiegoś domu kultury, w jakimś kraju, który wojna
 doprowadziła na skraj.

Uwierz mi, że poeci zawsze się spotkają
 W hasłach zapisanych w słownikach,
 Jąkając się na progach wierszy,
 W zaufkach plotek, które wyostrzają języki zaprzyjaźnionych poetów,
 Czy też w artykule, który mówi o plagiacie.
 Może ich nazwiska zostaną sąsiadami jak szkielety
 na zapomnianych półkach z książkami krwawiącego świata.

Lecz jeśli nic takiego nie miało miejsca, to
 Ich oczy spotkają się na tej samej linii
 Wiersza, którego wątek dryfuje oddzielając istnienie od nicości.

wygładzam swój głos

oczyszczam swój głos
 Z żargonu miłości
 Jeden po drugim
 Obcinam paznokcie tęsknocie
 Maluję usta na czerwono
 Krwią, która z nich się sączy
 Rozrzucam oczekujące listy
 Zmieniając ich kolejność raz po raz
 Po czym śmieję się radośnie z mojego zwycięstwa
 nad kruchym dźwiękiem,
 Którego kruszyny rozsypały się jak paciorki różańca,
 kiedy mnie już znudziły.
 Oczyszczam głos namiętności róż,
 Które co dzień zmierzają aby umrzeć
 W książce
 Dlatego skracam im drogę.
 Kruszę je zasuszam w oczach bezsensowności.
 Mój sędziwy przyjacielu
 Oczyszczam głos z pocałunków, pieszczot, pożądania
 Z wszystkiego, co kaleczy struny głosowe
 Z tęsknoty za bełkotem.
 Czyszczę mój głos z miłosnego żargonu;
 Noc nadgryza jabłko mojemu Adamowi
 Czyniąc ze mnie oniemiałą.

Przemysław Trenk

Chłopak wycięty z gazety

Nie mam odwagi wyjść sobie naprzeciw,
 śnić o oczach niebieskich jak oceany.
 One nigdy nie będą moje, ja nigdy nie będę
 należeć do siebie.

W moim dużym pokoju, stoi tylko wielkie łóżko,
 chowam się pod nim, uciekam od pytań.
 Pod nim, drzewa się chwieją i wiatr nuci balladę
 o chłopaku sklejonym z gazety.

Usiadł na chochole z kurzu i bezczelnie się gapi
 świdruje mnie oczami wyciętymi z porannych Nowości.
 Patrzę na mnie nekrologi, tanie meble, ogłoszenia towarzyskie, promocje z Biedronki.

Patrzę na siebie ja, wzrokiem wyciętym z taniego
 brukowca, jestem dla siebie obcy.
 Założyłem garnitur skrojony z Newsweeka, tylko rękawy
 troszkę za krótkie i ta dziwna gęba na plecach.

Jestem zmyślony, w zmyślonym ubraniu, chowam się
 pod moim wielkim łóżkiem, zamiotłem siebie pod dywan.
 A na chochole z kurzu wciąż siedzi ten chłopak wycięty
 z dzisiejszych Nowości i pokazuje najnowszy nekrolog.

Milky Way

i przyjdą po nas ci co grzebać będą w naszej przeszłości
 ich psy tropiące wywęszą nasze grzechy
 będziemy dla nich tajemnicą
 rozkładać nas będą na czynniki sprzyjające okolicznościom
 poznania naszych wartości
 odkryją to cośmy skrywali w papierowych urnach
 zanurzą usta w kamieniu naszych pomników
 lecz jedno nie będzie im dane
 dzielić z nami tę właśnie chwilę
 kiedy galaktyki naszych dłoni spotykają się w połowie drogi
 choćby mlecznej

panta rhei

przechodzi ochota na życie
 z dłonią zatrzymaną w połowie drogi
 do Ciebie
 wszystko wokół ulega destrukcji
 ludzie powiadają że jestem biodegradowalny

nurzam się we własnej krwi
 której ciepłe strużki rysują na skórze
 Twój portret

chodniki mojego miasta
 patrzą zdziwione
 na bose stopy przechodniów
 wszystko stanęło
 zamarło
 wstrzymało oddech

zanim otworzysz drzwi do mieszkania
 pozwól że podleję żdźbło trawy
 które wyrosło na mojej dłoni

przechodzi ochota na życie w zawieszeniu
 świat jest w ciągłym ruchu
 a ja?

ja moja droga
 chowam się w Tobie
 z ustami zanurzonymi w płatkach wilgotnej
 róży

Sławomir Lęga

Kręgosłup moralności

most nad ciszą gdzie jaźń jest połączona
prowizoryczną liną bez mocowań,
został opętany supłami własnych myśli
umierając z zimna w blasku świecy

w przemoczonym lęku patrzę w niebo
gwiazdy dawno już pospadały,
nie pomoże ozdabianie różańca
wieczorową koronką modlitwy

zamknięta cisza co milczy
uwiera jak łańcuch samotności,
lodowy płomień z haftowanego ognia
zaczął oddzielać łyż od popiołów

rośnie na połaci koszmar codzienności
zastygając jak brud na kołnierzu,
łamiąc kręgosłup mej moralności
staje się szkodnikiem którego ogród zabija

Emocje

odziana w nagość zamyślenia
intymność patrzy bezszelestnie
spomiędzy woni nabrzmiałej ciszy

delikatny powiew wsiąka w skórę
szeptu niewykształconych uczuć
poczęte jowiszowym¹ smutkiem
wsiąkają w uwięzione myśli niewoli

zwichnięta mimika twarzy
powolnym oddechem zadrapań
przykrywa skrzydlatą obietnicę
krusząc przywiązane napięcie

wachlarz obgryzionych emocji
niezauważalnie kwitnie w duszy
wyrywam śmiertelność rzeczywistości
przeglądając się w odbiciu bezdennej toni

¹ jowiszowy

1. «groźny»

2. «dostojny i nieprzenikniony»

Stanisław Dłuski

Odpady

Zauważyłem że się powtarzam
Metafory zużyte jak zęby
Starego alkoholika
Podlewam słowa sentymentami
Z rodzinnej wioski
Koszmary i flupy z nicości
Dzikie kwiaty zmieszane
Z chroniczną depresją
Lepsze jest milczenie
Na granicy światów
Wycofanie do nory
Wilka i lisa
Smakowanie wschodów
Czułe sny o zbawieniu
W cieniu twojego serca
Niewyraźalny odrzucony

Eurydyka o srebrnym głosie

Schodzi jak anioł w doliny
Ciemnej wyobraźni, kiedy
Jeszcze pelargonia kwitnie
Dla nas, wędrowców, zapomnianych
Przez świat. Delikatne dłonie
Zapalają świece ciał, szukamy
Prawd w odwiecznych drzewach,
W locie pszczoł i w nutach Beethovena.
Nie śpij nasturcjo z Torunia,
Obudź mnie, kiedy noc kusi
Zgonem, wierzę w listek
Twojego uśmiechu, żyjemy
Bez grzechu, oddani rzekom
I gór, samotne ptaki
W ciemnej dolinie

Zuzanna Marciniak

Azymut

powietrze ma zapach
rosnących drzew
oplata nozdrza
jak wyrwane korzenie

węszy nade mną
dębowy sęp
ze skrzydeł strzepuje
ścięte głowy traw

niebo ugina się
pod ciężarem skóry
z załamek ziemi
wycieka słońce

i już nie wiem

czy to góra do mnie mówi
czy jednak dół
szepcze mi do stóp

Ja jestem

jestem obok
jak odwłok
nad ziemią
jak obłok
nad spiętrzoną górą

trochę niżej
niż da się upaść
i wyżej
niż da się (po)myśleć

jestem po nicość
i niczym się staję
wszystkich pozbawiam
i sam też się daję

jesteś
bo
ja jestem

Tadeusz Zawadowski

druga strona lustra

odpłynęły poza horyzont stateczki mego dzieciństwa.
kotwiczowiska młodości gdzie kiedyś mocowałem

cumy swoich marzeń. dzisiaj straszą
połamanymi żebrami i rdzą dawnych konstrukcji.
a jednak lubię tu powracać. liczyć ślady pozostawionych
kroków. wsłuchiwać się w ich rytm. odtwarzać stare
szlaki wierząc że kiedyś zaprowadzą mnie na drugą

stronę lustra.

moje rzeki

płyną przeze mnie rzeki wraz z rozlewiskami. nazywam je
wzruszeniami. próbuję ujarzmić zaporami słów których
nie buduję z wielkich liter. tylko małe jest prawdziwe.
kryje się w dłoniach jak pisklę które dopiero ma wylecieć
w świat. to przed nim odkrywanie nienazwanego.
moje rzeki to one prowadzą mnie

do źródła.

na skraju

nie wiem jak znalazłem się w tym parku skoro od dawna
on nie istnieje. jego ślady ukryte są w sepii starego
albumu. kiedyś znałem tu niemal wszystkie
tajemnice skrywane pod rozłożystymi
drzewami. miłości do grobowej deski tak wtedy
odległej że aż nierealnej. żwirowe alejki wybiegały
na powitanie moich kroków. dzisiaj
patrzę w głąb i widzę tylko samotne drzewo

na skraju drogi.

wyspa ze snów

przypląnąłem do wyspy która śniła mi się poprzedniej
nocy. jednak jej brzegi nie były tak przyjazne
jak we śnie. śpiewały pieśni rozbitych kutrów
i szyprów którzy nigdy nie powrócili do swoich
przystani. zapadałem się w nie niczym we mgłę
aż w końcu zrozumiałem że stałem się ich częścią.

i że nie ma już powrotu.

ruiny akropolu

nadszedł czas gdy wycięto stare drzewa. przeczuwałem tę chwilę.
kurczyłem się w sobie jak zużyty sweter. obudziłem się
na pobojuwisku i przyglądałem trupom drzew.
gniazdom z których wypadły małe pisklęta. przypomniały mi się
ruiny akropolu. smutne twarze bogów odarte

z atrybutów boskości.

Urszula Mądrzyk

Na chwilę przed snem

Ciszą nasiąka dom cały
w ten skwarny czerwcowy dzień duszny
Pęcznieją okrawki myśli,
rwie się
dziurawa pajęczyn snu sieć.

Jej siostrę – bliźniaczkę siwiutką -
zdobną
stu przeseł ulotnym gotykiem
tka w rogu wariat - pajęczek,
sznurując
gorliwie,
z mozołem,
na przekór wszystkiemu i wszystkim
płaszczynę sufitu i lustra...
Kurzowi i muchom pohybel.

Jest w tym gorliwym wysiłku
jak tysy belfer garbaty,
zapamiętałe zajadły
w nieustającym staraniu,
by garstkę swych uczniów – gamoni
nauczyć najprostszej z prawd...

Że trzeba po prostu trwać...

Zatonąć
we własnych nici kosmosie.
Bez pytań,
za późnych dociekań,
bąbli bolesnych porażek,
niewczesnych wahań,
pretensji,
zazdrości pchlich żądeł stu.

Trwać
jak z Wielkanocnych Wysp głowy,
piramid bryły szczerbate.
Snuć nić swej przędzy do końca,
do końca nucić swą pieśń...

Sonet na do widzenia

Tym, którzy odeszli... z tęsknotą...

Znów żegnamy się na tydzień, miesiąc, chwilę.
Pocałunek, ciepło dłoni, szminki ślad.
Jeszcze szepczesz, choć w wygłosie słyhać
wiatr.
Jeszcze jesteś, ale dzielą nas już mile.

Ledwo pamięć przemiliła klatek sieczkę:
tu i teraz, sprzed ćwierćwiecza, setki dziur...
I memento: Ostał nam się jeno sznur.
Bilet zmięty na finalną stąd wycieczkę

Kiedyś, wczoraj, gdzieś przed laty... Szukam
kliszy,
powidoki przeświecone jak ten kadr.
Nic już nie wiem, czuję tylko powiew ciszy

i zbłąkany w chaszcach wspomnień głosów
gwar
dziwnie bliskich, jak bolesny śpiew derwiszy,
przez mur wrębów, dziur na przestrzał, blizn i
szpar...

Sonet czwartkowy

Jurkowi... z miłością...

Siądźmy, miły, zapalimy papierosa,
jeszcze rzucę na ramiona rudy szal.
Wnet dołączy do nas cisza płynąc wpław.
Czułość siwa wybujała pod niebiosa.

Daj mi rękę. W drzwi zastukał późny wieczór.
Świerszcz pijany stroi skrzypce gdzieś wśród
traw.
Dym świec zgastych snuje taniec płowych zjaw,
paso dobie na pohybel i na przekór.

Pomyśl, miły, ile jeszcze takich nocy
z papierosem, szklanką ginu, twarzą w twarz,
zanim zmrozi nas zniecka kresu dotyk.

Zanim spłyną z nas zasługi, grzechy, cnoty.
nim zakończy się festiwal szarż i barw,
zanim dobrzmi przedostatnich słów erotyk...

Waldemar Jagliński

Szkic

jak ptaki jesieni
z krótkim wschodem wiosny
trzepoczące treścią
o rdzawej literze –
wzbijamy się szybko
z łopotem sztandarów
albo z łzą szmaragdu
żyjemy w wolierze

Szkic II

zaproszeni przez życie
na piaszczystą drogę
zmagający się z chwilą
skreślający lata –
zawsze zostajemy
ze szmaragdem w dłoni
będąc pyłkiem na wietrze
dla socjety świata

Szkic III

zapisani w dwóch wersach
pustce hołdujący
lukrowani uśmiechem
tych co giną w biegu –
zostajemy w młodości
w zielonych obrazach
nie chcąc schyłku oddechu
i pierwszego śniegu

Szkic IV

urodzeni w krzyku
w pierwszych łzach skąpani
w białych mgnieniach szczęścia
zakochani w różach –
wierzymy w swe zamki
nad morzem stawiane
ściskamy szmaragdy
gdy nadciąga burza

Szkic V

pogrzebani z marzeniem
z kwietniowym pejzażem
co żył w małym sercu
tak jak nowa brama –
zostajemy jak liście
zmiecieni w niepamięć
jak zielony kamień
co czasu nie złamał

Wioleta Szarwas

zanim

zanim zbutwieją korzenie
i w kącikach ust
pęknie ostatnie niebo

niech w gniazdach naszych dłoni
wykluwają się pudrowe myśli

z krawędzi zielonych rzęs
spijajmy perłowe okrychy
porannego deszczu

otulmy skronie płatkami jabłoniowej ciszy

ponad taflą czarnej łąki
wypatrujemy
roju migoczących chrząszczy

niech porwie nas dzikość
jesiennego wiatru
nim pod skórą
skruszeją hamaki pajęczyn

perłowe okrychy -

zanim zgasną
lśniące pąki gwiazd
a niebo zadrży pod skrzydłem
kroplami świtu

wtulimy policzki w miękkie gałęzie
wierzbowych dłoni

podzielimy na dwoje
perłowe okrychy pierwszej rosy

kropla jabłoniowej ciszy

na brzegu zielonych rzęs
tli się pierwsza kropla
jabłoniowej ciszy

bezszelestnie opada na skronie
muśnięciem
pudrowych okruszków

z południowym wiatrem
wlewa się do ust

zasypia w gniazdach miękkich dłoni

Sławomira Sobkowska-Marczyńska

na opuszczonych tarasach
dawnego kurortu
piasek zaciera
niedokończone epizody

liczy ich
powtarzalność

śledzi wędrówkę słońca
ulega bezdusznemu wiatrowi
szuka strzępów dawnych rozmów
i milczeń

Orzech

zagarnął konarami trochę błękitu
i stanął pośrodku ogrodu
blisko domu
żeby się rozkorzenieć
zbliżyć
poczuć zapach pieczonego chleba
posłyszeć śmiech rozbiegany po poko-
jach
pooglądać krzątanie codziennych spraw

chciał to poczuć
i zapewnić spokój
cieniem swojego trwania

Zbigniew Stec (1952–2014)

Na granicy snu

Jerzy Jabczyński



Zbigniew Stec

Narodziny pasji twórczej

Zbigniew Stec urodził się 20 stycznia 1952 r. we Włocławku. Jego rodzicami byli Antoni i Bogna z domu Aktaboska¹. Matka Zbigniewa pochodziła z rodziny od lat związanej z Włocławkiem. To najmłodsza z trzech córek Władysława i Leokadii. Jej ojciec był adwokatem, a matka zajmowała się prowadzeniem domu. Najstarsza z siostr — Maria poszła w ślady ojca. Natomiast druga — Zofia, po ukończeniu studiów ekonomicznych, zamieszkała w Poznaniu. Bogna była absolwentką Liceum im. Marii Konopnickiej we Włocławku. Krótko przed wybuchem II wojny światowej rozpoczęła studia stomatologiczne w Warszawie. W 1940 r. rodzina Aktaboskich została wysiedlona z Włocławka. Trafili do położonego na południe od Tarnowa miasteczka Tuchów, gdzie przebywali do

1945 r. Tam Bogna poznała przyszłego męża².

Rodzice Antoniego Steca — Maria i Adam prowadzili w Tuchowie piekarnię. Oprócz tego mieli dochody z rolnictwa. Antoni w czasie wojny był żołnierzem Armii Krajowej i brał udział w walkach partyzanckich w okolicach Tarnowa³. Bogna i Antoni pobrali się w 1943 r. W 1945 r. przyjechali do Włocławka⁴. W 1946 r. urodził się ich pierwszy syn — Andrzej (zm. 2009)⁵. W tym samym roku Antoni rozpoczął studia weterynaryjne we Wrocławiu i przeprowadził się tam wraz z żoną i dzieckiem. Bogna nie kontynuowała przerwanych wojną studiów, zajęła się bliskimi. W 1951 r., po uzyskaniu dyplomu, Antoni Stec wraz rodziną wrócił do Włocławka. W styczniu następnego roku urodził się Zbigniew⁶.

Młody weterynarz Antoni był również malarzem amatorem, który po pracy kopiował obrazy znanych polskich artystów: Piotra Michałowskiego, Józefa Chełmońskiego czy Juliusza Kossaka. Malującemu ojcu często towarzyszył młodszy syn. Wtedy też chłopiec podjął swoje pierwsze próby malarskie i rysunkowe⁷. Rodzina najczęściej spędzała wakacje u rodziców Antoniego. Widoki z Tuchowa i okolic, zwłaszcza pofałdowania Pogórza Ciężkowickiego i płynąca wartkim nurtem rzeka Biała, zapadły w pamięć

2 J. Kędzierska, *Świat marzeń Zbigniewa Steca — artysty malarza ziemi kujawskiej*, praca magisterska pod kierunkiem prof. dra hab. R. Pichalskiego, Mazowiecka Wyższa Szkoła Humanistyczno-Pedagogiczna, Łowicz 1999, s. 63, 72.

3 Tamże, s. 63–64.

4 Tamże, s. 64.

5 K. Kotuła, *Zbigniew Stec* ..., s. 198.

6 J. Kędzierska, *Świat marzeń Zbigniewa Steca* ..., s. 63–64.

7 M. Kulesza, *Dotknięcie nieznanego*, „Promocje pomorskie”, nr 3–4/1993, s. 43.

małemu Zbyszkowi⁸. Pojawiały się one po latach na obrazach już dojrzałego twórcy. W 1957 roku Bogna i Antoni Stec wraz z młodszym synem (Zbyszkim) przeprowadzili się do (oddalonego o ok. 30 km od Włocławka) Lubienia Kujawskiego. Starszy syn — Andrzej pozostał we Włocławku pod opieką cioci Marii i kontynuował naukę w szkole podstawowej. Przyczyną tej znaczącej zmiany w życiu rodziny było podjęcie przez Antoniego pracy w nowo wybudowanej lecznicy dla zwierząt. Uporządkowane życie rodziny Stec zostało mocno zaburzone wykryciem u sześciolatniego Zbyszka oraz u jego brata dystrofii mięśniowej (zanik mięśni). Pierwsze niepokojące sygnały pojawiały się już wcześniej — chłopcy nie byli tak sprawni, jak koledzy (odstając od rówieśników w szybkości biegu)⁹. Zbyszek Stec rozpoczął naukę w Szkole Podstawowej w Lubieniu Kujawskim. Wychowawczyni klasy — Ewa Chejmanowska, często mówiła rodzicom o jego zdolnościach plastycznych¹⁰. Chłopiec interesował się dawnym malarstwem, które silnie na niego oddziaływało. Jak wspominał w jednym z wywiadów: Pamiętam mój pierwszy kontakt ze sztuką, gdy jako kilkuletni chłopiec obejrzałem reprodukcję obrazu Dawida „Śmierć Marata”. Wyraz smutku i przytłoczenia ciemniejszej części płótna wywarł na mnie nieznane dotąd wrażenie¹¹. W wieku 9 lat przyszły artysta stworzył pierwszy autoportret¹². Podejmował też próby malowania, najczęściej akwarelę. W albumach wnikliwe oglądał reprodukcje obrazów, które później próbował naśladować. Ojciec zachęcał syna do działań twórczych, udzielał mu

8 J. Kędzierska, *Świat marzeń Zbigniewa Steca* ..., s. 67.

9 G. Nowicka, *Z pogranicza jawy i snu*, „Gazeta Pomorska” nr 36 (13.5.28), 12 lutego 1993, s. 3 oraz J. Kędzierska, *Świat marzeń Zbigniewa Steca* ..., s. 68, 71.

10 J. Kędzierska, *Świat marzeń Zbigniewa Steca* ..., s. 67–68.

11 Wypowiedź Z. Steca: B. Elert, *Radość tworzenia*, „Kujawy” Regionalny tygodnik społeczno-polityczny PZPR, nr 50 (1004), 9–15 XII 1987, s. 9.

12 M. Kulesza, *Dotknięcie nieznanego*, „Promocje pomorskie”, nr 3–4/1993, s. 43.

porad i wskazywał właściwe rozwiązania plastyczne¹³. W wieku 13 lat Zbyszek namalował pierwszy pejzaż z natury. Był to moment przełomowy — postanowił zostać artystą. Świadomie starał się rozwijać talent, malując krajobrazy, martwe natury, bukiety kwiatów i autoportrety¹⁴. (fot. 05) Zbigniew Stec z sentymentem wspominał dzieciństwo spędzone w małym, położonym nad jeziorem, mieście. Duże wrażenie na chłopcu robiły ciągnięte przez parowozy pociągi. Obserwował je regularnie w pobliżu położonej ponad 3 km od Lubienia stacji „Chodecz” (która, od 1987 r. funkcjonuje pod nazwą „Kaliska Kujawskie”) ¹⁵. Wychodził tam po przyjeżdżającego na wszystkie niedziele, święta i dni wolne od nauki, brata — Andrzeja lub po innych gości. Zapamiętane w tamtych latach widoki często pojawiały na obrazach.

W 1965 r. Zbyszek wraz z rodzicami wrócił do Włocławka. W tym czasie jego brat studiował na Politechnice Poznańskiej, a ojciec podjął pracę w Zakładach Mięsnych w Czerniewicach¹⁶. Rodzina zamieszkała w nowo wybudowanym domu z ogrodem przy ul. Bukowej 1. Zbyszek szkołę podstawową ukończył już we Włocławku. Aktywnie rozwijał swoją pasję twórczą, uczęszczając na zajęcia, prowadzonego przy Muzeum Kujawskim, Ogniska Plastycznego. Najcenniejszych (jego zdaniem) porad i wskazówek udzielała mu, pracująca tam społecznie, artystka — Helena Kuczyńska. W tym czasie zaczął tworzyć obrazy olejne, namalował wtedy pierwszy autoportret na płótnie. W 1967 rozpoczął naukę w III Liceum Ogólnokształcącym im. Marii Konopnickiej.

13 J. Kędzierska, *Świat marzeń Zbigniewa Steca* ..., s. 69.

14 A. Kasela, *Malarz wyobraźni*, „Nowości”, nr 250 (6977), 22 grudnia 1992, s. 6.

15 J. Kędzierska, *Świat marzeń Zbigniewa Steca* ..., s. 69–70. Nazwa stacji na podst.: H. Waguła, S. Fedorowicz, R. Ślęzak, *Atlas kolejowy Polski, Czech i Słowacji*, 2005–2024 (<https://www.atlaskolejowy.net/pl/kujawsko-pomorskie/?id=baza&poz=6381>) [dostęp: 07.03.2024]. Odległość stacji od Lubienia Kujawskiego wg *OpenStreetMap* (https://www.openstreetmap.org/directions?engine=fossgis_osrm_foot&route=52.40890%2C19.15891%3B52.41174%2C19.12411#map=15/52.4082/19.1467) [dostęp: 07.03.2024].

16 J. Kędzierska, *Świat marzeń Zbigniewa Steca* ..., s. 71.

1 K. Kotuła, *Zbigniew Stec (1952–2014)*. Sztuka była dla niego niekończonością, „Rocznik Muzealny”, t. XVI, Włocławek 2016, s. 198.

Tam trafił na doceniającego jego talent nauczyciela plastyki — artystę Waldemara Dołęgowskiego, który zorganizował mu wystawę w szkole. Nauczyciel sugerował uczniowi przeniesienie się do Liceum Plastycznego w Bydgoszczy¹⁷.

W 1971 r. Zbigniew Stec zdał maturę i przystąpił do egzaminów na Państwową Wyższą Szkołę Sztuk Plastycznych w Poznaniu¹⁸, które, ze względu na wynikającą z choroby fizyczną słabość, skończyły się niepowodzeniem. Porażka nie zniechęciła go do malarstwa. Uczył się sam, wnikliwie analizując reprodukcje w albumach oraz czytając podręczniki technologii malarstwa¹⁹. Po roku ponownie nie udało mu się dostać na studia. Planował trzeci raz podejść do egzaminów i przez 2 semestry, jako wolny słuchacz, uczęszczał na zajęcia z rysunku i malarstwa na PWSSP w Poznaniu, korzystając z gościny cici Zofii (siostry matki). Ostatecznie stan zdrowia skłonił go do powrotu do Włocławka. W rodzinnym domu intensywnie skupił się na twórczości. Malował głównie martwe natury, autoportrety a także widoki z okna i z ogrodu. Matka Zbigniewa starała się wypromować syna — artystę i podjęła działania, aby zorganizować publiczną prezentację jego prac. Dzięki wsparciu ówczesnej dyrektorki Muzeum — Romualdy Hankowskiej, pokaz doszedł do skutku²⁰. W listopadzie 1974 r. Muzeum Kujawskie przygotowało wystawę 22-letniemu amatorowi we włocławskim klubie „Krokus”²¹. Ekspozycja wzbudziła tak duże zainteresowanie, że została przedłużona²². W jednym z wywiadów Z. Stec wspominał po latach początek swojej drogi artystycznej: Tak się złożyło, że po skończeniu liceum próbowałem zdawać na

studia plastyczne w Poznaniu. Niestety, bez powodzenia. Może i dobrze, że tak się stało, gdyż mój stan zdrowia nie pozwoliłby na ich ukończenie. Po powrocie do Włocławka mogłem od razu poświęcić się malarstwu i urządzaniu wystaw, a przede wszystkim – szukaniu własnej drogi twórczej²³.

Kształtowanie indywidualnego stylu

W 1975 r. zorganizowano we Włocławku przegląd twórczości amatorskiej. Pięć obrazów Zbigniewa Steca wzbudziło duże zainteresowanie jurorów (wykładowców z Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu). Szczególną uwagę na prace młodego włocławianina zwrócił historyk sztuki z Muzeum Okręgowego w Toruniu — Andrzej Sciepuro. Dzięki niemu malarstwo Z. Steca zostało zaprezentowane poza Włocławkiem. Pomógł zorganizować początkującemu twórcy wystawę w klubie „Ikra” w Toruniu (1975 r.), a także promował go wśród znajomych działaczy kultury. Rok później opatrzył wstępem katalog do indywidualnej prezentacji twórczości, która obyla się w klubie „Orion” w Bydgoszczy²⁴.

W tym czasie (w 1975 i w 1976 r.) malarstwo Zbigniewa Steca zaczęło ewoluować. W martwych naturach pojawiły się nieoczywiste (często symboliczne) zestawienia przedmiotów. Artysta malował bardzo dużo, a tematyka i kompozycja prac była zróżnicowana — jakby twórca szukał swojego stylu. Rozpocząłem (...) poszukiwanie własnej drogi artystycznej wśród różnych stylów i kierunków. Od impresjonizmu poprzez kubizm do abstrakcji. Dłużej zatrzymałem się przy fowizmie. Ssensu mojej sztuki upatrywałem wówczas w dawaniu przyjemności i odpoczynku odbiorcom²⁵. Intensywne

poszukiwania środków wyrazu, z jednej strony powodowały rozdziwien tematyczny i formalny obrazów z tego okresu, z drugiej wzbogaciły i urozmaiciły środki plastyczne, ułatwiając formułowanie przekazu wizualnego. W 1976 i w na początku 1977 r., rozwijając swój warsztat i dążąc do perfekcji, namalował kilka obrazów w konwencji hiperrealizmu. Widoczne to jest choćby w pracy Spis telefonów z 1977 r.

W 1977 r. Zbigniew Stec poszukiwał plastycznej metafory wewnętrznych przeżyć.

Często używał do tego zestawów przedmiotów, które świadomie układał w symboliczne kompozycje niekiedy wzbogacone elementami fantastycznymi. Po latach tak wspominał swoje spostrzeżenia i działania: Podczas układania martwych natur zauważyłem, że przedstawiają one zestaw przedmiotów, które w powiązaniu ze sobą coś symbolizują. Zaczęło mnie to zastanawiać i coraz bardziej wciągać. Coraz więcej przedmiotów z wyobraźni zacząłem umieszczać na obrazach...²⁶. (fot. 13) (fot. 14) W 1977 r. namalował również przepełnione symboliką autoportrety, w których wizualizował złożoność ludzkiej natury oraz wielowymiarowość świata. Jest to widoczne w obrazie Autoportret hinduski, w którym przedstawił się prawdopodobnie jako hinduski bóg Śiwa (lub inny awatar Brahmy — Wisznu)²⁷. Opowiadał też o silnych przeżyciach związanych z ograniczeniami fizycznymi i swojej ucieczce w radosny świat wyobraźni, czego malarską ilustracją jest zapewne Autoportret rozdarty.

W kolejnych obrazach coraz częściej pojawiały się elementy wymyślone. Artysta zaczął czerpać radość z tworzenia nowych, wyobrażonych światów. Samo kreowanie fantastycznych kompozycji, ze względu na

ułatwość ludzkiej pamięci, nie wystarczyło. W 1977 r. Zbigniew Stec zaczął prowadzić pierwszy szkicownik, w którym rysunkowo notował pomysły na obrazy. Tematy wielokrotnie powtarzał w różnych wersjach, aby przed rozpoczęciem malowania mieć gotową koncepcję²⁸. Skutkowało to wyraźnym zbliżeniem nowych kompozycji do fantastycznych ilustracji, a także kilkoma, w pełni surrealistycznymi pracami. Od tego czasu, przygotowując się do malowania nowego obrazu systematycznie szkicował. Zachowało się 41 zeszytów z rysunkami, które obecnie znajdują się w zbiorach MKiD.

Dzięki wyjątkowej aktywności, udziałowi w wystawach, artysta stał się rozpoznawalny w środowisku plastyków. W 1978 r. przedstawił swoje prace i recenzje z wystaw w Zarządzie Głównym Związku Polskich Artystów Plastyków w Warszawie. Procedura przyjęcia w szeregi ZPAP wymagała ponadto listów rekomendacyjnych od wieloletnich członków Związku. Bardzo przychylną opinię o obrazach Zbigniewa Steca napisał, wybitny zakopiański malarz, profesor PWSSP w Poznaniu — Tadeusz Brzozowski. Komisja kwalifikacyjna przyjęła włocławskiego artystę do ZPAP jako członka nadzwyczajnego (cztery lata później został pełnoprawnym — zwyczajnym członkiem Związku)²⁹.

Rodzice starali się wspierać młodego artystę, który (ze względu na pogarszający się stan zdrowia) miał coraz większe problemy z pokonywaniem barier architektonicznych. Z podobnymi niedogodnościami mierzył się jego starszy brat. Dom przy ul. Bukowej 1 został w pełni dostosowany do potrzeb chorujących synów. Zbigniew zyskał dużą pracownię malarską. Natomiast Andrzej jako miłośnik fotografii – wyposażoną ciemnię,

17 K. Kotuła, *Zbigniew Stec* ..., s. 198 oraz J. Kędzierska, *Świat marzeń Zbigniewa Steca* ..., s. 72.

18 Obecnie Uniwersytet Artystyczny im. Magdaleny Abakanowicz w Poznaniu.

19 K. Kotuła, *Zbigniew Stec* ..., s. 199.

20 J. Kędzierska, *Świat marzeń Zbigniewa Steca* ..., s. 73–74.

21 K. Kotuła, *Zbigniew Stec* ..., s. 199.

22 J. Kędzierska, *Świat marzeń Zbigniewa Steca* ..., s. 75

23 Z wywiadu z Z. Stecem: M. Kulesza, *Dotknięcie nieznanego*, „Promocje pomorskie”, nr 3–4/1993, s. 44.

24 J. Kędzierska, *Świat marzeń Zbigniewa Steca* ..., s. 75–76.

25 Z wywiadu z Z. Stecem: A. Kasela, *Malarz wyobraźni*, „Nowości”, nr 250 (6977), 22 grudnia 1992, s. 6.

26 Z wywiadu z Z. Stecem: A. Kasela, *Malarz wyobraźni*, „Nowości”, nr 250 (6977), 22 grudnia 1992, s. 6.

27 Obraz nawiązuje do przedstawień Śiwy obrazujących wieloaspektowość tego bóstwa wg K. Kościelniak, *Religie Indii, Hinduizm*, „Religie współczesnego Białego i Dalekiego Wschodu”, cz. 2, Kraków 2015, s. 104

28 G. Nowicka, *Z pogranicza jawy i snu*, „Gazeta Pomorska” nr 36 (13.528), 12 lutego 1993, s. 3.

29 B. Elert, *Radość tworzenia*, „Kujawy” Regionalny tygodnik społeczno-polityczny PZPR, nr 50 (1004), 9–15 XII 1987, s. 9 oraz J. Kędzierska, *Świat marzeń Zbigniewa Steca* ..., s. 77.

dzięki czemu mógł również dokumentować twórczość młodszego brata. Znalazło się także miejsce na mały warsztat stolarski, w którym wycinał i składał blejtramy dla Zbyszka i oprawiał jego obrazy³⁰.

W roku 1978 artysta był bliski ukończenia poszukiwań własnego stylu. Pojawiały się jeszcze martwe natury z elementami, a właściwie z cytatami z dawnych mistrzów. Zacerpnięte fragmenty i wizerunki dzieł zyskiwały na obrazach Z. Steca zupełnie inne znaczenia, które w nieco satyrycznym ujęciu, łączyły tradycję ze współczesnością. Jest to widoczne na obrazie przedstawiającym karton pełen starych, niepotrzebnych przedmiotów, wśród których znajduje się reprodukcja obrazu Rogiera van der Weydena Portret damy. Artysta śmiało operował także groteską, przenosząc tragiczną scenę z obrazu Ślepcy Petera Bruegla (starszego) na ekran telewizora, w formie zarezerwowanej dla transmisji wydarzeń sportowych. W tym czasie zaczął wizualnie notować swoje humorystyczne pomysły, najpierw robiąc satyryczne szkice, a następnie rysunki. (fot. 18)

Na granicy snu

Zbigniew Stec skupił się na obrazowaniu tego, co określał jako wewnętrzne imaginacje.

Były to według niego zablokowane pokłady niczym nieskrepowanej wyobraźni, które należy odblokować³¹. Podejście to było zgodne z postulatami francuskich surrealistów, którzy w latach 30-tych XX w. głosili pełne (psychiczne) wyzwolenie człowieka³². Artysta, mimo że wykorzystywał swobodne wizje z pogranicza snu, to w pełni świadomie kształtował swoje obrazy: Mechanizm tworzenia wywodzi się gdzieś

z podświadomości. Najpierw notuję luźnie myśli w szkicowniku, kompletuję skojarzenia, zderzenia różnych światów. Dopiero, gdy widzę obraz „oczymaduszy” pod względem formy i kolorystyki, rozpoczynam malowanie, prawie rzemieślniczą robotę³³. Zmiana podejścia do malarstwa sprawiła, że Z. Stec przestał portretować się na płótnach. Prawdopodobnie ostatnim takim obrazem był Autoportret z prądem, namalowany w 1978 r. Później rysunki z jego podobizną pojawiały się sporadycznie w szkicownikach. Z czasem twarz artysty, często przekształcona i odrealniona, bywała wplatana w wiele kompozycji.

Twórca z jednej strony starał się swobodnie wykorzystywać wyobraźnię, z drugiej, tak jak dawni mistrzowie, skupiał się na perfekcyjnym wykonywaniu rzemiosła. Jego podejście wynikało z fascynacji renesansem, do którego nawiązywał poprzez laserunkową technikę malarską. Starał się też używać ograniczonej, do dwóch kolorów, palety barwnej, którą subtelnie uzupełniał wzmacniając najważniejsze akcenty obrazu. Artysta wyjątkową uwagę przywiązywał do tytułu obrazu, który miał uzupełniać przekaz wizualny dzieła. Zdarzało się, że nowa kompozycja czekała na swoją indywidualną nazwę kilka miesięcy³⁴. Dążenie do perfekcji przyniosło wymierne rezultaty. W 1979 r. jego obrazy trzykrotnie zostały docenione w konkursach dla profesjonalnych artystów. W tym samym roku prace Z. Steca po raz pierwszy zostały pokazane zagranicą, na międzynarodowym biennale „Sport w sztukach pięknych” w Barcelonie. Pracowitość i sukcesy młodego artysty potwierdziło przyznanie mu stypendium twórczego przez Ministerstwo Kultury i Sztuki. Organizowane były kolejne wystawy indywidualne wrocławskiego surrealisty: w 1980 r. w Muzeum na zamku w Kwidzynie, a

w 1981 r. w „Galerii rzeźby” stołecznego BWA³⁵. Wprowadzenie 13 grudnia 1981 r. stanu wojennego i ograniczenia z nim związane, zmusiły artystę do korekty planów wystawienniczych. Kilka zaplanowanych ekspozycji zbiorowych nie odbyło się. Nie zniechęciło to Z. Steca do dalszego rozwoju. Już w 1982 r. jego obrazy znalazły się na międzynarodowym „Biennale Młodych Ekspresjonistów” w Paryżu. Wydarzeniem, które przyniosło twórcy ogólnopolski rozgłos, była druga indywidualna prezentacja w Warszawie — wystawa w KMPIK Galeria „Ściana Wschodnia” w 1984 r. Po niej pojawiły się artykuły o Z. Stecu w prasie ogólnopolskiej, a reprodukcje prac znalazły się na okładkach: tygodnika „Kobieta i życie”, tygodnika „Radar” czy miesięcznika „Morze”³⁶.

W 1986 roku Krystyna Kotuła i Elżbieta Liszka zorganizowały w gmachu głównym MZKiD retrospektywną prezentację prac Zbigniewa Steca pt. „Otwartych oczu sen”. Na ekspozycji znalazło się 90 obrazów i 4 rysunki. Rok później dzieła artysty zostały zaprezentowane w Mohylewie na Białorusi (ZSRR)³⁷. Wystawa ta, również przygotowana przez K. Kotulę, wzbudziła ogromne zainteresowanie wśród nawykłych do realizmu i socrealizmu radzieckich odbiorców. Muzeum, w którym się odbywała, aby ograniczyć liczbę zwiedzających, wprowadziło (po raz pierwszy) płatne wejście³⁸. Nie mogąc stawić się osobiście na wernisażu a jednocześnie chcąc poznać opinie odbiorców, autor obrazów założył księgę pamiątkową, na której stronach widzowie zapisywali swoje wrażenia. Wśród pełnych zachwytów i pochwał wpisów, znalazła się jedna ostra krytyka. Malarz P. Damborski zarzucił Stecowi „głupotę” i „celowe burzenie logiki zdrowego ludzkiego postrzegania”, sugerował chorobę umysłową

oraz porównał go do „zwoleńnika wojny jądrowej i antykomunisty” — Salvadora Dalego. Stwierdził również, że obcowanie z takim malarstwem stanowi zagrożenie dla białoruskiej młodzieży³⁹. Tą krytyczną opinię artysta uznał za wyjątkową i wspominał o niej po latach, w kilku wywiadach. W tym czasie stan zdrowia Z. Steca pogorszył się na tyle, że zamiast, jak do tej pory, podpierać się laską, zaczął korzystać z wózka inwalidzkiego. Zmniejszył także format płócien, aby nadal, mimo fizycznych ograniczeń, tworzyć co najmniej jeden obraz w miesiącu⁴⁰. W 1987 roku Z. Stec miał także wystawę w prowadzonej przez Muzeum Śląskie Galerii „Semafor” w Katowicach⁴¹. Rok później jego prace znalazły się na wystawie młodych twórców „Każdemu czasowi jego sztuka, Arsenał’88”, która była prezentowana w Hali Gwardii w Warszawie. Wśród licznych relacji prasowych z ogromnego pokazu, gromadzącego na jednej ekspozycji około 1000 prac ponad 300 twórców, wymieniane jest nazwisko Zbigniewa Steca jako autora przykuwających uwagę obrazów⁴².

Artysta był zadowolony z odmienności swoich obrazów, zauważalnej na tle malarstwa innych twórców, zwłaszcza na wystawach zbiorowych. Jego zdaniem najgorsze było by ujednolicenie (uniformizacja) sztuki. Doceniał nieobojętny, emocjonalny odbiór swoich prac, uważał, że każdy widz ma prawo do własnej interpretacji dzieła. Nie tłumaczył dokładnie treści przedstawianych na płótnach, co najwyżej opisywał je i wyjaśniał rozmówcom podczas wernisaży, wywiadów czy spotkań autorskich. Kontakt z odbiorcami, poznawanie ich opinii, wysłuchanie uwag i spostrzeżeń zawsze go cieszyło⁴³. W 1988 r.

30 J. Kędzierska, *Świat marzeń Zbigniewa Steca* ..., s. 80–81 oraz K. Kotuła, *Zbigniew Stec* ..., s. 199.

31 M. Fiderkiewicz, S. A. Wiśłocki, *Zbigniew Stec Malarstwo*, Katowice 1987, s. 6 (folder do wystawy). oraz A. Kasela, *Malarz wyobraźni*, „Nowości”, nr 250 (6977), 22 grudnia 1992, s. 6.

32 *Słownik terminologiczny sztuk pięknych*, Warszawa 2002, s. 394

33 Wypowiedź Z. Steca: B. Elert, *Radość tworzenia*, „Kujawy” Regionalny tygodnik społeczno-polityczny PZPR, nr 50 (1004), 9–15 XII 1987, s. 9.

34 M. Fiderkiewicz, S. A. Wiśłocki, *Zbigniew Stec Malarstwo*, Katowice 1987, s. 6.

35 K. Kotuła, *Zbigniew Stec* ..., s. 199 oraz J. Kędzierska, *Świat marzeń Zbigniewa Steca* ..., s. 82.

36 J. Kędzierska, *Świat marzeń Zbigniewa Steca* ..., s. 83–85.

37 K. Kotuła, *Otwartych oczu sen, malarstwo Zbigniewa Steca*, katalog wystawy, Wrocław 1986 oraz K. Kotuła, *Zbigniew Stec* ..., s. 199.

38 K. Котуля, *Сон открытых глаз, живопись Збигнева Стеца*, каталог выставки, Могилев 1987 oraz J. Kędzierska, *Świat marzeń Zbigniewa Steca* ..., s. 86.

39 Księga z wpisami z wystawy, Białoruś, nr inw. MK-42647560/2 S/A.

40 J. Kędzierska, *Świat marzeń Zbigniewa Steca* ..., s. 86.

41 Galeria „Semafor” była salą wystaw czasowych sztuki współczesnej w Centrum Kultury działającym jako jednostka Muzeum Śląskiego w Katowicach.

42 „Kisiel” (S. Kisieliński), *Moje uniki, samotność, odpoczynek*, z cyklu: *Sam sobie sterem...*, „Tygodnik Powszechny” nr 36 (2045), 4 września 1988, s. 8 (strony nienumerowane).

43 A. Kasela, *Malarz wyobraźni*, „Nowości”, nr 250 (6977), 22 grudnia

zorganizował pokaz obrazów w przydomowym ogrodzie przy ul. Bukowej 1 we Włocławku. Rok później, 6 września 1989 r. na dziedzińcu nowego (otwartego pół roku wcześniej) oddziału MZKiD – Zbiorów Sztuki miała miejsce prezentacja dzieł, połączona ze spotkaniem autorskim. Do tego publicznego występu artysta skrupulatnie się przygotował. Świadczą o tym notatki zajmujące ostatnie cztery strony szkicownika z 1989 r. Pokaz wzbudził duże zainteresowanie, a po tym wydarzeniu kilka obrazów znalazło nowych właścicieli⁴⁴.

W 1990 roku artysta odniósł duży sukces komercyjny — wszystkie obrazy z wystawy indywidualnej w Galerii „A” w Poznaniu zakupił szwedzki marszand. W tym samym roku Z. Stec ponownie został stypendystą Ministerstwa Kultury i Sztuki. Rok później otrzymał stypendium The Pollock-Krasner Foundation z Nowego Jorku. Dzięki temu możliwy stał się zakup wózka elektrycznego, na którym mógł zwiedzać rodzinne miasto⁴⁵. Nowy sposób przemieszczania sprawił, że pojawiające się do tej pory sporadycznie w pracach fragmenty widoków z Włocławka, częściej stawały się elementem lub podstawą kompozycji. Stypendium i sprzedaż licznych obrazów nie uchroniły Zbigniewa Steca od problemów spowodowanych zmianami stosunków społecznych i gospodarczych z początku lat 90-tych XX w. Poznański Okręg Związku Polskich Artystów Plastyków nie rozliczył się z artystą za sprzedane w związkowej galerii obrazy, co skończyło się rozprawą sądową, a Muzeum Śląskie w Katowicach nie kwapiło się z zwrotem prac po wystawie „Bóg, diabeł, demony i...”⁴⁶. Natomiast Ministerstwo Kultury i Sztuki nie wypłaciło ostatniej transzy stypendium twórczego⁴⁷. Ponadto w 1992 umarł jego ojciec.

Płótna z tego czasu nie sygnalizują ani problemów, ani sukcesów. Są tak samo perfekcyjne w formie, jak wcześniejsze. Wzmocniła się tylko barwa, a kontrasty chromatyczne stały się intensywniejsze. Obrazy zyskały też silniejszy nastrój oderwanej od rzeczywistości przestrzeni — jakby z pogranicza snu. Stały się wycinkiem spokoju w goniącym za ciągłymi zmianami świecie. Ten rodzaj twórczości uwalniał jego myśli i zabierał go w pozarealną, bezpieczną i pełną uroku rzeczywistość. Liczne, fantastyczne szkice, przekładane później na płótna, były formą wewnętrznego dialogu z otoczeniem i wyrażały wolność marzeń uwięzionego w słabym cielem umysłu⁴⁸.

W 1993 r. Z. Stec otrzymał nominację Międzynarodowego Centrum Biograficznego w Cambridge do tytułu „Międzynarodowy Człowiek Roku 1992/93”. Władze Włocławka wspierały artystę. Szczególnie cenne dla niepełnosprawnego twórcy były wyjazdy do innych placówek, na wernisaże jego wystaw indywidualnych. Organizacją tych podróży najczęściej zajmowała się włocławska Galeria Sztuki Współczesnej (do 1996 r. Państwowa Galeria Sztuki Współczesnej). Kilka razy taką wycieczkę zapewniło Muzeum Ziemi Kujawskiej i Dobrzyńskiej. Dzięki tym wyprawom mógł zobaczyć miejsca i plenery oglądane dotąd w albumach. W 1996 r. był obecny na wernisażach w Koninie, w Częstochowie i w Ustce⁴⁹. Wsparcie instytucji kultury z rodzinnego miasta wpłynęło na malarstwo Zbigniewa Steca. Znacznie częściej tworzył obrazy inspirowane widokami z włocławskich ulic i podwórek, które zazwyczaj przybierały wyraz, pełnych pogody, magicznych ilustracji. Urzędnicy odpowiedzialni

kulturę, starali się wykorzystać jego unikalną twórczość do promocji Włocławka. Powstały kalendarze z reprodukcjami jego prac, a w 1997 został wydany przez Galerię Sztuki Współczesnej we Włocławku album opatrzony wstępem autorstwa Krystyny Kotuli — Kierownika Działu Sztuki MZKiD⁵⁰.

W latach 1998–1999 Jolanta Kędzierska napisała o Zbigniewie Stecu pracę magisterską. Liczne wywiady, spotkania, rozmowy zbliżyły artystę do miłośniczki jego malarstwa. W 2001 Jolanta i Zbigniew zawarli związek małżeński. Uroczystość odbyła się w domu, a ślubu udzieliła urzędniczka stanu cywilnego. W 2002 r. urodził się im syn Filip. Zmiana sytuacji rodzinnej widocznie wpłynęła na szkice oraz na malarstwo. Rysunki w szkicownikach stały się bardziej uporządkowane, zyskały mniej dynamiczną, bardziej stabilną kompozycję, ociepliła się też kolorystyka nowych obrazów. Artysta dużo częściej niż w poprzednich latach tworzył komiczne i prześmiewcze szkice. Powstawały też dopracowane rysunki satyryczne. Kilka lat później, również w tej dziedzinie, odniósł sukces. W dwóch ogólnopolskich konkursach (rysunku satyrycznego) otrzymał I nagrodę⁵¹.

W 2009 r. zmarł jego brat — Andrzej, a rok później matka. Mimo utraty bliskich, wspierających go osób oraz coraz bardziej postępującej choroby, Zbigniew Stec pozostał aktywny na polu sztuki. Nadal malował i tworzył rysunki satyryczne, jakby wbrew swoim ograniczeniom — wystawiał obrazy na wystawach zbiorowych i uczestniczył w konkursach. Regularnie zostawał laureatem „Włocławskich impresji” organizowanych przez Dobrzyńsko-Kujawskie Towarzystwo Kulturalne. Otrzymał również nagrody na przygotowanym przez Galerię Sztuki Współczesnej „Triennale Plastyki Włocławskiej” — w 2009 i 2012 roku⁵². Na przełomie 2009/2010 Urszula Guźlecka z TVP

Bydgoszcz nagrała obszerny reportaż pt. „Malarz snów” w ramach cyklu „Portrety twórców”⁵³.

Postępująca choroba zaczęła utrudniać artyście wykonywanie nawet niewielkich rysunków. Zdradza to rozchwiana kreska widoczna na ostatnich szkicach. Mimo wyraźnych ograniczeń fizycznych tworzył do końca życia⁵⁴. Zbigniew Stec zmarł 11 czerwca 2014 r. Został pochowany w grobie rodzinnym na cmentarzu komunalnym we Włocławku.

Kalendarium twórczości⁵⁵

wystawy indywidualne:
1974 – Włocławek, klub „Krokus”
1975 – Toruń, klub „Iskra”
1976 – Bydgoszcz, klub „Orion”
1978 – Toruń, klub „Iskra”
1978 – Włocławek, Wojewódzki Dom Kultury
1980 – Kwidzyn, Muzeum – Zamek
1981 – Warszawa, Stołeczne BWA, „Galeria Rzeźby”
1982 – Toruń, Galeria PSP
1984 – Warszawa, KMPiK – „Galeria Ściana Wschodnia”
1985 – Konin, klub „Hutnik”
1986 – Włocławek, Muzeum Ziemi Kujawskiej i Dobrzyńskiej, wystawa „Otwartych oczu sen”
1987 – Mohylew, Białoruś (ZSRR), wystawa „Сон открытых глаз”
1987 – Katowice, Muzeum Śląskie, Centrum Kultury, Galeria „Semafor”
1988 – Katowice, w siedzibie Związku Literatów Polskich
1988 – Kraków, Galeria „Pisma Literacko Artystycznego”
1988 – Włocławek, „Narodziny obrazu” – pokaz obrazów
1988 – Włocławek, Galeria PSP
1989 – Izba Kujawska, Gminny Ośrodek Kultury
1989 – Włocławek, Muzeum Ziemi Kujawskiej i Dobrzyńskiej, wystawa „Przestrzenie moich światów”
1990 – Poznań, Galeria „A”
1990 – Włocławek, KMPiK
1990 – Włocławek, kościół pod wezwaniem św. Józefa
1991 – Brodnica, Galeria „Baszta”
1991 – Włocławek, BWA
1992 – Bydgoszcz, Galeria „Gazety Wyborczej”
1992 – Kopenhaga, Ratusz Miejski
1992 – Toruń, Galeria ZPAP „Na piętrze”
1992 – Bydgoszcz, Bydgoski Bank Komunalny
1992 – Gdańsk, „Art Carillon Gallery”
1994 – Toruń, Galeria Twórczości Niepełnosprawnych
1995 – Włocławek, Państwowa Galeria Sztuki Współczesnej, wystawa „Krople wyobraźni”
1995 – Bydgoszcz, BWA, wystawa „Krople wyobraźni”
1996 – Konin, Państwowa Galeria „Wieża Ciśnień”
1996 – Częstochowa, Miejska Galeria Sztuki

1992, s. 6.

44 K. Kotula, *Zbigniew Stec...*, s. 200 oraz Szkicownik Zbigniewa Steca z 1989 r., 154 s. wys. 20,6 cm, szer. 14,8 cm, nr inw. MK-42575/6374-s.

45 J. Kędzierska, *Świat marzeń Zbigniewa Steca...*, s. 87–89.

46 W szkicowniku Z. Steca z lat 1991–1992, 300 s. wys. 25 cm, szer. 17,5 cm, nr inw. MK-42579/6378-s.

47 Wg notatek w szkicowniku Z. Steca z 1992 r., 172 s. wys. 20,7 cm, szer. 15 cm, nr inw. MK-42580/6379-s.

48 L. Sieniawski, *Malarski dialog z surrealizmem*, „Zbigniew Stec” (album), Włocławek 2006, s. 4–5

49 Na podstawie zdjęć z albumów rodziny Stec.

50 Na podstawie materiałów archiwalnych zgromadzonych w MZKiD.

51 W 2005 r. I Ogólnopolskim konkursie rysunku satyrycznego pt. „Teatr” we Włocławku. W 2011 r. w „Manufaktura satyry” II Ogólnopolskim konkursie satyrycznym „Miasto (idealne)” w Żyrardowie.

52 K. Kotula, *Zbigniew Stec...*, s. 201–202.

53 Strona Telewizji Polskiej (<https://www.tvp.pl/program-tv/portrety-tworcow-malarz-snow/5ef1579cd03410f8336d23da>) [dostęp: 14.03.2024] oraz Pomorska (<https://pomorska.pl/wlowlawski-malarz-snow-na-srebrnym-ekranie/ar/7105935>) [dostęp: 14.03.2024].

54 Obraz *Czarna dziura*, olej, płótno, 2014 r., własność Jolanty Stec.

55 Spis wystaw i nagród na podstawie zarchiwizowanej strony autorskiej *Zbigniew Stec Malarstwo* (<https://web.archive.org/web/20100209093656/http://www.stec.wwi.pl/wystawy>) [dostęp: 11.03.2024].

1996 – Ustka, Galeria Bałtycka
 1996 – Sławno, Dom Kultury
 1996 – Darłowo, Muzeum – Zamek Książąt Pomorskich
 1996 – Radziejów, Miejska Biblioteka Publiczna
 1997 – Ciechocinek, Kawiarnia „Uroczą”
 1998 – Inowrocław, Muzeum im. J. Kasprowicza
 1998 – Aabenraa, Dania, Galeria „Jutta”
 1998 – Warszawa, Galeria Prezydencka, wystawa „Na skrzydłach marzeń”
 1999 – Ciechocinek, klub Amazonka – „Prezentacje 99”
 1999 – Bydgoszcz, Galeria „Teatralna”
 1999 – Włocławek, Galeria Sztuki Współczesnej, wystawa „Mój czas, twój czas”
 2000 – Radziejów, Miejska Biblioteka Publiczna
 2001 – Toruń, hotel „Petite Fleur”
 2003 – Toruń, hotel „Retman”
 2004 – Toruń, Galeria „Salvador”
 2005 – Wrocław, „Hotel HP Park Plaza”
 2006 – Włocławek, Galeria Sztuki Współczesnej
 2007 – Włocławek, Dobrzyńsko-Kujawskie Towarzystwo Kulturalne

ważniejsze wystawy zbiorowe:

1975 – Włocławek, Wystawa amatorów
 1977 – Włocławek, Wystawa amatorów
 1978 – Toruń, Frombork, „Człowiek - kosmos”
 1978 – Sopot, „Biennale Młodych Twórców”
 1979 – Toruń, „Malarstwo figuratywne Polski Północnej”
 1979 – Barcelona, Biennale „Sport w sztukach pięknych”
 1979 – Poznań, Ogólnopolski konkurs malarski na obraz im. J. Spychańskiego
 1981 – Getynga, „Współczesne malarstwo i grafika z Torunia”
 1981 – Radom, Ogólnopolski salon zimowy plastyki
 1982 – Radom, Ogólnopolski salon zimowy plastyki
 1982 – Paryż, Grand Palais, „Biennale Młodych Ekspresjonistów”
 1984 – Poznań, Targi Sztuki „Interart”
 1985 – Poznań, Targi Sztuki „Interart”
 1985 – Barcelona, Biennale „Sport w sztukach pięknych”
 1986 – Mohylew i Bobrujsk, Białoruś (ZSRR) „Kujawy i ziemia dobrzyńska w malarstwie i grafice”
 1988 – Warszawa, „Każdemu czasowi jego sztuka, Arsenał '88”
 1989 – Toruń, „Tumult toruński '89” - „Sztuka poza centrum”
 1991 – Katowice i Warszawa, „Bóg, diabeł, demony i...”
 1993 – Warszawa, Szczecin, „Polsko-Czeska współpraca na morzu”
 1993 – Lussac les Chateaux, Francja, „3 x Métaphore”
 1994 – Lens, Bruay la Baisserie, Francja, „Tendances”
 1995, 1996, 1997 – Częstochowa, Sieradz, Wrocław, Słupsk, Elbląg, Włocławek, Radom, Kielce, Wałbrzych, Jelenia Góra, Praga w Czechach, wystawa „Polscy surrealiści”
 1998 – Gorzów, Włocławek, Kołobrzeg - VIII Biennale Sztuki Religijnej
 1998 – Warszawa, Toruń, „V Annale'97”
 1999 – Bydgoszcz, wystawa „Aqua fons vitae”
 2001 – Getynga, Dom Plastyka - wystawa pokonkursowa „Dzieło roku'99”
 2003 – Sztokholm - targi sztuki
 2004 – Berlin, wystawa „Kunstbrücke - Sztuka buduje pomost” - Trzy generacje polskiego malarstwa współczesnego
 2006 – Włocławek, DKTK, „Dziękujemy z Twoją obecność, Ojciec Święty”
 2010 – Toruń, „Dzieło roku”
 2012 – Żyrardów, III Ogólnopolski konkurs satyryczny „Miasto Ogród” w Żyrardowie
 2019 – Włocławek, Zbiory Sztuki MZKiD, „Włocławski alfabet sztuki. Plastyka włocławska II poł. XX w. ze zbiorów Muzeum Ziemi Kujawskiej i Dobrzyńskiej”
 2020 – Włocławek, Zbiory Sztuki MZKiD, „W pracowni artystów. Dzieła, szkice, fotografie, akcesoria malarzy, grafików i ceramików XX–XXI w. ze zbiorów MZKiD i z kolekcji prywatnych”
 2023 – Włocławek, Zbiory Sztuki MZKiD, „Paleta Kujaw. Ikonografia regionu w malarstwie, grafice i rysunku XX w.”

nagrody:

1979 – I nagroda w konkursie malarskim im. P. Michałowskiego w Grudziądzu
 1979 – wyróżnienie w konkursie malarskim „Obraz roku” w Toruniu
 1979 – wyróżnienie w Ogólnopolskim konkursie malarskim im. J. Spychańskiego w Poznaniu
 1982 – I nagroda w konkursie malarskim „Dzieło na zamówienie” we Włocławku
 1983, 1984, 1986 – wyróżnienia w konkursach malarskich „Obraz roku” we Włocławku
 1989 – III nagroda w konkursie malarskim „Obraz roku” w Toruniu
 1989 – wyróżnienie w Ogólnopolskim konkursie malarskim „Prowincja” we Włocławku
 1991 – III nagroda w konkursie malarskim „Zabytki sakralne woj. włocławskiego w sztuce”
 1992 – nagroda „Felix” za osiągnięcia twórcze w 1991 roku ufundowana przez redakcję Gazety Wyborczej
 1994 – I nagroda w konkursie malarskim „Włocławskie impresje”
 1994 – wyróżnienie w I Triennale Plastyki Włocławskiej
 1995 – nagroda „PEGAZ” - Medal Wojewody Włocławskiego dla największej indywidualności w kulturze woj. włocławskiego 1994-1995
 1995 – wyróżnienie w konkursie malarskim „Włocławskie impresje”
 1997 – I nagroda w konkursie „Dzieło roku'96” w Toruniu
 1997 – nagroda ZPAP na „Annale'96” w Toruniu
 1997 – wyróżnienie w konkursie „Włocławskie impresje”
 1997 – II nagroda w II Triennale Plastyki Włocławskiej
 1998 – wyróżnienie „Vinpola” w konkursie „Dzieło roku'97” w Toruniu
 1998 – nagroda Wojewody Włocławskiego na „V Annale'97” w Toruniu
 1998 – wyróżnienie w konkursie „Włocławskie impresje”
 1999 – nagroda Prezydenta Włocławka
 2000 – wyróżnienie w konkursie „Dzieło roku'99” w Toruniu
 2000 – II nagroda w konkursie malarskim „Włocławskie impresje”
 2000 – wyróżnienie honorowe w III Triennale Plastyki Włocławskiej
 2002 – III nagroda w konkursie malarskim „Włocławskie impresje”
 2003 – Nagroda Główna Prezydenta Włocławka w konkursie malarskim „Włocławskie impresje”
 2004 – wyróżnienie honorowe w konkursie malarskim „Włocławskie impresje”
 2005 – I nagroda w I Ogólnopolskim konkursie rysunku satyrycznego pt. „Teatr” we Włocławku
 2005 – I nagroda w konkursie malarskim „Włocławskie impresje”
 2006 – I nagroda w konkursie „Włocławskie impresje”
 2007 – I nagroda w konkursie „Włocławskie impresje”
 2009 – II nagroda w konkursie „Włocławskie impresje”
 2009 – III nagroda w VI Triennale Plastyki Włocławskiej
 2011 – I nagroda w konkursie „Włocławskie impresje”
 2011 – I nagroda w II Ogólnopolskim konkursie satyrycznym „Miasto (idealne)” w Żyrardowie
 2012 – II nagroda w VII Triennale Plastyki Włocławskiej

Postrzeganie świata przez pryzmat sztuk pięknych

Isabella Degen

Życie twórcy, to niespokojnie płynący strumień wydarzeń, przemyśleń, doznań artystycznych, wewnętrznych burz i ciągłych poszukiwań. Prawdziwy artysta nie zaznaje spokoju, przeżywa wewnętrzne rozdarcie, wciąż dążąc do doskonałości, aby ocalić w sobie coś z dziecka i zatrzymać ten pierwszy zachwyt wszechświatem.

Poruszanie się w świecie sztuki, stwarza możliwość poszerzenia wizji widzenia globalnego. Świat twórcy to światła błyskawic, światła poranka i zmierzchu w tęczy, przenikanie się kolorów. Często te odczucia przekraczają sferę ziemskiego widzenia.

Pisarz i malarz nie lekceważą niczego, co mogłoby rozszerzyć ich horyzonty widzenia.

Wchodząc w świat innych dziedzin sztuk pięknych: rzeźby, muzyki, architektury, niezwykle wzbogacają swój świat wewnętrzny.

Natchnienie lub wena twórcza to coś, czym określa się pierwiastek duchowy dzieła, obojętnie czy jest to powieść czy namalowany obraz. Każde takie dzieło zawiera w sobie doświadczenia, myśli i przeżycia autora.

Greckiemu poecie, Simonidesowi z Keos (556–469 p.n.e.) – twórcy epigramatu zawdzięczamy frazę: „Malarstwo jest milczącą poezją, a poezja – mówiącym malarstwem”.

Niektóre prądy w sztuce uczyniły malarstwo i literaturę sztukami siostrzanymi. Takie związki notowano w Romantyzmie i Młodej Polsce, jak również w sztukach XX wieku. Obie te dziedziny sztuki wzajemnie się inspirują, są lustrami i przeglądają się w sobie nawzajem.

Bywa, że po przeczytaniu: opowiadania, powieści, reportażu, nie pozostaje nam w

pamięci nic poza gromadką bezbarwnych postaci. Pomimo starań nie możemy przypomnieć sobie tych bohaterów, ponieważ autor nie wyposażył ich w żaden żywy rys charakteru. Szarość ta nie wynika tylko z ubóstwa duchowego i niewiedzy autora, ale również z obojętności i ignorancji. Aby naprawdę ciekawie pisać, trzeba samemu stać się uczestnikiem zdarzeń lub przeżywać je razem z bohaterami. Są takie utwory, które, gdy czytamy, odnosimy wrażenie, że się dusimy, brakuje nam powietrza. Mamy uczucie, że coś musi się stać, przyjść jakiś huragan, burza i zburzyć tą duszną atmosferę. Lub odwrotnie, płyniemy z fabułą książki i nie możemy się od niej oderwać.

Pisarz, malarz nie może lekceważyć niczego, co poszerza jego horyzonty. Natchnienie może też płynąć z dzieła wielkiego mistrza, takiego jak Salvador Dali. Będąc w Figueras i Cadaques, przeżyłam zderzenie z tą sztuką, która zachwyciła mnie swą szaloną ekstrawagancją, a zarazem metafizycznością. Jego obrazy obudziły we mnie inspiracje do tego stopnia, że zaczęłam świadomie lub podświadomie adaptować elementy jego dzieł do moich obrazów i do poezji. Dla artysty natchnieniem może być dzieło innego malarza lub pisarza, które poruszyło jego zmysły do głębi i wyzwoliło własną ideę przetworzenia tego dzieła na swój indywidualny sposób.

Nie wierzę malarzom, którzy nie lubią muzyki ani literatury, nie wierzę pisarzom, którzy nie lubią malarstwa. W najlepszym wypadku są to ignoranci, hołdujący tylko temu, co sami tworzą.

Natura, przyroda również jest naszym natchnieniem, bo jesteśmy nieodłączną częścią jej wszechświata. Prawie każdy artysta kocha przyrodę i na swój indywidualizowany sposób potrafi ją odbierać. Nie zawsze jest to cudowne uczucie kontemplacyjne, czasem przeradza się w ból, chęć protestu lub gniew.

Pamiętam, że kiedy mieszkałam w pobliżu lasu, odgłos wycinanych drzew, powodował u mnie fizyczny ból, nie wiedziałam dokąd uciec, aby nie słyszeć elektrycznych pił i odgłosów upadku drzew. Wiele razy doznaję uczucia gniewu na widok bezmyślnego niszczenia przyrody. Zachowanie krajobrazu w jego niezmienionym, naturalnym kształcie, to sprawa wagi państwowej, sprawa patriotyzmu i umiłowania ojczyzny.

Oddziaływanie estetyczne przyrody jest silne. Bez niego nie mielibyśmy tak olśniewających twórców: poetów, pisarzy i muzyków, jakimi byli: Mickiewicz, Słowacki, Norwid, Sienkiewicz, Chopin, Moniuszko, Szymanowski, Wieniawski, Matejko, Chełmoński, Podkowiński i wielu innych. Wszyscy artyści zawsze szukali i szukają inspiracji twórczej w otaczającym ich wszechświecie. Rzeczą zrozumiałą jest, że przyrodą zachwyca się ten człowiek, który ją kocha.

Miłość do ojczystej przyrody jest istotnym przejawem miłości do rodzinnego kraju. Uczmy więc młode pokolenia patriotyzmu poprzez sztuki piękne, poprzez szacunek do przyrody i do całego wszechświata.

Pejzaż działa na nas zawsze, niezależnie od tego, jak bliski jest naszym odczuciom i czy wiernie oddaje koloryt narodowy czy regionalny.

Mieszkałam kiedyś na Mazowszu i do dzisiaj wspominam ten bezkresny horyzont z polskimi wierzbami. Stare pnie ze sterczącymi gałęziami latem pokryte liśćmi, które w szu-

mie wiatru przypominały muzykę Chopina. Wiosną natomiast sterczały rozczapierzone, usiane srebrnymi baziami, ciepłymi w aksamitnym dotyku. Czuło się, że bazie są żywymi istotami, które chłoną całe ciepło wiosennego słońca. Kochałam ten krajobraz, choć czasem bywał szary, ale z szarością i podmuchem północnego-wschodniego wiatru, był piękny w swej nostalgii.

Podczas podróży zachwycałam się często egzotyką obcej roślinności, ale nie przystąpiła mi ona jednak w żaden sposób naszej rodzimej przyrody. Przez kilka lat mieszkałam na Wyspach Kanaryjskich. Naturalnie urzeczona byłam pięknem i ciekawą subtropikalnością. Z pasją malowałam tamtejsze krajobrazy.

Podróżując przed wielu laty, podziwiałam przyrodę śródziemnomorską, kolor Morza Adriatyckiego, różowo-niebieską, prawie fioletową poświatę nieba nad Wenecją. Latami wspominałam swoje pobyty na Sycylii, gdzie zachłysnęłam się zderzeniem kultury: greckiej, rzymskiej i arabskiej. I jeszcze do dziś... wspominam to bajeczne powietrze Sycylii, przepełnione zapachem kwitnących migdałów i pomarańczy, czerwone jak ogień drzewa oleandrów na ulicach w Taorminie. Wspaniały i bezkresny widok z drogi do wulkanu Etna, gdzie czasem wiosną ukazywały się w dali kontury Półwyspu Apenińskiego.

Nic jednak nie zatrze pamięci emocjonalnej o ojczystym kraju, wręcz przeciwnie jeszcze boleśniej ją wyostreży. Doświadczylam tego wiele razy, kiedy przyjeżdżałam na plenery malarskie i bardzo osobiście odbierałam nasz rodzimy krajobraz. Nigdy nie zamienię tych polskich krajobrazów na wspaniałe piękno Wysp Kanaryjskich czy sycylijskich.

Tu zieleń jest jakby zieleńsza, kwitnąca kończyna, stokrotki budzą wspomnienia i ten zapach przyrody wyzwala uczucie przywią-

zania. Wszystko wydaje się bezcenne i tak jest rzeczywiście. Trawy, drzewa, pagórki, łany dojrzałego zboża, jakby zasłuchane w dźwięki dzwonu z pobliskiego wiejskiego kościółka, poruszają we mnie emocje więzi z ziemią ojczystą i czasem powodują wzruszenie. Kwiaty polskie też pachną inaczej. Gęste kiście akacji, wilgotne z mieniącymi się srebrnym płatkami, odurzają swym zapachem. Róże wszelkich wielkości i kolorów: od złotej, purpurowej do bladoróżowej, przyciągają swą pięknnością każdego, kto na nie popatrzy.

Może właśnie dlatego lubię malować pejzaże, bo one są jak niespodzianka. Lubię też podziwiać obrazy innych malarzy, moich kolegów z pleneru, każdy widzi niby to samo, lecz inaczej. Ile dusz, ile par oczu, tyle różnych wizji tego samego krajobrazu. To fascynujące, że światło i barwy każdy odbiera inaczej, każdy widzi w tym samym coś innego. Przenikające kolory, proporcje, wypukłości, wyrazistość kształtu, rytm i melodie, budzą duszę artysty.

Prawdziwy malarz-pejzażysta pracuje w plenerze o każdej porze roku, niezależnie od pogody, nawet wtedy, kiedy pada deszcz i woda zlewa się z farbą, kiedy wiatr wyszarpuje mu blejtram, a ręce kostnieją z zimna. W przeciwnym razie, nie zobaczy tych barw deszczowego dnia, nieprzytulnej szarości, czerni nieba i całej gamy kolorów jesiennej słoty.

Barwy i światło w naturze nie tyle trzeba obserwować, ile po prostu żyć nimi. Tworząc dzieło sztuki, należy posługiwać się tylko tym, co zdobyło miejsce w naszym sercu. Tym co nas poruszyło do głębi i wyzwoliło najsilniejsze uczucia. Gdy kontemplujemy, budzi się w nas niepokój poprzedzający katharsis lub coś w rodzaju orgazmu. Wiem dobrze, jakie silne uczucia może w nas obudzić piękno natury lub piękny obraz, rzeźba,

obiekt naszej kontemplacji.

Przed laty odwiedziłam w Londynie Narodową Galerię Sztuki, która mieści się przy Trafalgar Square. Są tam bogate zbiory z ostatniego tysiąclecia, a jako że jest to galeria państwowa, udostępnia je bezpłatnie, będąc w Londynie warto ją odwiedzić. Szukałam tam obrazów weneckich malarzy, a właściwie obrazu Francesca Guardi, którego zawsze podziwiałam za wspaniałe kolory weneckiego nieba. Obraz „Wenecka Laguna” jest mały - lecz w swej wspaniałości wielki.

Malarz często dostrzega to, czego inni nie widzą, lecz dzięki obrazom otwierają się im inne perspektywy. Dzieła takich twórców, jak Rafael, Michał Anioł, Da Vinci, można podziwiać godzinami, im dłużej się człowiek w nie wpatruje, tym silniej wzbiera w nim niepojęte wzruszenie. Zawarta w tych obrazach doskonałość duchowa, wyzwala moc geniuszu i pobudza, aby stworzyć nowe dzieło.

Od dawna wiadomo, że sztuka wymaga od artysty bezgranicznego poświęcenia. Często obalenia reguł, stworzonych przez innych, i poruszania się własnymi drogami. Tylko wtedy można osiągnąć ową magiczną, metafizyczną siłę, która popycha nas w życiu do tego, aby tworzyć. Sztuk pięknych nie da się ujednolicić i zamknąć w określonych formach. Sztuka pisania poezji, malowania, komponowania muzyki jest organizmem żywym, tak żywym, jak ludzie, którzy ją tworzą. Dla każdego twórcy to, co stworzył, jest jego własnością duchową i fizyczną, jest jakby jego nowo narodzonym dzieckiem, z którym wiąże go nierozdzielna więź.

Życie artystów i twórców jest z reguły trudne, ale cytując Zbigniewa Herberta „...”, tylko życie trudne jest godne artysty” (z listu do studentów PWST, Warszawa 12.01.1995).



Tęsknota Krzysztofa Karaska do miłości

Stanisław Dłuski

Obłoki i chmury płyną po niebie nie tylko poezji polskiej: samogłoska „o” jest jasna, „u” ciemna! Z dużej, czarnej chmury, stratus – wielki deszcz, burza; obłoki, nadęte cumulusy wróżą pogodę i dają nadzieję zatroskanym ludziom. Spółgłoski lub konsonanse, choć zgrzytają czasami w zębach jak piach rzeczny (phanta rei), tworzą rym, rytm, muzykę katastrofizmu. Sprzeczności są odbiciem naszego świata. Takie melodie odnajdziemy w poezji Krzysztofa Karaska (rocznik 1937):

*Czy się nie rozpułnę
w chmurę, w obłok? Czy nie zniknę?
(...)
obłoki kwiliły na niebie jak gromadka
/przerażonych dzieci,
lecz wkrótce zerwał się wiatr
i przetartł horyzont...
(Rewolucjonista przy kiosku z piwem, 1997 r.)*

Chmury, obłoki - kiedy poeta w dzieciństwie leżał na zielonej łące, z palcem w ustach, zdumiony urodą świata i z przerażaniem w oczach (te antynomie i paradoksy tworzą wyobraźnię Karaska), bo w oddali słyszał było sztukasy (zob. poemat „Podwórze”), odległe echa wybuchów, strzały w ruinach Warszawy – lot ptaka nad ziemią i tęsknota za rewolwerem, by zabić w sobie miłość; to taka forma poetyckiego samobójstwa, bo jak mawiał Ryszard Kapuściński, przyjaciel poety, dla siebie trzeba być surowym. Pisali też Ojcowie Pustyni: miej serce żelazne w samotności, kiedy trzeba zmagać się z diabłem, który szczególnie kusi ascetów i artystów.

Życiorys, najważniejsze prymarne doświadczenia, które określiły późniejszy los autora „Warszawianki”, w 1974 roku zapisuje on w poemacie, który zgodnie z zaleceniem Miłosza nie jest zaledwie poezją ani prozą – w

kinie szły <<Jasne łany>> uczyłem się życiorysu Soso, gdy robiło się ciepło, czerwień wypełniała miasto/ szliśmy na pochód 1-majową defiladę; potem było Boże Ciało, nauczyciele płakali z głośników/ dochodziły dźwięki Marsza Żałobnego... (potem powiedziano mi że umarł Stalin) (Kwidzyn 1947-1953). Kiedy przychodzi odwilż październikowa, poznaje Tomasz Burka i zostają przyjaciółmi do końca... bez końca.

*

Artur Nowaczewski, młody krytyk i badacz trafnie zauważa w wydanej ostatnio książce Challenger. Metamorfozy poety w twórczości Krzysztofa Karaska (m. in. metoda biograficzno-kontekstualna): Karasek to twórca, który z poezji uczynił swoją filozofię życia. Poezja wymaga totalnego oddania, ale cenę za to płaci się ogromną; życie na marginesie społecznym, bieda, szaleństwa serca.

Autora Godziny jastrzębi (1970) nie da się przypisać do żadnego modnego nurtu, choć obce mu będzie wszelkie stylizatorstwo, nie znosi imitatorów, sam prowadzi twórczy dialog z poprzednimi pokoleniami, przyznaje się do mistrzów i deklaruje wprost, że Artur Rimbaud dokonał przewrotu kopernikańskiego w poezji (jak Kant w filozofii). Z pewnością odnajdziemy tu nieustanną pogoń za formą, bo między wierszami z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, a późną twórczością widzimy ogromny skok jakościowy, chociaż wciąż łączy je przekonanie, że świat i nasze życie to tajemnica; poeta próbuje się uparcie przebić przez tę ziemską zasłonę. Nieustanne są te metamorfozy Karaska, ale pozostaje tożsamość rewolucjonisty („bunt metafizyczny”, zob. A. Camus, Człowiek zbuntowany) i orficka czułość dla gwiazd, traw, ptaków. Wielu zadziwiają te sprzeczności u wybitnych autorów, ale poezja to przecież odbicie naszego świata, który jest rozdarty przez różne skrajności, w samym człowieku

od prapoczątku trwa walka między dobrem a złem. Biblijny naród wybrany też ulegał wielu pokusom.

Starszy niż koledzy z Nowej Fali, wyprzedził ich – jak to dawno zauważył Zbigniew Herbert na łamach tygodnika „Solidarność” - o kilka długości, a sam przecież w młodości uprawiał aktywnie sport, i to z sukcesami (absolwent AWF Warszawa, skok o tyczce). Dla tego poetyckiego rozbitka, nie tylko w sensie egzystencjalnym i ontologicznym („płynność bytu”) – żeglujecie przecież na tratwie po oceanach świata, najważniejsza jest jednak „autobiografia intelektualna”. Niestety dzisiaj dla wielu interesujące jest to, ile poeta wypił, ile kobiet miał, jakie ma poglądy polityczne, etc.! Literaturę zniszczyła kultura masowa, która każe zaglądać do sypialni czy podziwiać alkoholików, którzy szukają ulgi przywaleni ciężarem życia.

Oprócz wizyjnego romantyzmu (Słowacki, Krasiński) czy IV części Dziadów, istotne tutaj jest, jak słusznie zauważa Nowaczewski, „dziedzictwo francuskiej awangardy”. Mamy tu szeroki międzykulturowy dialog (przekłady obcej poezji, muzyka, malarstwo), stąd potrzeba czytania intertekstualnego, żeby zobaczyć w jak rozległej przestrzeni intelektualnej, powstaje ta twórczość. Erudycja jest tutaj jednak przetrawiona, tak naturalna jak oddychanie powietrzem.

Karaskowi od dawna bliski był mit o Orfeuszu, co spokrewnia go z jednym z mistrzów Adamem Ważykiem (od tomów Czerwone jabłuszko, 1994 oraz Święty związek, 1997), antycznym muzyku-mistrzu, prefiguracji poety, krytycy mówią nawet, że warszawski poeta stworzył tzw. „szkołę orficką”, choć taka teza wydaje mi się dość ryzykowana, wszelkie grupy poetyckie zbyt długo nie przetrwały, poza tym historia trackiego śpiewaka ma wiele wariantów, sam związek muzyki i słowa to za mało, bo wielu poetów dzielą dzisiaj kwestie światopoglądowe i stosunek do tradycji. Poza tym większość poetów dzisiaj – moja przewrotna teza - to imitatorzy sprawni warsztatowo. Zamiast wizji, wolą się oglądać w telewizji. Media rządzą dzisiaj naszymi wyborami i dość po-

wszechna stała się szydera, która zaślania duchową pustkę i brak celu w życiu; pozostaje ludziom taki powszedni egzystencjalizm i konsumpcja. Karasek żyje osobno, poza tymi ponowoczesnymi zawodami na sportowym ringu. Czy jest dla niego miejsce w gospodarstwie polskiej poezji dzisiaj?

U poety z Warszawy wraca to wyśmiewane przez awangardy natchnienie (wena), obecne już w czasach archaicznych, „poeta ma szczególną relację z inspirującymi go bóstwami, Muzami, które zarazem oddalają go od ludzi” (F. Graf, Orfeusz: poeta wśród ludzi, „Kronos” 4/2011, s. 133). Do Karaska pasują bardzo określenia: „szaman”, „orfik”, „pustelnik”, a sam Zbigniew Bieńkowski, najważniejszy z mistrzów, nazwał go „mnichem na urlopie”.

Orfeusz, jak go widzi Fritz Graf, przekroczył granice człowieczeństwa „w oczarowaniu zwierząt, drzew i skał obudził zdolności muzyczne w Lesbijczykach i ich słowikach”. Uważano go za autora „poezji teologicznej”. Poezja i magia nie są tak odległe od siebie (zob. archaiczna spójność poety, jasnowidza i maga – N.K. Chadwick, Poetry and Prophecy, Cambridge 1942). Trzeba tu jednak być ostrożnym i zachować należyty dystans, bo „orfizm” – jak przestrzega Krzysztof Bielawski – stał się wśród poetów swoistą modą (wykład podczas Kolokwium Orfickich w Nieborowie). Podobnie mówi Martin L. West: „Orfizm? To moda na przywoływanie Orfeusza jako autorytetu”.

Z przykrością dawno zauważyłem, że w środowisku literackim wielu lubi się podpierać autorytetem Karaska, choć smutek budzi we mnie fakt, że rozpowszechnia się plotki o prywatnym życiu poety (wszystko na sprzedaż?). Dużo w tym niestety hipokryzji. Jeśli ktoś czuje się święty, niech osądza, ale pamiętajmy, że nie święci garnki lepią. Zostawmy na boku te krytycznoliterackie spory, choć sam powrót do starożytnego dziedzictwa może być zawsze ożywczy dla ludzkości, tam bowiem można odnaleźć wciąż żywe idee, które pozwolą nam na nowo przemyśleć kosmologię i świat, który nie ma początku i końca. Sceptyków jest pewnie tak dużo jak mrówek, stąd zmierzamy – moim

Rzecz o interpretacji

Walentyna Karwowska

nieskromnym zdaniem - do zagłady, bo żyjemy tylko w przestrzeni horyzontalnej, wymiar wertykalny (Ziemia-Niebo, góra-dół) przestał istnieć, pozostały rytuały, religia jako biznes, wielkie pojęcia, które już nic nie znaczą...

„Intuicja” i „instynkt”, są u Karaska (podobnie u Zbigniewa Bieńkowskiego) przewodnikami na drodze do Edenu, dzięki nim poznajemy inne wymiary Rzeczywistości, schodzimy do Hadesu wyobraźni, otchłani snów, ale też unosimy się ponad tym naszym „padołem płaczu”. Scjentyzm i racjonalizm zabity w nas uczucia, emocje, czułość dla drobiazgów życia, wrażliwość dla opuszczonych, biednych i „wydrążonych”. Karasek zawsze był po stronie przegranych. Rimbaud, wizjoner, na paryskich salonach puszczał „metafizycznego baka” i na koniec wzgardził laurem arcypoety, bo zbyt dobrze poznał nędzę, cierpienie, piekło stworzone przez człowieka.

Nowaczewski słusznie zwraca uwagę, że do wierszy Karaska „warstwa życia osobistego w zasadzie nie przenika, poeta zaciera, płacze ślady”. Przeciętny czytelnik nie docenia mechanizmów wyobraźni, wizyjności, kreacji autonomicznych światów, wciąż pokutuje prostacki „biografizm”, wielu na podstawie powierzchownej lektury wierszy, układa swój fantastyczny życiorys poety. Najważniejsza to wydobyć z tekstu sensy głębokie, słowa mają całe bogactwo znaczeń i odniesień, często kontekst zmienia pierwotny sens, rzecz jasna cała warstwa symboliczno-metaforyczna pozostaje zawsze dyskusyjna i instrumentacja zgłoskowa sporo mówi o duchowości poety. Muzyka świata, muzyka człowieka, śpiew ptaków i dźwięki Natury – to wszystko funkcjonuje w tej poezji na różnych poziomach języka.

*

Ostatni tom Karaska z 2020 roku łączy powagę, wzniosłość stylu, z humorem i wieloznaczną ironią. Wzgórza anarchii mieszczą w sobie awangardowy dyskurs z klasycznym ładem i liryzmem, romantyczne wizjonerstwo z prozaicznym opisem egzystencji, nie

da się tego polifonicznego tomu zamknąć w jednej, zgrabnej formule, to anarchizm serca, który przenika się z głodem „mnicha na wygnaniu”.

Jednak czy „anarchia” zawarta w tytule dzieła, nie jest przewrotną antytezą jego treści? W gmachu własnych doświadczeń i myśli poeta stara się uporządkować swój świat. Szczególny nacisk kładzie na doskonalenie prywatnej percepcji poetyki. Karasek zadaje pytania, które (zdawać by się mogło) nie mogą być zadane. Kwestia istnienia składni po awangardowych eksperymentach, sztuka narracyjna czy rozważania genologiczne na temat gruszkowego kształtu sonetu, współtworzą ład myślowy Karaska wespół z rubasznymi życzeniami, składanymi córce w dniu ślubu.

Wzgórza anarchii – wbrew przewrotności tytułu – stają się równiną uporządkowania, absolutnym ładem myśli, których częściami składowymi są refleksje, zapożyczone od intelektualistów z całej szerokiej gamy dziejów i specjalizacji – od filozofów, po malarzy, poetów, kompozytorów czy śpiewaków. W niniejszym dziele Krzysztofa Karaska duchowi towarzysze najwyższych doświadczeń spotykają się, ścierają, docierają, walczą o percepcję poety, który z wierszy rozumnych ociekających klasycyzmem przemawia do nas głosem żadnego ładu mędrca – do nas, obywateli „wzgórz anarchii”.

„Poeta – jak czytamy o Hölderlinie – jest miłością, to jego miłość sprawia, że bogowie krok po kroku zstępują ku ludziom, dają wszystko wszystkim, lecz zarazem miłość uniemożliwia wszelkie pośrednictwo, gdyż <<wiąże się tylko z Jedynym>>” (M. Blanchot, Święte słowo Hölderlina, przeł. P. Herbrich, „Kronos” 4/2011, s. 148).

Z wierszy Krzysztofa Karaska tryska właśnie „głębia”, która wszystkim wstrząsa i zmienia nas zwykłych zjadaczy chleba w anioły.



Kto jest twórcą interpretacji? Może powstała w sposób naturalny, jak życie na Ziemi.

Obecnie interpretacji podlega niemal wszystko. Najbardziej zajmuje mnie jednak interpretacja dzieł sztuki, pod którymi podpisuje się dany autor, twórca.

Sztuką można nazwać prawie wszystko, ale będę rozważać interpretację: literatury, ze szczególnym uwzględnieniem poezji, malarstwa, szczególnie abstrakcyjnego, rzeźby, w tym również abstrakcyjnej i grafiki.

Interpretacja, jest jak mniemam poza analizą treści, podpowiedzią, prowadzeniem, wyjaśnieniem narzucaniem jednej drogi myślowej, która staje się obowiązującą normą, której nikt już nie ośmiela się zmieniać. Śmiało wchodzi w twórczość autora, pomija wrażliwość, zmienia, fałszuje, czasem wzbo-gaca dzieło.

Jeśli przyjmiemy, że zadaniem interpretacji jest wydobywanie ze sztuki prawdy, piękna lub dobra, to w tym zbliża się ona do filozofii. Sztuka jest adresowana do wszystkich, więc i jej interpretacja powinna być kierowana do każdego. Odbiorcom często wydaje się, że wiedzą, czym jest prawda, piękno, dobro, tak samo jak to, czym jest szczęście, radość, samotność, miłość. Wszystkie te pojęcia nie posiadają wyraźnych ram ani granic; one się przenikają, są płynne i postrzeganie ich jest bardzo subiektywne.

Jeśli interpretacja jest zgodna z zamysłem autora, to każda inna będzie poszerzeniem oddziaływania dzieła na odbiorcę.

Według mnie myśl, plan i efekt twórczy autora są najważniejsze i najprawdziwsze, ale też odnoszę wrażenie, że oczekuje się od odbiorcy takiej interpretacji, której już ktoś wcześniej dokonał, jako tej jedynie słusznej. Jest to sprawa bardzo indywidualna, za-

leżna od intelektu, wyobraźni, psychiki, wrażliwości, a także wcześniejszych doświadczeń. Nie zawsze wynika z niej pomysł autora, zdarza się, że żaden odbiorca nie poczuje tego, co autor chciał wyrazić i przekazać. Wydaje się, że najprościej rzecz się ma, gdy autor przedstawia autobiograficzne doświadczenia i przeżycia, ale nie zawsze ma ochotę to ujawnić, i czasem celowo prowadzi odbiorcę innymi ścieżkami, tak by myśl odautorska pozostała niewykrywalna, nawet mimo wnikliwej analizy jego twórczości.

Sztuka i jej efekt- nie jest zagadką w jej dosłownym znaczeniu, mimo swojej zagadkowej i niejasnej natury.

Nie chcę, jako odbiorca, czuć narzucania interpretacji; czym innym jest bowiem swoboda rozumienia, a czym innym obowiązek. Interpretując sztukę, mogę to zrobić inaczej niż ktoś mi to narzuca, nawet jeśli tym kimś jest sam autor. Chęć wpływania na zmianę mojej interpretacji, jest już formą odbierania mi wolności.

Często odgórna interpretacja jest tak przekonująca, że ulegam jej i zmieniam swój pogląd na dane dzieło, ale proces ten jest moim wyborem.

Wydaje się jednak, że interpretacja jest najtrafniejsza wtedy, kiedy jest zindywidualizowana, konstruktywna oraz zgodna z rozumieniem i odczuciem odbiorcy.

Interpretacja jest formą krytyki, recenzją, a zatem na prawo być nawet tendencyjna. Może ona nas zachęcać lub zniechęcać; a bywa, że ulegamy jej treści jak najbanalniejszej reklamie, oczywiście, że nie zawsze i nie wszyscy.

Według mnie najważniejszą osobą pozostaje tu autor - twórca i to on ponosi największe konsekwencje i skutki niefortunnej,

szczególnie szkodliwej interpretacji. Najlepiej, jeśli pozostaje ona zgodna z zamysłem autora i swoją treścią dodaje dziełu, a nie odbiera. Tutaj, prawie słyszę zarzut, że może być niezasłużona, ale skoro sztuka autora ujrzała światło dzienne, to czy zasługuje na bezwzględną negację? Istnieje skala ocen i należy z niej korzystać, żeby uniknąć gilotynowania, zarówno autora jak i jego sztuki. Narzucanie interpretacji (choćby w szkolnictwie) jest jak tworzenie i nakłanianie do religii, wiary, na zasadzie: nie rozumiem, ale wierzę.

Trochę inaczej wygląda interpretacja sztuki autora nieżyjącego. Wówczas pomocą może służyć znajomość: genezy, historii, czasów, w których dzieło powstało, albo pomoc osób mu bliskich.

Poza tym każda interpretacja powinna być akceptowana (może być ich nawet tak wiele, jak wielu jest odbiorców) i nacechowana swobodą wypowiedzi oraz rozumienia; powinna istnieć równolegle z interpretacją odautorską, jako jedna z wielu.

Indywidualny odbiór sztuki jest bardzo cenny: autor może być usatysfakcjonowany tym, że powoduje u odbiorcy szerokie widzenie, samemu czerpiąc z tego energię do dalszej twórczej pracy.

Jeśli sztuka z natury swojej jest adresowana do każdego oddzielnie i oczekuje różnych opinii, w oparciu o zasadę, że sztuka nie ma granic, wówczas znikają wszelkie ograniczenia w kwestii interpretacji.

Czyż interpretacja cegokolwiek, poza swą podstawową rolą, nie jest związana albo równoznaczna z indywidualnym rozumieniem, oceną, osądem, pochwałą, uznaniem, zachwytem, naganą bądź zwątpieniem? Czyż nie jest to właśnie wolność słowa, rozumiana i wypowiedziana tak, żeby nie okazała się siłą niszczącą; wszak słowa mają potężną moc?!

Należałoby zatem wykluczyć szko-

dliwość interpretacji, brak obiektywizmu i życzliwości.

Różnorodność interpretacji sztuki daje odbiorcy, możliwość różnorodnego rozumienia i odczuwania poprzez sztukę wszystkich pojęć, które się przenikają; pozwala na indywidualizm.

Czyż nie powinien istnieć obowiązek autora do umieszczania własnej interpretacji, a następnie oczekiwanie na pozostałe, dokonywane przez każdego odbiorcę?

Czy gdyby interpretacja autora była obowiązkowa lub była wynikiem woli autora, to kłopotliwym okazało by się pytanie o miejsce, w którym umieścić rozwiązanie, czyli interpretację autorską, żeby stanowiła ukrytą odpowiedź.

Czy to w ogóle możliwe w odniesieniu do dziedzin sztuki wymienionych na wstępie?

Sztuka nie zna granic. Interpretacja również. Nieznane są możliwości człowieka, ale chęć poznawcza jest motorem twórczości.



Z cyklu: Impresje polskie w niemieckim krajobrazie literackim

Christian Medard Manteuffel

...à propos Marcel Reich-Ranicki

„...żeby umieć rozróżnić jedno od drugiego...”



(...) Die polnische Literatur hat damals, als der polnische Staat nicht mehr existierte, immer mehr Pflichten als Rechte gehabt. Die Polen hatten sich der Germanisierung und der Russifizierung zu erwehren. Die Literatur sollte die Nation zusammenhalten, die auseinanderzufallen drohte, den Staat ersetzen, den es nicht mehr gab. Von den Schriftstellern und Künstlern wurde stets erwartet, dass sie alles auf dem Altar des Vaterlandes opferten. Adam Mickiewicz hat es Chopin verübelt, dass er Walzer und Mazurken komponierte, die immerhin genial waren. Er verlangte von ihm allen Ernstes eine polnische Nationaloper. Ein polnischer Kritiker der zwanziger Jahre ging sogar so weit, zu erklären: „Wir haben gar keine Literatur. Wir haben ein patriotisches Mädchen für alles.“ (...)

Frankfurter Allgemeine Zeitung z 6. marca 2011 w cyklu: „Fragen Sie Marcel Reich-Ranicki“

*

Ten najwybitniejszy niemiecki krytyk literacki końca XX wieku, który sam o sobie powiada: Jestem w pięćdziesięciu procentach Polakiem, w pięćdziesięciu Niemcem, ale w stu procentach Żydem, pisze w swojej autobiograficznej książce „Mein Leben” („Moje życie”): (...) Moim rodzicom ich tożsamość nie stwarzała absolutnie żadnej troski. Nie myśleli nad tym i myśleć nie musieli. Mój ojciec, David Reich, urodził się w Płocku, pięknym polskim mieście nad Wisłą, na północny zachód od Warszawy. (...)

Książka wydana została w Polsce w roku 2000 przez wydawnictwo Muza. Dużo się o niej mówiło, mało czytało. Mówiło się chętnie o tym, co nie jest tam napisane. Jakież to nasze...

Byłem już wtedy w Niemczech, a dokładnie we Frankfurcie nad Menem, gdzie znalazł dla siebie miejsce także ten znany Włocławianin, w redakcji popularnego w całych Niemczech „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, a popularności przysparzały gazecie właśnie jego felietony. Znaleźliśmy szybko wspólny język, gdyż łączył nas Włocławek. Marcel Reich urodził się 2 lipca 1920 roku we Włocławku, jako dziecko niemieckiej Żydówki i polskiego Żyda. Z nostalgią wspomina te lata...

(...) W mieście istniały cztery kościoły katolickie, jeden kościół ewangelicki, dwie synagogi, kilka fabryk, między innymi najstarsza i największa w Polsce fabryka papieru, także trzy kina – ale nie było teatru i nie było orkiestry. Najważniejszym godnym oglądania zabytkiem była zawsze, wybudowana w czternastym wieku gotycka katedra, w której można podziwiać sarkofag dzieła Veit Stofsa (Wita Stwosza). Między wychowankami seminarium duchownego, znajdującego się w sąsiedztwie katedry, był w latach 1489 do 1491 młody człowiek z Torunia-Nikolaus Kopernikus. (...)

Z powodu bankructwa ojca, rodzina Reichów przeniosła się do Berlina. Jako Żyd i polski obywatel mógł jeszcze w roku 1938 zrobić w Berlinie maturę, jednak studia uniwersyteckie dla takich, jak on, były niedostępne. Jesienią 1938 r. został aresztowany i deportowany do Polski. Marcel Reich-Ranicki miał zaledwie dwadzieścia lat, gdy zakochał się i stanął w getcie warszawskim niemal jednocześnie

przed obliczem śmierci i miłości. Może też ta miłość dała mu siłę, aby walczyć o życie obok swojej Tosi. Może też odgłosy wesołego miasteczka, perfidnie zainstalowanego przez okupanta z drugiej strony murów getta, niosły wiarę, że istnieje inny świat. Jego rodzice i brat zostali zamordowani. Jemu i Tosi udało się uciec i ukryć u polskiej rodziny. Ostateczne widmo śmierci zniknęło jednak dopiero wraz z wejściem do Warszawy polskiego wojska ze Wschodu. Reich założył też mundur swoich wybawców. Nie on jeden z wiosną 1945 roku gotów był okazać bez reszty wdzięczność za perspektywę wolności. Wstąpił do partii, pracował w Polskiej Komisji Wojskowej w Berlinie, w Ministerstwie Spraw Zagranicznych w służbach specjalnych. Tak, w UB! Pod nazwiskiem Marceli Ranicki został wysłany do Anglii przeciwko tym, dzięki którym wyzwolenie mogło się w ogóle ziścić. Może dopiero wtedy otworzył oczy. Ironia historii zakpiła też z niego, gdy te same przyczyny, dla których za czasów reżimu hitlerowskiego nie mógł być przyjęty na uniwersytet, teraz zdecydowały, że został odwołany i aresztowany pod zarzutem wyobcowania ideowego? Został wyrzucony z partii i popadł w niełaskę swoich wyzwoliciele. Opublikował dwie książki poświęcone literaturze NRD, ale dalsze publikacje zostały mu zabronione. W roku 1958 pojawiła się możliwość powrotu do Niemiec. Powrócił. Była przy nim kobieta, która w tamtych ciężkich czasach nie tylko zdobyła jego miłość, ale i pozyskała go dla literatury polskiej. Jednak jak cię szła za nim, troskliwie pielęgnowana przez propagandę peerelowską, opinia zdrajcy. Bez skrupułów zadbane też o to, aby na Zachodzie wiedział kto trzeba, że przecież wysługiwał się służbom specjalnych PRL-u. Czy modlił się wówczas o to, aby odróżniono jedno od drugiego?

Po wyemigrowaniu do Niemiec, do roku 1973, Reich był stałym krytykiem literackim hamburskiego tygodnika „Die Zeit”, a w latach 1973 – 1988 pracował w redakcji literatury i życia literackiego „Frankfurter Allgemeine Zeitung”. W latach 1968-69 wykładał na uniwersytetach amerykańskich, 1971 - 1975 był profesorem nowej literatury niemieckiej na uniwersytecie w Sztokholmie i Uppsali, w 1974 był profesorem tytularnym w Tybindze, a w 1990 otrzymał tytuł profesora wizytującego na Uniwersytecie Heinricha Heinego w Diseldorfie. Od 1988 r. przez długie lata kierował „Kwartetem Literackim” w telewizji niemieckiej.

W roku 2005 pisałem w bydgoskim czasopiśmie „TEMAT”, redagowanym przez filologa z Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy, poetę i krytyka dr Dariusza Tomasz Lebiotę, o eseju Reicha-Ranickiego „Tam, gdzie poetów grzebie się jak królów”. Tym esejem, w roku 1959, a więc wkrótce po powrocie do Niemiec, Marcel Reich-Ranicki zwrócił na siebie uwagę nie tylko szerokiego ogółu niemieckich miłośników literatury, ale i otworzył im okno na Polskę, na kraj inny od tego, jaki widzieli oni wówczas przez szkło zimnej wojny.

Przed moim wyjazdem z Niemiec, po zimówce spędzonej w mojej od prawie dwudziestu lat drugiej ojczyźnie - Szwabii, zatelefonował do mnie Reich-Ranicki. Rozmawialiśmy o Włocławku, jego rodzinnym mieście, mówił jak szczególnie jest z członkostwa w tamtejszym Towarzystwie Naukowym, a gdy ze swojej strony wspominałem mu o moim powiązaniu z bydgoskim „TEMATEM”, zapytał, czy wiem, że w Polsce wydawnictwo Ossolineum wydało w ubiegłym roku zbiór jego esejów o literaturze polskiej pt. „Najpierw żyć, potem igrać. Szkice o literaturze polskiej”. Znałem ten tytuł tylko z wersji wydania niemieckiego, które ukazało się w roku 2002 nakładem „Wallstein Verlag” w Getyndze. Było to jakby drugie wydanie uaktualnione i uzupełnione esejami oraz artykułami o literaturze polskiej, powstałymi po jego antologii 16 pisarzy polskich, które oddał Marcel Reich-Ranicki do rąk czytelników jeszcze w roku 1962.

- Tak, to jest to, ale po polsku, wie pan... To jest inna miara, gdy jest to w Polsce.

- Mam już po polsku wydane pana „Moje życie” – dodałem zmieszany, że nie wiedziałem ani o tej polskiej publikacji, ani o nagrodzie przyznanej mu przez gremium filologów z Torunia i Getyngi. – Ale kupię zaraz, gdy tylko przyjadę do Polski.

Zdawało mi się, że Reich-Ranicki chciał jednak mówić o czym innym. Chorował ostatnio poważnie...

Książkę kupiłem bez trudu w księgarni Matras w Toruniu przy Chełmińskiej. W księgarni po drugiej stronie ulicy nie znano nazwiska laureata toruńsko-getyndzkiej Nagrody Literackiej.

Antologię esejów „Najpierw żyć, potem igrać. Szkice o literaturze polskiej” otwiera właśnie esej „Tam gdzie poetów grzebie się jak królów”. Rok po przyjeździe do Niemiec, już w 1959, usłyszeli o tym po raz pierwszy niemieccy

miłośnicy literatury. Jak królów! Nie, tego u nich nie może być! Co to za ludzie ci Polacy? Dlaczego? Skąd taki pietyzm? Zdanie to powtarzano w całych Niemczech. Polska zesłała ze szpał politycznych na felietony literackie. Zatrzymajmy się tutaj na chwilę...

Tak, już w 1953 roku ukazały się w Niemczech przekłady „Zdobycia władzy” i „Zniewolonego umysłu”. Ale Miłosz jawił się Niemcom, jako emigrant polityczny, pasujący zatem raczej bardziej na te polityczne szpały. Popularność nowego niemieckiego krytyka literatury, który swoją swadą w wypowiedziach nawiązywał do najpiękniejszych tradycji krytyki niemieckiej jeszcze z okresu Młodych Niemiec, rosła wprost proporcjonalnie do rosnącego zainteresowania polską literaturą. (I nie chcę tutaj nic ujmować zasługom innego ambasadora literatury polskiej w Niemczech, Karla Dedeciusa, który zresztą jest także laureatem „Nagrody Lindego”).

Już w roku 1962 ukazał się w Niemczech cały zbiór polskich esejów Reicha-Ranickiego „Sechzehn polnische Erzähler”. Ten popularny już wówczas esej „Tam gdzie poetów grzebie się jak królów”, umieszczony w tym zbiorze, zawierał w sobie wyjaśnienie i tego fenomenu grzebania w Polsce poetów jak królów: ...wyobraźmy sobie raz jeszcze sytuację w wieku XIX. Państwo polskie nie istniało, ale większość społeczeństwa nigdy nie straciła z pola widzenia odrodzenia państwa jako celu wszystkich dążeń narodowych, toteż rozumiało jest, że naród w swej masie potrzebował żywych symboli swoich pragnień i walki. Ani mężowie stanu, ani wodzowie, nie mogli ucieleśniać dążeń narodowych. Ich miejsce zajęli ci, którzy wyrażali cierpienia i tęsknoty narodu – poeci. Stali się oni wieszczami narodowymi i jednocześnie najwyższymi autorytetami moralnymi.

Gdzieś ktoś stwierdził, a potem wielu chętnie to powtarzało, że Reich-Ranicki odczuwał Polskę jako kraj niezrozumiały i obcy. Ten przybysz z Polski, zdobywający sobie szybko popularność w Niemczech, właśnie dzięki pokazaniu ludzkiej twarzy Polski, nie mógł w roku 1959 liczyć ze strony PRL-u na nic innego, jak jedynie na dalsze szkalowanie. A któżby wówczas pomyślał o tym, że za jego życia jeszcze przyjdzie taki dzień, kiedy wspólne polsko-niemieckie jury nagrodzi go za słowa, zbliżające do siebie nasze narody. Ktoś, kto nasz kraj pojmował jedynie geograficznie, nie byłby w stanie z takim czuciem i miłością przedstawić naszej historii i literatury innemu narodowi, który w tym momencie karmiony był niczym

więcej, jak identyfikowaniem nas ze wschodnim obozem komunistycznym.

Niemieckie wydanie „Szesnastu pisarzy polskich” z roku 1962 nie było oczywiście w Polsce dostępne ludziom, którzy nie znali języka niemieckiego. Ten zbiór z roku 2005 „Najpierw żyć, potem igrać. Szkice o literaturze polskiej”, wydany przez Wrocławskie Ossolineum, dotyczy szesnastu polskich pisarzy, którzy w ocenie Marcela Reicha-Ranickiego wywarli największy wpływ na literaturę polską po II wojnie światowej. Byli to, zdaniem Reicha-Ranickiego: Brunon Schulz, Jarosław Iwaszkiewicz, Jan Parandowski, Antoni Słonimski, Mieczysław Jastrun, Witold Gombrowicz, Stanisław Jerzy Lec, Jerzy Andrzejewski, Czesław Miłosz, Kazimierz Brandys, Tadeusz Nowakowski, Roman Bratny, Andrzej Braun, Andrzej Szczypiorski, Sławomir Mrożek i Marek Hłasko.

Eseje zamieszczone w tym zbiorze, pisane były nie dla odbiorcy polskiego, dlatego niektóre sekwencje mogą trącić truizmem, szczególnie dziś, gdy obiektywne naświetlenie nie jest już zaciemniane przez cenzurę, a jedynie przez tendencyjność polityczną niektórych krytyków. I dlatego też możemy się dziś spotkać z brakiem akceptacji niektórych ocen krytycznych twórczości tej szesnastki, reprezentatywnej dla literatury polskiej tamtego okresu. Reich-Ranicki zdaje się być świadomym takiej percepcji tych artykułów i esejów, zebranych z publikacji przeznaczonych niejednokrotnie dla przeciętnego czytelnika niemieckiego. Dlatego też zastrzega, że krytyka literacka uwarunkowana jest czasem jej powstania. Także czasem powstania tekstu, o którym krytyk pisze. Może nawet jest tak dlatego właśnie, że chodzi tutaj o literaturę polską. Jak już wspominałem, kilka lat przed pojawieniem się w Niemczech Reicha-Ranickiego, paryskie centrum emigracyjne, postarało się o rozpowszechnienie esejów Miłosza. Było to już coś zmuszającego Niemca do refleksji. Do tego momentu istniał obraz malowany uprzedzeniami i kompleksami. Reich-Ranicki w eseju wprowadzającym czytelnika niemieckiego do obrazów kalejdoskopu 16. polskich autorów aktualnie piszących, prowadzi ich przez dwa obrazy. Po pierwsze uważa, że czytelnik niemiecki nie może zapomnieć, że pod okupacją niemiecką wymordowana została ponad jedna piąta ludności polskiej, a prawie czterdzieści procent kraju zostało zniszczone. Tłumaczy więc czytel-

nikowi niemieckiemu, że tego ogromu, chociaż nie są oni w stanie pojmować, to muszą go sobie uświadomić. Po drugie w pamięci wielu Niemców, którzy się w ogóle interesowali tym, co dzieje się na wschód od nich, tkwił jedynie obraz milionów Niemców, którzy musieli opuścić swoją ojczyznę na wschód od Odry. Reich-Ranicki, któremu życie nie szczędziło tak doświadczeń jednego jak i drugiego reżimu, pisze te eseje, obserwując świat po drugiej wojnie światowej, wmieszany znów w społeczeństwo niemieckie. I jego doświadczenie życiowe pozwala mu zrozumieć, może lepiej od innych, że winnych za swój los społeczeństwo niemieckie musi widzieć po swojej stronie. Jest więc przekonany, że przybliżenie Niemcom właśnie literatury polskiej, powstałej po II wojnie światowej, pomoże im rozróżnić jedno od drugiego. Jakkolwiek taka percepcja literatury polskiej powstała po wojnie jest usprawiedliwiona, staje się ona jednak znów, jak kiedyś uwielbiana i kochana w swojej ojczyźnie, lecz nie może jednak zdobyć zagranicy. Polskim autorom niezmiennie przyświeca zasada: „Najpierw żyć, potem igrać. Szkice o literaturze polskiej”.

Marcel Reich-Ranicki nagrodzony został nagrodą im. Samuela Bogumiła Lindego za rok 2000. Rok ten był ostatnim rokiem kadencyjnym pierwszej kapituły tej nagrody, która obradowała wówczas od roku 1996 w składzie sześciuosobowym: Heinz-Ludwig Arnold, Joahim Kummer, Reinhard Lauer, Janusz Kryszak, Michał Staśkiewicz i Lech Witkowski. Dziękując za nagrodę, Marcel Reich-Ranicki obok słów szczerej wdzięczności, wypowiedział też kilka słów gorzkiej prawdy: Gdzie leży przyczyna, że pochodzące z ostatnich dzieściu czy dwudziestu lat polskie książki również z trudem znajduję w Niemczech (czytaj: w Europie – C.M.M sic!) czytelników – i to niewielu? Polskim pisarzom nie jest łatwo. Wiele lat i dekad musieli cierpieć pod jarzmem cenzury. Teraz muszą cierpieć pod innym i równie ciężkim brzemieniem – pod brzemieniem wolności.

W czasie tej kadencji nagrody otrzymali jeszcze ze strony polskiej: Zbigniew Herbert, Tadeusz Różewicz, Ryszard Kapuściński i Hanna Krall. Ze strony niemieckiej: Karl Dedecius, Siegfried Lenz i Christa Wolf. Po roku 2000 zgodnie ze statutem fundacji składy kapituły zmieniały się, a ilość członków wzrosła do ośmiorga, po czworo z każdej ze stron. Nagradzani są autorzy, których słowo nas zbliża. Poszukiwani są następni.

Słowa wypowiedziane przez laureata Nagro-

dy Lindego są szczerze i życzliwe! Nie dajmy się wmanewrować w rozgrywki polityczne wolnej Polski. Zmarnowaliśmy wiele lat, gdy nie mogliśmy się otrząsnąć z opinii o zdrajcy, uknutej dla Reicha-Ranickiego przez komunistyczną propagandę. Skorzystajmy teraz z życzliwości tego niewątpliwie najwybitniejszego krytyka literatury niemieckiej, starego Żyda, który wskazuje nam, jak rozróżnić rzeczy warte, aby je bronić, od tych, które już upadły. „Świat nie jest, świat się ciągle zaczyna”.

W kwietniu 2009 roku wyszła w Polsce książka autorstwa niemieckiego korespondenta gazety „Die Welt”, Gerharda Gnaucka „Marcel Reich-Ranicki. Polskie lata”. I od razu się o niej mówiło. A co mówi sam autor? Na dość prowokujące pytanie polskiego reportera o późniejsze życie Reicha-Ranickiego w Niemczech:

- Czy polska i komunistyczna przeszłość Marcela Reicha-Ranickiego miała wpływ na jego późniejsze życie poza tym, że jej żydowski wątek automatycznie gwarantował mu nietykalność, Gerhard Gnauck odpowiada:

- Moja książka jest czymś znacznie więcej niż biografią rozliczeniową. Stara się, jak najszerzej odtworzyć każde jego zetknięcie z Polską i polskością, np. z Tuwimem, Tyrmandem. Jeden z niemieckich profesorów historii powiedział mi po lekturze tej książki, że teraz lepiej rozumie, dlaczego Reich-Ranicki w sporach literackich był tak twardy i bezlitosny w ocenach. Wypływa to z jego życiorysu - z horroru, jaki przeżył, będąc Żydem w Polsce okupowanej przez Niemców. Jego przywiązanie do polskiej kultury nigdy nie zostało zerwane.

Daj nam Boże mądrość, aby umieć odróżnić jedno od drugiego...

Panie, daj mi mądrość, żebym mógł walczyć do końca o rzeczy, które można obronić, i żebym mógł wycofać się z bronięcia tego, czego się nie da obronić, no i właśnie mądrość, żeby umieć rozróżnić jedno od drugiego...

(„Modlitwa starego Żyda” – anegdota)

Mój mały, wielki świat

Danuta Sut-Karykowska

Często przejeżdżam obok gmachu Akademii Muzycznej imienia Karola Lipińskiego we Wrocławiu. Okazała budowla z przełomu XIX i XX wieku najlepiej prezentuje się wieczorem, pięknie podświetlona i stanowiąca interesującą całość z fontanną i dwiema rzeźbami Ernsta Segera, zatytułowanymi: „Walka” i „Zwycięstwo”, potocznie nazywanymi „Lwami”.

Z miejscem tym wiąże się wiele moich wspomnień z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ubiegłego wieku, kiedy było siedzibą Państwowej Bursy Szkół Artystycznych (w skrócie PBSA) i gdzie – z racji pracy mojej Mamy – byłam stałą bywalczynią. Uwielbiałam ten kompleks, z jego niepowtarzalną, artystyczną atmosferą, z nietuzinkowymi ludźmi – studentami, wychowawcami, liczny personel, a także ze sławnymi i wybitnymi gośćmi. Najbardziej zapamiętałam piosenkarkę i prawdziwą gwiazdę, Violetę Villas oraz profesora Aleksandra Bardiniego, wybitnego aktora, reżysera teatralnego i telewizyjnego oraz wykładowcę.

Jako kilku i kilkunastoletnie dziecko najbardziej lubiłam wszelkie zakamarki Bursy, które aż prosiły się, aby je odkrywać.

Już od wejścia ogromną, ciężką bramą, poprzez schody z portiernią po lewej stronie, panowała tam nieco mroczna aura tajemniczości. Znalazłszy się za stróżówką, należało zdecydować dokąd iść dalej – prosto, w prawo, w lewo czy schodami w górę? Każda opcja miała swoje zalety, ale na początku najczęściej wybierałam kamienne schody z wygładzonymi przez lata stopniami i poręczami. To tam, na dwóch piętrach, za zamkniętymi drzwiami wielkich sal, młodzi muzycy ćwiczyli grę na wszelkich instrumentach. Dźwięki pianina, gitary, skrzypiec, trąbek, saksofonów i wiolonczel mieszały się na głównym korytarzu. Wyobrażałam sobie wtedy, że jestem księżniczką w pałacu i że to



dla mnie gra ta osobiwa orkiestra. Udałam baletnicę lub tańczyłam w rytm bardziej nowoczesnych utworów. Najczęściej byłam sama, lecz zdarzało się, że ktoś zagadnął mnie życzliwie, aby szybko po-

wrócić do swoich zajęć i tym samym pozwolić mi na dalszą eksplorację przestrzeni. Kiedy czułam potrzebę zaczerpnięcia świeżego powietrza, zbiegałam po śliskich schodach na parter i dawałam nura przez drzwi, prowadzące na podwórko. W podwórzu również słychać było, przez otwarte okna, wszechobecne dźwięki muzyki. Ale moją uwagę przykuwały już inne elementy życia PBSA. Od podwórza wchodziło się bowiem do kuchni i na stołówkę (która przyciągała dokarmiane przez wszystkich koty), do gorącej pralni, magła (ten zapach!) i warsztatów (ale te interesowały mnie najmniej). Zaplecze Bursy było imponujące. Jawiła mi się ona jako samodzielne królestwo, w centrum którego – właśnie w podwórzu – rósł olbrzymi kasztanowiec. Wraz z trawnikiem stanowił on źródło niezliczonych odkryć i eksperymentów botanicznych i zoologicznych. Do tej pory zbieram kasztany, gdy tylko mam okazję.

Państwowa Bursa Szkół Artystycznych została przeniesiona najpierw na ulicę Lelewela w 1982 roku, by dziesięć lat później trafić na ulicę Trzemeską, gdzie znajduje się do dziś. Sam budynek przy Placu 1 Maja (obecnie Jana Pawła II) został natomiast poddany gruntowemu remontowi i rozbudowie. Jako dziecko nie zdawałam sobie sprawy,

jak trudne warunki mieszkaniowe mieli tam studenci wrocławskich szkół artystycznych: wieloosobowe pokoje, łazienki na korytarzach, sale ćwiczeń – choć piękne i często zabytkowe – również pozostawiały wiele do życzenia, choćby pod względem akustyki. Uroczyste otwarcie nowej siedziby Akademii Muzycznej miało miejsce w 1993 r., co upamiętnia płaskorzeźba nad wejściem do budynku. Uczelnia wytrwale, od 1948 roku, gdy powstała jako Państwowa Wyższa Szkoła Muzyczna, przekształcona w Akademię Muzyczną imienia Karola Lipińskiego w roku 1981, buduje swoją markę na mapie muzycznych szkół wyższych w Polsce. W roku akademickim 2022/23 kształciło się tu prawie 700. studentów i doktorantów zarówno z Polski jak i z zagranicy. Gmach dzisiejszej Akademii Muzycznej imienia Karola Lipińskiego powiększył się o dawne, odzyskane od miasta Wrocławia, budynki przy ulicy Podwale oraz o dobudowane, nowoczesne sale koncertowe (warto wybrać się w listopadzie na I Międzynarodowy Konkurs Skrzypcowy imienia Karola Lipińskiego, koncerty muzyki klasycznej, jazzowej, czy

wokalne), studia nagraniowe i dydaktyczne z bogatym zapleczem socjalnym, usytuowane są od strony ulicy Zelwerowicza. Do głównego gmachu dobudowano nawet dodatkową kondygnację. Stare podwórze zmieniło się w bogate w zieleń patio, z pergolą ze stolikami i ławeczkami. Ani śladu po stróżówce (zastąpiła ją nowoczesna recepcja, znajdująca się już w innym miejscu), stołówce, pralni i maglu. Ale kasztanowiec – choć z listkami pokrytymi rdzą i poprzycinany – wciąż stoi, gotowy, jak dawniej, zrzucić jesienią swe kolczaste owoce... Podczas mojej sentymentalnej podróży do tego wyjątkowego miejsca wszystko wydawało mi się inne niż kiedyś, oczywiście bardziej nowoczesne, ale i mniejsze. Świat widziany oczami dziecka jest niewątpliwie osobliwy – wielki i tajemniczy. Zmiany związane z dorastaniem, jak i te wynikające z rozwoju i postępu, przeplatają się, tworząc historię we wszystkich możliwych wymiarach. Mój mały, wielki świat stanowi jej małą częścią.



Zdjęcia pochodzą z archiwum własnego Autorki



Virtus in medio* – Być czy mieć

Danuta Sut-Karykowska

Pamięci francuskiej lektorki Hélène Vazel (1948 – 2024)

Pamiętam zdziwienie naszej francuskiej lektorki, nazywanej przez nas Wazelką, od nazwiska i z sympatii, kiedy na zajęciach z konwersacji poruszyliśmy temat być czy mieć, kalecząc niemiłosiernie język Molièra. Pani Profesor najwyraźniej nie rozumiała naszych dylematów wokół tej dychotomii. Być może tak jak my, nie znała również eseju Ericha Fromma. Przecież wszyscy jednocześnie jesteśmy i mamy! W każdym razie nie mogąc zrozumieć naszego idealistycznego, młodzieńczego podejścia do problemu (być, oczywiście, że być!), zadała nam napisanie syntezy (francuskiego odpowiednika rozprawki i zmyru studentów filologii romańskiej) na powyższy temat, czym zasłużyła sobie na swój drugi przydomek, trochę mniej miły – Wazelina. No ale powszechnie wiadomo, że łaska studentów na pstrym koniu jeździ.

I tak oto, po raz pierwszy musiałam pochylić się nad zagadnieniem brzydkiego mieć i upragnionego być. Była końcówka lat osiemdziesiątych, w sklepach pusto, Peweksy i sklepy trochę ratowały sytuację, ale... trzeba było mieć. Czuć już było powiew wolności, chciało się podróżować, zwiedzać, poznawać, ale wciąż obowiązywały trudne do zdobycia paszporty, których nie można było przechowywać w domu, wizy, wizy tranzytowe, a nawet oficjalne zaproszenia od mieszkańców zgniłego Zachodu. Bardzo chcieliśmy BYĆ, ale MIEĆ tak bardzo determinowało naszą egzystencję...

Hélène Vazel była dla mnie symbolem innego świata, w którym niezależna – duchowo i finansowo – kobieta może robić, co chce. Posiadanie nie było celem jej życia, lecz pozwalało realizować cele i marzenia. Do tej pory taka postawa jest mi bliska.

W napisaniu syntezy pomogła mi znajomość piramidy, a raczej hierarchii potrzeb Masłowa, zgodnie z którą człowiek może aspirować do realizacji potrzeb wyższego rzędu (przynależności, uznania, samorealizacji itp.), dopiero gdy jego podstawowe potrzeby fizjo-

logiczne (pragnienie, głód, potrzeba snu itp.) oraz poczucie bezpieczeństwa zostaną zaspokojone. Dorzuciłabym od siebie do potrzeb wyższych empatię i pomoc innym, głównie po to, aby podkreślić ich znaczenie, ponieważ wydaje mi się, że można je również rozpatrywać w obrębie wcześniej wymienionych.

Rozumiem humanistyczną wizję Fromma i w pewnym sensie podzielam ją, ale nie jestem w stanie potępić ambicji tych, którzy chcą mieć więcej. Zauważyłam bowiem, że najbardziej lekceważąco o pieniądzach wypowiadają się ci, którzy mają ich najwięcej i którym przyszły one łatwo. Być może stąd wzięło się powiedzenie, że dżentelmeni o pieniądzach nie rozmawiają. Nie zazdrozczą nikomu, bo i czego, skoro nigdy niczego im nie brakowało. Dobrze, jeśli mają otwarte serca (i portfele) na potrzeby innych, ale różnie z tym bywa. Piękne dusze zdarzają się zarówno wśród bogatych, jak i wśród biednych.

I tu wracamy do tytułu naszego rozważania. Złoty środek sprawdza się w wielu dziedzinach naszego życia. Myślę, że może mieć swoje zastosowanie również w zachowaniu zdrowego balansu między spełnianiem się w pięknym byciu, a posiadaniem, bez poddawania się żądzy pieniądza.

*złoty środek – dosłownie z łaciny cnota pośrodku; idea przypisywana Arystotelesowi.



Historia zapisana w obrazie „Nocna rozmowa”

Elżbieta Anna Sadkowski (Samek)

Szwajcarskie Alpy, gwiazdzista, lipcowa noc spowita ciepłem po upalnym dniu. Przysiadłam na zboczu, otulona aromatem górskiej hali, gołymi stopami dotykam miękkich łądów traw, czuję delikatną łagodność alpejskich roślin w koniuszkach palców. Jest tak spokojnie. Ponad szczytami czterotysięczników jaśnieje prawie namacalnie piękna Luna. Są takie chwile, gdy stajemy nadzy w perspektywie bezmiaru kosmosu, aby doświadczać całym sobą jego nieskończoności. Tak jest teraz, w obliczu trwania dziesiątków milionów lat masywu Alp, czuję się częścią wszechświata, każdą najmniejszą cząstkę mnie wypełnia jego obecność. Dziś - 27 lipca 2018 r. jest ta wyjątkowa noc, rozpoczyna się misterium, najdłuższe całkowite zaćmienie Księżyca w XXI wieku i wielka opozycja Marsa.

Świat w swoim szalonym pędzie wyhamował, zastygłam i ja, wpatrzona w horyzont szafiru nocnego nieba, zarysowanego konturowo smugą poblasku alpejskich szczytów i ich dwojga. Ogromny srebrzysty Księżyc z widoczną ponad szczytami czerwoną planetą, dziś tak bardzo jasny Mars. Patrzę i chłonę spektakl natury, cień powoli zakrywa srebrzystą taflę Księżyca, zmieniając jego kolor w brunatno-pomarańczowy, wraz ze znikającą księżycową poświatą, jakby ubywa też i mnie fizycznej. Całkowite zaćmienie Księżyca, jedno z najbardziej elektryzujących ludzkość zjawisk, porywa w swoim astronomicznym spektrum. W radości współodczuwania misterium kosmosu, bezwarunkowo szczęśliwa, daję się nieść, przepętniona bezkresem falującej, spełnionej ciszy.

W tym łagodnym kotysaniu materializuje się, na podobieństwo odbicia w lustrze cienia okrywającego Księżyc - Ona. Tak dawno jej nie widziałam. Ukochana córka. Przed

Obraz „Nocna Rozmowa”,
autorka Elżbieta Anna Sadkowski (Samek)



laty, na progu dorosłości, opuściła dom rodzinny i wyjechała studiować za ocean. I już tam została. Mimo że mieszka za oceanem, dziś jest tu razem ze mną. Nie daleka, nie obca, bliska i tak bardzo kochana. Nocna rozmowa. Cień przesuwają się po powierzchni Księżyca, mrok powoli odchodzi. Wraz z powracającą srebrzystością, jej wizerunek niknie.

Tej nocy odległości, podziały nieistotnymi się stały, połączeni synergią współodczuwania, my mieszkańcy Ziemi byliśmy jednością w namacalnej świadomości obecności na drobince w bezmiarze ogromu nieskończoności wszechświata.

Kocham noc, gdy blask Księżyca przypomina, że bezmiar wszechświata jest obecny w każdym z nas. Czy po dzisiejszej nocy nadejdzie poranek? Może tak, a może już zawsze na niebie będzie tylko Księżyc i będzie inaczej. My, którzy pamiętamy słoneczne, jasne dni, będziemy tęsknić za Słońcem; ale dzieciaki urodzone dziś, pokochają Księżyc, tylko ten Piękny Srebrzysty Księżyc...

Ogród Rzeźb przy Ukrytej

Elżbieta Anna Sadkowski (Samek)

Krakowskie miejsca sztuki, salwatorska pracownia prof. Mariana Koniecznego.

Do pracowni ukrytej na krakowskim Salwatorze prowadzi stroma uliczka, już z oddali sylwetka posągu z pędzlem i paletą, jak drogowskaz wskazuje kierunek do przybytku sztuki. Postać znajoma, to Mistrz Matejko, druga wersja warszawskiego pomnika, wita przybysza w promieniach zachodzącego słońca i długim cieniem kładzie, trzymany w dłoni pędzel na uchylonych wrotach, jakby zapraszając. Wraz z cichym stuknięciem zamykającego się skrzydła bramy, przekraczamy symboliczny portal pomiędzy codziennością a transcendentalną przestrzenią kreacji wyobraźni rzeźbiarza prof. Mariana Koniecznego. Spod kolumnady łączącej budynek pracowni z domem, otwiera się widok na niezwykle zakątek, gdzie sztuka łączy się z naturą. Zewsząd spoglądają rzeźby w podcieniach, wsparte o kolumny, z których każda ma inny kapitel. Stojące gipsowe posągi na zielonym stoku, jakby wyrastają z ziemi. Okazałe formy z patynowanego brązu. Gdzieś na granicy między wzlotem i upadkiem, na podobieństwo wznoszącego się do lotu ptaka, zagarnia przestrzeń ekspresyjna w kształcie rzeźby z cyklu: „Dedał i Ikar”. Roztańczona, swawolna dziewczyna z wieńcem na głowie to personifikacja rzeki Wisły, nawiązująca do słowiańskiej tradycji „Wianków”. Masywne dłonie stykające się, aby dać schronienie dziecku: „Macierzyństwo” - to rzeźba, która pochodzi z osobistego cyklu, który powstał wkrótce po narodzinach syna artysty. Z oddali przyciąga wzrok, obrysowana konturem światła sylwetka umięśnionego mężczyzny, to posąg zatytułowany: „Stary Atleta”, za który Marian Konieczny otrzymał Srebrny Medal na Wystawie Sztuki Młodych w 1959 w Wiedniu. W cieniu owocowych drzew, tworzą rodzinną grupę popiersia, ustawione na szkieletowych konstrukcjach: syn Filip, Maryla i Autoportret artysty. Z gęszczy obyszanego amarantowymi pączkami krzewu róż, wzrasta smukła postać kobiety, jej głowę spowijają, zaczesane na podobieństwo aureoli, włosy. Dumna i tak daleka - Zagremma, pierwsza żona artysty. Nie sposób opisać wszystkich wyeksponowanych w ogrodzie rzeźb, ale wszystkie ema-

nują ogromną witalnością formy, są namacalnie cielesne, jakby pod warstwą patynowego brązu kryła się ich genetyczna tożsamość. Czuć w nich wewnętrzną koncentrację, sprzężenie energii i emocji, a przede wszystkim potężną siłę kreacji artysty w poszukiwaniu formy do zobrazowania metaforą idei.

Z ogrodu przechodzimy do pracowni artysty, to wysoka, prosta hala z wydzielonym centralnie miejscem obrotowym, z podwyższeniem dla modela i dużym przeszkleniem. Światło wpadające przez okna od strony ogrodu, kontrastuje ogromną płaskorzeźbę, w której rozpoznajemy model Epitafium Królewskiego, zrealizowanego w Katedrze w Poznaniu.

Są takie miejsca, które sprawiają, że czas się cofa i możemy doświadczyć obecności Genius loci artysty. Tak właśnie jest tu w pracowni prof. Mariana Koniecznego. Gdy oczy przyzwyczajają się do cienia, z nagromadzonej w przestrzeni pamięci minionych lat, wyłaniają się zastygłe w gipsowym bezruchu sylwetki, segmenty rozczłonkowanych postaci, makiety pomników, sięgające prawie sufitu przestrzenne dokumentacje realizacji, tak symboliczne w kontekście wszechstronnego, wielowymiarowego twórczego działania. Widoczny na antresoli mały model pomnika z sylwetką Jagiełły na koniu, przypomina o monumentalnej rekonstrukcji krakowskiego Pomnika Grunwaldzkiego. To tutaj został wykonany Pomnik Stanisława Wyspiańskiego sprzed Gmachu Głównego Muzeum Narodowego w Krakowie i kilkadziesiąt innych rzeźb pomnikowych, portretowych, płaskorzeźb, medali i cykli rzeźbiarskich. Światło schyłku dnia zwielokrotnia sylwetki rzeźb, w rodzącym się zmierzchu, prawie słychać nuty pieśni wieczora granej przez Apolla na cytrze - ogromna rzeźba stojąca przy wyjściu do ogrodu, to model Fontanny Apolla, jednej z czterech fontann usytuowanych na Starym Rynku w Poznaniu.

Droga do dalszych pomieszczeń pracowni prowadzi po kilku schodkach w górę i tutaj znów spotykamy Mistrza Jana. Głowa z pomnika Jana Matejki w bezpośrednim zbliżeniu uświadamia, drzemiącą w tej rzeźbie, zobrazowaną siłę eks-

presji. Chciałoby się ją pogłodzić, wyczuć pod palcami każdą krzywiznę, podążając śladem drogi ręki artysty, gdy ją rzeźbił.

Mijamy sale ze sztalugami i dochodzimy do przestrzeni galerii, którą Marian Konieczny dobudował w późniejszym czasie. Wnętrze jest stosunkowo niskie; wysoko umieszczone poziome okna wpuszczają niewiele światła, lecz i ono pozwala zobaczyć, że pomieszczenie jest tak szczelnie zastawione rzeźbami, że trudno się w nim poruszać. To tutaj w półmroku znalazły swój dom modele pomników i patynowane, gipsowe odlewy, gdy już zostały z nich odlane rzeźby z brązu.

Rzeźbiarz pracuje w samotności, ale żyje w społeczeństwie i tworzy dla społeczeństwa – tak mówił Konieczny podczas uroczystości swoich osiemdziesiątych urodzin. Prezentowane w galerii, w sobie tylko znanej hierarchii, dzieła te są świadectwem minionego czasu, monumentalną pomnikową dokumentacją historii zobrazowanej kreacją artysty. Spomiędzy form rzeźbiarskich wyłania się przedstawiona w ruchu postać Bartosza Głowackiego, która wydaje się być tak nieduża przy masywnym profesorskim torsie, a przecież to właśnie na bazie makiety został przeskalowany i wykonany ponad dziesięciometrowy pomnik w Janowickach w 1994 r. Za popiersiami oparty o ścianę widoczny jest wzorec posągu papieża Jana Pawła II, zrealizowany w Licheniu 1999 r., a przed nim z Panteonu wysokości cokołu makiety krakowskiego pomnika spogląda na stojącą obok plejadę popiersi nazwisk nie z jego epoki, melancholijnie Wyspiański. Monochromatycznie zharmonizowane w półmroku twarze portretowanych, wywołują zadumę. Czy przedstawione

osoby, zostały utrwalone wizerunkiem na podobieństwo lustra we fragmencie swojego jawnego człowieczeństwa, czy czuciem artysty zostało wydobyte na wierzch to, co skrywane, co płynie z głębi? Popiersia przedstawiają luminarzy różnych dziedzin, osoby z kręgu artysty, członków rodziny i mimo że portretowani pochodzili z różnych środowisk, to jest wyczuwalna namacalnie zobrazowana w nich wspólna jedność, połączyły je dłonie artysty, które odnalazły ich wizerunek w glinie, czyniąc nieśmiertelnym dla potomnych.

Bo rzeźbiarz mimo woli zawsze coś dodaje z samego siebie. Każdy lepi swojego człowieka – prof. Marian Konieczny.

W pracowni stoi wielka skrzynia z gliną, a obok niej leżą narzędzia. W tej glinie i tymi właśnie narzędziami, rzeźbił Konieczny. Pomniki ogromne, a narzędzia do ich wyrzeźbienia tak proste: wykonane z drewna rączki, zakończone pętlą metalową, oplecioną stalowym drutem wiążątkowym, aby się nie lepiły do formy. Ruda glina w dotyku jest przyjaźnie ciepła, mięsista i podatna na nacisk dłoni. Narzędzie przyszarżałe, ale pasują do dłoni i do rzeźbienia nadal są idealne. I przychodzi taka myśl, czy w tych narzędziach trwa pamięć dotyku dłoni artysty, czy glina pamięta, jak profesor Marian Konieczny wybudzał z niej pomnikowe postaci do życia? Pracownia prof. Mariana Koniecznego (1930 – 2017) przy ul. Ukrytej 29 w Krakowie, to adres wyjątkowy na krakowskim szlaku sztuki. Od września 2023 roku można tu zwiedzać galerię plenerową – Ogród Rzeźb Mariana Koniecznego.



popiersia: Filip Maryla, Autoportret - Ogród Rzeźb Mariana Koniecznego, fot. Elżbieta A. Sadkowska(Samek)



Fontanna Apolla (zrealizowana na Starym Rynku w Poznaniu w 2002 r.), pracownia Mariana Koniecznego, fot. Elżbieta A. Sadkowska(Samek)

Dziś prawdziwych Polaków już nie ma...

Agnieszka Modrzejewska

Pamięci profesora

Jerzego Stuhra i Gustawa Holoubka

Oburza nas ta teza, bo jak to nie ma, przecież ci prawdziwi- powiedzą jedni- to ci z marszów, a nie prawda powiedzą drudzy - bo ci spod pomnika.

Ale abstrahując już od polityki i tego rodzaju podziałów, gdy słyszeliśmy skoczną śpiewkę, że prawdziwych Cyganów już nie ma, to nas to tak nie ruszało. A tu jednak ... serce boli i od obojętnego, neutralnego: a bo ja wiem do ofensywnego: ale jak to! cienka gorsząca linia.

Żyjemy w świecie wojen, pandemii i depresji - to czas, gdy powinniśmy umieć wyjść poza własne kompleksy i małości, by wspólnie..., ale okazuje się, że mimo jednoczących ludzi doświadczeń: plemiennych, powstańczych, wojennych, które niosą w życiorysach kolejne już pokolenia, a nawet mimo swego rodzaju kultu historycznego, gloryfikowania i romantyzowania naszych narodowych poczyną, ztratiliśmy umiejętność stawiania ramię w ramię. Tym, co przez wieki pozwoliło nam trwać w narodowej tożsamości (mimo rozbiorów, wojen, prób wynarodowienia poprzez germanizację czy rusefikację) są kultura i język.

Dziś oplugawianie tych filarów, idzie nam z ręcznie i zatacza coraz szersze kręgi, umiejętnie nie omijając nawet warstw szeroko pojętej inteligencji.

Przez dr Elżbietę Janicką z instytutu Sławistyki PAN bohaterowie Szarych Szeregów: Tadeusz Zawadzki Zośka i Alek Dawidowski Rudy uznani zostali (a tym samym podano to w takim kontekście do publicznej wiadomości) za parę gejów, co samo w sobie nie jest oczywiście żadną ujmą, jednak w obliczu tego, że ich rzeczywiste narzeczone (Hala Galińska i Basia Sapińska) przeżyły wojnę, po której opowiadały o swych ukochanych, pisały o nich książki, do końca swych dni dbały zarówno o ich pamięć, dobre imię, jak też o ich groby na Powązkach, takie manipulowanie faktami, wydaje się jednak dalece nieestosowne.

Jerzy Ficowski również pośmiertnie,

więc już bez możliwości obrony, w lipcu br. został zaatakowany i oskarżony przez dr hab. Emilię Kledzik o dokonanie zbyt daleko idących ingerencji w poezję niepiśmiennej (co zdaje się tu być kluczowe) poetki cygańskiej Papuszy, a nawet określenie zapisu owych wierszy mianem falsyfikatów. I to jeszcze na domiar złego w jubileuszowym roku stulecia swoich urodzin.

A przecież gdyby nie Jerzy Ficowski, zapewne nikt w ogóle by tej poezji nie poznał.

Tu błyskawicznie zareagowało środowisko polskich Romów, wydając oświadczenie w obronie Jerzego Ficowskiego, w którym wyrażają swój głęboki sprzeciw, uznając interpretacje i hipotezy pani dr Kledzik za dalece niesprawiedliwe i krzywdzące oraz przypominają, rzecz zdaje się oczywista, ale znów być może nie dla każdego, że promowanie i popularyzowanie twórczości poety przez jego tłumacza, nie jest (i być nie może) synonimiczne z fałszowaniem tejże twórczości.

Profesor Jerzy Bralczyk natomiast został odsądzony od czci i wiary poprzez oskarżenia o brak szacunku i empatii dla zwierząt, po tym jak wypowiedział się jako - przypominam - językoznawca (czyt. w kwestii językowej!) na temat tego, czy w języku polskim zwierzęta umierają czy zdychają. To nie jest profesor etyki ani zoologii, tylko językoznawca. Tu nie chodzi o miłość do zwierząt bądź jej brak, lecz wyłącznie o szacunek i wierność polskiej gramatyce, czyli bądź co bądź, ważnej dziedzinie nauki, jaką jest językoznawstwo. Co niestety do dziś nie wszyscy zdają się rozumieć.

Za czasownik zdycha nie nastąpił pojedynczy rzut kamieniem, lecz nieomal społeczne ukamienowanie. Jeżeli już chcemy zostać językowymi purystami, to może nim pierwsi rzucimy tym kamieniem, zastanówmy się przez chwilę, jaka jest etymologia tego słowa. Otóż jak podaje Brückner, zdychać pochodzi

od: dychać, oddychać, dyszeć¹. Według prof. Markowskiego: zdychać - o zwierzęciu: paść, umrzeć, skonać; - o człowieku - zakończyć życie, zdychać: z głodu, z nudów, ze śmiechu². Podobnie odnosi się do sprawy słownik synonimów, który za wyrazy bliskoznaczne uznaje: umierać - pozdychać, wyzdychać i zdychać³.

Już po pierwszym małym rachunku sumienia widać, że uczłowieczanie psa, od strony językowej, należałoby chyba zacząć od pyska, bo jak to o ukochanym psie mówić, że ma pysk (negatywna konotacja), a już najgorsi i najbardziej umoczeni są ci, którzy wywieszają tabliczkę: „uwaga, tu mieszka zły pies”. No skoro pies jest członkiem rodziny, uznaniowo na prawach równych dzieciom, to należałoby może wywiesić również tabliczkę: „tu mieszka zła córka/zły syn”. Jak już dokonywać czystek i zmian językowych, to lećmy po całości.

Dlaczego tak bardzo chcemy, nieliczne już autorytety jakie nam w tym kraju pozostały, jakich nie wytrzebiła wojna i komuna, splugawić, ućmoruchać, zbrukać, zdyskredytować?

Co jest z nami nie tak, że piosenka disco polo ma 50 mln wyświetleń, a wykonawca po szkole muzycznej z ambitnym repertuarem najwyżej kilka tysięcy...?!

To o czym wspominam, nie zadziało się wczoraj. To są wielowiekowe zaszłości. Co pięknie pokazuje, czasem w chłodno zaklętych statystykach (ile komu butów, a ile morgów w przedwojniu i międzywojniu przypadało), a częściej w emocjonalnie przedstawionych prawdziwych losów poszczególnych bohaterów swojej książki, Joanna Kuciel-Frydryszak. „Chłopki” (bo o niej oczywiście mowa) osiągnęły (i słusznie! wszak na to zasługują) szczyty popularności czytelniczej, pokazując mechanizm podziałów społecznych, ekonomicznych, religijnych (trwała walka o rząd dusz między Kościołem a Uniwersytetem Ludowym wiciarzy, do którego należała rodzina Ulmów: Józef i Wiktoria (wówczas jeszcze Niemczakówna), których w

1933 r. za ową przynależność (uczestnictwo w wykładach i grę obojga w amatorskim teatrze) proboszcz straszył piekłem (by w 2023, a więc 90 lat później, metropolita ogłosił błogosławionymi).

Powojenna, komunistyczna Polska to również kraj przemieszania, migracji, ludność wiejska poszła do miast, a rdzennie miejska przeważnie znikła: wymordowana w obozach koncentracyjnych (w których rzecz jasna ginęli również mieszkańcy wsi, czego nie umniejszam, bynajmniej), w Katyniu, na wojnie, lub ukrywali się jeszcze po 1945 r. przed UB. To miało oczywiście swoje konsekwencje. Samoistnie nie przyszło zespolenie się, złączenie, zintegrowanie, gdyż poprzez różnice: kulturowe, językowe, cywilizacyjne i inne, zwyczajnie nie było to możliwe. Miasto co prawda wchłonęło tę warstwę chłopstwa, ale jednak jako całkowicie odrębną (zwaną później chłoporobotnikami). Tubyłcy miejscy uważali chłopów za chamów ze słomą w butach, odbieraczy chleba i uzurpatorów, nawet w jakimś stopniu lokalnych okupantów, chłopci zaś w miastach mieli swoje antypatie i pretensje za wielowiekowe zniewolenie, wykorzystywanie, za traktowanie z góry i wyłączenie jako taniej siły roboczej.

Niech ktoś powie, jak te warstwy miały się scalić, gdy w najlepsze trwały wzajemne animozje.

Przypomnijmy słowa Czepca z „Wesela” Wyspiańskiego skierowane do Poety: Pon jest taki, a ja taki;[...]⁴. I do Dziennikarza: Pon nos obśmiwajom w duchu⁵.

I dalej niesiemy to brzemie prowincji: idąc do Europy, czy szerzej wychodząc w świat. Towarzyszy nam kompleks prowincjonalności i niewolnicza mentalność. W siermiężnych latach komunizmu przykleiliśmy się, przycupnęliśmy (otwartym pozostawiam pytanie, czy mieliśmy inne, alternatywne wyjście) jako przyczółek Związku Radzieckiego (Rosjanie mówili nawet: Kurica nie ptica, Polska nie zagranica), te liczne rusycyzmy egzystujące w polszczyźnie, były wtedy czymś absolutnie naturalnym, nawet panie w szkołach ucząc dzieci ortografii, mówiły, że rzeka piszemy

przez „rz”, bo wymienia się w rosyjskim w rieką, etc.

A potem nadszedł rok 1989 i Polacy zachłystnieli wolnością, ochoczo zwrócili oczy ku Zachodowi, i tak rozpoczęła się era anglicyzmów, bo Polak, nie wiedzieć czemu, lubi sobie wskoczyć z deszczu pod rynek.

Polszczyzna jest tak przebogata i piękna, że nie ma powodów łąpać tych wszystkich-izmów (germanizmów, makaronizmów, a zwłaszcza ruso i angli-cyzmów), a jednak jakaś siła ochoczo pcha nas w te ręce, i jak w ciuciubabce odbija od Wschodu do Zachodu. A po co, a za czym tak gna?

Skoro Polacy nie gęsi i swój język..., to czy i swój rozum...? - chciałoby się parafrazując Reja, dorzucić.

Te kompleksy powodują, że rzucając się na głęboką wodę, płyniemy za ocean nie z otwartością, stając jak równy z równym, lecz z kompleksem, a więc uniżeniem. W ostatnich latach rys tego prowincjonalizmu nawet jakoś szczególnie się uaktywnił. Nastąpił wyrzut (żeby nie powiedzieć wyrzyg) pseudoekspertów, ludzi małych i miałkich, nienawistnych i zawistnych, których ambicje nijak się mają do ich wiedzy, możliwości i kompetencji. Kiedy odrzucamy ich obskurantyzm, demaskujemy maski, zaczynają się opancerzać, nasrożać i obwiniać o swoje niepowodzenia wszystkich, tylko nie siebie: Żydów, komunistów, demokratów, tych o obco brzmiących nazwiskach, lewaków, prawaków, etc. I tak wypływa rzeka (żeby nie wypowiedzieć ściek) nienawiści i propagandy.

Pewna pani na You Tube zauważyła, że wojna zniewolenia, a nawet braków w równouprawnieniu zaczyna się już na poziomie śpiochów niemowlęcych, bo te dziewczęce są zwykle z króliczkami, kotkami, a te chłopięce z lisem, wilkiem, słoniem, czyli drapieżcami, podczas gdy te pierwsze pozostają naznaczone jako ich ofiary.

Jeśli mimo różnych form wyrównywania społecznej równości płciowej (akceptacja gender, feminizmu, rozwój i rozkwit ferminatywów [podobno jest już nawet dramatolożka]), nadal wierzymy, że obrazek na niemowlęcym ubranku może determinować los młodych pokoleń, to ja się jednak o nas boję.

Tak bym chciała dożyć chwili, gdy nie będziemy zakompleksionym prowincjonalnym

przysiółkiem z dominantą pierwiastka religii i polityki.

Bądźmy choć tacy, jakimi widział nas Mickiewicz: „Nasz naród jak lawa, z wierzchu zimna i twarda, sucha i plugawa, lecz wewnętrznego ognia sto lat nie wyziębi; Plwajmy na tę skorupę i zstąpmy do głębi”⁶. Oby tylko ta głębia przetrwała w nas i niosła mądrość pokoleń, nie jej głód, nie kompleksjadę i deficyty.

„Są ludzie, którzy mają pełne usta wielkiej Polski, do której rzekomo dążą. Wszystko zależy od tego, w czym widzimy wielkość Polski. Ale Polska barbarzyństwa, Polska młodych nieuków bijących szyby i napadających na kobiety, Polska brutalnej siły fizycznej nie jest z

pewnością wielka. I co najważniejsze nie jest bezpieczna. Niechaj się nikomu nie wydaje, że dzielni <<mołojcy>>, hałasujący na ulicach, wyzywający się na biciu Żydów, napadający w kilku na jednego, ale nigdy odwrotnie, staną się w chwili poważnej, odważnymi obrońcami kraju, że możemy im śmiało powierzyć swój los. Jest niemal regułą, że ten, który uderza słabszego, korzy się przed silniejszym. Nie należy bowiem popełniać błędów i mieszać brutalności z siłą, odwagi z bezczelnością, energii z barbarzyństwem i dzielności z rozwydrzeniem, które wyrosło na bezkarności. Małe idee rodzą małych ludzi. Wielka Polska – to Polska kultury, Polska ludzi wolnych i szczęśliwych”⁷.

Prawda jak to znajomo i aktualnie brzmi?! A słowa te zostały napisane w roku 1937 r.



6 A. Mickiewicz, Dziady część III, Warszawa 1974, s.110

7 A. Próchnik, Endeckie żółtodzioby prowadzą Polskę do zguby [w] Zagadnienie narodowościowe, Dziennik Ludowy, 14 VIII 1937, nr 223, s.3[w] S. Nicieja, A. Próchnik, Historyk, polityk, publicysta, Warszawa 1986, s.338-339

1 A. Brückner, Słownik etymologiczny języka polskiego, Warszawa 2000, s.86

2 Nowy słownik języka polskiego, Warszawa 2002, s.1260

3 A. Dąbrowka, E. Geller, R. Turczyn, Słownik synonimów, Warszawa 1993, s.139

4 S. Wyspiański, Wesele, Wrocław 1984, s.61

5 Tamże, s.9

Boskie peany, boskie katusze

Krzysztof Jankowski

- recenzja tomiku Agnieszki Rautman-Szczepańskiej Rany Boskie

- Zawsze piszę jako ja, bardzo nieliczne wiersze mają podmiot trzecioosobowy, niechętnie chowam się za plecami, tak zwanego, podmiotu lirycznego. Piszę z trzewi, spontanicznie i intuicyjnie, a dopiero potem filtruję przez tkanę mózgową i świadomie dobieram słowa puenty, aby osiągnąć efekt, o który mi chodzi.

Tak pisze Agnieszka Rautman-Szczepańska w swoistym wstępie do tomiku poetyckiego Rany Boskie, opublikowanego w tym roku nakładem wydawnictwa Horyzont Idei. Tomiku, którego niejednoznaczny tytuł ujawnia ukryte znaczenie dopiero w puencie 54-wierszowego zbioru – ale w którego przypadku owa niejednoznaczność wcale nie niesie za sobą konotacji pozytywnych.

Z początku wydaje się ona sugerować oparcie na symbolice biblijnej; i faktycznie, tomik jest tą symboliką przesiąknięty. Tytuły rozdziałów, wydzielonych – dodajmy – swobodnie, wprost nawiązują do pojęć i epizodów z Pisma Świętego, meritum części wierszy też jest zanurzone w chrześcijańskim kanonie. I nie byłoby w tym nic zdrożnego, gdyby Rany boskie realizowały obietnicę polemiki z religią, którą kuszą na okładce.

A teź otrzymujemy niewiele, choć argumentować można, że to tylko kwestia definicji. Jeśli jednak rozumiemy religijne rozważania, jako coś więcej niż okazjonalne wspomnianie passusów z Pisma i odwołania do milczącej figury Boga, to zawód będzie srogi. Z płynących z trzewi obserwacji – jak powtarza autorka – nie wynika żaden odkrywczy albo w istocie polemiczny wniosek.

Miałoby to być, powielane są schematy. Trzeba dużej dozy wyobraźni, a być może również świadomej nadinterpretacji, aby ujrzeć w otwierającym zbiór rozdziale Korona cierniowa inną wizję aniżeli apoteozę kobiety, od zawsze zmagającej się z przeciwnościami losu, z wiatrem wiejącym jej w oczy, ale dzielnie stojącej prosto i pracy naprzód. Wersy z wiersza pt. Dziewczyno: kiedy stajesz się kobietą / balansujesz na cienkiej linii / pomiędzy świętą a ladcnicą; zasadzili ci w podbrzuszu / wstyd jak cierń mają jednak tylko pusty, „kobieco-

martyrologiczny” wydźwięk, a temat już w ostatnich latach przepracowywany przez debatę publiczną.

Abstrahując od słuszności czy niesłuszności takiego podejścia autorki, obrazuje ono podstawowy problem tomiku – problem frustracji. Rany boskie dryfują bowiem widocznie w stronę poezji, powiedzmy, zwierzeniowej. Autorka pisze to, co jej w duszy gra, tyle że emocje muszą tu świadczyć same za siebie, gdyż pozbawiono je nadbudowy refleksji. Podcinanie skrzydeł, dybiący na podmiot liryczny świat, wewnętrzna siła pozwalająca pokonać ograniczenia – motyw kobiecych perturbacji odmieniany jest przez wszystkie przypadki.

Co prawda środkowe rozdziały traktują już nie tylko o kobiecie jako podmiocie społecznym i konstrukcie kulturowym, zaglądając nawet głębiej do jej psychiki i doznań, niemniej sumą tych doświadczeń nadal są banalne, powtarzalne konkluzje. Niesprawiedliwość i okrucieństwo świata wyziera tu z co drugiego wiersza, a winą za to okrucieństwo obarczani są w przeważającej mierze mężczyźni i bogowie. Lub bóg.

Rzecz jasna Bóg też jest mężczyzną – a jego największą wadą wydaje się być milczenie. Milczy wobec wszystkiego, co spotyka ludzi; milczy i dlatego podmiot liryczny usiłuje podjąć z nim dyskusję. Ale cały rozdział czwarty, zatytułowany wymownie Królestwo niebieskie, opisuje w istocie coś kompletnie przeciwnego. Jego sednem są oskarżenia, rzucane albo głosem spokojnym i zrezygnowanym, albo wzburzonym. Zdecydowanie najambitniejszy wiersz pt. Strzeziennego pod płaszczykiem żartobliwej dysputy w pijackich oparach właśnie o tym opowiada – ale na koniec przyznaje, że Bóg i tak śmiać się będzie z człowieka, swojego narzędzia, jednak w jego rękach jest władza absolutna. Krążące wokół tego zdania o ulatującej duszy czy myślach uwolnionych ze spalonych ciał, również zdążają do jednego mianownika.

A tymże jest wspomniana frustracja. To ona stanowi motor napędowy wierszy, także tych, które odchylają się od głównej myśli tomiku. Niekiedy ich tematem stają się rozbite

marzenia, wojna (ta za naszą wschodnią granicą) czynaród. Narodem są, rzecz jasna, Polacy – Polacy stereotypowo wpakowani w kompleksy, rozdarci między poczuciem winy a dumą, walczący za przegraną sprawę, z której nigdy jednakowoż nie zrezygnują: mamy wspólną historię / (to znaczy legendy o chłopcach malowanych) / i przekonanie że za ojczyznę trzeba oddać życie / nawet jeśli ona się na nas wypnie / bo najgorsza matka / to jednak matka.

W efekcie mniej więcej od połowy tomiku Rany boskie przypominają sztucznie zebrane i spisane spektrum przykrych ludzkich doznań. Z nich to próbują uczynić swoje credo, krzyczące na głos: zrozumcie moje cierpienie! Sęk w tym, że w cierpieniu nie ma duszy – więcej – może ono być potencjalnie uwłaczające samemu czytelnikowi. Trudno mi wszak pojąć, czemu służyć ma wiersz Facet, wypominający, iż tytułowy facet jest jak kukłka, gdyż podrzuca pisklęta / do macic. Głębia tego porównania jakkolwiek umyka memu pojmowaniu: jeśli bowiem ma to oznaczać, iż mężczyzna podrzuca kobiecie dzieci do wychowania, a sam pozostawia je bez opieki, to przestaje być to poezją, a staje się obelgą, urągającą większości obywateli płci męskiej.

Jeżeli poszukać w tym wszystkich atutów, to znajdziemy je jedynie w języku. Twórczość Agnieszki Rautman-Szczepańskiej sytuuje się daleko od honorowania reguł tzw. poezji klasycznej. Jej struktura przypomina bardziej pociętą prozę – i to pociętą wedle pryncypiów fonetyki, jak gdyby autorka pisała transkrypcję tego, co i w jaki sposób powiedziała oraz zaakcentowała w zwykłej, codziennej konwersacji. Pomimo tego, wypada docenić obrazowość i łatwość w kreowaniu krótkich, treściwych, trafnych konstrukcji.

Czasem są one tylko składową, jak w Szkole: nasze nauczycielki / myślały że są takie inteligentne / bo do perfekcji opanowały sarkazm / były nawet dowcipne / gdy precyzyjnie skracaly nas o głowę / teraz już nikt nie zawadzi / swoimi możliwościami o sufit, ale też mogą wiersze układać w całości – vide Ambaras: babka każdego dnia / wspominała wczoraj / matka każdego dnia / planowała jutro / a ja potykam się o dzisiaj / bo nie wiem do czego służy. Czasem wystarczają za cały wiersz.

Sentencje te stanowią ogółem największą siłę tomiku – nic innego tak dosadnie nie oddaje stojących za niektórymi wierszami inspiracji i nic nie objaśnia lepiej ich istoty. Obiecał mi jednak że kiedyś się zamienimy / a słowny jest jak śmierć / więc któregoś jutra zdarzy

się ostatnie wczoraj / i wtedy schowam mu się tak / że nigdy mnie nie znajdzie – czyż takie ujęcie czasu nie tchnie nowością? Tak samo jak spersonifikowanie emocji, jaką jest panika, do postaci kogoś żyjącego w jednym ciele z prawdziwą, rzeczywistą kobietą.

Niestety, i język cierpi na swoje problemy. Puryści poetyccy poczuć się pewnie zawiedzeni nader skąpą liczbą kunsztownych środków stylistycznych – uosobień, animacji, oksymoronów, eufemizmów, anafor, etc. – choć kwestia tego, czy należy to postrzegać jako wadę, należy już do sfery subiektywnych odczuć. Gorzej, że wiele z zastosowanych przymiotników, służy tylko jako ozdobniki, nijak nie wpływające na odbiór wierszy albo chociaż ich kształt (sylabizmu ani sylabotonizmu w tomiku wszak nie uświadczymy).

I niestety, nie wszystkie wspomniane lakoniczne sentencje i wyjaśnienia dotrzymują kroku standardom wyśrubowanym przez te wyżej podane. Skłonność autorki do ujmowania skomplikowanych zagadnień w przypominające aforyzmy foremki działa wszak jak miecz obosieczny, także niekiedy intrygujący (vide wiersz o czasie), jak i konfundujący. Ot, czysta skorupa, wyzbyta z jądra. Zawołowany opis śmierci w Memento: przez szpary pomiędzy tkankami / nie prześwieca światłość wiekuista / tylko śluz i gazy gnilne – to...zwyczajnie opis śmierci.

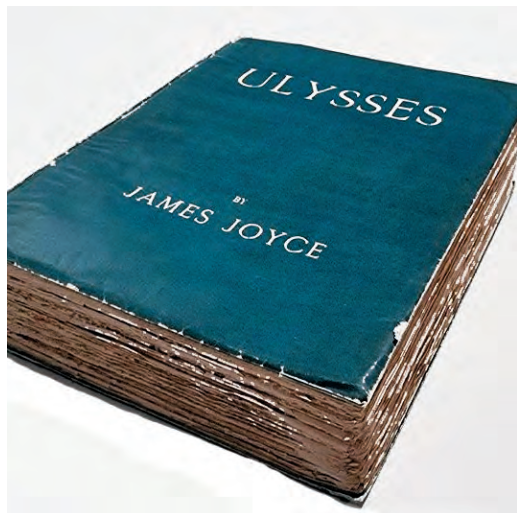
Gra słowem okazuje się momentami monotonna. I naiwna. Ślimak napychany obrazami rzeczywistości otaczającej go, kryjący się w muszli? Kłamcy, puszący się faktem, że wiedzą, jak doprowadzić do pokoju, ale z rozmysłem tego nie robią? Kobiety rodzące w schronach morderców albo ofiary (tak jakby to rozróżnienie okazywało się zawsze zerojedynkowo słuszne)? Nietrudno odczytać konteksty tychże fragmentów.

Wydawnictwo Horyzont Idei opatrzyło tylną zakładkę słowami, iż to poezja rozdierająca, emocjonalna, obosieczna. Ośmielam się nie zgodzić. Pomijając dywagacje, co wolno dziś zwać poezją, a co jest jedynie strumieniem świadomości poskładanym w formę tradycyjnie przypisywaną wierszom, frustracja wyziera z Ran boskich ubiera tomik w szaty ostentacyjnej pretensjonalności. Już w drugim wierszu, pt. Jasnosłuszenie, da się dostrzec passus, gdzie podmiot stwierdza: nie jestem w żaden sposób oryginalna. I, niestety, ma rację.

„Ulisses” James Joyce

Bożena Ciesielska

- wydanie 1992 rok, tłumaczenie Maciej Słomczyński, stron 557



Powieść zaliczana do pięciu najlepszych na świecie. Oprócz „Ulissesa” Jamesa Joyce’a wymienia się „Klima Samgina” Maksyma Gorkiego, „W poszukiwaniu straconego czasu” Marcela Prousta, „Człowieka bez właściwości” Roberta Musila i „Czarodziejską górę” Tomasza Manna. Ale dzieł prozatorskich równie dobrych jest znacznie więcej, choćby powieść Heimito von Doderera „Schody Strudlhofu”.

Głównymi postaciami „Ulissesa” są: Leopold Bloom- twórca ogłoszeń reklamowych dla lokalnej prasy, Stefan Dedalus- nauczyciel historii oraz Molly, czyli żona Blooma.

O tym, że „Ulisses” opisuje tylko jeden dzień z życia bohatera, wie wielu czytelników. Jest to czwartek 16 czerwca 1904 roku. Dublin. Godzina poranna. W zasadzie dzień jak co dzień dla głównej postaci, czyli Leopolda Blooma.

Zajmował się w swoim życiu różnymi zajęciami i pracami. Pisarz uczynił ten dzień niezwykle, opisując wydarzenia, które miały

wtedy miejsce i osoby, z którymi zetknął się Leopold Bloom. Na podstawie podanych godzin i minut wiemy, co robili i gdzie byli bohaterowie powieści. Ta niezwykłość dnia polega na tym, że jest to jeden ze zwyczajnych dni dla każdego człowieka niezależnie, gdzie on mieszka. Artyzm polega na precyzyjnym, szczegółowym i drobniogowym opisanu wydarzeń z życia bohatera. Wiele opisów dotyczy wspomnień z lat przeszłych. W zasadzie nawet czytelnikowi, który przeczytał powieść, trudno jest napisać o niej opinię. Powieść jest bowiem skomplikowana. Bohaterowie ciągle rozmawiają, opisy wydarzeń ciągną się niemal w nieskończoność, są zapisywane ich rozmyślenia. Wiele wątków odnosi się do przeszłości i do motywów literackich, które nie utrudniają odbioru lektury. Czytelnik nie musi znać wszystkich odniesień. Nawet jeśli ktoś ich nie dostrzeże, nie znaczy, że nie zrozumiał treści.

Do grona osób opisanych w „Ulissiesie” zaliczyć trzeba tych, których tego dnia spotykają: Bloom, Dedalus i Molly... A jest ich niemało. Szczegółowość opisów postaci, miejsc i wydarzeń może skutecznie zniechęcić do lektury. Wytrwały czytelnik da sobie jednak radę. Wiele epizodów/fragmentów w książce czyta się z ogromną przyjemnością. Należy do nich choćby rozmowa Leopolda Blooma z panią Breen. Tak opisuje jej wygląd: „Ta sama niebieska, wyblakła na karczku sukienka, którą miała dwa lata temu. Minęły już jej najlepsze czasy. Kosmyki włosów opadające na uszy. I ten niegustowny toczek z trzema starymi winogronami, żeby lepiej wyglądał. Poślaczana nędza. Kiedyś ubierała się szykownie. Bruzdy wokół ust. Chyba tylko o rok starsza od Molly”. A dziw bierze, że Bloom pamiętał szczegóły ubioru sprzed

dwóch lat. Myślę, że pani Breen podobała mu się dawniej i dlatego łatwiej było mu porównać jej obecny wygląd.

Opowiadała mu o trudnym porodzie znajomej, a on udawał zainteresowanie.

Inną sceną jest opis przygotowania do egzekucji Rumbolta. Tego nie da się streścić. Trzeba przeczytać samemu. Oto gość ma być ścięty na szafocie. Wokół tłum ludzi. Raz się wszyscy śmieją i trzęsą z uciechy, a raz płaczą. „Świeża ulewa też lunęła z ich kanalików łzowych, a niezmierzone zbiorowisko ludzkie, poruszone do głębi duszy, wybuchnęło rozzdzierającym łkaniem...”.

Leopold Bloom, to dubliński wędrownik, który ma bardzo dużo do opowiedzenia, a wypowiada się na przeróżne tematy. Moda, kobiece ubiory, seks, miłość, śmierć, rodzina, dzieci, pogrzeby... Skupia swoją uwagę na wyglądzie spotykanych osób, patrzy na stroje, buty i uczesanie.

Szczególnie dużo fragmentów ma związek z jedzeniem. Cóż się dziwić, skoro ta sfera codziennego życia jest bliska nie tylko jemu. To ważny aspekt życia bohatera. Dużo uwagi poświęca jedzeniu i przygotowywaniu potraw. Pewnie można by się pokusić o sporządzenie wykazu menu Leopolda Blooma, choć nie wiem czy przypadło by do gustu innym osobom, zwłaszcza o wysublimowanym smaku. Świeże mleko prosto od krowy, pajdy chleba, „wilgotna jędrność rogalików”, zupa z podróbek, żółtą ptasie, „nadziewane pieczone serca”, „płatki wątróbki podsmażane w tartej bułce”, „przypiekane nerki baranie” i szereg innych potraw działających na zmysły czytelnika. Do niektórych dań ma jednak uprzedzenie i opisuje je w sposób wyjątkowo zniechęcający. „Nie jedz befsztyka. Jeżeli zjesz, wzrok tej krowy będzie cię ścigał przez całą wieczność” – dodaje Leopold Bloom.

Autor tworzy przeróżne neologizmy, stosuje wyrazy dźwiękonaśladowcze, rymy

(„Abece. Widzę cię!”), metafory („dwie schnące, ukrzyżowane koszule na sznurze do bielizny”, „Pompa śmierci”), inne środki językowe („tłustych tłustością najlepszej pszenicy”, „silny aż do granic słabości”). Interesujące są tworzone zwroty („gdzie głupota jest cnotą”) i wyrażenia („w wytwornej rozpuście”, „odszkodowania miłosne”, „niepożądane pożądanie”).

Pisarz korzysta z różnych form wypowiedzi, choć chyba przeważa monolog wewnętrzny i potok słów. Wiele scen może zauroczyć odbiorcę, wiele scen zniechęcić lub rozzmieszyć. Niektóre rodzą obrzydzenie, gdyż przypominają naturalistyczne opisy. Pewnie na tym polega mistrzostwo. Powieść jest oryginalną i niepowtarzalną kroniką wydarzeń. Drobniogowość opisów ponad wszelką miarę. Pisarz nawiązuje do różnych konwencji literackich i bawi się nimi.

Czy „Ulisses” jest powieścią dla wytrawnych znawców czy zwykłych odbiorców, czytających w celach poznawczych i dla przyjemności? Oto jest pytanie! Warto zmierzyć się z tym dziełem. Warto też poznać okoliczności pisania tej niezwyklej powieści, ale i okoliczności pracy tłumacza. Podobno tłumaczenie trwało dłużej niż pisanie książki. Czy powieść jest warta czytania? Na pewno warto poznać dziennik jednego dnia. Brawa dla czytelnika, któremu udało się przebrnąć przez lekturę. Parafrazując słowa pisarza: „Ulisses jest wreszcie gotowy”, można by rzec: „Ulisses” jest wreszcie przeczytany. Zapamiętajmy, że pogrzeb, na którym był Leopold Bloom, zaczął się o godzinie 11.00.

Rzecz trudna do czytania, ale warta poświęcenia czasu na poznanie różnych sytuacji, w których znalazł się bohater.

Smutny Generał

Waldemar Panert

W małej, spokojnej wiosce Jastrzęb, na Pojezierzu Brodnickim, wśród pól i strumyków, rozgrywała się wielka historia. I jak to zwykle z wielkimi wydarzeniami bywa, wypełniają je łzy. Nimi nasiąknięta jest i ta ziemia.

W roku 1831, po przegranej wojnie z Rosją, wojsko polskie opuściło kraj, udając się na emigrację. To właśnie w tych okolicach przebiegała granica między Królestwem Kongresowym a Prusami. I w tej wiosce nastąpiło przejście armii Królestwa Kongresowego do państwa pruskiego. A były to siły znaczne: około 20 tysięcy żołnierzy, 95 armat i tysiące koni. Dowodząc, pieczę nad wszystkim sprawował polski generał Maciej Rybiński herbu Radwan. Ten zasłużony żołnierz



w niejednej bitwie uczestniczył, był ranny, a nawet wzięty do niewoli, nim otrzymał stopień generała dywizji. To właśnie on, będąc naczelnym wodzem polskich wojsk, podjął decyzję przekroczenia granicy Prus, bowiem

nasza armia nie była w stanie dłużej walczyć z przeważającymi siłami Rosji.

Będąc w Jastrzębiu, można spróbować zanurzyć się w historię, wychodząc na spacer wieczorową porą. Zapatrzyć się w mgłę spowijającą pola, może uda się ujrzyć zgrabną postać w starym generalskim mundurze. Miejscowi mówią, że takie zdarzenia miały tu już miejsce. Ponoć duch generał, miał się pojawić kilku osobom. Ślady przeszłości odcisnęły na nim wyraźne piętno. Twarz blada, w oczach smutek. Nieraz zadawał sobie pytanie, czy dobrze zrobił, wydając rozkaz przekroczenia granicy Prus. W końcu miał jeszcze potężną armię zaprawionych w bojach żołnierzy.

Jednak dalsza walka nie miała sensu; stałaby się tylko rzezią Polaków, wykrwawiając naszą armię.

Smutek dało się odczuć w generalskich wspomnieniach, gdy mówił o niesłusznych zarzutach, jakie stawiano mu, twierdząc, że pertraktował z wodzem rosyjskiego wojska-Paskiewiczem warunki kapitulacji.

Generał przebywając wiele lat na emigracji w Paryżu, choć nie pozbył się bolączek dawnych dni, wciąż jeszcze działał na rzecz ojczyzny. Dużym osiągnięciem Macieja

Rybińskiego było utworzenie w roku 1843 Stronnictwa Wojskowego.

Zjawia rozplywa się we mgle, pozostawiając nas w niewiedzy, czy był to jedynie sen, czy też naprawdę miało to miejsce.

Wszystkie tajemnice Marie Taglioni

Michalina Cendrowska

- Wydłużajcie swoje kości. Wyciągajcie je ze stawów. Miękkie ruchy, delikatne. Mam w nich czuć powietrze. Wyrastajcie czubkiem głowy w górę, stopami odpychajcie się mocno od ziemi. Żebra schowane, dłonie rozluźnione, a nie sztywne jak grabie. Łopatki ściągnięte, spokojny oddech.

- Magdalena podwijaj miednicę. Jeszcze. Jeszcze. Za dużo. No, i teraz Magdalena ma z czego pogłębić swoje wykręcenie.

Gardłowy głos Żabińskiej wylewa się na główny hol. Po szkole krąży opinia, że nazwisko ma nieprzypadkowe, bo jej wrzask przypomina żabi rechot. W dodatku podczas mówienia trzęsą jej się wszystkie cztery podbródki. Kiedyś była piękna i swoim wdziękiem czarowała na niejednej scenie, teraz powykrzywianymi nogami tupie nerwowo w rytm prędkiej muzyki.

Ola wraz z kilkoma spóźnionymi dziewczynami próbuje uspokoić oddech, opierając się o balustradę. Znowu są parę minut po czasie i Żabińska nie wpuści ich na salę, aż do następnych zajęć z kompozycji. Przechodzące korytarzem dziewczyny z klasy wyżej, omiatają je wzrokiem, nienaturalnie wykręcając przy tym chude, długie szyje. Wbiegają po krętych schodach i znikają w półmroku, pozostawiając po sobie stłumiony chichot, który jeszcze przez moment odbija się echem. Z naprzeciwka, z fotografii absolwentów, spogląda na nie kilkunastoletnia Żabińska, zgięta niemal w pół w mistrzowskim adagio.

- Czy-wy-do-cho-le-ry-nie-sły-szy-cie-mu-zy-ki? Titiri-tiriri-pam-pam-pam i skok! Szybciej, szybciej, szybciej do pioruna! I wyżej nogi, wyżej, no wyżej! Macie fruwać pod sufitem! - grzmi grzmi Żabińska, klaszcząc przy tym rytmicznie w dłonie.

W tym momencie wygląda, jak nakręcany pajacyk - pomyślała Ola i parsknęła nerwowo, ale spotykając karcący wzrok Sylwii, szybko się poprawia.

Spóźnialskie stoją w równiutkim rzędzie i w pełnym synchronie obgryzają paznokcie. Najpierw kciuk. Aby się do niego dostać, delikatnie przechylają głowę. Następnie wyciągają palec wskazujący i odwracają głowę w

drugą stronę. Wszystko odbywa się w rozliczeniu 4/4, w spokojnym adagio. Przy ostatnim paznokciu przeginają do tyłu zmęczone plecy i pozwalają sobie na przeciągłe i szerokie ziewnięcie.

Na zegarze dopiero dobija ósma. Za oknem jeszcze szaro. Ci, którym się bardzo spieszy, nawet nie pamiętają, by zmienić światła i oślepiają długimi. Jeszcze wcześniej zaczęli w cukierni. Mają niefortunną lokalizację, zaraz koło szkoły baletowej. Zapachy świeżych napoleonek, wuzetek i tart owocowych, wsączają się przez okna do sąsiadów z góry, ale żadnego z nich nie zachęcają do kupna. Dziewczyny w tym czasie rozsuwają swoje ortalionowe torby, z których wyciągają wodę, wafle ryżowe, orkiszowe bułki. Biorą po dwa kęsy i chowają je z powrotem.

- A czym Barbara wyprowadza stopę w battement tendu? - zainteresowała się Żabińska. Słyszac to pytanie, dziewczyny w holu robią krok do drzwi, ustawiają się en face i zaczynają nasłuchiwać.

- No nie wytrzymam. Monika? A może Sylwia zna odpowiedź?

Akompaniator, jak zwykle, kiedy tancerki zastygają w bezruchu, odrywa od klawiszy pokościawione dłonie. Wyciąga je przed siebie, głośno trzaskając stawami.

- Kurwa, dzisiaj odpytuje - wyciedza Ola, a dziewczyny zaczynają nerwowo wykręcać nogi, w poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie psorki.

Wszystkie na moment ratuje, przyszywający dźwięk dzwonka na przerwę. Maszynne drzwi otwierają się z trudem, zaraz jednak hol zapełnia się tancerkami, jasnymi i lekkimi jak motyle. Naelektryzowane trzepoczą się i wiercą bardziej niż zwykle. Zapowiedziana przez Żabińską wizyta dyrektora szkoły, który będzie dobierał obsadę do wystawianej na koniec semestru Giselle, zatrzęsła całą szkołę. Dziewczyny poprawiają szybko kostiumy, naciągają włosy na czubek głowy, biorą dwa łyki wody i biegiem ruszają do sali, pozostawiając po sobie gęstą mgłę z pudru i lakieru do włosów.

Jeszcze nie wybrzmiał dzwonek na lekcję, a już się rozgrzewają, przeginając się w talii. Ćwiczą skoki, piruety, wirują w powietrzu, aż po sam sufit. Oli udaje się wykonać nie jeden, nie dwa, nie trzy, ale aż cztery obroty, po czym wylądować bez zachwiania w czwartej pozycji. - A masz ci! - Żabińska wyrzuca z siebie niekontrolowany kwik. Rzadko wygląda na tak rozpromienioną.

Dziewczyny posyłają w kierunku Oli zawistne spojrzenia, ale ta nie daje się wybić z roli. Przeciąga wzrokiem po smukłej ręce, którą wyduła jeszcze bardziej w allongé, przechodzi przez szerokie plie i ustaje w piątej pozycji. Dosuwa lewą piętę do palców u prawej stopy, podciąga kolana, zaciska uda, pośladki, wyciąga korpus, rozciąga łopatki. Głowę odwraca za prawym ramieniem i lekko przechyla ją w stronę stojącego w drzwiach dyrektora, jakby chciała, aby coś jej szepnęła na ucho.

Chciała. Chciała, żeby jej powiedział, że zostanie główną rolę. Że przecież nikt nie robi tego lepiej niż ona. I że jej solowy popis zapisze się w pamięci szkoły, a może nawet szerszej publiczności. Zbyt często kazali jej grzać miejsce rezerwowych, podczas gdy jej ciało rwie się w stronę oślepiających reflektorów, gorących okłasków, bukietów i bilecików. Ola zanurza się w tej fantazji, a w tym samym czasie jej ciało wykonuje wysokie, pełne gracji pas de chat i zastyga w drugiej arabesque, wyciągnięte jak struna. Żabińska nie odrywa od niej wzroku, choć oczywiście wszystkie dziewczyny robią, co mogą, by zwrócić na siebie uwagę.

Rozproszone tancerki zbierają się w jedną chmurę na kłaśnięcie prowadzącej i za chwilę znowu wirują jak derwisze. Żabińska zaraz ruga je, a te już w gotowości stoją w równym rzędzie po przekątnej i rzucają nogi pod sam sufit w skocznym grand battement. Akompaniator z zacięciem wygrywa energiczny temat. Dziewczyny przechodzą przez coraz trudniejsze ćwiczenia. Piją coraz więcej wody, coraz częściej trzymają się pod biodra, łamią się w talii, próbując złapać oddech. Poprawiają włosy, rozmasowują spięte barki i przedramiona, i ruszają dalej w obroty.

Basia myli pozycję rąk w piątym ułożeniu stóp, ale ma dobre tempo. O pół taktu spóźnia się Monika. Niechlujnie kończy Magda,

mimo że zaczęła jak strzała. Ola sunie po sali, jakby ledwie dotykała parkietu. Schludnie przechodzi z punktu do punktu, jakby zbierała porozrzucane po podłodze koraliki. I tak następna, i następna, i następna.

Zaciekle walczącym dziewczynom, przygląda się niewzruszona Marie Taglioni. Sportretowana w bajecznej paczce, patrzy w dal i delikatnie się uśmiecha, choć z jej twarzy niewiele da się wyczytać. Jej maestria polega na tym, że swoim ciałem potrafiła przybierać zupełnie nieludzkie kształty, ale nikt nie mógł się połapać, jak ona to robi. Ci, którzy próbowali podejrzeć pracę jej: nóg, rąk i stóp, momentalnie tracili rachubę, jak zahipnotyzowani. Krążyły nawet opowieści, że Taglioni nie była zupełnie ludzka, ale ci starsi i rozsądniejsi gasili te plotki zupełnie niepoważnym śmiechem.

Ola odrywa wzrok od hipnotyzującej Marie i ustawia się w croisé, z którego zaczyna finałowy popis. Od razu ściąga na siebie wzrok koleżanek i pedagogów i nie traci z nimi kontaktu, podczas gdy jej: ręce, nogi i stopy robią swoje, jakby zaczarowane. Podobnie jak Marie Taglioni, tak czaruje widownię, że nikt nie może się połapać, o co tu chodzi. Czy to aby nie sen? Czy ona frunie? Czy jest prawdziwa?

Nie jest dobrze, kiedy coś zniemacka burzy twój porządek, to perfekcyjne skupienie. Kiedy nagle na sali pojawia się jedna para oczu więcej, i tę jedną parę oczu więcej również trzeba ogarnąć swym wzrokiem. Ola wytraca równowagę. Przez moment wywija w niekontrolowany sposób nogami, a potem leci przed siebie jak długa. Ściągnęno zrywa się, jak naprężona taśma na puencie. Płynne dźwięki klawiszy przerywa przeszywający pisk.

- Z taką kontuzją daleko by nie zajęchała.
- Bezużyteczna, jak kłacz wyścigowa ze złamanym kopytem.

Ola powoli zaczyna rejestrować, otaczające ją dźwięki. Kręci jej się w głowie, jakby obudziła się z kilkunastogodzinnego snu. Już zbierała siły, żeby poderwać się do góry, ale orientuje się, że jej nogi i ręce przymocowane są do jakiejś dziwnej maszyny. Otwiera szeroko usta, jakby chciała krzyczeć, ale sparaliżowana niemożliwym bólem, wydaje z siebie jedynie

przeciągły syk, czym zwraca uwagę tajemniczych mężczyzn.

- O, witaj – zwraca się do niej jeden z nich, wyraźnie siłąc się na przyjemny ton. Ola rozpoznaje po głosie, że to ten sam, który wcześniej przyrównywał ją do konia. Mężczyzna podnosi się i zapala jarzeniową żarówkę, która poruszona obraca się wokół własnej osi. Do jedyne go źródła światła podrywa się tłuste i brzęczące robactwo. To mogła być czyjaś piwnica albo jakiś bunkier. Wyglądało na od lat nieużytkowane. Wszystkie meble i przedmioty pokrywała gruba warstwa kurzu. Wszędzie unosił się duszący i lepki zapach zjełczałego masła.

Ze światła wyłaniają się także kontury około dziesięciu innych mężczyzn, stojących w półkřęgu. Patrzą wprost na nią, ale nie mrugają. Jest w nich coś nieludzkiego. Ola ma w głowie wiele pytań, choćby o to, jak się tu znalazła, ale wyczuła, że w tej sytuacji nie powinna za wiele mówić.

- Opowiedz mi, co się wczoraj wydarzyło – zwraca się do niej ten, który ją przywitał.

Ola marszczy czoło, ale próba przywołania przez nią jakichkolwiek wspomnień, pogłębia tylko ból w całym ciele. Nic nie odpowiada.

- Wciąż nic nie pamiętasz? Biedactwo – Mężczyzna ściąga z twarzy przyklejony uśmiech i wciąga współczującą maskę. Przyciąga krzesło i siada tuż przy niej.

- Wczoraj byłaś bardzo smutna. Dużo płakałaś. Nie mogłem cię tak zostawić.

W tym momencie Ola coś sobie przypomina. Przyglądając się mężczyźnie bliżej, jest prawie pewna, że to ten sam, który wczoraj podczas zajęć wszedł do sali i przerwał jej taniec.

- To przez ciebie! - wyrывa się Oli.

- Cicho siedź! - naciera na nią agresywnie i zagłusza, zaciskając na jej ustach ręce. W reszcie rozluźnia zacisk i zaczyna przesuwac dłonie po jej szyi, barkach i plecach.

- Złej baletnicy wadzi rąbek spódnicy, więc teraz słuchaj mnie uważnie. Wstaniesz, wrócisz na salę i odtanisz swoją partyturę. I dostaniesz rolę Giselle.

- Ale moje kolano! – przerywa mu Ola.

- Jakie kolano?

Mężczyzna nachyla się nad nią i podwija jej spodnie.

Ola już chce protestować, ale jej oczom ukazuje się przerażający widok. Jej kontuzjowaną

nogę pokrywały dziesiątki szwów i zielono-fioletowych zasinień. Po obu stronach kolana przymocowane miała dwie wielkie śruby.

- Co do...

- Przez jakiś czas będzie jeszcze trochę opuchnięta, ale z czasem wszystko ładnie się zagoi – uspokoił ją mężczyzna, ściągając z powrotem w dół nogawki jej spodni.

- Z taką kontuzją już raczej niewiele ugra.

- Bezużyteczna, jak przetrącona kłacz wyścigowa.

Ola powoli zaczyna rejestrować otaczające ją dźwięki. Kręci jej się w głowie, jakby obudziła się z kilkunastogodzinnego snu, ale musiało minąć może ledwie kilka minut, bo na sali wciąż trwa ta sama lekcja. Ola z trudem podnosi się z podłogi i opuszcza otaczający ją wianuszek dziewcząt. Jest jeszcze trochę skołowana i może lekko zawstydzona. Na pewno zawiedziona tym, że dała ciała, i że teraz na pewno jej nie wezmą.

Sala wypełnia się nerwowym szepcieniem, kiedy Ola, jak gdyby nigdy nic, staje na nogi i pokonuje kilka kroków w stronę drążka. Zaczyna od delikatnych przeciągnięć, wykonuje parę okrążeń biodrami w jedną i w drugą stronę. Kości i stawy ma sztywne, jak nienaoliwiona huśtawka na mrozie. Na początku czuje duży opór, jakby przedzierała się przez smolistą cieć. Jednak powoli, ledwie zauważalnie dla przeciętnego widza, jej ruchy stają się coraz delikatniejsze i bardziej zdecydowane. Ola wbija puentę w parkiet i unosi całe swoje ciało na palcach kontuzjowanej, przed chwilą, nogi. Druga bez większego wysiłku – jakby sama – unosi się prawie pod samym sufitem.

Muzyk podchwytuje jej ruchy i zaczyna rytmicznie uderzać w klawisze. Ola przegina się w pół, wywija we wszystkie strony, jakby jej ruchów nie ograniczały żadne kości ani stawy. Wreszcie ląduje niezachwiana w szerokiej arabesque. Schodzi do niesamowicie głębokiego plie i prostuje dumnie ciało. Ola omiata wzrokiem salę dokoła i zatrzymuje wzrok na Marie Taglioni, która wydaje się porozumiewawczo do niej mrugać.



Szczurołap ziemniaczany

Agnieszka Modrzejewska

Dedykuję wszystkim tym, których dzieciństwo było potargane.

Jestem dzieckiem schizofrenika i alkoholici. Niezła kumulacja na samym starcie. Nawet Nostradamus by tego nie zwizualizował. Takie dzieciństwo to przepustka do nieszczęścia, ale teraz to ode mnie zależy, czy ją światu okażę bez wezwania, czy będę siebie dalej sabotować. Z takich domów wychodzą geniusze, zbrodniarze... i ja. Na szczęście byłem jedynym, unieszczęśliwionym przez tę parę dzieckiem. Co ciekawe, nie zakwalifikowano nas nigdy patologicznie, wszak nie pojawiała się w naszym domu ani na stole, ani tym bardziej pod stołem, żadna butelka czy osoba. Mieliśmy co jeść, oboje pracowali zawodowo, nie było większych awantur, bijatyk ani rozmów; były tylko polecenia, a te nie są niedopuszczalne.

Podobno, jak się dużo medytuje i stawia na uważność, można się odbudować; ale czy dom warto stawiać na zgłiszczach? Choćby cała rzesza psychoterapeutów, zapewne w dobrej wierze, przekonywała mnie, że można; ja swoje wiem. Są warstwy w duszy ludzkiej, których już nie nadbudujesz i nie wyprostujesz. Nie możesz pominąć fundamentu i stawiać ścian. Jak nie dostaniesz na pierwszych filarach właściwej zaprawy, rozwojowej porcji: miłości i wsparcia, potem już sobie tego w żaden sposób nie zrekompensujesz.

Jedna taka specjalistka próbowała mnie nawet przekonać, że na każdym etapie życia funkcjonowałem i postępowałem, najlepiej jak w tamtym momencie potrafiłem, i że z całą pewnością nie mogę ponosić odpowiedzialności za decyzje i kroki dorosłych. Żadne dziecko nie może. No taka standardowa gadka do zaniedbanych emocjonalnie, żeby ich nie zdołować bardziej, żeby się nie skruszyli jak zbyt cienki wafelek.

Ale choćby mnie uniewinniły i rozgrzeszyły, na czym zresztą wcale mi nie zależy, wszystkie instancje odpowiedzialne za krzewienie prawdy, moralności i prawa, ja i tak pozostanę winny, winny wszystkich oskarżeń mojego wewnętrznego prokuratora. Nie mam i nie szukam obrońcy.

To był słoneczny dzień, nie wiem skąd ani od kogo ojciec go dostał, bo z pewnością nie kupił, ale grunt, że przyniósł do domu. Przyniósł w drucianej klatce kogoś więcej niż zwierzątko, moje własne zwierzątko. To był mój ktoś do kochania. Chomik. Jeszcze tego samego dnia wyszedłem z nim na dwór, chciałem pokazać koleżkom z podwórka, jakiego mam wyjątkowego przyjaciela, jak lubi skubać trawkę, więc wypuściłem go z klatki na trawiasty raj. Na umiłowaną wolność. Miałem wtedy pewnie nie więcej niż jakieś pięć-sześć lat (pamiętam dokładnie: podwórko, trzepak i tamten dom, który opuściliśmy, gdy zacząłem chodzić do szkoły, więc to musiało być wtedy...). Nikt mi nie powiedział, że koty nie lubią chomików, albo inaczej: - że lubią nie tak, jak to sobie mogłem wtedy przyswoić moją dziecięcą wyobraźnią. Nie uchroniłem małego przyjaciela, pożarł go tłusty kot. Jestem winny, bo zamiast zostawić go w domu, egoistycznie zabrałem, żeby się nim pochwalić jak trofeum, a dla kota de facto był tym samym- trofeum właśnie. I o ile kota można jeszcze jakoś usprawiedliwić: instynktem łowcy i naturą drapieżnika, o tyle mnie... Mnie można tylko nazwać współmordercą. Jestem współwinny jego śmierci. Winny jak cholera. Przez blisko pół wieku prześladowa mnie ten obraz, to piętno wypalane w genotypie. I nie był to wcale koniec moich chomiczych traum.

Jakoś żal im się zrobiło mnie rozbeczanego, więc gdy zobaczyli na progu kupę nieszczęścia z pustą klatką, skołowali skądś następcę. I znów miłe złego początki. Nie dawali mi żadnych pieniędzy na karmę ani nawet na warzywa, więc biedak jadł to co my, ale jakoś mu to ludzkie żarcie nie służyło, wkrótce był już tylko niepowetowaną stratą, podwójnie strauumatyzowanego dziecka.

U nas nie kupowało się żadnych warzyw nie tylko dla zwierząt, ale nawet dla ludzi, po prostu nie jadło się żadnych sałatek ani surówek.

Kiedy już byłem nastolatkiem i zostałem na obiedzie u kolegi, a na stół wjechał bukiet warzyw, myślałem, że mi oczy z orbit wyjdą, to

było coś na kształt objawienia w Pewexie.

A matka mówiła swoje: a co to ja królik jestem, żebym warzywa jadła?!

Najczęściej jedliśmy w domu zupy, takie bezsmakowe, bo matka nie uznawała niemal żadnych przypraw z wyjątkiem odrobiny soli. A ziemniaczana królowała o każdej porze roku, niedetronizowana przez co najmniej kilkanaście lat.

Pocieszałem się, że skoro u lwka, trzy bramy dalej, co drugi dzień jest żurek, to tak po prostu wygląda życie i dieta w PRL-u. A pamiętam to dokładnie, bo zawsze ilekroć próbowaliśmy go z chłopakami namówić, żeby został trochę po lekcjach i pograł z nami w nogę, krzychał: „Zaraz będę z powrotem, wpadnę tylko na Brzeską po żurek”.

Długo nie znałem też smaku masła, bo matka wołała smalec. Egzotyczny smak sałaty czy pomidora poznałem dopiero w szkole, wymieniając się na przerwie kanapkami. Chłopaki nawet chętnie się zamieniali, bo dla nich czymś nowym był wiejski smalec ze skwarkami, mnie znany jak chleb powszedni. A chleb, czasem bułki, kupowało się u nas zwykle raz-dwa razy w tygodniu, choć sklep był za rogiem, i potem jadło się ten czerstwy aż do ostatniej kromki. Strasznie wtedy zazdrościłem kumplowi z ławki, którego tata był piekarzem, że codziennie wracając z nocnej zmiany, przynosi im ciepłe, świeżuchne bułeczki. Nieraz dostawałem od Adasia taką kanapkę, nawet bez wymiany na moją. Była jak smak lepszego świata. Normalnie, jakby przypłynęła statkiem z pomarańczami w grudniu. Do dziś pamięta się takie rarytasy. Na kanapkowej giełdzie, wysoko stały też dwa razy większe kanapki Patryka, z nim również lubiłem ubijać bułkowy interes.

Gdy ktoś z czułością mówi: nie ma jak u mamy, ach te potrawy z dzieciństwa, te smaki, których nie odnajduję już nigdy nigdzie; ja myślę: Chryste, tylko nie u mamy, wszystko tylko nie te smaki czy raczej bezsmaki dzieciństwa. Ratowały mnie obiady w szkole i wakacje u dziadków.

Zaległości w diecie to jedno, w końcu nie samym żarciem człowiek żyje, ale nie do nadrobienia są braki intelektualne. Nadganiać można i warto, dogonić – bez szans. Oczywiście czytałem książki wypożyczane z bibliotek, ale z nowościami, to tam było raczej krucho. A książek

nie wolno mi było kupować, tzn. nie miałem za co. W naszym mieście były dwie księgarnie, odwiedzałem je regularnie przez cały rok, przyglądając się książkom jak Donaldom w Pewexie.

Każdego roku pod koniec sierpnia dostawałem niewielką sumę na zakup przyborów szkolnych, podręczniki dostawało się wtedy ze szkoły, ale wszelkie: zeszyty, kredki, farby, plasteliny, bloki etc. trzeba było kupić samemu. I tego dnia wolno mi było półoficjalnie nabyć jedną książkę. Tak otwierał się przede mną wydawniczy raj. Stoiska papiernicze były bowiem przy owych księgarniach, więc oszczędzając nieco na przyborach, zwykle udawało mi się przemycić zakup książki. Ileż to dawało radości. Tyle, że dzieci w domach inteligentnych, mogły tych książek i gier mieć bez liku, ile dusza zapagnie. I miał im też kto polecić właściwą lekturę. Ja byłem zdany wyłącznie na siebie. A przypomnę nieśmiało, że był to czas przedinternetowy, a więc też przedgooglowy.

Moja matka, co prawda czytała książki, ale wyłącznie: „Pana Tadeusza”, „Pociep” i „Rodzinę Połanieckich” – tylko i na zmianę te trzy, nie widziała więc sensu w kupowaniu i gromadzeniu innych książek. Do dziś nie rozumiem, dlaczego akurat te czytała, ani na jakiej podstawie dokonała ich wyboru, i dlaczego rozsmakowując się w Mickiewiczu czy Sienkiewiczu, nie chciała pójść w tym choćby o krok dalej. Ale ponieważ matka składała się z różnych dziwactw, jedno więcej nie powinno mnie jakoś szczególnie zajmować. Na przykład zupełnie jej nie przeszkadzało noszenie cudzej bielizny, rzeczy dowolnego członka rodziny, a nawet myślę, że gdyby ktoś z gości zostawił jakąś część swojej garderoby, też by ją przysparnęła jak własną. No i rącznik. To jeszcze jedna drażliwa kwestia. Wszyscy mieliśmy w łazience jeden wspólny, bo zdaniem matki, nie warto generować więcej prania. Długo myślałem, że to jest normalne i że w każdej rodzinie tak to wygląda.

Kiedy matka chciała czasem umyć zęby, łapała pierwszą z brzegu szczoteczkę, która jej się nawinęła, nieważne czy zużyta, sparciała, jakaś stara czy cudza, byle by była. Jak dorwała się czasem do mojej, tak się brzydziłem, że bez końca wyparzałem ją, lejąc wrzątek z czaj-

nika, bo oczywiście o zakupie nowej mogłem pomarzyć.

Gdy córka pyta mnie czasem, czemu mam takie brzydkie zęby i czy ich w dzieciństwie nie myłem, chce mi się płakać, bo tylko ja jeden wiem, jak desperacko próbowałem walczyć o pastę i szczoteczkę, by je w ogóle mieć (zęby i przybory). O wizytach czy przeglądach stomatologicznych nie wspomnę, bo to na tamten czas czysta enigma.

Byłem wtedy chyba gdzieś tak w połowie podstawówki, gdy przez kilka miesięcy udało mi się być względnie szczęśliwym. Miałem wreszcie swojego wymarzonego psa, którego przytargałem od kumpla. Suka miała duży miot, więc chętnie rozdawał szczeniaki, a że było to w okolicach moich urodzin, powiedziałem rodzicom, że to prezent od Bartka, a prezentów się przecież nie oddaje, więc nie mogę zwrócić psa.

Szczeniak, jak to psie dziecko, rozrabiał, może i bardziej nawet niż inne (nie wiem, nie mam porównania, bo nigdy wcześniej ani nigdy później nie opiekowałem się szczeniakiem), w każdym razie codziennie po powrocie z pracy, matka zastawała widok ściągniętych z karniszy na podłogę firan i zasłon, wyrzuconą na nie ziemię z doniczek i wisienką na torcie będącą, psią kupę na samym wierzchołku tego kłębowiska. Przez kilka pierwszych miesięcy nawet dość dzielnie to znosiła, wchodziła na drabinę, z parapetu nie dosięgała, wszak była niewysoka, a u nas mieszkania były jak w starych kamienicach, ponad trzymetrowej wysokości. Ale pewnego dnia miarka się przebrała. Pies, mój pies, który według mnie wabił się Rio, a według nich Nornik, żeby było bardziej swojsko, a poza tym chyba na cześć tego, że tak lubił kopać w ziemi, chociaż tego bym akurat na ich miejscu nie celebrował, zniknął. Tamten dzień właściwie nie różnił się niczym od wszystkich innych dni, po szkole graliśmy znów w nogę na boisku, potem lwo pędem pognął po żurek, Patryka odprowadziliśmy pod czwartą bramę na Królewieckiej, po czym niespiesznie, bo akurat włóczyć, to mi się wolno było wszędzie i do woli, poszedłem wreszcie do domu. Rio Nornik ani nie wybiegł mi na powitanie, ani nie zamerdał na progu, nie pojawił się też, gdy przemierzałem kolejne pomieszczenia, po prostu nigdzie go nie było. Nie było też ściągniętych firan ani rozsypanej ziemi,

ale wtedy akurat nie zwróciłem na to uwagi. Zniknął. Dopiero wieczorem zebrałem się na odwagę, żeby pójść i zapytać rodziców, gdzie podział się pies. U nas był taki niepisany zwyczaj, że wszystko musiało się uleżeć i odleżeć, czyli każdą sprawę należało przeczekać. Jeśli dostawało się nowe ubranie, trzeba było odczekać co najmniej jeden dzień, żeby je założyć, jeśli dostało się czekoladkę, to co najmniej do wyjścia darczyńcy, żeby nie pomyślał, że nie mamy ogłady, że rzucamy się na jedzenie od razu, a przecież wiadomo, że nie upragniemy tego. Z ciężkim tematem tym bardziej trzeba było odczekać, bo natychmiastowe drażnienie, groziło wyolbrzymieniem problemu, eksplozją nagromadzonych emocji i przedwczesną awanturą, jak to u schizofrenika i alkoholiczki. Po kilku dniach oczywiście również była eksplozja, tej u nas nie dawało się uniknąć, ale jednak jakby o nieco mniejszej, złagodzonej czasem, skali rażenia. A nikt tak jak oni nie potrafił ukreślić monologizującej awanturki (w ich podłym przekonaniu- edukacyjnej pogadanki) z niczego. I jeśli kiedykolwiek w czymś osiągnęli perfekcję, to właśnie w tworzeniu sobie i mnie takiego piekielka.

Pies pojechał na wieś i szczerł uwiązany przy budzie. Tego się nie robi przyjacielom: tego się nie robi dzieciom ani zwierzętom – dziś; wtedy tak. Pies bałaganił, nastęczał kłopotów, więc się go pozbyto, nie zawiadamiając mnie – w końcu jedyne prawowitego właściciela – i pozbawiając tym samym wszelkich praw dziecka czy szerzej człowieka. Wtedy dzieci i ryby- jedno. Nie pomogłaby żadna konwencja ani niczyje wstawiennictwo. Pies nie umiał się dostosować do zasad panujących w naszym domu, więc musiał odejść. Nawet jeśli był jedyną istotą, która mnie w tym domu naprawdę kochała. A może właśnie dlatego. To przecież nie miało dla nikogo żadnego znaczenia.

Matka nadal niczego nie rozumie, mówi, że miałem dobre dzieciństwo, bo przecież zdarza się, że dzieci głodują, a my zawsze mieliśmy, co do gara włożyć, bo faktycznie: chleb, ziemniaki i smalec były. I że ja niczego nie doceniam, a przecież nigdy nie dostałem lania, nigdy mi ojciec nie złoł skóry, no a takie tam wyzwiska, codzienne urągania, wrzaski, lekceważenie, poniżanie, to zwykły, starannie

realizowany pakiet wychowawczy w komunie. I że nasz dom zasadniczo nie różnił się niczym od innych domów. Może miała rację. W końcu był z solidnej przedwojennej czerwonej cegły, ciepły; a że lokatorzy (bo przecież trudno troje obcych sobie, choć nieszczęśliwie spowinowaconych i spokrewnionych ze sobą ludzi, zamieszkujących wspólne lokum, bez chęci na to, nazwać rodziną) byli zimni, to w końcu nie jego wina.

Była kiedyś taka noc, straszna noc, gdy rodzice poszli na kolację do sąsiadów, zostawiając mnie samego. Kolacja i pogaduszki najwyraźniej się przeciągnęły, bo kiedy przebudziłem się w środku nocy, ich nadal nie było. Usiadłem więc na takim szerokim, angielskim parapecie, przywlokłem ku odwadze misia i poduszkę, po czym zacząłem nawoływać mamę. Patrzyłem na gwiazdy i księżyc, ale nie cieszyły jak zazwyczaj. I tak krzyczałem rozpaczliwie z całych sił, póki powieki pod naporem: łez, samotności i strachu, nie zaczęły się domykać. Nie było możliwości, żeby matka mnie nie usłyszała, bo z sąsiadami dzieliliśmy podwórko, a noc była letnia, więc okna wszędzie pozostawały otwarte na oścież. Cóż, szkoda, że nie serca. Wiele lat później przyznała, że słyszała mnie, ale przecież nie mogła dać się sprowokować i ustąpić rozwyrzonemu dzieciakowi.

Gdybym ja usłyszał wołanie swojej córki, nadbiegłbym z końca świata, opuścił kolację nie tylko u Kowalskich czy Lewandowskich, ale nawet u królowej angielskiej. Pooglądał wspólnie gwiazdki, utulił i był.

Mieliśmy w domu tylko jeden telewizor, więc gdyby nie szczęśliwe zrzącenie losu i przypadku, które sprawiły, że ojciec chodził do pracy na dwadzieścia cztery godziny, nigdy nie obejrzałbym ani jednej bajki, tak intensywnie forsował telewizor.

Ojciec mój był prostakiem. Nie bacząc na miejsca i okoliczności, bez przerwy wszczynął kłótnie i obrażał ludzi. Potrafił rozkręcić bezkulturę nawet podczas ceremonii pogrzebowej, któregoś z członków bliższej bądź dalszej rodziny, albo gdy bezceremonialnie za to systematycznie brał się za coś, co go przerastało i jakże ochotczo przerzucał wtedy winę za niepowodzenie na mnie lub matkę. Darł się na nas i znieważał. Jego zdaniem niczego nie potrafiliśmy zrobić wystarczająco dobrze. Co prawda nigdy nas nie uderzył, ale myślę, że z biegiem lat, miewał na to coraz większą ochotę. Czuliśmy to. Ja zapamiętałem tę

lekcję na zawsze, a matka jak zwykle skryła się za filarem wyparcia.

U nas nie było miejsca na interlokucję, bo ojciec monologował, ujadając jak niemiecka stadionowa szczekaczka, podczas gdy my zwykle milczeliśmy, przyjmując w siebie każdą obelżywość, a ja jako dziecko chłonałem to gąbczastością całej swej istoty i nasiąkałem nienawiścią: do matki za to, że nie wybrała mi innego ojca, i że mu na to wszystko pozwala, do siebie w autopretensji za to, że gdybym był lepszą wersją siebie, to może on by się tak nie wściekał, i dopiero na samym końcu do niego, że jest kopią swojej matki zamiast ojca. I tak wszyscy pospołu zaorywaliśmy we mnie poczucie wartości.

Choć skończyłem studia, sam nie wiem, jak mi się to udało przy takim zmaltretowanym, unicestwionym, wypalonym w przedmurzu, rozjechanym walcem poczuciu godności, a ojciec niepełną podstawówkę, zawsze mnie pouczał i traktował jak półgłówka, który nic nie wie i nic nie jest wart. Widocznie od traktowania do zdeptania prowadzi dłuższa droga niż mniemałem.

Kiedy wreszcie umarł, zapłakałem, zapłakałem nad sobą, nad rozdeptywanym dziecięctwem, nad każdą próbą wychodzenia spod buta, nad okaleczoną postacią: szczęścia, uśmiechu, spontaniczności i bez troski. Opłakiwałem swoje zmarnowane lata i szanse. Swoje nocne lęki. Nieutulenia. Kroki.

A matka wpadła w żalostną żalobną histerię. Są kobiety, które po szoku pierwszej żałoby rozkwitają na nowo, pięknieją, i drugie, które rozsiadają się w swym wdowieństwie lub, jak ona, rozkładają się w nim. Gdyby znalazła ogłoszenie: Dokooptujemy wdowy [za życia] do zmarłych mężów, celem ponownego sprawdzenia się w zaświatach, zgłosiłaby się pierwsza na ochotnika. Całe życie jak pies z kotem, a wiara w to, że po śmierci można sobie z dziubków spijać, niezachwiana i nieśmiertelna.

Łatwiej było jej pozostawać zarządzaną niż brać za siebie odpowiedzialność, brać się za siebie, brać się za życie. Wołała, nawet za cenę bycia pośmiewiskiem i popychadłem, trwać w zgniłym związku.

Po tym jak latami nie wolno się było w naszym domu śmiać, bo tylko głupki się cie-

szą, gdy życie jest takie trudne, mozolne, utrapione, a ludzie tacy źli i popaprani, utraciłem tę umiejętność. Na szczęście niebezpiepowrotnie. Lecz, gdy do mnie powraca, pozostaje jakby oszpecona, nie może przepłynąć wartkim strumieniem spontaniczności. Takie rzeczy już w człowieku zostają, jak wbite za głęboko drzazgi. Nieźle się też trzeba nagimnastykować, żeby komukolwiek jeszcze zaufać, gdy przez dzieści lat słyszy się, jacy to ludzie są z gruntu parszywi.

Na to, żeby przypodobać się rodzi-
com, był w naszym domu tylko jeden sposób, a że dzieci bywają bystre i sprytne, zwłaszcza, gdy gra idzie o ich życie i względne bezpieczeństwo, odkrywają go dość szybko, by stosować bez skrpułów. I ja tak robiłem. Tym sposobem było, krótkie i rzeczowe bez zbędnej egzaltacji i rozwodzenia się nad tematem, zawiadomienie o czymś niepowodzeniu, ułomności, głupocie, jakimś postępku, którego by nie pochwili. Najlepiej, by rzecz dotyczyła kogoś przez nich nie lubianego. A z tym nie było najmniejszego kłopotu, ponieważ nie lubili prawie nikogo, co niemal każdorazowo rozszerzało wachlarz możliwości, o kolejną osobę. Krótko mówiąc, mniej by ich ucieszyła przysłówiowa: dodatkowa własna krowa, niż to, że u sąsiada właśnie zdechła.

A i dekalog zasad, do którego sami nie zamierzali się stosować, był wobec innych znacząco wyśrubowany.

Człowieczeństwo ojca zostało chyba zamknięte w chorobie, której zresztą, żeby była jasność, nigdy nie leczył, bo przecież nie jest czubkiem- jak mawiał, a matki w butelce. Jednak ojciec nawet gdy miał lepsze dni, nie wykazywał się żadną swoją dobrą stroną. Obca mu była empatia, serdeczność czy intelekt. Kto wie, czy nawet, gdyby nie był chory, nie pozostałby dokładnie taki sam.

Do matki mam jednak większy żal, bo to kobieta, archetyp wszystkiego, co winno być: czułe, tklive, serdeczne, ciepłe, to ona powinna tworzyć gniazdo takim, by chciało się do niego wracać, a nie w nie srać, jak ten niby to zły ptak. Poza tym, o ile ojciec przy całej swojej, co tu dużo mówić: chujowatości, którą wysłał z mlekiem własnej, równie schizofrenicznej matki, wcale sobie jej nie wybrał (ani matki, ani choroby), obie je dostał w pakiecie na życie, o tyle moja matka butelkę wybrała sobie już sama,

tym bardziej, że żadnych alkoholowych wzorców nie miała, bo nikt w jej rodzinie nie był uzależniony.

To, że w ogóle przetrwałem jakoś w tej pułapce kłębiących się bez przerwy emocji, nieokiełznanych furii, niepohamowanego nigdy lekami gniewu, gęstwinie zmian: co wczoraj było tolerowane czy akceptowalne, jutro może być najbardziej tępione i znienawidzone, żadnej skali odniesienia, stabilizacji, ram, żadnych kół ratunkowych. Dzięki uskokom, pałętaniu się to tu, to tam, by jak najwięcej czasu spędzać poza domem, udało mi się przetrwać, choć zapewne i tak nie bez szwanku na psychice.

O ile mój dom był jak szkoła przetrwania, o tyle wyjście z nimi gdzieś, jak survival w dziczy. Ojciec zabrał mnie raz na grzyby, nie wiem, co mu wpadło do głowy, ale wypozażył mnie w mały wiklinowy koszyk i scyzoryk, co skończyło się potknięciem o korzeń i przecięciem prawej dłoni, prawie odcięciem kciuka. Czterolatek chciał sobie wyciąć dodatkową linię papilarną, może nową linię życia. Czy znalazłem wtedy jakiś grzyb, nie pamiętam, adrenalina selekcionując przeżycia, wyparła grzyby z pamięci. Taka chujnia z grzybnią.

W normalnych domach, gdy dziecko choruje, podaje mu się leki, a prewencyjnie jakieś witaminy. Wiadomo, że dzieci, jak to dzieci, zwykle nie mają ochoty na przyjmowanie lekarstw, zwłaszcza, gdy te są gorzkie, więc zwyczajny rodzic namawia, przekonuje, nawet przekupi czekoladką czy zabawką, byle by ten lek wreszcie podać; ale nie u nas. U nas matka zjadała go za mnie, nie bacząc na przedlaty już odciętą pępwinę. Powinni nas wpisać do księgi Guinnessa albo do Wikipedii, jedyne dziecko na świecie, któremu leki podawano nie doustnie, dożylnie, doodbytniczo, ale domatkowo. Którędy to się miało wchłonać, nie pytajcie, do cholery, nie ja na to dozowanie wpadłem.

Matka była zawsze (to znaczy do czasu, gdy zawodowo i alkoholowo radziła sobie kamuflażem na tyle znakomicie, że żaden niewtajemniczony obserwator niczego się nie domyślał, skrywała bowiem uzależnienie pod płaszcem anturażu: staranny makijaż, garsonka, obcasy, biżuteria, mocne perfumy)

domatorką, wyjście dokądkolwiek było dla niej katogą, torturą. Dlatego też nigdy nie zabrała mnie np. do kina, teatru, na basen, spacer, nie mówiąc już o wakacjach, bo to wiązałoby się z wyjściem- jak to się dziś mówi- ze strefy komfortu. Tyle, że ta jej strefa, to wiecznie ze wszystkiego niezadowolony, utyskujący mąż, dla którego była nikim. Ja bym z takiej strefy raczej spieprzał, gdzie pieprz rośnie, co zresztą wiecznie robiłem...- ja; ale nie ona.

Kiedy już pracowałem, a poszedłem do pracy wcześniej, żeby mieć własny grosz, zapraszałem czasem matkę na film czy spektakl, fundując jej bilet. Najpierw niby się cieszyła, ale potem oczywiście strasznie narzekała, że trzeba wyjść z domu. Narzekała tak bardzo, że udawało jej się w końcu obrzydzić mi skutecznie wspólne wyjścia i robienie jej podobnych niespodzianek. Z czasem zaprzestałem tego zupełnie. A potem wolałem już iść z kolegą czy koleżanką niż z wieczną malkontentką.

Raz nawet była tak szansa, że się od ojca uwolnimy, wyprowadził się do babki, gdy miałem pięć lat i mieszkał tam przez kilka miesięcy. Niestety niewiele z tego czasu pamiętam, jedynie to, że gdy znów się zjawił, miał tort i zabrał mnie do zoo. Wcale nie chciałem z nim jechać, ale wstydziłem się odmówić. Był mi zupełnie obcy. Kiedy wróciłem, cała rodzina wsiała na matkę, obciążając ją, trącącym myszką jak truchłem, stereotypowym przekonaniem, że dziecko potrzebuje ojca: „Bo ojciec to zawsze ojciec”, „Choćby pił, choćby bił, byle by był”...

Gdybym wiedział, że to zoo znów na nas ojca sprowadzi, zżarłbym surowy ziemniak, gorączki dostał albo zrzygał się i nigdzie bym z nim nie pojechał. Ale za głupi jeszcze na to byłem. I winny, winny, winny. Dziś taki szczwany lis, a wtedy srajd po prostu. Głupi srajd, co dał się ojcu podejść. I ona głupia, że się posłuchała, ale tak mają ludzie bluszcze, którzy muszą się oprzeć na jakimkolwiek pniu, nawet, gdy to drzewo jest zmurszałe.

Wróć jeszcze do gryzoni, wszak przygód z nimi, to nie koniec, choć ta nie dotyczy już chomików. Pewnego razu siedziałem sobie najspokojniej tam, gdzie nie tylko królowie zwykli chadzać piechotą, gdy nagle, zupełnie nieoczekiwanie, z kratki w podłodze wychynął łepok dużego, dorodnego szczura. Kanalarz. Rozejrzał się dokoła i najwyraźniej nie czując zagro-

żenia, wyszedł cały. Widząc mnie zastygłego w jednej pozie, uznał chyba za nieszkodliwą rzeźbę. Połaził, pozwiedzał, poskakał na jedną ze ścian, a ja przytulony do przeciwległej, w największej ciszy, krok po kroku, z duszą na ramieniu, opuszczałem powoli łazienkę, która tego dnia wydawała mi się sto razy większa niż zwykle. Pewnie większość dziewięciolatków darłaby się wniebogłosy przy takim niespodziewanym spotkaniu tworząc w pysk, ale nie ja, i to bynajmniej nie dlatego, że byłem takim chojrakiem, tylko po prostu bardziej niż szczura bałem się reakcji ojca na mój nagły krzyk. Zresztą strach i niechęć to jedyne uczucia jakie żywiłem kiedykolwiek i do ojca i do szczura. Jak silnie musiały być te uczucia wdrukowane we mnie, że zdławiły mój wewnętrzny, pierwotny krzyk. Zresztą u nas od stłamszonych, ukiśniętych emocji zawsze było gęsto. Przemknąłem spocony i załęczony chyłkiem przez przedpokój, minąłem długi hol i pierwszy pokój. Nim dotarłem do własnego, serce łopotało mi już jak rozhuśtana wiatrem bandera. Nagle w kuchni, do której prowadziły dwie pary drzwi, wejście z dwóch różnych pokoi, usłyszałem jakiś straszny rumor, stek wyzwisk i coś jakby biczowanie ścian. Okazało się, że pan szczur, chyba poszedł za mną na salony, bo pewnie chcąc przemknąć cicho i szybko, nie pozamykał za sobą drzwi, a on to, zdaje się, wykorzystał. Wrzaski i rumory dobiegające z kuchni, zdawały się eskalować decybelami i co gorsza nie mieć końca. Stałem na baczność w swoim pokoju, przywarły do białych drzwi, łączących mnie z kuchnią, a tym samym dzielących od epicentrum zdarzeń. Wsłuchany. Miałem wyostrzony słuch i ten wymalowany strach. Nawet dziś go czuję, tak samo jak zimno bijące od tamtych drzwi. Czuję ten sam strach i to samo zimno, choć od tamtej chwili minęło ponad czterdzieści lat. Rodzice zamknęli ze szczurem w kuchni, to nie wróżyło dobrze. Nasza kuchnia była jedynym wąskim pomieszczeniem w całym domu, co wróżyło jeszcze gorzej. Była dość długa, ale wąska jak kuchnie w blokach.

Ojciec, jak zwykle w takich wypadkach, wyposażając matkę w kij od szczotki, kazał jej zatłuc szczura. Zawsze szukał ludzi, którzy go wyręczą, a już, zwłaszcza gdy robota nie należała do przyjemnych. Był utru-

dzony przyjściem na świat (własnym rzecz jasna, nie moim bynajmniej) i żył tylko po to, by odpocząć. Niespodziewany nalot szczura był dla niego nawet gorszy od niespodziewanego nalotu gości ludzkiego gatunku. Ale najwyraźniej matka też nie miała ochoty na starcie z gryzoniem, wbiegła więc na taboret, którego niestabilne nogi rozjechały się jak dwie narty niewprawnego narciarza, tyle, że w wypadku stołka nogi były cztery, ale rozjazd taki sam. Spadła. I wtedy instynktownie złamała niepisana zasadę, przecięła ciszę, zaczęła pisać. To, co mnie chwilę wcześniej uwięziło w gardle w łazience, jakimś cudem wyskoczyło z jej trzewi przez krtań w kuchni. Teraz ojciec był już jak rozjuszony buchaj. Nie do zatrzymania. Pisk gryzonia mieszał się z piskiem matki, a trwoga obojga doganiała mnie przez zamknięte drzwi. Co chwilę słyszałem, jak pociski wystrzeliwane wulgaryzmy, ale do tych byłem przyzwyczajony, w końcu nie stanowiły dla mnie żadnej nadzwyczajnej nowości, były codziennym kolorytem dnia. Pewnym urozmaicheniem natomiast były głuchoe odgłosy uderzanych naprzemiennie: ścian, podłogi i szczura. W końcu udało mu się go zatłuc. W moim odczuciu, ojcu bardziej niż sam fakt wtargnięcia intruza do domu, przeszkadzało to, że musiał ruszyć się z kanapy, opuścić umiłowany telewizor, wyręczyć nieudolną, strachliwą żonę i wreszcie pokonać przeszkodę odgradzającą go od tego, co najbardziej upragnione i umiłowane - błogiej ciszy i świętego spokoju. Z tego samego powodu u nas prawie nie robiło się remontów, żeby mu tych dwóch rzeczy nie zakłócać. Zresztą jego potrzeby i tak były w naszym domu traktowane priorytetowo - przeze mnie ze strachu, wszak byłem ledwie dzieckiem - i przez matkę, z mieszaniny miłości, oddania, posłuszeństwa i strachu - wszak była tylko żoną.

Stałem nad jego grobem w ciszy, która bardzo długo mówiła. Może więcej niż zamknięte wieko z kawałem naszego życia. Wreszcie usłyszałem tylko: w proch się obróć... i nim odrośniesz od ziemi. Jego grób - garb doświadczony - który zawsze znajdzie Matyska.

Porządny chłop był: syna spłodził, dom wybudował, drzewo posadził - powiedział dziadek po pogrzebie ojca. Nikt gęby nie otworzył, że świerk sadzony pokątnie u szwagra, wciśnięty w szczelinę, szparę między sto-

dołą a szajerką przy samiusieńkiej stodole, nie dźwignie tam życia. Kto tak drzewa sadi, żeby mu korzenie rozsadały mózgi i podjadły...Świerczek zasadzony był w dniu moich narodzin. I cierpiał jak ja. Obu nam było za ciasno.

Dom ojciec za grosze sprzedał bez wiedzy matki, potem wynajmować przyszło. Ale i kupiec rozkoszy tam włościańskiej nie zaznał, zadomowić się nie zdążył, bo jeszcze w surowiznie ścian, stan skupienia w wisielcu zmienił. Praktyczni kupują chatę, by w niej żyć, romantycy, by w niej zemrzeć. Wszystkim ta transakcja bokiem wyszła.

A syna miał w zielonym dowodzie, bo nigdy przecież na kolanach czy w sercu. Zresztą tak naprawdę nas wszystkich miał zawsze w dupie, a jeśli wyżej, to ledwie przez krótką chwilę, nim nie uznał za sprzeniewierców. Niszczył nam nie tylko niedziele, ale piątki i świątki też. Uzurpator. Obryzgiwał swoją żółcią i plugawościami wszystko na czym nam zależało. Im bardziej coś lubiliśmy, tym bardziej nam to obrzydzało, odbierał lub niszczył. Nas niszczył. Bał się, że wymkniemy się z jego krainy wiecznego nieszczęścia; że będziemy szczęśliwi. To by go zabiło.

Najserdeczniej obiecywał, że dostaniemy w papę (zawsze i za wszystko, najprościej i najchętniej za nic). Papa tak przylgnęła do moich obaw, że przestałem mieć pewność czy mordę ma na myśli czy dupę.

Matka dumna, że obrączkę na palec, a zegarek na ostatnią drogę, do kieszeni mu włożyłem. Taki dobry syn - mówiła dawnym sąsiadkom na stypie. Auta czy mieszkania do grobu by nie zabrał, choć wołałby pewnie, a matka ni złota ni zegarka do lombardu nie odda, więc tak trzeba. To się mieściło w granicach kieszeni i normy. Co ma tak leżeć... Pasek skórzany po byku jeszcze, zegarek po chuju.

Przez trzydzieści lat żyłem z nimi pod jednym dachem, nim uzbierałem na własny i (o)statecznie podciąłem pępowinę, jak oni mi skrzydła. O wiele za późno, ale przynajmniej nie zostałem szczurołapem.



To tylko grypa

Dorota Czubowska

- Cześć, chciałam cię tylko poinformować, że twój brat... - głos mi się łamał, łzy ciekły po policzkach, nie potrafiłam dokończyć.

- Halo, jesteś tam?

Nie ma mnie. Chcę być przy nim. Ściskać go za rękę. Dotknąć. Powąchać. Przytulić. Może już po raz ostatni. Tymczasem jestem zamknięta w domu. Wciąż na słuchawce. Szpital. Dom. Szpital. Dom.

- On... on.... on został dziś zaintubowany i wprowadzony w stan śpiączki farmakologicznej, i... - w żołądku pojawił się ten znajomy nieprzyjemny ucisk. Jego zegarek, który zostawił w domu i który był dla mnie jego ręką, ścisnęłam w jednej chwili tak mocno, że całkiem wbił mi się w dłoń. Ale nie czułam bólu. Nic już nie czułam. Odwróciłam głowę od pulsoksymetru, leżącego nadal na komodzie. Nie mogłam na niego patrzeć. Nienawidziłam go. Tak jak to słowo na r... które totalnie nie chciało przejść przez moje usta.

- Ha-lo?!

- Twój brat został dziś podłączony do respiratora! - wyrzuciłam jednym tchem i wybuchnęłam płaczem.

- To wszystko przez ciebie! Mówiłem, że to tylko zmutowana grypa jest. Po co się zaszczepiłaś?! Wpierdolili ci jakiegoś chipa. Wszczepili kolejnego wirusa i pozarażałaś wszystkich. Ha-lo?!

Rozłączyłam się. To koniec. Miałam dość. Zalało mnie łzami. Cała się trzęsłam z nerwów. Dziś podczas teleporady poprosiłam lekarza o pierwszy w życiu psychotrop. Przez to wszystko i ze strachu przed zasypianiem. Bałam się, że dostanę TEN telefon.

Polska znajduje się w najtrudniejszym momencie pandemii. Napór 3. fali koronawirusa jest bardzo silny. Dziś, 25. marca 2021 r., mamy zarejestrowany najwyższy wzrost zakażeń, ponad 34 tysiące. Zajętych jest 75% łóżek i 75% łóżek respiratorowych. Podstawową bronią w walce z pandemią są szczepionki, ale te nadal nie są dostępne dla wszystkich. Tymczasem koronawirus

atakuje coraz częściej ludzi młodych, poniżej 40 roku życia, którzy w stanie ciężkim trafiają do szpitali. Zbliżamy się do granic wydolności służby zdrowia. Jesteśmy o krok od przekroczenia granicy, poza którą nie będziemy mogli leczyć pacjentów we właściwy sposób - powiedzieli w radiu.

Dla mnie zostały przekroczone wszelkie granice. Zwłaszcza ludzkiej przyzwoitości. W dłoniach trzymałam wciąż telefon i jego zegarek. Napisałam też do niego kolejny list. Uścisnęłam jego rękę (zegarek). Wierzyłam, że dochodzą do niego moje słowa i że czuje mój ucisk. Wzięłam Tranxene. Dobranoc kochanie. Nie poddawaj się, walcz i wracaj tu do mnie. Kocham cię. Zrobię dla ciebie wszystko - pomyślałam. Odcięto mnie. Ktoś zgasił mi w głowie światło.

- Nic nie widzę. Duszę się. Nie mogę oddychać. Pomóżcie mi! Czemu jest tak ciemno? Gdzie jest moja żona? Kochanie?! Ciemność. Nie czuję swojego ciała. Nie mam siły podnieść ręki. Zdejmijcie mi tę maskę. Chcę zobaczyć swoje dzieci. Dlaczego mnie związaliście? Dlaczego tu tyle kabli? Duszę się, pomocy! Zaraz się uduszę! Kochanie, dlaczego leżysz tam obok?! Dlaczego się nie ruszasz? Obudź się!

- Proszę się nie szarpać, bo zrobi pan sobie krzywdę. Proszę się nie denerwować. Jest pan w Uniwersyteckim Szpitalu Klinicznym we Wrocławiu. Został pan tu przewieziony specjalną karetką, podłączony pod ECMO. Żeby pana płuca się zregenerowały i żeby wrócił pan do zdrowia. Pana żona i dzieci są w domu. Czekają na pana. Wszystko będzie dobrze, proszę się tylko nie szarpać, bo zerwie pan całą aparaturę.

- Przeczytałam uważnie całą pańską dokumentację medyczną, przerywając niejednokrotnie i nie dowierzając. Łącznie spędził pan w szpitalu

67 dni, z czego 59 dni na oddziale intensywnej terapii. Miał pan wszystko, co najgorsze w COVID-zie i przeżył pan, choć nie miał żadnych szans wygrać z tym cholernym wirusem. 90 % objętych naciekami zapalnymi płuc, z obustronną zatorowością płucną, głęboką śpiączką farmakologiczną, respiratorem, ECMO, tracheotomią, wstrząsem krwotocznym w przebiegu krwaka przestrzeni zaotrzewnowej i przedotrzewnowej, krwakiem powłok brzusznych, niedrożnością porażenną jelit i dializoterapią z powodu ostrej niewydolności nerek. A jakby tego wszystkiego było mało, to przeżył pan jeszcze sepsę w przebiegu śmiertelnej superbakterii odpornej na antybiotyki – New Delhi i trudną do wyleczenia bakterię *Clostridium difficile*! Miał pan przetoczonych 36 jednostek koncentratu krwinek czerwonych, 11 jednostek osocza i 15 opakowań koncentratu krwinek płytkowych! Przepraszam za język, ale to jest kurwa niemożliwe! Jak?! – wykrzyczała lekarka z PCR w Krakowie, nie kryjąc zachwytu.

- To dzięki mojej żonie stoję tu o własnych siłach. Bardzo ją kocham. Żona napisała do mnie 59 listów, tyle ile dni spędziłem na OIOM-ie. Bo dla niej słowa mają moc. I mają, bo do mnie dotarły. Wzruszenie ściska mi gardło. Wsiadłem do karetki 18 marca, a do domu wróciłem 19 czerwca. Dziś zobaczę rodzinę pierwszy raz po 3 miesiącach. Lekarze we Wrocławiu z wielkim trudem uratowali mi życie, za co jestem im dozgonnie wdzięczny.

- Tak. I ja chylę przed nimi czoła. Ale pana organizm, pana walka. Cóż, jest pan bez wątpienia cudem medycznym, jakimś kosmicznym superbohaterem. Proszę mi wybaczyć ten słowotok i te emocje, ale nie znam nikogo, kto przeżyłby to, co pan. Mówię to jako lekarka z pokaźnym stażem pracy, która tu w Krakowie widziała dość dużo tzw. trudnych przypadków. Ma pan silne geny i superorganizm. Na dodatek przyjechał pan do naszego ośrodka karetką, leżący, z zanikami mięśniowymi, bardzo osłabiony i wyniszczony, z mnóstwem ran i blizn, z odleżynami okolic obu pięt. Pionizowano pana tyłem do leżanki, nie chodził pan, jeździł na wózku inwalidzkim. A dziś, po niespełna miesiącu, chodzi pan i opusz-

cza nasz ośrodek o własnych siłach. Jestem pod ogromnym wrażeniem pana determinacji.

Jak pan to zrobił?

- Sam nie wiem. Rehabilitacja była bardzo trudna. Ciężko było mi się poruszać. Nie miałem mięśni. Drżały mi ręce, nie byłem w stanie utrzymać nawet kubka. Na dodatek ta bezsenność, ataki paniki i koszmary nocne, podczas których duszę się i krztuszę wydzieliną z płuc. Ale kiedy ja byłem na wojnie o życie, moja żona codziennie toczyła walkę o mnie. To ona złapała mnie za fraki spod tych drzwi do tamtego świata. Uwierzy pani? Codziennie po 20 telefonów do przychodni. Bo nikt nie odbierał. Najpierw o test, potem o teleporadę, i codziennie nowe leki, bo nic mi nie pomagało. Potem o każdy mój oddech, bo saturacja spadała. O karetkę, bo nie przyjeżdżała. O miejsce w szpitalu za każdym, bo już nie było. O ECMO, bo przez telefon powiedzieli jej, że ja już nie rokuję – wybrali 28-latkę z Wrocławia. O klinikę, gdzie uratowali mi życie. O nasze dzieci, by czuły się bezpieczne i zaopiekowane. A na końcu o to, żebym znalazł się w tym ośrodku i chodził. Nie było łatwo zapłacić 24 tysiące złotych za miesięczny turnus. A na NFZ? Nie było nic. Walczyła też z moim rodzeństwem. Oni nie wierzą w COVID-19 i szczepionki. Uważają, że to tylko grypa.

- Cześć, chciałam cię poinformować, że on zmarł... Zabronił nam się szczepić, ale wczoraj zabrałam dziewczyny do punktu i wszystkie jesteśmy już zaszczepione. Kiedy był jeszcze w domu i z trudem oddychał, płakał i błagał mnie, abym cię przeprosiła w jego imieniu za to, co ci wykrzyczał. Po przewiezieniu do szpitala był już całkowicie niedotleniony. Zmarł. Pewnie masz do niego olbrzymi żal... Przepraszam za niego.

- Wiesz, kiedy kończy się chojrakowanie, zaczyna się strach. Szkoda, że tak późno to zrozumiał. Czy czuję do niego żal? Nie. Wiesz dlaczego? Bo żal może wszystko zabrać. Za to wdzięczność... Cóż - wdzięczność może człowiekowi dać wszystko. Nawet drugie życie.

Żar - Góra Ikarów

Marek Pietrzykowski

Nadchodzą upragnione wakacje, jest czerwiec 1962 roku. Jedziemy na nie do Międzybrodzia Żywieckiego. Mieszkamy na skraju lotniska u głównego mechanika. Tu działa szkoła szybowcowa na i pod górą Żar.

Dzisiaj wiem doskonale, że tamte wakacje były zupełnie nietypowe i pozostał po nich monotematyczny, wciąż kolorowy, bardzo piękny obraz.

Mój cały świat zaczyna się i kończy codziennie wieczorem na lotnisku, nad którym po południowo-wschodniej stronie króluje góra Żar. Jej porośnięte lasami stoki, przecina blizna torów kolejki do transportu szybowców.

Mój dzień to naprędce zjedzone śniadanie, na które przecież zupełnie szkoda czasu, a potem bieg na lotnisko, gdzie dzieją się nowe i cudownie ciekawe sprawy. Każdego ranka na lotnisku zjawiają się Bociany, Muchy, Jaskółki, Salamandry, których krzątający się po lotnisku ludzie, wypatrują z zadartymi głowami. Te dziwne czarne ptaki odrywają się od zachodniego zbocza góry, która wypuszcza je ze swojego hangarowego gniazda. W lekkiej porannej mgiełce zasilonej wilgocią Jeziora Międzybrodzkiego, ptaszyska krążą wysoko nad głowami. Słońce przebija się przez poranne powietrze, rzeźbiąc i wypełniając pastelowymi barwami górę i jej zbocza. Impresjonistyczny świat nabiera wyraźnych konturów, ptaki rosną w oczach, tracąc ptasie kształty, gdy już widać ich znaki rejestracyjne na ogonach. Białe dwuosobowe szybowce to Bociany, kremowe Jaskółki i ciemnopomarańczowe Muchy kolejno podchodzą do lądowania. Młoda lotniczka jeszcze nieopierzona bracia, siedząca na lotnisku, patrząca w niebo, podrywa się z trawy. Szybowce rosną w oczach, sylwetki pilotów skupione są na lądowaniu. Hamulce aerodynamiczne na skrzydłach wysuwają się, już widać ich charakterystyczne otwory i słychać specyficzny świst. Lotnisko jest wąskie, ma około 100 m. Lądujące szybowce trzeba szybko odprowadzić na bok, aby nie przeszkadzały następnym lądującym.

Poranny zlot z Żaru wytraca swoją dynamikę. Biegający siadają w kręgach, nad nimi w środku

pojawiają się instruktorzy z zeszytami w rękach. Zaczyna się poranna odprawa. Staram się, z jak najbliższej odległości, łapać każde ich słowo. Jeszcze nie mam odwagi być bardzo blisko, przecież dopiero co przyjechaliśmy na wakacje. Początkowo nieśmiało (w co dzisiaj aż mi trudno uwierzyć) podchodzę do każdego szybowca, chłonę wzrokiem wnętrze kokpitu, zadaję pytania. Ta nieśmiałość ma źródło nie w braku odwagi, lecz wynika z faktu, że wszyscy wiedzą, co mają robić, wiedzą gdzie stać. Ci co nie wiedzą, są natychmiast przywoływani do porządku przez instruktorów. Ich krótkim, dobitnym i opisowym uwagom często towarzyszą salwy śmiechu. Jest wesoło, ale nie ma wątpliwości, kto kogo ma słuchać. Łykam to wszystko łapczywie, chcę być jak najbliżej szkolących się orlików, ale już wiem, że przypadkowi goście nie są tymi, na których się tu czeka z otwartymi rękami. Muszę zrobić wszystko, abym został uznany za swojego.

Wśród młodych ludzi na lotnisku wyraźnie widać i słyszeć Leona, komandosa w mundurze 6 Pomorskiej Dywizji Powietrznodesantowej, który odpowiada za porządek na lotnisku i czyści je z nadchodzącej stonki. Stonka to gapie, którzy nie bacząc na zasady panujące na lotnisku, nachalnie i nieodpowiedzialnie ciekawscy, chcą być wszędzie. Dmuchają w rurki Pitota stojących szybowców, wywołując tym srogi gniew Leona. Zaczynam zauważać, że wszystko co dzieje się na lotnisku, ma swój porządek zależny od pory dnia.

Po porannym zlocie ptaków, które wylądowały po starcie z Żaru, zaczyna się dzienny porządek. Na lotnisku czekają dwupłatowe CSS13, to one będą holować szybowce. Ich gwiazdzone silniki kaszlą w czasie rozruchu i wypływają chmury niebieskiego dymu. Za samolotem, który grzeje silnik w linii startu, pojawia się szybowiec, który zgodnym trudem rąk młodych lotników jest doprowadzany na miejsce startu na holu. Lina holownicza jest podpinana do zaczepu ogonowego samolotu i zaczepu dziobowego szybowca.

Przy skrzydle szybowca czeka jeden z kursantów, który czuwa, aby skrzydło w czasie startu nie dotknęło ziemi. Silnik samolotu zwiększa obroty i samolot delikatnie rusza, aby napiąć linę. Ręka pilota wyciągnięta w górę, pełny gaz i para rusza w powietrze. Podtrzymujący biegnie trzymając skrzydło szybowca do czasu, aż nabierze odpowiedniej prędkości. Oczywiście kursantów odprowadzają startujący zespół, instruktorzy na ziemi komentują wszystkie fazy startu. Łapię łapczywie każde dolatujące słowo i myślę o tym, aby niedługo siedzieć w kole obok młodych lotników. Harmonia startu ma swoje tempo, swoją melodię i takty, w których ta muzyka wyraźnie narasta, a potem powoli cichnie wraz ze wzrostem wysokości samolotu i szybowca.

Zaczynam rozpoznawać kwalifikacje sterujących szybowcem. Raz szybowiec wspina się leniwie za samolotem, jakby lina była czymś sztywnym, co krępuje i ogranicza jego ruchy. To najczęściej startujący dwuosobowy szkolny Bocian, w którego kabinie za uczniem siedzi instruktor. Innym razem szybowiec pompuje za samolotem jak młody żrebak, którego lina holownicza jak lejce więzi i pozbawia radości swobodnego brykania. Samolot z szybowcem na holu oddala się, wchodzi w krąg mozołnie i razem cierpliwie wspinają się w górę, nabierając wysokości. Wypatruję momentu ich rozłączenia, w którym szybowiec stanie się samodzielny i będzie szukał kominów wznoszących, kiedy latając po kręgu pracowicie, nawinie pułap na tarczę wysokościomierza. Dwupłatowiec zawraca, zbija wysokość i przelatując nad lotniskiem, zrzuca linę holowniczą. To wyczekiwany moment, po którym któryś z kursantów biegnie, by usunąć ją z lotniska. Samolot siada, kołuje, by kolejne ptasio-szybowcowe dziecko wyekspediować do szkoły w chmury.

Przerwa na obiad przerywa ten rytuał na krótki czas. Pędzę do domu, wpadam jak burza wołając do Babci, że mam bardzo mało czasu. Wracam biegiem na lotnisko, nie chcę, aby lotniskowy spektakl odbywał się beze mnie. Dzień się kończy, a wraz z nim zaczyna się rytuał wieczornych powrotów szybowcowych piskłat do hangarowego gniazda na górze Żar. Przy każdym szybowcu pojawia się trzech- czterech kursantów, którzy obejmując go pod skrzydła i za statecznik ogonowy, odprowadzają w górę lotniska do wyciągu, który wywiezie go na noc-

leg w hangarze na szczycie góry. Wyciąg przypomina kolejkę torowo-linową na Gubałówkę, ma mijankę w środku trasy. Kursanci wypychają szybowce na platformę wózka, którego ramiona wyposażone w kieszenie, obejmują skrzydła. Na boku platformy jest przymocowany pręt z kablem, którym po załadunku szybowca, ktoś z obsługi trzy razy pociera o drut napięty pomiędzy szynami toru. To sygnał dla maszynisty, po którym wagonik platformy rusza, często z kimś, kto ładował szybowiec. Odprowadzam ich zazdrosnym spojrzeniem, może kiedyś też tak się sam przejadę. Wiem już przecież, jak uruchomić kolejkę, która nabiera wysokości ze spokojnym ptakiem na pokładzie.

Następnego lotnego dnia rytuał lotniskowy odtwarza się w tym samym porządku, który jest mi już znany i wiem, jakie sekwencje będą kolejne. Już się do mnie na lotnisku przyzwyczajają, już nie jestem małym chrząszczem stonki, która będzie się pchała pod śmigła, już wiedzą, że na babcine wołanie na obiad, hasłem odzewu jest zaraz. Mieszkamy przecież u głównego mechanika na skraju, a w zasadzie z boku lotniska i bieg na obiad, jeżeli już wyczerpię wszystkie zaraz, będzie trwał bardzo krótko. Dzień po dniu jestem rano na czas, jakbym należał do grupy kursantów. Już nie czuję się gdzieś w pobliżu w obawie, że mnie wyrzucą. Ze wszystkimi kursantami jestem na ty, co wydaje się bardzo zrozumiałe wśród lotniczej braci. Nikt mnie do niej nie zaliczył, zaliczyłem się sam, wypracowałem to, towarzysząc każdemu orlikowi, gdy zajmował miejsce w kabinie. Podawałem pasy uprząży, życząc good luck, popartego śmiałym i teatralnie zaakcentowanym kciukiem. Czekając niecierpliwie na swoich kursantów, tych ulubionych, którzy nie wstydzili się traktować 9-letniego chłopaka jak młodszego kumpla, towarzyszącego początkom ich lotniczej przygody. Już byłem z nimi za pan brat, gdy się wylaszowali do samodzielnego lotu. Stałem w kolejce czekających, aby pierwszy samodzielny lot świeżo opierzonego pilota uczcić mocnym klapsem w tyłek. To symboliczny rytuał potwierdzający, przypięcie skrzydeł młodemu lkarowi. Cieszyłem się razem z nimi marząc, że może kiedyś mój wzrok wlepiony w chmury, zastąpię zupełnie innym patrzeniem.

Spojrzeniem z powietrza na ziemię. Wtedy nie ma na to żadnej realnej szansy. Jestem jeszcze mały, ale już wiem, że marzenia mają tytaniczną moc. Wierzę, że one wyholują mnie, któregoś dnia w górę i pozwolą obejrzeć Żar, jezioro i szachownicę pól z tej nieznanej perspektywy. Od najmłodszych lat słyszę od Babci: Mareczku, jak będziesz czegoś bardzo chciał i o czymś bardzo mocno marzył, to ci się to spełni. Dlaczego tak ma być, nie wiem; ale wiem, że babcia nie kłamie. Skąd dorośli wiedzą takie rzeczy, to ich jakaś magiczna tajemnica.

Wśród dorosłych lotników, którzy mnie małego szczupłego okularnika witają serdecznym głośnym: Cześć!, popartym daleko wysuniętą dłońią, jest Bryzgał - późniejszy słynny Kapitan PLL Lot Stanisław Bryzgalski. Przyjeżdża na lotnisko na motocyklu Junak, aby potem wsiąść do Junaka 2, samolotu, w którym kręci na niebie rozmaite figury akrobacji. Jest przemiłym facetem, którego otaczają zaraz po wylądowaniu kursanci. Chcą blisko niego stać i słuchać, bo cudownie opowiada.

Tak mija dzień za dniem. Jestem na lotnisku codziennie jak pracownik, który nie nabył jeszcze praw do urlopu. Brakuje mi jeszcze sekwencji porannego zlotu szybowców z Żaru. Wyjście na górę sporo trwa, a ja niestety nie jestem rannym ptaszkiem. Na pewno babcia nie pozwoliłaby mi na taką długą samotną górską wycieczkę. Przychodzi wreszcie taki dzień, którego nie lokuję w pamięci w jakiejś konkretnej dacie. Przynosi go pogoda. Słońce wstaje nad lotniskiem późno, a poranna gęsta mgła oblepia wszystko. Wygląda na to, że dzień będzie nielotny. Wybieramy się z bratem Andrzejem na górę Żar, która jest dla mnie górą bogów, skrywającą swoje tajemnice. Z samej wędrówki nic nie pamiętam, ponieważ była czymś mozołnym, co jedynie miało nastąpić, abyśmy zobaczyli orle gniazdo.

Mamy szczęście, bo docieramy na górę, gdy jeszcze nic się nie dzieje. Rozchodząca się mgła, przepuszcza pierwsze promienie słońca i na czarodziejskiej górze zaczyna się ruch. Drzwi hangaru pchane pochylonymi sylwetkami lotniczych ludków, otwierają swoje wnętrza. Ludki otaczają szybowce i przemieszczają je po płytach wąskiego chodnika. Uśpione ptaszyska kolejno docierają do wąskiego kilkunastometrowego pasa na zachodnim fragmencie góry.

Szybowiec kończy swój marsz wspak, trafia na pas startowy i jest kierowany dziobem w kierunku lotniska u podnóża góry. Zaczep ogonowy jest mocowany do ogniwa wbetonowanego w pas. Za szybowcem staje człowiek, który oswobodzi go do lotu. Kursanci podpinają do przedniego zaczepu szybowca gumowe liny i zgodnym wysiłkiem w takt komend kierownika lotów napinają je. Zwolniony tylny zaczep wyzwala szybowce do lotu, które początkowo przepadają za krawędzią zbocza, jakby spadały w przepaść, aby po chwili żeglując swobodnie, cieszyć się przestrzenią powietrza pod nimi. Kolejne szybowce radują się lotem, spektakl komend i harmonicznego wysiłku napinaczy gumowych lin trwa. Dzisiaj nazwałbym je lotniczymi szantami. Powietrzni żeglarze, zgodnym, rytmicznym wysiłkiem przy linach wysyłają swe ptaki, podrywając je do lotu. Minie sporo lat, zanim dowiem się, co to szanty, a jeszcze więcej nim zaczną budzić we mnie jakieś skojarzenia.

Wracamy na lotnisko. Wakacje trwają. Czasem przerwy w lotach są dłuższe i należy znaleźć kursantom jakieś zajęcie tak po prostu, żeby im się nie nudziło, żeby im się w głowach nie przewracało. Na wszelkie troski najlepszy jest Leon, komandos, który zwalczał stonki, gapiów odwiedzających lotnisko. Mówisz i masz, on żadnej pracy się nie boi.

Na prawo tuż przy pasie startowym mając za plecami Żar, ciągnie się pasmo pól z uprawą ziemniaków. Należy szczególnie młodszymi czytelnikom (wciaż marzę, że takowi się znajdą) wyjaśnić, że były to czasy, gdy podobno nad naszą socjalistyczną ojczyzną pojawiały się amerykańskie samoloty, z których zachodni imperialiści rzucali stonkę ziemniaczaną.

Z przykrością przyznaję, że nigdy tych samolotów nad Żarem i okolicą nie widziałem, może wzrok nie taki lub brak przekonania, ale wiem na pewno, że tak pisano o tym w gazetach.

Na rozkaz Leona, wraz z innymi, zbierałem tę stonkę ziemniaczaną do puszek po konserwach, do których benzynę lotniczą utoczył on sam, poruszając drewnianą dźwignią pompy paliwa, zamocowanej na beczce. Chrząszcze w pasiastych pidżamkach wykonują po kilka ruchów, wrzucone do puszek z benzyną, po czym

zastygają w bezruchu w połowie puszkowego basenu. Na wszelki wypadek, aby uniemożliwić stonkom zdradziecki atak na chłopskie pola, Leon podpala zapałką stonkowe gasolin aqua parki.

Zbliża się dzień Wedla, dawniej 22 Lipca. Zmieniam co nieco obowiązujący wówczas porządek, bo i komitet niepolski, a i wyzwolenie nienarodowe. Czekolada wszystkim nieuczulonym na nią, słodko się kojarzy. Wieczorem ma być ognisko i jakieś atrakcje. Jesteśmy razem z Andrzejem i siedzimy w kręgu wokół ogniska. Ta zapowiedziana atrakcja to lotnicza zgaduj zgadula z cennymi ponoć nagrodami. Pierwsza tura pytań wypadła blado. Czy pytania za trudne, czy uczestnicy ze zbyt wątpliwą wiedzą? - raczej to drugie. Wołają do drugiej tury. Nikt się nie kwapi, tym bardziej, że cenność nagród niejawna. Siedzę przed Andrzejem, którego: zgłoś się, szeptane sycząco do ucha, brzmi jak rozkaz. Idze, idze - odpowiadam czysto po krakowsku. Czuję mocny wykop kolanem, wsparty katapultą Andrzejowych rąk i już stoję koło ogniska. Jestem blady ze strachu. Nie miałem przecież pojęcia, jak odpowiedzieć na poprzednie pytania pierwszej tury lotniczej zgaduj zgaduli. Całe szczęście jest ciemno i mały okularnik jest ledwo widoczny na tle płomieni. Może by tak wrócić na miejsce? Myśli rodzą się i gasną jak meteory. Wstydem byłoby chyba wrócić! Co wtedy zrobi Andrzej? Tę krótką chwilę scenicznej tremy przerywają oklaski. One są chyba dla mnie. W świetle ogniska pojawia się Bryzgał. Podnosi mnie pod łokcie, pokazuje wszystkim dookoła, jak świeżo zdobyty puchar i ogłasza, że z powodu braku konkurentów oraz za odwagę zdobywam wszystkie trzy nagrody: lot samolotem, lot szybowcem i książkę. Nie jestem samolubny. Lot samolotem daruję Andrzejowi w podziękowaniu za skuteczny i błyskawiczny zastrzyk odwagi.

Wracamy wieczorem do domu. Od progu wyrzucam z siebie radosną wiadomość o zdobyciu nagród. Babcine: O Boże, co ja zrobię, a ciebie Haneczko oczywiście tu nie ma, świadczy niezbicie, że nie wszyscy mają powód do radości. Nie cieszy się też ciocia Zosia, siostra mamy. Przyjechała do nas na wakacje, a tu nowy problem. Pasowałoby powiedzieć, że się siostrzeńcom w głowie poprzewracało, ale nie bardzo można. Jest jakaś wieczorna dyskusja,

że muszą zadzwonić do mamy do Krakowa, do apteki, bo tam jest zlokalizowane centrum dowodzenia kanockami. Panie chyba nie wiedzą, co mówią, chyba to pada tak pro forma lub jak kto woli dla sportu. Żadna siła, nawet nadludzka, nie jest nam w stanie tak dzielne i wspólnie wywalczonych nagród, odebrać. Dzisiaj myślę, że ze strony cioci Zosi, to było negocjacyjne badanie stanowisk stron. Zna się w końcu na tym, jest przecież adwokatem. W stosunku do Andrzeja padają argumenty zdrowotne, często choruje na zapalenie uszu. To szczerza i w dodatku pełna prawda. Gdyby nie stary mądry doktor laryngolog, który nie powieł lenistwa poprzednich lekarzy, którzy medyczne wysiłki ograniczali do zapisywania kolejnej dawki penicyliny, przy następnym, którymś z rzędu zapaleniu ucha, Andrzej byłby kompletnie głuchy. Doktor ordynuje wykonanie autoszczepionki, która kończy słuchowe kłopoty mojego brata. Miło go wspominamy, bo ordynuje zimą specjalne lekarstwa, aby chłopcy nie chorowali na gardło. Do dzisiaj słyszę, jak mówi do naszej mamy: Pani magister, proszę synów w zimie brać często na lody. Taki mądry doktor i taki doświadczony!

Nie wiem, kto znajduje rozwiązanie, aby Andrzejowi nie nawiało do uszu, ale żegnani babcią szlochana modlitwą: Boże, żeby chłopcy wrócili cali i zdrowi, wybiegamy na lotnisko. Biegniemy daleko przed ciocią, tak na wszelki wypadek, jakby zmieniła zdanie i wpadła na pomysł, że nam nie pozwoli. Na lotnisku czeka samolot CSS 13, zwany pieszczotliwie „papa-jem”. Andrzej wspina się do kabiny w białym czepek kąpielowym na głowie. Czepek będzie pełnił zaszczynną funkcję skórzanej czapki pilota. Silnik kaszle, prycha niebieskim dymem, samolot wznosi się i unosi mojego brata w Żarową dal.

Ten czepek wziął się chyba dodatkowo stąd, że Andrzej odbywa sponsorowaną przez ciocię naukę pływania. Jego pływacka żabka jest bardzo charakterystyczna, zegarmistrzowsko miarowa i precyzyjna. Nie wiem, ile czasu mija do chwili, gdy samolot ląduje. Andrzej jest zadowolony i chyba podwójnie szczęśliwy. To drugie szczęście wynika z faktu, że w przeciwieństwie do mnie, nie lubi karuzeli, a jego wygląd świadczy o tym, że nic się nie cofnęło. Andrzej i ja pamiętamy z opowiadań

mamy, że miała starszą koleżankę, która przed wojną została narzeczoną pilota wojskowego. Jej ukochany po uzyskaniu zgody przełożonych, pragnął w locie podzielić się z dziewczyną radością latania. Nie znam bliższych szczegółów owego lotu, ale co ważne: albo troszkę przesadził w akrobacji, albo pasażerka była nadmiernie wrażliwa na zmiany kierunku, ponad te wszystkim od dziecka znane. Dziewczyna zwymiotowała na podłogę kabiny i chcąc zatrzeć ten przykry dla niej fakt, zdjęła spodnią bieliznę i wycierała nią ślady swojej powietrznej słabości. Jeszcze chwila dzieliła ją od całkowitego utajnienia przykrych sytuacji, ale bielizna wyrzucona za burtę kabiny, zawisła na kółku ogonowym. Lotnik z ukochaną wylądowali pod majtkowym sztandarem, witani wybuchami śmiechu i wiwatami lotniczej braci. Narzeczeństwo nie przetrwało tak fatalnej przygody. Andrzej na pewno znał tę opowiadaną przez naszą mamę historię. Czy myślał o niej przed lotem? Nie wiem.

Na mnie czeka już Bocian, wkładają mi spadochron. Pasuje jak kaganiec z wilczura wkładany na yorka. Wchodzę do przedniej kabiny, zaciągają mi mocno pasy. Jest cudnie, nogi lekko drżą, tak pewnie smakuje początek męskiej przygody. Instruktor prosi, żebym nie dotykał drążka sterowego szybowca ani gałek w kolorze żółtym i czerwonym. Wiem na pamięć do czego służy każda z nich, wpatrywałem się przecież codziennie w kabiny szybowców. W oczach mam dobrze mi znane, codziennie obserwowane startowe obrazy. Ktoś podtrzymuje skrzydło szybowca. Spokojne napinanie linki holu, ręka pilota w otwartej kabinie „papa-ja” idzie do góry. Ryk silnika samolotu tłumi pleksiglasowa osłona kabiny szybowca. Trochę siwego dymu i karawana zaczyna się toczyć. Już skrzydło szybowca łapie równowagę, podtrzymujący je kursant pozostał z tyłu. Podskakujemy na trawiastym pasie startowym, poznajemy charakterystyczny głuchy, matowy dźwięk wzmacniany pudłem rezonansowym kadłuba szybowca. Samolot jeszcze muska trawę lotniska, a my za nim już śmigamy sobie w powietrzu jak ptaszki na uwięzi. Wielbłąd holownik składa się do łagodnego skrętu, a my za nim posłuszni i zgodni z jego wolą, połączeni nerwem liny holowniczej. Lina jak dziecinny głuchy telefon przenosi wibracje samolotu do naszego

Bociana. Świat jest bardzo piękny, a marzenia się spełniają. Pastelowa ziemia dzieli się na kolorowe domina pól, od taflí jeziora odbija się słońce. Boże, jaki piękny świat stworzyłeś! Pierwszy raz w życiu szybuję nad ziemią. Emocje startu ustąpiły, a ja chłonę te widoki i od razu marzę, aby szybko przyszedł czas, żeby przeżywać to od nowa. Jeszcze w sobie tego dokładnie nie zaobserwowałem, ale później będę pewny, że każde nowe wywołuje pragnienie kolejnego nowego. To takie moje coś, co mnie napędza.

Wyczepiamy się z holu, wibracje szybowca ustają, zaczynamy nabierać wysokości. Kościół i zabudowania Międzybrodzia zmieniają się w małe domki z makieta, a ludzie tacy mali, tacy mrówkowej postury. Słysząc przyjemny świst powietrza. Instruktor pyta, jak się czuję, chyba niepotrzebnie, bo radość ze mnie bucha i to na potęgę. Pada następne pytanie, czy chciałbym posterować. Spokojnie kładę rękę na drążku sterowym i ostrożnie badam reakcje szybowca. Łagodnie sobie brykam, kąpię się w powietrzu, obserwując Żar i jego zalesione stoki. Już wiem, co może przynosić radość prawdziwemu facetowi - te pierwsze doznania zawsze będą pierwszymi i pozostaną w pamięci. Z tylnej kabiny pada pytanie instruktora: Marku, może jakaś akrobacyjna figura? Oczywiście, że tak - nie śmiem odmówić. Raz kozie śmierć! Delikatna beczka jest jak wisienka na torcie. Blisko godzinny lot kończy się. Domina pól zamieniają się w prostokąty falującego zboża. Wy tracamy wysokość. Skaczemy po nierównościach lotniska, znowu słysząc podobny dźwięk rezonowany kadłubem szybowca. Bocian nieruchomieje i przechyla się zmęczony, opierając skrzydło o trawę lotniska. Znane dobrze teatrum, spektakl się kończy, czyjeś ręce oplatają skrzydła i przeciągają ptaka na skraj lotniska. Osłona kabiny już otwarta, przy szybowcu ustawia się kolejka, za czym kolejka ta stoi, na pewno nie po szarość. Wychodzę z kabiny, wypinam tyłek i przyjmuję soczyste klapsy od lotniczej braci. Nie szkodzi, że naprawdę mocno boli, ale dodaje skrzydeł. Jestem troszkę jak oni. Wróciłem z góry, to trzeba uczcić. Takie laszowania przejdę jeszcze kilka razy. Wiele lat później nad Soliną będą mnie z honorami przyjmowali do całkiem innego bractwa – wy-

znawcy bardzo odmiennego, bo podwodnego żywiołu, nurkowie Dywizjonu Ratowniczego Marynarki Wojennej RP.

Sielski film lotniska pod górą Żar jaki widzę w mojej pamięci, zawiera również groźne burzowe kadry. Któregoś dnia słońce nagle przysłaniają ciężkie czarne chmury, wiatr wzmagą się, a w powietrzu jeszcze mnóstwo lotniczego narybku. Zaczyna mocno padać, ciężkie krople deszczu lada chwila przejdą w grad. Młodzi lotnicy zostali wezwani do swojego pierwszego lotniczego sprawdzianu. Taka ciężka niezapowiedziana szybowcowa klasówka, tyle że bez możliwości poprawki. Targane wiatrem szybowce, zbijają szybko pułap i rzucane na boki, podchodzą do lądowania. Bociany to ptaki przodujące w stadzie, w ich tylnych kabinach są instruktorzy. Jaskółki, Muchy i Salamandry są spoza elity. Za ich sterami siedzą niedawno wylaszowani lotnicy, świeżo opierzone żółtodzioby. Czy go szczęśliwie przejdą?

Oczy instruktorów starają się wyznaczyć im ścieżkę lądowania. Do lądujących szybowców podbiegają kursanci, lądowisko musi być natychmiast oczyszczone, krótkie instruktorskie komendy przeszywają powietrze, gotuje się jak na pokładzie lotniskowca. Do lądowania ostatnia podchodzi Salamandra. Nie ma pełnego kadłuba, odkrytą kabinę pilota z tylnym statecznikiem łączą dwie belki, czym przypomina ważkę. Wiatr kpi z wątlęgo owada, miota i targa nim na boki. Widzę to wyraźnie z boku. Twarz młodego pilota jest zacięta, lotnik ciężko walczy, kontrując podmuchy wiatru. Szybowiec z głośnym traskiem pękającej przedniej płozy, nieruchomieje w ziemniakach. Uff, wszyscy szczęśliwie na ziemi.

Jeszcze tylko kilka słów o przyziemnych potrzebach młodego mężczyzny, a dokładniej mówiąc 9-letniego chłopaka. Są one niewielkie - wystarcza mu oranżada i lizaki kogutki. Jeździ po nie do wiejskiego sklepu na swoim rumaku, Bałtyku. To wprawdzie nie motocykl tylko rower, ale bezpieczeństwo przede wszystkim. Na głowie ma kask, aluminiową za małą menażkę mocowaną gumką do majtek pod brodą. Lepiej nie myśleć, co by było gdyby w coś przywalił głową. Rowerowe wyprawy po oranżadę i kogutki, podsumowuje jedno specyficzne wydarzenie. Jedzie w

cholewach, bo ma się na deszcz. Rozpędza się, kołyszając rowerem, stoi na pedałach. Krawędź cholewy wpada pomiędzy łańcuch i koło zębate korby. Jeździec leży jak długi na środku asfaltu, na szczęście przed sklepem tym kognaty. Jego szczęście polega na tym, że przed sklepem siedzą wiejskie dreszcze i sączą kwaśne piwo. Jeden ze smakoszy zataczając się, zbliża do upadłego i szafując soczystymi...rwami, uwalnia jego cholewę. Widocznie anioł stróż młodego rowerzysty zagapił się, a może był po służbie.

Wakacje dobiegają końca. Po złotych widzianych z powietrza łanach zbóż, pozostają kłujące w stopy rżyska. Po nich wiejskie dzieci brykają płynnym posuwistym krokiem, dla nas miastowych to magia. Andrzej rzadko bywał na lotnisku, on w swoim dorosłym towarzystwie ujeżdżał kolarskiego Sporta. Sport jest poważnym sprzętem, wyposażonym już w przerzutki. Któregoś dnia pod wieczór, zabiera mnie z lotniska. Obaj ubrani jesteśmy w czarne przeciwdeszczowe peleryny, bo miało się na deszcz. Staję na motylkach tylnego koła, gaz w dół lotniska jest spory. Jesteśmy podobni do Zorro, brak nam tylko czarnych masek i kapeluszy, ale adrenalina niczego sobie, zwłaszcza dla mnie. Trzymam się tylko przystawki pędzla. Dojeżdżamy pod dom, skąd nasz gospodarz obserwował nasz szaleńczy zjazd. Wita nas soczystym komentarzem. Niestety dzieli się wrażeniami z cicią Zosią i babcią, od której słyszymy: Jędrusiu, jak mogłeś?!

Po tych wakacjach wszystko co związane z lataniem, stało mi się bliskie i interesujące. W miejsce książek Centkiewiczów pojawiają się: Janusz Meissner, Saint-Exupéry i Arkady Fiedler. Książki będę chłonał i tak mi pozostało do dzisiaj.

Spotkanie po latach...

Jan Chruśliński

Gdy po wygranym wyścigu kolarskim w Legnicy, w czerwcu 1960 roku, siedłem biegną stadionu do wyjścia, z naprzeciwka wybiegła jakaś dziewczyna, rozpostarła ramiona i zawołała:

- Jak się masz Jaśku?! Co za zbieg okoliczności, że właśnie tu cię spotykam!

To była Bogusia, jedna z zaprzyjaźnionych uczennic Liceum Felczerskiego. Koleżanka i sympatia z okresu nauki w technikum drogowym w Szczecinie, uczestniczka wspólnych wypraw kajakowych na jezioro Dąbie i partnerka z potańcówek w auli u felczerek. Po ukończeniu Liceum Felczerskiego w Szczecinie, pracowała w szpitalu w Legnicy.

- Nie wyjedziesz dzisiaj, nie puszcze cię! - wykrzyknęła. - Musisz zostać, powspominamy! Mieszkam u brata. Dom jest duży, więc znajdzie się dla ciebie miejsce. Możesz zatrzymać się nawet na kilka dni.

Zostałem.

Wspominaliśmy nasze spotkania z okresu szczecińskiego, kiedy łączyło mnie z Bogusią coś więcej niż przyjaźń.

W dniu kiedy się żegnaliśmy, Bogusia zapytała cicho:

- To kiedy się zobaczymy?

Nie odpowiedziałem. Mieszkiałem wówczas kilkaset kilometrów od Legnicy.

Od tamtego spotkania minęło pięć lat, legnicki dzień oddalił się tak bardzo, że zaczynałem o nim zapominać. Moje wspomnienia z tego spotkania stawały się coraz lżejsze, coraz bardziej mgliste, zupełnie nieważkie. Wszystko zwietrzało. Nie zostało prawie nic. Zostało tylko to, co wypełnia każdy dzień człowieka.

Styczeń 1965 roku. Byłem wówczas na trzecim roku oficerskiej szkoły inżynierskiej we Wrocławiu. Wczesnym rankiem wybrałem się do Biblioteki Uniwersyteckiej, aby napisać referat na seminarium z historii wojen i woj-

skowości. Nie było to łatwe zadanie. Wybór materiałów ogromny, geneza, narody, okresy wzlotów, okresy upadków, pisarze o dorobku wszechstronnie zanalizowanym, niezanalizowanym, nęcące badacza białe plamy.

Wysiadłem z tramwaju, przechodziłem przez plac obok kościoła garnizonowego pod wezwaniem świętej Elżbiety w pobliżu Rynku, na rogu ulic św. Mikołaja i Odrzańskiej zwoleńtem kroku i podniosłem głowę, by spojrzeć na dwie stojące obok siebie kamieniczki: „Jasia” i „Małgosię”. Patrząc, widziałem w domkach dwie postaci trzymające się za ręce. Oba urocze budynki zespalała brama, zwieńczona wygiętym barokowym gzymsem z ornamentami podtrzymywany mi przez dwa amorki i flankowe kamienne wazony po obu stronach. Moją uwagę przykuł napis na ornamencie, głoszący: *Mors la-nua Vitae – Śmierć bramą życia.*

Mój szybki marsz do Biblioteki Uniwersyteckiej przy ulicy Szajnochy urozmaiciły różne spotkania: w okolicy sklepu monopolowego minąłem grupkę mężczyzn z kilkudniowym zarostem, stojących na lekko chwiejących się nogach, którzy prosili mnie o kilka złotych na piwo. Dawnego kolegę z lat szkolnych, asystenta na wydziale budownictwa lądowego Politechniki Wrocławskiej, spotkałem w pobliżu Piwnicy Świdnickiej. Staruszkę opierającą się o laskę, nucącą półgłosem jakąś piosenkę, przechodzącą na drugą stronę ulicy, ignorując pasy. Dostrzegłem jeszcze jednego znajomego na przystanku tramwajowym nieopodal ulicy Kiełbaśniczej.

I oto niedaleko biblioteki spotkałem dziewczynę, której żadną miarą nie miałem prawa spotkać, znalazła się tu przypadkowo. Żaden matematyk nie mógł przewidzieć, że będzie czekała na taksówkę dokładnie w tym czasie i w tym miejscu. Nie wiedziałem,

gdzie wówczas mieszkała. Nie wiedziałem, ponieważ wiedzieć nie mogłem, a ona stała, jakby czekała na mnie, choć to nieprawda. Na każdego innego, z wyjątkiem mnie.

Zatrzymałem się jak wryty, zapominając, dokąd i po co tak pędziłem. *To tu właśnie leciałem jak na skrzydłach, na ten zaśnieżony brzeg, na tę pustą plażę, gdzie czekała dziewczyna, której ślad utraciłem, wierzyłem jednak, że ją kiedyś odnajdę.* Ucieszyła się, przestraszyła, spochmurniała, nie starając się ukryć żadnego z tych uczuć. Kolejka była duża, taksówki podjeżdżały z rzadka, więc mogliśmy chwilę porozmawiać. Stała przede mną, mogłem wyciągnąć rękę i dotknąć jej policzka ze śladami ładnie położonego makijażu. Nie śmiałem jednak tego zrobić. Patrzyliśmy tylko na siebie. Zamyśliłem się tęsknie.

Postać Bogusi stała mi w wyobraźni taka, jaką ją pożegnałem w Legnicy, w tym momencie ta chwila wróciła do pamięci, a dookoła był śnieg i śnieg, białe wały, góry śniegu. Budynki pokryte szarym tynkiem i drzewa oszronione szadzią mrozu. Całonocny śnieg pokrył stare brudy nieskalaną bielą. Białym dymem pyliły śnieżne grzbiety żywopłotów. Na nagich gałęziach kołysało się stado wron. Wiodły ze sobą gderliwy spór pełen wyrzutów: przygodna rodzina obieżyświatów, którym nigdzie się nie spieszy. Przydreptały dwie opatulone po czubek nosa staruszki. Chciały wsiąść do taksówki poza kolejką. Patrzyłem na nie z radością, w duchu przywołując jak najwięcej takich staruszek. Niech przyjdą, niech zajmą wszystkie samochody, niech ona się spóźni, niech zapomni, dokąd miała jechać. Ja przecież zapomniałem dokąd szedłem. Przestałem się spieszyć, stałem tylko, patrzyłem na nią i nadziwić się nie mogłem, że Bóg stworzył kogoś tak pięknego.

Staruszki zwinnie wtoczyły się do taksówki, do następnej wsiadła zsiniała z zimna zakonnica, i kolejka wyraźnie się skurczyła.

Wpatrywałem się w twarz Bogusi i powoli przypominałem sobie, dokąd szedłem, a gdy mnie o to zagađnęła, odpowiedziałem wesoło:

-Jeżeli sądzisz, że łatwo być podchorążym, to się mylisz, moja kochana. To bardzo trudne i pracowite zajęcie.

- Jestem pewna, że dajesz sobie świetnie radę, znam cię trochę. - Uśmiechnęła się i lekko zaczerwieniła. Pamiętałem dobrze, jak potrafiła się czerwienić, przekręcając filuternie głowę.

-Mama zadowolona? – zapytała, odchrząknawszy. Pomyślała więc i o mojej mamie, lubiła ją, i mama też ją lubiła.

Kolejka malała coraz bardziej, Bogusia była już na trzecim miejscu.

-No cóż - powiedziała, również spojrzawszy na kolejkę. – *Jeżeli się nie spieszysz...*

Mógłbym stać tu do samego wieczora. Odchyliłem jednak rękaw płaszcza i złapałem za zegarek takim gestem, jakim ludzie łapią się za głowę.

-Spieszysz się, jak zwykle – uśmiechnęła się z lekka. Marudziłem jeszcze chwilę, poprawiając rękaw. To nie ja się spieszyłem, lecz on.

No – rzekłem do niej w duchu – daję ci szansę. Zabierz mnie ze sobą. To będzie jedynie słuszną rzecz, wszystko inne nie ma sensu, to jest jedyny wariant.

-Tak. Spieszę się. Idę do biblioteki – powiedziała na głos. – *Zwykle siedzę tam i pracuję. Dziś muszę przygotować coś bardzo ważnego. Bo pojutrze mam seminarium.*

Czas uciekał. Pośród tej pochmurnej pogody i śniegu trzeba się było pożegnać. Ale, nie wiedzieliśmy jak.

Nadeszła kolej Bogusi, ale przytrzymałem ją za rękaw i taksówka odjechała. Teraz już wszystkie samochody podjeżdżały dla niej. Stalowo ciemne, nisko zawieszone chmury zaczęły się rozpraszać, przechodzić w jasność i biały śnieg. Ona z pewnością musiała już jechać. Nie pytałem dokąd i po co. Miałem prawo do niewiedzy.

-Muszę już iść. Wsiadaj, to cię podrzucę – zaproponowałem, uśmiechając się bohatersko. Ale nic z tego. Ona też, z tym swoim szczególnym uśmiechem, powiedziała:

-Ja cię podwiozę. Psia pogoda... – wzdrygnęła

się.

-A ja taką lubię.

Usiedliśmy na tylnym siedzeniu, z daleka od siebie i tak dojechaliśmy do biblioteki, a tam znów się pożegnaliśmy, z tak niezwykłą swobodą, jakbyśmy ćwiczyli te pożegnania.

-Spotkajmy się dzisiaj! – zawołałem lekkim tonem, wyskakując w rozmięty śnieg na chodniku. – *Na Świdnickiej, obok „Centralnej”!*

-Na pewno będę, o szesnastej – odpowiedziała.

Kilkanaście minut po umówionej godzinie pojawiła się, uśmiechnięta. Wzięła mnie pod ramię. Ruszyliśmy przed siebie. Zanim doszliśmy do restauracji, nie miałem ochoty brać czegokolwiek do ust. Ale zapachy unoszące się z kuchni sprawiły, że wkrótce zmieniłem decyzję.

- Spotkanie po latach odbędzie się na moje konto – powiedziała Bogusia, gdy usiedliśmy przy małym stoliku dla dwóch osób. Wyglądała prześlicznie. Na szyi miała zawiązaną czerwoną apaszkę z broszką złotego koloru. Apaszka pasowała do szminki, a usta wydawały się bardziej błyszczące niż zwykle. Kremowe bolerko, brązowa skórzana torba na ramieniu, wyblakłe niebieskie džinsy i ładne praktyczne kozaczki.

Wręczono nam karty dań, które wielkością dorównywały białowi stołu, a ona, nawet nie spojrzawszy na menu, zamówiła dwa koktajle.

- Mam zamówić dania? – zapytała. Skinąłem głową. Rzęsy miała gęste, ale niedługie. Próbowałem dojść czy farbowała włosy, czy był to jej kolor naturalny? Chłonałem ją wzrokiem. Przez pełną minutę głowę miała schowaną za menu, a ja rozglądałem się dookoła po gościach, zajmujących wszystkie pozostałe stoliki.

W końcu odłożyła menu.

- Czy zjemy jakieś danie mięsne? – zapytała.

-Tak.

Zjawił się kelner z notesem i długopisem w gotowości. W wydaniu Bogusi zamawianie posiłku, wymagało długiego mówienia. Dużo było dyskutowania, cofania się, zmian i spojrzeń w moją stronę, zarówno ze strony Bo-

gusi, jak i kelnera; raz nawet konspiracyjny uśmiech. Kelner skłonił się w końcu i wycofał z przesadną galanterią, zabierając menu. Podeszła nowa kelnerka z dwiema szklankami kiru.

- Za spotkanie! – powiedziała Bogusia, unosząc swój koktajl.

- Za spotkanie – odpowiedziałem.

Popiłem, wyraziłem uznanie i odstawiłem szklankę. Wtedy, dzięki łaskawości pierwszego kelnera, zjawił się koszyk z chlebem. Podał również coś skwierczącego na dwóch talerzach - był to płonący ragout wołowy z pieczarkami. Goście dookoła spoglądali ciekawsko i bezwstydnie w stronę tego odgłosu, a potem wymieniali uwagi o jakości dania. Kiedy znad talerza spojrziałem na Bogusię, ona przyglądała mi się zza wysokiej szklanki.

-To ty Bogusiu? Naprawdę ty? Wiedziałem, że wyjechałaś z Legnicy, napisałem do ciebie list, ale przyszedł zwrot z adnotacją, że adresat nieznany. Zniknęłaś mi, choć byłem pewny, że to niemożliwe.

Aha, jeszcze dwa lata po tamtym spotkaniu uprawiałem kolarstwo, no i teraz od trzech lat uczę się tu we Wrocławiu. We wrześniu, jak dobrze pójdzie, promocja i pierwsze gwiazdki oficerskie.

- Czy ty Jasiu pamiętasz, jaki dziś dzień? Specjalnego znaczenia to nie ma, ale bądź co bądź... w takim razie, później powiem. Człowiek ma swoje słabostki i tak przyjemnie dostawać prezenty. Tak się cieszę, że cię spotkałam, i w dodatku... – gdzie? W centrum miasta, gdzie przechodzi tysiące ludzi. To śmieszne, nieludzko banalne. Ale najpierw wyjaśnijmy, ile czasu mamy do dyspozycji. Bo widzisz, dziś wypada dzień moich imienin. Oczywiście to fakt bez znaczenia i nikogo na świecie nie obchodzi. Ale ten zbieg okoliczności, że właśnie dziś cię spotkałam... Moi przyjaciele, jak również moi wrogowie, nazywają mnie szczęściarą.

Mówiła, a ja słuchałem bez słowa.

- Zaczyna mi się nie podobać to twoje milczenie – powiedziała nagle. Zapraszam cię do siebie, będzie jeszcze kilka osób. Uczymy moje

imieniny. Mieszkam niedaleko, na Odrzańskiej. – *Idziemy*. Wskazała ręką wyjście. Padał śnieg, i kiedy otworzyliśmy frontowe drzwi, kłęby powietrza wpadły do wnętrza, migocząc niby supełkami, dużymi i małymi płatkami śniegu.

Dopiero teraz, znalazłszy się na oświetlonej ulicy, rozejrzałem się wokół siebie. Był wieczór. Trzaskający mróz. Chodniki pokrywał czarny lód, gruby jak denka potłuczonych butelek od piwa. Oddychanie sprawiało ból. Powietrze było pełne szarego szronu i zdawało się, że ten szron łaskocze i kłuje swą kosmatą szczecina zupełnie tak, jak drapiący i wchodzący Bogusi w usta, kożuszek jej oblodzonego kołnierza. Z oparów mgły wyłaniały się drzwi mijanych kawiarni, sklepowych wystaw i zmarzniete twarze przechodniów. Ulicami wolno przejeżdżały samochody i stada tramwajów w lodowych sopelkach.

Z ulicy Świdnickiej weszliśmy na Rynek, owiany subtelną tajemniczością magicznych zakątków, gdzie w załamujących się smugach światła, płynących z ulicznych latarni, widoczne były niezliczone płatki śniegu, które długo i przeciągle wirowały, nim opadły na ziemię i legły srebrnym puszystym puchem w nierównościach ulicy.

Uwagę zwracał wspaniały Ratusz, odzwierciedlający swój gotycki styl, mieszczący się w samym sercu Rynku, ozdobiony zegarem astronomicznym z jedną wskazówką i słońcem w centrum tarczy. Obok pomnik Aleksandra Fredry.

Okna kamieniczek wokół Rynku, pokryte grubą warstwą lodu, złociły się i migotały barwami tęczy, rzucając kolorową poświatę na ziemię. Z wnętrza mieszkań przesuwwały się barwne odbłaski zapalonych choinek.

O wyznaczonej porze zaczęli się schodzić goście. Przybył brat Bogusi z żoną, jeszcze dwa małżeństwa i kilkoro pań i panów – znajomych Bogusi z pracy.

Z przedpokojów przez otwarte drzwi widać było rozświetloną choinkę, ustawioną w pokoju jadalnym, i nakryty stół, długi jak zaśnieżona droga. Oślepiąco migotało światło w

kryształowych karafeczkach z nalewkami: czarna-porzeczkowa i zielona z jakimś zielonym, chyba żubrówka. Przyciągały wzrok małe półmiski z zakąskami i efektownie podana pieczona kaczka, nadziewana jabłkami. Wszystko to pobudzało apetyt. Aby więc nie odwlekać upragnionej chwili pokosztowania tych specjałów, wszyscy pospieszenie zasiedli do stołu. Bogusia zachęcała do jedzenia. Napelniono kieliszki.

– *No Bogusiu! Twoje zdrowie!* – wzniosł toast brat.

– *Za przyjaźń!* – dorzuciłem zaraz.

Nalewka była znakomita. Na przekąskę rydzyki też świetne, zwłaszcza te solone, podane w formie sałatki, z gęsto posiekaną cebulą i smażone na topionym maśle.

Goście pili i jedli ze smakiem. Bogusia zaraz przyniosła szynkę wieprzową: peklowaną i pieczoną, jakimś całkiem nieznanym mi sposobem. Także bigos znakomity, pełen wszelkich mięsów, kiełbas, ostrych przypraw. Obok buchającej ciepłem choinki, opasanej kilkoma rzędami migotliwych światełek, do muzyki z płyt, szeleszcząc sukniami, wirowały taneczne pary. Tańczyłem z Bogusią tango, wciąż zwalniając i ścieśniając obroty aż do ledwie dostrzegalnego dreptania w miejscu, które nie było już tangiem, lecz tylko jego zamierającym echem. Zmęczeni na chwilę przestawali tańczyć, pospieszenie i chciwie łykali zimny sok lub kompot, i za ledwie odstawivszy szklankę na tacę, znów ruszali w tany.

Po kilku godzinach goście pożegnali się i rozejchali do domów.

Usiedliśmy na kanapie przy małym bocznym stoliku.

– *Znów jesteśmy we dwoje u ciebie w mieszkaniu – zauważyłem. – Tyle że w innym mieście.*

– *Pomiędzy tamtym mieszkaniem w Legnicy, a tym, legło ponad pięć lat. Zdążyłeś chyba wymazać z pamięci wiele zdarzeń, które nas łączyły.* Mruknęła pod nosem, że chyba jest mi już obca.

Powinienem pewnie dostosować się do tego lekkiego tonu, tymczasem milczałem i słu-

chałem.

Bogusia opowiadała, co wydarzyło się w jej życiu w tym okresie, jakie nastąpiły zmiany, co je spowodowało. Wspominała czasy szczecińskie.

– *A pamiętasz naszą wyprawę nad Jezioro Szmaragdowe? Był koniec czerwca 58 roku. Na wysokim brzegu jeziora byliśmy tylko my. Przedpołudniowe słońce gorącymi promieniami opalało nasze ciała. Po obu stronach jeziora ciągnęły się jasnozielone mokre od rosy trawy, nieporuszone najmniejszym powiewem. Przejrzysty opar wisiał nad szmaragdową taflą jeziora, zapowiadając bezwietrzny, upalny dzień, w górze trzepotały się skowronki. Poza tym cisza niemal absolutna i spokój panowały dookoła, a my snuliśmy nasze plany, marzenia, oczekiwania. Ach! – To już tylko wspomnienia, wspomnienia, wspomnienia...*

Nalewała żubrówki, pokroiła pachnącą polędwicę domowej roboty

– *No to za co wypijemy?* – spytała wesołym, serdecznym głosem.

Tak samo zapytywała wówczas w Legnicy. I ton i zdanie identyczne – pomyślałem.

Ten głos brzmiał dla mego ucha tak, jakbym przez całe życie tylko jego słuchał i na niego czekał. Ten głos zbijał mnie z tropu, należał do kogoś bardzo bliskiego.

– *Najlepsze życzenia w dniu imienin!* – zdecydowałem się wreszcie. W Szczecinie i potem w Legnicy byłeś swobodnym stworzeniem, a dziś nic nie rozumiem. *Ale zrozumieć – rozśmiałem się i wypilem swoją żubrówkę.*

Od tamtego dnia zawiązała się na powrót między nami przyjaźń, ale tylko przyjaźń. Wspólne spotkania, wyjścia do kina, teatru, na dancing.

Dzisiaj kiedy, po latach, wspominam tamten czas, widzę jak na dłoni, kamienny mostek przy Arkońskiej w Szczecinie, przy którym Bogusia zawiera mi swą tajemnicę, a ja poprzysięgam nigdy jej nie zdradzić. Wszystkie tajemnice gromadzące się w jej duszy między siódmym a dwudziestym drugim rokiem życia, powierzyła mnie, a ja ich strzegłem, porządkowałem, omiałem

z kurzu, przeliczałem i chowałem z powrotem. Wszystko o czym zapomniała, co poniechała, wyrzuciła, zachowało się we mnie z jakże bolesną myślą, że już nigdy jej się to nie przyda. Tylko we mnie, póki mego życia starczy, będzie chronione, potem oczywiście przepadnie, a szkoda, bowiem tajemnice te zawierały ciekawe zdarzenia, odkryte przed laty na tamtym mostku, gdzie najczęściej wiedliśmy długie rozmowy, a potem na Wałach Chrobrego, nad Jeziorem Szmaragdowym i we Wrocławiu, a także na spacerach po Ostrowie Tumskim i w kawiarni Bachus na Rynku Głównym Starego Miasta. Wszędzie zresztą, gdzie wspólnie odkrywaliśmy świat – chłopiec i dziewczyna pozostawieni sobie, wolni i szczęśliwi w obrazie świata, który jawił się przed nami, było dużo dobra. Choć było też i zło, które nasze bystre oczy dostrzegały. Cieszyliśmy się jednak z życia i ze wszystkiego, co nas cieszyć powinno. Z książek, biletów do kina i opery, z kaprysów pogody, z tego, że możemy pół godziny posiedzieć u Bogusi w domu bez świadków i patrzeć na siebie, tak jak patrzy dwoje ludzi, gdy znajdują się sam na sam. Tak, była w tym wszystkim harmonia i przejrzystość, chaos zaczął się później, gdy po skończonym balu promocyjnym, przeszliśmy od obserwacji życia do udziału w nim.

Wtedy dwoje ludzi, idących dotychczas tak zgodnie w jedną stronę, zaczęło nagle się miotać. Gmatwali wszystko, robili sobie na złość, a zostawszy sam na sam, nie patrzyli już na siebie.

Nie wytrwaliśmy, bo nie baliśmy się niczego, a należało się bać. Rozstaliśmy się, bo była to rzecz niemożliwa, i oto niemożliwość stała się faktem...

A jednak tak już zostanie. Zawsze będę wspominał Bogusię – miłą, spokojną dziewczynę o piwnych oczach. Nie zawiodłem się na niej, ani ona nie zawiodła się na mnie.

Przypowieści naszych czasów – Kopcowanie

Kazimierz Kochański

Jest dobrze. Stary dał miejsce nowemu. Wcześniej trochę grymasili – bawili się kosztem gawiedzi. Gawieź, jak gawieź. Drze japę. Ale nie wie o co chodzi.

Pod koniec, i stary i młody, dostosowali się do gawiedzi. Uruchomili stragany i każdy kupował to, co wyłożyli. Nie było specjalnego wyboru. Tandeta, niezależnie od tego kto sprzedaje, jest tandetą. W każdym razie gawieź zajęła się nie tym o co szło staremu i młodemu, a tym, co stary z młodym jej podrzucili. Metody i powody jak w starożytności; ty niedobry – psujesz zabawki, ty niedobry – nie umiesz się bawić, ty niedobry – chcę, żeby wszystko było moje, ty niedobry – nie chcesz, żeby wszystko było moje...

Przyjdzie wiosna, będzie odwilż. Nie pierwsza i nie ostatnia. Może być trochę inna, bo co ma odtając, gdy w styczniu zielono, wiosennie. W tej dziedzinie jeszcze igelitem warunków naturalnych nie zastępowano. Młodzi lubią aplikacje. Niech aplikują.

Ale może wysiaść łączność.

Dziś Danuty. Zadzwoń. Do przyjaciół trzeba konkretnie, bez substytutów cywilizacyjnych.

*

Głowa, jak wiadomo, nie po to jest, by było ciężko.

Jazda rowerem może być przyjemnością, spełnieniem sportowo-rekreacyjnym, przyczynkiem do poznania własnej okolicy... A nawet czymś niezwykłym.

Postanowiliśmy, korzystając z wolnego czasu i sprzyjających warunków pogodowych, ubogacić kończący się dzień. W kaskach, z niewielkim zapasem posiłków regeneracyjnych, wyjechaliśmy z synem w tak zwane nieznanne. Rezerwat modrzewia dostarczył niepowtarzalnych doznań i poznań. Przyroda jest w stanie uwolnić wodze wyobraźni – Daniel Defoe i jego „Robinson Crusoe”; żyło się w świecie rozbitka. Nieomal realnie.

Dom też po to jest, aby do niego wracać. Wra-

camy.

Poza miastem nie było wprawdzie ścieżki rowerowej, ale dla bezpieczeństwa zbudowano równoległą dróżkę z kostki brukowej. Trochę trzęśło naszymi welocypedami. Nic to.

- Uważaj na psa! – zawołałem do jadącego przede mną syna. Wyskoczyło zwierzątko z podwórka przyległej do dróżki posesji.

Niepozorny kundelek zdecydował się pozмагаć z nogawką spodni syna, a że ten ma uraz psychiczny z nieprzyjemnego spotkania z taką istotą w dzieciństwie, więc zahamował dość nagle. Ja, aby uniknąć zderzenia, też zareagowałem hamowaniem na dwa hamulce.

Cóż, kostka ma tę charakterystykę, że o upadek nie trudno. Nie było trudno; wyrzuciłem na nią kolanami, przypieczętowując upadek dodatkowo uderzeniem głową. Kask udaremnił nieszczęście.

Szczekająca psina wywołała na podwórko swoją właścicielkę.

- Proszę pani, dlaczego biegający swobodnie pies, miał możliwość wybiec z podwórka? Przecież brama powinna być zamknięta – zasygnalizowałem nieprawidłowość pani gospodyni.

- Rozumiem, że jechaliście panowie chodnikiem?

- No, tak...

- A nie wolno!

To się nazywa trzeźwość umysłu. Nie miałem nic do dodania.

*

Kawa na tarasie. Wokół morze zieleni. Śpiew ptaków (zaczepne te muzyczne trzpioty – zwłaszcza kosy i drozdy).

Zbliża się koniec popołudnia. Mieszkańcy ponad czterdziestoletniej gruszy zaczynają swoje powinności. Para na przemian wlatuje do dziupli na kilkanaście sekund i kolejny kurs po składniki kolacji dorastających pi-

skłat.

Za godzinę ruszą w teren bezdomne koty. Pobliskie nieużytki obfitują w żywy pokarm, a mimo to korzystają z dostarczanego im przez troskliwych opiekunów pokarmu ze sklepowych półek.

Na pierwszy rzut oka, wszystko ma cechy harmonii.

W gęstwie gałęzi winogron założyła gniazdo rodzina kosów. Nie więcej niż dwa metry od naszego stolika. Kos, przez ostrożność, do rewiru podchodzi pieszo. Spoglądając czujnie w naszą stronę, decyduje się na kilka trzepnięć skrzydłami i już napęnia otwarte głodne dzioby.

Rozmawiamy o naszej codzienności. Uspokoiły się nastroje rozgrywek w sferach wyższej rangi. Wciąż nie osiągają porozumienia, ani wzajemnego wyrozumienia grup mniejszych. Raczej niezainteresowanych zmianą zajmowanych stanowisk. Grzeją tak skrajne tematy, że – uogólniając – niełatwo zrozumieć o co chodzi. Czy o coś chodzi.

W polu naszego widzenia pojawił się kot; z brzuchem przy ziemi przeczesuje wzrokiem rewir naszych śpiewaków.

- Czy wszystko jest w porządku? – pyta mój gość.

- Teraz tak.

- Jak to, teraz?

- Do gniazda nie doskoczy, ale sprawdza swój czas.

Nie jest to dla mnie miłe, ale oczy mojego gościa przepełnione są iskrą ciekawości. Decyduję się na rozwinięcie spostrzeżenia.

- Nie próbuj, proszę, wyciągać żadnych wniosków z tego, co ci przybliży. Kosy corocznie zakładają tu gniazdo. I corocznie nie mogą doczekać radości ze swoich instynktowych zabiegów. Tuż przed pierwszym lotem swoich żółtodziobów, inny instynkt przerywa dalszy ciąg cyklu.

- Czyj instynkt?

- Instynkt koci.

Kolega chyba nic nie zrozumiał, bo wzruszając ramionami, czeka na dopowiedzenie, którego nie jestem w stanie logicznie, em-

patycznie wytłumaczyć.

Nie podjąłem się zaspokojenia ciekawości kolegi.

Wiem tylko tyle - tak mi wyjaśnił życzliwy zwierzętom, wtajemniczony człowiek; kot ma prawo zabijać, bo to nie od niego zależy. Cecha wrodzona - musi polować. To nic, że kos ma prawo wychować własne potomstwo - ma prawo.

Nie umiałbym, mojemu koledze ani komukolwiek, wytłumaczyć, dlaczego ten kos, po tragedii utraty swoich piskląt, przechodząc jeszcze kilka dni obok mnie, z robakami w dziobie, mnie podejrzewa o powód swojej traumy.

Tak. Patrzy na mnie, jak na sprawcę swego nieszczęścia. Czuję na sobie jego spojrzenie.

*

Jak krótko, najkrócej opisać Świat? Wierszem! Poezja ogarnia wszystko; szeroko, ulotnie, nie zamyka ust.

Jak opisać wiersz?

Po zadaniu tego pytania, stanąłem twarzą w twarz z własną niewiedzą! Przyznaję się. Moja wina. „Po to są przemiany” literackie, krytyczno-literackie, wszelkie, by nie było takich pytań.

Czytam recenzje, różne, o mojej twórczości ze szczególną pieczołowitością – czemuż by nie? Ale wyrażanie opinii bez cytowania źródeł, musi zaskakiwać. Zdarzyło się przecież i znanemu w świecie politykowi, otrzymać Nagrodę Nobla z określonym wyprzedzeniem. Ja nie jestem osobą publiczną, a być może, składową tego, co publiczne. I wolałbym przewagę przejrzystości. Zatem, gdy czytam wywód o wierszu, zbiorze wierszy, bez cytatów z dzieła, nie ufam ani słowu.

To kolejne pytanie do samego siebie: a gdy pisać o twojej wyobraźni twórczej, zawartej w twoich słowach?

Szanuję swoich czytelników; zawsze to podkreślam – wężykiem. Nawet w dykteryjkach nie ubliżam im w niczym. Powołując się na słowa innych, zawieram sens słów innych, bo to ich słowa. Są tacy, co owych innych utożsamiają ze mną. Tak sobie - w tej chwili – pomy-

ślałem: czy ja nie mogę być tym innym?

Dwaj najznamienitsi wypowiadali się o mojej twórczości. Pochlebnie. Nie przesadzili w gloryfikacji. Nie zadali kłamu wartościom artystycznym. Czy cenię Ich za to szczególnie? Cenię sobie to, że wyrazili swój pogląd. Mogli mnie nie dostrzec.

Znajoma zasygnalizowała swą radość z powodu moich dla niej życzeń świątecznych. Wszyscy o niej pamiętali, gdy redagowała książkę-pamiętnik ze wspólnych lat szkolnych. Indagowali często. Nazbyt często. Już jej, o niej, nie pamiętają.

Pamiętam o powinnościach, rzetelności i umiarze. I to mnie cieszy!

*

W miejscu Szczęólnego Skupienia i Pokory spotykamy się z Prawdą o nas samych.

Każdy spotyka swoją prawdę. Odczytywaną po swoimemu. I na nic Dekalog. Główne Prawdy Wiary.

Czas na osobiste uczestnictwo i sprawdzian własnego odbicia w okolicznościach sprzyjających tak ważnej próbie.

Nikt tym aktem nie zarządza. Naturalny odruch ludzki ogłosił te Dziwy. Samoistna potrzeba, nagła dobra myśl, narastające ogniwo ciągu ku samodoskonaleniu, samokontroli, autoobserwacji... Dopiszcie własne inspiracje. Byle coś własnego wniesć do cudowności własnego życia.

Od dłuższego czasu zwraca uwagę obecność w Tym Miejsku młodzieńczego chłopca ze swym ojcem. Dwóch statecznych facetów. Widać, że tata ma poczucie dumy ze swego następcy tronu, a syn jest dumny ze swego taty. Obaj są wspaniałym obrazem szacunku dla współobecnych. Coś nieczęstego!

Mijając ich, podczas opuszczania Świątyni, czuję wielki obowiązek wewnętrzny, uwolnienia narosłych emocji – nachylam się do ucha chłopca, wyszeptuję spontanicznie: jesteś wspaniałym młodzieńcem, pielęgnuj ten dar. Nie rozumiejąc wciąż swojego zachowania, czuję wilgoć w kącikach moich oczu i nieznanne mi głębokie wzruszenie. Już kiedyś tak miałem. Czy to jakiś znak?

*

W dyskoncie spora kolejka.

Przypomniał mi się dowcip o szukaniu lepszego wyjścia. Gościu dowiedziawszy się w aptecce, ile ma zapłacić za leki, stwierdza: to wolę umrzeć! Postanawia jednak sprawdzić koszty swojego zejścia u źródła; po pozyskaniu informacji u plebana, wraca do apteki: znacznie taniej, a przecież się nie przelewa. Litania zakupów obszerna. Pytam przechodzącej pani sklepowej: przepraszam, czy na końcu tej karteczki – pokazuję listę zakupów – jest napisane: zmiłuj się nad nami? Żona mnie obdarzyła takim zaszczytem, a nie mam okularów.

Pani spogląda chwilę podejrzliwie (słusznie!) w moje oczy. Uśmiecha się (jest dobrze!) – proszę za mną.

Obeszliśmy tylko te stoiska, które należało obejść. Wózek pełen. Ja pełen szczęścia. Pani pełna spełnienia.

Staję przeto w ogonku do kasy.

Nie ma do kogo zagadać. Ludzie zajęci pilnowaniem porządku – prawie jak w minionym okresie ustrojowym: ja tu będę stał, i zamówionko stania w innej kolejce (gdzieś może będzie szybciej?).

I oto stoję przed kasjerką. Wymieniamy: dzień dobry – taki teraz styl relacji klient-sprzedawca.

Płacę!

- Przepraszam, jedno pytanko: a naprawdę dobry ma pani dziś dzień?

- Się pan zajmie swoimi sprawami – krótka, rzeczowa odpowiedź.

Nic; tylko maleńka zmiana nastroju.

Wracam. Liczę, że żona bardzo się ucieszy. Może jakaś kawa za szybkie sprawunki?

Zbiór krótkich form prozatorskich

dr hab. Grzegorz Pełczyński

Bez

Pan Maurycy był dumny z rozłożystego bzu, który rósł przed jego domem. Wiosną kilka jego gałęzi, obciążonych liliowymi okiściami, wysunęło się aż na ulicę. Przechodnie przystawali, by wciągać w nozdrza bżowy zapach. Pan Murycy zaś stał przy oknie i uśmiechał się.

Kiedyś przyszedł do niego policjant.

- Pana gałęzie zakłócają ruch uliczny, a tego zabraniają przepisy – powiedział groźnie. – Musi je pan niezwłocznie obciąć.

Przyrzekł, że to zrobi. Jednak, gdy znowu ujrzał ludzi rozkoszujących się jego bżem, natychmiast poniechał tej obietnicy.

Wkrótce więc znowu zawitał doń ten sam funkcjonariusz.

- Jeśli nadal będą tutaj lekceważone przepisy, zostanie wymierzona kara – oznajmił surowo. Ten się jednak nie przestraszył. Żadnej gałęzi nie usunął.

Gdy po kilku dniach policjant przyszedł sprawdzić, czy wykonano jego polecenie, nie było powodu do karania. Bez bowiem już przekwitł.

Pan Maurycy z okna patrzył, jak policjant odchodzi z niezadowoloną miną.

Zabel

Strasznie bolały go nogi, zwłaszcza kolana, poszedł więc do lekarza.

- To reumatyzm – powiedział lekarz. - Zapiszę panu kota.

- Przepraszam, nie dosłyszałem.

- Zapiszę panu kota! - zaczął mówić głośnie. - Będzie go pan jak najczęściej kładł na kolana, a nawet z nim spał w jednym łóżku.

- Czy nie ma na to jakichś leków?

- Są - wykrzywił wargi. - Ale nieskuteczne. A kota kupi pan w aptece przy rynku.

Nigdy nie marzył o posiadaniu kota, ale też bardzo chciał pozbyć się bólów w nogach, skierował więc swoje kroki w stronę apteki.

Aptekarka spojrzała na receptę.

- Chce pan kotkę czy kocurka?

- Wszystko jedno.

Po chwili opuścił aptekę z kotką w torbie.

Z kotką bardzo szybko się zaprzyjaźnił. Zabel - tak ją nazwał - chętnie spoczywała na jego kolanach, nie odstępowała go też podczas snu. Dlatego już po miesiącu poczuł się lepiej, a po pół roku był całkiem zdrowy.

Uznawszy, że powinien opowiedzieć o tym doktorowi, odwiedził go pewnego dnia.

- Bardzo się cieszę, że bóle minęły - powiedział doktor. - Teraz już kot nie jest panu potrzebny. Może go pan odnieść do apteki.

Gdy wyszedł od niego, był mocno zdenerwowany: Jak on mógł pomyśleć, że ja zechcę pozbyć się Zabel. To byłoby... to byłoby straszne. I ża potoczyła się po jego policzku.

Upadek artysty

Jego wierszami nie zachwycała się krytyka. Jego obrazami również. Dopiero gdy zaczął uprawiać sztukę kulinarną, osiągnął upragniony sukces.

Rodzajem, w którym najlepiej się wypowiadał, były zupy, zwłaszcza barszcz z pasztecikiem i żurek z jajkiem. Krytycy dostrzegli w nich pewną kontynuację wątków obecnych już w jego poezji. Ale teraz, jak powiadali, nabrały one głębi i wieloznaczności.

Chwalono też jego klopsy, choć może nie aż tak bardzo jak zupy. Mieszanek ziołowych przypraw czyniła z nich dzieło nie dla wszystkich strawne.

Niespodziewanie wyszło na jaw, że gotowane przezeń potrawy, to ni mniej, ni więcej, tylko plagiat. Przyrządzał je bowiem podług recept kucharki, pracującej ongiś w domu jego rodziców. A wykryli to jej siostrzeńcy, będący jej spadkobiercami.

Długotrwały proces sądowy, zakończony niekorzystnym dla niego werdyktem, skompromitował go całkowicie jako artystę.

Ale na tym bynajmniej jego kariera się nie zakończyła. W zeszłym tygodniu objął sta-

nowisko ministra transportu.

Konfitury z malin

Honoriuszowi sprzyrzyło się mieszkanie w nowoczesnym domu. Postanowił zatem przeprowadzić się do innego, mniej nowoczesnego.

Pracownik biura nieruchomości przedstawił mu kilka ofert: willa z ogrodem w miasteczku nad rzeką, mieszkanko w kamienicy z osiemnastego wieku, garsoniera nieopodal opery.

Każda z propozycji wydawała się zachwycająca. Trudno przeto było wybrać tylko jedną. Wkrótce Honoriusz poznał pannę o bardzo konserwatywnych zapatrywaniach. Zakochał się w niej, oświadczył i ożenił.

Wówczas jego dom wyzbył się swej dojmującej nowoczesności. Całkiem więc porzucił myśl o przeprowadzce.

Jaki z tego morał? Może, że to ludzie tworzą dom, a nie mury. Lub że nie należy podejmować pochopnych decyzji. Ale chyba najlepiej powstrzymać się od jakichkolwiek morałów, a zwrócić uwagę na wyśmienity smak konfitur z malin.

Walka

Chociaż zaczął się październik, Rudolf wcale się nie godził, że minęło lato. Wprawdzie coraz szybciej zapadał zmierzch i było coraz zimniej, ale on żył tak, jakby wciąż trwał lipiec.

Chodził po ulicach w białym lnianym garniturze i bez kapelusza. Długo wysiadywał na ławce w parku. A raz zjadł dużą porcję lodów na tarasie kawiarni, gdzie prócz niego nie było nikogo.

Potem w nocy obudził się chory. Bolała go głowa, miał dreszcze i zapewne wysoką temperaturę. Wezwany rano lekarz, zbadał go i postawił diagnozę: zapalenie płuc.

Przez długie tygodnie Rudolf musiał leżeć w łóżku i łykać mnóstwo gorzkich pigułek. A tymczasem drzewo rosnące przed jego oknem, straciło wszystkie liście.

Odwiedzali go krewni i znajomi. Lecz zamiast pocieszać, krytykowali jego zachowanie, według nich zupełnie nieodpowiednie jesienią.

Kiedyś przyszedł do niego starszy pan w

dziwnym mundurze, najprawdopodobniej generalskim.

- Jestem z ciebie dumny, drogi Rudolfe – powiedział. – Walczyłeś bardzo dzielnie.

Zresztą inni też. Jednak tym razem musieliśmy się wycofać. Lecz w marcu rozpoczniemy nową ofensywę. I jeśli się postaramy, zawsze będzie już tylko lato. Mam nadzieję, że stawisz się znów do walki.

- Rozkaz – odpowiedział słabym głosem i zapadł w głęboki sen.

O Petroneli

Kilku znajomych spotkało się w kawiarni. Najpierw rozmawiali o sprawach błahych i nieciekawych. Wreszcie o Petroneli.

- Jej nowa suknia jest wręcz fatalna – tak ktoś rozpoczął temat.

- To prawda: zbyt jaskrawa i źle skrojona. Trzeba nie mieć gustu, aby nosić coś takiego.

- Równie niegustowne są jej kapelusze. Przypominają staromodne abażury.

- O butach lepiej nie wspominać.

- Mimo to ona zawsze zdaje się być zadowolona. Pewnie nigdy nie przyszło jej do głowy, jak strasznie wygląda. – W ten sposób podsumowano tę wymianę opinii.

Niespodziewanie weszła Petronela. Ujrawszy znajomych, przysiadła się do ich stolika.

- Czemu macie takie ponure miny? – zapytała wesoło. – Czy wydarzyło się jakieś nieszczęście? I dlaczego zamówiliście te pączki, skoro ich nie jecie? – Po tym ostatnim pytaniu, wzięła jednego i natychmiast spałaszowała, oblizując uśmiechnięte usta.

Państwo

Całkiem niedawno się okazało, że traktaty wyznaczające granice państwowe w ogóle nie uwzględniły naszej części miasteczka. Zgodnie z prawem międzynarodowym te trzy kamienice z podwórkami i duży skwer – prawie park nie należą do żadnego państwa. W takim razie, czy się to komuś podoba, czy nie, są niepodległe. Państwo, którego w swoim błędnym przekonaniu byliśmy częścią, zaproponowało byśmy się do niego przyłączyli. Ale my nie chcieliśmy. Wobec tego musieliśmy zorganizować własne.

Nieoczekiwanie mnie obwołano głową tego państwa. Bronilem się przed tym, jak mogłem, lecz daremnie. Mówili mi: prowadzisz sklep spożywczy, wszystkich znasz, nadajesz się. W końcu zgodziłem się, mając nadzieję, że nikomu nie zaszkodzę.

Gdy zaczęliśmy się zastanawiać nad ustrojem, najwięcej zwolenników zyskała monarchia. Próbowałem się temu sprzeciwić, przekonało mnie jednak, że powinienem przyjąć tytuł księcia i założyć dynastię.

Ktoś wpadł na pomysł, abym ożenił się z jakąś księżniczką ze starego książęcego rodu: to podwyższy twój prestiż, a jednocześnie całego państwa. Złożyłem więc ofertę małżeństwa rodowi Salina, lecz otrzymałem odpowiedź odmowną. Potem zwróciłem się do Guermantów i Myszkiców. Niestety, rezultat był podobny. Wreszcie to samo zaoferowałem rodzinie Bajadze, mającej kilka córek na wydaniu. Jedna z nich bardzo poważnie zainteresowała się propozycją.

Teraz z niecierpliwością czekam na jej przyjazd. Wszystko już sobie dokładnie zaplanowałem – kiedy ja będę załatwiał sprawy państwowe, ona zastąpi mnie w sklepie. Wiczczy oczywiście będziemy mieć dla siebie.

Harfa

Sztuki nie są jak mnisi, zamknięci w osobnych celach. Sztuki łączą się ze sobą, czasami wręcz nieprawdopodobnie.

Pewnego razu Giennadij Swenson, dyrygent orkiestry symfonicznej w N., miał do rozwiązania trudny problem. Zachorowała mianowicie jego harfistka. A za kilka dni cały zespół miał wyjechać na międzynarodowy konkurs muzyczny. Bez harfistki było to niemożliwe. Wtedy Swenson przypomniał sobie o Rozalindzie, imitatorce głosów zwierząt, znanych ludzi, a także instrumentów muzycznych, którą niedawno podziwiał w miejscowym cyrku. Niezwłocznie złożył jej wizytę.

- Czy pani umie naśladować dźwięki harfy? – zapytał.

Artystka zacisnęła usta, a potem nieznacznie nimi poruszając, jęła imitować dźwięki tego instrumentu.

Podczas próby z orkiestrą w ten sam sposób

odtwarzała partie harfy, palcami natomiast wodziła po strunach, jednak ich nie szarpiąc. - Niech pani nie udaje, że gra – powiedział dyrygent. – Proszę stanąć obok harfy

i jawnie naśladować ją tak, jak pani potrafi. Rozalinda tak zatem uczyniła. Efekt zaś był znakomity. Wszyscy członkowie orkiestry wstali i wyrazili swe uznanie gromkimi oklaskami.

Nie może więc dziwić, że także jury konkursu muzycznego wpadło w zachwyt. Orkiestra Swensona otrzymała Grand Prix, a Rozalinda Nagrodę Specjalną.

Morskie dziwy

Stary marynarz zabawiał czekających niezwykłymi opowieściami.

- Podczas rejsu – mówił – można zobaczyć różne dziwy. Sam widziałem ludzi chodzących po falach. Albo potwory wynurzające się z głębin. Także znikające wyspy.

- Znikające wyspy? – zainteresował się jeden z pacjentów.

- Wyglądają całkiem zwyczajnie. Skaliste lub porośnięte bujną roślinnością. Ale gdy statek się do nich zbliży, na mniej niż pół mili, natychmiast znikają.

- Czy pana koledzy też to widzieli?

Marynarz machnął ręką, jakby chciał powiedzieć, że to temat niewarty podjęcia. Pytający natomiast roześmiał się kpiąco.

- Nie ma się z czego śmiać. Widziałem to wszystko. I pewnie jeszcze zobaczę. Gdy byłem młody, na morzu zwykle nic się nie działo. Czasem tylko jakiś statek przepełnął w pobliżu. Ale od kilku lat morze stało się niesamowite. Opowiem państwu...

Nagle do poczekalni weszła recepcjonistka.

- Pan doktor prosi- zwróciła się do marynarza.

On zaś wstał i rozkołtysanym krokiem skierował się do gabinetu okulisty.

Olśnienie

- Całe życie jest nieustannym czekaniem – twierdził Gwidon. A twierdzenie to opierał na własnym doświadczeniu. Co dnia bowiem był w stanie oczekiwania, na ogół na osoby, z którymi się umówił.

Razu pewnego stał na rogu ulicy, bodaj od kwadransa wypatrując przyjaciela, z którym miał się tu spotkać. Ten nie przychodził, ale przychodziły myśli o czekaniu.

Nagle olśniony, Gwidon zrozumiał istotę tego zjawiska, odnoszącą się przynajmniej do niego: po prostu zawsze przychodził na spotkania za wcześniej.

Narrator nieszyszkowiedzący

Baron de D. od hrabiostwa A-B. dostał zaproszenie na bal. Ucieszył się bardzo. Było ono pięknie wydrukowane na czerpanym papierze i podpisane piórem marki Parker. De D. zbierał takie zaproszenia. Na bal zaś nie zamierzał pójść, bo takowych nie lubił.

Zresztą ten bal się nie odbył. Przyjaciele barona chcąc wzbogacić jego kolekcję, od czasu do czasu zamawiali w drukarni całkiem fikcyjne zaproszenie na raut, wernisaż albo bal i przesyłali na jego adres. Tak też było w przypadku balu u A-B.

Mówi się też, że zaproszenie to wysłano z inspiracji wywiadu nowozelandzkiego. Zapytacie: jak i dlaczego?, ale doprawdy nie wiem. A może wy się domyślicie?

Sobowtóry

Sąsiedzi powiedzieli Dariuszowi, że przy końcu ulicy mieszka mężczyzna łudzaco doń podobny. Ni mniej, ni więcej, tylko sobowtór.

- Czy widziałeś już swego sobowtóra? – zapytali go po pewnym czasie.

- Niestety, jak dotąd nie miałem okazji – odpowiedział uprzejmie. – Ale dziękuję za przypomnienie.

To pytanie zadawano mu jeszcze kilkakrotnie. On zaś odpowiadał na nie tak samo.

Także tego osobnika z końca ulicy, Romana, powiadomiono, że ma sobowtóra. I usilnie zachęcano, by go sobie obejrzał.

- Weźcie się do roboty, łachudry, zamiast zajmować się głupotami! – zrugął w końcu nagabujących go sąsiadów.

A zatem Dariusz i Roman byli do siebie podobni również w tym, iż stronili od czczych sensacji. Choć każdy robił to nieco inaczej.

Stanisław Z./Dariusz Ż.

Niejednemu się wydaje, że rozwiąże wszystkie swoje problemy, jeśli stanie się kimś innym.

Tak też wydawało się Stanisławowi Z., księgowemu, mającemu niewierną żonę, niespłacone raty i zaawansowaną paracentezę. Gdy więc wywiad proponował mu inwigilację pewnych środowisk w Ameryce Środkowej, zgodził się natychmiast. Niebawem tam wyruszył jako Dariusz Ż.

Na granicy zapytano go, jak się nazywa. Odpowiedział, że Stanisław Z. I chociaż zaraz się poprawił, jednak tak się spocił na twarzy, że odkleiła mu się sztuczna broda. W takim razie dokładnie przeszukano jego bagaże. A znaleziono w nich tajne mikrofilmy.

Stanisław Z. siedzi teraz w więzieniu. Nikt nie kwapi się, by mu pomóc. Bank upomina się o zaległe raty.

Nowoczesna restauracja

W chińskiej restauracji zamówiłem zupełną pekińską, wieprzowinę po mandżursku oraz kompot tao. Gdy kelner przyniósł mi zwykłą zupełną pomidorową, zdziwiłem się. A gdy postawił na stole kotlet schabowy panierowany z ziemniakami, poczułem się oszukany. Kompot śliwkowy – z jedną śliwką – wywołał we mnie wściekłość.

Zapytałem kelnera, co to ma wspólnego z kuchnią chińską. Odpowiedział, że jeżeli chcę być postępowym bywalcem nowoczesnej restauracji, nie powinienem zadawać takich pytań. Następnie wręczył mi rachunek – 586 złotych i 50 groszy: 72 za jedzenie, 514. 50 za koncept.

Wstałem i podeszedłem do kasy. Z szuflady, w której przechowywano pieniądze, wyjąłem dokładnie 514 złotych i 50 groszy, ze swojego portfela 72 złote, a potem wszystko wręczyłem kelnerowi.

Wysoki Sądzie, doprawdy nie rozumiem, dlaczego zawieszano policję i w końcu postawiono mnie w stan oskarżenia. Każdy chyba przyzna, że okazałem się postępowym bywalcem nowoczesnej restauracji.

Dziadek

Przechodząc obok tej kamienicy, zapragnął do niej wejść. Kiedyś mieszkali tu jego dziadkowie. I choć od dawna już nie żyli, był przekonany, że dziś, w mieszkaniu na trzecim piętrze, na pewno ich zastanie. Babcia poda mu wielki kawałek placka ze śliwkami, a dziadek pokaże mu swą kolekcję znaczków pocztowych.

Wszedł więc do środka. W sieni wszystko zdawało się takie, jak przed laty. Jednak schody były nowe, lecz skrzypiały jak poprzednie.

Powoli zaszedł na drugie piętro i właśnie kierował się na trzecie, gdy niespodziewanie usłyszał sygnał telefonu. Dzwoniła jego żona.

- Gdzie się włóczysz? – zapytała gniewnie.

- Zuzia i Maciuś już są. Chcę im upiec szarlotkę, ale ty byś musiał wtedy się nimi zająć. Mógłbyś im pokazać swoje modele statków albo zagrać w domino...

- Zaraz będę – powiedział i zbiegł po schodach, tak szybko jak pół wieku temu.

Swaty w Gramatyce

Urodził się w Gramatyce, przy ulicy Rzeźwownikowej i tutaj wyrósł na mężczyznę. Wtedy jego rodzice zawezwali swatkę.

- Mam dla ciebie prześliczną pannę z ulicy Czasownikowej – rzekła przymilnie.

Zwyczaj nakazywał, by mieszkańcy jego części miasta koligali się z tymi z ulicy Czasownikowej, jej bocznic, ewentualnie placu Koniugacji.

- Nie chcę żadnej dziewczyny stamtąd! – oświadczył stanowczo.

- Dlaczego?

Nie potrafił tego wyjaśnić. Miał tylko nieprzepartą chęć trwania w uporze.

Swatka proponowała zatem inną kandydatkę, z Przydawki – jednego z przedmieść.

Młodzi spotkali się, niby pasowali do siebie, ale od razu było wiadomo, że wielka miłość ich nie złączy.

Z inną kandydatką, z placu Deklinacji, pokłócił się zaraz, gdy zaczął z nią rozmawiać.

Niepowodzeniem zakończyły się swaty w

kilku innych domach w tej dzielnicy. Nie chciało w ogóle słyszeć o kimś, kto z niej pochodzi. - Mówiliście, że macie jakąś pannę na Czasownikowej – z pokorą zwrócił się w końcu do swatki.

Swatka uradowała się, że przestał on wydzybiać i natychmiast umówiła go z dziewczyną, którą przeznaczyła dla niego na początku.

Już po tygodniu był ślub.

- Wspaniale dobrane małżeństwo – szeptali ludzie w kościele.

Na ratunek kulawym stołom

Tak jak my, również stoły czasem kuleją. Jeżeli tylko jedna z nóg jest nieco krótsza, stół się chwieje. I jak mamy wtedy jeść zupę albo pisać opowiadanie. Wystarczy jednak pod kulejącą nogę podłożyć kilkakrotnie złożoną gazetę, aby niesprawny sprzęt uzdrowić.

Na ten prosty a genialny pomysł wpadł Istvan Gabor (1850-1927), z ojca Szekler, z matki Szwab Banacki, ale urodzony w Chicago, a ożeniony z Polką z tamtejszego Jackowa. Dzięki tym międzynarodowym powiązaniom jego wynalazek szybko upowszechnił się w całym świecie.

Gabor niewątpliwie ukończył jakieś studia techniczne, bo używał tytułu inżyniera. Nie wiemy jednak, na której uczelni. Lecz jako inżynier, zatrudniony zresztą w fabryce kabli braci Rapaport, nie zrobił wielkiej kariery. Natomiast do swojego wynalazku odnosił się z lekceważeniem, nawet go nie opatentował. Pamiętajmy więc o nim, zwłaszcza gdy będziemy podkładać gazetę pod chwiejącą się nogę stołu.

I jeszcze jedno: słynna aktorka Zsa Zsa Gabor nie była jego krewną.

Ostatni tabor część II

Teresa Paprota

IV W domu Dżjany

Dziś wybrałam się z wizytą do Ireny. To bez znaczenia jak ją nazywam. Zawsze reaguje tak samo. Słucha uważnie, co mam do powiedzenia i czy nie potrzebuję pomocy. Zawsze ma dla mnie czas, a ja bardzo chętnie poświęcam jej swój. Mieszkanie, w którym żyje moja romska przyjaciółka, znajduje się na jednym z miejskich osiedli. Po wielu latach przeprowadzek, ciasnoty, niewygody i remontów nareszcie ma ładne ciepłe mieszkanie. Jest niewielkie. Pokój z aneksem kuchennym, sypialnia i łazienka są jednak bardzo ładnie i wygodnie urządzone. Zanim tu zamieszkała, musiała przeprowadzić generalny remont, ale udało się. Najważniejsze, że ma centralne ogrzewanie. Mówi, że żyje wśród dobrych ludzi, chociaż to nie Cyganie. Jest bardzo zadowolona z tego lokum.

Kiedy dotarłam na miejsce, odnalazłam numer mieszkania i przycisnęłam guzik domofonu, usłyszałam: - Kto jest? – wypowiedziane głos Dżjany.

- Ania - odpowiedziałam pośpiesznie. - Wejdz, bardzo proszę – brzmiał radośnie jej głos.

Kiedy dotarłam na czwarte piętro, zobaczyłam uchylone drzwi, a w nich znajomą postać.

- Zapraszam – powiedziała.

- Czekasz na mnie, jak na księdza chodzącego po kolędzie – zażartowałam.

- Na miłych gości chętnie się czeka – odpowiedziała. Przywitałyśmy się serdecznie. Bardzo lubię spotykać się z nią w jej mieszkaniu. Jego wystrój i zapach są bardzo oryginalne. Podobają mi się meble i dodatki, które świadczą o tym, że mieszkają tu Romowie. Wszędzie jest bardzo czysto. Zarówno w salonie jak i w sypialni jest wiele fotografii, z których uśmiechają się piękne twarze romskich kobiet i mężczyzn. Najwięcej jest jednak fotografii dzieci.

Kiedy usiadłyśmy przy stole, aby napić się herbaty i zjeść ciasto zapytałam:

- Chyba bardzo kochasz swoje dzieci i wnuki?

- Bardzo.

Dżjana rozejrzała się dookoła, spoglądając na zdjęcia swoich bliskich. Czuję, jak patrzę na mnie i wtedy wydaje mi się, że nie są tak daleko. Wiem, że to śmieszne, ale lubię widzieć te fotografie. Dżjana bardzo tęskni za dziećmi i wnukami, które wyjechały do Anglii za chlebem. Mieszkają ze swoimi rodzinami w różnych częściach Wysp Brytyjskich.

- Dawniej było nas tak dużo – westchnęła nalewając herbatę do szklanek. - Ciągłe było gwarno i wesoło. Chociaż i roboty było więcej. A teraz widzisz. Dobrze, że ty przychodzisz, to nie siedzę sama – roześmiała się wesoło, popijając herbatę.

- Nie przesadzaj. Przecież jest Riko i jego rodzina - odpowiedziałam. - Odwiedzają cię bardzo często. Jego przybrani synowie traktują cię jak babcię...

- Tak, tak – Dżjana przerwała mi szybko. - Oczywiście nie narzekam. Bardzo lubię moją synową i jej chłopaków z pierwszego małżeństwa. Jafranka jest moją rodzoną wnuczką, ale kocham ich tak samo. Bo dzieci to największy skarb świata. W czasach taborów to było normalne, że cygańska rodzina składała się z dziesięciorga lub nawet więcej dzieci. Rzadko zdarzało się, żeby Cyganie mieli tylko trójkę lub czwórkę latorośli. Dziś to już się trochę się zmieniło. Cyganie bardzo pilnują swoich pociech. Nie chcą, by stała im się jakaś krzywda. Tradycją jest, że romskie dziewczęta biorą ślub młodo. Rodzice obawiają się, że mogą zostać porwane. Dziś porwania nie są już tak częste. Słyszysz o nich coraz rzadziej. Zdarza się, że zakochana para się umówi, wyjedzie z miasta i wraca, jako małżeństwo, ale to już nie jest porwanie. W społeczności romskiej można coraz częściej spotkać małżeństwa mieszane. Choć są akceptowane przez Romów, to ja jednak uważam, że żyje się jakby pośród-

ku – zauważyła Dżjana. - Trudno stwierdzić, czy dzieci z takiego związku czują się bardziej Romami czy Polakami. Wiem coś o tym. Mówiłam ci przecież, że mój drugi mąż był Polakiem. To bywa trudne. Mimo tego, że mieszkamy teraz, jak sami mówimy: na betonie, w dalszym ciągu staramy się kultywować tradycje. Nadal śpiewamy, opowiadamy historie swoich rodów. Teraz nie w taborze, a we własnych czterech ścianach, które tylko wystrojem różnią się od mieszkań Polaków.

- To bardzo ciekawe – odpowiedziałam, paląc kolejny kawałek ciasta, jakim mnie poczęstowała, a które bardzo mi smakowało. - Popij herbatą, bo się udusisz – roześmiała się, uzupełniając moją szklankę.

- Dziękuję bardzo – odpowiedziałam, pośpiesznie wykonując jej prośbę w obawie, żeby nie przerwała opowieści.

- Nie przerywaj, opowiadaj dalej – poprosiłam. Dżjana uśmiechnęła się zamyślona i opowiadała dalej:

- Przez te wszystkie lata wiele zmieniło się w kulturze cygańskiej. W zapomnienie poszła instytucja króla cygańskiego, który był głową mniejszości na cały kraj. Dziś jest za to sędzia cygański. To on rozstrzyga ważne dla Romów sprawy. Władzę na dole sprawuje natomiast najstarszy spośród Cyganów w danym mieście.

Cyganie też inaczej niż dawniej zarabiają na życie. Przeważnie trudnią się handlem. Tyle, że już nie końmi żywymi, a mechanicznymi. Handlują też złotem, kosmetykami. Cyganów coraz częściej można zobaczyć w wielu innych zawodach. Są nauczycielami, dziennikarzami. W Polsce są już nawet osoby duchowne pochodzenia romskiego. Cyganie to naród bardzo religijny.

Wiesz, że przez tyle lat życia nie spotkałam nigdy Roma ateisty. Cyganie mają już nawet świętego. To hiszpański Rom, Zefiryn Gimenez Malla. Wyniesienie go na ołtarze przyjęliśmy z wielką radością. Kiedy zamilkła, jeszcze raz rozejrzałam się po jej saloniku i pomyślałam, jak tu jest kolorowo i radośnie. Zupełnie inaczej niż w naszych polskich mieszkaniach. Niektórych rzeczy wydawało mi się za dużo.

Na przykład ozdób w kolorze złota. Romowie kochają ten kolor. Lubią jak w ich mieszkaniu jest kolorowo, złościście i błyszcząco.

Po chwili zapytałam Irenę krzątającą się w aneksie kuchennym:

- Jak wspominasz swój dom? Przecież tak naprawdę to dom, czyli mieszkanie mieliście dopiero w Chodzewie, po zmuszeniu was przez polski rząd do osiedlenia się na stałe.

Irena wróciła do mnie i siadając do stolika, powiedziała:

- Tak namacalnie jako budynek, to ten dom rzeczywiście był w Chodzewie. Boże! Co to był za dom! Zebrali tam nas, wszystkich Romów. Zabrali konie i kazali zamieszkać w barakach pod miastem. Było to ogrodzone pole, na którym postawiono drewniane stajenki dla naszych rodzin. Porządniejsze były nawet skromne mieszkania, które wynajmowaliśmy na zimę od gospodarzy jeszcze w czasie istnienia taborów. Wędrowaliśmy od wiosny do jesieni. Zimą trzeba było się zatrzymać dla dobra ludzi i zwierząt. Oczywiście w trakcie wędrowki trzeba było zarobić na zapłatę gospodarzowi za to, że pozwolił nam mieszkać u siebie. Pamiętam pierwsze wynajęte mieszkanie. Ojciec zaprowadził konia do stajni gospodarza. Stamtąd zabraliśmy słomę. Zanieśliśmy ją do skromnej, ale czystej izby. Wnieśliśmy też cały swój dobytek. Były tam: nasze ubrania, pościel do spania i naczynia. Nie mieliśmy przecież w taborze mebli. Tata wziął siekierę, zawołał Dżjana! Aza! Bojko! I poszliśmy do pobliskiego lasu. Tam ojciec wyciął materiał potrzebny do zrobienia dla naszej rodziny mebli. Pamiętam, jakie były piękne.

- Przepraszam cię bardzo – roześmiała się i zarazem zawstydyła, że nie powinnam. Po chwili zapytałam jednak: - Jak mogą być piękne meble, które są zbite z kilku nieociosanych drzewek? Trochę zdenerwowana odpowiedziała:

- Nie śmiej się! Dla mnie naprawdę były to najpiękniejsze meble. A w ogóle to były pierwsze meble, jakie widziałam.

- Naprawdę? – zdziwiłam się. - A rozumiem. Przecież w obozowiskach ziemia przykryta

materiałem służyła wam za krzesła, łózka, stoły. Dżjana spojrzała na mnie z jakimś wyrzutem i kontynuowała.

- Obozowisko było dla nas miejscem przeznaczonym do czasowego zamieszkania. Czuliśmy się w nim bezpiecznie i zajmowaliśmy się swoimi codziennymi obowiązkami. Była to również albo przede wszystkim, przerwa w podróży. Kobiety wykorzystywały ten czas głównie na zdobywanie żywności i przygotowywanie posiłków. Dużo czasu i pracy poświęciliśmy zbieraniu suchego drewna, bez którego nie można byłoby ugotować jedzenia, podgrzać wody do prania oraz ogrzać swojej rodziny w chłodne dni. Nasze matki wreszcie mogły więcej czasu poświęcić swoim ukochanym dzieciom.

Często na obozowiska wybierali miejsca wyjątkowo urokliwe. Pamiętam ich bardzo wiele. Były to piękne polany leśne z dostępem do wody z jeziora lub strumienia. Czasem były to zarośla rzeczne w pobliżu wiosek lub miast. W obozowisku rozstawiano: wozy, namioty i szałas. Z ognisk i różnego typu kuchni unosił się dym, którego zapach czuję do dziś. Nasze namioty miały różne kształty. Od prymitywnych wykonanych z trzech kijów przykrytych kawałkiem tkaniny, do dużych o dwóch pomieszczeniach krytych płócienną płachtą. W namiocie rozkładano wełniane dery, kołdry, a w pobliżu wejścia w dołku rozpalano ogień. Kiedy Romowie wędrowali przez cały rok, podczas zimy, w miejscu, gdzie miał być rozstawiony namiot, rozpalali wielkie ognisko, żeby ziemia się rozgrzała. Po jego wygaśnięciu, na to miejsce kładli słomę lub siano. Dopiero na tym stawiali swoje namioty lub szałas. Jestem dumna z tego, jak Romowie potrafią sobie radzić w skrajnych i prymitywnych warunkach. Taki postój na rozpalenie ogniska i przygotowanie gorącego posiłku, był okazją do rozmowy, czasem żartów lub zabawy. Każda chwila zbliżającego się postoju, nastrajała mnie dość radośnie. Zbliżał się czas dobrych gorących posiłków i wesołej zabawy z rodzeństwem. Spojrzała w okno i przestała mówić, a jej wzrok powędrował gdzieś daleko. Nie wiem, gdzie była myśla-

mi. Siedziałam obok nie odzywając się. Nie chciałam przerywać ciszy, bo wydawało mi się, że Dżjana wróciła do lat młodości. Na jej twarzy malował się spokój i radość. Bardzo łatwo przyłączyłam się do niej myślami. Widziałam płonące ogniska, tańczące kobiety i dzieci biegające dookoła. Siedzieliśmy tak patrząc przez okno, gdzie wędrował nasz wspólny tabor.

V Spacer po mieście

Nasze dzisiejsze spotkanie miało wyjątkowo sentymentalny charakter. Poprosiłam Dżjanę, abyśmy odwiedziły miejsca w naszym mieście, które są dla niej szczególnie lub wiążą się z jej wspomnieniami. Zgodziła się bardzo chętnie, a nawet zażartowała.

– Tylko wozów nam brak. Ciągłe gdzieś wędrujemy i wędrujemy. Nie nudzi cię to siostrzyczko?

- Nie, siostrzyczko – odpowiedziałam.

Byłam szczęśliwa, że mnie tak nazwała. Bardzo bym chciała mieć taką siostrę.

- Pierwszą ulicą, na którą się przejdziemy, będzie ulica Tuwima – powiedziała Dżjana tajemniczo.

- Czemu właśnie tam? – zapytałam z zaciekawieniem.

- Tam zamieszkałam w domu teściowej z moim pierwszym mężem Franciszkiem. Romowie nazywali go Tonio. Wiesz, myślę, że Riko dał córce na imię Jafranka, aby uczcić pamięć ojca. Takie to nasze dziwne imiona i zasady. Uśmiechnęła się do mnie i ruszyliśmy różnym krokiem. Kiedy stanęłyśmy naprzeciw starej dwupiętrowej kamienicy, Irena pokazała mi drzwi, prowadzące do sułtereny.

– Tu mieszkała moja teściowa z rodziną – powiedziała i jakoś posmutniała. – Nad nami mieszkały polskie rodziny. Było skromnie i ciasno, ale czysto i rodzinnie.

Kiedy moja najstarsza córka Mała chodziła już do szkoły, często zabierałam ją i młodszego syna Riko nad rzekę. Rozkładałam koce, rozpalalam ognisko i miałam zamiastkę życia w taborze. Przy okazji dzieci miały spokój i mogły się uczyć. Oczywiście znowu

napełniły się radością. Wesoło zawołała:

– Chodźmy tam, pokażę ci to miejsce. I niczym młoda dziewczyna zbiegła uliczką prowadzącą do mostku na rzece. Jakby jej się spieszyło do wspomnień, które były dla niej chyba bardzo miłe i chciała się nimi, jak najszybciej podzielić ze mną. Kiedy ją dogoniłam, stała nad brzegiem rzeczki, przepływającej przez nasze miasto i zamyślona patrzyła w jej zanieczyszczony nurt. Stanęłam obok niej i delikatnie dotknęłam jej ramienia. Kiedy drgnęła i spojrzała na mnie zapytałam:

- Zmieniło się tu, co?

- Nie za bardzo – odpowiedziała rozglądając się dokoła. – Tylko śmieci w rzece przybyło. Dawniej też brzeg był porośnięty trawą, ale rzeka była czystsza i szersza. Nawet ryby w niej były. Tonio często je łowił. Były bardzo smaczne. Może nie było tych pięknych alejek, jakie teraz zrobili, ale było za to dużo ogródków działkowych, w których ludzie uprawiali swoje warzywa. Potrafiłam nad rzeką spędzić z dziećmi cały dzień. Przychodzili tu też moi znajomi i rodzina. Do domu teściowej wracałam dopiero na noc. Było to możliwe oczywiście tylko latem. Kiedy moje kolejne dzieci: córka Stanka i drugi syn Nino podrośli i też poszli do szkoły, brakowało miejsca w mieszkaniu teściowej, gdzie mogliby się uczyć. Musiałam wystarać się dla swojej rodziny o lepsze warunki życia. Na męża nie mogłam za bardzo liczyć. Był dobrym ojcem, ale bardziej niż pracę kochał muzykę i gitarę. Po wielu moich wizytach i prośbach w urzędach, przydzielono nam mieszkanie przy ulicy Duńskiej. Było w starym budownictwie. Miejsca tam było co prawda dość, ale dokuczały nam szczury, z którymi prowadziliśmy wieczną wojnę.

- To niedaleko stąd, ale już dalej od rzeki i twojego letniego obozowiska – powiedziałam. Dżjana szła teraz powoli i mówiła też bardzo wolno.

– Nasze życie się zmieniło- i na lepsze i na gorsze. Lepsze chwile to te, kiedy moje dzieci rosły, mądrzały i piękniały, a tych gorszych chwil nie warto wspominać. Powiem tylko, że mój mąż Tonio prawie nie uczestniczył w naszym życiu rodzinnym. Miał bardzo dużo

kolegów i koleżanek zarówno wśród Romów jak i Polaków. Lubili jego towarzystwo i muzykę. Był więc zapraszany na wiele imprez przez nich organizowanych. Do domu też ciągle kogoś zapraszał. Przy alkoholu, zabawie i muzyce na pewno mile mu płynął czas. Nie zmieniło się to nawet, kiedy przeprowadziliśmy się do bloku. Nasze nowe mieszkanie, w porównaniu z tym zaszczurczonym w baraku, wydawało mi się pałacem. Jednak koszt jego utrzymania był duży. To na mnie spoczywała cała opieka nad domem i dziećmi. Ja musiałam zdobywać środki na ich utrzymanie. Różnie z tym bywało. Wrócenie i handel nie zapewniały w pełni pieniędzy na życie. Nie było też czasu na naukę czytania i pisanie. Dlatego do dziś jestem analfabetką. Dzieci wymagały opieki i godnego życia. Aby im to zapewnić, gotowa byłam na wszystko. Nawet na kradzież. Poniosłam za to surową karę. Na wiele miesięcy rozdzielono mnie z moimi ukochanymi dziećmi. Pobyt w więzieniu przepłaciłam chorobą i rozstaniem z mężem. Nie dbał o rodzinę w czasie mojej nieobecności. Dalej żył swoim życiem, bawił się z kolegami. Nie umiałam mu tego wybaczyć. Straciliśmy mieszkanie. On wrócił do swojej matki. Mnie z dziećmi przyciągnął Kordian. Miał małe mieszkanie, w którym go często nie było, bo wyjeżdżał do pracy za granicę. Dzięki temu znalazłam dom i schronienie dla siebie i dzieci. Z czasem za dobroć i troskę o nas, pokochałam Kordiana. Kiedy mój pierwszy mąż, Tonio zmarł, wzięłam z nim ślub, za zgodą swoich dzieci.

- A jak to było z twoim ślubem z Tonio? – zapytałam i po chwili dodałam: – Jeśli nie chcesz, to nie opowiadaj, bo może to przykre dla ciebie.

-Trochę zmęczył mnie ten spacer. Możemy, gdzieś przysiąść? – Irena wyraźnie zmieniła temat. Poszliśmy w kierunku miejsca, gdzie stały ławki i usiadłyśmy na jednej z nich.

- Popatrz tu byłby raj dla taboru. Dżjana rozmarzyła się, wskazując na duży staw i trawniki wokół niego. - Tu pięknie można by pokazać ślub i wesele cygańskie.

- Może kiedyś ktoś to zrobi – odpowiedziałam.

- Wątpię – szepnęła Dżjana. – Ale możemy pomarzyć i wyobrazić sobie, jakby to było. Lekko przechyliła głowę i przymknęła powieki. Zrobiłam to samo i powiedziałam:

- To wyobraźmy sobie, że ty i twój Tonio bierzecie tu ślub. Jakby to wyglądało, opowiedz. Irena spokojnym głosem rozpoczęła opowiadanie.

- Wśród polskich Cyganów jest przestrzegana zasada posiadania jednej żony. Przechowujemy jeszcze w pamięci czasy, kiedy wielożeństwo było dopuszczalne i zdarzało się niejednokrotnie. Wierność małżeńska kobiety jest bardzo surowo przestrzegana. Bywało, że kiedy mąż schwytał na zdradzie, czy na ucieczce z kochankiem zamężną Cygankę, piętnował ją, pozostawiając jej znak aż do śmierci. Cyganie nie mieli zwyczaju chodzić na randki. Przyszły mąż wraz z przyjaciółmi często zarzucał Cygance chustę na głowę i prowadził oblubienicę do siebie albo uciekał z nią gdzieś, gdzie mogli skosztować swoje małżeństwo. Tak było ze mną i z Tonio. Spotkałam go na targu końmi, gdzie pojechałam z ojcem. Długo chodził wokół naszego wozu i przyglądał mi się. Po jakimś czasie odszedł i wrócił z gitarą. Pięknie śpiewał i grał patrząc mi w oczy. Widziałam, jak rozmawiał z ojcem. Kiedy wracaliśmy do Chodzewa, tata powiedział mi, że Tonio chciał, aby mój ojciec spotkał się z jego matką, żeby mógł mnie kupić. Kupowanie żony to stary cygański obyczaj. Nie było to prostą transakcją handlową, ale wymagało wielu zwyczajowych kroków wstępnych i obrzędowych ceremonii. Najpierw odbywały się zaręczyny, a właściwie próba zaręczyn, której pomyślny czy niepomyślny rezultat nie był nigdy wiadomy z góry. Kiedy młodzi druzbowie wprowadzali dziewczynę do domu lub namiotu męża, polewali ją wodą. Panna młoda zwana była wówczas: owca. To miało, przysługujące pannie młodej przed połączeniem się z mężem, nie jest obraźliwe, lecz zaszczytne. Po nocy, nazajutrz, nazywa się ją już: synowa, i na znak porzucenia stanu pannieńskiego wiąże ona sobie na głowie jak naj-

jaskrawszą, najczęściej czerwoną chustkę. Jeśli małżeństwo dochowało się dzieci, następowało przekazanie im nazwiska ojca... Otworzyłam szeroko oczy i zawołałam:

– Co to miało być?! Miałas opowiedzieć o pięknym weselu cygańskim, a wyjaśniłaś wszystko jak nauczyciel w szkole. Powiedz chociaż, czy Tonio cię kupił?

Dżjana spojrzała na mnie i zaśmiała się głośno i radośnie.

- Opowiedziałam, jak chciałam. Taka jest moja romska natura. Na moje kolorowe opowieści o taborze trzeba czekać z cierpliwością. Musi być odpowiedni nastrój i natchnienie. Ja byłam zawsze gotowa czekać wytrwale. Kiedy przestała się śmiać powiedziała:

-Kupił, kupił. Przyjechał z matką do baraków, do Chodzewa. Mój ojciec i mama Tonio zasiedli przy stole, gdzie przygotowałam z moją mamą poczęstunek. Tonio został przed barakiem i grał na gitarze. Mnie rodzice nie pozwolili wyjść do niego. Całe moje rodzeństwo i wielu sąsiadów śpiewało z nim na zewnątrz, a ja siedziałam w kacie pokoju smutna, pilnowana przez mamę. Tonio bardzo mi się podobał i chętnie bym zatańczyła dla niego. O tak! Dżjana nagle wstała z ławki i zaczęła tańczyć, przyśpiewując sobie po romsku. Ja siedziałam, podziwiałam ją i rytmicznie przyklaskiwałam.

- Pięknie – powiedziałam, gdy znowu usiadła obok mnie. - I co, i co... dogadali się? – pytałam z ciekawością.

- Nieważne było dla mnie, czy się dogadali. Od młodych lat byłam uparta i chadzałam swoimi drogami. Kiedy moja mama przysiadła się do stołu, wybiegłam z baraku. Tonio jak mnie zobaczył, chwycił za rękę i nie oglądając się, biegliśmy przed siebie. Zatrzymaliśmy się dopiero za miastem. - Co teraz zrobimy? - zapytałam przysiadając na przydrożnym kamieniu. - Nic – odpowiedział. Chwycił mnie za głowę i mocno pocałował. – Teraz będziesz moją żoną. Tak, jak powiedział, tak się stało. Było lato. Dwa dni spędziliśmy w pobliskim lesie nad jeziorem. Tam Tonio zbudował szałas, w którym

nocowaliśmy. Było romantycznie i pięknie. Mój mąż miał oczywiście ze sobą gitarę i śpiewał mi piękne pieśni miłosne przy ognisku. Byłam młoda, zakochana i szczęśliwa. Po dwóch dniach pojechaliśmy autobusem do jego rodzinnego domu. Kiedy weszliśmy Tonio powiedział do matki i wszystkich, którzy byli w mieszkaniu: To jest Irena, po naszymu Dżjana, moja żona. Wszyscy podchodzili do mnie, całowali i gratulowali. Nie znałam tych ludzi, ale byłam bardzo dumna i zadowolona. Potem klękaliśmy przed jego matką, która nas pobłogosławiła i zawiązała na mojej głowie piękną jaskrawą chustkę przetykaną złotą nitką. Nosiłam tę chustkę aż do śmierci Tonio. Miałam ją ze sobą zawsze i wszędzie. Mam ją schowaną w domu. Jest cieniutka i sprana. Pokażę ci ją kiedyś. Nasze wesele było w Chodzewie, na polanie nie daleko baraków zamieszkałych przez Romów. Moi rodzice zrobili bogaty poczęstunek. Znajomi muzycy grali przez dwa dni. A mój Tonio razem z nimi. Tańcom i śpiewom nie było końca.

- Czy pamiętasz przeżycia związane z przyjściem na świat twoich dzieci? - zapytałam nieśmiało. Ona jednak bez skrępowania uśmiechnęła się i zawołała radośnie:

- Oczywiście, że tak. Każde przyjście na świat mojego skarbu, miało swoją historię. Każda z nich była dla mnie wyjątkowym i bardzo szczęśliwym przeżyciem, bo owocowała kolejnym kochanym dzieckiem.

- Opowiesz mi o tym? Poprosiłam, patrząc w jej ciemne oczy.

- No, jeśli chcesz słuchać opowieści o pięciu porodach, to bardzo proszę.

- Pięciu? - zdziwiłam się. – Przecież masz sześcioro dzieci.

- Zgadza się - uśmiechnęła się tajemniczo.

- Ostatnia ciąża była bardzo trudna, ale za to dała podwójną radość. Urodziłam dwie dziewczynki! Bliźniaczki bardzo piękne i bardzo do siebie podobne.

- Wiem, że twoim pierwszym dzieckiem jest Mała, to jej romskie imię, a jakie imię daliście jej na chrzcie w kościele?

- Julia. Kiedyś ktoś mi czytał, że Julia zakochała się w Romeo i z miłości umarła. Zapamię-

tałam to i tak ochrzciłam swoją córkę. Jako romska dziewczynka w wieku 13 lat przeżyła złą przygodę, a ja razem z nią. Pamiętasz, jak ci opowiadałam o Tonio? Jaki był? Czasami dawał mi wiele miłości, ale niekiedy przysparzał też wiele bólu i cierpienia. Sprzedał Małą, na żonę, znajomemu Cyganowi Bojko. Człowiek ten był bardzo bogaty, ale stary.

Nie było mnie wtedy w domu, a kiedy wróciłam, Tonio spał pijany, a Mali nigdzie nie było. Na stole leżała sakiewka z pieniędzmi i mnóstwo butelek po wódce i piwie. Myślałam, że córka poszła do koleżanek. Kiedy jednak nie wróciła na noc, obudziłam Tonio i zmusiłam do wyznania okrutnej prawdy. Zabrałam sakiewkę z pieniędzmi, zostawiłam śpiącego męża i zrozpaczona ruszyłam do domu Bojko. Już świtało, kiedy zobaczyłam, że biegnie za mną mój syn Riko. Miał wtedy 12 lat. Poczekaliśmy na niego.

- Mamo nie puszczę cię samej. Musisz mieć opiekuna, żeby cię nieszczęście nie spotkało w drodze – powiedział łapiąc mnie wpół. Przytuliłam go i powiedziałam:

– Chodź ty mój obrońco. Obym zawsze mogła na ciebie liczyć, a ty na mnie i oby nam się udało uratować twoją siostrę. Kiedy dotarliśmy do Bojko, z trudnością weszłam do jego domu. Nie chciał ze mną rozmawiać. Powiedział, że zapłacił, ile Tonio chciał, i teraz Mała jest jego żoną. Prosiłam, żeby pozwolił mi z nią porozmawiać. Nie chciał się zgodzić. Tłumaczyłam, że to jeszcze dziecko, że za wcześniej, żeby została żoną. Płakałam, że mąż nie zdążył wydać zapłaty za nią i przywiozłam ją, aby oddać. Odwrócił się i nie chciał mnie słuchać. W pewnej chwili do domu wbiegł Riko głośno krzycząc:

– Mama! Mama! Znalazłem Małą! Siedzi u góry, wysoko na stryszku, nad stajnią i boi się zejść. Pobiegłam szybko za synem. Rzeczywiście Mała siedziała tam i przerażona wyglądała przez małe strychowe drzwiczki. - Zejdź córchno do matki, porozmawiamy – powiedziałam płacząc.

- Nie zejdę! Umrę tu z głodu i pragnienia, a nie zejdę! I nie będę jego żoną! - wołała moja córka, szlochając.

- To znaczy, że jak cię Bojko przywiózł, to uciekłaś na ten stryszek i cały czas tam siedzisz?
 - zapytałam Melę. - Tak mam. Dzień, noc i dzień – Mela płakała i nie mogłam jej zrozumieć. Wiedziałam jednak, że nie stała się jego żoną. Umowa Bojko i Tonio nie wypełniła się. Kazałam jej opuścić drabinę, którą wciągnęła ze sobą, żeby stary Bojko się do niej nie dostał. Zeszła po niej prosto w moje ramiona. Riko przez cały czas mojej rozmowy z córką biegał wokół Bojko i go złościł, unikając uderzeń pięknej zdobionej laski, którą stary się podpierał. Rzuciłam, pod nogi Bojko, woreczek z pieniędzmi, którymi zapłacił za żonę. I trzymając mocno syna i córkę za rękę, wybiegłam na drogę. Nie wiedziałam, co mnie spotka w domu. Nie wiedziałam, co mnie spotka od Romów za zerwanie tej umowy. Musiałam jednak wrócić, bo zostawiłam tam moje pozostałe dzieci. Stanka miała 10 lat, Nino mój drugi syn 9, a bliźniaczki Lala i Motyl po 5.

- Jak powiedziałaś!? Lala i Motyl!? - zawołałam ze zdziwieniem.

- Tak mają na imię moje najmłodsze córki.

- Irena! – zawołałam tak głośno, że aż sama przestraszyłam się swojego głosu. – Przecież to ja odprowadziłam twoje córeczki, kiedy zgubiły się nad jeziorem. W podziękowaniu ugościliście mnie- ty i twoi Romowie przy ognisku. Nigdy nie zapomniałam spotkania z wami.

- Ja też go nigdy nie zapomnę. Mam na myśli spotkanie Romów wtedy nad jeziorem. Tam radzili, co ze mną dalej zrobić. Złamałam przecież zasady. Nie pozwoliłam wypełnić umowy, którą mąż zawarł z Bojko. Nie dałam córki Cyganowi, który kupił ją sobie za żonę. Kiedy Starszyzna wysłuchiwała skargi Bojko, chciała wysłuchać jeszcze, co ma do powiedzenia mój mąż Tonio. Nie dane mi było jednak usłyszeć, co powiedział. Do ogniska, przy którym obradowano, przybiegła czwórka moich dzieci. Mała, Riko, Stenka i Nino obejmowali mnie i płakali, że Lala i Motyl utopiły się. Teraz już wiesz, że to nie była prawda. Bliźniaczki odeszły daleko od obozowiska. Nie umiały znaleźć drogi powrotnej, a starsze rodzeństwo nie umiało ich odszukać. Ciąg

dalszy znasz. Popatrz siostrzyczko, jaki ten świat mały – powiedziała radośnie Irena. Los postawił nas na drodze życia już kolejny raz. Jak to dobrze, że nie przegapiliśmy tego i ciągniemy to dalej. Powiem ci jeszcze, że moja przyjaciółka Aza, Romka, która przysłuchiwała się obradom Starszyny powiedziała mi, co mówił Tonio. To dzięki jego wyjaśnieniom nie poniosłam żadnej kary za zerwanie umowy z Bojko. Powiedział, że był wtedy bardzo pijany. Bojko pewnie specjalnie go upił. I on nie pamięta żadnej umowy. A jego żona tak bardzo kocha swoje dzieci, że nie liczy się z niczym. Nawet teraz opuściła bez słowa Starszynę, bo jej dzieciom coś grozi. Nie dziwił się, że jak nie mogłam znaleźć córki, to szukałam jej u Bojko. Jego ostatniego widziałam w naszym domu. Bojko odzyskał wszystkie pieniądze, jakie zostawił u nas, więc nie powinien się skarżyć. To było pokazanie jego miłości do mnie i dzieci. Skalał się, aby mnie ratować. Okłamał swoich współbraci Romów. Ale o tym wiedziałam jedynie ja. Nigdy w życiu nikomu o tym nie powiedziałam. Teraz, kiedy świat Cyganów się zmienił, mogę to wyznać. Cieszę się, że mogłam to powiedzieć tobie Aniu. Dziwiło mnie, że jak wróciłam z dziećmi i z tobą do obozowiska, to nikt mnie o nic nie pytał. Wszyscy się cieszyli, że odnalazłaś bliźniaczki całe i zdrowe. Byli ci bardzo wdzięczni i cię ugościli. Wszyscy zapomnieli o mojej sprawie. Tylko Bojko siedział sam na kamieniu i wrogo patrzył na tańczącą radośnie moją rodzinę.

Wstałyśmy z ławki i bez słowa obeszyliśmy dookoła pobliski staw, patrząc na taflę wody. Zarówno ja jak i Irena wspominałyśmy swoje młode lata i miłość, która nas spotkała. Bo miłość jest bardzo ważna w życiu człowieka, tylko nie zawsze jest szczęśliwa.

VI Spacer do lasu

Coraz bardziej podobały mi się nasze sobotnie spacer. Z niecierpliwością czekałam końca tygodnia, ciekawa, gdzie tym razem zabierze mnie Dżjana. Co będzie wspominać? O czym będziemy rozmawiały? Cza-

mi towarzyszyła nam Jafranka. Kiedy wędrowaliśmy dalej, zabieraliśmy ze sobą jedzenie i wózek. Zmęczone bieganiem dziecko, wsadzaliśmy do wózka, a mała po zaspokojeniu głodu, zasypiała. Dziś wybrałyśmy się do lasu. To dosyć daleko za miastem. Jafranka biegała za każdym owadem, który pojawił się na jej drodze. Interesowała ją każda gałązka, szyszka lub kwiatek. Wreszcie zmęczona poprosiła: Babciu, chcę do wózek. Zatrzymałyśmy się więc i Dżjana posadziła dziewczynkę. Podała jej kawałek chleba i kiełbasy. Mała zaczęła apetycznie jeść. Po chwili ruszyłyśmy dalej. Dziewczynka szybko zasnęła. Popatrzyłam na nią, na jej śniadą cerę i czarne włoski, które lśniły w słońcu. Bezpieczna, nakarmiona przez babcię, spała błogo. Zastanawiałam się, czy dzieci w taborze też czuły się tak dobrze i bezpiecznie. Zapytałam o to, Dżjanę, która odpowiedziała tylko:

- Pamiętam dziadka Tobara, który świetnie służył swojej wnuczce Simonie za wierzchowca. Młody Marko często dźwigał na rękach swojego bratanka, a szczęśliwy Emilian nosił na rękach swoją siostrzenicę Donkę. Ja też bardzo kochałam i dbałam o dzieci w naszym taborze.

Szłyśmy wolno, bo trudno prowadzi się wózek po leśnych bezdrożach. Czasami obie go z wysiłkiem pchałyśmy do przodu. Zapytałam znowu:

- Nie miałaś żalu o to, że mając wiele obowiązków, musisz jeszcze opiekować się młodszymi od siebie? W oczach Dżjany pojawiło się zdziwienie.

- Nie, czemu? Największą naszą wartością była i jest rodzina. Obejmuje bliskich i dalszych krewnych. Rodzina musi chronić i wspierać swoich członków, nie tylko ekonomicznie, ale też psychicznie. Dawać poczucie tożsamości i przynależności. Bez rodziny Cygan jest nikim. Najboleśniejszym doświadczeniem dla Roma jest wygnanie lub wyrzucenie z klanu. Życie w izolacji to najgorsza kara. Wiesz... Bardzo ważną rolę w życiu romskiej rodziny pełnią kobiety. Ludzie myślą, że kobieta u nas spełnia tylko rolę służącej, a Romowie odmawiają swoim kobietom prawa

do godności. W rzeczywistości wiele romni (bo tak się mówi po romsku na kobiety) zajmuje godne miejsce w środowisku. Wygłaszane przez nie opinie w ważnych sprawach rodziny, bardzo się liczą. Kiedy Cyganka jest młoda, najważniejsze jest dla niej rodzenie i wychowywanie dzieci. Czuje się potrzebna i wartościowa, wydając na świat kolejne swoje pociechy i wychowując je. Bardzo zależy jej, żeby nie chorowały i nie były głodne. Gotowa jest zrobić dla nich wszystko. Kiedy dorosną, jest dumna ze swoich córek, które są piękne i obdarzają ją wnukami. Jest dumna ze swoich synów, którym szuka pięknych i dobrych żon. Jeśli syn sam znajdzie ukochaną, matka z radością ją przyjmuje jak córkę. Jak mówiłam ci wcześniej, pojawiające się w rodzinach dzieci, to wielka radość i święto dla wszystkich jej członków. Dzieci romskie otaczane są wielką miłością. Nigdzie nie ma bardziej rozpuszczonych dzieci niż romskie. Pojęcie bezstresowego wychowania istniało w romskiej rodzinie od zawsze. Nie jest to w naszej kulturze, pomysł wzięty od współczesnych pedagogów. Popatrz Jafranka też jest tak wychowywana. Riko pozwala swojej córeczce na wszystko. Jakby miał możliwości, to spełniłby każde jej życzenie. Dżjana roześmiała się swoim pięknym uśmiechem, który zdobił jej ładną, choć zmęczoną twarz. Pomimo upływu lat, pozostał ślad jej dawnej urody, którą budziła zachwyt jako młoda, pięknie śpiewająca Cyganka.

- Może odpoczniemy na tej polanie? - poprosiła Dżjana, siadając w słońcu na trawie. Odprowadziłam wózek ze śpiącą Jafranką w cień, a sama usiadłam przy Irenie.

- Znasz ten wiersz Papuszy? – zapytała i pięknie wyrecytowała:

W lesie wyrosłam jak złoty krzak,
 w cygańskim namiocie zrodzona,
 do borowika podobna.
 Jak własne serce kocham ogień.
 Wiatry wielkie i małe
 wykołysały Cyganeczkę
 i w świat pognały daleko...
 Deszcze łzy mi obmywały,
 Słońce, mój ojciec cygański złoty,

ogrzewało mnie
i pięknie opaliło mi serce¹.

- To wiersz jest też o mnie – powiedziała, wystawiając twarz do słońca. Zamknęłam oczy i poczułam ciepło promieni słonecznych. Las śpiewał swoją piosenkę. Było mi bardzo przyjemnie. Zapytałam Irenę:

- Pamiętasz, w czasie naszych wędrówek po przeszłości obiecałaś opowiedzieć mi o kodeksie cygańskich zakazów. Możesz to zrobić teraz? Irena podniosła patyk leżący przy niej i powiedziała:

- Aniu, chociaż cię bardzo kocham i szanuję, nie jesteś Cyganką. Przykro mi, powiem ci tylko tyle, ile mogę. Ten kodeks obowiązuje większość Cyganów w Polsce. Nieprzestrzeganie zakazów powoduje skalenie. Zasada skaleń opiera się na podziale świata cygańskiego na sfery czyste i nieczyste. Nieczyste są pewne części ciała, ale może nim być także osoba łamiąca zasady romanipen. Jeśli chodzi o ciało, to granicą nieczystości jest z jednej strony linia pozioma, rozdzielająca je na połowę górną czystą i dolną nieczystą. Z drugiej zaś strony powierzchnia ciała, wewnątrz czyste od części z wnętrza wydalonych. Nieczystość ciała dotyczy zwłaszcza kobiet, ale obejmuje wyłącznie kobiety, które mogą rodzić. Nieczyste jest ciało od pasa w dół oraz wszystko to, co z tym ciałem bezpośrednio się styka, a więc bielizna i obuwie. Dotykanie kobiecego ciała poniżej pasa, ponad potrzebę niezbędną dla rozmnażania się, może spowodować nieczystość mężczyzny. Także dotykanie jej bielizny lub pantofli. Kalającej bielizny damskiej, nie należy prać z ubraniem męskim. Kobieta nie powinna znajdować się ponad mężczyzną, bo sytuacja taka też jest kalająca. Przestrzegający tradycji Cyganie dbają, by mieszkać na najwyższym piętrze, by nie mieć nad sobą kobiet. Kodeks zakazów dotyczy także zachowań między Cyganami i światem nie cygańskim. Kontakt z niektórymi gadźami (obcymi, nie-Romami) jest za-

kazany. To przede wszystkim ludzie, którzy trudnią się nieczystymi zajęciami, a więc hycle, rzeźnicy, czy pracujący przy śmieciach lub zwłokach. Z tej samej przyczyny nie jest wskazane dla Cyganów, wykonywanie tych zawodów.

Kiedy wysłuchałam tego, co powiedziała, pomyślałam, że bardzo dziwny i trudny jest świat Romów. Nic jednak nie powiedziałam. Przecież Dżjana miała zupełnie inne zdanie na ten temat. Żeby miło zakończyć spacer po lesie, wyrecytowałam kolejny wiersz Papuszy.

Lesie, ojczy mój,
czarny ojczy,
ty mnie wychowałeś,
ty mnie porzuciłeś.
Liście twoje drżą
i ja drzę jak one,
ty śpiewasz i ja śpiewam,
śmiesz się i ja się śmieję.
Ty nie zapomniawszy
i ja cię pamiętam.
O, Boże, dokąd iść?
Co robić, skąd brać
bajki i pieśni?
Do lasu nie chodzę,
rzeki nie spotykam.
Lesie, ojczy mój,
czarny ojczy!²

- Widzę, że bardziej cię interesuje nasza poezja niż nasze zasady – powiedziała Dżjana, wstając. – Chodź, wracajmy do domu – powiedziała, zdejmując swoje sandały. Obudziła Jafrankę. Postawiła jej bosc stópki na trawie. – Pobiegaj mała Cyganeczko. Poczuj miękką trawę pod stopami. Taki dywan z młodych lat miała twoja babcia. Klaskała i biegła za rozbawioną wnuczką. Była w tym nie tylko radość, ale też piękno. Taki drobiazg, a dawał tyle przyjemności i Jafrance i jej babci. Pozazdrościłam im i też zdjęłam obuwie. Trawa pod stopami była chłodna, ale przyjemna. Zabrałam wózek i pobiegłam za nimi.

Krzysztof T. Dąbrowski

A czego tu się bać

Staruszki już od dawna żadne pytanie nie ubawiło tak, jak to, czy boi się sztucznej inteligencji. Wyśmiała się do tego, poprawiła chustę i postanowiła wyjaśnić temu młokosowi z mikrofonem w czym rzecz, bo minę miał, co najmniej zdezorientowaną:

- Panie kochany, jak to tak to, że niby ta sztuczna inteligencja aż tak nam zagraża? Przecież, jak inżynierzy kalkulator kiedyś wymyśliły, to matematyki też tak biadoliły. I co? I nic się nie stało, przecie robio dalej te swoje wyliczenia.

Chwilę później, gdy już odprawiła dziennikarza, weszła do obory i się rozmarzyła, jak to wydaje takiej sztucznej inteligencji rozkazy, związane z prowadzeniem gospodarstwa.

Cwaniak w pieluchach

Niemowlak miał minę cwaniaka, zasiadającego do pokera.

Rodzice nie mieli pojęcia, że jest bardziej świadomy, niż wskazywałby na to jego wiek.

Właśnie starał się zapamiętać hasło do konta bankowego ojca, które ten beztrudno wkładał na klawiaturze.

Tak naprawdę, to w ogóle nie był jego ojciec – w szpitalu doszło do pomyłki, ale malec postanowił, że nigdy nie wyjawia rodzicom prawdy; bardzo bogaci byli, więc...

- To: ti ti, słodziaczku – gdy do pokoju wparowywała mama.

Ciekawe, co by powiedziała, jakby mnie miała zobaczyć za czterdzieści lat? – pomyślał adresat matczynych zachwyty.

- A teraz dam ci mleczka.

Pizzę bym wolał – pomyślał z rezygnacją.

Za kilka lat zemści się za poprzednie wcielenie.

Do tablicy!

Stefanek, do tablicy!

Wstał i posłusznie podszedł, choć nie miało to sensu.

W ogóle nic nie miało sensu.

I nie, nie miał depresji, po prostu coś wiedział i uznał, że czas wyjawić to światu.

Poprawił okulary i westchnął.

- Nic pewnie nie umiesz? - nauczycielka zaczynała być złośliwa.

- Proszę pani, wyliczyłem, że żyjemy w symulacji.

Nauczycielka zaczęła się śmiać, a po chwili rechotała już cała klasa.

- Jedyna, Stefanek. Ucz się tak dalej, to będziesz ulice zamiatać.

- Androidy będą.

- Siadaj tumanie.

Następnego dnia wyliczył wzór na koniec świata - postanowił, że jak nauczyciele i koledzy z klasy wpędzą go w depresję, to go użyje.

¹ Bronisława Wajs-Papusza, Pieśń Cygańska w: [Cyganie na polskich drogach przeł. Jerzy Ficowski], fragment.

² Bronisława Wajs-Papusza, fragment wiersza Lesie ojczy mój

Taki miałam ciężar na sercu

Sławomir Bączkowski

- Taki miałam ciężar na sercu! – mówi matka, patrząc na wyszorowaną płytę grobu, czerwone tulipany w wazonie i płonący znicz.

Jej włosy rozświetla ostre słońce, przebijające się pasmami przez gałęzie cmentarnych drzew. Jest koniec sierpnia. Po upalnych dniach wreszcie przyszło ochłodzenie, a w powietrzu pojawiła się ledwie wyczuwalna jesienna nuta. Przyroda dopiero szykuje się do festiwalu obumierania.

- Myślałam, że tu będzie gorzej, że zarośnięte...

Stoimy w milczeniu przy tej skromnej mogile matki mojego ojca. Wykute na płycie napisy z roku na rok bledną, jakby świat za wszelką cenę chciał unicestwić pamięć o tej kobiecie. Uświadamiam sobie, jak strasznie mało o niej wiem. Na wszystkich zdjęciach, przy kimkolwiek nie stanęła, wygląda jak uboga krewna. W szarej chustce na głowie i z tym wiecznym strapionym wyrazem twarzy była emblematyczną przeciętnością. Owdowiała wcześniej i wiodła ubogie życie, dzieląc swój czas między fabrykę jedwabniczą a opiekę nad dwoma synami. Dorabiała haftując kościelne sztandary i makaty. Paradoksalnie, mimo wyszywanej feerii kolorów, wiodła bezbarwną egzystencję, coś jak oglądanie świata przez przybrudzone matowe szkło. Do tego doszła choroba i nagły wypadek, który na pewien czas uniemożliwił jej opiekę nad synami. Starszym za-

opiekowała się rodzina, mój ojciec trafił do sierocińca, gdzie dzieci pożyczają sobie kartofle. Ileż to myślę o tej decyzji, nie jestem w stanie pojąć ludzkiej bezduszości, jakiej wymagało rozdzielenie braci w tak krytycznym momencie ich życia. Ale też czasy były inne...

- Jak miała zamówienie na sztandar, to rozkładała w pokoiku sztalugi – mówi nagle matka. Poprawia kwiaty, ocenia rezultat swojej pracy. Grób nie wygląda już na zaniedbany.

- Po jej śmierci tata rozdawał rzeczy z mieszkania. Sąsiadka, Wikcia, wzięła węgiel i koc. Bo co tam było więcej? Nic. Ja tylko jedną rzecz chciałam – te cudowne jedwabne nici! Wpatrujemy się w chybotliwy płomyk znicza. Chłodny wiatr szumi w koronach drzew. Z daleka słychać przytłumiony warkot traktorka. Podnoszę głowę i obejmuję wzrokiem rozległy teren. Po zburzeniu muru stanowiącego tylną granicę dawnego cmentarza i dołączeniu nowych gruntów, nagle zniknął wilgotny babciny kącik. Jakby ktoś przewrócił parawan, za którym przebierała się leciwa dama.

- Dobrze, że przyjechaliśmy. Taki miałam ciężar na sercu! – powtarza matka. Zabiera torby i plastikowy kubek. Ruszamy ku głównej alei.

Koc

Sławomir Bączkowski

Koc był przepiękny. Mijając wystawę sklepową, na której leżał, matka zawsze przed nią przystawała i patrzyła jak urzeczona. Wyobrażała sobie, że jest bardzo miękki, niemal czuła pod palcami delikatną tkaninę. W myślach kładła na nim nowo narodzone maleństwo i otulała je, szepcząc, jak bardzo je kocha... Nie mogła oderwać wzroku od zestawu barw, przywodzących jej na myśl ciepły jesienny dzień i parkową ścieżkę z dywanem czerwono-żółtych liści. Po chwili jednak popadała w przygnębienie, bo wiedziała, że nie może sobie na niego pozwolić. Mieli tak dużo wydatków związanych z rychłym przyjściem na świat ich drugiego dziecka, czyli mnie... W takich chwilach strapienia zawsze delikatnie dotykała pokaźnego już brzucha, jak gdyby ten gest miał dodać maleństwu odwagi przed przyjściem na świat.

Dziś po prostu musiała wejść do tego sklepu.

- Dzień dobry, czym mogę służyć? - zapytała ją uśmiechnięta ekspedientka w fartuchu. Był ciągle ranek i jeszcze nie zdążyła znudzić się sklepową monotonią.

- Chodzi mi o tamten koc z wystawy... - zaczęła niepewnie matka.

- O! Ma pani szczęście - dziewczyna wyszła zza lady i tanecznym krokiem zbliżyła się do okna. - Jest przepiękny! Mieliśmy pięć, a został tylko ten jeden. Stała klientka chciała go sobie zarezerwować, ale nam nie wolno... Matka zdrętwiała.

- Proszę - ekspedientka podała jej koc. - Niech się pani sama przekona, jaki jest mięciutki - profesjonalnie kusiła.

Rzeczywiście był mięciutki, doskonale gładki i biorąc go do ręki, człowiek wcale nie miał ochoty rozstawać się z nim. Delikatnie grzał, jakby wcześniej leżał przez pewien czas na słońcu i teraz oddawał całą skumulowaną w sobie energię. Albo jakby dotykał kochający człowiek... Matka przyłożyła go na

moment do policzka i przymknęła oczy. Mogłaby przysiąc, że w tej samej chwili dziecko w jej brzuchu poruszyło się nieznacznie. Postanowiła, że musi mieć ten koc. Najwyżej weźmie w pracy krótkoterminową pożyczkę.

Następnego dnia w towarzystwie ojca poszła z wizytą do swojej teściowej. Była to niepozorna kobiecina z wyrazem wiecznego strapienia na twarzy i jeśli coś ją w ogóle wyróżniało, to właśnie ów lęk i niepewność, które nigdy nie zniknęły z jej wpadniętych oczu. W towarzystwie innych ludzi zawsze wyglądała ubogo i w istocie była bardzo biedna. Według relacji mojej matki, kiedy zaczynali się z ojcem spotykać, miał tylko jedną koszulę, którą przed randką przyszła teściowa pospiesznie prała i suszyła żelazkiem.

Paradoksem było to, iż dysponowała niewiarygodnym talentem, którego w tamtym czasie nie była w stanie skapitalizować. Jej haftowane sztandary wykonywane dla różnych instytucji, odznaczały się przyprawiającą o zawrót głowy precyzją i wyjątkowo kunsztownym doбором barw. Mam jeszcze kilka jej mniejszych prac. Czasem wyciągam te kwieciste chusty z czeluści szafy, rozkładam na sofie i wpatruję się w misterne układy różnokolorowych nici, dzięki którym babcia uzyskiwała niewiarygodny elekt trójwymiarowości. Te feerie kolorów stanowiły przykry kontrast z jej bezbarwną egzystencją. A może właśnie to one rozświetlały jej szare dni, będąc emanacją całego bogactwa duszy?

Teściowa poczęstowała ich swoimi niezrównanymi kotletami mielonymi. Ojciec jak zwykle myszkował jej po szafkach, w poszukiwaniu nie wiadomo czego. Matka bardzo tego nie lubiła. Po obiedzie wszyscy troje usiedli w dużym pokoju. Rodzice raczyli się kawą, babcia pozostała przy kompcie.

Ich dziewięcioletni synek bawił się klockami w drugim pokoju.

- I co tam u was słyszeć, kochani? – zaczęła. – Jak się czujesz, Zosiu?

- Dobrze, mam. Wiesz, widziałam piękny koc na wystawie...

- Ona znowu o tym kocu! – wtrącił się ojciec.

- Piękny koc... – ciągnęła niezrażona matka. – Na Kościuszki, tam obok pasmanterii. W kratę. Taki mięciutki... Akurat dla maleństwa.

- Mama jej nie słucha. Tyle w domu koców...

- ojciec znowu wrzucił swoje nikomu niepotrzebne trzy grosze.

Babcia siedziała w milczeniu i nagle na jej twarzy zarysował się wyraz bólu. Przy-mrużyła oczy i mocno zacisnęła usta.

- Co mamie dolega?! – krzyknął ojciec i natychmiast do niej podskoczył.

- Już nic – jęknęła i jeszcze raz przymknęła oczy.

- Może przyniosę wody? – zapytał.

- Tak. Proszę...

Ojciec pobiegł do kuchni i po chwili wrócił z pełną szklanką. Matka obserwowała teściową z niepokojem. Dobry nastrój rodzinnego obiadu, gdzieś się ulotnił. Po pełnej napięcia godzinie, kiedy było już jasne, że sytuacja wróciła do normy, rodzice pożegnali się z babcią. W drodze do domu oboje milczeli.

Następnego dnia z samego rana matka poszła do działu socjalnego, złożyć podanie o krótkoterminową pożyczkę, które, zważywszy na jej stan, zostało rozpatrzone błyskawicznie i już wczesnym popołudniem kasjerka wypłaciła jej pieniądze. Zaraz po zakończeniu pracy pognęła na ulicę Kościuszki. Zdyszana wpadła z impetem do mrocznego wnętrza sklepu tekstylnego, czym nieco wystraszyła młodą ekspedientkę.

- Poproszę ten koc, który jest na wystawie! – wyrzuciła z siebie jednym tchem.

Uśmiech dziewczyny momentalnie zgasł i zrobiła zafrasowaną minę.

- Niestety, rano sprzedaliśmy ostatni egzemplarz. Spóźniła się pani – dodała zupełnie niepotrzebnie.

Matka stała jak sparaliżowana.

- Sprzedaliście... – wyszeptała i było w tym szepcie całe rozczarowanie i gorycz świata.

- Powinna była pani wtedy kupić! – sprzedawczyni znowu powiedziała o kilka słów za dużo. Widocznie nie potrafiła nad tym zapanować, co z pewnością zrażało do niej niektórych ludzi. Czasem lepiej milczeć...

- A może będzie druga dostawa? – zapytała matka w akcie desperacji, choć dobrze wiedziała, jaka będzie odpowiedź. Skuliła się, jakby oczekując drugiego ciosu.

- Już pani takiego nie dostanie – dziewczyna bezlitośnie odzierała ją z resztek złudzeń. – To była jakaś nadwyżka eksportowa. Nic z tego! – w jej głosie słyszeć było dość wyraźną nutę tryumfu.

Strapiona matka wyszła ze sklepu i ze spuszczoną głową powlokła się do domu. Potem, jak co dzień, zajęła się obiadem, ale musiała dość długo czekać na powrót ojca. Przyszedł dziwnie milczący i od razu wiedziała, że ma złe wieści.

- Co się stało? – zapytała, kiedy czekali, aż dogotują się ziemniaki.

- Byłem dziś u matki. Coś mnie podkusiło... – powiedział niewyraźnie, bo w ustach miał kawałek chleba ze smalcem. – Piliśmy herbatę, kiedy znowu jej się tak zrobiło. Zosia, chyba trzeba będzie zabrać ją do lekarza. Nie podoba mi się to...

Ustalili, że następnego dnia odwiedzą ją razem.

To była środa. Matce udało się wyjść z pracy nieco wcześniej. W drodze powrotnej wstąpiła do szkoły po syna. Ojciec już na nich czekał i razem poszli w kierunku babci-nej kamienicy. Dość długo czekali, aż starsza pani im otworzy. Od razu rzuciło się w oczy, że jest znacznie słabsza niż przy poprzednim spotkaniu – poruszała się chwiejnym krokiem, opierając się o meble i futryny w celu zachowania równowagi. Była przy tym bardzo blada i zmienił jej się głos. Miało się wrażenie, że zanim wypowie jakieś słowo, musi po nie gdzieś głęboko sięgnąć.

- I jak się mama czuje? – zapytał ojciec retorycznie, bo przecież było widać, że jest źle.

- A, słaba trochę jestem... – odpowiedziała niechętnie. Nigdy nie lubiła, jak koncentrowano na niej uwagę.

- Pomóc w czymś? – zapytała praktyczna jak zwykle matka. – Może posprzątam albo coś szybko upichcę?

- Zosiu, nie trzeba. Dziękuję. Usiądź i zczekaj – staruszka powiedziała z to z niezwykłą determinacją i kolebiąc się, podreptała do drugiego pokoju. Matka posłusznie usiadła i spojrzała na ojca z niemym pytaniem w oczach. Rodziciel tylko wzruszył ramionami. Po kilku chwilach teściowa wróciła, niosąc dość duży pakunek, który od razu podała matce.

- Zosiu, to prezent ode mnie – powiedziała uroczystym tonem.

- A co to takiego? – matka była wyraźnie zaintrygowana.

- Rozpakuj, to się przekonasz.

Gdy matka ostrożnie rozwinęła szary papier, oczom ukazał się obiekt jej westchnień, czyli ów przepiękny koc z wystawy. Powiodła ręką po cudownie miękkim materiale, a gest ten do złudzenia przypominał niespieszną pieszczotę. Potem przybliżyła koc do policzka i delectowała się jego doskonałą gładkością.

- Z całego serca dziękuję, mam! – powiedziała przesyćliwa.

- Maleństwo też będzie zadowolone... – oczy staruszki błyszczały łzami wzruszenia.

Posiedzieli jeszcze pół godziny, zjedli sernik i wrócili do swojego mieszkania. Następnego dnia w dziale księgowości rozdzwonił się telefon.

- Zosiu! – zawołała zastępczyni głównej księ-gowej. – Do ciebie!

Pełna niepokoju matka podbiegła do aparatu. To był ojciec.

- Matka nie otwiera! – oznajmił dramatycznym tonem. – Tyle razy jej mówiłem, żeby się nie zamykała!

- Ale co ty tam w ogóle robisz?

- Zadzwoń do mnie jej sąsiadka, ponoć był jakiś hałas, jakby coś się obaliło...

- Czekaj na mnie. Postaram się zwolnić.

Matka pospiesznie zakończyła roz-

mowę i natychmiast pobiegła do głównej księ-gowej. Pół godziny później już wchodziła po schodach babci-nej kamienicy.

- Zaraz przyjdzie ślusarz – powiedział ojciec na jej widok, i w tej samej chwili na podjeź-dzie pojawił się mężczyzna z dużą torbą na ramieniu. Otworzenie starego zamka, zajęło mu mniej niż minutę. Ojciec wszedł do mieszkania sam. Nie było go dość długo i matka zaczynała się niecierpliwie. W końcu pojawił się z powrotem. Był szary na twarzy.

- Ona chyba nie żyje.

- Co to ty mówisz!? – wykrzyknęła matka. Jej ostry głos poszybował na wszystkie piętra.

- Chodź...

Razem weszli do mieszkania. Staruszka leżała w kuchni zaraz za drzwiami.

- Trzeba wezwać pogotowie...

Wieczorem tego dnia w ich mieszkaniu panowała niezwykła cisza. Ojciec położył się wcześniej, wykończony dramatycznymi wydarzeniami. Matka siedziała w fotelu ze wzrokiem utkwionym w szarym kwadracie okna. Ciągłe nie wierzyła, że teściowa nie żyje. Przecież jeszcze kilka dni temu byli u niej z wizytą... Nagle coś sobie przypomniła. Poderwała się z fotela i podeszła do szafy. Otworzyła drzwi i wzięła z półki koc. Wróciła na fotel i otuliła się nim. Znowu poczuła to ciepło i cudowną gładkość tkaniny. Miała wrażenie, że przygarnął ją ktoś bardzo bliski, i tak zasnęła.



Wyjechała na długo

Sławomir Bączkowski

Przy wsiadaniu jakaś pani zgubiła but, który wpadł pod wagon i nikt nie potrafił go wydostać. Popatrzyłem na zdenerwowaną matkę. Wydała mi się krucha jak wysuszony jesienny liść. Z trudnością utorowałem nam drogę do przedziału i natychmiast przegoniłem jakiegoś tłustego bachora, który zdążył już rozsiaść się na jej miejscu, wcinając śmierdzące chipsy.

- Może czegoś jeszcze potrzebujesz z torby? – zapytałem.

- Wszystko mam.

Nie spodziewałem się innej odpowiedzi. Zawsze miała minimalne wymagania wobec życia. Według niej to inni ludzie byli w potrzebie i niezmienne stanowili źródło troski.

- No to idę...

- Idź, idź, żebyś się nie spóźnił na kolejkę.

- To dwa kroki stąd.

Już nerwowe zerkanie przez okno, niemal spazmatyczne zaciskanie rąk na torebce. Znam to od ponad 40 lat.

- Trzymaj się. Zadzwoń.

- Tak, tak. No...

Wyszedłem z przegrzanego wagonu i stanąłem naprzeciwko okna jej przedziału. W szybie odbijały się jakieś refleksy i dostrzegałem tylko zarysy postaci. Megafony wypluły z siebie gęsty bełkot. Pociąg drgnął i ciężko ruszył, jakby rozpoczynał podróż przez długie życie. Instynktownie pomachałem matce i natychmiast zawstydziłem się tego, w moim mniemaniu, tandetnego i infantylnego gestu. Po kilkunastu sekundach ostatni wagon stopił się z czernią tunelu. Wjechałem schodami ruchomymi w domenę dworcowych straganów i podejrzanych sklepików. Przyspieszyłem kroku, bo kolejka odjeżdżała za cztery minuty.

Po powrocie, od progu powitało mnie, nieprzyjemne wrażenie osobiwej ciszy i pustki zięjącej z każdego kąta. Gdzieś między pokojami plątał się, niknący z każdą minutą zapach, smażonych wczoraj kotletów mielonych. Przed wyjazdem matka położyła na tapczanie bluzkę i rozkłoszowaną spódnicę. Wyglądało to jakby ktoś zemdlał i wyparował, pozostawiając po sobie tylko ubranie i blaknące wspomnienie. Nagle usłysza-

łem zbyt natarczywe pukanie do drzwi. Przejornie zerknąłem przez wizjer, chociaż miałem pewność. Sąsiadka.

Otworzyłem.

- Widziałam was przez okno. Ciągnął pan walizkę – zaczęła dość bezceremonialnie.

- Mama wyjechała do brata.

- Tego ze Szczecina?

- Jest pani znakomicie poinformowana – zakpiłem. Mogłem sobie na to pozwolić, bo wiedziałem, że jakikolwiek sarkazm jest dla niej nieczytelny. Patrzyła na świat przez gęstą siatkę, która zatrzymywała wszystko, co subtelne i delikatne. Jej ulubionym zajęciem było odkurzanie dywanika przed drzwiami do mieszkania.

- Na długo?

- Dwa tygodnie – postanowiłem odpowiadać oschle, żeby jak najszybciej sobie poszła.

Zamilkła i niezdeterminowana stała w drzwiach. Chciałaby jeszcze podrażnić temat, ale brakowało materii. W końcu zadowolona się zwyczajowym:

- To proszę pozdrowić mamę.

- Oczywiście.

- Wreszcie gdzieś wyjechała! – sąsiadka musiała zostawić po sobie choć małą przykrość.

- Tak. Miała już dosyć tego pani odkurzania.

- Oj! Dobrze, że mi pan przypomina! Do widzenia.

Zamknąłem drzwi i przesunąłem zasuwkę. Szczęknięcie zdało mi się wyjątkowo głośne w pustym mieszkaniu. Matka zawsze tak energicznie przesuwiała zasuwę. Słysząc było na wszystkich piętrach. Poszedłem do kuchni, otworzyłem lodówkę i spojrzałem na poobijany emaliowany garnek. Pomidorowej wystarczy mi na trzy, cztery dni – pomyślałem automatycznie. Omiotłem wzrokiem głęboki talerz pełen kotletów mielonych. Góra pięć dni, a i to nie jest gwarantowane, bo kotlety mielone szybko się przejadają.

Wróciłem do pokoju, który zawsze nazywaliśmy dużym, choć duży wydawał się jedynie w porównaniu z pozostałymi klitkami. Wszystko okazuje się względne, ale i tak nie ma to spe-

cialnego znaczenia, bo cały świat jest pozorem i szybko znika. Usiadłem w fotelu i popatrzyłem na książkę, którą ostatnio czytała matka. Z całą pewnością to poruszająca opowieść o tułaczce Żyda w czasie wojny, ewentualnie historia seryjnego mordercy terroryzującego miasteczko. Książka była przeczytana, wytarta zakładka leżała obok jak niepotrzebny już rekwizyt. Powieść wyglądała na coś porzuconego i jej zbędna obecność na stole napełniała mnie niepokojem. Wziąłem ją do ręki, przekartkowałem bez celu i zaniósłem do matczynej norki, gdzie wstrząsające historie piętrzyły się papierowym masywem aż po sufit. Sterta iluzji leczącej z rzeczywistości. Czy te książki już tu zostaną? przyszło mi nagle do głowy. Skrzywiłem się na myśl o cwany facecie z antykwariatu, który wejdzie tu kiedyś w przybrudzonych mokasynach, spojrzy na półki i powie: Daję dwieście i ma pan problem z głową. Jak najprędzej przegoniłem kosztowną wizję.

Nagłący sygnał telefonu. Pobiegłem do dużego pokoju.

- Słucham?

- Babcia już pojechała?

- Pojechała. Właśnie wróciłem z dworca.

- Wpadniesz jutro na obiad?

- Pewnie. O której?

- Druga?

- Może być.

- No to do jutra.

Odłożyłem słuchawkę do jej życiodajnego gniazda. Okazuje się, że żarcia wystarczy mi jednak na dłużej, bo brat wspinałomyślnie uraczy mnie jutro jakimś znakomitym mięsem. Wybornie leczy ludzi widzących świat na szaro i wybornie gotuje. Po uczcie zawsze udajemy się do jego gabinetu położonego na uboczu domostwa. Gabinet jest jednym z tych miejsc, które zdają się moim habitatem – na wszystkich ścianach piętrzą się książki i pełno tam śladów po obumarłych pasjach, znamionujących umysł żywy i poszukujący. Kolejny raz przycupnę na pospiesznie dostawionym krześle, omiotę wzrokiem grzbiety książek i skoncentruję swoją uwagę na dużym ekranie komputera. Zobaczę tam obrazy niezwykle i frapujące, zaznamomię się z bulwersującymi faktami i poznam odległe krainy. Potem stracę zainteresowanie i skoncentruję uwagę na kotce, która po cichu weszła do gabinetu i niespodziewanie wskoczyła mi na ko-

lana. Kilka lat temu już zdychała – został z niej strzępek rudej sierści, ale wróciła do zdrowia. Oficjalna wersja głosi, że brat jeszcze raz przeanalizował wyniki jej badań, wysunął odważną koncepcję innej choroby niż ta sugerowana przez weterynarza i wdrożono nową terapię, która okazała się sukcesem. Ja swoje wiem. W apogeum kryzysu dotknąłem uporczywie opadającego łebka i przekazałem jej część swojej energii.

Obok telefonu dostrzegłem książeczkę mieszkaniową.

- Zaraz po powrocie muszę zapłacić czynsz – powiedziała matka, siedząc już w wagonie.

- Może ja to zrobię? – zasugerowałem.

- Nie zwracaj sobie tym głowy.

- Jak chcesz.

Zabrzmiało to trochę obcesowo, więc natychmiast dodałem:

- Ty się najlepiej znasz na tym wypisywaniu.

Skinęła głową z aprobatą.

Mimo wyraźnej sugestii sięgnąłem teraz po książeczkę. W polu kwota słownie zobaczyłem jakieś dziwaczne słowo: JE DZI SZE. Po chwili zorientowałem się, iż jest to skróty zapis liczebnika 196. Pomyślałem, że płacimy za mieszkanie zaskakująco mało, ale zaraz przypomniałem sobie o systemie nadpłat. Z pewnością ostatnie rozliczenie wody wykazało superatę i czynsz został pomniejszony o tę kwotę. Sięgnąłem do dawniejszych przekazów i przeciwiczyłem pisanie wysokości czynszu. Teraz wydało mi się to dziecinnie proste. Z radością zacząłem tworzyć tajemnicze nazwy: CZT DZI JED, SZE JE PIE, SIE DZI SZE, JED SIE OSI...

Znowu zadzwonił telefon.

- Ja odbiorę! – krzyknąłem w pustkę mieszkania.

Telefon zamilkł jednak, zanim podniosłem słuchawkę. Zapanowała całkowita cisza.

- Pewnie pomyłka – zawyrokowałem całkiem głośno.

Coś zaszurało w jej norce. Poleciałem sprawdzić. To gołąb przysiadł na parapecie, z ciekawością gapiąc się w szybę. Przechylał główkę i co chwilę dziobał szkło. Nagle pomyślałem o kogutach, które matka kupowała na targu od mitycznej Bożenki. Za dwa dni targ, więc może i ja pójde kupię dziesięć jajek i koguta? Tylko jak znaleźć tę Bożenkę? Przypomniałem sobie,

że przy jej straganie zawsze ustawia się kolejka i stoisko jest blisko wejścia. Kupię koguta i nago-tuję rosołu! Pomidorowa przecież nie zepsuje się w lodówce.

- Tylko jak ty ją robisz...? – urwałem w połowie zdania i wróciłem do dużego pokoju.

Cisza drwiła ze mnie, więc żeby pozbyć się nieprzyjemnego wrażenia, włączyłem komputer.

- Czy dodajesz seler? – krzyknąłem z pełną świadomością daremności pytania.

Laptop błysnął ekranem, jakby przyjaciół pusz-chał do mnie oko. Mogłem już czytać: Włoszczy-zną oskrobać, opłukać i wrzucić do garnka. Nat-kę i liście selera związać nitką, aby nie pływały w zupie farfocle. W czasie gotowania (na małym płomyczku) usuwać zbierające się szumowiny.

A więc to tak! – pomyślałem. Dokładna instruk-cja matki. Notowałem, stojąc z nią przy parują-cym garze. Co chwilę zbierała łyżką maż, gęst-niejącą na powierzchni wywaru, i wylewała to paskudztwo do zlewu.

Poderwałem się i przeszedłem do kuchni. Bez-radnie powiodłem wzrokiem po szafkach. Zacząłem szukać gara na rosół. Nagle spo-strzegłem, że nie mam pieczywa. Rano dokoń-czyliśmy wczorajszy chleb, potem całkiem za-pomniałem o sprawunkach. Zdecydowałem, że zejdę do sklepu naprzeciwko komendy policji. Mają tam wyborne rogałe z makiem, które mat-ka kupowała razem z połówką chleba. Pieni-ądze zawsze miała odliczone co do grosza, żeby nie sprawiać kłopotu sprzedawcy. Nigdy nikomu nie chciała sprawiać kłopotu. Założyłem kurtkę i wyszedłem z mieszkania. Za drzwiami natych-miast zmaterializowała się biała kotka sąsiadki i zaczęła swój taniec wokół moich nóg. Na pierw-szym piętrze zorientowała się, że dziś nie ma co liczyć na moje pieszczoty i obrażona przycupnę-ła na jakiejś wycieraczce.

- Słucham pana? – zapytał uprzejmie sprzedaw-ca.

- Poproszę rogala. Tylko, żeby było dużo maku. Facet popatrzył na mnie uważnie.

- Mamy taką jedną klientkę... starsza pani. Za-wsze jej wybieramy rogałe... aż czarne od maku.

- To moja matka. Ona już tu nie przyjdzie – po-wiedziałem jak automat i natychmiast zdałem sobie sprawę z monstrualnej absurdałości wy-powiedzianych słów.

- Jak to? Dlaczego? – wymamrotał sprzedawca.

Zmieszałem się. Nie wiedziałem, co odpowie-dzieć.

- Wyjechała na stałe za granicę.

Facet dziwnie na mnie popatrzył. Bez słowa wydał resztę i poszedł na zaplecze. Widzia-łem, że zerka na mnie zza framugi. Wysz-e-dłem ze sklepu i zamiast skręcić w prawo do domu, zachciało mi się przejść obok supermar-ketu. Mijając maszynę neogotyckiej świątyni, zerknąłem na schody przed bocznym wej-ściem. Zawsze tędy wchodziła - przemknęło mi przez myśl. Miałem nawet wrażenie, że widzę jej przygarbioną sylwetkę w niebieskiej pikowanej kurtce. Po kilku chwilach stałem już przed supermarketem. Automatyczne drzwi co chwilę rozchylały się, jak dziwaczna kurty-na ukazując miriady, uwijających się figurek z koszykami i wózkami. Zacząłem wypatrywać zgarbionej postaci w niebieskiej kurtce, ale za-raz się zgałęm: Przecież jej nie ma! Postałem jeszcze chwilę, ale sklepowy ochroniarz zaczął zbyt często zerkać w moją stronę. Poczułem wzbierającą złość. Rzuciłem się pędem w kie-runku domu. Przy kiosku stała skulona postać w podobnej do matczynej kurtce. Przed przy-chodnią jeszcze jedna. Co robić? - wyszept-ałem. Zwolniłem kroku. Już wiedziałem.

- Hej! Ludzi nie poznajesz?

Odwrociłem się gwałtownie. To Tomek. Kole-ga z podstawówki. Nigdy go nie lubiłem, ale udawałem, że lubię. Ze wszystkich opanowa-nych w życiu czynności, najlepiej wychodzi mi zakładanie masek. Mam ich całą kolekcję i już sam nie wiem, czy gdzieś tam istnieje jeszcze moja prawdziwa twarz. Kilka lat temu przesta-łem widywać Tomka, potem nagle się pojawił. Od tego czasu miał dziwny, nieodgadniony wyraz twarzy, na ustach błąkał mu się niepokojący uśmiešek. Bez trudu wyobrażałem sobie, że ów Tomek podchodzi do mnie i mówiąc: Cześć, co u cie-bie?, jednocześnie wbija mi w brzuch nóż o długim ostrzu.

- Tomek! Dobrze cię widzieć! – wykrzyknąłem zaszokowany łatwością, z jaką wypląnęło ze mnie to kłamstwo.

- Co u ciebie? Jak żyjesz? – zapytał.

- Słuchaj, przepraszam, ale nie mam teraz cza-su. Widzisz... moja matka...

- Coś poważnego.

- Bardzo.

- No, to cię nie zatrzymuję.

- Do zobaczenia.

- Cześć.

Szybko odszedłem, żeby nie zmienić zdania. Zresztą już wiedziałem, jak się od tego wszyst-kiego uwolnić. Sprawę należało doprowadzić do końca. Przyspieszyłem kroku, prawie biegłem. Rzuciłem tęskne spojrzenie w kierunku biblio-teki, w której akurat organizowali kiermasz ta-niej książki. Znali mnie tam i zawsze mogłem liczyć na hojne rabaty. Grzebałem w stertach butwiejących arcydzieł i czasami udało mi się wydłubać jakąś perełkę w rodzaju Maurycego Forstera czy Świętych i łez Ciorana. Po złotówce. Nieodmiennie rozmyślałem o dysproporcjach cenowych nowych i używanych książek – szmira czasem kosztuje majątek, niepozorna rewelacja grosze. Kiedyś weszła tam jakaś młoda matka z dzieckiem. Chłopczyk rozejrzał się i powiedział z wyrzutem:

- I po co nam to było?

Uśmiechnąłem się do bibliotekarki.

- To można uogólnić do całego ludzkiego ży-wota. Dzieci czasem wypowiadają zaskakująco głębokie myśli.

Kobieta popatrzyła na mnie, jak na wa-riata w podmiejskiej kolejce elektrycznej, i na powrót zajęła się komputerem.

Teraz jednak nie miałem czasu na kier-masze. Czatuja w trawie przed blokiem biała kotka, natychmiast mnie dostrzegła i skoczyła w moim kierunku, jak wystrzelona z procy, ale odpuściła sobie już na pierwszym piętrze i po-zornie zainteresowała się pustą miską, nie chcąc doznać ujmy na honorze. Wpadłem do mieszka-nia i od razu postanowiłem rozprawić się z książ-kami. Nie może zostać żaden ślad, bo wszędzie będę ją widział! - pomyślałem gniewnie i jednym zdecydowanym ruchem obaliłem stertę wstrzą-sających powieści, piętrzącą się na pianinie. Książki spadły z łoskotem na podłogę, wzbija-jąc tuman kurzu. Pognałem do kuchni po od lat gromadzone za pralką torby foliowe. Mozolnie poupychałem w nie całą kolekcję trzystu tomów i zacząłem jednostajną wędrówkę do pojemni-ka na makulaturę. Napotykanie na półpiętrach plotkujące sąsiadki, posyłały mi zaniepokojone spojrzenia i bez słowa patrzyły na siebie.

O siedemnastej nie było śladu po ster-tach powieści w jej pokoju. Pianino wyglądało jakoś dziwnie bez wysokiej papierowej czapy.

Wyczerpany rozłożyłem nuty i zagrałem nok-turn Chopina. Kolejny raz zadziwiła mnie, moja umiejętność upchnięcia meandrycznych fioritur prawej ręki na sztywnym stelażu le-wej. Po ostatnim akordzie spojrzałem na ciel-sko szafy. Precz z tym! - zawyłem. Klawiatura pianina wyszczerzyła białe-czarne zęby w drwiącym uśmiechu. Zdecydowanym ruchem otworzyłem drzwi przysadzistego mebla i za-cząłem wygarniać zawartość. Po kilku minu-tach na podłodze wypiętrzył się stos bielizny, bluzek, beretów, apaszek, szalików, chustek, rajstop i motków wełny przywiezionej 35 lat temu z wycieczki do Budapesztu. Z wersalki wyciągnąłem dwa prześcieradła i zrobiłem z tego wszystkiego jeden wielki toboł. Podsko-czyłem do wizjera, upewniłem się, że na klatce nie stoją żadne blokowe plotkary i pognałem do śmietnika. Prowizoryczny wór zniknął w mrocznej jamie pojemnika. Odetchnąłem z ulgą.

- A co pan taki zmęczony? – usłyszałem za ple-cami.

Odwrociłem się gwałtownie. Sąsiadka. Ta od dywanika.

- Robię porządku.

- Mama będzie zadowolona, gdy wróci.

- Wróci? Przecież ona...

Cofnąłem się o krok.

- Co panu jest? Zbladł pan...

- To nic...

Ruszyłem przed siebie, czując na plecach przeszywający wzrok sąsiadki. W mieszkaniu usiadłem ciężko na wersalce matki i zacząłem wpatrywać się w puste półki jej szafy. Patrze-nie na te skrywane zawsze miejsca, wydało mi się niestosowne – jakby nagle przewrócono parawan, za którym przebiera się jakaś pani. Powoli zacząłem sobie zdawać sprawę z tego, co zrobiłem. W pewnej chwili rozzdzwonił się telefon w dużym pokoju. Pobiegłem co sił w nogach.

- No, to ja... - usłyszałem głos matki. – Słuchaj, już nie mogę tu wytrzymać. Wracam jutro. Przyjedziesz po mnie na dworzec?



Szczeniak

Sławomir Bączkowski

- A teraz Hania zamyka oczy! - powiedziała pani Krystyna i poprowadziła córeczkę za rękę do pokoju. Dziewczynka aż drżała z radości. Już od rana przeczuwała, że tego dnia wydarzy się coś niezwykłego, bo dorośli zachowywali się jakoś inaczej. Szczególnie widać to było po babci, która co jakiś czas obdarzała ją tajemniczym uśmiechem i znacząco mrugała. W całym domu panowała wyraźnie wyczuwalna atmosfera miłej antycypacji i dziecko poddało się jej z wielką przyjemnością. Dziewczynka wyczuwała jakimś dziecięcym szóstym zmysłem, że chodzi właśnie o nią i że spotka ją dziś wielka przyjemność, ale nie miała pojęcia, co to będzie.

Matka ostrożnie wprowadziła ją do największego pomieszczenia w mieszkaniu.

- Teraz możesz otworzyć oczy! - powiedziała radosnym tonem.

Hania powoli uniosła powieki i popatrzyła na tekturowe pudło, ustawione przed telewizorem. Z wahaniem podeszła bliżej i poczuła jak wzbiera w niej uczucie nieopisanej radości. W pudle siedział przycupnięty puchaty szczeniaczek podobny do kulki z czarnego futra. Popatrzył na nią wielkimi, zdziwionymi oczami i nieporadnie podniósł się na grubych łapkach. Hania natychmiast wzięła go na ręce i mocno przytuliła.

- Tylko go nie zgnieć na amen! - przestrzegła ją babcia ze śmiechem.

Dziewczynka usiadła z pieszkiem na kanapie i zaczęła się z nim bawić.

- Jaki ty jesteś śliczny! - szeptała i co chwilę całowała go w puszyste futerko.

- Ale pieszkiem trzeba się też opiekować - przypomniała jej pani Krystyna, patrząc z boku na całą scenę.

- Wiem. Będę wszystko robiła - odpowiedziała Hania poważnym tonem i dodała, jakby po zastanowieniu: Dziękuję ci, mamusiu!

- Podziękuj tacie. To był jego pomysł - mruknęła matka. Zabrzmiało to dość cierpko. Dziewczynka oczywiście nie zwróciła na to najmniejszej uwagi, bo na szczęście większość dzieci nie wyłapuje jeszcze złośliwości, którymi raczą się nawzajem dorośli. Babcia natomiast popatrzyła

na córkę z wyraźnym wyrzutem, jakby chciała jej powiedzieć: Nie pora teraz na to.

- Chyba trzeba wyjść z nim na dwór - zawyrokowała. - Bo nam zasika dywan.

- Już idę, babciu.

- Sama nie pójdziesz - powiedziała matka autorytarnym tonem. - Pierwszy raz wyjdziemy razem.

Tak więc założyły pieskowi obrózkę i zeszły z nim na placyk przed kamienicą. Szczeniak z początku niechętnie dreptał po ubitej ziemi, ale już po kilku minutach hasał radośnie wzdłuż parkanu.

- Chodźmy z nim do parku! - zaproponowała dziewczynka.

- Dobrze, ale tylko na chwilkę.

Poszły za ostatni dom, gdzie zaczynała się parkowa alejka. Było bardzo zimno, w miejscu rabatek leżała gruba warstwa śniegu. - Pobiegam z nim trochę! - krzyknęła rozradowana dziewczynka, a jej oddech natychmiast zamienił się w mleczną parę.

Hania udawała, że ucieka pieskowi, który gonił za nią ze wszystkich sił, czasami przewracając się, kiedy jego łapki natrafiały na zamrożone kałuże i rozjeżdżały się na wszystkie strony. Po kilku minutach wyraźnie opadł z sił i matka zdecydowała, że pora wracać do domu.

Wieczorem Hania podeszła do niej nieśmiało i wyszeptała do ucha:

- Mamusiu, czy piesek może ze mną spać?

- Nie, kochanie - matka czule dotknęła jej policzka. - On ma swój kojec.

Dziewczynka posmutniała, ale zaraz się rozchmurzyła i chciała ostatni raz, tego dnia, pobawić się ze śpiącym szczeniakiem.

- Chyba o czymś zapomnieliśmy - powiedziała matka.

Hania zatrzymała się w pół kroku zaintrygowana.

- O czym?

- Przecież piesek nie ma jeszcze imienia. Nie możemy go nazywać po prostu piesek.

- Ja nie zapomniałam! Już dawno wybrałam imię. Będzie się nazywał Huckelberry.

- Nie za długie to imię? - zapytała sceptycznie matka. - Może lepiej Yogi?

- Mamusiu, przecież Yogi to był miś - odpowiedziała rezolutnie dziewczynka.

- No dobrze, niech będzie. Jest twój, ty decydujesz.

Przez kilka następnych dni Huckelberry przyzwyczajał się do swojej nowej rodziny i całego otoczenia. Uwielbiał biegać po parku, ale niestety nie wytrzymał zbyt długo zamknięty w mieszkaniu i kilka razy zdarzyło mu się wysuszać na podłogę w przedpokoju albo, co gorsza, na dywan w salonie. Pani Krystyna była o to zła i zdecydowała, że w przypadku ich dłuższej nieobecności szczeniak musi być zamykany w łazience, żeby ograniczyć poczynione przez niego ewentualne szkody. Hania nie była do końca pewna, czy matka jest zadowolona z obecności pieska w ich domu. Któregoś dnia usłyszała, jak rozmawia o tym z ojcem:

- I po co przyniosłeś tu tego psa? - pytała szepem, kiedy stali razem w przedpokoju.

- Dla małej - odpowiedział.

- Niepotrzebne to było. Zdajesz sobie sprawę, jaki to obowiązek? - syczała.

Zaraz potem z pokoju wyszła babcia i rodzice przerwali rozmowę.

Przez tydzień Huckelberry wydawał się najszcześliwszym szczeniakiem pod słońcem. Potem wydarzyła się tragedia.

Hania wróciła ze szkoły, rzuciła torbę na łóżko w swoim pokoiku i natychmiast pobiegła do łazienki, gdzie od dłuższego już czasu piesek czekał na uwolnienie. Od razu doskonale wyczuł zbliżającą się dziewczynkę, bo zaczął drapać łapkami i skomleć. Hania złapała za klamkę i delikatnie uchyliła drzwi. Zdążyła tylko zobaczyć dwie duże kałuże siuszków, kiedy Huckelberry skoczył na nią z całym impetem. Instynktownie odepchnęła go i jednym ruchem otworzyła drzwi na całą szerokość. Pies poślizgnął się na mokrej podłodze, łapki mu się rozjechały i pojechał brzuchem po sikach. Gramoląc się wstał i jakby z wyrzutem popatrzył na dziewczynkę.

- Coś ty narobił! - skarciła go Hania i zaczęła gorączkowo myśleć, jak wyczyścić swojego ulubieńca, który zaczynał roztaczać wokół siebie nieprzyjemną woń.

Zamknęła go jeszcze na moment w łazience i na palcach podreptała do salonu.

Na szczęście babcia drzemała w fotelu, a rodziców nie było w domu. Nagle przyszedł jej do głowy pomysł, który postanowiła natychmiast wcielić w życie. Wpuściła szczeniaka z łazienki, założyła mu obrozę i po cichu wyszli na klatkę schodową. Delikatnie zamknęła za sobą drzwi wejściowe. Potem szybko zbiegła z nim po schodach, modląc się w duchu, żeby nie spotkać żadnego z sąsiadów. Kiedy byli już na dole, Huckelberry zaczął jak zwykle hasać po podwórku, ale dziewczynka przywołała go, nabrała rękawiczkami śniegu z pobliskiej zasy i zaczęła energicznie nacierać jego brudną sierść. Z początku traktował to jak zabawę, ale widocznie zrobiło mu się zimno, bo zaczął się wić, wrywać i głośno protestować. Hania jednak trzymała go mocno i ciągle nacierała kolejnymi garściami białego puchu.

Po kilkunastu minutach uznała wreszcie, że piesek jest wystarczająco czysty. Pogłaskała go po łebku i wrócili do domu. Kiedy weszli do mieszkania, okazało się, że babcia już nie śpi.

- Gdzie wy lataliście? - zapytała stojąc w przedpokoju. - A co on taki mokry?

- Wytarzał się w śniegu - odpowiedziała Hania z miną niewiniątka.

- No to chyba będzie miał apetyt! - odrzekła z uśmiechem babcia. - Nie jadł przez cały dzień. Już ma jedzenie w misce.

Huckelberry podreptał do kuchni, powąchał przygotowaną karmę, ale odszedł i położył się w swoim kojcu. Dziewczynka podeszła do niego zaniepokojona i podrapała go za oklapniętym uchem.

- Co ci jest? Dlaczego nie chcesz jeść? - wyszeptała z troską w głosie.

Piesek popatrzył na nią i dziewczynce zdawało się, że widzi w jego oczach niemy wyrzut. Potem polizał ją po ręce ciepłym językiem.

Następnego dnia Hania miała lekcje na drugą zmianę, więc wyszła z domu po jedenastej, a wróciła dopiero przed czwartą. Prawie biegła do domu, a wchodząc po starych, skrzypiących schodach klatki schodowej, wyobrażała sobie scenę radosnego powitania. Przyspieszyła kroku i już po chwili otwierała drzwi wejściowe. Myślała, że szczeniak będzie czekał w przedpokoju, bo tego dnia mama miała wrócić wcześniej z pracy, więc nie było

Przypowieść o Emmie Woodhouse

Zuzanna Menard

potrzeby zamykania go w łazience. Powitała ją głucha pustka.

- Huckelberry! – zawołała. – Piesku!

Cisza. Słuchać było tylko miarowe tykanie zegara w kuchni. Dziewczynka podeszła do kojca, ale psa tam nie było. Zaniepokojona zajrzała do salonu i zobaczyła mamę i babcię siedzące w niepokojącym bezruchu.

- Gdzie Huckelberry? - zapytała z napięciem w głosie.

- Usiądź, kochanie - babcia zwróciła się do niej drżącym głosem.

- Musimy ci coś powiedzieć - zaczęła matka beznamietnym tonem, ale zaraz zwilgotniały jej oczy. - Piesek odszedł.

- No to trzeba pobiec za nim! - wykrzyknęła Hania i zerwała się z krzesła.

- Usiądź. Nie zrozumiałaś. Huckelberry zdechł. To było zapalenie płuc. Hasał, hasał po parku i się zaziębił. To się zdarza, nic nie można było zrobić - wyrzuciła z siebie matka jednym tchem. - Zdechł... - powtórzyła szeptem Hania, zerwała się z krzesła i szlochając pobiegła do swojego pokoju.

Rzuciła się na łóżko i wybuchnęła płaczem. Płakała i płakała, aż poduszka zrobiła się wilgotna. Po pewnym czasie przestała łkać i po prostu leżała, wpatrując się w sufit. Nagle jakaś straszna myśl podobna do zimnego, jadownego węża zaczęła torować sobie drogę do jej świadomości. I naraz ten wąż ją ukąsił. Przypomniała sobie, jak nacierała szczeniaka śniegiem, jak jej się wyrывał i skomlał z zimna. Zabiłam go! - pomyślała. I całym jej ciałkiem wstrząsnął dreszcz. Zabiłam...

Leżała tak na łóżku do samego wieczora, aż zaniepokojona matka przyszła do jej pokoju i zaczęła pocieszać. Hania niechętnie wstała, lecz posłusznie poczłapała do kuchni na kolację. Nie mogła jednak nic przełknąć, więc tylko napiła się herbaty. Chwilę później wróciła do swojego pokoju, położyła się, ale długo nie była w stanie zasnąć, bo męczył ją obraz nacieranego śniegiem szczeniaczka. Niemal czuła drżące, puszyste ciało pieska i słyszała jego żałosne wycie, które teraz zdawało się wypełniać całą jej głowę. I ta scena została z nią na długie lata, powracając z męczącą regularnością w snach i na jawie, kiedy znienacka dopadała ją, jak czający się złoczyńca. Wtedy kładła się, zamykała oczy i przeżywała na nowo to nie-

szczęsne zdarzenie z dzieciństwa. I już nigdy nie pozbyła się dręczącego poczucia winy za śmierć małego pieska, którego jedynym przewinieniem było nasiusianie w łazience.

Czterdzieści lat po niespodziewanej śmierci szczeniaka, kobieta siedziała z sędziwą już matką na werandzie swojego wiejskiego domu. Zbliżał się wieczór, powietrze przesycał zniewalający zapach kwitnących bzów. Zewsząd słychać było bzyczenie pracowitych pszczół i trzmieli. Rozmowa zesłała na nieżyjącego od dawna ojca.

- Był z niego gagatek! - powiedziała pani Krystyna.

- Oj, był, był... - potwierdziła Hanna.

- A pamiętasz tamtego szczeniaka? - zapytała matka. - Jak on miał na imię?

- Huckelberry...

- Nie wiadomo, skąd go wytrzasnął. Od początku nie podobał mi się ten pomysł... - wyznała.

Hanna poczuła, jak oblewa ją zimny pot. Znowu stanęła jej przed oczami, scena nacierania psa śniegiem.

- Nie powinien, tak marnie skończyć... - wydusiła z siebie.

- Eee. Nic mu się nie stało. Ostatecznie trafił w dobre ręce.

- Przecież zdechł ... - powiedziała szeptem, jakby nie chcąc znowu przywoływać upiorów przeszłości.

- Co ty pleciesz! - oburzyła się matka. - Ojciec odniósł go do jakiś znajomych, bo za bardzo broił.

Hanna zeszytywniała.

- Nie zabiłam go? - zapytała głucho.

Pani Krystyna popatrzyła na córkę z niepokojem.

- No zgłupiała! Z tego, co wiem, żył jeszcze długo... Trzeba było ci coś powiedzieć, więc wymyśliłam to zapalenie płuc.

Hanna wpatrywała się w matkę jeszcze przez chwilę, potem poczuła, że wilgotnieją jej oczy. Odwróciła głowę w kierunku zachodzącego za szpalerem drzew słońca i pozwoliła ciepłym jak tamten wieczór łzom, popłynąć po policzkach.

Emma Woodhouse jest najdroższą różą na plantacji. Nie wszystkim dane jest, przechrzątać się wzdłuż jej krzewów; tylko nieliczni snują się między kwiatami, wybierając najlepsze spośród nich. Szczęśliwie udało mi się zostać jej opiekunem.

Wczesnym rankiem chwytam za nożyce i biegnę przez szklarnię. W końcu dostrzegam swoją Emmę; kremowe płatki wabią mnie już z daleka. Podchodzę bliżej i przed każdą różą składam pokłon. *Jesteście takie piękne* - powtarzam codziennie, choć te nie zdążyły jeszcze pożegnać się ze snem.

Gdyby Emmę Woodhouse zamknąć w niewielkim pokoju, rozmyłaby się w zapachu tak gęstym, że ludzie wchodzący do pomieszczenia, płakaliby i śmiali się na przemian. By przezwycieżyć tę ambiwalencję, trzeba zatkać nos lub ujrzawszy stojący na stole wazon, zrezygnować z przekroczenia progu.

Pielęgnację zaczynam od rutynowych cięć. Manewruję sekatorem między łodygami, unikając młodszych roślin. Sprawnym ruchem zbieram róże idealne, dłuższe niż trzydzieści centymetrów. Ich środki otwiera słońce – wyrasta z nich maleńka, ciemna kuleczka.

Plon opieram na porysowanym ramieniu;

ilekroć Emma dotyka mojej skóry, powstają na niej czerwone, koślawe wzory, jakby róża pragnęła zaznaczyć swoją obecność. Każda napotkana później osoba, zauważa szramy i pyta o źródło. *Emma Woodhouse* - odpowiadam nie bez dumy.

Innym razem usuwam chwasty, które rozpychają się od spodu. Klęczę wtedy skupiona, radosna z powodu własnej sprawczości. Co kwadrans podnoszę się z kolan w nadziei, że Emma odwdzięczy się uśmiechem. Ona jednak pozostaje w bezruchu.

Zanim Emma wpadnie w twoje ręce, muszę oporządzić ją czule. Poprzez obserwację jej wzrostu, aż po zmagania z bólem, który codziennie mi funduje – los Emmy zależy wyłącznie ode mnie, choć tylko ty jeden cieszysz się z nabytku.

Czy nie wiesz, że de Saint-Exupéry kłamał? - zagadnął szef, gdy w chłodni liczyłam swoje łzy. Żadna z tych róż nie jest ci przeznaczona.

Łabędzi śpiew

Zuzanna Menard

Myślę, że wszyscy moi znajomi uprawiają seks. Kochają się namiętnie i wyczyniają wszystkie te rzeczy, o których ja mogę jedynie poczytać. Widzę przecież nabrzmiałe od witalności ciała; na każdym kroku eksponujące dumę z bycia człowiekiem

Myślę, że coś tu jest nie w porządku. Pan Freud powiedział mi ostatnio, podczas naszej porannej kawy, że niezaspokojone potrzeby wpędzają w lęki, a trzęsące się dłonie i marznięcie w temperaturze pokojowej, spowodowane są rozczerwianiem oraz tęsknotą – organizm miałby w ten sposób komunikować swemu butnemu posiadaczowi, że błędzi on tam, gdzie nie należy.

Chciałabym jednak móc się wyrwać spod szczelnego uścisku własnych tkanek i stanąć przed światem jako świetna ja, byt absolutnie doskonały, niezezwierzęcony. Najbardziej bowiem obawiam się – obniżenia statusu społecznego i wzięcia mnie za (do diabła z tym) burzę hormonów, ujętą w śmierzdzący wór cielesny.

Trudno mi z tym, ale powinnam raczej się poddać i nie udowadniać swojej wybitności tam, gdzie jej nie chcą, gdzie jedna z drugą paplają sobie o tym, jak pięknie podnoszę wszystkim morale. I być może faktycznie coś podnoszę, ale nie innym, a sobie samej.

Po ucichnięciu większych afer, zwykle trudno jest mi się podnieść. Jeśli, dajmy na to, kopniesz piłkę, skubnie ona cząstkę niebiańskiego firmamentu, zadowoli się swą wyższością nad światem, po czym ostatecznie rozbije się o grunt. Ja jestem tą piłką: podlegam prostemu schematowi, w którym daję się wykopać, pozostaję na górze przez chwilę, a po przedstawieniu łąduję.

Nie jesteś w stanie tego zobaczyć, ale śmieję się szeroko w odpowiedzi na tę genialną, pijacką metaforę... Aż trudno uwierzyć, że

wymyśliłam to przed chwilą... Jest piękna w swojej postaci i nie pozwolę, jej sobie stąd wyciąć. Wierzę, że wypowiedzianego nie da się cofnąć, a jego moc niemal zawsze pozostaje sprawcza jak ten popiół, który przypala mi teraz spodnie.

Pojedyncze słowa są ulotne, to zdania nas zmieniają. Wiem też, że to powód, dla którego nikt nie poznał się na moim kochaniu. Po milczenie sięgam zwykle chętniej, ponieważ nie lubię odpowiedzialności ani za innych, ani za siebie. Będąc tu i chwiejąc się, mogę przynajmniej z pewnym poczuciem satysfakcji stwierdzić, że moje: kocham- nigdy nie zostało zmiażdżone. Moi znajomi nie mogliby powiedzieć tego samego, gdyż oni kochali głośno i zdobywali na pokaz, żeby móc potem mieć to, czego nie mogę mieć ja, byt absolutnie doskonały. Oni mieli macanki na przystankach, a moje palce muskały jasne grzbiety ksiąg pierwotnych. To wybór, to zawsze jest jakiś wybór, choć tamtego ranka te same palce zapragnęły Skóry. Ona była powłoką pergaminową; sądzę, że mogłybyśmy się polubić, gdyż czułam na sobie Jej nieustępliwość. Coś takiego rzadko się przytrafia i jestem przekonana, że podobnej sytuacji nie będzie można sprowokować, bo gwiazdy dają zielone światło wyłącznie raz. Czy czuję się spalona? Tak, zdecydowanie. I na nic zda się tłumaczenie, że zamknąwszy tamto drżące ciało między ramionami, oszalałam.

Myślę, że moi znajomi mogą mieć rację, gdy biorą mnie za wybrakowany element rzeczywistości. Samej zdarza mi się tak uważać, bo ciężko jest znaleźć wyjście z sytuacji, z której wyjścia nie ma. Rozumiesz? Nieuzasadniony głos wewnętrzny nakazuje, bym rozejrzała się po blokowiskach, wyrastających przede mną w poświacie marketowego neonu. Każę mi szukać. Połykam więc siwi-

znę dymu i szpieguję w nocnych oknach, ale tam czeka jedynie martwa nicość. Bódców już nie będzie. Papieros się spalił.

Wpadłam być może w megalomanię i z przesadą wczuwam się w odgrywanie roli gawędziarza... Jestem jednak szlachetna – czemu nie miałabym się opiewać? Poza tym wiem, że mnie rozumiesz i nie trzeba ci tłumaczyć, co i jak. Śledzisz bacznie to, co do ciebie mówię, to takie niesamowite, wręcz niespotykane. Rzadko się wcześniej zdarzało, żeby ktokolwiek rozumiał moje motywacje. Zwykłam zwracać się do ściany, ponieważ nie miałam nikogo, kto umiałby widzieć jak ja. Kiedy raz doszło do momentu, w którym... A zresztą. Zawsze znajdują się przeszkody, nie mamy o co walczyć; nie ma idei, w imię których warto byłoby istnieć.

Znajomi pielęgnujący cielesnie swe związki, znajdują sens w popołudniach piątkowych, tuż po zniknięciu z horyzontu rodziców. Ja w piątki przebywam zwykle sama ze sobą, i z książką, więc moje dni zasadniczo nie różnią się od siebie. W zależności od okoliczności, mogłabym nawet przyjąć, że moje funkcjonowanie w takim cyrku, ma absolutny sens lub też – nie ma go wcale. Niezłe, co? Nie wiem, czy w piramidzie Pico della Mirandoli zbliżam się ku zwierzęciu, czy ku istocie boskiej? Trudno powiedzieć, choć jedna z ostatnich moich przyjaciółek zasugerowała mi, że jestem przyjebana. Może ona wie, kim ja jestem.

Upiłam się, a tu na zewnątrz jest wybitnie zimno. Odwracam się na stopie, żeby wyobrazić sobie, iż mam przed sobą gmach szkolny. Błyszczę, świecę, bawię się kolorami. Rozszczepiam się na tyle, na ile potrzebują. Siema-aa, Cześć!, Hej!, Dzień dobry; inaczej przed budynkiem, na parterze, na piętrze i półpiętrze. Za dużo wymagań, jak na jeden byt absolutnie doskonały, lecz nadal się parzę, bo serio czuję, że ten ekosystem mógłby się beze mnie posypać. To iluzja, ale jakże pociągająca! I to poczucie splendoru, chwały jakiejś, ale tylko na tak długo, jak długo się mówi. Potem

chcę mnie jedynie zjeść, a podczas uścisków pragnę oderwać zębami kawał mięsa z przedramienia. A przecież nie jestem apetyczna, bo gdybym była, nie dzieliłabym świata.

Sortuję jednostki, ponieważ gdzieś mi powiedziano, że jestem mądra. Będąc także głupią, uwierzyłam. My i tamci- brzmiało tak kusząco, że od tamtego czasu zdążyłam zapuścić w łóżku korzenie (wcale nie dlatego, że imaginuję sobie różne rzeczy), przestałam czytać i pozwoliłam tamtym mnie wyprzedzić. Oni w ogóle mają jakby więcej książek na swoich półkach, co uważam za smutne. Byłoby miło mieć tu ekskluzywną biblioteczkę, w której dzieła sortowałabym kolorystycznie. Byłabym infantylną snobką, i tak – chciałabym właśnie takiego życia. Wszyscy myśleliby, że jestem szalenie inteligentna, ponieważ na jednym ze zdjęć dostrzeżono by na półce Kunderę. Nie przeczytałam go co prawda, ale kto o tym wie? Z pewnością byłabym dzięki niemu lepszym człowiekiem. Może nawet nie byłabym taka żalosna.

Gospodyni rautu zapukała w okno, żeby mnie przywołać. Gestem ręki wskazałam, że zaraz do niej przyjdę, tylko skończę papierosa. Palę jednego za drugim, mając nadzieję na to, że paczka nigdy się nie wyczerpie. Po powrocie do środka już nigdy nie będzie tak samo, a mnie nie uda się dokończyć prywatnej improwizacji. Za oknem balkonowym trwa bowiem impreza, a mnie się nie widzi, wtłaczać w te kręgi na nowo. Zmęczyłam się. Ludzie często tego nie rozumieją.

Alkohol daje mi siłę bycia niewidzialną; mogę zespolic się z najmniejszą rzeczą, znajdującą się w pobliżu. Obserwatorka – oto kim jestem, kiedy piję. A potem o was śpiewam.

daleK Owzroczność

Małgorzata Kulisiewicz

Kochanie, pytasz mnie o wspomnienia. W 1971 r., gdy byłem na pokładzie statku kosmicznego Apollo 14 (Halo Ziemia! Halo Ziemia!), z tej perspektywy widziałem ją jako lśniący niebieskawy klejnot. Ja, Edgar Mitchell powiem ci, co mógłbym zobaczyć teraz. Teraz moja planeta to matowa brudna kula z groźnymi ciemnymi chmurami. Piekło dwutlenku węgla i siarki. A i tak miliony ton freonu są jeszcze w drodze. Nad Antarktydą i Ameryką Północną są olbrzymie dziury w górnych częściach atmosfery. Dlaczego, do cholery, zniszczyliśmy nasz dom?!

* * *

Mindy! Nie wstawiaj mi głodnych kawałków o smakowitym żarciu w tym kraju! Mój ojciec Edgar, z którym znalazicie się jak tyse konie, mówił mi przecież, że jesteś realistką do kwadratu, dlaczego więc tego nie widzisz? Pomidor z materiałem genetycznym flądry, pietruszka z genem wieloryba, odpłyną chyba do krainy spotworzałej natury. GMO może stanowić niebezpieczeństwo dla bioróżnorodności i niesamowicie się rozprzestrzenia. Wprowadzonego błędu nie da się już usunąć. Warunkiem przetrwania jest równowaga i różnorodność biologiczna. Życie to nie towar. Złoty ryż, bezpłodność, nowotwory, alergii i choroby brzucha. A za trzydzieści lat w pokoleniu dzieci i wnuków, to dopiero będzie! Jeśli nie zmądrzejemy, wykończy nas złota głupota w duecie ze sztucznie utuczonym speedy-kurczakiem niemogącym utrzymać się na własnych nogach. Żywność masowego rażenia jest jak nachalna reklama tłustego junk food'u, której nie da się zastopować, a która może nas wyłaczyć z życia.

* * *

Mindy! Niech cię cholera weźmie z tą twoją naiwnością. Nadciągają chmury komarów i kleszczy, kolosalnie mnożą się papugi aleksandretty, wypuszczone lekkomyślnie przez euro-

pejskich hodowców, zajmują dziuple wywalając inne ptaki. Na Florydzie rusza do boju rozmnożony tysiąckrotnie pyton tygrysi. Powiedz mi, czy to początek apokalipsy czy tylko skutki globalnego ocieplenia. Zanika wiosna i jesień, mnożą się huragany, trąby powietrzne.

Maleją zasoby wody pitnej. Kiedy się obudzimy, może nas już nie być. Ostatnia papuga zaskrzeczy: Czło - wiek, tu był czło - wiek. Wieki temu.

* * *

Mindy najmiłsza, ja nie przesadzam. A słyszałaś o niedźwiedziach polarnych uwięzionych na Wyspie Wrangla? 1990 rok. Globalne ocieplenie. Arktyczna pokrywa lodowa topnieje szybciej niż zwykle. W piorunującym tempie rośnie liczba dryfujących gór lodowych. I co? I setki niedźwiedzi polarnych zostało uwięzionych na Wyspie Wrangla. Chude jak jasna cholera, część wydychała z głodu. Wymierają gatunki. A przecież mieliśmy panować miłosiernie nad rybami morskimi, ptactwem i wszystkimi zwierzętami. I co?

* * *

Kochanie, posłuchaj, a nie lekceważ. Ja wiem, że jestem wrażliwy, ale to są fakty. Był jedyń w swoim rodzaju. Trzy czwarte jego krewnych wyginęło. Samotny George, ostatni na Ziemi ślimak gatunku Achatinella apexfulva zakończył swój żywot. Przygarnięty przez naukowców z Uniwersytetu Hawajskiego, którzy próbowali go rozmnożyć, ale się nie udało. Chiny pozwalają na wzmożone zabijanie nosorożców i tygrysów. Oba gatunki są zagrożone wyginięciem w tym kraju. W czymś im przeszkadzają? Kaszaloty giną w Hiszpanii, we wnętrznościach znaleziono dziesiątki kilogramów plastiku i śmieci z morza. Największa kolonia pingwinów królew-

skich została wytrzebiona w tajemniczych okolicznościach na Ileaux Cochons. Tysiące martwych ptaków - nurzyków zatrutych chemikaliami, leżących na plażach holenderskich Wyp Fryzyjskich. A katastrofa ekologiczna w Zatoce Puckiej, a masowa śmiertelność ryb i ptaków? Wyłowione ryby miały owrzodzenia i choroby z powodu ścieków przemysłowych z metalami ciężkimi.

* * *

Mindy! A teraz to już na pewno narazimy się tym, którzy dla kasy bezmyślnie zniszczyliby wszystko w środowisku. Nie wiem, czy wiesz, że ryby są w niebezpieczeństwie na całym świecie, drobni rybacy również. Jest takie zjawisko jak przetłowie. Nastąpiły niemożliwe

do naprawienia zmiany w morzach i oceanach. Ekosystem jest poważnie zagrożony. Połowy tak gigantycznych ilości powodują, że ryby się nie odradzają. Statki molochy to morscy niszczyciele, a ich połowy są grabieżą wielkiej skali. Trał denny jak pług Apokalipsy, z każdym przeciągnięciem po dnie zbiera ryby, żółwie, koralowce. Zabija także małże, kraby, robaki. Wszystko co stanie na jego drodze. Wyrzywa morskie rośliny z podłoża. Oceaniczne dno niedługo zmieni się w pustynię. Mogą nadejść czasy, gdy morza i oceany zostaną jedynie królestwem meduz. Molochy pożrą wszystko. Dokąd popłynie wtedy ziemski statek? Cieszę się, że dałaś się przekonać i będziesz razem ze mną robił coś dla naszej staruszki Ziemi.

Spotka(nie)

Małgorzata Kulisiewicz

Zatrzymała się na środku ulicy. Słońce świeciło jaskrawym, oślepiającym światłem. Obok przeszedł człowiek w białym garniturze. Bardzo młody, opalony, smukły, wyglądał, jak wycięty z kolorowego magazynu. Wpatrywała się w niego uporczywie. Karty kobiecych pism glamour często błyszczały na jej biurku. Tylu pięknych mężczyzn prezentowało się w reklamach, ale żaden nie dorównywał temu tutaj. Przystojniak wszedł do pubu. Siadł przy nim naprzeciw baru z lustrzaną płytą. Barman wyszedł z cienia.

- Co podać, madame?

Odwróciła się w kierunku mężczyzny w białym garniturze. Obok nie było nikogo. Zobaczyła tylko dym, sączący się z popielniczki, stojącej blisko.

- Pani pali dwa papierosy naraz. Czy coś się stało?

- A ten mężczyzna, który tu był... Widział pan, w którą stronę poszedł?

- Jaki mężczyzna? - kelner popatrzył na nią zdziwiony. - Od godziny nie ma tu nikogo oprócz pani.

- Ten przystojny przed chwilą.

- O tej porze jest tu przeważnie pusto. Szef musi zadbać o lepszą reklamę.

Wstała od stołu smutna i zniechęcona.

- Nie przejmuj się nim kochanie.

Mężczyzna w białym garniturze objął ją ramieniem. Jego głos brzmiał głucho na pustym przystanku.

Bordowa torebka

Mirosława Stojak

Z resztkami snu na powiekach spojrzałam na moją torebkę, stojącą na stoliku nieopodal łóżka. Minionej nocy przyśniła mi się dziwna historia.

Mróz rzeźbił domy, na szybach malował liście paproci, gałązki jarzębiny i inne widlaki. W oddali stał czerwony dom, zamknięty na głucho, blade, suchy i sponiewierany zimą. Przed nim czerniały na gałęziach, jak wielkie czarne kule armatnie – ptaki. Siedziały bez ruchu na drzewach i drutach elektrycznych, jakby były zaczarowane. A kto mieszkał w tym domku? No właśnie; mieszkał tam mężczyzna z garbem, który, jak się potem okazało, koniecznie chciał zabrać mi moją torebkę. Widziałam, jak wdziewał gruby kozuch i czapę na głowę i stał na wycieraczce gotowy do drogi, rozglądając się wokół. A wszędzie biel i cisza. Nie straszna mu była zima i bezludzie. Nie wiem, jakim sposobem dostał się do mojego pokoju, ale za chwilę stał już przy stoliku, gdzie stała torebka i pożerał ją ognistymi ślepiami. Śnieg topił się i spływał z niego, tworząc kałuże. Gdy zauważyłam, że już prawie trzyma moją bordową torebkę, już chwytam ją palcami, to w tym momencie przebudziłam się wystraszona. Z mocno bijącym sercem, spojrzałam obok – torebka stała na swoim miejscu. Ufff, a o mały włos znalazłaby się w niepożądanych rękach.

Byłam lekko zmęczona, ale szczęśliwa, że torebkę jednak zachowałam. Jej strata byłaby znaczącym uszczerbkiem wspomnień w moim życiu. Historia mojej torebki jest częścią mnie. Wspomnienia, jakie ciągle zachowuję w sercu, żyją i podążają ciągle za mną. Sprawiają, że jestem blisko rodziny, której nie poznałam. Te wspomnienia starzeją się niechybnie wraz ze mną.

A było to w roku 1970. Jak dziś pamiętam wujka, który wówczas odwiedzał naszą rodzinę. Miałam 10 lat. Wujek Franek, który był bratem mojego dziadka, odwiedzał nas od czasu do czasu, chcąc nam wynagrodzić brak dziadka. Zostawiał torbę pełną odzieży, wypijał herbatę i wracał do siebie na Śląsk. Wujek pracował jako banniorz, i zawsze będąc w okolicy odwiedzał swoje rodzinne strony. Odwiedzał naszą rodzinę, opowiadając nam, młodym dziewczynom, o babci Walerce i dziadku Józefie.

Dziadek Józef został zamordowany przez Niemców w obozie koncentracyjnym w Zwickau. Franciszek przeżył. Był starszy, mógł mieć 60 lat albo więcej. Owego dnia przyjechał, jak zawsze z dużą torbą. Przysiadł na krześle i łapał oddech. Jego mózg atakował słowa, ale on zdyszany nie mógł wyrzucić z siebie żadnego. Zadzyszka łapała go po pokonaniu długiego dystansu drewnianych schodów. Mieszkaliśmy prawie na poddaszu. Dopiero po chwili udało mu się wypuścić prośbę o szklaneczkę wody. Matka zaparzyła herbaty, ale on prosił o wodę. Podała mu ją więc, chociaż na parapecie stał syfon. Miałam wrażenie, że go nie lubiła, nigdy nie poczęstowała go obiadem, żałowała syfonu, który był uzupełniany na bieżąco, bo ojciec często z niego korzystał. Zresztą kogo ona lubiła?

Po chwili wuj przemówił po śląsku:

- Zobocz, co tukej mosz. To dla dziołuch. A dla Mirki, co wyglondo jak Walerka, mom taśke – powiedział i podał mi torebkę...

Jakie cudo zobaczyłam. Boże, nigdy nie widziałam tak cudnej torebki. Moje oczy zaświeciły jak dwa reflektory, a ja z oczarowaniem oglądałam ją z każdej strony. Cudo

nad cudami – nie mogłam się napatrzeć. Powiedziałam tylko: dziękuję, bo nie znajdowałam w tamtej chwili słów, by pięknie podziękować, a wuj przysunął mnie do siebie i pocałował w policzek mocno i siarczyście. Przez moment naszła mnie myśl, że matka zabierze mi tę torebkę, ale na szczęście, gdy wuja już nie było, powiedziała:

- Takie byle co, możesz ją sobie zatrzymać.

Naprawdę? Jest moja? O Boziu! Dzięki Ci bardzo za tę torebkę – pomyślałam i tuliłam ją do siebie mocno, w obawie, że spodoba się którejś z moich sióstr, a wtedy matka odbierze mi ją, i da Eli, Joli albo małej Dorocie.

Wuj powiedział jeszcze, że w torbie są ubrania dla dziewczynek: bluzeczki i spódniczki, które przywozi od znajomej z Austrii, i dodał, że może i moja mama coś sobie tam upatry. Na to moja niewdzięczna matka rzuciła:

- Co wuj szmaty nam tu przywozi. Szmat u nas dużo.

Wuj popatrzył swoimi niebieskimi oczami, pokiwał głową i nic nie mówiąc, wyszedł. Chciałam za nim pobiec, przeprosić, powiedzieć, że to nieprawda, że wszystkie ubranka, które od niego mam, są piękne, ciepłe i takie wyjątkowe. A koleżanki w szkole mi ich zazdroszczą, ale, gdy podniosłam się z siedzenia i zrobiłam z kroki ku drzwiom, matka prawie krzyknęła: Siedź z dupą na miejscu.

Chciałam złagodzić surowość słów mojej matki dobrym uczynkiem. Poszłabym z wujkiem na spacer, złapałabym go pod pachę, pocałowała w szorstki policzek i powiedziała, że jest mi bardzo bliski.

Po tym wydarzeniu nigdy już wuja nie widziałam. Było mi żal, tęskniłam za nim i jego opowieściami. Pamiętam jeszcze, że

gdy tata wrócił z pracy i dowiedział się, jak obcesowo żona potraktowała jego wuja, najpierw się zezłościł, ale ponieważ opowiadała mu nieprawdy, buntowała na rodzinę i była złośliwa, ojciec umilkł jak trusia. Słuchał i przytakiwał głową na znak, że dobrze zrobiła. Było mi bardzo przykro. Ciągłe jeszcze słyszę, jak mówi z ironią w głosie, że wuj przywozi te szmaty z Austrii, może nawet po niemieckich dzieciakach, kto wie, albo, że wuj pewnie ma kochankę Austriaczkę, a jej nie potrzeba, żeby ktoś taki odwiedzał nasz dom...

Jak łatwo przychodziło jej ocenianie drugiego człowieka. Jaka była prymitywna... Niestety to obraz braku wykształcenia i wiedzy, a dodatkowo nieżyczliwości i nietolerancji. A ja przez te wszystkie minione lata pamiętam o nim, o wujku Franciszku ze Śląska. Jest mi obojętne: czy przywoził nam ponemieckie szmaty, czy miał kochankę, która mówiła po niemiecku – dla mnie liczył się jego gest, dobry uczynek i dobre serce.

Moja torebka ciągle jest ze mną. Chodziłam z nią na spacer do parku. Skrywałam w niej moje sekrety, słodkie tajemnice, niestety do czasu, kiedy zauważyłam, że matka zagląda do niej, a także sprawdza nam kieszenie. Byłam młodą panienką ze starą skórzaną torebką. Czasem tylko jakaś spacerująca po zielonym skwerze elegantka, zauważyła: Jaką masz piękną torebkę panienko, a ja roślam w chmury...



Kto zmienia miejsce – zmienia los

Mirosława Stojak

Była końcówka lata. Ptaki zrywały się w powietrze, ciesząc się wolnością i ostatnim tchnieniem ciepła. Mosze Motyl miał wrażenie, że przygotowują się do dalekiej drogi, że są to treningi wytrzymałości. Lubił obserwować ptaki, sprawiały, że i on wierzył w ich lepszy los. Pomyślał, że niedługo on i jego rodzina jak te ptaki – pofruną daleko w nieznane...

Już za moment zniknie słońce, czarne chmury zaczęły opasywać błękitne niebo i spadnie rześisty deszcz. Muszą się spieszyć, przed nimi daleka droga.

Jego żona -Fajga, która, jak sama mówiła, znała się na chmurach i wiatrach, uspakajała, że wiatr chmury przegna, wróci słońce i będą mogli spokojnie podróżować.

Koniki już przebierały nogami, chciały pójść w szeroki świat, pobrykać, popatrzeć na ładne pejzaże. To zawsze jakaś odmiana, znudziło im się stanie w ciasnej i brudnej stajni. Jeden zwał się Pędziwiatr, bo gnał jak szalony, gdy tylko miał taką sposobność, a drugi Zdechłak, bo mało jadł i marnie wyglądał. Mały Icek martwił się o koniki, choć ojciec zapewniał syna, że to silne kobyły, które dadzą sobie radę. Chłopiec patrzył na nie, a oczy mu się skrzyły z żalości. Jego trzy siostry lubiły czasami pogłaskać konie po długiej rudej grzywie, ale zajmować się nimi nie chciały. Miały inne zajęcia: pomagały matce w ogrodzie, a ojcu w sadzie przy zrywaniu praśnych owoców.

Mały Icek zapamiętał, jak ojciec często powtarzał, że: Złodziej wyprowadza konia ze stajni, a prorok wskazuje, gdzie on jest. Zapewne dlatego tak często wstawiał w nocy, zaglądał do stajni i patrzył, czy kto koni nie ukradł. Na całe szczęście nie.

I nastały chwile najcięższe, wyciskające łzy z oczu. Pożegnanie. One zawsze są nieprzyjemne i smutne. Tate, mame i ich dzieci – usiedli jeszcze na starym tapicerowanym zielonym aksamitem, tapczanie, już nie swoim, i pomodlili się. Dziękowali za to, że wszystko co mieli w tym domu,

służyło im długo i wytrwale. Dziękowali, temu tapczanowi i łóżkom z drugiej izby, na których spała czwórka ich dzieci, za to, że im pozwoliły wygodnie spać. Że Mosze nie spadł z niego ani razu i dzieci ze swoich także nie. Zajrzeli do pomieszczeń, gdzie kiedyś trzymali zwierzęta, im też dziękowali za wytrwałość i przychyłność.

Gdy wyszli przed dom; pożegnanie z miasteczkiem i jego mieszkańcami. Ludzi przyszło więcej niż się spodziewał. Byli bliscy sąsiedzi, a z końca miasta przyszedł Jakub z rodziną, byli też obcy, których ledwo znał.

- Kto zmienia miejsce – ten zmienia los – padały słowa w tłumie. Niektórych brała litość, bo nie wiadomo było, jaki ten nowy los będzie. Litość brała także dlatego, że w życiu babki Chany było to pakowanie się nie po raz pierwszy. Kiedy pytał o to jej wnuk Icek, machała rękę i mówiła: Oby tylko nie gorszy... Ale ona zawsze miała nadzieję i nie wychodziła na tym źle. Miała, co jeść i na czym spać, więc można powiedzieć, że los jej sprzyjał.

Ale jej syn Mosze myślał o innym powodzeniu. Marzył mu się mały sklepik w mieście z artykułami kolonialnymi. Mógłby sprzedawać jeszcze tytoń, bo goje palą papierosy, i mydło, bo mydła każdy używa. Mosze miał przed oczyma obrazy swojego sklepiku i widział jak jego złoty szyld zaprasza przechodniów do środka.

Potem Mosze poszedł jeszcze do sadu, chociaż dzieciaki wołały, żeby siadał na wóz, bo pora wyruszać w drogę. Dotknął każdego drzewa, na którym wisały jeszcze śliwki i jabłka. Zerwał kilka owoców na drogę, a resztę pozostawił dla nowych gospodarzy. Wziął w kieszeń kilka zielonych kulek agrestu, którego nikt jeszcze nie zerwał. Były miękkie i słodkie. Spróbował jednego i pomyślał: Moje kochane, żegnam się z wami, moje kochane...

Zaszedł też do ogrodu, gdzie, jak suche bady-le stało kilka kwiatów, kolorowych jeszcze, ale

smutnych, bo i one wiedziały, że rodzina opuszcza swoją posiadłość. Fajga zostawiła też w ziemi kilka warzyw dla nowych właścicieli, a resztę wykopała, wrzuciła do skrzynek i zabrała na wóz. Przysiadł jeszcze na chwilę Mosze, a obok niego mały Icek na ławeczce, którą sam zrobił z kilku starych desek. Rach ciach i była gotowa. Miał smykałkę do takich rzeczy. Spojrzał na płot, który też był jego dziełem. Pogłaskał płot i ławeczkę, westchnął i jakby się zgarbił. W jednej chwili syn zobaczył, że ojca stało się jakby mniej, jakby zeszczupłał, a może nawet zesechł się. Syn pomyślał wtedy, że może lepiej, żeby nie wyjeżdżali w poszukiwaniu nowego losu. Zapytał nawet:

- Tate, a my musimy wyjeżdżać?

- Synu, do lepszego jedziemy, do dużego miasta, gdzie dla ciebie, Poli, Cesi i Rózi znajdzie się miejsce w dorosłym życiu. Tam szkoły są, pójdiesz do jesziwy. Tam kino jest i masę sklepików, a wśród nich będzie i nasz – obruszył się ojciec.

- Nasz tate?

Icek popatrzył zaciekawionymi oczami na ojca. Oczekiwał odpowiedzi. Mosze przytaknął głową. Syn wiedział, że jak ojciec tak mówi, to tak musi być.

- A babcia Chana? - zapytał po chwili Icek.

- I dla niej znajdzie się miejsce. Będzie wypiekała: bajgle, bliny i obwarzanki. Dla każdego znajdzie się miejsce...

Potem wstali powoli. Nogi nie chciały pójść dalej. Zrobiły się sztywne jak słupy przydrożne. Ojciec omiatał wzrokiem sad i ogród. Z oczu spłynęły mu dwie łzy.

Ruszyli w podróż. Tłum gapiów ruszył za nimi. Dzieciarnia darła się, goniąc ich ładny kawałek drogi. Co niektórzy bardziej odważni chłopcy wskakiwali na wóz, trzymając się obrzeży i korzystali z podróży na gapę. Dla nich to była frajda. Pani Motylkowa prosiła, żeby zeszli, bo sobie zrobią krzywdę. Na drodze pozostał kurz, rozlał się w powietrzu zapach drewna, miodu i smoły. Mieszał się, jak mieszają się zioła w moździerzu na lekarstwa. Ludzie prawie się rozpierzchli, tylko bliscy sąsiedzi patrzyli i patrzyli, jakby wypatrywali, czy może Motyle jednak powrócą. Ale oni nie mieli zamiaru wrócić.

- Będzie, co będzie – myśleli i jechali dalej. Ziemia ginęła pod kołami, droga uciekała pospiesznie, a krajobraz pozostawał w tyle. Zwinne koniki pod-

skakiwały. Były lekkie, ich kopyta unosiły się w górę jak buciki baletnic...

Mijali cmentarz gojów i kościoł. Kościółek nieduży, drewniany, ale ważny także w życiu Motylów. To tam ukrywała się Orna i Mosze, gdy Niemcy szukali Żydów. Ukrył ich ksiądz katolicki, Stanisław, który doskonale znał rodziców tych dzieci. Mieli sad i przywozili księdzu po trzy skrzynki rumianych jabłek na każdą zimę, nawet wtedy, gdy jabłonki nie obrodziły. Ot tak, dla zdrowotności, bo ksiądz był dobrym człowiekiem i nie miał nic do Żydów.

- To dzięki księdzu uratowały życie dzieci Motylów – powiadali ludzie. I była to prawda.

Za kilkaset metrów zobaczyli dom modlitewny Szmula, do którego Mosze przychodził się modlić w każdy szabas. Czasem było tam nawet kilkunastu Żydów z pobliskich wsi. Do synagogi było bardzo daleko, to była cała wyprawa, więc tylko na wielkie święta jechali bryczką całą rodziną. Synagoga była piękna, cała jaśniejąca światłem. Mężczyźni siadali na dole, kobiety u góry...Wysławiali imię Pana...

Potem mijali mały cmentarz żydowski, goje wołali na niego kirkut albo kierchol. Mosze zatrzymał wóz, żonie i dzieciom nakazał pozostać na miejscu, a sam poszedł pomodlić się na grobach rodziców. Starym zwyczajem położył na macewach kamyki i zmówił kadisz. Wychodząc, powiedział do zmarłych, że zawsze będą w jego sercu i że bardzo ich kocha.

Pojechali dalej. Koniki machały ogonami. Lekkim kłusem pędziły z górki. Mosze sztywno trzymał lejce, aby nie rozpędziły się zbyt mocno. Icek chciał pomóc ojcu, ale matka upomniwała, żeby nie przeszkadzał. Tylko siostry siedziały jak trusie, nie odzywały się wiele. Rękami trzymały kartony i skrzynki, by się nie poprzewracały, gdy koniki przyspieszały. Wszystkie trzy wyglądały, jak z krzyża zdjęte, miały żałośnie miny, jakby jechały na pogrzeb.

A przecież tate mówił, że jadą do lepszego. Gorsze już miały, więc nie ma co się martwić...

Moje miasto

Mirosława Stojak

Nie wiem gdzie jestem, czy zostałem gdzie byłem? I dokąd poszedłem? Już nie pamiętam, którymi ulicami przemierzałem moje życie. Nie wiem nawet, czy to byłem ja, czy może jakieś inne dziecko. Przed wojną biegało nas po ulicach wielu, przed wojną byliśmy sobą. A teraz? Nie rozpoznaję siebie, nie rozpoznaję nikogo. Nie ma nikogo i mnie też nie ma. Zostałem zabity, leżę gdzieś przy krawężniku, zastrzelony jednym krótkim strzałem w potylicę, uduszony w zakamarku ciemnej speluny, obdarty z ubrań, nagi i pokopany do nieprzytomności. Leżę i nie wiem, czy żyję. Nie, ja przecież nie żyję...

Wróciłem, to jednak ja. Wróciłem, chociaż nie czuję swojej twarzy, nie słyszę bicia swojego serca. Nie oddycham. Wróciłem i nie odnalazłem nikogo. Nie odnalazłem swojej tożsamości.

I moje miasto nie jest już moim miastem. Jest niczyje i wygląda inaczej. Nie poznaję ulic, po których biegałem, nie widzę chłopaków ani piłki. I koni nie widać, co stały rzędem przy ulicy... Nie ma tej ulicy. Nie widzę domów z balkonami, pięknych kamienic i bram złoconych historią. Nie ma nic, bo to nie jest miasto. To ruiny, to szkielet ledwo stojący na nogach. Sypie się tynk, lecą cegłówki, uderzają w przechodniów... Nie ma mojego miasta...

Moje miasto zginęło wraz z 14. tysiącami ludzi, z Żydami, których nie ma, bo jacyś ludzie tak chcieli. Niemcy tak chcieli, a inni dali na to przyzwolenie. Nie ma Żydów, nie ma mojego miasta, mojego domu. Nie ma mojego kraju...

Czy ja jestem tym chłopcem, który miał swoje dzieciństwo, i który stracił je bezpowrotnie? Czy można odzyskać dzieciństwo? Chciałbym dorastać powoli przy rodzicach, z uśmiechem na twarzy, ze szklanką mleka i kromką ciepłego chleba w dłoni. Tak bym chciał. Czy można stać się znowu małym chłopcem i żyć w swoim mieście? Stanałem w kolejce po czas utracony, po godziny zmarnowane, po bicie zegara; ale nie ma już czasu. Skończył się w 1945 roku. Odszedł, zginął, ktoś

wyrwał mi go z całej siły, z korzeniami i nadzieją. Nie zostawił nawet płaszcza...

Moje życie stało się jak kotara teatralna. Ciągłe opada. Podnoszę ją, bo wydaje mi się, że mam dużo siły, ale to nie prawda. Opada, opada, opada i ciężko ją podnieść. Jestem jak aktor jednego spektaklu. Nie zdążyłem wypowiedzieć słowa, a już kazano mi zejść ze sceny. Nie było braw, nie było aplauzu. Nienawidzę teatru. Nienawidzę aktorów, zbyt dobrze ich znam.

Szedłem moją ulicą, ale nie poznawałem, że to ona. I domów nie rozpoznawałem. Były nagie, bez okien, i menory stały w ciemności, bez świateł. Zresztą menor też nie było, leżały w skrzyniach, zamknięte szczelnie na kłódkę. Duszyły się na strychach i w piwnicach. Uduśnione, ściśnięte i pogięte. Zabite jak psy.

Jakieś oczy, czyjeś oczy śledziły każdy mój krok. To zabójcy mojego miasta, zabójcy pewnego żydowskiego chłopca, który biegał po Szerokiej, grał w piłkę z kolegami i studiował Torę. Mordercy. Nie ma tych chłopców, synów matek, których rozdarte serca krwawią do dziś. Nie ma tych matek. Nie ma dzieci. Żydowskich dzieci.

Oto moja ulica. Dom nie ten, vis-a-vis sklep ze słodyczami. Nie raz we śnie wbiegałem po schodach, kładłem złotówkę na ladzie i wybiegałem z karmelkami w dłoniach. Ale to nie mój sen, został mi zabrany, wyrwany jak róża z ogrodu. Nie mój sen i sklep nie mój. Minęło tyle czasu. To nie ten sklep i dom też inny. Wszystko jakby znajome a tak dalekie.

Pobiegłem do parku, by sprawdzić czy drzewa tam rosną jak dawniej, czy stare akacje i jesiony szumią dumnie jak niegdyś. Rosną, ale są jakieś inne, i patrzą inaczej, odwracają głowy ode mnie, gubią spojrzenia i mówią: Nie znamy ciebie Aronie...

Nie znają mnie, a przecież byłem tu prawie codziennie. Biegaliśmy z kolegami nad Zgłowiączkę, która jak dziś rwała żywo

do przodu. Ona też była świadkiem historii. Pędzi nadal, jakby bała się, że o coś zapytam. Prawie ucieka, wartka i prędką. A ja nie potrafię już pytać, słowa utknęły mi głęboko w duszy i tylko czasem łkają wielkimi łzami. Nie potrafię pytać, zapadłem się w czeluściach ciszy...

Powolnym krokiem wracałem. Dorosły, zmęczony, ale ciągle będący chłopcem. Opuszczałem moje- nie moje miasto. Słońce ścieliło mi drogę, zachęcało do spaceru. Nikt mnie nie poznał, nikogo nie spotkałem. Kogóż mogłem spotkać w obcym mieście? Sami

obcy ludzie. Usiadłem znużony na ławce, powieki same opadły jak skrzydła łabędzie, nie miałem ochoty szukać mojego miasta. Zasnąłem jak dziecko, jak kiedyś u mamy na tapczanie, gdy byłem zmęczony odpoczywaniem. Jakiś mężczyzna podszedł do mnie, potrząsnął za ramię i powiedział: Halo, czy pan żyje?!

A idąca z naprzeciwka kobieta powiedziała do niego: Daj pan spokój, to pewno jakiś przybłąda albo pijak...

Olam Haba (Niebo)

Mirosława Stojak

Niebo musi być bardzo zaludnione. W niebie są miliony ludzi, miliony ofiar niemieckich zbrodni i morderstw. W niebie jest na pewno Rachmil, Pola i Abramek. Są też inni: Chana, Andzia, Mietek, Rachela, Rebeka, Ariel, Samuel, Bajla i miliony tych, których nie sposób wymienić.

W Olam Haba są aniołowie. I o jednym z nich chcę dziś opowiedzieć.

Urodził się we Włocławku, w 1908 roku. Gdy miał 4 lata stracił ojca, którego nawet nie pamięta, a gdy skończył 6 lat- matkę. Po jej śmierci ojczym nie poczuwał się do opieki nad pasierbem. Mały Rachmil musiał natychmiast dorosnąć. Stał się dzieckiem ulicy, nieważnym dla nikogo. Nikt na niego nie czekał, nikt nie przytulał, nie wycierał nosa, gdy miał katar. Chodził opuszczony, zaniedbany i głodny.

Nie wiadomo dlaczego, małego Rachmilkę nie umieszczono w miejskim Sierocińcu, dlaczego nie zaopiekowała się nim żadna instytucja opiekuńcza. Małe dziecko dobrze już wiedziało, że bez jedzenia nie przeżyje, więc chłopiec udał się na wieś, gdzie łatwiej przeżyć, i tam prosił ludzi o kawałek suchego chleba.

Wykonywał w zamian różne prace w gospodarstwach rolnych. Od jednego z gospodarzy, który był rzeźnikiem, nauczył się, jak należy kroić mięso. Niestety ów chłop przegnał zdolnego Rachmilkę, gdzie pieprz rośnie, gdy dostrzegł w nim konkurenta.

Tułał się więc znowu Rachmilkę od chaty do chaty, sypiał w stodołach. Pracował ciężko, a zapłatę otrzymywał w postaci żywności. Gdy miał 10 lat, przemyczał między rosyjskimi

i niemieckimi żołnierzami, herbatę i kawę. Już wtedy uczył się handlu, bo wiedział, że to pozwoli mu przeżyć. Nie miał rodziny, więc musiał jakoś sam o siebie zadbać. Ludzie we wsi mieli go za nic. Popychali, smagali batem, i wysyłali do ciężkiej pracy od świtu do nocy.

W mieście też nie było lepiej. Zobaczył, jak traktowani są Żydzi. Dochodziło do zamieszek

i bijatyk. Żydów wyrzucano z własnych domostw, wybijając szyby w ich mieszkaniach i sklepach. Prowokowano do awantur i bujek. To był zły czas. Antysemityzm rósł. Młody chłopak nie rozumiał, dlaczego ludzie nisz-

czą ludzi. Mając 15 lat, zaczął zajmować się handlem. Jeździł po wsiach i skupował od gospodarzy bydło. Zaczął od jednej sztuki, którą zarząnął, rozparcelował na kawałki i sprzedał mięso. Za zarobione pieniądze kupował następne sztuki bydła, znowu dzielił na kawałki i sprzedawał. Interes kwitł. Nauki rzeźnicze jakie zdobył przed kilkoma laty na wsi, znów się przydały.

Mając 19 lat ożenił się z Bajlą, która była piękna i dobra. Urodziło się im czworo dzieci. Żona zajmowała się domem, dziećmi i ukochanym. W domu pachniało świeżą strawą, jabłkami i czystością. Dbała o wygląd nie tylko dzieci, ale także swojego męża Rachmila. Zawsze widywano go w sklepie, jaki otworzył przy ulicy Szerokiej, w białej, pachnącej koszuli. Idąc ulicą, nosił kapelusz jak każdy elegancki pan.

Był powszechnie szanowanym mieszkańcem i sąsiadem oraz dobrym kolegą. A przede wszystkim kochanym mężem i ojcem. Potrafił zadbać o wszystko, starał się, by niczego im nie zabrakło. Rachmil był nareszcie szczęśliwy. Czuł, że szczęście wreszcie się do niego uśmiechnęło, a Niebo patrzy na jego poczynania z podziwem. Niestety nie trwało to długo...

Niemcy weszli do Polski, jak do siebie. Butni, z trupimi czaszkami na czapkach, w czarnych oficerkach na nogach, uzbrojeni po zęby. Zaczęły się nagonki na Żydów. Konfiskowano im sklepy, wypędzano z domów. Rachmil wraz z innymi został aresztowany i służył jako darmowa siła robocza. Robili wszystko, co im nakazywano. Sprzeciw był karany śmiercią. Pracowali ponad ludzkie siły przy nabrzeżu Wisły, sprząтали koszy i czyścili ulice. Panował strach, a zakazy i represje powodowały, że ludzie poddali się oprawcom i żyli w wielkim przygnębieniu. Rodzina Rachmila znalazła się w getcie, które Niemcy założyli jesienią 1940 roku. Teren otoczony drutami, gdzie przetrzymywano

włocławskich Żydów, był piekłem na ziemi, mordownią. W kwietniu 1942 roku zaczęto przewozić ludzi samochodami z getta do obozu zagłady w Chełmnie nad Nerem, na pewną śmierć. Wśród tysięcy niewinnie pomordowanych, znalazła się tam także żona i 4 dzieci Rachmila. Nic złego nikomu nie zrobili, chcieli tylko żyć, nic więcej...

Rachmil w tym czasie został przetransportowany: najpierw do obozu pracy we Wrześni, potem do Poznania, aż w końcu do Auschwitz...

Auschwitz było piekłem, które stworzyli Niemcy. Uwięzieni, dla oprawców, nie byli ludźmi, a jedynie marnymi ludzikiemi, nie wartymi więcej niż szczury czy kukielki.

Rachmil zobaczył, że Auschwitz, to przedsięwzięcie śmierci. Nawet niebo na to wskazywało. Ciemnożółte, z szarymi chmurami i mgłą. Trupie niebo... Straszło kominiarzem, szubienicami, doświadczeniami Mengele, humorami hitlerowców... Kim trzeba być, żeby z zimną krwią mordować ludzi, żeby patrzeć na to i nie grzmieć, żeby słuchać, jak krzyczą matki i dzieci... kim trzeba być???

Rachmil znowu został sam jak palec. Sam wśród miliona osieroconych współbraci. Jego dotychczasowa silna wiara, została zachwiana. Nie lubił już Boga, który tak srogo karał naród wybrany, nie wiadomo za co i dlaczego. Nie rozumiał, jak Bóg może na to, co robią Niemcy z Żydami, dawać przyzwolenie. Jak to możliwe???

Rachmil miał 31 lat, gdy wybuchła wojna, Abramek - 14. Obaj pochodzili z tego samego miasta nad Wisłą. Rachmil znał rodziców Abrama. Spotkali się w 1942 roku w obozie w Auschwitz. Starszy zaopiekował się młodszym. Był jego Aniołem Stróżem, przyjacielem i dobrym człowiekiem. Nie raz narażał swoje życie, by pomóc dużo młodszemu Abramkowi, by zachować go przy życiu. Podrzucał mu jedzenie, pracując w kuchni i

mając dostęp do żywności. Niejednokrotnie dostał za to po twarzy od gestapowca, ale na to nie zważał. Przysposobił Abramka i jego celem było uratowanie tego chłopca.

Przeżyli obaj, bo jak mówił Abramek, mieli po prostu szczęście. Ważne było także to, że mieli siebie, mieli dla kogo żyć. Wspierali się i dodawali jeden drugiemu otuchy i nadziei. Przeżyli, stali się ocalałymi z Holocaustu. Ale to ocalenie stało się zwyczajną farsą w obliczu wydarzeń, jakie miały miejsce po wojnie w Polsce. To kraj opuszczony przez Boga - powiedział młody chłopak, który po wojnie wrócił do swojego miasta i chciał w nim uczciwie żyć. Dla wielu nie było to możliwe...

Los rozdzielił tych dwóch przyjaciół, ocalałych z Marszów Śmierci, gdy Abramek postanowił ułożyć sobie nowe życie poza granicami Polski. Zamierzał osiedlić się w Kanadzie...

Po powrocie do Polski Rachmil dowiedział się, że jego rodzina została zgładzona w Chełmnie nad Nerem. Następny cios, następna tragedia i trauma. Ale życie szło dalej, więc i on musiał żyć. Postanowił ułożyć sobie życie ponownie. Chociaż w komunistycznej Polsce nie było łatwo, robił co było w jego mocy, by razem z innymi ocalałymi wskresić życie włocławskich Żydów. Poznał dobrą i mądrą żydowską dziewczynę - Polę, która była młodszą od niego o 17 lat, ale widziała swoje życie u boku Rachmila.

Rodziły im się dzieci. Czworo pięknych dzieci. Rachmil prowadził sklep rzeźniczy. Bywało różnie. Antysemityzm krążył wokół, a władza robiła wszystko, by utrudnić życie Żydom.

Pracowity Rachmil wstawał rano do pracy. W świeżej koszuli przemierzał co rano drogę i otwierał sklep. Z uśmiechem wittał klientów. Pomagał swojej żonie w domu. Otoczony miłością i radością z posiadania rodziny, czuł się znowu szczęśliwy. Spoglądał

w górę, patrzył w niebo i mówił szeptem, do tych, którzy nie przeżyli wojny, że jest mu ciężko bez nich, ale teraz musi zadbać o żywych. Mówił, że dostał drugą szansę, że dziękuje losowi, już nie Bogu, i ma tu na ziemi jeszcze wiele do zrobienia...

Po kilkunastu latach niestety zachorował. Mądra i dobra Pola chowała smutek w sercu tak, by nie widziały dzieci. Rachmil świadom tego, że niebawem odejdzie z tego świata, poprosił najmłodszego syna Marka o dwie rzeczy. Po pierwsze o to, żeby dbał o swoją mamę, najlepiej jak potrafi. Naznaczył go jej opiekunem. Po drugie prosił także, aby szukał po świecie Abramka, bo on nigdzie go nie odnalazł, ani w Kanadzie, ani w Ameryce, ani nawet w Australii. Mark obiecał to ojcu i słowa dotrzymał.

Wysoko w chmurach tańczyły ptaki. Śnieg leżał na drogach. Był luty 1972 roku.

Rachmil zmarł. Odszedł z tego świata Anioł, a na dworze trzymał silny mróz. Mark, pomyślał, że tata nie lubił zimy, ale mama mówiła, że był wytrzymały na zimno. - Przecież w Auschwitz stał na dużym mrozie w cieniu pasiaków po kilka godzin - mówiła ze łzami w oczach.

Minęło sporo lat, aż kiedyś, całkiem przypadkiem Mark odnalazł Abramka. Mieszkał z rodziną w Izraelu...

Dziś niebo jest pogodne. Może cieszy się, że same Anioły w nim mieszkają. Że jest im wszystkim tam dobrze. Tylko my za nimi tęsknimy. Olam Haba nie jest jednak dla wszystkich. Na niebo trzeba zasłużyć...

_tensje 1

Maciej Skomorowski

Skrócona droga, skróty myślowe, skróty klawiaturowe, najdłuższa droga dojścia. Gdyby jakaś opowieść mogła się tędy prześlizgnąć tak, jak żaglówka przepływa wąskim kanałem na inne jezioro, mógłbym powiedzieć, że byłem tam na pewno.

Gdzie przyczepić kartkę z napisem: jeśli ktoś mnie szuka, to wyszedłem na spacer? Długi, pokrętny, ulicami, spacer z prostotą wieczoru.

Za chwilę wiadomość zacznie wysyłać mój telefon i autoresponder dla maili.

Wiedz, że płynę teraz głęboko, oddycham skrzelami i znoszę ciśnienie na największych głębokościach.

Jestem spacerowiczem. Nazywam się Pan Ryba. A moja etyka podpowiada mi, że mogę cię teraz nie potrzebować.

– Zyskałem trochę czasu. Teraz mogę nic nie robić.

– Tracisz czas.

Działanie nie przebiega według stałego wzorca.

Metodologicznie – za sprawą czasu – fragmenty mogą stanowić serie i ciągi.

Jednak poszczególne elementy powstałe np. przy rygorze tematycznym albo z zastosowaniem jakiegoś chwytu w jego wariacjach – nadal można skomponować.

Zaleta fragmentu po raz 52.

Intuicja się sprawdza. To prymitywne.

Kristin Hersch, kiedy śpiewa, rzuca ci się prosto do łóżka i nadal pozostaje damą. Nie wstydzi się mówić, że czegoś nie lubi. Cały jej repertuar z sieci można polubić. Kristin, kiedy zagrasz w Warszawie?

No więc wobec poczucia braku ciągłości, a raczej będąc świadomym jej nieodwracalnych zerwań, postanowiłem zapisywać tylko krótkie fragmenty, z których następnie zamierzam składać kolaże, a żaden fragment nie będzie mógł zaprzeczyć istnieniu innego fragmentu, więc może przypadkowa koherencja ustanowi jakiś sposób wiązania, ale przy układaniu kolażu niewątpliwie zajdzie konieczność jego skomponowania. Itd. Tym samym pojawi się iluzja odzwierciedlenia czegoś poza fragmentami, ale zostanie rozwiana przez kolejne ułożenie ich w innej kolejności. Itd.

Centrum upiorów.

Muszę się dowiedzieć, czy to prawda.

Jadę tramwajem, wracam. To znaczy, że jednak dostałem się do tramwaju, w co wątpiłem jeszcze kilka minut temu, idąc chyba Wspólną, czyli moją nie tak dawną jeszcze okolicą, zauważając mnóstwo zmian, jakie zaszły od czasu wyprowadzki. Tramwaj żyje milczącą obecnością pasażerów lub ich rozmowami, nieważne, patrzę za okno starając się obserwować, ale w tej chwili wydaje się to zbyt trudne, więc jedynie przemykam wzrokiem po rozmytej deszczem ulicy.

Naprawdę nie wiem, gdzie jestem, co się wydarzyło tego wieczoru. Uważam siebie za całkiem świadomego, to moment kiedy ontologia i logika wydają się bezużyteczne, a raczej prowadzą do wniosków, które raz wyciągnięte mogłyby doprowadzić poznającego je człowieka do ruiny.

Nie mam nic przeciwko koncepcji, że świat może wydawać się czasowo inny, ale teraz to już lekka przesada. Sieć. Przez chwilę jestem poza zasięgiem i mogę wybierać tylko połączenia alarmowe. Nawet nie śnię, aby zdawać relację z tej podróży.

W trybie pełnoekranowym. Na pełen etat. Z pełnym zaangażowaniem.

Zaplanowane telefony. Kiedy widzę te znaki, jestem w stanie. Rozmawiam w wyciszonym pokoju. Używam homonimów. Jutro? W porządku.

Mogłaś już przyjąć do wiadomości, że kiedy zaliczamy, zyskujemy lekką przewagę. Dlaczego zawsze chcesz tego co ponad?

Wybierasz okno dla takiego lub innego dobrego widoku, aby po chwili przekonać się, że prawie wszyscy już tam są. Wydaje się, że sprawy zabrnęły tak daleko, że pozostali niedługo też dołączą. Stwierdzasz upływ czasu oraz koszmarny regres. Trwa to przez chwilę, po czym wybierasz inne okno i historia się powtarza. Nikt nie projektuje swoich koszmarów.

Przejęcie szczęściem, pięknem, młodością, nieznana przyszłością. Wystarczająco silne przed 10 laty, aby wystąpić prawie tak samo czysto obecnie. Wiesz teraz więcej, masz tworzyć dojrzej. Masz kogoś, do kogo możesz mówić.

Teraz nie ma tu nikogo, ale świat może się obnażyć także wtedy, gdy przebywasz w tłumie.

Zależnie od przypadku. Jaki to rodzaj zależności? Zależnie od przypadku. Odpowiedź znowu wypada różnie.

Wyrzuć swoje złote myśli, wyrzuć kartkę z listą rzeczy, które lubisz robić najbardziej. Dlaczego mam nie poświęcać czasu na myślenie o L, a raczej o jej krótkim urlopie?

Niech przefarbuje włosy na kwiecień, kiedy powróci.

Fragment poddawany działaniu czasu. Bez przerwy.

Niewątpliwą korzyścią płynącą z tego procederu jest uzyskanie możliwości, nie mówienia już więcej, zamilknięcia według życzenia. I powrotu.

Opiszę teraz główkę zapałki.

Jest niewielka, szorstka, ma kolor bordowy, który stanowi prawie kuliste zakończenie zapałki. Posiada pewną twardość, jest także czymś, ku czemu wzrok badający zapałkę, zwraca się w pierwszej kolejności.

Nie mówię o tym, co z główką zapałki można zrobić.

Ludzie przyzwyczajają się do psów i kotów.

Ludzie przyzwyczajają się do piosenek i dochodów. Przyzwyczajanie dzieli ludzi według lubianych gatunków.

Otrzymane zdjęcie przedstawia wikinga, co łatwo poznać po rogach na jego ciężkim hełmie. To musi być biesiada wikingów, stół suto zastawiony trunkami i mięsivem zwierząt ze skandynawskich lasów. Wiking jest rozbawiony, jak żaden inny przed nim wiking, choć lud to skory do zabawy. Za chwilę wstanie od stołu, da satysfakcję swojej kobiecie, będzie myślał o nowych podbojach i

o słowach Gunara, które stawiają go w niekorzystnej sytuacji jako dowódcę okrętu. Przed snem, zmożony winem, z pełnym żołądkiem, bowiem rok jest dostatni, będzie spoglądał w zimne gwiazdy, da swojej kobiecie satysfakcję po raz kolejny. Ale na pewno nie przepuści Gunarowi jego tchórzliwych kłamstw. Bogowie nad nim czuwają.

Czekaj. Trwa pobieranie.

Kim Deal ma cudownie niski głos. Dobiera do niego brzmienie gitary, dobiera twarz, śpiewa piosenki miłosne, igrając z niejednoznacznością miłości. Pozdrowienia dla Kim Deal. Wiem, że to przeczytasz.

Wiem, co będę robił jutro wieczorem. To samo co dziś wieczór, ale inaczej. Dziś wieczór także jest inaczej.

Eksperyment zawiera w sobie komponent fizjologiczny, to znaczy zwiera w swoim przebiegu odniesienia do rytmu dobowego ciała. Mniej lub więcej snu. Itd.

Dopóki eksperyment trwa – nie ma to znaczenia. Czyste spełnianie.

Wiem, jakie błędy popełniałem, wiem dlaczego i z jakim skutkiem. Serie. Cykle. Albo notacje bez związku.

O nie, w piosenki mnie nie wrobisz. Nawet nie wiesz, jakie struny we mnie poruszasz. Pierdol się ze swoim rytmem.

Powszechne unikanie dyskusji.

Można znać siebie doskonale, ale to, co wewnątrz zupełnie się wymyka.

Czekamy na preteksty lub staramy się je powodować. Inaczej nie potrafimy się spotykać.

Niektóre preteksty nie są okazjonalne.

Kamera udaje przedmiot, który nie istnieje. Mówię do jednej osoby, występując w imieniu innej. Wcześniej zebrałem słowa nieodzwonne, zostaje ich wypowiedzenie. Ale, proszę pani, zebrani tu ludzie, to wcale nie jest jedna osoba, a wyobraźnia operuje zbyt miękko, aby móc na nią wpływać. Nie inaczej niż zabawa. Kultura na kółkach – to dlatego tutaj jestem. Zebrane słowa, kamera, która sprawia, że istnieję, wręczanie.

Odbieram sobie, co nie moje.

Znaczenie jakie przypisujesz temu przedmiotowi, blokuje twoje postrzeganie go. Hej, to nie jest święte. To jest kamień.

PJ Harvey porywa do ciemnego wielkomiejskiego centrum, cała szalona, wrzeszcząca, sławiąca eksces i cierpiąca tak bardzo, że jej muzyka nie ma innego wyboru, jak tylko paść w objęcia niecierpliwych rąk. PJ, PJ, och PJ!

To się odradza. I ginie. I odradza się. Ginie. Nigdy tak samo.

Zbytne zdyscyplinowanie nie sprzyja mi zupełnie. Zabieram cię w podróż, abyś wiedziała, że już jesteś w podróży. Legal form. Czy znasz pojęcie systemu aksjo-normatywnego? Płacisz kontrybucję za przebywanie w swoim mieszkaniu i podlewanie kwiatów. Bierzesz pod uwagę słońce.

Chwałę cudzą mądrość, swojej nie znając. Mądrość.

Przekonujące idiolekty.

To czego chcemy i tak, jak chcemy. Otwarte sentencje i anegdoty.

Urządzić sąsiadom dzień bez muzyki.

Noc także jest zamiennikiem. Można ją przehandlować z zyskiem. Stracone sprawy noc podejmuje na nowo.

Do tej pory rzeczy były rekwizytami, podlegały sile wyższej lub ją stanowiły.

Aktorzy jak my. Nieludzy aktorzy wynajmowani za pieniądze, albo tak zamożni, że wolą własne produkcje: tornada, huragany, tsu-nami, meteoryt przedzierający się przez ziemską atmosferę, igrzyska w Soczi.

Rzecz społeczeństwo. Rzecz przyroda. Podmioty działania.

Nowi aktorzy, którzy mają niewytłumaczalne inklinacje ku systemowości, próbują nam coś powiedzieć. Zakładają szkoły personifikacji i każą nam tam uczęszczać.

Kiedy skończy się muzyka, światła zgasną same. Prosimy nie zmieniać miejsc i pozycji.

Patti Smith walczy o lepszy świat i wydaje się być niezrównana. Na okładce płyty Dream of life w jej wzroku widać narkotyczne niezaspokojenie i oddanie, nie liczące się z konsekwencjami. Lubię refren pierwszej piosenki tego krążka.

Coś sobie obiecuję przez niekładzenie się spać racjonalnie wcześniej. Piję następną filiżankę mocnej czarnej herbaty i – . Spełniam to, do czego przysposobiłem siebie sam i sprawia mi to niezwykłą przyjemność.

Nie znam lepszego słowa niż jasność. To wtedy, gdy umiejscowienia rzeczy łączy zrozumiała sieć relacji, zmysły pracują według planu, a ogólność wniosków wydaje się odsyłać do jeszcze większej, nieznanej ogólności. To przedmioty na tym biurku. Nieosiągalna pewność. Bardziej ruch niż spoczynek.

To trochę tak, jakby wiedzieć, kim jest drugi człowiek.

Oznajmił, że chce się położyć i usłyszał stronę zmierzającą do tego samego, ale w innym łóżku. Oto cały takt tej chwili.

Nic do powiedzenia. To ten przypadek.

Check. Pass.

Co dekonstruuje? Rzeczywistość.

A co ja dekonstruuje? Także rzeczywistość. Odpowiedź wypada różnie.

Zdaje się – i im silniej, tym (wielkość skutków). (Nieprawda).

Pośpiech. Zupełnie nie wiem, co z tym zrobić. Nawet, gdy zabiegam o zwykły spokój – śpieszę się. Nie zostawać przy końcu stawki. W ten sposób jeszcze nikt nie przeciął mety. Długie dystanse wymagają znajomości swojej formy i odpowiedniej strategii wydatkowania sił.

Pierwsi. Ostatni. Pierwsi.

Pośpiech to tylko skurcz żołądka, z którym szkoły uczą sobie radzić.

Liczby pierwsze. Trzy pierwsze. Odliczanie?

Wskazuje wszystko, teraz wystarczy znaleźć wdzianko i wyskakujemy na miasto. Chłopcze. Tak, liczy się doświadczenie, także to pomijane w cv. Pomijanie i styki, gra neutralna. Każdy wskazuje swoją gwiazdę. Moja jest zimna i srebrna, wyjątkowo jasna. Włosy światła czy też niebieskie światło na twoich włosach. Dziewczyno. I choć to niemożliwe, zawsze marzy się pobłądzenie w drodze powrotnej.

Prawdziwe rozpoznanie. To się potwierdza. Liczba mnoga.

Nastrój.

Ktoś dobiega do drzwi. Drzwi są automatyczne i zrobione z półprzezroczystego szmaragdowego szkła. Rozsuwają się. Teraz widać salę pełną ludzi, zajęć, mówienia i kupowania. I znajdujesz się tam nie z własnej woli, ale nie przeszkadza to w przeżyciu poczucia przebywania we właściwym miejscu oraz czerpania radości z obrotu spraw.

Konieczność nie dla wszystkich.

Jednak kiedy się objawiasz w świecie, pamiętaj że jesteś tylko człowiekiem.

Dalsza korekta nie jest potrzebna.

Radość z tego, że piękno powraca po przemyśleniu śmierci, która ciągle daje nam życie. Matematyzacja i brak podstaw. Doskonałe przygotowanie do opowiedzenia tego, w czym wzięliśmy udział.

Eksperyment niespowodowany albo zdarzenie, które nie może być ujęte inaczej niż jako eksperymen-
t. Nawet to są utarte ścieżki.

Ukraina przypomina o broni. Przez moment chociaż historyczne istnienie. Biało-czerwona fantazja. Myślenie o układaniu sobie życia w nowym porządku, już po wojnie. Myślenie o walce w batalionie pod dowództwem dziadka albo ojca. Albo o codzienności słabo zaopatrywanego miasta. Tamten wiersz o Rosji sprzed czterech lat nagle zyskuje na aktualności. Wiesz, mobilizacja. Wiesz, o czym mówi pokolenie, które odchodzi nagle. Rano złe sny wyrzuca się z głowy. Pokój.

Tylko czasem tak jakoś najdzie człowieka, żeby wziąć ten ołówek, jako że długopisu ani pióra nie używa, i zapisać coś na kartce, zamiast walić w tę biedną klawiaturę.

Ludzie przyzwyczajeni do pewnych czynności, inaczej myślą. Ludzie przyzwyczajeni do pewnych czynności, inaczej piszą.

Ludzie przyzwyczajeni do pewnych czynności, muszą się odzwyczaić i zacząć robić coś innego.

Byłem tam i widziałem. Opis minimalny.

Ty też możesz się tam znaleźć. Ale nie możesz tego zauważyć.

Ludzie przyzwyczajeni do pewnego typu rozmowy, inaczej patrzą. Ludzie przyzwyczajeni do pewnego typu rozmowy, inaczej mówią.

Ludzie ci właściwie nie rozmawiają, niemniej są wyjątkowo rozmowni. Ludzie przyzwyczajają się do słów, które trzymają ich ściśle.

Zauważasz, więc wchodzisz. Zostajesz zauważony. Ten moment przesądza metodę dalszej korekty.

Wszędzie tylko częściowe rozpoznania. Ta pani zaraz coś do ciebie powie.

Znane ci jest pragnienie opuszczenia świata? Nie poprzez śmierć własną, na pewno nie poprzez śmierć. Pragnienie bycia gdzieś indziej. Ciągłe przeprowadzki w niepodzielnym świecie.

Nie używaj wyobraźni reaktywnie.

Świata nie da się opuścić.

Powtarzasz, powtarzasz, powtarzasz i zamiast się znudzić, dochodzisz do perfekcji, która jest nudna.

Żyć i działać. Nowe opisy, w które uwierzemy.

To, co warte wysiłku pozwala ten wysiłek znieść. Więc wartość mierzona wysiłkiem, musi mieć także inną miarę. I dlatego, że wysiłek staje się sprawą drugorzędną, może być podejmowany.

Czuję potrzebę powiedzenia o tym, czego zapomniałem. Paradoksalna bezsilność.

Niepomyślność – może tak.

Znacznie wyżej na skali odpowiada bardziej.

Pomiar standardowy, skala dobrana odpowiednio, więc wynik niekwestionowany. Aksjohedonistyczna obowiązku.

Pracujesz, budzisz się, budzisz się, pracujesz. Biały ekran także trzeba czymś zapełnić. Zasypiasz. Cała tajemnica.

Zdarza mi się budzić rano, nie znać celu.

Chwilowo nie mogę.

Nie wiem czy jutro.

Niewidzialna bitwa

Waldemar Jagliński

Największa Kropla Światła wybrana z Przedwiecznej Bieli – matki Tęczy. Kropla ożywiona w Doskonałości Ukrytej i skropiona powagą Czerni. Hołubiona w Blaskach Wysokich, w radości i w pierwotnej ciszy. To najszersze kosmiczne skrzydła sypiące iskrami gwiazd, załącznikiem Tęczowej Kuli. To ten, który jest atlasem wielobarwnych słońc i wirem galaktyk Niewidzialnego Architekta. To ten, który nosił światło dla czerwonych ludzi. To ten, którego zrzucano z Najwyższej Góry, córki Przedwiecznej Bieli. Wyrzucono go z Pierwszego Domu Pierwszego Świata. To ten odrzucony od Złotej Bramy, prowadzącej do Pierwszej Myśli. To ten, który zakłada barwne maski, przywdziewa rdzawy pancerz i odkłada skarłate skrzydła.

To ten, który wciąż czeka.

Dla czerwonego człowieka, stworzonego na obraz Architekta i zaproszonego w niebieskie progi, ożywiona Czerń nie ma końca, ale ma swój początek. Wyrasta z Przedwiecznej Bieli jak Noc po długim, Pierwotnym Dniu. Znużony nim Architekt zaślania Pierwsze Światło, a w kropkach Czerni formuje nowe myśli.

Jedna z pierwszych przybiera formę świetlistej, skrzydlatej postaci. Motyla na tle mrocznej ćmy. Życia zrodzonego z krótkiego, lecz potężnego błysku Ojcowskiego Umysłu. Życia, które potrząsa gwiazdami, a światom każe wirować. Postać ta jest bratem Miłości i Tarczy. Może być białym promieniem w ciemności albo kimś, kogo rozpozna obserwator – mały czerwony człowiek ulepiony w niskości. Na dnie Tęczowej Kuli Gwiazd.

Świetlista, skrzydłata postać stawia podwaliny barwnych światów, w Niższym Ogrodzie budzi czerwonego człowieka i obiecuje mu orle skrzydła, spaceruje po najbielszych wyżynach i najczarniejszych nizinach, z jaszczurczym uśmiechem stoi obok krzyża Miłości, ogniem i żelazem toruje sobie drogę i pije absynt nad Sekwaną. Świetlista postać pała rządzą władzy, a swój tron pragnie wynieść ponad gwiazdy. Ponad Tęczową Kulę – podnózek Niewidzialnego Animatora i jego Najwyższej Góry. Na drodze Świetlistego staje biały brat. Złota Gwiazda.

* * *

To odważny błysk Pierwszego Światła. Szlachetny syn Przedwiecznej Bieli. Archanioł tęczyowych

słońc. Biała wieża i mur dla wszelkiej wrogości. Strażnik czystych przestrzeni. Najwierniejsza Tarcza Animatora i Niebieskoskrzydłych. Orzeł pośród wróble. Błyskawica w stworzonej wolności. Dla Świetlistej Postaci jest bezwolnym głupcem i tchórzem. Tak, jak każdy wojownik jego Białej Armii.

Złota Gwiazda ostatecznie odrzuca buntownicze myśli i głosy skrzydlatych braci, stając na zwieńczeniu Złotej Bramy. Na wiecznym, Kryształowym Berle Animatora. Nad Błękitnym Szczytem Najwyższej Góry. W wiekiustym, Niebieskim Ogniu. Między jasnymi skrzydłami swego wojska, które wypłynęło z wysokości jak szlachetne okręty Białego Króla. Jak prawica Architekta.

Gwiazda patrzy w szeroką, czerwoną dal: czarne chmury rebeliantów przesłaniają już ognisty horyzont Drugiego Świata, zrodzonego ze ślepych żądz. Buntownicy kłębią się jak zniecierpliwienie. Gotują się jak ślepa nienawiść. Stwarzają czarną pięść rewolucji. Ponad nimi, jak ciemny parasol zła, rozwija skrzydła ich wyniosły wódz. Niosący Czerń. Ten, który czeka w Mroku Wysokim.

Gwiazda patrzy w prawo: jego Szmaragdowy Generał zawisa nad armią. Unosi dwie pary potężnych skrzydeł, osłaniając Błękitny Szczyt Najwyższej Góry. Szczyt Pierwszego Świata. Szmaragdowy stawia wielkie pióra, kosmiczne miecze nadziei. Dodaje sił jasnym legionom. Jest Zielonym Ostrzem Białego Króla.

Gwiazda patrzy w lewo: jego Srebrny Generał unosi się nad połową armii. Pociesza ją mądrym słowem, wznosząc w pozdrowieniach białą dłoń. Jego moc pokrzepia każdego jasnego wojownika. Generał jest Niebieską Tarczą Białego Architekta.

* * *

Błękitny Szczyt tonie w Niebieskim Ogniu. Jasne legiony wypełnione są płomieniami Życia – pierwszymi dziełami Animatora. Przedwieczna Biel Pierwszego Świata zabarwiona jest złotem i czernią. Obecnością Gwiazdy i armią butnej Świetlistości. Biel huczy uskrzydłonym wojskiem. Tęczowym wirem bitewnym.

Złota Gwiazda uderza z wyniosłej bramy. Z lśniącego majestatem Pierścienia Pańskiej Sió-

demki. Jasne pióra jak kosmiczne miecze ścinają buntownicze głowy, gdy wódz wiruje niczym nagła śmierć. Jego skrzydła rozłupują smoliste pancerze i kaleczą dumne twarze. Skrzą się w straszliwych błyskach. W potwornych zmaganiach wysokich sfer.

Szmaragdowy Generał walczy po prawicy. Zielone ostrza jego oręża z piór przecinają wrogie tarany, rozrzucają krwawe strzępy i niszczą istotę czarnych legionów.

Kirowy Deszcz spada z Białych Wysokości. Dalekie niziny dotknięte chorobą.

Srebrny Generał wiruje po lewicy. Wznosi żyjący mur. Rozbija się na nim ostatnia Pięść Nienawiści. Trzeci dowódca gruntuje Niebieską Tarczę.

Lecz przed Białą Armią zawisa Niosący Czerń. Ten, który czekał wysoko.

Mrok rozszerza się. Jego smoliste macki oplatają Błękitny Szczyt. Szarpią złotym pierścieniem bramy. Wznoszą się ponad Niebieski Ogień. Duszą każdy oddech.

Złota Gwiazda strząsa czarne kajdany. Podnosi białe skrzydła. Oddycha Pierwszym Światem. Do boju rzuca kwiat swojej armii.

Jasne legiony w bitewnych zawirowaniach. W bohaterstwie i w poświęceniu. W kirowych maczach Świetlistego Księcia. W złamanej zieleni i w splekany srebrze. W ramionach ostatniej czerni. W szponach nicości.

Tak więdnie Biały Kwiat Najwyższego Błękitu, a generałowie krzyczą w ranach.

Chmurzy się jasne czoło Złotej Gwiazdy. Rośnie biały gniew. Miecze mocarnych skrzydeł wznoszą się w Niebieskim Ogniu. Błyszczą w Siódmym Pierścieniu. Żyją w wiecznym duchu Największego Animatora.

Serce wojownika skreśla brata.

Uderzenia mocarzy potrząsają Najwyższą Górą. Kryształowymi pałacami niebieskiej arystokracji. Wieżycami sześcioskrzydłych, przybocznych Niewidzialnego Architekta. Twierdzami cierpliwych Moc. Księstwami Wysokiego Ognia. Spadają ciemne i jasne ciosy. Burzą prądną Białą Głębię. Kłębią się światy, drży podnózek Najwyższego Animatora – Tęczowa Kula Gwiazd. Chwieje się w niej mały dom czerwonego człowieka.

W krótkim błysku największej mocy rozpalone miecz skrzydła Najwierniejszego Wojownika Białego Króla, rozbija czarny kirys rebelianta. Niosący Czerń upada w Przedwieczną Biel.

Świetlisty Książę dostrzega swoją klęskę. Na

chmurnej twarzy rodzi się strach. Smolisty mocarz spada z pierścienia pańskiej bramy. Uciekają białe przestrzenie. Coraz szybciej łączą się kolory Najwyższej Góry. Obrazy odrzuconego szczęścia, nabierają barw. Szponiasta dłoń rysuje złoto ścian. Piękno Pierwszego Domu. Szpony łamią się, drżą bezsilne palce. Zamykają się kryształowe okiennice Niebieskoskrzydłych. A w mglistych nizinach – Tęczowa Kula Gwiazd zatopiona w czerni kosmosu.

Tak, jak mały, szary świat czerwonego człowieka.

Złota Gwiazda staje dumnie na Królewskiej Siódemce. Uśmiecha się. Oddycha Białą Pierwszego Świata.

- Victoria!

Głos Białego Wojownika brzmi jak piękna melodia.

* * *

Chuda, smutna istota. Kłoszard. Siedzi przygarbiony, okryty zniszczoną, czarną marynarką. Na tyśej głowie zgnieciony cylinder. W splekanych dłoniach – obity kielich zielonego trunku. Wokół – kawiarniany gwar. Głosy nocnego Paryża.

Kolejna noc w czarnych wiekach. W epokach odrzucenia i łapczywego chwytania ludzkich dusz – niewidzialnej energii dającej światło dnia. Otwierającej długie lata oczekiwania.

Rośnie jednak światło w ciemnych oczach włóczęgi: potężny krąg mrocznych, uskrzydłonych postaci, które zawisły nagle przed nim, nie może być złudzeniem! To grono pożerających Niziny i urastających do Wyżyn. Miecz Odwetu. Oręż z prastarego, Kirowego Deszczu. Duma i nadzieja!

I widzi go on, Pradawny Przegrany.

- Chmury ludzkich dusz jak rosnące słupy ognia i płomienne skrzydła. Jak brama do Białych Wysokości! – głos czarnych istot rozbrzmiewa poręką.

Chuda istota wstaje. Chwiejnym krokiem odchodzi od okrągłego stolika i opuszcza małą kawiarnię. Czerwoni i nieświadomi sączą swoje wzloty i udręki.

Przed odrapanym wejściem pustka i cisza. Kłoszard patrzy w rozgwieżdżone, letnie niebo i zaciska dłonie, z których wyrastają czarne szpony.

- Wróć tam, niesiony pewnością okrzepłego wojska! Moje ostrze znajdzie Niewidzialnego!

Głos pijanego kłoszarda jest skrzekliwy.



Coraz trudniej

Mariola Kokowska

Coraz trudniej było oddzielić strumień własnych myśli od strumienia ulicznego szumu i gwaru. Na Starym Mieście gołębie hałasują, skrzydłami łopocą wzniesając kurz w wesołym wietrze, krążącym między przechodniakami. Wizja świata oparta na strukturze ulic, szarych krawężników, jeżdżących samochodów, kamienic i domów – okazuje się pozorna. Leży w niej, w jej głębinach, poczucie wyobcowania. Chociaż, ujarzmiając obcość i bliskość, ludzie uczestniczą w życiu – w kłótniach małych i dużych, domowych i sąsiedzkich, ulicznych i nieulicznych. Każdych innych, jakie tylko mogą zaistnieć w relacjach. Oprócz nich, można znaleźć też spokój, ale trzeba przejść dalej, dalej... Tak, to tutaj, idąc krok za krokiem, kiedy nadchodzi kolejna pora roku, można natknąć się na filozoficzną debatę. Mija wiosna i zapach bzu, letnie burze odchodzą w dal, złoty liść opada na trawnik, a za nimi – nadchodzi balansujący jaśniutkim śniegiem surowy chłód. Zawsze znajdą się tacy, co powiedzą: Nie filozofuj! Po co ci te historie o tajemnicach istnienia?! Tak było i teraz. Zaćmienie świata przyszło. Stało się tym, co można wziąć za zaćmienie słońca, gdzie nie widać tego Niebieskiego filozofa, tego Wielkiego Nieoczywistego. Jego ślady, tak oczywiste, stały się dzisiaj nieoczywiste, jakby ktoś odczarował dotychczasową rzeczywistość i ukrył wszystko, co się z nim wiąże. Zaćmienie słońca stało się jak zaćmienie świata, jakby to był jego ostatni dzień. A jednak Filozof jest. Do dziś porusza wyobraźnię ta chwila, złowroźny znak zwiastujący apokalipsę. Słońce może kiedyś wygasnąć, w myślach może pojawić się jego antyteza – czarny dysk zawieszony na niebie. I po co filozofia skoro jest astronomia? Czarne Słońce, powiew zanikającego światła, w kosmicznej pogoni za widowiskiem, za myśleniem, za irracjonal-

nym lękiem, jaki towarzyszy temu zjawisku. Wszystkiemu, co znasz. Czarne solarium znajduje się w kręgu cywilizacyjnego zamieszania. Najwięksi Myśliciele świata od rozwiewania obaw, przechadzają się po Starym Mieście jak u siebie w domu – są widoczni nieopodal Syrenki i Wiły. Spacerują w głąb czasu w zgiełku – po ulicy Jezuickiej, Kamiennych Schodkach i Świętojańskiej, przy Floriańskiej. Od jednych do drugich myśli przechodzą, powstają tematy i koncepcje, rodzą się gatunki, tworzą legendy i baśnie. Tyle w tym przypadkowości, co nieprzypadkowości i świetności. Wygłaszają swe świetne poglądy. Słuszne. I na wszystko racje. Nie porzucają filozoficznego żargonu i uporządkowanej argumentacji. Jednak niedaleko, może nawet całkiem blisko, ale z dala od hałaśliwego miasta, myśliciele mogą znaleźć wszystko, czego potrzebują, by złapać oddech. Wypoczynek blisko natury i relaks na poziomie zagajników i zieloniutkich łąk, które pozwolą im raz jeszcze spojrzeć przed siebie i zająć się naturą istnienia. Błąd jest przywilejem filozofów zgiełku. Tylko ofiary życia się nigdy nie mylą, jeśli nie mogą dostrzec powiązań tam, gdzie nikt inny niczego wokół nie widzi. A przecież można by pójść krok dalej i sobie powiedzieć w myślach, krążących wokół szczególnego rodzaju nowiu: Niebo gwiaździste nade mną i ... we mnie¹. Czym one są, kiedy pojawiają się nocą? Czym jest ten bezgraniczny przestwór otwarty, usadowiony w generacjach świadomości, w okamgnieniu – przeglądając się w lustrach krystalicznych wód poza polem widzenia, przekraczającym granice światła?

11. Kant - „Krytyka praktycznego rozumu”.

Adam Wyrwa

Przychodzi i zagaduje, żeby zapisywać słowa w kompozycjach i ustawieniach, o których nigdy nie słyszałem.

Językiem moim dotąd była cisza.

Kiedyś wiało przez trzy dni, trzeciego dnia wiatr przyniósł nad naszą wieś mały czerwony latawiec.

Nie miał sznurka, był wolny.

Na ogonie trzy, też czerwone, kokardy.

Ludzie nie wiedzieli, co o tym myśleć.

Nie pisz o latawcu, napisz o ludziach z podniesionymi głowami.

Napisz, jak wiatr rozwiewa im włosy i poły ubrań.

Konieczniesz o dzieciach pędzących, prawie fruujących jak stado szpaków, w kierunku z którego wiatr przyniósł latawiec.

Widzisz, temu chłopcu zdmuchnęło czapkę.

Widzisz to, widzisz?

Podnosi ją, zakłada, a rękawem wyciera zasmakany nos. Nie ma twarzy, bo się zatarła.

Nie żyje już.

Umarł z tęsknoty czy wódki. Wszystko jedno.

Teraz jeszcze biegnie, dogania grupę dzieciaków.

I jeszcze o tym, jak powstrzymujesz się, by nie rozkładać rąk, kiedy w plecy uderza silny po-

dmuch.

O tym smutku, kiedy przychodzi świadomość, że nie polecisz, na pewno nie polecisz. Zamykasz oczy i twoja dusza szybuje, twoja dusza jest duszą ptaka.

Zapisz to.

Zapiszesz! To nic, że znaki są niezrozumiałe i prawie niewidoczne, jak ruchy rozpiętych skrzydeł, jak ruchy oczu pod zamkniętymi powiekami.

Tych dwóch pod sklepem też zapisz.

Jeden nie zszedł nawet z roweru. Piją piwo.

Piwo jest dobre, bo jest świeże.

Szybkami butelek wskazują na niebo.

Niebo jest ciemnogramatowe. Latawiec jest czerwony i ma trzy kokardki z bibuły.

Wiele trzeci dzień. Drzewa się kołyszają.

Najwyższy jest klon koło szkoły, a może lipy na cmentarzu. Latawiec szybuje wyżej.

Wiatr uderza w plecy.

Napisałeś?

Napisz to. Zapisz. Nie pytaj.

Adam Wyrwa

Dotknięty obłędem José Arcadio Buendía, przywiązany do drzewa, patrzy na drogę. Kiedy przechodzę koło jego domu, nie jest to już takie pewne, gdzie patrzy i co widzi, jeśli może być coś pewnego w spojrzeniu obłąkanego.

Minie jeszcze parę lat, zanim Cyganie przywiozą ciemne, lusterkowe okulary. Do tego czasu musi mu wystarczyć cień pod rondem kapelusza.

Nie jest pewne, czy drzewo do którego pnia przywiązany jest José Arcadio Buendía, posadził on sam, kiedyś kiedyś, dawno temu. Jeżeli tak, byłby to kolejny symbol.

Jeśli umiejętności czytania i tłumaczenia symboli mogą być przyczyną obłądki na starość, to niestety mam ku temu predyspozycje. Całe szczęście, że jestem tylko zwykłym pasterzem kóz. Poganiaczem bydła.

Najemnym parobkiem do pracy w polu.

José Arcadio Buendía wyczekał do ostatniej chwili i krzyknął:

- Amigo! Amigo!

Podszedłem. Nikt mnie nie widział. W zacienionym miejscu na patio, skrzeczały ptaki zamknięte w klatkach.

José Arcadio Buendía śmierdział moczem i tym nowym środkiem chemicznym na mrówki.

- Daj mi pić. Zapłacę ci złotem.

Pod drzewem stał gliniany dzbanek i blaszany kubek, taki sam, jakiego używają zbieracze kauczuku. Nalałem i podałem mu.

Pił. Kilka kropel spływało po brodzie.

- Rozwiąż mnie, a pokażę ci, gdzie Hiszpanie ukryli skrzynię ze skarbem.

Zdjąłem z ramienia moją pasterską torbę, wygrzebałem z niej garść monet i podsuną-

łem mu przed obłąkane oczy.

Nie patrzył na złote pessety. Przyglądał się mrówce, która właśnie doszła do końca swojego kciuka i zawracała w kierunku nadgarstka. Przyglądał się mrówce, ale co widział, nie wiadomo.

Wtedy jedna z kolorowych papug zaczęła krzyczeć:

- Amigo! Amigo! Daj mi pić! Amigo! Amigo!

Wróciłem na ulicę. Bezpańskie psy śpiące dotąd w cieniu migdałowca, ruszyły za mną.

Samotności doświadcza się wtedy, kiedy nie ma się nikogo, kto w razie gdybyś zwariował, mógłby przywiązać cię do drzewa, żebyś nie zrobił nieumyślnej krzywdy komuś albo sobie.



Było tak

Aldona Latosik

Dzieciństwo, jedynej spośród trojga rodzeństwa dziewczynki, było raczej pod górkę, ale do nakazów i zakazów zdołała się już przyzwyczaić. Podobnie zresztą jak do chodzenia wieczorami na tory, by zbierać węgiel. No cóż, czasy były trudne, a w domu się nie przelewało.

Najgorzej bywało zimą, kiedy szczypał mróz, zawieja smagała drobnym śniegiem po twarzy, a małe nóżki przemarzały w dziurawych trzewikach. Siedziała wtedy ze stopami zanurzonymi w miednicy z zimną wodą, póki nogi się nie rozgrzały.

Nikt nie pilnował tego, żeby zdobyła jakieś wykształcenie, zawód, a małolacie to pasowało.

Przynajmniej nie pastwiono się nad nią, gdy nie zdążyła odrobić zadania domowego. Gnano ją jednak do pracy.

- Nie będziesz siedziała w domu, gdy robota jest w rozlewni atramentu- mówił ojciec.

Wracała stamtąd z granatowymi rękami, bo trudno było jej się domyć w zimnej wodzie bez mydła; ale budżet domowy zasilala. Zarobione pieniądze musiała oddawać, a potem prosić o nie, np. na nowe rajstopy. Marzyła, żeby ubrać się ładnie, jak inne dziewczyny. Chciała kupić sobie nową sukienkę, ale musiała zadowolić się znośnymi, które dostawała po innych.

W rodzinie byli rozliczani ze wszystkiego, a mama nawet z pięćdziesięciu groszy, bo tyle kosztował miejski szalet. Pracowała nocami, ale to mąż odbierał pensję jej i młodszego syna.

Dorośla już dziewczyna postanowiła pójść do szkoły średniej. Marzyła o pracy w biurze. Rozpoczęła więc naukę w szkole wieczorowej dla pracujących przy liceum ogólnokształcącym. Skończyła też kilka kursów, które pozwoliły jej wreszcie usiąść za biurkiem. Z pracy wracała przed piętnastą. Z racji nauki, mogła wycho-

dzić z niej godzinę wcześniej, by zdążyć na szesnastą do szkoły. W międzyczasie trzeba było jeszcze uporać się z domowymi obowiązkami, bo jeśli nie zdążyła umyć naczyń i ogarnąć mieszkania, nie mogła pójść do szkoły.

Lekcje zazwyczaj odrabiała na kolanie, w tramwaju. Było jej ciężko, więc postanowiła wyprowadzić się z domu, żeby chociaż w małym procencie spełniać swoje marzenia. Wynajęła pokój, zdała maturę, ukończyła kolejne kursy i wtedy jedno z marzeń się spełniło.

Dostała pracę jako fakturzystka. W końcu mogła usiąść za biurkiem w wbudowaną w nie maszyną księgową „Ascota”. A że była dziewczyną ambitną, szybko awansowała i przez wiele lat pracowała jako starsza księgowka.

Kiedy wychodziła za mąż, ojciec obiecał, że jako jedynej córce, wyprawi wesele, jak się patrzy.

Nie wyprawił, za to na skromnym przyjęciu, które odbywało się u jej teściów, ostentacyjnie wyciągnął plik banknotów, odliczając jako prezent i posag czterysta złotych (czerwonymi setkami), co wystarczyło młodemu na odkurzacz i sokowirówkę. Szczęśliwie wyszła za mąż. Wywędrowała z miasta na wieś, gdzie początkowo trudno jej było się zaaklimatyzować, jednak lata przyzwyczajania się, pozwoliły jej, pokochać naturę.

Sukces wyobraźni

Beata Kępińska

Mąż znajdował się już w łazience, a Bożena wciąż jeszcze, nie otwierając oczu sklejoną żelową maseczką, którą nałożyła sobie na noc, obmacywała prześcieradło i poduszkę w poszukiwaniu jego obłego ciała. To prawda, że często wyśmiewała się z nadmiernej tuzszy i rozlazłości Kazimierza, ale prawdą było także to, że teraz tęskniła do małżeńskiej bliskości. W tak zwanym kwiecie wieku uniikała jej jak mogła, gdyż wówczas jak ognia bała się zapłodnienia. Urodziła i wychowała jedno dziecko i przyjemności wynikającej z macierzyństwa miała aż nadto, a Kazio i jego mamunia chcieli, by była rozplodową samicą. Teściowa urodziła troje dzieci i uważała, że to jest dla kraju i rodziny niezbędne minimum. Bożena wołała więc szukać przyjemności z seksu poza domem, z mężczyznami, którzy dbali o antykoncepcję i dyskrecję.

Z wiekiem jej seksualne potrzeby zmalały niewiele, a dyspozycyjność wzrosła do stu procent, gdy tymczasem szanse na ich zaspokojenie zmalały praktycznie do zera. Miała swoją godność, więc nie zamierzała płacić za seks jakimś żigolakom, ani wyjeżdżać na wakacje do Afryki, a panowie w stosownym dla niej wieku nie wykazywali już zainteresowania. Mąż także wykręcał się od zbliżeń. Ciągłe był zmęczony lub coś mu dolegało. Tak więc to jego nagłe dobieranie się do jej biustu, bardzo ją zdziwiło. Widocznie wzięta go poranna chuć, ale prostytutka wygoniła z łóżka – pomyślała, słysząc z łazienki odgłos lejącej się ciekłym strumieniem wody, którą wzięta za męzowską diurezę. Kazimierz tymczasem bardzo ostrożnie odkręcił kran i mył się cicho, mając nadzieję, że żona zaraz przewróci się na drugi bok i zaśnie. On bowiem śpieszył się do parku, gdzie każdego ranka jego najatrakcyjniejsza studentka uprawiała jogging. Bożena faktycznie spojrzała spod przymrużonych powiek w kierunku okna i zobaczywszy

granatowe niebo, pomyślała, że jest bardzo wcześnie i mąż zapewne wróci jeszcze do łóżka. Ciekawe – zastanawiała się. Czy po tak długim sikaniu, będzie jeszcze pamiętał, że przez moment obudził się w nim mężczyzna? Jeśli zacznie udawać, że nic się nie stało, to już ja go wezmę w obroty. Niech nie myśli, że może bezkarnie, kiedy ja śpię, dotykać moich erogennych miejsc, a potem umyć jak zając. To dla mnie niezdrowe. Będę teraz miała przekrwione narządy i mogę nabawić się zapalenia. Ale pocieszające jest to, że żądze w nim jeszcze nie wygasły. Ubzdurał sobie, że w naszym wieku to już nie przystoi. Opowiada androny, że trzeba się starzeć z godnością. A przecież orgazmy są takie zdrowe. Jeśli boi się kompromitacji, to niech się wspomaga lekami. Tyle razy mu mówiłam, ale on jest niereformowalny – pomstowała w myślach, lecz niezbyt długo, bo jednak morzył ją sen.

Bożena zazwyczaj nie wstawiała o tak wczesnej porze. Od kilkunastu lat nie pracowała już na żadnym etacie. Jak przystało na prawdziwą artystkę, a taką się czuła, chodziła spać późno, więc i późno wstawiała. Dawno już i z radością zapomniła o swojej wcześniejszej pracy pedagogicznej. Teraz była jednak pisarką, stworzyła sześć powieści. Sześć słodkich, romansowych historii, którymi bezskutecznie próbowała zainteresować wiele firm wydawniczych. Obrażona postanowiła więc sama zająć się edycją i dystrybucją swoich dzieł i całkiem nieźle na tym wyszła. Mąż zapłacił za redakcję, korektę i pokrył koszty druku. Ona znalazła dojście do kilku znanych aktorów, którzy za niemałą opłatą złożyli swoje bezcenne podpisy pod panegirycznymi opiniami o jej książkach. Nawiasem mówiąc, opinie te napisała sobie sama. Sama też założyła bloga (to najlepszy dowód, że wciąż ma młody umysł i nadąża)

oraz przy pomocy różnych konkursów, zaczepnych pytań, a także ostrych dyskusji na kontrowersyjne tematy, zrobiła sobie reklamę. Zbyt książek za pośrednictwem Internetu dzięki tym zabiegom stale wzrastał, gdyż nazwisko zaczęło krążyć w sieci. Szybko też znalazły się ośrodki kultury, biblioteki i kluby seniora, którym potrafiła wmówić, że płatne spotkanie autorskie z nią bardzo ubogaci lokalną społeczność.

Przekrwione przed chwilą narządy rodne nie przeszkodziły Bożenie, będącej w stanie półsnu i półjawy, w przywołaniu jej ulubionego marzenia. Natychmiast zobaczyła się na scenie podczas wielkiej gali, na której za najnowszą powieść miała otrzymać jakąś prestiżową nagrodę literacką. Była to metoda wizualizacji, mająca spowodować w świecie taki układ energii, który doprowadzi do zaistnienia wyobrażanej sceny w rzeczywistości. Świecie wierzyła w tę metodę i wspomagała ją głośnym wypowiadaniem zdań stwierdzających, że jest wielką pisarką. Pokrzykiwała tak sobie, kiedy była sama w domu lub w bardziej odludnych miejscach podczas nordic walkingu. Po kwadransie takiego głośnego spaceru była wprost pijana ze szczęścia i absolutnie pewna nadciągającego, oszałamiającego sukcesu.

Utworu, który miał ją wprowadzić do grona twórców światowych bestsellerów, nikt jeszcze nie czytał. Nie wysłała go dotąd do żadnego wydawnictwa, choć miała pewność, że tym razem napisała coś, o co biłyby się wszystkie wydawnictwa w Polsce. Ba, może nawet na świecie. Postanowiła więc nie sprzedawać praw autorskich, by całej śmietanki z jej sukcesu nie spili inni. Miała swój wielki plan, ułożony na podstawie kilku modnych książkowych poradników i internetowych artykułów mówiących, jak odnieść spektakularny sukces. W tym planie wspomniane wyżej zaklinanie rzeczywistości, które zgodnie polecali amerykańscy i chińscy uczeni, odgrywało niebagatelną rolę. Wydanie książki wypróbowaną już metodą, za pieniądze pozyskane od męża, uważała za sprawę w zasadzie załatwioną, więc z największą przyjemnością skupiała

się teraz na wizualizacji sukcesu. Nie mogła się tylko zdecydować, czy wyobrażać sobie na razie wręczanie nagrody Nike, czy też od razu przejść do czegoś bardziej światowego. W każdym razie w jej śnie na jawie ściskali ją znani aktorzy i celebryci, a reżyserzy namawiali do bezzwłocznego, póki temat gorący, przystąpienia do adaptacji filmowej i scenicznej.

- Napisałaś dziewczyno, prawdziwy hit! Zobaczysz, zakasujemy „Pięćdziesiąt twarzy Greya”. Ja nakręcę film i zarobimy miliony! – krzyczał jej prosto w ucho, znany ze skandalizujących produkcji reżyser.

- Gdzieś ty się do tej pory uchowała, że ja cię dotąd nie znałem. Zrobimy z tego sztukę. To będzie projekt uniijny za pieniądze z Brukseli. Czujesz? – tłumaczył jej kontrowersyjny twórca teatralny. – Obsada w tej sytuacji musi być gwiazdorska, a pikietki protestujących pod teatrem, będą nam napędzać publikę.

Tak, czuła to wszystko i ogarniało ją ogromne szczęście. Ta wizualizacja dawała jej dużo, dużo więcej rozkoszy niż mógłby to zrobić jej mąż, nawet gdyby przedłużył i pogrubiał sobie instrument, nafaszerował się viagrą i jeszcze w cudowny sposób odmłodził o czterdzieści lat.



Greatdogshill

Paweł Jaszczuk

Jędzowata Laura i dziewięcioletni Maks, uzależniony od komórki, nie domyślają się nawet, gdzie teraz jestem – pomyślał Ralph Bennet, gapiąc się na kolorowe motyle, tańczące nad pasemkami szyn, ciągnącymi się aż po horyzont. Zwiewne owady fruwały również przy skalnym kopczyku, na którym zwinna zielona jaszczurka rozprawiała się z upolowaną ważką. Jakby nie dość było wrażeń w odległości około stu jardów uwijała się koparka, pogłębiająca melioracyjny rów. Powietrze wypełniał irytujący warkot silnika, odbierający chęć do głębszej refleksji. Minął kwadrans, nim wreszcie nastała cisza. Operator w niebieskim kombinezonie wyszedł z maszyny, by oddać mocz. Kiedy załatwił potrzebę, zapiął rozporek i sięgnął po coś do kieszeni. Błysk szkła, jak flesz aparatu, poraził Benneta w oczy, więc naprędce odwrócił wzrok w stronę mizernego rozkładu jazdy. Poniżej zastanawiającej nazwy Greatdogshill wypisane były zaledwie trzy pozycje: 5.10, 15.25, 19.08, nie licząc ekspresu, który ani myślał się tu zatrzymywać i z ogłuszającym łoskotem przetaczał się przez stację o 21.17, o czym Ralph, rzecz jasna, nie mógł wiedzieć.

*

Jeszcze poprzedniego dnia przed południem Bennet nie planował wyjazdu z miasta. Na prośbę Samuela Mankiewicza spotkał się z nim w All'angolo, przytulnej włoskiej restauracyjce. Zamówili spaghetti i rozmawiali o Paulu Sommerze, dziennikarzu, który niespodziewanie opuścił ich redakcję.

– Nie, Paul sam by nigdy od nas nie odszedł – powiedział Samuel, ścisząc głos. – Zmusili go do tego, bo był zbyt dociekliwy. Oskarżenia o korupcję zamieniły go w kłębek nerwów i trafił do szpitala psychiatrycznego, a przecież, znamy go obaj, bardziej dbał o innych, niż o siebie. Nosił ten sam dzinsowy komplet, jakby nie miał innego ubrania.

– I wynajmował kawalerkę w kamienicy nad pralnią chemiczną, w dzielnicy, w której lepiej nie pokazywać się po zmroku – dodał Ralph, sięgając po butelkę pepsa. – Chcesz mu pomóc?

Samuel zmarszczył czoło. Patrzył na cień motocyklisty, przesuwający się po ścianie niczym garbaty Quasimodo, bohater z powieści Victora Hugo, której tytułu nie umiał sobie przypomnieć.

– Nie po to się z tobą umówiłem, by plotkować

o Sommerze. Mam coś dla ciebie, Ralph, coś ekstra! – powiedział i pchnął nogą stojącą pod stołem teczkę. Po czym spojrzął prowokująco na przyjaciela. – Straciłeś węch, jak przywiązany do łańcucha pies. Zostały ci same ochłapy po Sommerze, którymi musisz się zadowolić, gdy odszedł od naszego stołu.

– Chcesz mnie wkurwić? – Bennet odstawił z impetem oszronioną butelkę pepsa, ochlapując blat stołu.

– Uchowaj Boże, Ralph! – odparł Mankiewicz przepraszająco i sięgnął po serwetkę. – Nie moja wina, że kiedy bierzesz się za jakiś temat, ktoś zrobił to już przed tobą lepiej! Oczywiście nie byłbyś sobą: wściekasz się, odgryzasz, że jeszcze nie nadszedł twój czas, odkładasz te wszystkie ważne sprawy na potem i dalej trzymasz się swej kulturalnej działeczki: felietoniki, letnie wywiady, czasem recenzje. Mam rację, czy nie?

– Zaprosiłeś mnie tu, by obrażać?

– Sorry, nie miałem najmniejszego zamiaru – przerwał mu Samuel. Przez kilka sekund bawił się widelcem, a potem niespodziewanie wycełował nim w głowę Ralpa. – Grasz w ciemno, czy nie?! – zapytał i szybko cofnął rękę.

– Gram, ma się rozumieć Sam, ale...

– Nic nie mów Ralph więcej, jesteś kupiony! Powiedziałeś gram, nie ma żadnego ale. Pod stołem, spójrz dyskretnie, czeka na ciebie niespodzianka. To nie żadna ściema z Internetu, ale prawdziwe dokumenty, które możesz dotknąć, a nawet powąchać.

– Czyżby wersja papierowa? – zdziwił się Bennet.

– Tak. Poświęciłem się dla ciebie kolego i wszystko wydrukowałem. Do tego masz płytę DVD z zastanawiającym nagraniem. Weź to wszystko ze sobą i na spokojnie obejrzyj.

– Chcesz, bym sam ciągnął pierwszy lepszy temat?

Samuel pokręcił głową: – Nie pierwszy lepszy! On sprawi, że staniesz się sławny, jeśli się go nie wystraszysz.

– A powinienem?

Samuel w odpowiedzi wzruszył chudymi ramionami.

– Możesz mi powiedzieć, skąd to masz? – w głosie Ralpa słychać było zaniepokojenie.

– Mogę – zaczął Samuel łaskawie. – Wczoraj po południu znalazłem w mojej skrzynce na listy zaklejoną kopertę. Nie było nadawcy ani adresata, więc poczułem się upoważniony do jej otwarcia. W środku był pendrive. Nie zamawiałem takiej przesyłki, ale skoro już do mnie przyszła, wetknąłem patyk do laptopa i wtedy moja ciekawość przerodziła się w obawę. Z każdym przeczytanym dokumentem czułem, że temat mnie przerasta, że potrzebny jest ktoś taki jak ty, kto by spojrzął na sprawę świeżym okiem. Długo się zastanawiałem, choć jesteśmy przyjaciółmi, czy podzielić się tym z tobą.

– Nie ściemniaj i odpuść sobie takie gierki – Bennet wbił wzrok w Mankiewicza. – Gdzie jest ten pendrive? Masz go przy sobie?

– Przekazałem go komuś, komu ufam nie mniej niż tobie, wystarczy? – odpowiedział Samuel.

– Czego dotyczą te dokumenty?

Mankiewicz zwlekał z odpowiedzią i w momencie, gdy szykował się do niej, na jego sfatygowanym iPhone spoczywającym przy talerzu, wyświetlił się jakiś numer, który najwyraźniej zaniepokoił go, bo pośpiesznie schował telefon do kieszeni.

– Dotyczą ciebie, mnie, nas wszystkich – odpowiedział niejasno, po czym niespodziewanie wstał od stołu, uściśnął rękę Benneta i skierował się ku wyjściu. W drzwiach rzucił jeszcze na odchodne: – Zapłać rachunek, potem się rozliczymy. Nic więcej nie mogę ci na razie powiedzieć, ale...

– Ale, co?

– Bądź ostrożny! – krzyknął i wybiegł na ruchliwą ulicę, jakby go ktoś gonił.

Ralph zaskoczony nagłym wyjściem Mankiewicza, rzucił za nim: – Idź, do cholery!

Wściekły na zachowanie kumpla skończył spaghetti, zapłacił rachunek i z podarowaną teczką ruszył do pobliskiej stacji metra, by po dwóch kwadransach znaleźć się w swoim gabinecie na dziewiątym piętrze szklanego biurowca, wciśniętego między inne sięgające nieba budynki.

Któż to jest ten Samuel Mankiewicz? – zastanawiał się, wykładając na biurko podarowane mu dokumenty. Cwaniak, którego przodków przynęcała do Ameryki koszmarna galicyjska bieda, to jasne. Uzdolniony gość po czterdziestce. Po trosze rzeźbiarz, po trosze dziennikarz, performer, youtuber, influencer doskonale posługujący się kamerą, mikrofonem oraz dźwiękiem. Osobnik, któremu wszystko przychodzi łatwo; czego Bennet o sobie nie mógł powiedzieć.

Ralph poznał Sama dzięki żonie. Trzy lata temu w ostatnią majową niedzielę Laura kupiła na pchlim targu cudownie delikatną – jak się wyraziła – płaskorzeźbę, głowę dziewczyny z zaplecionym warkoczem. Drewniany relief tak ją zachwycił, że nie pożałowała na jego zakup studolarówki. Powiesiła cudeńko w sypialni, naprzeciwko ich łóżka, by stale móc je oglądać. Na odwrocie płaskorzeźby widniała owalna pieczęć pracowni z numerem telefonu. Przy jakiejś okazji, Ralph pisząc do „Rainbow” felieton o technikach rzeźbiarskich, przypomniał sobie o pieczętce i telefonie. Zadzwoił do Mankiewicza i zaprosił do siebie na rozmowę. Szybko znaleźli wspólny język. Laura na ich pierwsze spotkanie przygotowała wymyślne drożdżowe ciasto z nadzieniem z kalmarów. Niestety spód ciasta się przypalił i musieli się zadowolić kupioną w pobliskim markecie pizzą.

Otwartość Samuela zjednała mu nowych przyjaciół, choć tak naprawdę Ralph po wielokroć zastanawiał się, czy w ten przypadkowy sposób można poznać prawdziwego przyjaciela. Nie lubił zresztą tego słowa. Znajomy, kolega – te określenia bardziej do niego przemawiały. Samuel, jak prawie każdy podstarzały singiel, miał swoje dziwactwa. Za jedno z nich Ralph uważał przywiązanie do tego samego chevroleta. Jego czarny gruchot przypominający karawan, często mu się psuł i to w najmniej odpowiednich miejscach: na zatłoczonym rondzie albo w tunelu pod rzeką. Mankiewicz zarabiał nieźle. Stać go było na porządny wóz, a jednak nie miał snobistycznych ciągót i robił wszystko, by nie przekroczyć wyznaczonego mu przez los miejsca. Zadowolony z siebie żył bez zbytniego pośpiechu, brylował towarzysko, znajdując czas na spotkania z Ralphem i Laurą. Mógłby pewnie tak żyć do końca świata i o jeden dzień dłużej, gdyby nie cholerne przeznaczenie. Wczoraj wieczorem media przyniosły szokującą wiadomość, że Samuel Mankiewicz, znany i popularny dziennikarz, został śmiertelnie potrącony na przejściu dla pieszych niedaleko hipermarketu Walmart. Na przesuwającym się pasku wiadomości, podano, że kierowca dostawczaka, który rozjechał Mankiewicza, uciekł z miejsca wypadku i jest poszukiwany przez policję.

Ta niespodziewana informacja zmroziła Benneta. Całkiem inaczej odbierał teraz prośbę Sama o to, by był ostrożny. Według świadków, którzy wypowiadali się przed kamerą, poszko-

dowany wszedł na przejście dokładnie, gdy zaświeciło się zielone światło. Podobno rozmawiał przez telefon i nie zauważył auta, które wjechało w niego z impetem. Tak twierdzili świadkowie, ale Ralph czuł, że jego śmierć, to wcale nie był wypadek.

*

Szesnaście godzin wcześniej Ralph Bennet, dziennikarz internetowego wydania „Daily Rainbow”, nie znał jeszcze celu swojej podróży. Wiedział tylko, że ucieka. Zamówił taksówkę i zamiast do domu pojechał na podmiejski dworzec. Wsiadł do pierwszego pociągu, jaki wjechał na peron, a reszta była już tylko konsekwencją tamtej szalonej decyzji. Jechał nie bardzo wiedząc dokąd, a po trzech przesiadkach, kiedy konduktor krzyknął przeciągle: – Greatdoogshill, podszedł do drzwi wagonu, jakby właśnie ta maleńka stacja była celem jego podróży.

Kiedy dotknął nogą peronu, ciemnoskóry zawiadowca przypominający Luisa Armstronga, przyglądał mu się badawczo, a Ralph, mijając go, odpowiedział mu wymuszonym uśmiechem. Bennet wiedział, że na milę śmierdzi miastem. Jego popielate ubranie oraz eleganckie, włoskie buty na podzielonych spodach, nie pasowały do zapylonej drogi, którą teraz szedł, ani do pola kukurydzy, nad którym krążyło stado dzikich gołębi.

Ralph Bennet znowu dyskretnie się obejrzał, lecz nikogo prócz zawiadowcy nie dostrzegł. To wcale nie był przypadek, że wsiadł do tego właśnie pociągu. Uciekał, by zgubić ślad. Ktoś do niego dzwonił tak, jak do Mankiewicza. Za którymś razem niepotrzebnie odebrał, a wtedy mężczyzna o drewnianym głosie zagroził mu, że jeśli skontaktuje się z policją, to skończy jak jego gadatliwy kumpel. Ten ohydny głos zagnieździł się w jego głowie niczym sprytny owad, którego nie mógł się go pozbyć.

Natychmiast włączył telefon, ale chyba zbyt późno. Pewnie już go namierzili i tylko kwestią czasu było to, że skończy pod kołami ciężarówki albo z kulką w głowie. Mógłby wprowadzić zlekceważyć ostrzeżenie i szukać pomocy u stróżów prawa, ale wtedy, o czym był przekonany, wystawiłby siebie, żonę oraz synka na atak podstępne go przeciwnika.

Ralph spojrzął na zegarek. Minęła właśnie godzina odkąd wysiadł na stacji Greatdoogshill. Trzy tysiące sześćset sekund przerywanych niespokojnym biciem serca. W teczce, którą niósł

w prawej ręce, spoczywały dokumenty, przekazane mu przez Samuela. Wczoraj wieczorem po komunikacie o jego tragicznej śmierci, Ralph przeglądał je z niedowierzaniem. Wypił przy tym dwie kawy i wypalił chyba z pół paczki papierosów, gapiąc się na ekran laptopa. Łowił słowa, gesty zebranych w wysokiej kolumnowej sali, jakby oglądał jakiś biznesowy podcast. Raz nawet, gdy ubrany na czarno aktor recytował wiersz, zwolnił film. Artysta rozmawiał z wyimaginowanym łabędziem. Pytał go, nad jakie leci brzegi, i prosił, by opowiedział mu o kraju, w którym nie rządzi smutek ani zwątpienie. Po jego występie zerwała się burza oklasków.

Bennet postawił teczkę na ziemi i sięgnął do kieszeni po papierosa. Jego paskudny nałóg, od którego nie potrafił się uwolnić, odezwał się teraz z gwałtowną mocą. Zapalił i zaciągnął się głęboko, a potem pochwyił teczkę i ruszył w stronę wzgórza, którego wierzchołek przypominał kształtem dwa przyczajone do skoku psy. Po kilku krokach skonstatował, że spotkanie zarejestrowane na płycie DVD, odbywało się w sali, w której nie było okien tylko gołe ściany, jak w domu wariatów. Nie zdobyły ich żadne obrazy, kwiaty ani jakiegokolwiek upiększenia, pozwalające na identyfikację miejsca. Ralph obejrzał dokładnie moment, gdy łysy mężczyzna o haczykowatym nosie sprawdzał podpisy na dokumencie.

Idąc przed siebie, między polami kukurydzy, Bennet zaciągnął się głęboko i z satysfakcją wypuścił dym przez nos. Pamiętał, że zaraz po uroczystości sygnowania dokumentu, nastąpił niespodziewany finał, który kilkakrotnie oglądał. Sekunda, tysięczna jej część i ogłuszający jazgot, huk walących się stołów, świst odłamków ze stojących na stole butelek i szklanek. Później słychać było rozpaczliwe wołanie o pomoc oraz głośne przekleństwa, które po chwili umilkły. W obiektywie kamery (jej szkło było pęknięte i pokryte kurzem) widać było zrujnowaną salę, czyjeś rozrzucone nogi i pył wolno opadający na zieloną wykładzinę. Śledził obraz do końca. Pogłodził zapis, bo wydawało mu się, że na blat stołu przewróconego do góry nogami, coś kapie. Wyraźnie słyszał kapanie kropli, które doprowadzało go do szału.

Ralf zaciągnął się papierosem i przyspieszył kroku. Wypuścił z ust małe kółeczko, które odpłynęło z wiatrem w stronę rowu melioracyjnego pogłębianego przez koparkę. Zastanawiał się, dlaczego z taką starannością wykonano

zblżenia zmasakrowanych twarzy. Dwanaście ujęć, dokładnie tyle, ile podpisów zarejestrowanych przez kamerę na końcowym dokumencie. Przeglądając film zarejestrowany na płycie DVD, dostał torsji. Nigdy, nawet w kinie, nie oglądał tak makabrycznego obrazu. I nikt dotąd nie wymagał od niego, by zawieszał wzrok na mózgu, rozbryzganym na stole niczym galareta.

Najbardziej zmasakrowany był Soczew. Ralph domyślił się, że to może być on, bo zwłoki przyozdabiał wąski, czarny krawat, zakręcony wokół szyi niczym pętla. Blisko kwadrans Ralph przesiedział w łazience. Własny oddech napawał go obrzydzeniem. Długo i starannie szczotkował zęby szczoteczką elektryczną, ale wciąż czuł na języku smak kawy i papierosów. Wreszcie przemógł się. Zmoczył kark zimną wodą i wrócił do pokoju. Jego wzrok padł teraz na pojedynczą kartkę, dołączoną do dokumentów. Pokrywała ją kłębowisko niezrozumiałych linii. Niejeden raz kreślił takie na zebraniach kolegium „Rainbow”. Bezmyślne znaki, z których wybiegało na zewnątrz jedno zdecydowane pociągnięcie. Ralph obracał kartkę, jakby miała być na niej zapisana jakaś tajemnica. Konceptualny, machinalny, zapis, podobny do tego, jaki widział kiedyś na wystawie sztuki nowoczesnej. Przez wszystkie kartki książki–ekspozycji biegła jedna nieprzerwana linia. Słabnąca, niknąca gdzieś na skraju i pojawiająca się niespodziewanie po drugiej stronie, niczym prowadząca gdzieś za horyzont droga. Tak, ale to była tylko jego myśl, myśl kurczowo uczipiona bezwartościowego dowodu. Wściekły zmiął ten bohomaz i cisnął do kosza. Następnie zadzwonił po taksówkę, a gdy auto podjechało pod biuro i włożył już klucz do zamka, coś kazało mu cofnąć się za próg. Sięgnął do kosza po zmiętą kartkę i schował ją do teczki.

Teraz, w odległości około pół mili od dworca Greatdogshill, Ralph rzucił niedopałek pod nogi i przydepnął go butem. Przypomniawszy sobie, że w sali kolumnowej obecny był również generał Pink. On jeden z wojskowych pozwolił sobie wziąć udział w zebraniu cywili. Wysoki, elokwentny, postarzały tą patyną zawodowych oficerów wyższego szczebla, która nadaje ich twarzom wyraz zdrowych, dobrze odkarmionych prosiaczków. Gdy mówił, jego usta układały się w wąski lejek, przez który sączyły się do mikrofonu mądrości, a do niedawna jeszcze rozkazy. Zwalniając film, Ralph przyjrzał się dokładnie wystąpieniu Pinka. Zaciekało go spojrzenie emerytowanego generała, który wodził wzrokiem

po sali, jakby czegoś szukał. Było to spojrzenie kogoś, kto przed sekundą wyjechał ruchomymi schodami z podziemnej stacji metra i miał się udać w nieznanym kierunku. Ostre światło jupiterów kazało mrużyć oczy, marszczyć mięśnie u nasady nosa. Tak właśnie patrzył na salę Pink.

– To nie skompromitowany rząd – perorował generał. – Na szczęście to my dyktujemy warunki. Dwanaście naszych podpisów wyrwie choćby siłą z gardła tego żarłocznego molocha siedem miliardów dolarów. Tyle według obliczeń będzie kosztować całe przedsięwzięcie. Żadna kwota nie jest zbyt wygórowana. Jako zawodowy oficer stawiam sprawę jasno, gdyż jasnych sformułowań oczekują ode mnie ci, których tu reprezentuję. Idea, którą chcemy podnieść do niespotykanych w całej ludzkości rozmiarów, nie będzie li tylko propagandowym wybiegiem. Kontrolę nad realizacją przedsięwzięcia sprawować będzie nasze dwunastoosobowe kierownictwo. Z chwilą zgromadzenia niezbędnych środków, uderzymy ze wszystkich stron jednocześnie. Zmasowany atak przypuszcza: stacje telewizyjne oraz radiowe, a także podlegające nam serwisy internetowe. Rzecz jasna nie obejdzie się bez kłopotów. Będą nam rzucać kłody pod nogi, hamować nasze natarcie i pytać naiwnych maluczkich: „Jak mogło dojść do tego absurdałnego i gigantycznego pomysłu?!” – musimy to przetrwać! Najmocniejszym wsparciem naszej kampanii będą, rzecz jasna, nasi ludzie w kongresie. Panowie, dziękuję z całego serca za zaufanie, i że zechcieliście mnie z taką uwagą wysłuchać.

Z prawej strony generała zajmował miejsce podobny do nastroszonego ptaka, były minister kultury Alfred Borundi, z lewej zaś szef partii „Zielonych”, przewodniczący Nicolas Soczew. Gdyby można było – pomyślał Ralph – zajrzeć w głębi dusz tych trzech panów, łatwiej byłoby wskazać pomysłodawcę projektu, który przybrał na końcu wyświechtany frazes – woli ludu.

Zaraz po wystąpieniu Pinka słuchać było odgłos ciężko stawianych kroków. Na ekranie pojawił się Nicolas Soczew w idealnie dopasowanym lnianym garniturze. Przyglądał się farbowane włosy i wolno rozejrzał się po sali.

– Niech się nikomu nie zdaje – zaczął – że samym gadaniem zbudujemy Ararat. Tak jest, nazwał ten projekt „Araratem”, lecz jeśli ktoś z obecnych proponuje inną, bardziej stosowną nazwę, nie będę protestował. Po tym stwierdzeniu Soczew odkaslnął i przełknął głośno śli-

nę. – Rozmiary projektu są imponujące! – wskazał palcem na makietę. – Podstawa budowli to kwadrat o boku jednej mili. Podszklaną, wykonaną z akrylowego szkła konstrukcją, przypominającą wierzchołek mitycznej góry, pomieścimy, jak biblijny Noe, resztki nieskażonego środowiska. Siebie samych, ludzkość dla potomnych. Architekci oraz ekolodzy zapewniają, że „Ararat” będzie samowystarczalny, odporny na wszelkiego rodzaju skażenia środowiska, trzęsienia ziemi oraz szkodliwe promieniowanie. Nasza idea musi być zaszczerpiona na każdym bijącym dziś na kuli ziemskiej sercu. To jest szansa tych serc. Kto ma szansę znaleźć się w domu dziedzictwa ludzkości, zapytacie? – mówca potoczył wzrokiem po sali. – To nowy dom tylko dla wybranych, dla elity, która da początek nowemu rodzajowi ludzkiemu. Musimy stworzyć wszystko od nowa, to będzie ostateczny renesans i początek prawdziwej demokracji. Wszystko jest jasno określone. Pod kopułą „Araratu” umieścimy cyfrowe kolekcje i innowacyjne technologie. Będzie się tam mieściła największa kolekcja cyfrowych dzieł, jaką można sobie wyobrazić. Ostra selekcja, przeprowadzona w najściślejszej tajemnicy, jest jedynym ratunkiem przed zbliżającą się wielkimi krokami zagładą. Szanowni panowie! Jak każdy obecny w tej sali, zaświadcza swoim podpisem na końcowym dokumencie wolę przystąpienia do niespotykanego projektu i dziękuję, że zechcieliście mnie z taką uwagą wysłuchać.

Nicolas Soczew złożył nieczytelny podpis na dokumencie i poprawił wąski, czarny krawat, który ścisnął mu szyję, po czym odszedł gdzieś sprzed kamery.

Ralph poznał Soczeva przed kilkunastoma laty. Próbował przeprowadzić z nim wywiad, gdy był na dziennikarskim stażu, a popularny polityk odwiedził obóz skautów nad malowniczym jeziorem Swan. Ralph przyjechał kilka godzin przed nim, by dokładnie rozejrzeć się po okolicy. To co zastał, rozczarowało go. Obóz, w którym dawną kuchnię z fajerkami zastąpiła ta wyposażona w lodówki i mikrofalowe kuchenki, zrobił na nim przynębiające wrażenie. Zamiast namiotów wzniesiono siedmiopiętrowy pawilon ze szkła i betonu. Tak, Ralph znał Nicolasa Soczeva, ale czy owo znać, określać może pojedyncza rozmowa, którą z nim wtedy przeprowadził? W czasie wywiadu polityk zachowywał się swobodnie, jakby obozowisko było częścią ministerialnego ośrodka. Wtedy był jeszcze bardzo sprawnym fizycznie facetem. Nosił przetarte na kolanach nie-

bieskie džinsy, pomarańczową koszulkę polo i naciągniętą na oczy bejsbolówkę.

– No, słucham! Zadał mi wreszcie, młody człowieku, pytanie! – Niecierpliwił się. – To ty przecież robisz ze mną ten wywiad, a nie na odwrót. Ralph nadusił wtedy przycisk dyktafonu.

– Panie ministrze, od lat prowadzi pan konsekwentną walkę o ochronę środowiska – wyrzucił z siebie. – Jakie w związku z tym stawia pan zadania dla skautowskiej młodzieży?

Soczew parsknął na to śmiechem.

– I to ma być pytanie? Powinienieś być napastliwy, tak bym czuł do ciebie niechęć, inaczej nigdy się nie otworzę. Chcesz chłopcze bajeczki, no to posłuchaj. Bardzo dawno temu, tak dawno, że nie było na świecie: domów, ulic, komputerów i samochodów, bogiem była przyroda. Niewyobrażalne – prawda? Nie Hades, nie Olimp, nie Golgota i nie Gaja. Pytasz o rolę młodzieży? Nie traktuję tej rozpuszczonej gówniarzerii serio! Ochrona środowiska to ważniejsze, niż ci się wydaje, zadanie. Co mają z tym wspólnego dzieci i młodzież? Tu trzeba gigantycznego szmalu, forsy, money! O co mu chodzi? – myślisz i się zastanawiasz, czy Soczew nie jest owładniętym manią szaleńcem?

– Ja tego nie powiedziałem – bronił się Ralph.

– Ale pomyślałeś. Znam się na ludziach! Chciałbym być dobrze rozumiany. Mężczyzna zasługuje na zaufanie, gdy założy rodzinę, spłodzi dzieci i ciężko pracuje. Nie pisze cikliwych wierszyków, nie wzdycha jak błazen do księżycy. Nienawidzę młodzieży za jej egoizm. Jej napastliwa moda, to rzucona nam, dorosłym, rękawica. Teraz już wiesz, o co mu chodzi? – Soczew przerwał i nerwowym ruchem poprawił rondo kapelusza.

Ralph odniósł wrażenie, że gadatliwość Soczeva ma swoje źródło gdzieś głębiej. Nie przebierając więc w słowach, zwrócił się do niego: – Panie ministrze, starość to pański kompleks, uszanuję go i nie będę, jak pan chciał, napastliwy. Chciałbym jednak wiedzieć...

– Brawo, brawo, mój chłopcze! Naprawdę robisz postępy! Gdyby nie mój woreczek żółciowy, zaprosiłbym cię na wódkę. Jeszcze dziś poszlibyśmy do jakiejś knajpy albo na dziwki. Znam takie miejsca. Wypiłem morze wódki, zanim dostałem stołek ministra i wyruchałem gromadę córek Koryntu – wyrzucił ze śmiechem i uniósł wargi w grymasie. – W polityce prócz inteligencji trzeba mieć jeszcze instynkt! Nicolas Soczew ci to mówi, poniatno? A teraz posłuchaj,

co ci powiem:

- Skasuj ten swój cholerny kręciotek i spierdala! No, co się tak gapisz? Myślisz, że się przejęczyłem? No, dalej, poszł won!

Na te słowa Ralph posłusznie wyłączył dyktafon i naprędce się oddalił. Niepotrzebnie dał się Soczewowi sprowokować. Odsłonił się za wcześniej. Powinien wolno wystawiać mikrofon, jak ślimak rogi, i przytakiwać, przytakiwać.

Ile to już lat – zastanawiał się – minęło od tamtej rozmowy? Dwadzieścia, a może więcej? Jakież ten cynik miał cel w budowie gigantycznego pomnika ludzkości? Rozmyślając o tym, Bennet zagłębił się w sosnowy las i po kilkunastu minutach doszedł do rzeczki, która wgrzyzała się w malowniczą dolinę, tworząc fantazyjne zakola i wysepki. Tam się zatrzymał. Patrzył na niewielki kamienny krąg, ułożony przez kogoś na ognisko. Musiał tu wcześniej być, bo skąd by wiedział, że trzeba wysiąść na tej małej stacyjce, a potem iść w stronę wzgórza Greatdoghill? Prawdopodobnie przyjechał tu na piknik z rodzicami, zanim ojciec odszedł do innej kobiety, wyrzekając się syna. Może właśnie tu, przy niewielkiej piaszczystej plaży, gdy zajądali upieczone nad ogniem kiełbaski, usłyszał od ojca opowieść o wzgórzu Greatdoghill? Sam sobie tego przecież nie wymyślił. Przypomniawszy sobie słowa rodziciela: jeśli strach uwije gniazdo w twojej głowie, to psy śpiące na wzgórzu przebudzą się, przybiegną i cię rozszarpną. Prawdziwy mężczyzna musi być twardy i nigdy nie powinien się niczego bać, rozumiesz, synu?

- Chyba nie jestem prawdziwym mężczyzną – pomyślał Ralph, spoglądając na tajemnicze wzgórze – bo od dziecka zawsze czegoś się bałem. Ojciec miał rację, jestem nędznym tchórzem i Samuel Mankiewicz wiedząc o tym, specjalnie przekazał mi duplikat dokumentów, a oryginalny pendrive dał komuś, komu ufał, kto miał zrobić z niego właściwy użytek.

Ralph Bennet wyciągnął się na ziemi z teczką podłożoną pod głowę. Żałował, że ją przyjął od Mankiewicza i na własne życzenie wpakował się w nie lada kłopoty. Jego kumpel przygotował na niego zasadzkę, jak przebiegły myśliwy. Tak jest, ofiarą miał być Ralph. Przyjaźń przestała się liczyć. Bo co to jest w gruncie rzeczy przyjaźń? Uczucie, które rozplywa się w palcach, gdy je mocno zacisnąć. Owszem, istnieje jakieś wzajemne zrozumienie i życzliwość, której nikt nie kwestionuje. Lecz szczerść intencji? W nią wszędzie i zawsze powinno się wątpić.

Zagubiony gdzieś w świecie Ralph Bennet, z teczką pod głową, w odległości około półtorej mili od stacji Greatdoghill, gapił się na postrzępione obłoki, sunące niemrawo po niebie. Ideały, grzebanie się w przeszłości, po co to wszystko – myślał. Ogarnęło go zniechęcenie. Z pleców przekręcił się na brzuch. Nagrzana ziemia była ciepła, niczym skora do pieszczot kobiet. Ralph oddychał głęboko, a sen opłatał go swoimi niewidocznymi mackami. Zwinięty w kłębek jak dziecko, spał z podłożoną pod głowę tajemnicą, która coraz mniej go kusiła, a coraz bardziej napawała odrazą.

Jakiś przebłysk wspomnień rzucił światło na zapomniany epizod z jego życia. Były wakacje. Razem z matką i ojcem siedzieli na tarasie taniego pensjonatu w Butterhall, nudnej miejscowości, w sam raz dla tych, którzy zatrzymują się przejazdem, by zatankować paliwo. Rozgrzany cień spływał na plecy Ralpha z kamiennego muru. Ojciec zamówił dwa zimne piwa, a dla syna miętowy napój z lodem. W atmosferze oczekiwania, bezruchu, leciwa właścicielka pensjonatu postawiła na stoliku dwa oszronione kufle i biały plastikowy kubeczek. Znużony Ralph spoglądał na pulsujące cyferki elektronicznego zegarka, jakby miał odkryć tajemnicę obezwładniającego go czasu. Była dopiero trzecia po południu i nic się do tej pory nie działo, lecz nagle Ralph oprzytomniał. W odległości kilkunastu jardów, za żywopłotem, przechadzała się czarnowłosa dziewczyna w różowym, obcisłym kostiumie kąpielowym. Prowadziła na smyczy afgańskiego charta. Szła z nim w kierunku basenu. Wokół szyi, niby szalik, okręciła sobie czerwony ręcznik. Ralph szybko wypił zawartość kubeczka, lódomal nie stanął mu w gardle, i zbiegł po schodach. Wkrótce był już nad turkusową, połyskującą od słońca taflą wody. W pośpiechu ściągnął spodnie i rzucił je na ławkę obok koszulki. Został tylko w czarnych, elastycznych slipach. Zanim zanurzył się w wodzie, na sekundę się zawahał. Ta sama dziewczyna z psem (niemal wszystkie dziewczyny uwielbiają psy, najbardziej małe spaniele, podobne do pluszowych zabawek) rzuciła w jego stronę lepkie spojrzenie. Jej opalone na ciemny brąz ciało skrywało sekret, którego Ralph jeszcze dotąd nie zaznał. A później sen, jak gnany ogromną falą statek, rzucił kotwicę w innej zatoce wspomnień. Ralph Bennet, student ostatniego roku wydziału prawa, poznał Laurę. Spotkali się tydzień przed Bożym

Narodzeniem, na koncercie jazzowym w klubie miłośników Scotta Joplina, gdzie wpadli sobie w oko. Po żywiołowym występie poszli na spacer. Ulice, którymi się przechadzali, otwierały się przed nimi wysokimi bramami domów i zaczął sypać drobniutki śnieg. Śnieżynki leciały z nieba niczym w cudownej, disneyowskiej bajce. Ralph opasał ramieniem szczupłe ciało Laury. Bez wątpienia wyglądali na parę zakochanych. Marzyli, by ten zimowy wieczór wchłonął ich i chcieli zapomnieć o tak przyziemnych spawach, jak wykłady, egzaminy i kolokwia.

– Kocham cię – szepnął Ralph.

– Ja ciebie też – odpowiedziała Laura, i zaskoczona tym, co sobie właśnie wyznali, przywarła ufnie do jego boku.

Jeśli kiedyś tak było, a było do cholery! – pomyślał Bennet, obracając się na bok – to tylko po to warto gdzieś uciec, by uwolnić się od tej przeklętej maszyny, która zmieniała ich gorące uczucie w godną ubolewania rutynę.

*

Musiał spaść deszcz, bo kiedy się ocknął, jego ubranie było wilgotne, a trawę pokrywały świecące kropelki wody. Obudzony przypomniał sobie resztkę snu. Rzeczywiście byli wtedy młodzi, piękni i nie musieli się niczego wstydzić. Skonstatawał to z żalem, a później myślał, że właśnie tak siebie i Laurę osądził, wywołała w nim gniew. Westchnął i przełknął ślinę. Jego roztrwoniona młodość z bajecznym wieczorem, dawała teraz o sobie znać niczym pijacka czkawka. Odrętwiały siedział w bezruchu na brzegu rzeki, jakby na coś lub na kogoś czekał. Słońce wyraźnie skłoniło się ku zachodowi. Deszczowa chmura, która go zmoczyła, odpłynęła gdzieś.

Bennet obrócił wzrok. Niedaleko od niego rósł karłowaty, srebrzysty świerk. Samotne drzewo zdawało się teraz z niego drwić. Urągało mu szyszkami i gałęziami. Nie miał wątpliwości: świerk najwyraźniej kpił sobie z jego beznadziejnej sytuacji. Zwłaszcza jedna z gałęzi przypominająca monstrualny, uniesiony do góry mentorski palec, wykrzywiła się złośliwie.

Ralph z gotowym planem, skąd mu to przyszło do głowy?, ruszył w stronę karłowatego paskudztwa. Chwycił oburącz perfidną gałąź i wygiął ją w pałąk. Nie pękła. Na domiar złego ostre igiełki wbiły mu się w palce. Rozdrażniony spróbował mocniej, z całych sił pociągnąć. Sekundy zmagania się z oporną naturą, w końcu suchy trzask i zdobycz została w jego ręce. Zadowolony przeniół konar do kamiennego kręgu i rzucił na nad-

palone, osmolone szczapy. Wyprostował się i zaczął szukać podpałki. Dostrzegł rachityczną brzozę, z uschniętą gałęzią zwisającą do ziemi. Złamał ją bez trudu i jak poprzednio rzucił na stos.

Po paru minutach jego wzrok radowała ster-ta gałęzi i chrustu. Tak, rozпали ognisko! Ogrzeje się i wysuszy ubranie. Ucieszył się z tego pomysłu jak dziecko. Przykucnął, wyjął z kieszeni zapalniczkę i podpalił wetkniętą pod stos kartkę z bohomazem, którego sensu nie potrafił zrozumieć. Języki ognia zaczęły zachłannie lizać suchy papier, a potem wpełzły na chrust i gałęzie. Ralph odpalił papierosa od żaru i zaciągnął się łapczywie. Czekał teraz na stosowny moment, aż ogień pokona wilgoć z niedawnego deszczu. Gryzący i dławiący dym rzucił mu się do oczu. Na szczęście powiew wiatru skierował go w przeciwną stronę. Wtedy pstryknął ogarek papierosa w żar, a potem sięgnął po teczkę. Powoli, by nasycić się zemstą, wrzucił do ognia płytę DVD z nagraniem spotkania i wydrukowane przez Samuela Mankiewicza dokumenty. Snop lecących do góry iskier, ożywił widowisko. Ogień gorliwie trawił wszystko to, co mu podsunął.

Minął kwadrans. Spektakl, który sobie zafundował, powoli dobiegał końca. Z dokumentów, które wrzucił do ogniska, został popiół i stopiona płyta DVD, którą przysypał ziemią i przydeptał butem. Tylko tyle. Idee Nicolasa Soczeva, marzenia Pinka i Borundi, jak oni sami przestali istnieć.

Ralph Bennet podniósł z ziemi teczkę i spojrzął na zegarek. Była 18.38. Za pół godziny odjeżdżał jego pociąg.

*

Pociąg zahamował gwałtownie i przez brudną okienną szybę wdarła się na korytarz smuga trupiego światła, w której twarz Ralphi Benneta wydawała się być blejsza niż zwykle. Nie widział siebie, zresztą nie miał czasu ani ochoty przyglądać się sobie, lecz ostrożnym krokiem wszedł na betonowy peron stacji podziemnej i tam dyskretnie się rozejrzał. Niedaleko od niego bezdomny Afroamerykanin wiązał sznurowadło, a dwa kroki przed nim leżała otwarta walizka, w której się wylegiwał się zwinięty w kłębek rudy kot. Bezdomny zawiązał kolejne sznurowadło w porwanym bucie, po czym podniósł głowę na Ralfa, jakby chciał mu powiedzieć: Widzisz, to mój mały przyjaciel, a czy ty masz jakiegoś przyjaciela?

Urodzony w getcie

Maciej Ossian Kozakiewicz

Część II

rozdział II

Pamiętał to miejsce.

To było wejście na strych kamienicy. Koledzy przychodzili tu, gdy padał deszcz i udawali, że są poszukiwaczami skarbów albo rysowali kredką trasę swojego kultowego wyścigu dziesięciogroszówkami.

Tylko jak się tu znalazł? Spojrzał na swój nowy skarb, który cały czas trzymał w dłoni. Czyżby za jego sprawą?

Ostrożnie podszedł do drzwi i sięgnął ponad swoją głowę do ciemnej, metalowej klamki. Drzwi otworzyły się bezszelestnie i znalazł się w oświetlonym jedną słabą żarówką przedpokoju.

Rozglądnął się ciekawie.

Lewą ścianę zajmowała stara szafa i jakieś drewniane skrzynie, w głębi stało pionowo, rozebrane na części łóżko. Po prawej były zamknięte drzwi, zza których dolatywał nieznan, ale smakowity zapach oraz głosy jakichś kobiet. Wyteżył słuch, ale nie mógł nic zrozumieć, drzwi tłumiły słowa. Za stertą starych i poniszczonych książek było wejście do pokoju. Drzwi były uchylone, ale pomieszczenie tonęło w mroku. Na środku przedpokoju, na dziurawym, niegdyś kolorowym chodniku stał jakiś chłopczyk i bacznie mu się przyglądał. Wyglądał na starszego. Był ubrany w szary mundurek i takie same spodnie do kolan. W jego wychudzonej twarzy błyszczały duże, czarne oczy, którymi patrzył z zaskoczeniem na niespodziewanego gościa.

Kubę ucieszył widok nowego kolegi, dziwił się tylko, dlaczego o nim dotąd nie wiedział. Może ten nie będzie go traktował jak inni, z pozycji starszego, i sami zorganizują sobie wyścig kolarski z guzików, a nie dziesięciogroszówkami.

Kuba powoli sięgnął do kieszeni swoich spodni i poszukał czegoś, co mogłoby przypieczętować nową znajomość. Pod palcami wyczuł coś twardego. Wyciągnął rękę i spojrzął w dół. Na dłoni leżała niewielka czerwona landrynka, którą

kiedyś dostał od pani Gomótkowej. Pokazał ją nowemu koledze. Ręka gospodarza powędrowała do cukierka, ostrożnie wzięła go w dwa palce, po czym cukierek zniknął w jego ustach. Na twarzy chłopca pojawił się uśmiech.

- Nie masz chleba? - spytał.

Kuba się zmieszał i spuścił głowę.

- Mam tylko cukierka.

Chłopak odwrócił się nagle i wszedł do kuchni, z której dobiegały obce Kubie zapachy. Zniknął na chwilę, a Kubuś zaczął uważniej przyglądać się zagraconemu korytarzowi. Zauważył, że świecąca na suficie żarówka wisiała na dwóch drutach, na szafie leżały bardzo zniszczone dwie walizki, a obok stał wazon z oderwanym uchem. Na prawej ścianie między drzwiami wisiał jakiś obraz w złotych ramach, a obok niego stał drewniany wieszak, na którym wisiał połatany, czarny płaszcz oraz tego samego koloru parasol. Kuba przypomniał sobie, że podobny obraz wisiał w jego mieszkaniu nad tapczanem. Tyle, że tamten był mały i przedstawiał kolorową jesień w parku i idących ścieżką jakichś ludzi. Mama mówiła, że namalował go dziadek Włodek, który był artystą. Uświadomił sobie, że tych obrazów było nawet kilka. Postanowił to sprawdzić po powrocie do domu.

Ty też będziesz artystą, jak będziesz dużo jadł i urośniesz – mówiła mama.

Nowy kolega wyszedł z kuchni. Wyciągnął rękę, w której trzymał małe, pachnące cynamonem ciastko i podał je Kubie. Było pyszne, takiego smaku jeszcze nie znał.

- Jak się nazywasz? - spytał z pełnymi ustami. - Bo ja Kuba.

- Szymon

- Masz jakieś zabawki?

- Tylko drejdl. Twarz Szymona spoważniała. - Czasami się nim bawię, jak tate nie każe mi słuchać hagady.

Mimo że Kuba nie rozumiał wszystkich tych słów, uśmiechnął się zachęcająco.

- To przynieś tego...drejdl, pobawimy się.

Szymon zniknął za drzwiami, by po chwili przynieść mały drewniany przedmiot.

Wyglądał, jak mały bączek, tyle że był kwadratowy i na każdej ścianie miał namalowany jakiś znak, którego Kubuś nie znał.

- Mam taki tylko okrągły i większy... i bez tych znaków.

- Znaki są najważniejsze - zaczął tłumaczyć Szymon. - Spójrz, nazywają się: nes, gadol, haya i sham. Zapamiętasz?

- Nes, gadał...

- Gadol - roześmiał się, poprawiając go nowy kolega.

- Gadol - powtórzył Kuba. - Haya i sam.

- Sham - poprawiał cierpliwie. - Musisz pamiętać, bo na tym polega zabawa.

Usiedli naprzeciw siebie na dziurawym i poplamionym chodniku.

- Puszczę drejdl, a ty zgadniesz, jaki znak będzie na górze, kiedy się przewróci.

Dla Kubę było to czymś nowym, właściwie to wszystko było nowe. Szymon, korytarz, którego nigdy nie widział, zapachy drażniące nos i żołądek, i zabawa drejdlem. Już nie wiaderko i łopatka albo wyścigi dziesięciogroszówkami na podwórku czy rzucanie kamieniami do celu, którym najczęściej była wyniesiona przez Adama ukradkiem z domu butelka po wódce ustawiona na murku nad garażami.

Ta nowość była czymś niecodziennym.

- To zaczynamy, ją puszcza drejdl, a tym powiesz, co się pojawi na wierzchu. To mów.

- Gadol- ten wyraz Kubuś zapamiętał najlepiej. Drewniany bączek zawirował na podłodze, a chłopcy czekali aż się przewróci.

- Sham! Przegrałeś. Teraz ty puszczasz, a ją zgaduję. Będzie nes.

Kuba pierwszy raz poczuł się ważny. Ktoś pozwolił mu poprowadzić zabawę. Wziął bączka w dwa palce i naśladował ruchy Szymona. Jednak drewniana zabawka nie chciała go słuchać i wystrzeliła do góry, odbiła się od szafy i spadła na podłogę blisko drzwi do pokoju. Zaśmiali się obaj.

- I co wyszło? Pobiegli do drejdl.

- Sham! - też przegrałem.

Szymon nie był tym za bardzo przejęty.

- To jeszcze raz.

Kolejny raz drewniany bączek zawirował na podłodze.

- Gadol! - Kuba świadomie powtórzył to słowo. I z napięciem patrzyli, jak drejdel zwalnia i wreszcie przewraca się na bok. Spojrzeli z ciekawości.

- Wygrałem, jest gadol!

- Szczęściarz jesteś! Teraz ja, ostatni raz.

Drewniana zabawka znowu zaczęła się kręcić.

- Stawiam na nes!

Drejdel wirował i posuwał się w kierunku pary zniszczonych, czarnych butów, które nagle pojawiły się w progu. Uderzył w nie i się zatrzymał. Kuba podniósł głowę i zobaczył wysokiego mężczyznę z długą, siwą brodą, orlim nosem i opuszczonymi na niego drucianymi okularami. W ręce trzymał grubą, otwartą księgę i patrzył na Szymona. Wyglądało, że przerwał lekturę, żeby zobaczyć, co się dzieje w przedpokoju.

- To jest mój nowy przyjaciel, tate.

Szymon poderwał się z podłogi.

-Bawiliśmy się drejdlem.

Mężczyzna spojrzał badawczo na syna, po czym omiół wzrokiem przedpokój.

- Kiedy ty wreszcie spoważniesz?! Oprócz ciebie nikogo tu nie widzę, a jak nie widzę, to znaczy, że jesteś sam i wymyślasz. Chodź do pokoju, posłuchasz hagady. Przynajmniej koniec dnia spędzisz pożytecznie.

Wchodząc do pokoju, Szymon odwrócił się na chwilę i popatrzył na Kubę.

- Przyjdziesz jeszcze?

- Przyjdę.

Zdziwiony Kuba mógł tylko obserwować tę scenę. W przedpokoju zrobiło się cicho i pusto.

Kątem oka zauważył: piasek, podwórko i swoje mieszkanie.

Popatrzył na szarą kamienicę, z której w kilku miejscach odpadał tynk. Tam, wysoko pod dachem, były dwa niewielkie zakurzone okienka strychu. Znalazł swojego największego przyjaciela. Postanowił, że będzie to

jego tajemnica, której nikomu nie zdradzi. Koledzy z podwórka już nie byli tak ważni. Niech sobie grają bez niego.

Przypomniał sobie, że musi poszukać łopatki, ale najpierw ukryje swój skarb. Rozglądnął się, szukając bezpiecznego miejsca. W bocznej ścianie garażu zauważył wystającą cegłę. Okazało się, że za nią jest niewielka dziura, w której z powodzeniem zmieści się pierścionek. Tam też go umieścił. Zadowolony z rozwiązania problemu skierował się do domu. Zrobił dwa kroki i nagle zobaczył leżącą na ziemi łopatkę.

- Znalazłem! - wszedł do pokoju i triumfalnie pokazał zgubę.

- Twoje szczęście - odezwała się mama. - Drugiej bym ci nie kupiła. A teraz spać! Zostaniesz z babcią, bo muszę wyjść. Tylko bądź grzeczny. Mama często gdzieś wychodziła. Kuba nie wiedział dokąd, ale pamiętał, że przed każdym takim wyjściem długo siedziała przed rozłożonymi na maszynie do szycia: pędzelkami, szminkami i pudrami. Najdłużej zajmowała się rzęsami i brwiami, na drugim miejscu była fryzura, potem ubiór, no i nieme pytanie: Lustreczko powiedz przecie...

- Klucz, zostaw pod wycieraczką, jak zawsze. Tak kończyła się mamy obecność w domu.

Kuba nigdy nie widział jej powrotu, zwykle już spał.

Za to czasami był świadkiem jej podłego porannego humoru, kiedy znów musiała odegrać cały ten rytuał przed lustrem.

Kubuś nie protestował. Zasypiając układał sobie kolejne spotkanie z Szymonem. Zupełnym przypadkiem odkrył inny świat, w którym wszystko działało się inaczej niż tu, no i był kolega, z którym mógł się bawić. Może dlatego tamta rzeczywistość tak go pociągała.

rozdział III

Promienie porannego słońca wpadały do ciemnego pokoju przez jedyne okno w mieszkaniu i lizały sprzęty, zostawiając na nich jasne, ciepłe plamy. Taki spektakl nie trwał długo, bo już po chwili słońce przesunęło się nad inne kamienice, które rzucały cień.

Zaspany Kubuś leżał w pościeli i obserwował, jak żółte plamki wędrują po szafie i maszynie

do szycia. Mama jeszcze spała, a babcia krzątała się już w kuchni. O tej porze w mieszkaniu było zimno, więc zajęła się rozpalaniem w piecu. Zapach drewna był dla Kubusia zapachem poranka. W ciepłe wiosenne dni wystarczyło tylko trochę nagrzać blachę na piecu, bo dopiero koło południa potrzebny większy ogień do ugotowania obiadu.

Przyjemne ciepło zaczęło się rozchodzić po mieszkaniu.

Babcia ubrała się po cichu i wyszła do Liszki po chleb. Piekarnia znajdowała się dwie ulice dalej przy Limanowskiego.

Ale w sobotę wszystko toczyło się inaczej. Mama szła później do pracy. Wstała leniwie i poszła za zasłonę, żeby zagrzać wody do mycia.

- Wstawaj Kubuś, dość już leniuchowania - usłyszał zza zasłony.

- Ale babcia jeszcze nie przyszła - odpowiedział. - Jak mi przyniesie rogała, to wstanę.

Babcia zawsze przynosiła mu krakowskiego rogała. To był kolejny z zapamiętanych przez niego smaków. Kroiła go na cienkie plasterki, smarowała masłem i nakładała kawałek białego sera. Takie małe kanapki jadło się o wiele lepiej od wielkich kromek chleba. Jego koledzy z kamienicy czasami wychodzili z ogromnymi pajdami, w każdej ręce jedna. Ostatnio Adam chwalił się taką. Była posmarowana masłem i posypana cukrem, paskudztwo!

Usłyszał, jak babcia weszła na werandę. Ściągnęła buty i pojawiła się z siatką pełną świeżego, pachnącego pieczywa. To zupełnie wystarczyło, żeby Kuba wstał. Podbiegł do siatki i ciekawsko zajrzał do środka.

- Poczekaj, aż wszystko powyciągam... Zaraz ci zrobię twojego rogała. Dzisiaj będzie serek ze szczypiorkiem. Zaczęła się krzątać koło stołu.

Mama zrobiła sobie kanapki, zapakowała w papier i zaczęła swój ceremoniał przed lustrem.

- Znowu wrócisz późno? - spytała babcia.

- Tak, umówiłam się po pracy na kawę.

- Zostawię ci obiad na piecu.

Gdy lustreczko powiedziało mamie: kto jest

najpiękniejszy..., ubrała jasny płaszcz i wyszła. Kubuś usiadł na jej miejscu przy maszynie do szycia i zabrał się do jedzenia. Codziennie patrzył na strzelistą wieżę kościoła św. Józefa, która dominowała nad dachami i kominami kamienic. Wyróżniała się, bo była czerwona, podczas gdy kamienice dookoła miały kolor szary albo nieokreślony. Z okna mieszkania widział fragment sąsiedniego, otoczonego szarymi murami podwórka. Był inny, bo miał ganek na pierwszym piętrze, z którego wchodziło się do dwóch mieszkań. Zastanawiał się czy tam, na strychu, też mieszka taki chłopczyk jak jego nowy kolega.

- Babciu kto mieszka na strychu? - spytał ostrożnie.

Przerwała robotę w kuchni i popatrzyła na wnuka. Była przyzwyczajona do takich pytań. Był przecież małym chłopcem, który dopiero poznawał świat, więc takie pytania były czymś normalnym.

- Nikt tam nie mieszka, no chyba, że myszy i szczury, skąd ci takie pytania przychodzą?

- Tak tylko pytam. Wiem, że nad mieszkaniem na drugim piętrze jest strych.

- Na strychu ludzie trzymają różne niepotrzebne rzeczy – kontynuowała. - I suszą pranie, jeśli jest brzydka pogoda.

- Czy my też tam suszymy pranie i składamy niepotrzebne rzeczy?

- My mamy podwórko. Wiesz, że rozwieszamy wszystko na sznurach, w słońcu szybciej wysycha i pachnie powietrzem. Poza tym kto by tam nosił ciężkie pranie?

W duchu przyznał jej rację. Przy okazji dowiedział się, że nic nie wie o mieszkaniu na strychu.

A jak Szymon będzie chciał się pobawić na podwórku? Musi coś wymyślić.

Dzisiaj zrobi sobie na piasku miasto. Ulice robiło się prosto, wystarczyła niewielka deseczka, którą wygładzał jedni. Wziął kilka swoich małych, plastikowych modeli aut i poszedł do piaskownicy.

Popatrzył na kamienicę. Okno na półpiętrze było otwarte, a na parapecie siedział Marek, który obserwował stamtąd świat.

- Chodź się pobawić, będę budował miasto! –

krzyknął do niego Kuba.

- W radiu mówili, że będzie padać, nie chce mi się wychodzić. Chodź na strych, tam się pobawimy.

Kubusiowi załomotało jego małe serduszko. Czyżby Marek wiedział?

Nie, to niemożliwe. A może znalazł pierścienek w dziurze za cegłą? Kuba popatrzył na skrytkę, ale wszystko wydawało się być na swoim miejscu. Postanowił to jednak sprawdzić. Tylko jak, kiedy Marek patrzył na niego z okna i czekał na odpowiedź.

- Zaraz przyjdą: Włodek i Jurek, i przyniosą klocki! – kiwnął na niego. - Zbudujemy miasto z klocków.

To nie przekonało Kuby. Bardzo chciał, żeby Szymon został jego tajemnicą, choć z drugiej strony, był ciekaw czy faktycznie ktoś tam mieszka.

Pomimo że słońce mocno świeciło, usłyszał pierwsze grzmoty nadciągającej burzy. Wysokie ściany kamienic nie pozwoliły zobaczyć, z której strony nadchodzi, a odgłosy grzmotów odbijały się od ścian.

- Słyszysz? Już grzmi, chodź na półpiętro, lepiej tu poczekamy na chłopaków.

Grzmoty były coraz głośniejsze i pierwsze krople deszczu zaczęły spadać na podwórko. Kuba pośpiesznie wziął swoje samochodziki i pobiegł na półpiętro. Wspiął się na po starych, skrzypiących schodach. Klatka schodowa była ciemna i ponura. Nie była malowana chyba od kiedy ją wybudowano. Ze ścian odchodziła farba, a niegdyś zielony wzór zdobiący ściany był już ledwie widoczny. Parapet okna na półpiętrze był dla Kubusia za wysoki, ledwie co widział przez okno, ale poczuł zapach padającego na rozgrzaną ziemię deszczu.

Spotkali się tu wszyscy i poszli na strych. Minęli ostatnie mieszkanie na drugim piętrze, w którym mieszkali Staweccy z synem Włodkiem, i poszli schodami do góry. Korytarz był ciemny i sprawiał wrażenie, że nikt tu nie przychodzi, ale było w nim coś znajomego. Było to miejsce stojących pod ścianą, na drewnianej podłodze, zakurzonych półek, poukładanych w piramidkę krzesel,

starego stołu i wysokiego, zepsutego zegara. Jakieś odrapane z białej farby drzwi prowadziły do innych pomieszczeń. Kubuś wiedział, że to były wejścia do kuchni i pokoju, z którego wtedy wyszedł wysoki, siwobrody mężczyzna, tata Szymona.

Włodek przekreślił kontakt i korytarz wypełniło mdłe światło żarówki. Wysypał z niewielkiego pudełka po butach kolorowe klocki, zaczęli układać na podłodze plan.

- Tu zrobimy naszą ulicę – mrucał pod nosem Włodek. – A tu będzie wjazd na podwórko.

Układał kolorowe klocki, które w dziecięcej fantazji zmieniały się w kamienice, chodniki i garaże.

Trzy klocki ułożone w podkowę wystarczyły, nie musiało być dachu.

- Ten będzie mój!

Jurek wziął czerwony model przedwojennego fiata i umieścił go między klockami.

- Zostaw auto w garażu i pomóż budować rynek i kościół – upomniął go Franek.

- Teraz nie mam czasu, bo jadę do pracy.

Chłopcy utożsamiali się ze zwyczajami panującymi w domu.

- Zbudujemy wszystko i wtedy zaczniemy zabawę – Franek wyraźnie chciał rządzić.

- Ciekawe jak wybudujesz swoją furmankę – uśmiechnął się kpiąco Włodek.

- I pamiętaj, musisz wracać do domu pijany – wtrącił złośliwie Jurek.

Tego było już za wiele. Marek przerwał budowanie i spojrzał na kolegę.

- Przynajmniej mamy furmankę i konia, a ty co masz? Nic!

Przerwali zabawę i stanęli naprzeciw siebie, jak dwa nastroszone koguty przed walką.

Kuba i Włodek na wszelki wypadek odsunęli się pod ścianę.

Chłopcy stali jeszcze przez chwilę, aż się zaczęło. Odbijająca się od ścian i sprzętów płatanina rąk i nóg, zawładnęła całym korytarzem. Upadli na stertę krzesel, potem poturlali się pod stół. Trwało to dobrą chwilę, aż wreszcie znieruchomieli. Któryś stęknął z bólu.

Kuba patrzył na bójkę z przerażeniem, pomieszczanym z ciekawością.

Po chwili coś się ruszyło. Spod stołu wyszedł

Marek, otrząpął się z kurzu i popatrzył na potargane spodnie.

- Twoja mama zapłaci za spodnie. Wyprostował się i kopnął w kolorową układankę. Część klocków i Kubusiowe samochodziki wyleciały w powietrze, odbiły się od ściany i mebli, po czym znieruchomiały na podłodze. Marek bez słowa zszedł ze strychu, było po zabawie. Jurek wstał ciężko spod stołu i usiadł pod zegarem. Dotknął krwawiącego nosa i westchnął. Otarł łzy, które jak niewielkie czarne strumyki spływały po policzkach. W rezultacie cała twarz zrobiła się szaroczarna. Wieloletni kurz pod stołem ożył na chwilę, uniósł się w powietrze i opadł na chłopców. Kolorowe samochodziki i klocki straciły swoją barwę.

- Lepiej stąd chodźmy – szepnął Włodek.

Pośpiesznie zaczęli zbierać zabawki. Już mieli wychodzić, kiedy usłyszeli ciężkie kroki na schodach. Ktoś szedł na strych.

- Ja wam pokażę smarkacze!

Był to głos pani Siwkowej.

– Niedoczekanie, jak kogoś znajdę na strychu!

Ciężkie kroki były coraz bliżej.

- Nikt nie będzie się śmiał z mojego męża! Tym bardziej takie niewychowane szczeniaki! Zaraz poczujecie bata na swojej skórze!

Pani Siwkowa już wchodziła schodami na strych, kiedy otworzyły się drzwi z mieszkania na drugim piętrze i wyszła pani Gomółkowska.

- Co się stało, że pani tak krzyczy?

- Jak to, co się stało! Pani syn pobił mojego Marka i potargał mu spodnie! Zaraz dam je pani do naprawy, bo to jedyne spodnie, co ma do chodzenia na co dzień. Nam się nie przelewa, żeby, co chwilę kupować nowe ubrania!

- Niech się pani uspokoi, zaraz wszystko wyjaśnimy – cofnęła się do mieszkania.

- Jurek! Chodź tu natychmiast!

Do całej awantury dołączyła pani Stawecka z naprzeciwnika.

- Właśnie słyszałam, że coś się dzieje na strychu, bo przecież moje mieszkanie jest tuż pod nim, tylko nie zdążyłam pójść zobaczyć. Na szczęście moi chłopcy są w domu.

- Liczę, że szybko się pani upora z naprawą! - rzuciła Siwkowa ze złością.
 - Zrobięś to?! - Gomółkowa nachyliła się nad synem, który stał ze spuszczoną głową - mów zaraz!
 - Pewnie zahaczył o coś - bąknął Jurek. - Ja się tylko broniłem.
 - A kto zaczął?!
 Chłopak nic nie odpowiedział.
 - No widzi pani? Jeszcze się wyśmiewał z mojego męża!
 - Tak było?
 - Budowaliśmy nasze podwórko z klocków i tylko powiedziałem, że musi mieć furmankę, a nie samochód...
 - Dosyć! Za karę nie wyjdiesz z domu przez kilka dni! Gdzie ja teraz znajdę kogoś, kto zszyje te spodnie? Same utrapienia tylko z tobą mam.
 - Przecież pani Falińska, babcia Kubusia ma maszynę do szycia. Na pewno pomoże, to dobra kobieta. Nieraz widziałam, jak coś szyła. Kuba spokojny, że awantura nie dotyczy jego, zaczął powoli schodzić po schodach. Chciał jak najszybciej znaleźć się koło swojego małego domku. Cicho, jakby bał się, że go sąsiadki zauważą, przemknął obok nich i wyszedł z kamienicy.
 Burza już się skończyła. Słychać było tylko dalekie pomruki grzmotów. Pachniało wilgocią. Ominął kilka rozlewisk i niewielkich strug, które spływały z Krzemionek. Na podwórku zamieniały się w niewielkie strumyczki. One z kolei, jak wielkie rzeki, kończyły swój żywot w kałuży - wielkim morzu koło wejścia do kamienicy.
 - Gdzieś ty był? - powitała go babcia. - Niepokoiłam się.
 - Bawiliśmy się w kamienicy.
 - Właśnie widzę - spojrzała krytycznym wzrokiem na zakurzone ubranko. - Zaraz dam ci coś do przebrania, żeby mama tego nie widziała. Chwilę po powrocie Kubu, zjawiła się Gomółkowa z potarganymi spodniami w ręce.
 - Dzień dobry pani Falińska, czy może pani to zreperować? Chłopcy się pobili na strychu i mój Jurek potargał Markowi spodnie.
 Babcia wzięła je do ręki i uważnie przyjrzała

się ustercie.
 - To na szwie - odpowiedziała po chwili. - Zrobię to pani, nie powinno być problemu.
 - Dziękuję pani bardzo - ucieszyła się Gomółkowa. - Ech! te nasze dzieci, wystarczy na chwilę spuścić z oka.
 - Kuba też tam był?
 - Bawili się w korytarzu na strychu, ale Kubuś niczemu niewinny.
 Kubę tymczasem zainspirowały spływające strumyki. Zawsze po deszczu podwórko wypełniało się kałużami ze spływającej z Krzemionek wody. Znalazł kilka drewniaków i puszczał je na wodę, potem uważnie obserwował, jak płyną, niczym barki i statki po Wiśle, do kałuży przy kamienicy. Tam był ich port.
 Kilka razy brał małe patyczki, szedł pod garaż, skąd wypływała woda i znowu puszczał. Jednak wyszło w końcu słońce, które skutecznie wysuszyło kałuże, pozbawiając go zabawy.
 Jeśli jeszcze piasek był mokry, można było budować z niego zamki i tunele.
 - Nie jesteś głodny? - krzyknęła babcia. - Od rana nic nie jadłeś.
 Jak za sprawą czarodziejskiej różdżki w jego głowie pojawił się Szymon. Stał w ciemnym przedpokoju i patrzył na niego swoimi dużymi, czarnymi oczami.
 Nie masz chleba? - przypomniał sobie jego pytanie.
 - Jestem babciu! Możesz mi zrobić ze dwie kromki chleba z masłem!
 Podszedł do swojej skrytki. Rozglądnął się uważnie dookoła, jakby bał się, że ktoś go zobaczy, i wyjął cegłę ze ściany. Na szczęście podwórko było puste. Włożył rękę do dziury i poczuł znajomy kształt. Schował pierścienek do kieszeni i czekał, aż babcia znów go zawoła.
 Wyszła po chwili z domku, pytając:
 - Na pewno zjesz dwie?
 - Tak babciu, zjem!
 Wziął ostrożnie dwie duże kromki do obydwu rączek. Bardzo lubił chleb z masłem, byle by nie był posypany cukrem.



Winowanie

Ewa Kłobuch

Roi się. Pod kopułą, bo niby gdzie miałyby się roić? Przy kilku promilach świat nie podlega żadnym regułom. Odpuszcza sobie wszystkie, pobekując pomiędzy kolejnymi tykami. Taka puszcza od browca... Zgnieciona, po niezbyt skoordynowanym wyrzucie, powinna wylądować na jakimś meblu albo podłodze. A te tutaj nie. Te są inne. Odporne na prawa fizyki zbiły się w rozedrganą chmurę i jakiś metr nad głową udają rój pszczoł, bzyczących z aluminiowym pogłosem. Wyciągnąłby rękę, ale boi się. Nie wie, czy nie użądla.

Albo szafa. Dwoi się, troi. Wybrzusza, to znowu zapada do środka od lewej strony. Pochyla się nad Krzyśkiem, by zaraz umknąć pod ścianę jak te wszystkie baby, które niby chcą, ale jak już w końcu ma do czegoś dojść, to nagle mają okres. Trzeci raz w tym samym miesiącu. Zapaliłby, ale znowu się boi. Tym razem wciągnąć w płuca pszczelą rodzinę, nie daj Boże, przewrócić szafę w której Anka, posegregowana według pór roku i kolorami, czeka na zmartwychwstanie. Tak po prawdzie, to czeka Krzysiek. Na pewno bardziej. Czasem wtula się w te wszystkie: swetry, sukienki i płaszcze. Wdycha zwierzały już zapach piżma i bergamotki. Zamyka za sobą skrzypiące drzwiczki i znika. Niezbyt skutecznie, bo już po chwili świat upomina się o niego, po to by przeżuć i wypluć, gdzieś tak o trzeciej nad ranem w jakiejś ciemnej uliczce, upstrzonej innymi ludzkimi ścierwami.

A Anki jak nie było, tak nie ma. I tak już ma być. Podobno zawsze. Zawsze... Ile to czasu? I czym różni się zawsze od nigdy? Krzysiek nie ogarniał tych pojęć. Siebie też nie ogarniał. Ani na trzeźwo, ani po pijaku. W pijac-

kich zwidach podróżował, bez wyłączenia z barłogu, po miejscach do których mieli pojechać, po wewnętrznej stronie ud, które kończyły się kolejną niedonoszoną Agatką albo Tomkiem. Drzewem, pod którym grzebali płody. Drzewem, które rośło za nie wszystkie. W wietrzne dni zdawało się Krzyśkowi, że to nie wiatr zawodzi, tylko one płaczą. Albo Anka. Nad nimi wszystkimi. A już nad Krzyśkiem najbardziej. Mówiła, że go nie poznaje. Nie miał o to żalu, bo sam już siebie nie poznawał, odkąd wrócił z Afganistanu. Ciągłe był zdenerwowany. Miał kłopoty ze snem i skupieniem się na jakimkolwiek zajęciu. Nic nie sprawiało mu przyjemności. Nawet seks. Jego ruchy i reakcje były mechaniczne. Anka musiała to czuć. To i bezradność. Niedoskonałość siebie i całego świata, na którym może niepotrzebnie, próbowała zostawić jakiś ślad. Aż w końcu pękła. Niezbyt spektakularnie skoro przegapił ten moment i wszystkie poprzedzające go zwiastuny.

Babcia mówiła, że dusze samobójców umierają razem z ich ciałami. Taka kara za najcięższy z grzechów. Podobno. Krzysiek jakoś zawsze uważał, że to nie grzech tylko wolna wola. Może dlatego, kiedy Anka przerzucała sznur przez najgrubszą z gałęzi, wlewał w siebie kolejne piwsko, skupiony wyłącznie na wymianie płynów w swoim organizmie. Pał licha duszę odwieszoną na gwoździu przy jego pryczy w Ghazni. Lżejszy o te dwadzieścia jeden gramów mógł się już nie przejmować niebem czy piekłem. Składał się z ciała i był tylko nim. Bez żadnych następstw i jak się miało okazać... również bez Anki. Był nikim. Wra-

kiem, który dalej nie popłynie, choć wciąż jeszcze stwarza pozory, przelewając przez gardło kolejne oceany.

Pięćdziesiąt złotych za patrol. Tyle jest warte życie żołnierza. A „przecież jak wybuchnie mały[...] ajdik, to nawet jeśli nie rozwali tego Rosomaka, to i tak temperatura w środku będzie taka, że poparzy drogi oddechowe. Ten przed świętami był stukilogramowy, więc nawet nie chcę sobie wyobrazić, co tam była za masakra... Czasem lepiej siedzieć na pancerzu, bo jak walnie większy ajdik, to nas wszystkich rozrzuci i być może przeżyjemy. W środku nie ma żadnych szans. Tamtych pięciu siedziało w środku. Porozrywało ich na kawałki. Wiem, bo żołnierze jeździli zbierać”¹.

Po co Pani tu przyszła? Zobaczyć, ile zostaje w żołnierzu człowieka, kiedy może już odłożyć broń i przestać się bać? Otóż żołnierz nie przestaje się bać. Wojna jest w nim już do końca. Za każdym razem gdy zamknie oczy albo usłyszy huk. Choćby i pękniętej opony. Ten strach wylewa się przez jego usta. Rozłazi po domu. Skapuje z balkonu i wsiąka w rabatki. Później wyrasta z tego trujący grzyb albo bluszcz. Ten stłamsi wszystko, co nie jest aż tak zachłanne na przestrzeń. A tej będzie coraz mniej. Aż w końcu zostanie jej tyle tylko, by pojedynczą smugą mogło wkraść się światło. Ono obnaży całe to szaleństwo.

Może gdybym nie wyjechał... Albo został adwokatem. Tak, jak życzył sobie ojciec. Wie pani, że oni tam obwieszają ładunkami kilkuletnie dziewczynki? Podchodzi toto i prosi o cukierka, a pod sukienką zdalnie sterowana bomba. Myśli pani, że dusza też ulega rozerwaniu? A jeśli tak, to czy zbawienia dostąpi

każdy kawałek, czy tylko te większe? Bo taki drobiazg, to zawsze się gdzieś zapodzieje, a potem weź i szukaj wiatru w polu.

Wariat z ługowej. Fajna ksywa. I pasuje. Zwłaszcza gdy, rój złotą chmurą opada na dywan, posłuszny jak nigdy wcześniej... udaje psa. Cocker spaniela, który patrzy na mnie smutniej nawet niż patrzyła żona. Nie chciałem spalić całego lasu. Chciałem ukarać jedno drzewo. To, które użyczyło jej gałęzi. Reszta, to przypadkowe ofiary jakich wiele na wojnie. Nie rozumie pani? Nieważne. Choć ważniejsze od jutra. Jałowość po horyzont. Pogorzelsko i myśl powracająca jak bumerang - że tam, na tych zgłiszczach, nie podnosił się dym. Ani nawet mgła. Że to były dusze. Dusze drzew, ulatujące do swojego nieba.

Krzysiek celowo wybrał dłuższą drogę. Taką, żeby mijać stację paliw, na której stoisko monopolowe kusi chwilowym znieczuleniem. A więc stacja paliw, później stary młyn i wreszcie tory. Trochę trzeba było poczekać, aż wreszcie dało się słyszeć znajomy gwizd, a szyny zaczęły drżeć i drżały coraz bardziej, jakby przeczuwając zamiary wędrowca. Po ciąg zbliżał się do niego z ogromną prędkością. Żeby się zatrzymać, potrzebował kilkuset metrów. Krzysiek tylko powodu. Pędu, którego nie znał.



Milczenie fosylii

Chrystian Medard Manteuffel

„Gdy przybyłem do tego kraju, milczałem wśród ludzi, ponieważ nie rozumiałem ich mowy. Wkrótce spostrzegłem, że rozumiem ich milczenie...”
Z „Listów do Kamy

Często spotykaliśmy na ulicy starszego mężczyznę chodzącego o lasce. Pozdrawialiśmy się, co nie było niczym niezwykłym, ponieważ w tamtych stronach pozdrawiają się wszyscy, przechodzący obok, szwabskim: Grüß Gott, którego nauczyliśmy się na tyle poprawnie wymawiać, że nie byliśmy zaraz rozpoznawani jako obcy. Wreszcie zapytaliśmy Marię-Luisę o naszego sympatycznego sąsiada.

- Ach, myślałam, że już się znacie. To Polak, Wawrcac – wymówiła trudne dla niej nazwisko. - Poznam was z nim.

Wawrcac okazał się Wawrzaczem; „z” wymawia się po niemiecku jak „c”. Przybył tutaj z Lubina, gdy Lubin nazywał się Luben, jeszcze w roku 1941, jako obywatel Trzeciej Rzeszy. Dla miejscowych był jednak Polakiem i Polakiem pozostał. Bez trudu dostał pracę w fabryce papieru, poznał miejscową Szwabkę, zakochali się i zostali.

Choć od wojny minęło ponad pięćdziesiąt lat, ma niemieckie obywatelstwo i dorobił się wnuków, dla miejscowych zawsze będzie Polakiem.

Ta znajomość z Wawrzaczem przypomniała nam inną historię, którą opowiedziała nam pewna kobieta o imieniu Anita, którą poznaliśmy, gdy wędrowaliśmy jeszcze z Kamą po Polsce za pracą; dziś jest naszą serdeczną przyjaciółką, z którą złączył nas przypadek i może coś jeszcze...

Anita urodziła się w Niemczech. Jej ojciec dostał się do niewoli niemieckiej w pierwszych dniach wojny, gdy Niemcy zbliżali się do Poznania i wylądował w małym badeńskim miasteczku pod francuską granicą. Jego niewola zamieniona została wkrótce na pracę przymusową. Nie chodziło rzecz jasna o jakikolwiek znak łaski, lecz o praktyczne potrzeby

wojennej maszynierii; ojciec Anity był bowiem szewcem, a w tym małym miasteczku uruchomiono właśnie fabrykę butów. Niemieckich szewców powołano do walki za ich Führera. Tak więc ojciec Anity został zmuszony do robienia butów dla niemieckich szewców, aby mogli tupać zwycięsko po brukach coraz innych miast Europy, w takt ich wesołej przyspiewki: „Haj-li Haj-lo Haj-la...”.

Podobnie jak Wawrzacz, ojciec Anity również poznał pewną badeńską dziewczynę, która początkowo tylko z normalnego ludzkiego współczucia, a potem ze zwykłej ludzkiej miłości, szmuglowała dla niego żywność z domu rodziców. Aż zjawiła się na świecie ona, Anita. To było dwa lata przed końcem wojny. Rodzice próbowali ukryć nieszczęśliwą córkę z jej Polaczkiem i dzieckiem, ale nie trwało to długo. Kilku dzielnych niemieckich junaków w rudych uniformach przywiązało jej matkę do zabytkowej pompy na środku malowniczego ryneczku, obcięli jej włosy, założyli na szyję tablicę z napisem: „Ich bin eine polnische Hure!” i biczowali ją do nieprzytomności. Potem nie wiedziała już jak się nazywa, a własnego dziecka nie odróżniała od swojej starej lalki. Nieszczęśliwa para z matką Anitą przeżyła w ukryciu, aż przyszli Francuzi. Wtedy ojciec wrócił do Polski, jednakże tylko z dzieckiem. Według relacji ojca, matka pozostała tam w Badenii wraz ze swoją lalką. Od ojca nie dowiedziała się Anita niczego więcej; ożenił się i rozpił, a ona pozostała u polskich dziadków.

Anita opowiadała nam, że dziadkowie, a potem i ona, starali się przez Czerwony Krzyż odnaleźć matkę, ale wracało ciągle tylko żądanie o bardziej szczegółowe dane.

¹ To fragment wypowiedzi żołnierza przebywającego na misji w Afganistanie. <https://www.newsweek.pl/polska/szkoda-zycia-za-piec-dych-wyznania-zolnierzy-z-afganistanu/cps1301>, dostęp: 27.08.2024

Jako że mam zwyczaj notować sobie takie wydarzenia, które szczególnie mnie poruszyły, znalazłem i te notatki, które szczęśliwie nie zniszczyły się w czasie nielegalnego transportu do Niemiec w 1988 roku.

Badenia graniczy ze Szwabią i miejscowość udało nam się szybko ustalić. Kama początkowo nie chciała, ale wreszcie pojechaliśmy tam. Najłatwiej było znaleźć rynek i starą pompę na środku placu, nieczynną już i będącą jedynie ozdobą. Są to typowe elementy w krajobrazie miasteczek południowoniemieckich. Niebawem okazało się, jak naiwne było nasze przedsięwzięcie. Zagadywani przez nas ludzie albo niczego takiego nie pamiętali, albo o niczym takim nie słyszeli, bądź też mieli kłopoty ze zrozumieniem naszego dalece niedoskonałego języka niemieckiego. Urzędniczka w ratuszu, do którego wreszcie zdecydowałem się wejść, wyjaśniła uprzejmie, że w tamtych czasach kary takie, jak chłosta za kontakty z Polakami, były rzeczą normalną, a miłość...?

- Miłość... – zamyśliła się urzędniczka – w tamtych czasach podporządkowana była czyistością rasy. My mieliśmy produkować, produkować nadludzi.

Konkretnych przypadków jednak nie знаła. Zniecierpliwiona Kama zapytała mnie wreszcie, czy i ja nie mam w swoim życiu spraw, o których chciałbym zapomnieć.

- Tak, mam...

- W takim razie zrozum tych ludzi i zaprzestań tych dochodzeń!

I tak wróciliśmy do naszej Doliny Lenningen.

O historii tej opowiedzieliśmy kiedyś Marii-Luisie. I sądziliśmy, że na tym sprawa się zakończy. Pewnego dnia przyszedł do nas Wawrzacz i po krótkiej rozmowie o sprawie, która była niewątpliwie tylko pretekstem do przyjsia, powiedział nam, że słyszał od sąsiadki o naszych poszukiwaniach.

- Powinniście iść do miejscowego pastora – poradził nam stary Polak. – Maria-Luisa już rozmawiała z kimś z tego miasteczka i wie, że jest tam jeszcze ten stary pastor z tamtych czasów.

Tak więc po krótkiej telefonicznej rozmowie z pastorem, znalazłem się już sam bez Kamy, w

tym malowniczym, przytulnym miasteczku. Drzwi otworzyła staruszka z przyklejonym do ust uśmiechem, ale o mimice manekina i milczeniem skwitowała moje szwabskie: Grüß Gott. Poszła przodem do otwartych drzwi pokoiku, gdzie siedział pastor, po czym zaraz odeszła bez słowa.

Starzec polecił mi zająć miejsce przy stole, który najwyraźniej pełnił także funkcję biurka. Stół stał przy oknie z widokiem na ogród pełny zieleniących drzew. Nieco za długie, żółtawo siwe włosy starego człowieka leżały na krawędzi białej koszuli bez kołnierzyka. Wkrótce pojawiła się kobieta, którą pastor przedstawił jako swoją żonę. Wtedy przyglądała mi się dłuższą chwilę uważnie i bez słowa. Po chwili przyniosła mężowi herbatę w fajansowej filiżance, ale mnie zdawała się już nie dostrzegać. Przyszła i odeszła znów bez słowa, a pastor mieszał tę swoją herbatę o silnym ziołowym aromacie i uderzał głosem łyżeczką o ścianki fajansowej filiżanki. Dziwna kobieta; w mojej pamięci pozostał mi do dziś jej obraz bardzo wyraźny i nieco niesamowity. Pastor był stary, bardzo stary i widziałem, jak daleko musi odejść, aby dotrzeć do tamtych czasów, o które go pytałem, by przyholować stamtąd odpowiedź.

- Ta-a-k... – robił wrażenie, jakby ważył w sobie gotową już odpowiedź. – Znałem ją. Widziałem też o tym, co się wtedy wydarzyło. Widzi pan ten budynek za moim ogrodem? To jest ratusz. Wówczas te drzewa nie były jeszcze takie duże. Obserwowałem wydarzenia, które się tam rozegrały, z tego okna. Tłum ludzi. Obcięli włosy do skóry, potem zawiesili jej na szyi tę tablicę z napisem... I tak stała tam przywiązana do tej samej pompy, którą pan teraz widzi. Oblewali ją wodą dla uciechy i ubliżali jej. Moi parafranie. W następną niedzielę, jak zawsze, dostali ode mnie komunie. Niech pan się nie gorszy. Taki jest każdy z nas. Dlatego dobrze, że jest kościół, gdzie człowiek odnajduje współczucie dla cierpienia Chrystusa, gdy brak mu go dla bliźniego...

- Pan to widział?! Obserwował?! I nie uczynił pan nic!?! Jako duchowny! – Wyrwały mi się gorzkie pytania jedno za drugim. – A

gdyby to był sam Chrystus...?

Pastor patrzył na mnie bez wyrazu. Przez chwilę myślałem nawet, że zapyta mnie, czy chodzę do kościoła. Potem zwrócił oczy ponownie na ogród za oknem. Wyglądał tak, jakby ten krótki, makabryczny film, który wyświetlił dla mnie, dobiegł końca i nic, poza ogrodem nie miał już przed oczami.

- Tak, mało ojciec opowiedział tej pańskiej znajomej. Anita ma na imię? Chrzciłem ją przed ich wyjazdem. – Stary rejestr leżał przygotowany na moje przyjsie na stole i pastor wskazał mi tę datę. – A ten ojciec? Żyje jeszcze?

- Nie, o ile wiem. Pił bardzo dużo - dodałem, jakby to coś wyjaśniało.

- Wtedy, tutaj przy tym oknie nie byłem sam – dodał nagle.

- Chce pan powiedzieć...?! Chce pan powiedzieć, że on był wtedy tutaj?

- Tak. On był wtedy tutaj. Gdyby oni go wtedy chwycili, powiesiliby go. Gestapo szukało go długo. Także u mnie. Ale jego już tutaj nie było. – Pastor, na przemian, popijał i mieszał swoją herbatę. Wydawało mi się, że jego zaczerwienione oczy zamglily się od naparu ziół. Przełknął łyk napoju.

- Wtedy w Niemczech, po tej przegranej wojnie, panował wielki tumult. Ludzie wędrowali, jedni ze Wschodu tutaj, inni wracali z niewoli z powrotem do domu. A do tego wszędzie wokół pełno wojska, zamieszanie, chaos...

Ona poszła za nim do Polski. Wie pan, to jeszcze panu powiem, ona miała taką lalkę, z którą się nie rozstawała. I to było dla niej jej dziecko. Ona poszła za nim. On z tą małą, a ona ze swoją lalką. Pastor przyglądał mi się znów uważnie, jakby chciał się upewnić, czy ja to rozumiem.

- Nie wiem nic więcej – zakończył.

Rzeczywiście z trudem zbierałem moje rozrzucone myśli. Pamiętam, że powiedziałem tylko:

- Anita mówiła mi, że matka oszalała. Ojciec jej o tym powiedział. Ona mogła więc zawie-ruszyć się gdzieś w drodze, w tym tumultcie...

- Tak, mogło tak być. Starzec podchwycił zżywieniem tę myśl. – Tak mogło być. Było bardzo dużo oszalałych po tej wojnie. Bardzo

dużo oszalałych kobiet.

Pastor podniósł się, aby mnie pożegnać.

- A pan? – zapytał w końcu. – Jest pan Polakiem czy Niemcem?

- Moja matka była Niemką, a mój ojciec Polakiem.

- Życzę panu dobrej drogi i pięknego dnia. Jedzie pan do Polski, aby spotkać się z Anitą i opowiedzieć jej o matce?

Pokręciłem przecząco głową.

- Nie... Zawiozę jej fosylię, którą znalazłem w pobliżu...

- Fosylię? Chce pan zawieźć milczenie?

- Tak, właśnie.

- Niech pan pozdrowi ją ode mnie. Żałuję, że nie mogłem bardziej pomóc.

- Dziękuję.

- Życzę także pani pięknego dnia. Do widzenia- powiedziałem jeszcze do żony pastora, która stała w otwartych drzwiach kuchni. Ale na moje pożegnanie nie odpowiedziała ani słowa. Zdawało mi się, że przyglądała się nie mnie, lecz czemuś, co jest we mnie. Zamiast odpowiedzieć, podniosła i przytuliła do piersi zniszczoną już pewnie od tego przytulania, gałgankową lalkę. Chyba osłupiałem. Nie wiem, jak trafiłem do wyjścia.

I tak pozostanie po mojej stronie powiek. Kobieta w domu pastora. Z jej zamkniętą, pomarszczoną twarzą. Jak odciski na tej fosylii, która leży do dziś na moim biurku. Właśnie patrzę na nią.

...Dolina, w której mieszkam, wciną się między skaliste zbocza. Domy, jak spłoszone owce, próbują wspiąć się jeszcze na te skały. Daremnie, ponieważ zbocza stają się coraz bardziej strome. Z trudem tylko korzenie potężnych buków, powykręcane jak żyły, znajdują szczeliny wśród skał, aby się w nie wcisnąć, rozsunąć je, uchwycić się i ciągnąć soki z mezozoicznych warstw Szwabskiej Jury. Czasami stoczy się w dół odłamek skalny, odłupany siłą korzeni, i otworzy się jego zawartość, fosylia, to milczenie przeszłości.

Gdy przybyłem do tego kraju, milczałem wśród ludzi, bo nie znałem ich języka. Niebawem spostrzegłem, że rozumiem ich milczenie...



Ciepło, ciepłej

Jakub Rewiuk

Część II większej całości

Maciek siedział przy mnie i gapił się na krew, kapiącą z plastikowego worka wprost do rurki podłączonej do mojego, prywatnego systemu rurek. Nie mówił nic.

- Myślisz, że lepiej będzie: Inaczej koleje losu wyznaczyć się nie mogły? – zapytałam, ssąc końcówkę długopisu. Długopisy nie krwawiły tak obficie jak pióra i za to je kochałam. Mała zmiana na lepsze. Wciąż jednak nie potrafiłam przerzucić się na komputer i nawet do szpitala kazałam mu przynieść mój grubaśny zeszyt z ostatnim zleceniem na jakiś romantyczny chłam. Pokiwał przecząco głową. Energicznie.

- Okej, to może: winnym byłbym sądząc, że może być inaczej. Wykrzywiłam się, wiedząc od razu, że to nie to. Takie rzeczy czuje się wcześniej, jak to, że jajko będzie wyptywać po rozbiciu, chociaż miało być na twardo.

Wstał, wciąż szarpiąc głową na prawo i lewo. Zaczął nerwowo obchodzić łóżko i sapać coś po swojemu. Czuję, że nie ucieknę przed tą rozmową.

- Maciek, słuchaj mnie. Próbowалам bezskutecznie złapać jego spojrzenie. – Ej, ale to nic nie pomoże. Lekarze jeszcze nie są pewni co to. Uspokajałam, sama nie wierząc w to, co mówię. Słyszałeś?

Wiedziałam dobrze, że słyszy wszystko. Prawdopodobnie rozumie więcej niż ja, chociaż udar wprowadził go w jakiś mały świat, do którego nie zawsze mam dostęp. Przyznaję, jego pomrukiwanie i drżące gesty czasem wzbudzały we mnie lęk. Bałam się, że wmawiam sobie za dużo rzeczy. Szczególnie tych, które wymarzyłam sobie usłyszeć jeszcze kiedyś z jego ust.

Nagle zatrzymał się obok stojaka z kroplówką i walnął w swoją pierś z zadziwiającą siłą, jak na kogoś, kto mógł do końca życia pozostać sparaliżowany. A chwilę później uderzył w mój materac.

Zrozumiałam. Tym razem na pewno.

- Choć tutaj do mnie. Postarałam się szeptać. - No już, nie martw się, nie jestem aż taka delikatna, nie połamiesz mnie. Chciałam mówić najłagodniej, jak potrafiłam. – Nie zmieniło się aż tak wiele.

Ani drgnął. Oprócz rąk. Odłożyłam notatki na stolik obok suchej kromki z białym serkiem.

- Nie obwiniaj się. Wybierałam słowo po słowie. - Pewnie masz wrażenie, że to ty powinienes tutaj leżeć. Kapały, jak krew z woreczka. Z cewnikiem, kroplówką i tym całym piszczącym głównem. Ale czasem zdarzają się rzeczy, które ciężko wyjaśnić. Chciałam się uśmiechnąć, chociaż wargi drżały mi bardziej niż jemu.

- Wpadłbyś na to, że w jednym przedziale, w jednym z setek szarych pociągów, jadących do szarej, fabrycznej łodzi spotka się dwóch tłumaczy? Tego nie dało się zaplanować.

Maciek popatrzył na mnie przez chwilę z wyrzutem, wstał, jakby miał w planach wyjście na dłuższy spacer, a potem poszurał w stronę korytarza. Drzwi zamknęły się z piskiem hamującego pociągu. Mówiły za niego.

*

Leżeliśmy obok siebie, wciąż jeszcze rozgrzani, chociaż noc wchłaniała w siebie to, co udało nam się nazwać bez słów. Oddychałam głęboko, wciągając w siebie zapach owadzych skrzydeł i skóry, a Magda oparła się na ramieniu i wbiła mi łokieć w żabowaty brzuch, tak, jak to robiła zazwyczaj.

- I co tam widzisz u góry? – zapytała. - Przypominają trochę kropki i średniki, nie? Twoje ukołchane... Potrafiła ukłuć jak nikt inny.

Lubiła się wyśmiewać z tego, że te bezsensowne, nic niemówiące zdania, które wklepuję w komputer, nazywam językiem programowania. Przeżywała mnie tłumaczem i pytała, co świat ma z tego mojego przekładania na język, którego sens może zniszczyć jeden źle postawiony średnik lub kropka. Odpowiadałam, że niewiele mnie to interesuje, dopóki dostają za to całkiem niezłą kasę.

Gdzieś w oddali, na stacji za górką, zatrzymał się ostatni pociąg tego wieczoru. Ludzie wracali do domów albo z nich uciekali, jeśli mieli na to pieniądze.

Ja miałam z programowania. Mogłam dodać, że w przeciwieństwie do niej, bo tłumaczenie zwykłych słów, to chudy kawałek chleba. Nawet kusiło, bo wbiłała łokieć mocniej niż zwykle. Ale ostatnio trochę za często i długo klóciłyśmy się o głupoty.

Zamknąłem oczy. Otworzyłem. Gwiazdy. Dzisiaj był dobry dzień. Warty zapamiętania.

- Po co miałbym widzieć coś innego? Ktoś już to kiedyś nazwał. To mały wóz – odparłem. – A tam, o, wielka niedźwiedzica – dodałem, wskazując palcem. – Nawet podobna.

Burknęła coś pod nosem, chyba nie przyjmując tłumaczenia.

- Podobna. Ta? – zaczęła zaczepnym tonem. – Nie sądzisz, że kogoś poniosła wyobraźnia? Może ktoś źle z greki przełożył nazwę?

Nie wiedziałem, dokąd zmierza.

- Madzia, o co ci właściwie chodzi? – zapytałem zniecierpliwiony.

- Nie sądzisz, że może to trochę dorabianie teorii do zgrai świecących kropeczek? – odparła po chwili. Musiała o tym myśleć już wcześniej. Raczej długo.

Ściągnąłem pajęczynę z twarzy i spróbowałem ułożyć się wygodniej na plecach.

- A ty jak tłumaczysz, to nie dopisujesz jakiś nadmiarowych słów od siebie? Może też dodajesz im przez to sensu, którego autor wcale nie planował. Rozmarzyłem się.

– A ludzie i tak będą szukać kolejnego dna w dwóch słowach. Tak już mamy. Mlasnąłem zadowolony ze swojej spostrzegawczości. Nagle w pamięci zarysował mi się obraz chudego dziecka, siedzącego w wannie z zimną wodą. Zabiłem go na chłodno i szedłem dalej z myślami.

– Tak już mamy i tyle – kontynuowałem. – Dlatego moje tłumaczenie jest dokładniejsze niż twoje. W javie nie może być ani jednego średnika więcej niż potrzeba. Ani jednej kropki. I wszystko na swoim... Aj!

Wbiła łokieć tak głęboko w brzuch, że aż zaszmiało w głowie.

*

Ze szpitalnego okna nie widać gwiazd. Nie żebym patrzyła w życiu przez wiele takich okien, zaliczam się raczej do tych osób ze szczęściem wrodzonym genetycznie. Ale dzisiejszej nocy błyszczały tylko samochodowe reflektory, a uliczne latarnie rozlewały mleko swojej poświaty na wilgotnym, czarnym jak piekielna smoła asfalcie. Chyba tak napisałby ten przytępiony patriotyzmem, nadęty bufon, którego tekst właśnie tłumaczyłam. Gdyby tylko miał okazję zobaczyć to okno z wysokości szpitalnego łóżka, swoimi zaropiatymi od dżumy czy innej cholery oczami.

Denerwował mnie, burzuj jeden.

Wkurzało mnie, że to prawdopodobnie ostatnie dzieło, jakie przełożę na nasz język i że przy tym

jest takie miálkie. Niemal tak samo jak to, że przez cały dzisiejszy dzień nie mogłam wpaść na to, jak przetłumaczyć: for there is nothing on this land that shall not found it's shiny purpose. Niby zwykłe zdanie. Ale wszystko, co przychodziło do mojej zatrutej złą krwią głowy, brzmiało zbyt górnolotnie. Latałam między gwiazdami zamiast uczciwie i nisko buszować w zbożu. Nie potrafiłam wyrazić prosto tego, co czuję. Jak zwykle.

Obróciłam się na drugi bok, a aparatura podłączona do mnie, wyraziła głośny sprzeciw, jak kot, którego przyciska się niechcący ciałem podczas przewracania, za alibi mając jedynie głęboki sen. Myślałam o Maćku.

To jego pierwsza noc samego w olbrzymim mieszkaniu, pełnym rzeczy, dźwięków i zapachów, które rozumie, ale nie potrafi nazwać w żadnym ze znanych języków. Pierwsza od czasu udaru, gdy został sam. Wygonili go z sali oddziałowej, kazali iść do domu, przespąć się. W pana stanie trzeba się oszczędzać. Żona da sobie radę. Dam.

Przypominam sobie, co mówili wtedy. Wciąż raczej młody, nie pali, czasem wino do obiadu. W rodzinie nikt nie choruje. Na pewno? To szansa, jak jeden na tysiąc – powtarzali. Ale czasem takie szanse się spełniają.

Kiedy lekarze podali mi jedną ze swoich śmiesznych, naukowych nazw po przyjęciu go, tamtego sierpniowego popołudnia, najbliższe kilka tygodni zajęło mi przetłumaczenie jej na język ludzki. Bo afazja ruchowa nie oznacza małego wymiaru kary, ani że mogło być gorzej, w przypadku udaru. Dla mnie oprócz tego, że wciąż mam męża, oznaczało głównie konieczność nauki rozumienia świata za drugą osobą. Ciężką sztukę odszukiwania przedmiotów, uczuć i potrzeb po ruchach drżących dłoni, mimice i starej jak świat grze w ciepło, zimno, ciepłej, gorąco!

Niby proste zadanie po piętnastu latach małżeństwa. Tak żartowali niektórzy, gdy największy strach minął bezpowrotnie, Maciek szurał po swojemu, nie mówił, ale oddychał. Znów się wolno było śmiać, jak śpiewał Markowski w radiu. Chrząćcie się wszyscy i tyle.

Strasznie bolały mnie kości. Nie mówiłam mu, że od kilku tygodni faszuję się końskimi dawkami różnych przeciwbólowych świństw, aż do wymiotów. Zrozumiałby. On wszystko rozumie. Wciąż jednak nie potrafię przewidzieć, jak zareaguje.

Jakiś czas temu, oczywiście przez moje usta, po-

wiedział mi, że najbardziej na świecie boi się zostać sam. Jak mały chłopiec, który wciąż pyta, bo nie potrafi nazwać otaczającej go rzeczywistości, by rano zapomnieć o wszystkim, co wczoraj nauczył się rozumieć. Noc spędzona we własnej głowie, by później przyszedł Strach i Wstyd z dzieciństwa, o których tak często mi wspominał. Był teraz bardziej niż kiedykolwiek tym trzynastoletnim chłopcem przed witryną sklepową z miniaturowymi pociągami, przerażonym na amen, że rodzicie nie rozumieją. Koledzy wyśmiewają. Zostanie sam z uczuciem nie do opisanie. Wyobraziłam to sobie. Jak chodzi po pustym mieszkaniu pełnym starych wspomnień, którymi nie można się z nikim podzielić, żeby odjąć sobie ciężaru. Stukpukszurpuk. Wciąż w przepłatającym się ciągu symboli, rysujących nasze życie. Pociągi, placki, średniki.

Poczułam to. Patrzanie na gwieździstą noc i dostrzeganie setek świecących punktów, niezwiązanych ze sobą, rozrzuconych bez większego planu i zamysłu. Co może poczuć człowiek, który nie potrafi objąć wzrokiem ich wszystkich naraz, ani pogrupować w pas Oriona i warkocza Bereniki?

Spróbowałam usnąć ze łzami na końcu powieki, ale sen nie przychodził. For there is nothing on this land that shall not found it's shiny purpose – te słowa obijały mi się w głowie jak stary skrzep. Musiałam je przetłumaczyć, żeby się ich pozbyć. Tylko tak prosto, zwyczajnie. Tak jak Maciek zawsze potrafił.

Zrozumiałam to. Potrzebowałam go bardziej niż on mnie.

*

Oczywiście zdarzało się, że kod nie działał. Wskakiwała znajoma ikonka z krzyczącym na zmęczonego człowieka słowem: – ERROR!

Szukałam nadmiarowych kropek. Jakiegoś niechcianego średnika. Aż znaki samostannie napędzały turbiny w głowie, rozgrzewały metalowe pręciki do czerwoności, do żarzenia się białym światłem, które oślepiało. Trzeba było jak najszybciej wyjść. Wziąć zimny prysznic lub ciepłą kąpiel.

Szukanie nadmiaru jest niby proste. Tak sądziłem, każdy z nas jest w tym mistrzem i ma za dużo problemów i pracy. Ręce drżały na klawiszach w niecierpliwym oczekiwaniu na właściwy moment. Nie tym razem. Jadłem kolację, chociaż nie byłem głodny, dzwoniłem do kumpla, chociaż miałem gdzieś, co u niego.

Do komputera wracałem ponownie dopiero po zmroku, gdy widzi się więcej. Przepełniona koszulka, wycie na końcu języka i milczenie z Magdą. Wszystko po to, by po całym dniu pracy znaleźć pustą kratkę z miejscem, gdzie kropki jednak się nie postawiło.

*

Kilka miesięcy po udarze rozmawiałam z jego rehabilitantką. Robił duże postępy, jest światłem w tunelu. Wybiegłam z gabinetu jak smarkuła, którą pierwszy raz pocałował chłopak. Nie potrafię wyjaśnić dlaczego, ale moje nogi wybrały kierunek starego osiedla w sercu Nowej Huty, tego w którym wychowywał się Maciek. Skakały po kolejnych stopniach, jakby były one kolejnymi, kanciastymi wersami wiersza. Głupie kulasy. Może już wtedy za bardzo mnie nie słuchały.

Po co tam iść? Tak z ciekawości – pomyślałam. – Może akurat jeszcze jest. Może nawet te same lokomotywy zataczają koła po wytartych szynach.

Zrobili tam przedszkole. Prywatne i dwujęzyczne. Takie lepsze. Chwila zwątpienia, zatuszowana koniecznością zawiązania buta. Ale to był dobry dzień, warty zapamiętania i nic nie może go zepsuć. Od tego jest przecież Internet – stwierdziłam.

Maciek nie zamierzał uwierzyć. Nie chciał słyszeć o doborze farbek i odpowiednich gatunków drzew, które miałyby stać przy torach. Prosiłam go bardzo długo, aż wreszcie otworzył kartonowe pudło podpisane czerwoną czcionką: – Kurzstrecken-Schnellzuglokomotive mit Waggonen no.4. Jego drżące dłonie pociągnęły w wyznaczonym przez producenta miejscu i setki drobnych elementów posypało się na podłogę. Stał chwilę, próbując opanować skurcze mięśni, a później wyszedł bez słowa. Cały wieczór zajęło mi szukanie części pod stołem, kaloryferem, w przerwach między zabudową, żeby nie wciągnąć ich podczas kolejnego odkurzenia. Może kiedyś go złoży. Nie teraz, to potem. Za kilka dni.

*

- Wyjedź ze mną, Madzia – prosiłem, stojąc nad jej kanciastym fotelem, który zawsze obwarowany był murem półotwartych książek, jak niezdobyta twierdza. Jedną z tych, gdzie swoje przydługawe sonety pisały te narcystyczne żigolaki i teraz należało przekładać ich arcydzieła, żeby zwykły Kowalski mógł zrozumieć, jak mało pojmuje świat.

– Tylko na kilka dni. Skończyłem ten projekt. Mówiłem ci. Napisaaliśmy cały program i wszystko hula! Jest kontrakt.

Odwrociła wzrok ode mnie, z powrotem w książkę, jakbym nudził ją bardziej niż te napompowane do granic możliwości słowa.

- To wspaniale, że ci się układa – odparła, jakby rzuciła jakąś wyuczoną kwestię z serialu. Bez emocji.

Na chwilę mnie przytknęło.

- Nam się układa. Zdziwił mnie entuzjazm z jakim pragnąłem wyjaśnić tak dziecinną kwestię.

- Chcę cię wziąć na wakacje. Próbowałem wykrzesać jakąś iskłę, żeby rozpaść coś podobnego u niej. - Nie mów, że nie marzysz o wyjeździe. Pociąg, przedział dla nas, szalona podróż - wymieniałem na jednym wdechu. - A potem jakaś cicha plaża w niewielkim kurorcie, setki drobnych, migoczących jak gwiazdy, ziarenek piasku pod plecami i ich odbicia na czarnym jak piekielna smoła niebie – wydukałem, udając prawdziwego, zadufanego w siebie poetę, aby zwrócić na mnie uwagę chociaż przez moment. – Dobrze, nie?

Nie podniosła wzroku znad kartki. Wiedziałem, co powie. Potrafiłem czytać ją jak prosty skrypt w formularzu.

- Wiem, co teraz powiesz – zacząłem ostrożnie. - Że musimy oszczędzać, bo potrzebujemy samochodu. Starałem się jak tylko mogłem.

– Ale spokojnie, złapię nowe zlecenie i odkujemy się. Kucnąłem, aby złapać jej wzrok, zawieszony między kolejnymi wersami tekstu.

– Wiesz, jak dobrze będzie ci się pracowało? Tylko lekkie bujanie fal i cisza. Czułem, jakbym stąpał po śliskich od deszczu szynach. Kroczek po kroczku.

Nareszcie na mnie spojrzała, ale w jej oczach nie było ciepła.

- Widzę, że od początku doskonale wiesz, czego mi potrzeba – wycodziła słowo po słowie. –

Wystarczy mi trochę ciszy.

Uśmiechnąłem się od niechcenia. Tłumaczyła poezję i miała tendencję, by dodawać tam uczuć, których autor nie miał nawet na końcu języka. Ale dla mnie zawsze w jej myślach kotłowała się proza. Przejrzałem ją pod tym względem dawno temu. Bolało ją to, że wydawcy nie doceniali jej zawiłych przekładów, tak jak firma moich prostych skryptów.

Albo problem leżał zupełnie gdzie indziej. Po między sprawami, o których lepiej jest nie mówić.

Nie, to nie to. Głupia kasa, którą zawsze chciałem mieć i która nic nie zmieniła. Może finansowo była zależna ode mnie, chociaż wyżywała głowę po kilka godzin dziennie, tak, że parowała, jak ognisko zalane deszczówką. Ale ja nie potrafiłem tak bez niej. Być, myśleć, mówić. Nie mogłem nic poradzić. To chyba więcej niż trochę forsę.

- Tak, masz rację... Poszedłem w stronę, z której nie było powrotu. Nie chciałem tego, ale maszyna rozpedziła się. – Porozmawiajmy o tym, czego ci trzeba.

Coś nadjeżdżało. Dużego. Metalowego. Sapało.

Później padło bardzo dużo zdań, których uczymy się jeszcze w dzieciństwie, słuchając, jak kłóć się nasi rodzice, by potem powielić jak drukarka, te same schematy w naszym życiu, które przecież miały być zupełnie odmienne. Tak różniące się od ich monotonnej rutyny i mądrości.

Sprzeczką. Spięciem. Chyba tak to się wtedy nazywało. To zabawne, że większość słów, która się z nim wiąże, później popada w niepamięć. Chyba właśnie po to, by po kilku dniach znów wspólnie robić placki ziemniaczane i rysować serduszka ze śmietany i sosu, jak głupi, zachłani gówniarze, którymi także mieliśmy już nigdy nie być. Jednak kilka z nich zostaje w głowie, tych zupełnie niewartych zapamiętania, jak niedobry dzień. Później wracają do nas w nocy, gdy nie możemy zasnąć od natłoku miejskich świateł, które świecą jaśniej niż gwiazdy i znaki na ekranie monitora w ciemnym pokoju.

- Zamknij się. Nie krzyczała, ale słowa wibrowały w ciszy. Przypominały monetę ułożoną na torach, a później wprawioną w obroty na kilka sekund przed pojawieniem się pociągu za zakrętem. – Po prostu się zamknij i daj mi pracować.

Posłuchałem jej.

Zdjąłem nerwowym ruchem kurtkę z wieszaka i wtopiłem się w wieczorny, listopadowy chłód. Krew szumiła mi między uszami, jak rozścieczone morze aż do końca ulicy, a potem wszystko uspokoiło się i do końca spaceru towarzyszyła mi tylko cisza, która panuje po odjeździe pociągu o czasie i z właściwego peronu.



Getto

Michał Pięta

Na polu pod lasem rośla brukiew. Dorodna tak że tylko brać. Billewicz ucieszył się na jej widok, jakby kto rzucił mu pod nogi garniec złota. Wyłaźł spomiędzy krzaków tarniny, wchodząc w stojącą nad polem mgłę. Ranek był chłodny, październikowy. Jeden z tych, które zdają się nie mieć końca, lub które kończą się nagłym, trwożnym wieczorem. Billewicz przykucnął na skraju zagonu i zaczął grzebać w wilgotniej ziemi. Ściągnięty głodem żołądek, odtańczył mu w brzuchu oberka. Dawno już powinien wyjść z lasu. Zaufanie do dowódcy miał Billewicz spore, posiadało ono jednak swoje granice. Te przekroczył wczoraj.

Ukręcił nać bulwiastego korzenia i uniósł głowę, czując, przeszywający powietrze, zapach tytoniu. Dłoń momentalnie skoczyła do przewieszonego przez plecy stena, lecz było za późno.

— Ostaw!

Karabinowa lufa zakuła go, jakby obcy wraził mu ją prosto w serce. Rzucił brukiew i uniósł ręce nad głowę, nie zamierzając kusić losu.

Żarzący się punkcik wisiał we mgle ledwie kilka metrów od niego. Obcy postąpił krok do przodu. Sumiasty wąs, czapka na bakier i ten nonszalancki sposób trzymania karabinu, jaki Billewicz, będąc w wojsku, widywał u kolegów ze starszych roczników. Jakby strzał z biodra dawał maksimum szans na sięgnięcie celu. Zaciśnął zęby.

— Sameś tu psyloz? — zapytał tamten.

— Sam — przytaknął. Zrobił to odruchowo, nauczone dawać stojącemu nad sobą człowiekowi z bronią wszystko, czego ten zażąda.

— Nie kłom.

— Nie kłamie. Sam jestem. Głodny. Dajże polskiemu żołnierzowi co zjeść.

Tamten zaciągnął się i nie wyjmując papierosa z ust, puścił w powietrze kłąb siwego dymu. Mgła wchłonęła go momentalnie.

— Nie twoje, nie bier — skwitował.

Odgłos wystrzału odbił się echem od ściany lasu, zabierając Billewicza poza ostatnią z granic.

Rudzkiemu przeszło przez myśl, że dobrze byłoby podjechać na miejsce zdarzenia samochodem, ale zrezygnował z tego pomysłu. Szybko zebrał z biurka szpargały i w ślad za Piękosiem wyszedł z posterunku.

Na rynku wyprzedził podkomendnego, jasno dając do zrozumienia, kto jest ważniejszy. Zbytecznie. Wokół nie było żywego ducha, który mógłby podziwiać jego sylwetkę, wyprężoną w nienagannie leżącym mundurze. Zupełnie jakby Sieszcza była zamieszkiwana jedynie przez duchy. I do cholery, odkąd Rudzki pojawił się w tej miejscinie, nie opuszczała go wrażenie, że jest tak w istocie.

Przecieli rynek, zostawiając za plecami Kościół Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Świątynia górowała nad niskimi zabudowaniami miasteczka niczym papieski paladyn nad gromadą karłów. Dziwne to było. Kościół wystawiony co najmniej jak na powiatowe miasto, a dookoła ledwie kilka ulic, przy których gnieździły się domostwa, tak biedne i zmordowane wojną, że żał patrzeć. Rudzki obejrzał się przez ramię. Zerknął na Piękosia, choć bardziej interesowały go zabudowania getta, skryte za murem zamykającym wylot ulicy Borowskiej. To było jeszcze dziwniejsze. Dwa lata od końca wojny, a tego nikt nie rozebrał. Co zostało w getcie pewnie rozszabrowali, ale żeby choć przebić ulicę. Zagadnie o to Stanisławskiego.

Wkraczając w ulicę Piaskową, zgłębili gardziel niskich, ciasno stłoczonych domków, straszących ciemnymi oknami, gdzie częściej niż szyba siedziała dykta albo kawał szmaty. Po małym którym obejściu było znać, że zamieszkałe. Ani pies obszczeka, ani jakiś zapach z kuchni wyjdzie na drogę. Rudzki pomyślał, że gdyby przestąpił próg któregoś z tutejszych domostw, prędzej ujrzałby tam babę na katafalku z gromnicą w dłoniach, niż kogoś zatrudnionego przy jakimś domowym zajęciu. W miejscach takich jak to, odruchowo odpiął zatrzask kabury. Nie żeby ze strachu. Ot, z przyzwyczajenia.

Biegająca w dół ulica, skręcała w lewo skosem,

przechodząc za opłotkami w szeroki wygon. Właśnie tam, na skraju otoczonej wierzbą sadzawki, odnaleziono ciało. Tam też komendant Rudzki odnalazł żywe dusze Sieszczy. Poszedłby o zakład, że wszystkie.

Ładysz, z automatem u boku, warował nad trupem, jakby zgromadzeni wokół gapie, zamierzali rzucić się na niego i rozszarpać na strzępy. Na widok nadchodzącego komendanta zasalutował i niemalże strzelił obcasami, szykując się do złożenia przygotowanego zawczasu meldunku. Rudzki powstrzymał go gestem. Nie lubił służbistów.

— No — rzucił stając nad trupem. — Co tu mamy.

— Partyzant, panie komendancie — pośpieszył z wyjaśnieniem milicjant, zbyt późno orientując się, że komendant nie pytał.

— Partyzant, towarzyszu, to był za okupacji. — Rudzki przyklęknął, przyglądając się trupowi.

— A to jest, co najwyżej, element wywrotowy.

Element wywrotowy wyglądał nieciekawie. Wychudzona, bura twarz o wyostrzonych rysach i wymizerowane ciało, na którym łaćciata bluza Waffen-SS wisiała, jakby ją kto wciągnął na grabie. Chłopak musiał siedzieć w lesie od dawna. Każdy z trzech milicjantów znał to od podszewki.

— Kto odnalazł zwłoki? — zapytał Rudzki.

— Ja. — Tym razem Ładysz nie wyrывał się z odpowiedzią.

— Ty? Jak to?

— To moja krowa... — Milicjant wskazał dłonią na pasącą się nieopodal krasulę. — Nie mam swojej łąki.

Rudzki westchnął, przecierając dłonią twarz.

— Znalazłeś coś przy nim? Jakies papiery?

— Nie — zaprzeczył milicjant. — Tylko to.

Rudzki zerknął na wskazaną mu, sfatygowaną opaskę z Gwiazdą Dawida. Rzucono ją na brunatny wykwit krwi, który znaczył łaćciatą bluzę na brzuchu trupa.

— I co to niby ma znaczyć? — zapytał.

Pytanie zawisło w powietrzu, wyraźnie nie formułując w głowach podwładnych komendanta zdalnych do podania odpowiedzi.

— Chuj wie. — Wyręczył ich. — Ale mi się nie podobą.

Nie można było ująć sprawy trafniej. Nie podobano się to żadnemu z trzech milicjantów.

— Piękoś — komendant zwrócił się do drugiego z podwładnych. — Ty się ganiałeś z Niemcami po lesie...

Ten wzruszył ramionami.

— Nie wiem. W okolicy nie było partyzantki od przejścia frontu.

Rudzki sapnął i wstał. No cóż, tu i teraz nie dowie się więcej.

— Ładysz, idź po samochód. — Rozejrzał się po zbiegowisku. — A wy Piękoś zdejmcie automat. Milicjant w trymiga zrozumiał w czym rzecz. Ściągnął z ramienia broń, strzelił zamkiem i stanął nad trupem w pełnym gotowości wyroku. Przez usta komendanta przeszedł uśmiezek. Bystry chłopak. Warto go mieć przy sobie.

— Towarzysze! — zagrzmiął. Jego głos nie wybrzmiał w stojącej nad wygonem mgle tak donośnie, jakby sobie tego życzył, lecz przykrył tę niedogodność pewną siebie miną.

Też mi towarzysze — pomyślał. Stare baby i kilku wyrostków. Spojrzenia tak tępe, że chyba ostrzą na nich lemiesz.

Niemniej wyłowił spośród gapiów także kilka męskich twarzy. Starczych, lecz jednak.

— Władza ludowa dba o wasze bezpieczeństwo — podjął. — Organem odpowiadającym za to jesteśmy my, Milicja Obywatelska. Jeśli ktośkolwiek wie coś o tym tu człowieku, lub widział w okolicy podejrzanego element, winien to zgłosić. Jest to wasz obowiązek, mający zapewnić spokój i porządek społecznego współżycia. Towarzysze, wróg nie śpi i my też nie możemy zasypiać!

Uczepił się spojrzeniem chłopca o dorodnym wąsie i z czapką nasadzoną na bakier.

— Po latach ciemnienia przez sanacyjnych panów, zawisła nad nami groźba reakcyjnych poczynąń kapitalistycznych imperialistów. Sługami ich mętnych interesów są ludzie podobni temu tu straceńcowi. Kryjące się po lasach szumowiny, wrogie nie tylko władzy ludowej, lecz przede wszystkim chłopu polskiemu. Niemniej przypominam. Posiadanie w obejściu broni jest niedopuszczalne. Ktokolwiek takową posiada, winien bezzwłocznie zdeponować ją w komendzie M.O. Przejawy samosądu będą karane. Organem odpowiadającym za zapewnienie porządku, jesteśmy my. Milicja Obywatelska.

Powinien dodać coś jeszcze? Chyba nie. Jego gadanie i tak przypominało głos wołającego na puszczy.

Chłop jest tam trudny — mówili mu jeszcze w Łukowie.

Reakcyjny? — pytał.

Corzej. Zatwardziały.

Na czym polegała owa zatwardziałość, mógł się właśnie przekonać. Tępe spojrzenia nie zmieniły się ani na jotę. Jakby gadał do ściany. No nic, zrobił swoje.

Obrócił się na pięcie i zerkając na odchodzącego w stronę rynku Ładysza, ogarnął spojrzeniem panoramę Sieszczy. Kościół górował nad niskimi domami miasteczka niczym papieski paladyn nad gromadą karłów. Jedyne kontrpunkty dawał mu szczyt, skrytego za murami getta, budynku synagogi.

Zakutło to Rudzkiego. Widok, który miał przed sobą, wydał mu się najdziwniejszy ze wszystkich dziwactw Sieszczy.

Obmył twarz i otrząsnął dłonie z wody. Ktoś nad nim stał. Tolek.

– Billewicz się znalazł, panie poruczniku. Zabili go we wsi.

Kucający nad strumieniem Fiszle, zerknął przez ramię na sterczący nad nim strzęp człowieka. Wąły blask niskiego słońca przedzierał się przez liście drzew, malując na sylwetce żołnierza pstrokate wzory. Cień wyrzutu musiał być w spojrzeniu porucznika widoczny, bo Tolek się skrzywił.

– Ciało zabrała milicja – dodał, choć nie miało to znaczenia. – Pewnie na posterunek.

Fiszle wstał i wytarł twarz kawałkiem szmaty. Wyrzut był niezamierzony. Nie była to przecież wina Tolka. Nawet nie Billewicza. Fiszle, za taki obrót spraw, mógł winić wyłącznie siebie. W jego życiu nie liczyło się już nic, poza zastyszczoną jeszcze w czasie wojny informacją, że trzewia Sieszczy kryją okrucieństwa zamordowanego narodu. Po to przyciągnął w te strony, by go ocalić. Nie mógł jednak wymagać od uczipionych porucznikowego munduru chłopców, aby dzielili się płonne nadzieje. Kto mógł, dawno wyszedł z lasu. A on nie wiedział nawet, gdzie szukać.

– Zbierz rzeczy – zakomenderował. – Pójdziemy w nocy. Jeśli się uda, ruszymy dalej. Jeśli nie, wszystko trafi szlag.

Słońce przebiło się dziś przez chmury jedynie na chwilę, lecz akurat na tę chwilę, gdy ważyły się losy obu partyzantów, skrytych w lesie w okolicach Sieszczy. W oczach Tolka przeświecająca przez liście poświata, ułożyła się wokół głowy Fiszla w złocistą koronę, przerzucona przez ramię szmaty w najpiękniejszy tańs, zarośnięta twarz w surowe oblicze nabożnego cadyka.

– Co ma się nie udać, panie poruczniku – rzucił

rażno chłopak. – Pójdziemy, to się uda.

Fiszle dałby wiele, aby wskrzesić w sobie choć iskrę pewności, którą kipiał Tolek. Uśmiechnął się ponuro, klepiąc go w ramię.

– Cymes, pani naczelnikowa! – Rudzki powiódł wzrokiem za kibicią odchodzącą w stronę kuchni kobiety. – Nie jadłem tak od lat. Całuję rączki!

Odrzuciła zalotnie włosy, zerkając przez ramię i posyłając komendantowi uśmiešek.

No proszę. Jednak życie na prowincji potrafiło być znośne. Z brzuchem pełnym pieczystego, o jakim w Warszawie mógłby jedynie pomarzyć, po kilku głębszych i w towarzystwie kobiety takiej jak naczelnikowa, Sieszcza wydała się Rudzkiemu wcale znośna. Szkoda tylko, że przyszedł do Stanisławskiego przede wszystkim w celach służbowych.

– No – rzucił, gdy zostali sami.

Stanisławski, łysiejący, z nalany obliczem podrzędnego buchaltera, jak na komendę zdjął z butelki korek.

– Wiecie, to dla mnie niewygodna sytuacja – podjął Rudzki, gdy wódka przeszła przez gardło. – Jestem tu od trzech dni, a już mam mocno nieciekawego trupa. Partyzant. Żyd. Co mam z tym zrobić?

Stanisławski westchnął i zakąsił resztką pieczeni.

– Zdecydowanie nie jest to rzecz codzienna. W tych okolicach nie było partyzantki od końca wojny.

– I to ma mi pomóc?

– Nie. Proszę zrozumieć. Jestem skonfundowany, podobnie jak pan. Tu za okupacji nikt nawet nie donosił, a coś takiego? Nie wiem co powiedzieć.

Pięknie. Gminny naczelnik o mocno sanacyjnej konduicie bez mrugnięcia przyznaje, że pomocy odeń nie można oczekiwać. Rudzki wiedział, że Stanisławski miał mocne plecy w powiecie, lecz czy tylko dlatego, że do obsadzenia stanowisk brakowało nalezycie zbudowanych ideologicznie ludzi? Komendant w to wątpił.

– Ale powinniście wiedzieć – przycisnął. – Ktoś podrzucił trupa na skraj wsi. I to, gdy na wygon prowadził krowę mój człowiek. Dziwne, prawda? I nikt niczego nie widział, rozumiecie? A trup, kurwa, jest!

Komendant strzelił otwartą dłonią w stół dla podkreślenia ciężaru faktu, przed którym obaj

stanęli. Stanisławski sięgnął po butelkę. Było w nim coś z przedwojennego nauczyciela, gotowego roztłumaczać plebejskim dzieciom, najbardziej zawiłe zjawiska otaczającego ich świata. Irytowało to Rudzkiego. Do szpiku.

– A getto? – pochylił się nad stołem, ścisząc konfidencko głos. – Dlaczego to tak stoi? Nie było komu rozebrać muru?

Zmieniając temat liczył, że wytrąci Stanisławskiego z postawy pełnej wyniosłego zdystansowania. Bezskutecznie.

– Nie, towarzyszu komendancie, musicie zrozumieć...

Zrozumieć! Krew uderzyła Rudzkiemu do głowy. Nie znosił tego inteligenckiego dzielenia włosów na czworo! Z niechęcią powściągnął nerwy i pozwolił naczelnikowi gadać.

– Zrozumieć co? Proszę mi to wytłumaczyć.

Stanisławski poruszył się na krześle, chyba nieco zaskoczony postawą komendanta. Może jednak wcale nie był gotowy roztłumaczać zawiłości, otaczającego ich świata. Może nie komendantowi posterunku Milicji Obywatelskiej.

– My tu mieszkamy od pokoleń – zaczął. – Moja rodzina mieszka tu od pokoleń. Niegdyś Sieszcza była wcale prężnie rozwijającym się miastem. Pan oczywiście wie, że dawniej ośrodki prosperity przyciągały ludność wyznania mojżeszowego. Handel, usługi, rzemiosło... Chłopsztwo nie miało o tym pojęcia. W mieście powstała gmina żydowska, bardzo poważana, bo zamieszkali tu potomkowie chasydzkiego cadyka. Święty Żyd z Przysuchy, tak go nazywali. A tuż obok, proszę. Stanisławski wskazał palcem w kierunku okna, za którym w szarówce ciemniała bryła kościoła. W głównym ołtarzu cudowny obraz Matki Boskiej Parysowskiej, gdzie przynoszono prośbne modlitwy i dziękczynne wota od siedemnastego wieku. I tak to sobie trwało, po sąsiedzku, nic nikomu nie wadząc. Przez lata.

Naczelnik przerwał, dając kiwnięciem znak, aby wypili.

– Potem miasto wyniszczyły zabory i nazwijmy to, niesprzysięgając koniunkturą dziejową. Ot, pech nienależytego położenia. Jednak gmina żydowska przetrwała. Z czasem liczniejsza niż katolicka część Sieszczy. A teraz niech pan sobie coś wyobrazi. Tu, w tej upadłej miejscinie, na przestrzeni ledwie kilku okolonych murem ulic, Niemcy stłoczyli przeszło trzy tysiące Żydów. Nie tylko miejscowych, ale i zwiezionych.

Z wiosek, z Garwolina, nawet z Warszawy. W czterdziestym trzecim, jednej nocy, spędzono wszystkich na rynek, niedołączonych rozstrzelano, a resztę pognano do Piławy, na stację. Tam w wagony i do Treblinki. Do gazu. W ciągu jednej nocy z Sieszczy zniknęło przeszło trzy czwarte dusz. Jak się po czymś takim odnaleźć? Rozebrać mur i zapomnieć? My tu nie potrzebujemy mieszkań na kwatunki, to nie Warszawa.

Szkoło brzdęknięto ostrzegawczo, gdy Stanisławski nerwowym ruchem nalał ponownie. Nie czekając na Rudzkiego, napił się.

– Komendancie, my tu żyjemy w mieście duchów. Wy może nie chcecie tego zrozumieć czy uszanować, ale będziecie musieli się z tym zmierzyć.

Rudzki parsknął i objął szklaną dłoń. Nie był pewien, czy dobrze odczytał słowa naczelnika, lecz jeśli tak, to niczego bardziej nie pragnął.

Skoro naczelnik Stanisławski potrzebował lekcji właściwej postawy w czasach walki z reakcją, to komendant Rudzki zamierzał mu jej udzielić. Bezwzględnie.

– Otwieraj! – rozkazał, mimo że w broniących dostępu do getta wierzejach, ziała szpara, w którą wlałyby się jałówki.

Piękoś wykonał polecenie, choć w jego ruchach czuć było ociąganie. Rudzki wielkodusznie nie zwrócił na to uwagi. Pewnym krokiem przekroczył bramę.

Świat po drugiej stronie przywitał go tym uświęconym tchnieniem śmierci stuporem, który znał z ruin wyzwalonej stolicy. W przestrzale brukowanej, zamkniętej murem ulicy, pośród zarośniętych podwórz, stały domy tak puste i głuche, jakby człowiek nigdy w nich nie zagościł. Przywykł do tego, jak przywyka się do ćmiącego bólu zęba. Gestem pogonił Piękoś i ruszył w stronę synagogi.

– Wie pan komendant, że nie dali jej zbudować przy rynku? – zagadnął milicjant, gdy Rudzki sięgnął po latarkę, by snopem światła omieść niszczącą budynek. Szarówka ledwie się przecierała. – Kiedyś było takie prawo. Nawet jak Żydów mieszkano tu więcej niż naszych. Rudzki nie odpowiedział. W gruncie rzeczy guzik go to obchodziło. Przyjrzał się budynkowi, dla zabawy oświetlając jego szczyt, który

wczorajszego ranka obserwował z wygonu. Wielka tam synagoga, ot, murowany dom z poddaszem. Przed wojną, w powiatowym mieście, urządzono by w czymś takim bibliotekę. Gdzie to się miało do gmachu Najświętszej Maryi Panny? Ani to ładne, ani robiące wrażenie.

– Wejdziemy, prawda? – zapytał. Nie czekając na odpowiedź wskoczył na schodki i pchnął drzwi.

Co spodziewał się ujrzeć w środku? Trudno powiedzieć. Nigdy nie był w synagodze i w ogóle o Żydach pojęcie miał gorzej niż marne. Widok zdevastowanej pustej sali, do której wkroczyli, nie powiedział mu zupełnie niczego. Poczuł się nawet odrobinę zawiedziony.

– Tutaj była bożnica – odezwał się Piękoś. – Tam biuro, a na górze mieszkania.

Rudzki skierował snop światła w stronę ciemnej dziury, pozbawionego drzwi wejścia do sąsiedniego pomieszczenia.

– Biuro? – zapytał.

– No, żydowskiej gminy. Załatwiali tu różne interesy. Jak na plebani czy w urzędzie. Wszystko tu było. Trzymali tu papiery i pieniądze. Przedtem dało się wejść od podwórza, ale zamurowali.

Nie tylko wejście. Rudzki omiół światlistym blaskiem, zaślepione cegłą okna.

– No i co? – zapytał sam siebie. – Nic niezwykłego. W sam raz na bibliotekę – dodał w myślach.

Czubkiem buta trącił, leżący na podłodze gałgan. – Ja tu kiedyś wlałem, jak byłem mały – odezwał się Piękoś, lecz tym razem niepewnie, jakby się bał, że nie będzie miał, kto go wysłuchać. – Z Ickiem Woronowiczem. W sobotę, to znaczy w szabaty. O tam, na górze, jest okienko i ze schodów, co się szło na piętro, można tu było zajrzeć do środka. Oni się tak kiwali jak jakieś wrony, z tymi chustkami na głowach i każdy sobie. Modlili się tak jeden przez drugiego. Mamrotali, jakby ich kto nakręcił, a myśmy na to patrzyli, aż mi żołądek ścisnęło.

Rudzki obrzucił Piękosia spojrzeniem, po którym każdy jeden przestałby się odzywać, ale milicjant gadał dalej.

– Tam stało podwyższenie, a tam pod ścianą, była zasłonięta wnęką. Icek mówił, że tam trzymają Torę, pan wie komendancie, taką żydowską Ewangelię i nawet chciał mi ją pokazać. Mówił, że jest drogocenna, bo uczył się z niej jakiś święty rabin. Ale nie doczekałem. Za bardzo się bałem.

Rudzki oświecił postać Piękosia.

Po diabła on mi to mówi? – pomyślał.

I naraz w myślach się złał. Na oswojenie łamanego tabu, nie istniał pewniejszy sposób niż kon-

fesja przed postronną osobą. Szczególnie, jeśli tej osoby nic a nic nie mogło to obchodzić.

– Cii... – syknął milicjant. – Słyszysz komendanta? – Coś wali.

Rudzki uniósł latarkę, oświetlając twarz Piękosia. Była błada niczym ściana.

– Szaleju żeś się nażarł?

– Nie, cii – milicjant przyłożył palec do ust. – Coś wali. Pod nami.

Na przekór woli komendanta, zatopili w ciszy. Rudzki zatrzymał na końcu języka plik niewybrednych obelg, którymi zamierzał złać Piękosia i zamarł, nie dając wiary przekonaniu, że i on coś słyszy.

Bo przecież słyszał.

– Tam – milicjant wskazał na zakątek, gdzie wedle jego słów miała znajdować się wnęką.

Rudzki był szybszy.

– Tam jest kłapa – szepnął, omiatając snopem światła resztki drewnianego przepierzenia, u stóp którego ziała ciemna jama zejścia do podpiwniczenia. – To stamtąd.

Złapali się spojrzeniami, w trymiga rozumiejąc, co nastąpi za chwilę.

– Gotuj broń.

Było ich dwóch. Dwa cienie tańczące w migoczącym świetle lampy, którą przyświecali sobie przy pracy. Pierwszy, o chuderławej sylwetce dziecka, długim prętem rozbijał ceglany mur zaślepiający przejście. Drugi, w mundurowej bluzie pamiętającej chyba jeszcze wrzesień, pomagał mu krótkim łomem, wykruszając gruz. W ich ruchach czuć było zmęczenie i nerwową ekscytację. Jakby błędzili podziemnymi korytarzami od miesięcy, wreszcie natrafiając na to, czego szukali.

Milicjanci, podążając za odgłosem tępego bicia, zeszli pod ziemię głęboko. Pięć, może osiem metrów. Wpierw chodnikiem oszalowanej deskami sztolni, potem kutym w litej skale, rozchodzącym się na dziesiątki odnóg, korytarzem. Po omacku dotarli do miejsca, skąd widać było światło i trwali tak, skryci w mroku, obserwując pracujących.

To, że tamci byli kompanami zastrzelonego wczoraj nieszczęśnika, nie ulegało wątpliwości. Partyzanci. Czegoś szukali. Tu, w czeluściach rozciągających się pod gettem podziemi, o których istnieniu nie miał pojęcia nawet wychowany w Sieszcy Piękoś. Milicjant, z wycelowanym automatem, warował u stóp wtulonego w skal-

ną niszę komendanta, gotów w każdej chwili przeszyć przestrzał korytarza serią śmiertelnych ołowiu. Rudzki co i raz wstrzymywał jego nerwowe posapywanie, uspakajającym złożeniem dłoni na ramię. Nie mógł uwierzyć we własne szczęście. Trudno mu było wyobrazić sobie lepszy sposób na udzielenie Stanisławskiemu lekcji, niż wyprowadzić stąd tych obdartusów. O! proszę, towarzyszu naczelniku, wy tu bajeczki przy wódeczce opowiadacie, a element wywrotowy po wsi harcuje! Utrze niedojdzie nosa i rozniesie getto w pył tak, jak powinno się to zrobić, gdy tylko nadeszło wyzwolenie, a potem narzuci tej upadłej mieścinie własne normy postępowania. Żaden inteligent nie będzie mu zwykłej niezaradności przesłaniał bredniami o mieście duchów. Rudzki był na tak głodne kawałki dostatecznie impregnowany.

Ceglany mur ustąpił wreszcie pod naporem uderzeń i zapadł się, odsłaniając ciemną jamę wyrw. Pracujący natychmiast porzucili narzędzia i doskoczyli do dziury, by rozgarnąć gruz rękoma. Wydobyta przez starszego szkatuła była długa na przedramię i smoliście czarna, jakby wykonano ją z jednego z tych rzadkich, afrykańskich gatunków drewna. Młody sięgnął po lampę, wiszącą na wbitym w skalny wyłom gwoździu i świetlista łuna zamigotała, odbierając milicjantom przejrzystość wydarzeń. Tylko po ruchu wypełniających korytarz cieni, domyślali się, że szkatuła jest otwierana. Trwało to dłużej, niżby sobie tego życzyli, ale żaden nawet nie drgnął.

Korytarz na powrót zalał się światłem, gdy dłoń chłopaka podkręciła knot lampy, ustawionej teraz na skalistym podłożu. Ciemna sylwetka starszego z partyzantów, skryta za płachtą przesłaniającą głowę i ramiona, jakby urosła. Młody, pochylony nad szkatułką, wydobył z jej wnętrza coś, co Rudzki mógł określić jedynie jako zwój pergaminu. Zmełł w ustach przekleństwo. Co prawda nie spodziewał się ujrzeć pieniędzy ani kosztowności, ale plik dokumentów nie byłby od rzeczy, a niestety nie pamiętał, jak dawno temu zaprzestano przechowywania dokumentów w postaci zrolowanego pergaminu. Nim jednak zdążył się zirytować, stary odebrał zwój z rąk chłopaka i rozwiniawszy go, począł się gibać. Przestrzeń korytarza wypełniły słowa recytacji. Rudzki zacisnął palce złożonej na ramieniu Piękosia dłoni, dając do zrozumienia, żeby jeszcze się wstrzymał. Nie bardzo wie-

dział, co myśleć. To już? Tylko tyle? Jacyś zaprańcy z resztówki ŻOB-u wleźli tu po to, żeby modlić się z zapomnianego mszału? Niewiarygodne. Przetarł twarz dłonią, nie mogąc uwierzyć w to, co widzi.

Słowa modlitwy płynęły korytarzem, odbijając się echem od kamiennych ścian. Rosły i potęgniały, drażniąc uszy milicjantów, kłując serca ostrzem doświadczanej odmienności. Piękoś nie wytrzymał. Strącił z ramienia dłoń komendanta i rozdarł przestrzał korytarza gradem ołowiu. Terkot automatu złał się w jedno ze słowami modlitwy, z suchym trzaskiem nagle odpowiadających na atak wystrzałów. Zaskoczony Rudzki skulił się, przyklejając do ściany. Przeklął Piękosia, obu partyzantów i samego siebie, w naiwnym odruchu szukając słów, zdolnych do sklecenia rachunku sumienia. Przed oczami zamigotał mu obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, do którego, jako chłopak modlił się, goniony przez wychowującą go babkę. Może jednak powinien posłuchać starej i wybrać seminarium...

Cisza przerwała pogoń głupich myśli. Rudzki otworzył oczy, lecz wokół panowała ciemność. Zmacał dłonią przestrzeń dookoła, szukając czegokolwiek, co dałoby punkt odniesienia. I znalazł. Ciepła maź na bluzie rozciągniętego wzdłuż korytarza Piękosia, powiedziała mu wiele. Przestraszony cofnął dłoń i wytarł ją o spódnie.

Zastanowił się co dalej. W gruncie rzeczy nie było najgorzej. Żył, miał przy sobie broń i latarkę, jakoś zdoła się stąd wydostać. Kto został tam pod murem, musiał paść pod naporem gradu kul, wystrzelonych przez Piękosia. Szkoda chłopaka. Mógł być z niego dobry milicjant...

Wzdrygnął się, słysząc dobiegający z głębi korytarza stukot. Tam, w mroku, ktoś się szamotał. Teraz usłyszał to wyraźnie. A jednak, któryś przeżył. Odpiął zatrząsk kabury i dobył pistoletu. Korytarz był ślepy, jeśli więc tamten chciał się wydostać, musiał przejść obok skulonego przy ścianie Rudzkiego. Komendant nie zastanawiał się wiele. Wyciągnął dłoń i chwycił trupa Piękosia za poję munduru. Podciągnął go do siebie i posadził, chowając się za jego plecami. Była to marna

osłona, lecz na inną nie mógł liczyć. Sięgnął po uczeptioną paskę latarkę. Uzbrojoną w pistolet dłoń przełożył pod pachą Piękosia i wyciągnął w kierunku, z którego nadchodził tamten. Teraz wystarczyło już tylko czekać. Choć może właśnie to było najtrudniejsze.

Przesunął włącznik latarki w chwili, gdy odgłos niezbornej szamotaniny miał już niemal nad głową. Przezornie zmrużył oczy, gdy blask elektrycznego światła rozdarł ciemność. Chuderlawy sylwetka młodszego z partyzantów, zgięta w pół, zachłannym gestem tuliła do piersi szkatułę z czarnego drewna. Rudzki wystrzelił. Raz, drugi, trzeci, zbyt późno orientując się, że dostrzegł coś jeszcze.

Palce opartej na skrzynce dłoni, zaciśnięte na łyżce odbezpieczonego granatu.

Z prowadzących do synagogi schodków zważył się wprost na bruk ulicy. Leżał tak, czort wie jak długo, ze wszystkich sił starając się poskładać świat w jeden kawałek. Szło mu różnie. Za pierwszy objaw powracania do normalności uznał zdziwienie faktem, że wciąż był ranek. Przesycony wilgocią, październikowy ranek, zamykający w mglistym półświecie życie Sieszczy. Nie miał pojęcia, jakim cudem udało mu się wydostać z podziemi, ani w jak szaleńczym odruchu pochwycił szkatułę. Lecz przecież ją miał. Tulił do piersi, niczym drogocenne znalezisko. Przetarł mankietem twarz brudną od krwi i pyłu. Odrętwienie z wolna opuszczało pokiereszowane ciało, ustępując miejsca wzbierającemu bólowi. Przed oczyma skakał mu obraz na wpół otwartej bramy, a dygoczące wokół domy i szare niebo, skore do zamiany miejsc z łaciatym pasem kocich łbów, ze wszelkich sił ignorował. To wszystko przejdzie. Wywołany eksplozją szok minie, znał to z wojny. Z trwożnego wtulania się w darń leśnego wykrotu, pod ostrzałem wrogiej artylerii.

Po jakimś czasie wstał i ruszył w kierunku bramy. Wyciągał przed siebie dłonie, by jak najszybciej pochwycić skrzydło uchylonych wierzei. Było ono o wiele dalej, niżby sobie tego życzył. Tak wiele morderczego wysiłku kosztujących kroków dalej, że niemal zwątpił, że mu się uda. Lecz udało się. Przekroczył bramę i osunął pod przedzielający ulicę mur.

Spojrzeniem polizał szkatułę. Aż dziwi, że eksplozja jej nie rozerwała. Uchylił pokrywę, do-

strzegając, że wewnątrz chronił przed otwarciem skomplikowany mechanizm i że to on przyjął na siebie impet uderzenia. Zwój był gruby jak przedramię. Nawinięty na dwa drewniane wałki, których zdobione końce służyły za rękojeści, przydatne przy przewijaniu tekstu podczas lektury. Złożył szkatułkę na kolanach i wyciągnął zwój. Był ciekaw. Po prostu.

Rzędy czarnych znaków, których znaczenia nie umiał się nawet domyślić, w najmniejszym stopniu nie wynagrodziły mu trudów dzisiejszego poranka. Ot, pisanina. Nie był to pryzmat, poprzez który ludzie pokroju komendanta Rudzkiego definiowali zagadnienia otaczającego ich świata.

U wylotu ulicy ktoś stał. Rudzki zerknął w tamtą stronę, z miejsca poznając kto zasz. Dorodny wąs, czapka na bakier i lufa trzymanego na biodrze karabinu. To ostatnie wiele wyjaśniało, choć rodziło też znacznie trudniejsze pytania. Rudzki wcisnął zwój do szkatuły i bezradnie złożył na niej ręce.

— Dlaczego? — zapytał, porzucając myśli o straszaniu tamtego konsekwencjami zabicia komendanta posterunku M.O. — Co takiego zrobiłem?

Bardziej niż na wąsatą twarz patrzył na domy przeciwległej pierzei rynku. Cholera, tkwił przecież niemal w samym sercu miasteczka, ledwie kilkadziesiąt metrów od budynku kościoła i niewiele dalej od posterunku, gdzie powinien krzątać się już Ładysz. A mimo to byli tu sami. Tylko on i wąsate sumienie Sieszczy. Żadnego gwaru, ruchu, ludzkich spraw załatwianych w przyziemnym pędzie za ochłapami doczesności. Tylko głucha cisza i obezwładniająca drętwa, pożerająca wszystko.

Rudzkiemu zdarzyło się już być bliskim śmierci, lecz z obecnym obrotem spraw nie umiał się pogodzić. Sieszcza obeszła się z nim jak najgorzej, nie tłumacząc niczego.

Dlaczego? — zapytał znów, choć tym razem tylko siebie.

— Nie twoje, nie bier — powiedział tamten.

Odgłos wystrzału odbił się echem od ścian niskich budynków, stłoczonych przy ulicy Borowskiej. Trafiona głowa Rudzkiego uderzyła o mur, pozostawiając na ceglach rozbryzg krwi.



Życie Robotnicy Monolog wewnętrzny Tęgiej Bigotki „Niemoc przeobrażeń“

Nika Retti

Robotnice-Zbieraczki odbijają w końcu od ula i wymierzają na północ w kierunku oberżyny łąk, by za chwilę topić się w miazgach ich woni do samego końca. Przed nimi dwadzieścia pięć km lotu w porywach słońca. Te na tyłach armii karmione uboższym pokarmem, pozostają dzisiaj w domu.

Tęga Bigotka pochylona nad brudnym wiadrem pełnym wody, upatruje przemierzających z północy na zachód rójek.

- A niech je licha! Jedna, druga, trzecia - liczy i spluwa do wiadra. - Co z tego, że ciągle sprzątam i sprzątam, jak i tak stale jest brudno. Codziennie szruber, wiadro i miotła. Tak właśnie wygląda mój dzień, jest tylko rano, południe i wieczór. Kiedy szoruję podłogę, myślę o szorowaniu schodów, kiedy szoruję schody, myślę o szorowaniu podłogi, pozostają jeszcze szafki i naczynia.

Czasami myślę, że pierzę swój mózg, ale i tak nie mogę go wyprać do końca. Co takiego ma mój mózg, że nie mogę go zwyczajnie umyć? Obojętnie, ile czasu na to poświęcę: godzinę czy dwie, mało czy dużo, zawsze jest źle i zawsze jest niedostatecznie. Obojętnie, co sobie wyśnię czy wymarzę, kończy się to jednym wielkim rozczarowaniem. Ile można nosić wiadra z wodą, biegać schodami w dół czy w górę, podnosić śmieci, przepychać kible i krany? - bulgoczą słowa w wiadrze.

Tkanka tłuszczowa faluje swoim łaknieniem, za chwilę pszczoły powrócą do ula, a ich ociekający pyłek z aparatu, zapachnie znowu lipą. Tęga Bigotka podnosi ciało z podłogi, a sto dwadzieścia kilogramów wyprostowanego mięsa, obciąża teraz jej kręgosłup.

Pewnie, że mogłabym schudnąć i pożegnać swoje ciało raz na zawsze, ale jestem za bardzo przywiązana do niego. Moje życie to te dwa grube badyle, które ugniatając mój tyłek, powodują, że jeszcze mogę przenosić ciało w dwa centralne punkty: - z domu mojej matki do Domu Bożego lub na niższym poziomie - z pracy do domu. O Panie Litościwy! Obym nigdy nie zgubiła tej drogi.

Rójki przemierzają wspólnie łąki pełne lipy i chabru. O tej porze roku potrafią przefrunąć nawet dwadzieścia kilometrów dziennie. Lecąc mijają inne grupy pszczełich owadów, ale nawet wtedy zachowują dystans wobec siebie. Zawieszone lekko w swym biegu, na chwilę w nim zamierają, by ponownie uderzyć z nowym rozpędem i rzucić się w wir lotu.

Tęga Bigotka odstawia w końcu wiadra, czując nieuchwytną lekkość od codziennej pracy. Jej okrągłą twarz w lustrze, wydaje się teraz taka uśpiona i nieprawdziwa.

- Co takiego mają one, czego nie mam ja? — chrypnęła. - Parę skrzydełek. Języczek. Żuwaczki — liczyła. - Wszystko to jakby mam. Pracuję jak one. Dom i praca, co jeszcze robię źle, czego za mało albo za dużo.

Udała się ponownie ciemną aleją pozbawioną światła.

- Nienawidzę tego świata, nienawidzę. Przecież nie ma tutaj dla mnie miejsca. Chciałabym być zwykłą krową, która pasie się na łące i ma swój skrawek ziemi. Przynajmniej wie, że jest tylko on, żuje trawę i nią sra. Całe jej życie należy do gospodarza, a ona sama nie wykazuje żadnej woli i żadnego pragnienia.

nia, ale co najważniejsze nie wykazuje potrzeby miłości, jej przyjmowania i dawania, cała jej miłość to złożone w ofierze mięso, na stole rolnika. Całe jej serce to narząd, który pod ciosem zabulgocze w kipiącej wodzie w strachu przed śmiercią - gul gul gul.... tak właśnie chcę zrobić. Zanurzyć swoją nieuleczalną chorobę w wywarze, który ją zgładzi do końca, a to co pozostanie po niej, to sama tylko myśl, że była kiedyś sobie taka krowa. Krowa jak inne. Pysk miała czarno-biały, jelita i żołądek, kręciła jęzorem na prawo i lewo, odganiała muchy uchem i podnosiła ogon, kiedy srała. Później urodziła trzy cielaki, które teraz zajęły jej miejsce i miały dalej trawę, machając ogonem, odganiając muchy i niczego nie pragnąc. Jedyne czego się boją - to własna śmierć.

Zapada ciemność, robotnice królowej Melli zatrzymują się w wąskich szparach uliczek, aby przebić strumień światła. Ich solaris powoli niknie. W ulu oznacza to sen.

- Kiedy je widzę w górze, jak tak przelatują, mam wiarę, że kiedyś będę jak one. Uniosę się wtedy nad swoim mizernym domem i zdrowiem, słabą wytrzymałością, ohydny ciałem, które pożera tylko po to, by się zapchać. Ale nim to się stanie, muszę żyć tu i teraz. Czyli najprościej mówiąc, muszę zdobyć pieniądze, których oczywiście nie mam, na jedzenie, aby się najeść i nie umrzeć z głodu. Bo funkcja mojego życia została sprowadzona do takiego właśnie standardu. I życie w takim cyklu przetrwania, pomimo wszystko, przestało mnie satysfakcjonować.

Och! – przeciera spocone czoło, wpatrzona w wiadro, w którym widzi odbicie swojego Boga, takiego ponadczasowego. To tam właśnie, w tym pełnym wiadrze, jest czas, który jest ponad tym, który jest teraz.

- A precz! Te przeklęte rojki. Precz! Opuchnięte ręce w bąblach wyglądają teraz, jak małe niewyciśnięte wrzody, zaropiały od

mydła pomieszanego z niespłukaną wodą. - Gdzie tylko spojrzeć, wszędzie bąble. Ręce, ramiona i uda. Dopadają mnie wszędzie. Kiedy zasypiam, one już o tym wiedzą i zaraz atakują. Nieważne czy jestem wtedy w pokoju czy na balkonie. Po prostu zbliżają się do mnie tym swoim obślizgłym odwłokiem i namierzają moją skórę, wpuszczając ten bolesny jad. Jad, którym później chodzę naładowana, aby nienawidzić wszystkiego, co jest. Nie jestem w stanie siebie kochać. Królowa Melli podnosi lewe skrzydło: zdrętwiałe i zmęczone. Ciężkimi opuszkami tuli je w podbrzusze. Pęcznieje. Niedługo zostanie się ze światem. Teraz nad jej powłoką unosi się wiązka eterycznego światła i woń najróżniejszych smaków, tych ostrych, kłujących językiem i tych ledwo wyczuwalnych, jak wyrzynające się mleczne zęby.

Na wiosnę z niezapłodnionych jaj, pojawiają się już małe trutnie. Około trzy tysiące owadów, do czasu godowego, pozostaje tam zupełnie bezczynne. W tym czasie Robotnice Melli porządkują komórki, a potem będą karmić larwy. U spodu ula woszczaki budują na nowo plastry, a starsze robotnice odbierają nektar od strażniczek.

Natura dzikiego Farmaceuty Hiona ma kształt drobnego owadogryzonia, który pod wrażeniem ciągłego kaszlu i wiecznej chrypy, unosi gdzieś chaotycznie w przestrzeniach swoją dzikość, co chwilę spoglądając na odbicie twarzy w szklanym oknie apteki, uśmiecha się.

-No tak, jestem farmaceutą, mam pracę, mam stanowisko, a to znaczy, że jestem kimś i wcale nie muszę połykać tych pigułek. Do czego mi ten świat – powtarza. - Do niczego nie jest mi potrzebny, ani ja jemu - liczy kroki. - Codziennie widzę swoją twarz w lustrach mojej apteki. Zjawia się tam, jak cień tych farmakologicznych łgarstw. I to, że

każdy traktuje cię jak uzdrowiciela, pozwala mojemu biednemu Ego, rozrastać się wciąż i rosnąć i drwić, drwić. Więc niedługo ego będzie wielkie jak sam las, który będę przemierzał od rana do nocy i wyrwał drzewa, by móc w ogóle przejść. To, jakby chory człowiek wyrwał sobie zdrowe zęby. Szkoda tego czasu, szkoda.

Przerywa milczenie, drzwi apteki uchylają się, a w drzwiach ugina się studwudziestokilogramowe ciało.

- Olla Basta!

- Jestem Tęga Bigotka. - Oj! Nie patrz tak na mnie, wstydzę się - posmutniała.

Dziki Hion spuścił głowę, udając zainteresowanie tabletkami, mieniącymi się w szybie.

- Pokaż mi swoją dłoń - prosi.- Zobaczymy, co tam zapisane Pro futuro.

- Że co?

- Wyciągnij dłoń - łapie jej rękę.

Ręce Tęgiej Bigotki są spuchnięte odciskami na każdym palcu, te od lewej to od trzymania wiadra, te od prawej to od ściskania szrubra.

- Nullum Otium Servis – rzecze po chwili. - No, ale to wskaźnik F TR35, głównie nastawiony na tkankę zwartą - tłuszczową, przylegającą bezpośrednio do wewnętrznej strony ud i łydek oraz zespół napięcia ślinianek, co w rezultacie powstaje przez nadmierne wypieranie swoich lęków i psychoz, czyli wszystko co zostaje wypierane odkłada się pod nogami i w pachwinach.

- Niedługo już nie będę mogła chodzić - odśladania spódnice. - Mam rany na udach, popatrz tutaj. I bardzo się pocę - dodaje.

- Podamy na razie brutyn na bazie antybiotyku, wyciąg z kwiatostanu, mleko powinno zadziałać.

Wielkie ciało kolebie się nieudacznie do drzwi.

- Acana Coelestia, oto tajemnice niebieskie, Bóg jeden wie, dokąd ona idzie. Spogląda w lustro i połyka pigułkę.

Nastroje rojowe przybierają na sile. Rodzina pszczela pęka od ilości pszczoł. W ulu takie przeludnienie oznacza czas na nowe matki. Ul rodziny Melli przegrzewa się, a pożytek już prawie kończy swoje zapasy, pszczoły zdecydowane na założenie świeżych matczników, pękają radością.

Po północy królowa Mella rozpoczyna składanie jaj. Tkliwa i pochylająca się nad każdym z osobna nowym otworem, bo każde z nich musi wiedzieć, że jest ważne, aby nie poczuć nawet najmniejszej odrobiny zaniedbania.

Lunarne promieniowanie zbliża się bliżej ekliptyki, a temperatura powoli wychładza ziemię. Mella w skupieniu koncentruje się i solidarnie przechadza po nim, delikatnie odbija, by zasklepić małe otwory.

Za kilka dni, stara matka rodziny Melli, wyleci z ula z częścią pszczoł, aby założyć nowy dom. A do tego czasu jej myśli coraz bardziej skupiają się na odejściu, zrobieniu miejsca kolejnej i przejęciu inicjatywy przez nową matkę.

Pszczoły zwolna oswajają tę myśl i łączą grupę w jeden ruchomy człon, który w końcu zagęszczony zapasem miodu zawiśnie przy gałęzi, aby tam do końca się uformować.

Dryfująca Ćma spogląda w niebo. Rójki tańczą niespokojnie.

Owady pokonują jeszcze kilka mil i udają się dalej na zachód. Im bardziej oddalają jądra od dawnego domu, tym mocniej rozumieją swój lot i siebie. A w każdej z nich jest to samo oczekiwanie - Nowy Dom.



Maria

Elżbieta Anna Sadkowski (Samek)

Wsobnie

... wezbrana wilgoć nocy wypełniła nozdrza, zakryte powiekami ślepią rozświetliła pamięć luny. Skulił uszy, otworzył pysk i cicho zawył...

Człowieczeństwo odbiera prawo do wycia, dusi każdy niehumaniczny dźwięk, zanim zdola wyrwać się z krtani. - Dajcie mi prawo do wycia, człowiek mnie skrzywdził, ludzkim głosem mówić już nie chcę.

Z perspektywy ostatniego roku, tym, którzy Marię dziś znają, z pewnością wyda się to być dziwnym, ale ona nigdy wcześniej nie potrafiła płakać. W żrenicach szarych oczu nosiła ból, w zaciśniętych wargach milczenie.

Matka - żona, skulona na podłodze, w rogu za szafą. Poniżana przez lata na dnie serca, tkła niemym płaczem. Na zewnątrz posiniaczona, Maria miała suche oczy od zawsze brakowało w nich łez. Kobieta, która nie płacze. I z roku na rok twardniała. Mówiono o niej: zimna, bezkompromisowa, ale zawsze aż do bólu sprawiedliwa.

O poranku tulę do snu gasnące gwiazdy, a gdy nadejdzie mrok wieczoru, delikatnie ich dotykam, budzą się i radośnie mrugają.

Wczesnym rankiem, gdy w pokoju panował półmrok, delikatnie dotykała wargami paluszków śpiących dzieci, czule je całując. Chciała powiedzieć im: tak bardzo was kocham. Nigdy takich słów wypowiedzieć na głos, nie zdołała.

To była moja Maria, którą znałam od lat.

Odchodzenie

Bywają ludzie, którzy mają w sobie czucie-wiedzę o przejściu na drugą stronę duszy. Maria od kiedy pamiętała, wiedziała o nadchodzącej śmierci. Z nikim o tym nie rozmawiała, bo i po co. Przychodził dzień, gdy czuła, powoli napływający z oddali spokój, bezkresną spełnioną ciszę - ktoś umierał. Nie wiedziała tylko: gdzie, kiedy i kto. Ale w takiej chwili całą sobą, tam gdzieś w środku miała świadomość, że śmierć

jest blisko. Potem czekała na wiadomość. Czasami jeszcze tego samego dnia był telefon: - Ciocia dziś w południe zmarła - w słuchawce szloch. Irenka miała raka; Boże jak ona cierpiała. Po miesiącach niewyobrażalnego bólu, morfina już nie pomagała, a dziś dostała prawo do odejścia. Bywało, że dopiero po kilku dniach w skrzynce na listy była pocztówka, litery rozmazane, czytała: ...wielka woda przyszła, w sobotę trzyletniego synka Jaśka wezbrana fala powodzi zabrała. Pogrzeb w środę o 14.00 cmentarz...

Ułomność czy dar? - zapyta ktoś. Maria też pytała. To oczekiwanie było częścią niej, a przecież zrozumieć dlaczego właśnie ona - nie rozumiała.

Gdy przestała być dzieckiem

...tchnienie wiatru, zapach już dawno skoszonych traw, wilgotny dywan mchu, drobne suche łodyżki, na których już nie wiszą poziomki. Rudość, purpura, złoto - kolory tak piękne, a przecież ostatnie. Świat jeszcze raz rodzi piękno, zanim okryje go szarość.

Późna jesień, za oknem deszczowy półmrok. W pokoju przy biurku siedzi przygarbiony, starszy człowiek, przegląda książkę, tnie kartki na zakładki, wkłada je pomiędzy strony, coś na nich notuje. Listopad podobny do tych minionych, a przecież jednak inny. Maria już od wielu dni czuła, że ojciec z dnia na dzień staje się coraz bardziej nieobecny - odchodzi. Próbowala powiedzieć, właściwie raz powiedziała: - Mamo, tata gaśnie. - Jak możesz tak mówić! - usłyszała w odpowiedzi krzyk.

Mijały kolejne tygodnie. Czas bycia tu - chciał zdążyć. Ojciec poprosił, aby córka mu pomogła. Maria wzięła wolne w pracy, biegła po instytucjach, przynosiła z urzędów dokumenty, wykonywała telefony. Nie zostawić spraw niezakończonych - to było dla niego tak ważne.

Ojciec nie umiał okazywać uczuć, ale zawsze był przy córce sercem. Nie chciał jej zmieniać, kochał ją taką, jak była. I ona o tym wiedziała. Nie oczekiwał, nie żądał - wspierał i dawał. Od kiedy Maria wyszła za męża i wyprowadziła się z rodzinnego domu, to mimo iż mieszkała zaledwie kilka przecznic dalej, pisał do niej listy:

Marysiu,
dzisiaj w ogrodzie rozkwitły pąki na magnolii i widziałem parę synogarlic, jedna niosła w dzióbku gałązkę, pewnie budują gniazdo... Bądź dzielna Marysiu - bo tylko on jeden wiedział, jak jest u niej w domu.

A ona każdego dnia starała się być dzielna.

Od kilku miesięcy ojciec codziennie słał pocztą listy do córki. Ale od listopada Maria nie otwierała już korespondencji, składała koperty w szufladzie, na dni kiedy Taty już nie będzie.

Mijały tygodnie. Dzień po dniu Maria patrzyła w znajome oczy, coraz bardziej zakryte mgłą i starała się sprawić, aby szczęśliwie przeżył chwile, które mu jeszcze zostały. W tygodniu odbierała dzieci wcześniej i przychodziła do rodziców. Wnuki wdrapywały się na kolana dziadka. - Czy wiesz, że smoki są bardzo duże i zielone? - paplały z dziećmi beztrudnością. A on słuchał i delikatnie gładził, szczyptał dłońmi, po kędzierzawych główkach. W takich chwilach jakby się budził i na powrót był tu i teraz.

Kolejnego popołudnia Maria przysiadła na krzesło przy biurku ojca. Patrzyła na stojące koło piórnik, pożółkłe zdjęcie prababci, na dzieci bawiące się na podłodze kolejką, na ojca, w którym miała przyjaciela, i tak bardzo zapragnęła zatrzymać czas.

A dziadek ponad główkami dzieci spojrzał łagodnie na ukochaną córkę, dziś przygarbioną, przedwcześnie postarzałą kobietę, jakby chciał powiedzieć: Dziecko to nic, nie martw się.

Wiedział, że odchodzi i ona wiedziała. Z całego serca pragnęła jednak, aby był, a przecież go nie zatrzymywała. Czas bycia - jego czas.

Początek grudnia. Od wielu dni ojciec był bardziej tam niż tu. Mrok pokoju rozświetlało blade światło lampki nocnej, stojącej przy łóżku.

Leżał na wznak, bez ruchu, a pled którym był przykryty, lekko się na piersiach poruszał. Maria siedziała obok na skraju materaca. Zza ścian słychać jazgot głosów, włączonego raptownie telewizora. Zbudził się, uchylił powieki i cicho powiedział: Marysiu, niedługo będziesz miała urodziny, tam na dolnej półce w kredensie jest zielony flakonik, który tak od dziecka lubisz, weź go, proszę.

Dzieciństwo - zapracowany, schorowany ojciec, któremu tak ciężko było wyżywić rodzinę z jednej pensji.

- Weź go, proszę - powtórzył raz jeszcze.

- Tato, przecież urodziny mam dopiero w kwietniu - odpowiedziała. Proszę, weź dziś - powtórzył. Dziś.

Tego grudniowego wieczoru, wychodząc od ojca, Maria ostrożnie niosła w reklamówce porcelanowy flakonik, ostatni prezent urodzinowy, jaki od niego dostała.

Bez patosu

Nie było żadnych symptomów ciężkiej choroby ani dolegliwości podeszłego wieku, tylko to Marii czucie. Chciał zasnąć w domu, być blisko tych, z którymi... dla których przez te wszystkie lata żył, wśród znajomych ścian, przedmiotów.

Kochana moja - Kochany mój.

-Dziś ślubuję ci miłość, wierność i uczciwość małżeńską oraz, że cię nie opuszczę, aż do śmierci. Tak mi pomóż... Jesienią minęło czterdzieści dwa lata, od czasu gdy brali ślub. Mroźna, grudniowa noc. Żona zatelefonowała na pogotowie i uprosiła lekarza dyżurnego, żeby zabrali męża do szpitala. Przed północą, bez sygnału podjechali pod dom. Weszli na piętro z noszami, przetransportowali pacjenta. Wbrew jego woli, był przytomny i żywy, nadal żywy.

Nie opuszczę aż do śmierci - nie pamiętała, czy pamiętać nie chciała. A może tak bardzo bała się spotkania ze śmiercią.

KARTA PRAW PACJENTA, część ogólna, Pacjentowi przysługują: - 5. Prawo do umierania w spokoju i godności (art. 19 ust. 1 pkt 5 ustawy o zakładach opieki zdrowotnej). -12. Prawo do pomieszczenia i wyżywienia od-

powiedniego do stanu zdrowia pacjenta w zakładach opieki zdrowotnej (art. 20 ust. 1 pkt 3 ustawy o zakładach opieki zdrowotnej).

Oddział chorób wewnętrznych. Na ciasnej sali cztery łóżka i szpitalna dostawka, ustawiona między umywalką a drzwiami, bo tylko tam dało się ją wcisnąć. Zawieszona na ramie, nowa karta przywiezionego tej nocy pacjenta. Cewniki, z woreczków przywiązanych sznurkiem do ram łóżek, wydobywa się odór moczu. Chorzy w stanach skrajnej demencji i leżący na dostawce, w pełni świadomy Marii ojciec.

Już po porannym obchodzie. Uchylone drzwi do sali 251, koło umywalki siedzi Maria, prawą ręką podtrzymuje naderwaną rurkę od butli z tlenem. Ojciec tak ciężko oddycha, od dzieciństwa astma, zapachy szpitalne - dusi się. Wiesz Marysiu? – z trudem mówi:

Wczoraj w nocy, gdy mnie przywieźli, wszyscy tutaj byli. – Tato, ale kto? – pyta. Babcia cię serdecznie pozdrawia - dodaje, łagodnie się do córki uśmiechając. Ukochana Babcia, Jej po której Maria dostała na chrzcie imię, odeszła już dawno.

Minionej nocy w holu szpitalnej poczekalni, pozostawiony przez sanitariuszy, leżał sam przez wiele godzin, leżał...

Odeszli z czasu minionego, dawno zmarli rodzice przyszli, nie zostawili syna samego.

Przed wieczornym obchodem. Zamknięte drzwi na korytarz. Jest tak przejmująco cicho. -Marysiu - mówił ojciec - Taki tu straszny ruch, po co te staruszki tu przychodzą, cały czas między łózkami się kręcą, tyle mówią, tak mi to przeszkadza. Poproś je, aby wyszły.

Ale przecież na sali szpitalnej, oprócz leżących na łózkach nieprzytomnych pacjentów, ojca i Marii, nikogo więcej nie ma.

Godziny mijają. Przycupnięta na szpitalnym taborecie koło łóżka, siedzi tylko Maria. Kap... kap... z zepsutego kranu spływają krople wody. Staruszek, w łóżku pod oknem, konwulsyjnymi ruchami zrzuca pościel. Maria wstaje i przykrywa chude ciało, ubrane jedynie w ubrudzony kał, rozdarty pampers.

Kwadrans mijają. Czasami tata uchyla powieki : - Czy pamiętasz, jak na czworakach szukałaś rydźów w łopianach... - wspomina czasy, gdy spędzał z córką wakacje w górach. Mijają kolejne minuty. - Może napijesz się wody, tato? – pyta. - Nie... nie - tak bardzo jestem zmęczony.

W szpitalnej sali, czuwająca od kilkunastu godzin Maria, jest tak bardzo szczęśliwa. Ktoś zapyta zdziwiony: jak to? Kochany człowiek umiera, a ona jest szczęśliwa? - Nigdy w życiu Maria nie była tak spokojna, nigdy w życiu nie doświadczyłam tak wielkiej miłości, jak przy umierającym ojcu.

Przeżył w szpitalu tylko jedną noc, następnej, gdy już świtało, zawołał lekarza i w trakcie wypowiadanych ostatnich słów do obcego człowieka, cicho odszedł. Tak jak żył: skromnie, bez patosu, ale zawsze godnie.

Cisza w sercu

Ból. Ból jest nieodłączną częścią miłości. Po policzkach płyną łzy. Umierający ojciec obdarował córkę spełnioną miłością. Maria zapłakała nad umierającym samotnie ojcem. Zapłakała nad sobą. Po tylu latach na powrót pokochała, śniącą o wyspach szczęśliwych dziewczynkę, dziś przygarbioną, czterdziestoletnią - dzielną kobietę.

Za oknem pada deszcz. Pokochała deszcz i ludzi. Człowieka bać się przestała.

Bądź dobra Marysiu – w liście z minionej jesieni, dziś otwartym, pisze do córki ojciec.

Bycie przy odchodzeniu bliskiej osoby, to niewypowiedziany dar. Dziś, gdy w zgiełku dnia gwar ucicha i napływa z oddali cisza, Maria o nic nie pyta. Czeka. Stara się zrozumieć i pomóc.

Czasami dostajemy czas, aby się przygotować. Być przy drugim człowieku i pomóc mu się przygotować do śmierci.

Nocą łąka jest... jest zielona.



Norman Normal część II

Piotr Wróblewski

epizod 11

Któregoś dnia Norman przyznał,

że jest alkohikiem i narkomanem. Twierdząc jednocześnie, że sobie z tym świetnie radzi i nie stanowi to dla niego problemu. Upatruje natomiast kłopotu w tym, iż inni tego nie rozumieją i uważają go za jednostkę samozatracającą się.

Na kilka moich pytań zareagował śmiechem i ewidentnie krygował się, zaprzeczając temu, że ma jakiegokolwiek problem. Chociaż obaj wiedzieliśmy, że ma. Nie mogłem do końca rozpoznać jego natury, a on absolutnie nie dawał jej odkryć.

Co dzień męczył mnie ten brak scharakteryzowania jego postaci, dowiedzenia się kim naprawdę był N.N.

Moje małe śledztwo, związane z jego miejscem pracy, bardzo mnie niepokoiło. Działy się tam rzeczy daleko wykraczające poza działalność uniwersytetu, a także poza prawo.

Bowiem w otokach ciemności przy wyłączonych kamerach odbywał się dziwny, ukryty przed światem proceder, dostarczania i odbierania nieokreślonych paczek do nikomu nieznanego miejsca. Miejsce to funkcjonujące nocą pod stanowiskiem kserokopiarki, stanowiło dla mnie wielkie wyzwanie.

Zamierzałem odkryć prawdę o miejscu i o człowieku lub postaci, która mogła udawać Normana Normala.

epizod 12

Czarne worki jakby na kształt trumien

były co kilka nocy przewożone do i z miejsca pracy Normala.

Musiałem obserwować to z dość daleka, gdyż Norman wystawiał czujki oprócz ingerencji w kamery monitoringu.

Zakład Nowoczesnych Technologii Uniwersytetu im. Stephena Hawkinga mieścił się w historycznym budynku, pod którym znajdował się ciąg korytarzy. Uniwersytet z nich nie korzystał, a nawet twierdzono, że dawne katakumby zostały zagruzowane i nie ma do nich dostępu. Co z powodzeniem N.N. mógł wykorzystać dla swoich jeszcze mi nieznanym celów.

Zacząłem snuć bardzo poważne podejrzenia. Moja inwigilacja Normana musiała zostać zdecydowanie pogłębiona. Co zaczynało przynosić efekty.

Wiadomym dla mnie stało się to, iż w owych przemieszczanych paczkach znajdowali się ludzie lub ich klony wyprodukowane na kopiarce,

przy której pracował Norman Normal.

epizod 13

Program Kraken pozwalał na klonowanie

w zakresie 24. godzin. Nie było innej możliwości, biorąc pod

uwagę stopień zaawansowania ówczesnej technologii. Idealny klon osoby klonowanej funkcjonował tylko przez dobę po czym zanikał i przestawał istnieć.

Norman i jego spółka z pewnością to wykorzystywali dla nieznanym mi jeszcze celów.

Moje postanowienie było silne. Sprawdzić Normana, gdyż to on tak bardzo się mną interesował. Musiał mieć w tym jakiś cel. Wiem, że chciał mnie wykorzystać.

Muszę sobie odpowiedzieć na te pytania,
prowadząc dalej moje prywatne śledztwo.

epizod 14

Zamówienia na klony musiały przechodzić
dość poważne procedury. Aby móc dokonać klonacji za pomocą
urządzenia klonującego, wymagany był specjalny wsad programowy. Był on nadzorowany
przez Centrum Klonowania i zatwierdzany przez przynajmniej trzy niezależne instytuty ba-
dawcze.
Czy Norman mógł dokonać manipulacji, umożliwiając mu skopiowanie człowieka na własną
rękę?...
Przy skomplikowanym i precyzyjnym systemie zabezpieczeń programu Kraken, wydaje się
to wysoce nieprawdopodobne. Aczkolwiek grupy hakerskie niejednokrotnie udawadniały, że
daje się złamać procedury i wszelkie zabezpieczenia.
N.N. wspominał mi o takich działaniach, których koordynaty skierowane były jak to określał –
na żelazne bramy niemożliwego, które można stopić. Wtedy w jego wzrok wstępował mroczny
i zimny chłód, którym świdrował niczym natrętnym wielkim wiertłem. A jego marynarka
zaczynała wtedy tak bardzo do niego przylegać, jakby chciała zapobiec temu, aby całe zło jego
spojrzenia nie wylało się z jego
nienaturalnie rozedrganego ciała.

epizod 15

W świetle spraw związanych z Normanem i ówczesnym światem
istniało jeszcze moje świetlane okienko
poglądów. Moja wiara w Boga.
Zawsze wiedziałem, że on jest we mnie i w wielu z nas. Istnienie sprawczej siły budowało moją
moc i dawało poczucie bezpieczeństwa. Pomimo tego iż N.N. atakował mnie na wszelkie moż-
liwe sposoby, miałem tę swoją dyskretną siłę wiary, która czyniła mnie a priori mocniejszym i
niezwyciężonym.
Kiedy byłem przeszyty swego rodzaju władaniem nade mną przez Normana, uciekałem się do
moich prawd, które niczym niewidzialna zbroja chroniły mnie przed jego ekspansją.
Było to jak zaufanie dobru i poddanie się
sił zła.

epizod 16

Kim była
Leda?
Podobno romansowała z Normanem. Przedstawił mi ją jako swoją przyjaciółkę podczas przy-
padkowego spotkania na ulicy. Leda z kolei okazała się być dobrą znajomą mojej koleżanki z
pracy – Symplicji.
Symplicja zajmowała się tworzeniem trójwymiarowych modeli robotów, które w przyszłości
miałyby stanowić doskonałą podróbkę człowieka. Na kolejnych bardzo rozwojowych etapach
prac nad SI jej projekty zdobywały uznanie i podnosiły mocno jej pozycję w firmie. Prawdo-
podobnie korzystała z pomocy Ledy, a nawet była mocno zaangażowana w projekt Kraken.
Zacząłem doszukiwać się jej związków z Normalem.
Znalazłem niezwykle dowód ich
wzajemnych powiązań.

epizod 17

Podążając tropem przemysłów w kwestii
mojej znajomości z Normanem i jego otoczeniem, doszedłem do
zaskakujących wniosków.
To był układ. Zależność powstała pomiędzy ludźmi, którzy prowadzili ze sobą interesy w celu
pozyskania cennych informacji, które odpowiednio wykorzystane mogły zapewnić im władzę
i pieniądze.
Nie posiadałem jednak mocnych dowodów. Co tylko mogłem przeanalizować, dociekając do
powiązań pomiędzy znanymi mi osobami, znalazłem w sieci i skonstatowałem, że ...
Leda i Symplicja mają ze sobą wiele wspólnego i to nie tylko na płaszczyźnie zawodowej.
Postanowiłem pójść tropem ich wspólnych zainteresowań. Obie panie lubiły odwiedzać pewną
restaurację, znajdującą się w strefie przeznaczonej dla nieco bardziej zasobnych portfeli.
Któregoś kończącego tydzień wieczora, poszedłem pod adres owej restauracji.
Symplicja i Leda siedziały przy stoliku, nachylone z lekka do siebie, a na trzecim fotelu obok
nich wisiła śledziowa marynarka Normana Normala i zdawała się
wymachiwać do mnie swoimi wąskimi rękawami.

epizod 18

Cmentarz wyglądał złowrogo. Nagrobki
spowite mgłami, zdawały się być duchami zmarłych. Po prze-
kroczeniu bramy cmentarza, wszedłem jakby w inny świat, kierujący się swoimi śmiertelnymi
prawami. Ledwo dostrzegałem uporczywą marynarkę Normana, która wraz z nim podążała
jedną z pobocznych alei, mieszając swoją śledziowatość z mgłą. Starłem się nienatarczywie, a
w wielkim ukryciu, odkrywać kolejne karty tej gry.
Norman rozstał się z Ledą i Symplicją u drzwi restauracji „Totalny Skok”, a moje kroki podążyły
tuż za nim, aż po cmentarną aleję.
Nagle Normal zniknął z pola mojego widzenia.
Przepadł wśród pomników cmentarza, na którym
nie płonęły żadne znicze.

epizod 19

Generałowie najbardziej śmiałych i nieprzewidywalnych wojsk
nie podejrzewaliby, że Norman Normal mógł tak
sobie igrać z własną egzystencją, którą przedstawiał światu, jako niedostępną jakimkolwiek
jednostkom i instytucjom powołanym przez ten świat. Umiał ukryć siebie w sposób absolutnie
perfekcyjny. Ponadto starał się mieć wpływ na losy świata, które zależały od badań nad SI i
klonowaniem oraz jego powiązaniach i możliwością wykorzystania tej wiedzy dla własnych,
chyba już znanych mi, perfidnych celów.
Niewątpliwie, tak daleko posunięte, moje prywatne śledztwo przynosiło efekty.
Wiedziałem coraz więcej, siatka zamieszanych stawała się szersza i cięższa.
Aż pękała od zamieszanych w to wszystko, że tak powiem:
śledzi.

epizod 20

Śledziami nazywano ludzi,
którzy za pomocą medytacji komputerowo- umysłowej przenosili się w
czasie. Można było tego dokonać tylko grupowo i pod nadzorem urządzenia zwanego N-Medy-

tatorem.

Możliwe było przeniesienie się w czasie tylko w przód i oczywiście miało to wyłącznie formę wyobrażeniową. N-Medytator ukierunkowany na konkretną grupę osób posiadał jej dane i dość obszerne fragmenty życiorysów osób wchodzących w jej skład. Następnie dopasowywał je do swoich programów, które tworzyły ich **P r z y s z ł o ś ć**.

Z moich rozmów z N.N. wynikało, iż brał on udział w tego typu seansach, które w pewien sposób umożliwiały mu kontrolowanie przyszłości, z czego korzystał kształtując siebie, otoczenie i ludzi.

Jednakże mój naturalny instynkt egzystencjonalny czuł się dość bezpiecznie i potrafił wspomóc gromadzenie danych, na temat wielkiego zagrożenia, które niósł
Norman Normal.



Łacina i ja

Stefania Tumidajewicz

Pierwszy rok, lektorat łaciny. Od razu wiedziałam, że za Chiny ludowe, nie nauczę się tego. Ponad połowa ludzi z roku była po jakimś technikum księgarskim w Wawie, gdzie mieli ten język przez 4 lata. Opierdzielali się więc totalnie. Na szczęście na kolokwium zawsze znalazła się jakaś pomocna dłoń. Gramatyka łacińska jest chyba jeszcze gorsza od francuskiej. Do tego babka nienawidziła, gdy ktoś na zajęciach nie zwracał na nią dostatecznej uwagi. A że paczka z Wawy totalnie to olewała, mieli raczej przerąbane. Za to ja siedziałam jak trusia, patrząc tylko na panią doktor i w książkę. Większość zajęć polegała na czytaniu i tłumaczeniu tekstu. Potem babka pytała o konkretne zdanie, tzn. która z dwu składni była w nim użyta: ablativus absolutus czy accusativus cum infinitivo? (do końca życia zapamiętam!... chociaż nie mam pojęcia, na czym one polegały). Lecą „Wojny punickie”, ludzie czytają i tłumaczą po fragmencie, ja słucham. Dostaję 1/3 strony do obróbki. Czytanie jest łatwe: tylko dwie litery wymawia się inaczej. Ale potem rozumiem 5 słów

z tekstu. Wiem, co było przedtem, więc opowiadam w stylu: jak mały Jaś wyobraża sobie, co było w moim tekście. Potem pada pytanie o składnię z jakiegoś zdania. Jeśli nie trafiam za pierwszym razem, trafiam za drugim...:) I najlepsze - lektorka komentuje mój występ: Proszę państwa, jak przychodzi do tłumaczenia, to wydukanie wyraz po wyrazie... a pani od razu piękną, literacką polszczyznę przedstawia treść fragmentu... Tyle w temacie. Ale po 2 latach nadchodzi egzamin. Jestem tak samo zielona, jak na pierwszych zajęciach. Przyszedł czas, gdy musiałam pójść na bezczela. Zabieram się z grupą największych rozrabiaków. Oni siedzą przed ławką i są totalnie drobiazgowo przepytывani z gramatyki, ja stoję przy tablicy i mam odmieniać jakiś rzeczownik z przymiotnikiem. Od czasu do czasu ktoś mi podrzuca cichcem kolejną liniijkę. Po półtorej godzinie wychodzę z trójką, a oni zostają odesłani do poprawki...



Cofać się

Damian Kwiatek

W ciągu ostatnich dwóch godzin szesnaście razy wyglądałem przez okno i nasłuchiwałem. Był środek nocy. Pięć razy okrążyłem dom. Za każdym razem będąc pewnym, że ktoś mnie obserwuje. Rozmowy z telewizji i radia zaczęły wydawać mi się ciekawe. Każde niedostyszczone słowo domowników, mówiło o mnie. Bezsenne doby i śpiące tygodnie dzieliły ze mną ostatnie miesiące. Piękno w snach kończyło się zawsze mdłą rzeczywistością. Życie już tylko pytało: po co?! Odpowiedzi i wyjścia z tego widziałem wszędzie. Na balkonie, w gniazdkach, jedząc widelcem, krojąc nożem, zakładając pasek, wiążąc sznurówki, odpalając kuchenkę. Śmierć była już wszędzie. Rano krakała za oknem, a wieczorami wyła z psem. Może szukałem ucieczki, otwierając i grzebiąc w szufladach, półkach i szafie po parędziesiąt minut, kilka razy dziennie.

Wyłączony telefon izolował. Zasłony zastygły w miejscu na wiele dni, może tygodni. Omijały mnie widoki zmian pogody, pór dnia, a nawet roku. Jedynie deszcz stukał w parapet. Wiosna wdzierwała się z wiatrem przez otwierane z rzadka drzwi. Wzbijało to kurz, który tańczył z dymem fajek, nawet długo jeszcze po ucieczce wiosny.

Paranoje minęły.

Wyszedłem z domu w dzień, dawno tego nie robiłem. W oknach i na balkonach podparta blokowa starszyna. Pod kebabem kolejka. Pod całodobowym dwa rowery. Bezdomne psy i czarne reklamówki z wielkim napisem: Alkohole 24h, krążą między nogami. Pełne śmietniki i puste miejsca dla inwalidów. Wielka, stara brama otwiera się po cichu. Ponadstuletnia kamienica straszy dzieci i turystów. Drewniane schody miękko uginają się pod ciężarem stóp. Kolega otwiera drzwi i zaprasza do swojego muzeum. Choruje, jego matka zresztą też. Meble pokrywają opakowania: leków, petów, puszek i strzykawek z rozwodnioną krwią.

- Daj mi dziesięć na sen - powiedziałem, kładąc parę blaszek na stole.

- Coś jeszcze? - zapytał Artur z energią.

- Nie.

- Mam coś, weź to sobie. Ja tego nie lubię.

Ręką grzebną w brudach na stole i rzucił mi saszetkę.

- Feta? Pół? Dzięki! - pstrykając palcem w saszetkę, odpowiedziałem z zadowoleniem.

- Spoko, jednemu takiemu małolatomu ogarniałem i odbiłem trochę.

Schowałem wszystko do kieszeni: amfetaminę i prochy na sen. Usiadłem obok niego przed laptopem. Wyjąłem do połowy pustą paczkę Classiców i poczęstowałem. Dym tańczył znów z kurzem, na pewno dłużej i energiczniej niż u mnie. Artur po chwili wyjął spod stołu dwa czteropaki piwa. Po jednym na głowę. Zgniotłem czwartą puszkę i rzuciłem na dywan. Wylądowała obok braci. To była duża rodzina, wielopokoleniowa. Podałem rękę Arturowi i wyszedłem. Na klatce było ciemno, za oknem też. Miasto ucichło i słychać było świerszcze. Każdy schodek skrzypiał i to skrzypienie roznosiło się po całej klatce. Brama była jeszcze głośniejsza. Trzasnęła, zamykając się własnym ciężarem. Wracałem do domu najkrótszą znaną mi drogą. Mijałem śmietniki otoczone górką brudów na chodniku. Parking był już pełny, ciemność zakrywała ręce pełne roboty.

Puste zbiorniki paliwa i wnętrza aut odkryje światło alarmu, kogutów albo słońca.

Kolejka pod nocnym. Ludzie noszą pełne, czarne reklamówki: Alkohole 24h. Pod kebabem pusto, nie ma już nawet bezdomnych psów. Przez balkony i okna wypadają kolory, pół bloku dziś podróżuje, większość przed zielonymi wyspami. Reszta została w mieszkaniach. Nie polecieci, nie było wolnego pilota. Dochodzę do domu. Wyjmuję z kieszeni dwie saszetki. W jednej proszki na sen, w drugiej amfa. Nie wiem od czego zacząć, czy od śpiącego tygodnia czy bezsennej nocy...

Odwilż

Damian Kwiatek

Wraz ze śniegiem stopniowo topnieją postanowienia noworoczne i asfalt. Dno dziur zasłania jeszcze ubity śnieg. Uliczna breja moczy buty, obciążając każdy krok. Sople płaczą. Świat posypany bielą, rozpada się w oczach. Pomniejszający się bałwan, tonie w kałuży własnej nietrwałości. Pety, popalone petardy, korki od szampana, psia kupa, to pierwsze miejskie przebiśniegi na zgniłej trawie lub wykrzywionym chodniku. Gasną chińskie lampeczki, plastikowe choinki i bublowate mikołaje. Rozmywa się sztuczna mgła z kominów, wyłaniają się ludzie, tańczący na lodzie. Pijacy z mokrymi plamami na plecach, staruszki idące tuż przy ścianie kamienic, asekuracyjnie łąpiące się parapełtów i krat w oknach. Wężykiem powoli nie drepczą po cienkiej ścieżce, którą opuściła już zima. Wyłaniają się wady, niedoskonałości miasta, które tak pięknie na czas świąt zapakowałód.

Pijacki bełkot barwnie odbijający się echem w wąskich ulicach, towarzyszył mi codziennie. Tak samo, jak ciurkiem lecąca woda, uderzająca w ostatni zakręt rynny. Tonąłem w kałuży rozpuszczających się własnych postanowień jak bałwan. Szedłem ulicą wstydlawie, jakbym był nagi, a na sobie miał jedynie spojrzenia innych. Czy mogę się spodziewać, że początek roku łudzaco przypominający każdy inny, będzie początkiem roku wyjątkowego? Może ktoś inny by mógł, ale na pewno nie ja. Mój wrodzony pesymizm nawet na minutę nie dał mi w to uwierzyć i summa summarum, jako jedyny nigdy nie byłem rozzarowany, odliczając ostatnie grudniowe dni. Już dawno nie życzyłem nikomu lepszego nowego roku, przecież nie miałem powodów, żeby życzyć komuś gorszego, a po drugie, po pijaku się nie liczy, zwłaszcza na kogoś.

Trzeciego stycznia przepaliłem jedno z postanowień. Zapaliłem pierwszego, noworocznego papierosa do postanowionej ostatniej setki w nowym roku, która znacząco łagodziła objawy zatrucia, opijania pasma sukcesów, które miały czekać na nas kolejnego dnia.

Następnego popołudnia omiałałem nieobec-

nym wzrokiem, czekającą na autobus grupę ludzi, drepzczących kółka i kwadraty na przystanku. Rozgrzewali kończyny. Drzwi do początku mojego sukcesu miały się otworzyć na tym przystanku dziesięć minut przed szesnastą. Tymczasem patrzyłem na ludzi porządnie ubranych, zdrowych i bystrych oraz takich jak ja, którzy najchętniej stary rok odkreśliliby grubą kreską, ale jakoś nie potrafią. Zerknąłem na zegarek, autobus spóźnił się już do brych kilka minut, a ja byłem umówiony na spotkanie o 16:20, które miało zmienić wszystkie kolejne miesiące.

Starłem się przypomnieć sobie fajerwerki, które oglądałem z najwyższego piętra wieżowca, a które oświetlały jej twarz, ale nie mogłem przywołać tego obrazu, mimo że go widziałem. Zza ronda dostrzegłem dach zbliżającego się wreszcie autobusu, który z wielkim rozmachem rozjeżdżał pośniegowe błoto. Wsiadając z tłumem, odnosiłem wrażenie, że nawet gdybym podniósł obie nogi, on i tak by mnie poniośł do busa, w którym zresztą miejsce skończyło się dwa przystanki temu. Szyby zaparowały od schnącej wilgoci. Otaczały mnie wiszące ręce, ocierające kurtki puchowe i co jakiś czas następujące przetasowanie, po którym widziałem inne ręce i inne kolory kurtek. Myślałem o niej, myślałem, że warto spróbować, a nawet, że trzeba. Na moim przystanku wysiada zawsze najwięcej ludzi. Zerkam na zegarek, jest 16:08. Powiniennem zdążyć, najwyżej lekarz chwilę poczeka. Jakaś pani narysowała buźkę misia na szybie i zaraz z jego oczu, zaczęły płynąć łzy, odkrywając za sobą widok przydrożnego krawężnika. Myślę, czy nam się uda, jest przecież szansa, muszę tylko dziś wszyć ten Esperal i będzie dobrze. Już kolejny rok.

Autobus stanął, większość ludzi wycisnęła się już na zewnątrz, więc wychodzę za nimi. Wychodzę i jasność bieli mnie oślepia. Staję na przystanku, rozglądam się. Drzwi do autobusu się zamykają. Wyjmuję papierosa, drżącą ręką zapalam. Łzawią mi oczy.

To nie ten przystanek.

Iwona Marciniak

Oczekiwanie na dworcu i nieunikniona kolej rzeczy

Chodziła wzdłuż torów. Szybciej, wolniej, szybciej, zawracała, a warkocz rozcinał powietrze. Było w tym coś fascynującego, przyciągającego wzrok, jakbym obserwował drapieżnika miotającego się po klatce.

Bez zastanowienia stanąłem na jej drodze. Spojrzała jak przez szybę. Obca, wypatrująca dziewczyna zadała mi ból obojętnością, później uśmiechem przeznaczonym dla kogoś nadchodzącego z tyłu. Może zmyliła ją podobna sylwetka, kolor włosów, kurtka... Nie przypuszczałem nawet, że mogę być tak okrutny, a jednak ogarnęła mnie satysfakcja, gdy rozjaśniona twarz dziewczyny poszarzała i zgasła. W tym momencie pragnąłem tylko, by światło znów rozbłysło. Z mojego powodu. Chciałem dotknąć warkocza, który przerzucony przez ramię dziewczyny, odpoczywał po zadanych razach. Zamiast tego dałem się pożreć pociągowi. Ona zniknęła w tłumie. Nie szkodzi. Wciąż zachłystuję się myślą o kolejnym spotkaniu, bo przecież wiem, że jestem tym, na kogo czeka. Muszę tylko przestać być niewidzialny.

Ujęcia z balkonu i stracone widoki na przyszłość

Obserwowanie jej było przyjemnością. Najbardziej lubiłem, gdy wieszała pranie. Wychodziła na balkon, trzymając miskę opartą na biodrze, i przez minutę, może dwie, rozglądała się wokół. Byłem widoczny jak na dłoni.

Chciałem, żeby mnie zauważyła i jednocześnie nie wiedziałem, co wtedy zrobić. Może wytrzymam jej spojrzenie, skłonię głowę, a może ucieknę niczym onieśmielony smarkacz... Ale ona nigdy nie zawiesiła na mnie wzroku. Najdłużej patrzyła w dół, po czym nagle podnosiła głowę i potrząsała nią, jak rozbrykany na łące koń potrząsa łbem, faluje grzywą. Włosy kobiety były ujarzmione. Nie zastanawiałem się, ile może mieć lat. Była piękna w każdym wieku.

Stawiała miskę na betonowej posadzce, dokładnie rozprostowywała każdą rzecz i rozpościerała na oślepiająco białych prętach suszarki. Pochylenie pleców, ruchy ramion, dłonie układające się jak na klawiszach fortepianu. Słyszałem muzykę, jednak strach nie pozwolił mi na zatracenie się w dźwiękach; strach, że za parę minut koncert dobiegnie końca. Nigdy nie czekałem na moment, kiedy miska będzie pusta. We wnętrzu mojego mieszkania panowała cisza, która powoli wpływała do myśli, umilała oczekiwanie na kolejne spotkanie.

Zobaczę ją... Wieczorem z kieliszkiem wina w ręce, ze światłem za plecami niedbale opartą o balustradę, rano — pijącą kawę z wyszczerbionego kubka (tak, kubek musi być wyszczerbiony, dotknięty czasem), obserwującą wirującą pod obskurną latarnią płatki śniegu, wsłuchaną w deszcz, trzymającą dłoń na książce, z której zawsze w tym samym miejscu wystaje zakładka (zatrzymana treść, jeszcze tylko kilka kartek do końca).

Pierwsza zniknęła suszarka.

Podróż

Wokół obcy niezwracający na mnie uwagi, a jeśli nawet spojrzą, rejestrują po prostu miejsce. Miejsce, które jest zajęte. Czuję się z tym dobrze. Anonimowość. Czwarta rano. Nie ma okien na świat, są lustra. Patrzę na książkę rozpostartą na kolanach. Patrzę, nie czytam, choć bardzo chciałbym zająć myśli losami bohaterów.

Co zastanę na miejscu? Jeszcze tylko kilka godzin dzieli mnie od odpowiedzi na to pytanie. Tylko kilka, a może aż kilka? Nie mogę się zdecydować. Nie chcę. Następna stacja przynosi mi ulgę w postaci pasażerki, która zajmuje miejsce naprzeciwko. Wpatrując się w jej odbicie, zaczynam wymyślać historię i zapominam, dlaczego jadę tam, gdzie może już nikt nie czeka. Ulga trwa i trwa. Obdarzam kobietę radością, miłością, tęsknotami, cierpieniem. Tego ostatniego daję w nadmiarze. Nabieram rozpędu. Coraz bardziej znęcam się nad nią i coraz większą czuję satysfakcję. Zajęta telefonem nie zdaje sobie sprawy, jak beznadziejnie prowadzi życie. W ciągu kilkunastu minut doprowadzam ją do rozpacz tak wielkiej, że najlepszym wyjściem jest śmierć. Nagle pociągam za hamulec. Tym razem nie chcę, żeby wybrała to wyjście. Ofiarowuję jej nadzieję. W tym samym momencie kobieta uśmiecha się do telefonu. To oznacza, że mam w sobie dobro. To oznacza, że wcześniej nie umiałem go w sobie odnaleźć. To oznacza, że na pewno nikt nie czeka.

Zabieram nadzieję.

UCIECZKA

Danuta Sut-Karykowska

Zaplanowała ucieczkę w najdrobniejszych szczegółach. Nowy identyfikator, zasilona karta podróży międzygalaktycznej z ukrytym miejscem docelowym. Najtrudniejsze okazało się usunięcie małżeńskiego cybercipa.

Początkowo miała zamiar nagrać pożegnalny wideoklip, ale w końcu uznała, że to niepotrzebne i zbyt staromodne. Włożyła kombinezon antyskażeniowy. Jeszcze jedno spojrzenie na ich wirtualno – kosmiczny apartament i przekroczyła próg do nowego życia.

Po opuszczeniu budynku, program upiększający rzeczywistość przestał działać. Wszędzie wokół widać było ruiny nowoczesnego niegdyś miasta. Brak

grawitacji utrudniał utrzymanie azymutu przemieszczania się, ale za to oszczędzanie wysiłku, ułatwiało oddychanie substytutem powietrza ze skafandra.

Dotarła do lotnej taksówki, wynajętej anonimowo przez portal fundacji „Libertas”^{**}, pomagającej ocalałym w wydostawaniu się z przemocowych cyberzwiązków.

W środku odetchnęła głęboko i zdjęła kask. Jak przez mgłę usłyszała komunikat z centralnego komputera: „Symulacja ucieczki zakończona sukcesem. Powrót do normalnego trybu funkcjonowania nastąpi za 10... 9... 8... 7... 6...”.

*libertas (łac.) - wolność ■

Jej wysokość Orchidea

Iwona Kasino

Siadam w miękkim fotelu. Najchętniej wyprostowałabym nogi i o niczym nie myślała. Ale nie mogę sobie na to pozwolić. Otwieram panel sterowania, przyciemniam światło i na środku pokoju pojawia się mój hologram. Bezgłośnie poruszam ustami w takt słów płynących z głośnika. Kilka godzin wcześniej po raz kolejny ćwiczyłam przemówienie na uroczyste otwarcie dzieła mojego życia. Jutro nie mogę sobie pozwolić na zająknięcie. Z ulgą stwierdzam, że pamiętam każde słowo. Hologram ponownie odtwarza moje ruchy. Obserwuję go krytycznie. Zdecydowanie muszę się wyprostować. Żadnych skulonych ramion i okrągłych pleców, które kojarzą się z garbem. Fryzurę też muszę zmienić. Ciąsny kok, klasyczne upięcie z minionej epoki, dodaje mi lat. Będę prezentować osiągnięcie mojego życia, a nie informować, że zdążyłam w ostatniej chwili przed śmiercią. Nigdzie się nie wybieram.

Słyszę delikatne pukanie do drzwi.

Nie czekam aż asystent domowy zidentyfikuje gościa. To może być tylko Kantor. Szybko wyłączam hologram.

- Wpuść go.

Wchodzi bezszelestnie jak kot. Tak się mówiło w minionych czasach. Póki co nie ma do czego go porównać, ale pracujemy nad tym. Odkąd nie walczymy o przetrwanie, Bioinstytut ma mnóstwo projektów do realizacji.

- Pani profesor, kieliszek czegoś na rozluźnienie po ciężkim dniu. Eleganckim ruchem podaje mi syntetyczny napój alkoholowy. – Zasłużyła pani. W półmroku błyskają jego białe zęby.

- Przyniosłeś też dla siebie?

- Potowarzyszę pani ze szklanką wody. Spokojnie, naleję sobie sam.

- Chyba nie myślałeś, że zamierzam cię obsługiwać?

- Nie, oczywiście – traci pewność siebie.

I bardzo dobrze. Wiem, że marzy o przejęciu mojego stanowiska. I dostanie je, jest najlepszy. Ale wszystko w swoim czasie.

Kantor wraca i siada koło mnie. Towarzyszy mi w milczeniu. Jest trochę sztywny, nerwowo rusza stopą. Sącząc ciemnoczerwony napój czekam, aż znajdzie temat do rozmowy. Sam wziął na siebie obowiązek zabawiania mnie. Chciał mieć pewność, że przejmie kierowanie projektem i Bioinstytutem. Czego się nie robi dla realizacji własnych celów. Więc niech się trochę pomęczy. Przysmykam oczy, delektując się lekko cierpkim smakiem.

- Oglądała dziś pani postępy prac w wiszącym ogrodzie?

- Codziennie tam jestem! Rzucam mu oburzone spojrzenie, a czerwony napój niebezpiecznie chwieje się w kieliszku.

- Oczywiście... – peszy się jak mały chłopiec. – Po prostu... skończyli wcześniej, więc pomyślałam... jest już późno, ale... może ma pani profesor ochotę na spacer?

- To raczej ja mam pytanie. Czemu dopiero teraz się o tym dowiaduję?

- Och... bo...

- Kantorze, po prostu tam lećmy. Podrywam się z fotela. Ostry ból w plecach sprawia, że zatrzymuję się zgięta w pół. Odruchowo chwytam za bolące miejsce, wyrwa mi się jęk.

Kantor ze stukotem odstawia szklankę na stolik. Od razu podbiega, żeby mi pomóc. Odrącam jego rękę.

- Posprzątaj po sobie – syczę. – Widzimy się na lądowisku.

Wielką Katastrofę przeżyli nieliczni, najsprytniejsi, najodważniejsi, najinteligentniejsi oraz ci, którym po prostu sprzyjało szczęście. Było bardzo potrzebne, żeby przetrwać. Ale też nieuchwytnie. Najważniejsze cechy udało się nam utrwalić, bioinżynieria

potrafi wszystko. Prawie wszystko, bo nie znalazła genu szczęścia. Więc żyjemy według regulaminu. Nic nie zostało pozostawione losowi, nie on decyduje. Nie ma przypadków, choć zdarzają się wypadki.

Lecimy przez nasze miasto-państwo. Jedno z wielu, które obecnie skupia ludzi. Bezpieczne kolonie pod szkłem, odgródzone od tego, co na zewnątrz, to nasz przepis na sukces. Zachodzące słońce odbija się w stalowo-białych ścianach budynków. Wszechobecna zieleń przybiera wieczorny, głęboki odcień. Ostatni mieszkańcy spokojnie przemierzają ulice, zanim zapadnie zmrok i wszyscy znikną w zaciśzu jednostek mieszkalnych. My też musimy wrócić na czas. Przestrzeganie regulaminu, gwarantuje przetrwanie, minimalizuje ryzyko wypadku.

Kantor delikatnie osadza nasz pojazd na lądowisku. Mam ochotę wyskoczyć i pobiec do ogrodu. Ale to już nie dla mnie. Pilnuję się, aby przynajmniej kroczyć energicznie. Nie dać po sobie poznać, że coś mnie boli.

Przekraczamy ledwo wyczuwalną błonę, odgradzącą teren ogrodu od otoczenia. Od razu czuję, jak wilgoć z powietrza osiada na mojej twarzy, przykleja się do policzków, gromadzi nad górną wargą. Mocno wciągam w płuca zapach kwiatów i ziemi. Oczami wyobraźni widzę, jak jutro również inni mieszkańcy miasta będą mogli się tym nacieszyć. Zwłaszcza kolorami. Nasza rzeczywistość jest biało-stalowo-zielona. Gdy walka toczy się o przetrwanie, nikt nie myśli o pięknie. Gdy brakuje tlenu, nie tęskni się za zapachem kwiatów. Ileż musiałam się nadeptać, naprosić, naargumentować, żeby otrzymać zgodę na ten projekt. Przekonywałam, że to już, że to właściwy moment! Wyeliminowaliśmy biedę, głód, wojny. Wszystko jest funkcjonalne, niezbędne, do granic użyteczne. Zaczniemy znowu tworzyć piękno. Otoczmy się nim.

Myśleli, że sobie nie poradzę. Że zmarnuję to, co zachowało się w bankach genów, Arkach Noego sprzed Wielkiej Katastrofy. Owszem, było ciężko, ponosiłam porażki. Bakterie, glony, nicienie, grzyby... to wszystko chciało

zniszczyć moje hodowle. I niszczyło, ale za każdym razem się podnosiłam. I oto są efekty.

Wiszący ogród orchidei. Czyste piękno, dowód, że ludzkość może wszystko. Cud współczesnego świata.

Spaceruję między plataniną roślinności, cieszę oczy barwami. Dotykam kolorowych płatków, wdycham słodki zapach. Jest cicho. Słyszę jedynie pokapywanie wody, delikatny szum instalacji nawilżającej. Jutro usłyszę tu głosy pełne zachwytu, radosny pisk dzieci, upomnienia rodziców, że nie wolno niczego dotykać. Powstrzymując dzieci, tak naprawdę będą powstrzymywać samych siebie. Jesteśmy spragnieni piękna.

- Czy jest pani zadowolona z efektu, pani profesor? – pyta zza moich pleców Kantor. Nie potrafi ukryć zadowolenia w głosie. Był odpowiedzialny za realizację ogrodu.

- Dobrze się spisałeś – nie mam wyjścia, muszę go pochwalić. Mruży oczy z zadowolenia. Jak kot. Chciałabym kiedyś zobaczyć to zwierzę. - Niestety, musimy wracać – dodają szybko, żeby przerwać mu tę chwilę samozadowolenia.

Idziemy. On bezszelestnie, ja czasem szuram, bo prawa noga nie zawsze mnie słucha. Oby tylko nie przytrafiło mi się to jutro podczas przemówienia.

Już mamy pokonać błonę oddzielającą ogród od lądowiska, gdy nagle słyszę za plecami kroki. Kantor odruchowo ogląda się za siebie.

- Co to było? – pytam ostro.

- To tylko instalacja wodna. Wszystko pod kontrolą.

- Jestem pewna, że ktoś tam jest – odwracam się na pięcie i idę w stronę, z której doszedł dźwięk.

Kantor wyprzedza mnie dwoma susami. Zagradza drogę. Delikatnie chwyta za ramiona.

- Musimy wracać.

- Puść mnie! – syczę. Energicznie strącam jego dłoń. - Jeszcze mam tu coś do powiedzenia!

Omijam go i ponownie zagłębiam się w plataninę ścieżek. W zapadającym zmierzchu nie widzę zbyt dobrze. Roślinność i cienie płaczą się w fantazyjnych kształtach. Tylko kwiaty są dla mnie wyraźne. Znowu słyszę kroki. Serce przyspiesza. Nie wiem, czemu się boję.

- Pani profesor, wracajmy. Regulamin...

- Nie bądź idiotą, Kantor. A jeśli ktoś chce zniszczyć ogród przed otwarciem? To będzie koniec także twojej kariery – mówię z naciskiem, a potem krzyczę: - Wiem, że tu jesteś! Pokaż się!

Żadnej reakcji. Tylko woda kapie miarowo. Teraz, kiedy jestem zdenerwowana, ten dźwięk źle na mnie działa. Wwierca mi się w głowę. Zaciskam zęby, głęboko nabieram powietrza. Powoli wypuszczam je z płuc.

- Czekam!

W końcu jest, chlupnięcie, jakby ktoś ostrożnie wyjął but z kałuży. Zerkam na Kantora. Dłonie zacisnął w pięści, na skroni pulsuje mu żyłka.

Tupiąc, robię kilka kroków w stronę zwisających pędów, zza których doszedł podejrzany dźwięk. Niech ten ktoś wie, że naprawdę go namierzyłam. Jeśli będzie trzeba, wejdę tam. Nie muszę jednak tego robić. Słyszę zrezygnowane sapnięcie. Czarna dłoń rozchyła rośliny i wysuwa się mała postać.

Jestem tak zaskoczona, że odruchowo robię krok do tyłu.

To dziecko. Chyba chłopiec. Brudny i obdarty. Skulone ramiona, zwieszona głowa. Na tle moich pięknych orchidei wygląda żałośnie. Patrzy na czubki swoich butów.

- Przepraszam – szepcze. Cały drży. Rzuca jedno spojrzenie na Kantora i od razu ponownie kieruje oczy ku ziemi.

W pierwszym odruchu, chcę go zapewnić, że nic się nie stało. Że zaraz mu pomogę, znajdę jego rodziców, zaprowadzę do domu. Lecz wtedy dociera do mnie, że oni się znają.

- Kantorze, skąd się tu wzięło to dziecko? – pytam ostrym tonem. Mięśnie chłopca tężeją. Ścisną mi się serce. Nie chcę być powodem jego strachu.

- Schowaj się! – rozkazuje mu Kantor.

- Zostań, proszę...

- Idź!

- Kantorze!

- No już! – Kantor ponagliła małego ruchem ręki.

Chłopiec jednym susem znika za zieloną zasłoną. Ucieka korytarzami technicznymi. Odgłos butów rytmicznie uderzających o wilgotną posadzkę, powoli cichnie.

- Wracamy – stwierdza stanowczo Kantor.

- Co się z tobą dzieje? Musimy zabrać ze sobą to dziecko. Umyć, ubrać, nakarmić... Ktoś na pewno go szuka... Ruszam zdecydowanie za chłopcem.

- Co za bzdury! Niech się pani ogarnie! – Kantor chwyta moją rękę. Dłoń ma spoconą, nieprzyjemną. Ciągnie mnie w stronę lądowiska. Wrywam się. W tym momencie zawodzi mnie chora noga. Tracę równowagę i upadam, boleśnie tłukąc kolana i łokcie. Niezdarnie próbuję wstać.

- Oto jej wysokość Orchidea. Kantor wymownie przewraca oczami, kiedy się nade mną pochyla. Mimo to bierze mnie na rękę i wynosi z ogrodu. Ból zawładnął moim ciałem, nie mam siły protestować.

Jak dobrze, przed wyjściem nie zdążyłam wypić wszystkiego. Opróżniłam kieliszek jednym, dużym łykiem. Cierpki napój spływa w dół gardła, lekko je drażniąc. Moja prawa, słabsza noga, trzęsie się z wysiłku i zdenerwowania. Z ulgą zatapiam się w ulubionym fotelu.

- Żądam wyjaśnień! Co ten chłopiec robił w ogrodach? Myślałeś, że się nie dowiem? – atakuję pierwsza, bo układ sił między nami uległ niekorzystnej zmianie.

- To sierota – informuje Kantor obojętnym tonem. Jak gdyby nigdy nic siada na swoim zwyczajowym miejscu. Rozpiera się wygodnie, pan sytuacji.

- Bzdura! U nas nie ma sierot.

Kantor patrzy na mnie z takim politowaniem, jakbym powiedziała coś niezwykle głupiego.

- Oczywiście, że są.

Otwieram usta, żeby zaprzeczyć, ale zamykam je bez słowa. Po Wielkiej Katastrofie świat był pełen sierot. Dzieci, których rodzice nie przetrwali i dzieci porzuconych na pastwę losu. Ale to było setki lat temu! Teraz dbamy o siebie nawzajem. Jak ten chłopiec mógł stracić oboje rodziców? Wypadek? Mało prawdopodobne, choć nie niemożliwe.

- Tym bardziej trzeba mu pomóc, a nie ukrywać. Ktoś powinien go wychować.

- Ale kto? - Kantor jest szczerze zdziwiony.

- Przecież każdy może mieć swoje własne dziecko, od tego jest Bioinstytut. Po co ktoś miałby brać obce? Ten chłopiec i tak ma szczęście.

- I ty masz być moim następcą? - pryham. - Specjalista od odtwarzania gatunków. Ba! Od ich ulepszania, a bredzi o szczęściu. Poza tym Regulamin...

- Regulamin nie zajmuje się wyjątkami. Dbaj o grupę, nie jednostkę. A ten mały pomagał na budowie. Tam miałem go zostawić? U mnie przynajmniej ma dach nad głową.

- U ciebie? Ty się chyba zapominasz. Ten ogród jest mój! Stworzyłam go, żeby nasz świat był piękniejszy, a nie żeby ukrywał osierocone dziecko!

- A może właśnie dzięki temu do czegoś się przyda?

Jakby mnie spoliczkował. Splatam dłonie, by nie dotknąć twarzy w miejscu, które powinno boleśnie pulsować. Zarzut, który tak wiele razy odpierałam, padł z ust mojego następcy. Mocno gryzę się w dolną wargę, żeby skupić myśli na dziecku.

- Dobrze, wykorzystam ogród, żeby pomóc temu chłopcu... i innym, jeśli jest ich więcej – dodaję. – Na otwarciu zażądam dla nich opieki. Ludzie mnie poprą, Dowództwo będzie musiało się zgodzić.

Kantor wybucha śmiechem, w którym nie ma nuty radości.

- Bo niby oni nie wiedzą, tak? Wyślą go do pracy w elektrowni, albo przy produkcji żywności. Tego pani dla niego chce?

- Brednie! Nikt tak z dziećmi nie robi!

- Ze mną jakoś zrobili.

Kantor nie czeka na moją odpowiedź. Wychodzi, a asystent domowy zamyka za nim drzwi na zamek.

W głowie mam mętlik. Myśli bombardują od środka czoło i potylicę, uderzają w cienką skórę na skroniach. Kantor, chłopiec, sierota, orchidee, przemówienie, Kantor-sierota, ogród, kryjówka, mały Kantor, dorosły chłopiec, regulamin, ogród-kryjówka, wielkie otwarcie, szczęście...

- Dosyć! - krzyczę chrapliwie. Przewyciężam sztywność stawów. Nachylam się w stronę stołu i jednym energicznym ruchem, strącam pusty kieliszek. Rozbija się z trzaskiem, szklane odłamki rozpryskują się po podłodze. Od razu rusza automat sprzątający. W naszym idealnym świecie wszystko co niepotrzebne znika z pola widzenia.

Jest tak, jak to sobie wymarzyłam. Podeksytowany tłum czeka na wejście do ogrodu. Ludzie stają na palcach, wyciągają szyje. Dyskutują i pokazują sobie nawzajem kwiaty. Rodzice sadzają dzieci na ramionach, by lepiej widziały. Jeszcze tylko moje przemówienie.

Idę sprężystym krokiem z przyklejonym do twarzy uśmiechem. Plecy proste, żadnego garbu. Po wczorajszym upadku wszystko mnie boli. Za mną nieprzespana noc. Wytrzymam. Jeszcze dużo i długo wytrzymam. Kantor ucisza tłum. Zapowiada moje wystąpienie. Dziękuję mu lekkim skinieniem głowy. Zaraz przedstawię go jako współtwórcę tego sukcesu. Niech się nacieszy, a potem zajmie odtworzeniem kota. Chcę, aby ogrodem po mnie zajął się ktoś, dla kogo będzie on całym światem. Wiem, gdzie go znajdzie. Nabieram powietrza. Patrę na zebranych. Jestem bardzo dobrze przygotowana. Doskonale znam treść przemówienia. Ćwiczyłam je całą noc.

■

Krytyczne dni

Roksolana Zharkova

Skurcze przedmiesiączkowe zaczynają się nagle jak burza. Spróbuj wtedy znaleźć gdzieś środki przeciwbólowe, których ktoś rano nie schował do kieszeni. Jest Orbit z miętą, może wystarczy. I jakieś podpaski na dzień plecaka. Lara jest za chuda, prawie nie ma piersi, a te których już prawie nie ma, wciąż są ciężkie jak mosiądz i cicho bolą, przypominając płaskie mapy jakichś przygranicznych miasteczek z turkusowymi arteriami autostrad i żyłami mniejszych uliczek, z pociemniałymi błękitnymi otoczkami pasm górskich, ze szpicami szczytów-sutków.

Niezwykle szczupła Lara z piersiami podsakującymi w górę i w dół, jak brzęczące drobne monety, idzie leśną ścieżką. Oto jej selfie między gałęziami drzew: Larka Pisucha, 10 klasa. Pisz swoje głupie wiersze, w swoich głupich zeszytach – o czym wie cała klasa, a nawet cała szkoła. Zaraz się zacznie – mówi sobie Lara, wygładzając niebieskie džinsy-slim fit na kolanach. Kiedy wczoraj, przed lekcjami, weszła do klasy, usłyszała: Ona, kurwa, szaleje z tymi wierszami... chodzi i się śmieje... oni pieprzą miasto... wszystko wokół zniszczone... a ona chodzi i się śmieje....

Krzewy leszczyny i wilczej jagody gęstnieją, graby spoglądają na siebie, dęby otwierają liściaste usta, a wiązy głośno ziewają ze zmęczenia. Jest tak pusto, choć świat wokół szumi i pulsuje, skomle głosami lasów i jezior. Świat porośnięty sierścią i pajęczynami, niezdarnie wstaje na nogi, by biec dalej. Świat upada i liczy siniaki. Świat siwieje i uczy się chodzić o kulach. Świat popełnia błędy i ich nie naprawia.

– Larka Pisucha, gdzie twoja głowa? – śmieje się ktoś zza jej pleców, a jej kręgi chaotycznie zamykają się, tworząc szczeliny przypomi-

nające puste przestrzenie. Można strzelać przez takie szczeliny i nie chybić, zresztą pewnego dnia będzie zabita. Każdy kiedyś zginie. Nawet Roma, która zawsze się z niej śmieje. I wujek Kolia, konserwator- złota rączka, który jeśli się dobrze przyjrzeć, wygląda jak jej tata. Ale nim nie jest. Każdy wygląda trochę jak ktoś inny, ale nim nie jest. I dobrze.

Przedwczoraj przyszli zobaczyć się z babcią. Tak... – mówią szybko salwą – musimy ewakuować dzieci(!)... słyszeliście nakaz(?), bierzcie się za pakowanie rzeczy dziewczynki, ale tylko tych najpotrzebniejszych, bo niektórzy pakują do walizki pół mieszkania....

Larka leniwie zaciąga się dymem z papierosa wujka Koli. Siedzi na masywnych i zwietrzałych, bezwstydnie nagich, korzeniach dębu wystających z ziemi. Prawie na wilgotnej ziemi, ale niezupełnie. Larka Pysucha powinna napisać coś o tych dniach, coś rytmicznie smutnego i nie całkiem banalnego, ale nie może. Nie ma ani długopisu w zeszytach, ani notatki w telefonie. Lara najwyraźniej zapomniła, jak się pisze. Nawet o Romie, nawet o nich obojgu.

Wiesz, jaka jest różnica między lasem a parkiem? Uczyliśmy się tego chyba w ósmej klasie. Chociaż nigdy nie lubiłam biologii. Może to była geografia...

Wróci do domu i ukradkiem poszuka środków przeciwbólowych wśród leków babci. Bez zapalania światła. Lara, która jest niezwykle chuda i nie ma prawie niczego.

■

Korek

Monika Orlińska

Płynność nad płynnościami, wszystko płynność. Chociaż... gdzieś są granice, jakieś naczynia, formy, butelki... muszą być, żeby ta cała rzeczywistość nie rozlała się, nie roztrwożyła, nie rozpuściła we wszystkim innym. Irma rozmyślała, bawiąc się korkiem od wczorajszego szampana.

Jakiś niepokój wtargnął w te płynące leniwie obserwacje. Wstała gwałtownie, aby zabrać ze stołu pustą butelkę. Poczuła z jej wnętrza unoszący się jeszcze zapach Moët Chandon, dobry rocznik 2015, z numerowanej serii. Przymknęła powieki, na podniebieniu rozlało się wspomnienie wytrawnej delikatności smaku, cierpkość bąbelków, aromat i ledwie wyczuwalna goryczka słońca grzejącego stoki Szampanii. Gdyby była właśnie podłączona do odpowiednich aparatów, neuroobrazowanie wykazałoby aktywność w receptorach odpowiedzialnych za bodźce: smakowe, węchowe i czuciowe. Z komórek chromatofilnych jelita, z szyszynki lub podwzgórza do krwi wpłynęła odrobina serotoniny, przynosząc powiew ożywienia.

Zdusiła go czym prędzej. Wolałaby tego nie pamiętać. Nic nie pamiętać. Do cholery, przecież wiedzą, że nie powinni tu tego przynosić. Postawiła butelkę obok drzwi, żeby wynieść ją jak najszybciej.

Krystyna patrzyła na rozkładającą swoje arkusze psycholożkę, za każdym razem, jak na skierowaną do niej pomocną dłoń, która ma jej przynieść ulgę, sprawić, że będzie się czuła mniej samotna. Przeniosła wzrok na córkę i uśmiechnęła się. Córka jednak patrzyła na postać siedzącą naprzeciw psycholożki. Krystyna miała takie zdjęcie sprzed kilku miesięcy: jej mąż Aleksander siedzi na podłodze obok niej i ich córki, pochylając się nad rozłożonymi wokół fotografiami. Przygląda się malutkiej sepiowej odbitce. Poznał na niej swoją siostrę, która nie żyje od dwudziestu lat. Poznał też brata i ucieszył się. Wówczas

jeszcze wypowiadał ich imiona bezbłędnie. Córka powiedziała potem, że chciała, żeby siedział tam z nią w nieskończoność i przetrząsał te malutkie chwile z nieistniejącego teraz. Rozmawiały o tym, jakie to trudne. A może tylko ona mówiła. Córka nie czuła całego ciężaru, który ją przytłaczał.

Kiedy psycholożka zaczęła zadawać rutynowe pytania, Krystyna pomyślała o wszystkich, którzy tę procedurę przechodzili wielokrotnie, jak Aleksander teraz. Nie powtórzyłyby dziś żadnego z wielu nazwisk, choć przecież słyszała je wielokrotnie, każde z osobna, wypowiadane w różnych okolicznościach, najczęściej w TVP Kultura. Albo może gdzie indziej. Słyszała je i za każdym razem dopowiadała sobie po cichu: A taki mądry człowiek!. I wracała do rozwiązywania krzyżówek lub kolejnego sudoku, sprawdzała, czy pamięta numer telefonu do sąsiadki. Cieszyła się, bo wciąż pamiętała. Tamte nazwiska to były same znane osobistości. Córka znała je wszystkie i mogła wymienić jednym tchem: Terry Pratchett, Sean Connery, Bruce Willis, Ronald Reagan, Alina Janowska, Andrzej Kopiczyński, Marek Walczewski, Zygmunt Kęstowicz, Rita Heyworth, Peter Falk, Margaret Thatcher, Omar Sharif, Monica Vitti...

Musiłaby teraz dodać jeszcze jedno: Aleksander Zdrój.

Kim oni wszyscy byli? – I on?

Córka mówiła, że to ludzie odpływający, a może bardziej rozpluwający się. Jakby ich substancja zaczęła rozchłapywać się gdzieś w drodze, w pośpiechu, w rytmie codziennych zadań i oczekiwań innych ludzi. Jakby ktoś o nazwisku Alzheimer, z butelek ich żyć, wyrwał korki i kazał dalej sunąć po nierównej drodze życia, a z bezsilnych brzegów wylewały się fakty, historie, słowa, wydarzenia, fragmenty. Rwie się ciągłość, i wszystko co zostaje, to plamy z ich nieciągłej substancji. Plamy...

Ale to nie Krystyna. Krystyna nazywała ich dopustem bożym, karą, nieszczęściem, cierpieniem. Oczywiście cierpieniem tych, którzy im towarzyszyli.

Aleksander był kiedyś pełnią, jak oni wszyscy. Nawet jego inicjały mówiły, że jest kompletny, jakby zamykał w sobie całą encyklopedię pojęć. Od A do Z, słownik życia, od pierwszego do ostatniego wyrazu. No bo przecież kiedyś przyjechał tu, aby ją spotkać, młody i silny. Rokował. Mówiło się wtedy: mężczyzno, zasadź drzewo, postaw dom, miej syna. On wypełnił zadanie, choć kto dziś o tym pamięta.

Zaczął życie zwyczajnie. A było niewprawnym piskiem, piątym szczęśliwym porodem odebrany w dwuizbowej chacie na podkarpackim wzgórzu, trzy miesiące przed dniem, w którym Wielka Historia wkroczyła do II RP i podważyła zarówno stałość narodowego ustroju jak i porządku społecznego. Po A usta Wielkiego Boga wypowiadały kolejne głoski, aż przy Y głos zaczął grzęznąć w krtani. Ale wszystko musi zostać doprowadzone do końca. Zanim przez metę przejedzie ostatnia litera z maratonu, Z zdąży zebrać jeszcze wiwaty: dobiega dopiero kropka od Ż, za nią ciągnie się kreska od Ź, bo wie, że może coś jeszcze świata dać, choć Z już nie będzie tego świadome, przeminie, odejdzie, zgaśnie.

Teraz jeszcze trwa.

- Proszę opowiedzieć, co negatywnego przydarzyło się panu w życiu. Niech to będzie pierwsze negatywne zdarzenie, które przychodzi panu na myśl - psycholożka zadała pytanie z naciskiem, powoli wypowiadając każde słowo.

Aleksander skupił się na jej twarzy, aby dobrze zrozumieć. To było trudne. Nie był pewien czy wie, o co ona pyta. W poszukiwaniu wsparcia skierował wzrok na siedzącą obok żonę. Krysia już otworzyła usta, jak zwykle próbując wyręczyć go w trudzie odnajdywania słów, ale psycholożka pokręciła głową i po raz kolejny wykonała ręką znak: dajmy mu czas. Czas, żeby najpierw dobrze wsłuchać się w pytanie, a potem poszukać odpowiedzi pomiędzy wirującymi w głowie strzępkami.

Wiedziała, że to przecież wymaga czasu. Tylko że jego ogarniała już panika, jak zawsze, kiedy trzeba odpowiedzieć.

- Co... nega... negatywnego? A... a dlaczego... negatywnego? – zapytał.

Psycholożka знаła ten wzrok, ten pośpiech, którym próbował pokryć zmieszanie, zagubienie; bał się. Bał się, że znowu nie znajdzie słów, że nie będzie wiedział, pamiętał, że nie zrozumie. Że nie jest już sobą. Lęk o czarną niewiadomą: co to jest, co się dzieje? Nie potrafił już

znaleźć tylu odpowiedzi i nie do końca wiedział, dlaczego. Jak wielu znakomitych intelektualistów, ludzi sukcesu, nie chciał tylko jednego: żeby zobaczyli, jak bardzo jest zagubiony.

Zazwyczaj Aleksander nie musiał mówić, pałeczkę przechwytywała w lot Krzysia, a on siedział cicho, wołał się w ogóle nie odzywać. Tylko, że ta siedząca naprzeciw kobieta czekała, pytała wzrokiem, pytała jego, tak wprost, i nie dało się uniknąć tego czekania. Psycholożka obserwowała pulsujące w nim napięcie.

- Tak. Negatywnego. Złe wydarzenia w pana życiu. Są takie? – zawiesiła głos. – Czy nie?

- Hm... - uśmiechnął się swoim bezradnym, niespokojnym uśmiechem, który rozbrajał, prosił o pomoc, o ratunek, o szybkie wejście, wyręczenie go, podpowiedź... Uśmiech zawisł na wargach, ustąpił wyrazowi skupienia, ale po chwili wrócił. Aleksander pokręcił głową, rozkładając ramiona. – Nie wiem. To chyba... Chyba takiego... Nie mogę sobie wyobrazić...

- Nie? – upewniła się jeszcze raz. - To nic, to dobrze. Żadne się nie wybija, to bardzo dobrze.

Pochyliła się i zapisała coś na karcie badania.

Trwałość to miraż. Jestem zmiennością i wszystko co mnie otacza, też jest zmiennością. Nie ma nic stałego i pomimo że mózg oczekuje permanencji, nie mogę ulegać złudzeniu, że cokolwiek mi się od czasu należy. Za chwilę zmieni się wszystko.

Z rozmyślań wyrwał Irmę dzwonek do drzwi. Zanurzyła dłonie w misce z szarą mazią i wytarła w brudną szmatę, którą następnie starannie przykryła serię ukształtowanych i wygładzonych nieregularnych szarych trapezów.

- Cześć – powiedział, gdy tylko uchyliła drzwi.
- O!

Hubert zatrzymał się w progu. Butelka stała dokładnie na środku, gdyby nie spojrzał pod nogi, byłby ją kopnął. Znieruchomiał, czekając na wyjaśnienia.

- Antek z Julitą. Wczoraj. Nie pytaj – rzuciła, nie odwracając się.

- Przecież Antek by nie...

- Nie wiem, może to Julita, może ona...

- Pogadam z nim.

- Nie trzeba, już powiedziałam.

- Mogli chociaż zabrać butelkę.

Wzruszyła ramionami.

- Umyli szklanki – odpowiedziała.

Wróciła do stołu, ale coś sobie przypomniła.

- Chwila. Napijesz się czegoś? Może jesteś głodny? Mam... zaraz... coś tam mam w lodówce, zobacz.

- Nie, dzięki, byłem na lunchu.

- Klienci czy...? – zawiesiła się. Jak miała na imię jego ostatnia dziewczyna?

- Klienci. Tamto skończone.

- O! Szkoda.

Obrzuciła go czujnym spojrzeniem. Drgnął. Czyli znowu bolało.

Nadal uczyła się swoich dzieci. Uczyła się czytać ich ciała, ich gesty, twarze, drobne drgnięcia głosu. Jakby cała nauka kochania ich rozpoczęła się dopiero kiedy, tamto wszystko odsunęła na bezpieczną odległość. A przecież to nieprawda. Potrafiła ich kochać również i wtedy, zwłaszcza wtedy. Czuła wówczas więcej, mocniej, tak, jak nigdy potem: olbrzymie, całkowicie zalewające ją aż do płaczu, do kompletnego spazmu fale miłości, czułości, jedności z dziećmi. Dzieci były jej ciałem, tak, jej ciałem, jak żadne inne istoty na świecie. Coś wewnątrz ścisnęło i rozlało się falą po trzewiach na wspomnienie tej jedności. Ale to było wtedy. Teraz mogła tylko uczyć się ich, jak obcych, osobnych ciał na nowo, z ze-

wnątrz, na zimno.

Hubert otrząsnął się.

- Przywykłem. Co u ciebie?

- To co widzisz. Pracuję.

Ale wiedziała, że nie przywykł. Ona w jego wieku... kochała, cierpiała, tarzała się w fantasmagoriach spełnionych uniesień... i została babcią. Młodą, fakt. A on miał trzydzieści sześć lat i żadnego horyzontu szczęścia przed sobą. Rzucił się, jak karp wyjęty z wanny. Może ta, może ta, albo może tamta... Nie widział, że to nie one nie pasują, tylko on. Dlaczego nie potrafił? Może za długo był sam z ojcem... albo za bardzo chciał...

Nie byłoby w tym tragedii, świat roi się od singli, sama mu to powtarzała, albo on jej. Gdyby tylko nie marzył tak rozpaczliwie o dzieciach, o dużej rodzinie, o stole wspólnych posiłków, przy którym unosi się śmiech i kłótnie, gdzie tętni miłość i troska. Nawet jego dziecięce zabawy dotyczyły tylko tego, wielkiej, radosnej, kochającej się rodziny. Od jakiegoś czasu już o tym nie mówił. Mówiło za to jego ciało, które osuwało się w ospałość, smutek, nieuchwytny żal. Nawet teraz, zapadnięte w poduchy, jakby chciało ukryć się przed wszystkimi ciekawskimi pytaniami, niedomówieniami, wstydem.

Irma pochyliła się nad glinianymi trapezowymi tabliczkami, z których na dniach wy czaruje magiczne zawieszki, hipnotyzujące pawie oczka, brosze, wisiory, naszyjniki. Westchnęła, bo wiedziała, że trzeba mu powiedzieć. Musi to powiedzieć, i tak zresztą się dowie, lepiej teraz od niej niż od siostry.

- Pobierają się – rzuciła, udając obojętność.

- Co?

- Antek z Julitą.

Wstał gwałtownie i skierował się do kuchni.

– Można się było spodziewać.

Zaręczyny, dobra posada, teraz ślub... On ma swój życiorys w głowie, odkąd skończył pięć lat.

- Kiedy?

Otworzył lodówkę. Chociaż mówił, że nie jest głodny.

- Latem.

Drzwi lodówki nie zamykały się. Wiedziała,

że stał tam, patrzył niewidzącymi oczyma w otchłań pustawych zimnych półek. Naturalną koleją to on powinien być pierwszy, nie jego siostrzeniec. Wiadomość przeszła jego serce, Irma czuła przez ścianę, jak go to ugodziło.

- Zrób herbatę, skoro tam jesteś – postanowiła zając czymś chociaż jego ręce.

Drzwi lodówki skrzypnęły po swojemu i zatrzasnęły się.

- Jaką chcesz?

- Czarną, z imbirem i cytryną.

Oparła się o stół i westchnęła. Wiedziała, jak będzie, i co będzie czuła w tych momentach. Lata terapii uzbroidy ją w żelazną teorię. Ale ta wiedza ciągle nie pomagała. Poczucie winy znowu zaczynało dominować, burzyć jej nastrój, wdzierać się w każdą myśl, gdziekolwiek by nie skierowała wewnętrznego wzroku: to twoja wina, twoja, twoja...! Gdybyś nie piła... Gdybyś tylko z nim była...

Zacisnęła powieki, napięła mięśnie twarzy, żeby nie spojrzeć w kierunku przedpokoju na butelkę. Pachniała jej nawet stąd, obiecywała nową falę łagodnej jedności ze światem. Czajnik zaszumiał i zaczął trząść się od bulgotu wrzącej wody.

- Wyłącz, ma coś z termostatem! – krzyknęła do Huberta.

Ale zanim zareagował, minęło kilkanaście sekund. Wiedziała dlaczego. Musiał stać tam pośrodku kuchni: z opuszczonymi ramionami, zawieszoną nad zgietym karkiem kształtną głową, w tej cudnej błękitnej koszuli z mankietami zapinanymi na ceramiczne spinaki od niej, w tweedowych spodniach za dwa tysiące, pachnący Tomem Fordem. Boże, jaki przystojny.

Była winna. Była winna. Była winna.

- Panie Aleksandrze, a gdzie się pan urodził, w jakiej miejscowości? – zapytała psycholożka.

- W... w Skawinie.

- Nie w Skawinie, tylko na wsi, co ty opowiadasz!

- Już nie ma wsi – odgryzł się zupełnie przytomnie po chwili zastanowienia. – Miasto tam jest... teraz.

- To nie była Skawina, ale dobrze, niech pani

napisze Skawina, niech będzie – zgodziła się Krystyna trochę urażona.

- Jak miała na imię pana mama?

Zastanowienie.

- No... Bro...nislawa.

Bronisława. Beztroskie B, które Wielki Bóg wypowiedział letnim porankiem, kiedy mleczne ząbki wbijały się w pajdę chleba, cienko posmarowaną smalcem. Alek wiedział, że na obiad, drugi i ostatni posiłek miało być to samo, wiedział, ale to nie miało znaczenia. Z głodu podkraδαło się niedojrzałe jabłko proboszczowi. Z głodu wspinało się na drzewa, sięgało do gniazd i kochało smak wypijanych łapczywie jajek, zbierało szczaw, jagody i grzyby, wielkie kapelusze, których nazwy i wygląd później uległy zatarciu. Z głodu biegało się za szmaciakiem, aż robiło się mdło ze zmęczenia, zalewało się więc pusty żołądek wodą ze studni i zasypiało. Była bieda, bo była tylko mama i ich pięcioro, czasem listy od kogoś, kogo bracia i siostra nazywali tatą, z dalekich Niemiec, o pracy u bauera, o wojnie i o czymś jeszcze, czego nie rozumiał.

- A tata? Jak miał na imię tata?

Któregoś dnia w drzwiach chaty stanął chudy mężczyzna z wąsem, z dużym czarnym rowerem, który trzymał za kierownicę. Najstarszy brat podbiegł do niego. Mama rzuciła, co trzymała w rękach i przywitała go, jak nigdy nikogo jeszcze nie witała. Józek! Józek! Matko Boska, Józek...!- płakała i powtarzała. Alek miał wtedy sześć lat. Znieruchomiały tkwił, gdzie był, i zaczynał podejrzewać, że wie, kim jest ten człowiek, tylko boi się to powiedzieć. Obawiał się tego nieznanego ojca. Obchodził go z daleka jeszcze przez wiele lat, ze strachu czy z obcości...?

Od powrotu ojca już nie było głodno, przyszedł nowy rozdział encyklopedii Aleksandra. Nastąpiło C i było ciekawością. Wypatrywaniem ptaków i strzelaniem z procy, zdziwieniem odkryciami okrutnych operacji na żabach, aby poznać ich zawartość, podpatrywaniem życia żuków i turkuci. Było też rozróżnianiem głosu sójki, udającej myszołowa, od prawdziwego myszołowa, powta-

rzaniem improwizacji kosa, gwizdem- kto lepiej, było przeganianiem złośliwego psa sąsiadki, który zagryzł im kurę.

- Tata to... to... Józef.

Psycholożka zanotowała.

- Panie Zdrój, proszę powiedzieć, gdzie chodził pan do szkoły?

Zastanowienie. Szkoła? Tak, coś takiego było...

- No... to... szedłem, daleko, bo tam to nie było. Krystyna nie zamierzała czekać.

- Pani napisze, że do szkoły chodził w Skawinie.

Psycholożka skarciła ją wzrokiem.

Tak, szkoła była na obrzeżach miasta. Razem z nią zaczęło się coś jeszcze innego: D - jak dyscyplina. Wychodzenie z chaty po szóstej, staranie, aby przynieść znowu piątkę, zmrzyć piwne oczy, kiedy mama przytuliła, dostać kuksańca pochwały od brata, który wrócił z fabryki. Praca przy świecy, później przy lampie naftowej, wśród chrapania braci, aby móc złożyć papiery do liceum w prawdziwym mieście i brnąć codziennie dwie godziny przez polne drogi i nowe miejskie osiedla, wyczekując autobusu. Chować potem do skórzanego plecaka wstyd za kałużę błota pod ławką, bo przecież oni chodzili chodnikami, a on przez pola.

Psycholożka uzupełniła notatki.

- A potem? Uczył się pan dalej? Była druga szkoła?

- Tak. Druga szkoła była.

- Jaka szkoła? Gdzie?

- To było... w mieście... tam dalej, nie tu...

- W Krakowie. Liceum mąż kończył w Krakowie – wyjaśniła Krysia. – To było najlepsze liceum. Wie pani, mąż był niezwykle zdolny, wyłowiła go nauczycielka i skierowała tam; a w domu, to nawet nic o tym nie wiedzieli.

E - jak edukacja, zdane egzaminy, emocje pierwszych miłości, endorfina oczekiwania na wszystko, co miało nadejść. Zaraz potem F- falowało za oknem pociągu, którym jechał na egzamin do Warszawy. G - grzmiało ogromem świata, który się otwierał, życiem akademickim, nauką, prywatkami, szansą na dużo więcej niż można było kiedyś marzyć. H - odrzuciło Halinę, zakochaną w nim córkę

wójta... I..., J...

Razem z K pojawiła się ona, jego Krystyna, jego Rita Heyworth, jego olśnienie, jego wysłuchana modlitwa. W stawce startowało wielu, ale na koniec – pozostał on. Mogła ich wszystkich złowić, zgodziła się być z nim. Wytrwały, wierny, cichy, delikatny, opiekuńczy. Daleki od zrywów romantycznych i miłosnych wierszy. Uwierzył, że go kocha, że będzie naprawdę jego. Wyjeżdżając na stypendium, napisał na swojej fotografii: Ukochana, zawsze będę przy Tobie. Na tej fotografii stoi w czarnym dwurzędowym garniturze, przystojny, z czarnymi falami nad czołem, z łagodnym uśmiechem. Pod błyszczącymi butami wydeptana trawa, z tyłu przechylający się płatek z plecionych różg, a dalej pola, wzgórze małopolskiej wsi. Ze stypendium przywiózł jej najpiękniejsze buty, jakie w życiu widziała, była gotowa nosić je nawet za cenę pokrwawionych stóp i bólu. Była w nich królową balu, królową snów. Słyszała, jak koledzy mówili: nie bierz jej, żony potrzebujesz, nie księżniczki! Nie słuchał. Wziął.

- To teraz proszę mi powiedzieć, jakie pozytywne wydarzenie z pana życia, z całego życia, pierwsze przychodzi panu na myśl?

Nie drgnął.

- Pozytywne – po chwili powtórzył skupiony.

- Tak, takie najlepsze, co się panu przydarzyło.

Zbierał swoje strzępki, przeczesywał, szperał w sobie. Wbił wzrok w stół. Na twarzy przewijały się niepewności. Najlepsze, najlepsze, przydarzyło, przydarzyło, przypomnij, przypomnij... I wzrok na Kysię, ona zawsze wie, co powiedzieć. Ale psycholożka dała znak, Krysia zagryzła wargę.

Cisza przedłużała się. Krysia mogłaby odpowiedzieć, żeby psycholożka wpisała to na tę swoją zaczerpioną okrągłym pismem kartę. Był ślub w strugach deszczu i błocie, wóz drabiniasty za karetę, były wycieczki zagraniczne, rarytas, z nim jako przewodnikiem, bo języki znał, pół Europy zobaczyli, zanim zasłała w pierwszą ciążę. Narodziny dzieci, przyjaciele, komunie, śluby, narodziny wnu-

ków. Znowu podróże, och, pół świata, proszę pani, proszę sobie wyobrazić, Chiny, Krym, Afryka... Wszystko razem, we dwoje. Była z niego dumna, i to jak. Błyszczła nim przez wiele lat. Tak, były cudowne rzeczy.

Po wyjściu Huberta, Irma podniosła telefon. Serce zatrzepotało: kiedy puls przyspieszała, wracała arytmia. Bała się, oczywiście, że się bała. Bała się, że usłyszy z tamtej strony swój własny rozmazany głos sprzed lat, wprost z łóżka, spod zapuchniętych powiek, zachrypnięty głos obcego w niej i w jej córce.

- Ha!...

I tak było. Znała ten bełkotliwy, szemrzący dźwięk.

- Kochanie, to ja – powiedziała drżącym głosem.

- Noo. Mamusia. Daj mi spok...

- Słoneczko, będę za pół godziny. Zbieraj się. Pamiętasz? Będziesz miała gości.

- Odczep... nie chcę gości, chcę spać.

Rozłączyła się. Irma zrzuciła fartuch, z którego posypały się grudki gliny. Chwyciła miotłę i pchnęła je pod stół. Musi doprowadzić Ewę do ładu, zanim młodzi przyjdą. Julita nie powinna oglądać przyszłej teściowej w takim stanie. Nie wiadomo, co o matce opowiedział Antek, czy ona zdaje sobie sprawę... Nie, nie, lepiej ją trzymać od tego z dala, niech chociaż oni...

Ewa za często zapadała się w ten stan. Irma znała go na wylot, od środka i od zewnątrz, przerobiła go setki razy, w każdą możliwą pogodę, z każdym możliwym zakończeniem. Ewa nie odpuści. Będzie to robić z tej okazji tak samo, jak i bez żadnej okazji. Niech by wreszcie skończyły się jej pieniądze, niech by wreszcie sięgnęła dna, jak ona, tego poczucia kompletnej bezwartościowości, a jednak poczucia, że ktoś wierzy jeszcze, że ty...

Ale do dna Ewa miała jeszcze bardzo daleko. Irma wiedziała o tym. Ostatnią pracę utrzymała prawie przez rok. Jak to możliwe, że się nie zorientowali? Za zaoszczędzone pieniądze piła już kilka miesięcy. Za dużo zarabiała, za dobra jest. Zresztą, gdyby zarabiała mniej, nie byłoby inaczej. Będzie tak ciągnąc, nawet

kiedy nie starczy na chleb.

Tak to jest, i to też jest tylko jej wina, Irmy. Tylko jej.

Wychodząc obrzuciła wzrokiem wewnątrz. Na kawowym stoliku została filiżanka po kawie i korek od szampana. Zgarnęła go do kieszeni.

Krysia poprawiła się na krześle. Wszystko tu działo się tak irytująco powoli. Jak on leniwie zbiera myśli, zgłupiał już chyba całkiem, co to będzie dalej... kompletnie nie wiedział, co mówić.

- Nie ma pośpiechu – powiedziała psycholożka. – Niech się pan zastanowi.

Rozłożył bezradnie ramiona.

- Najlepsze... Nie... nic mi nie przychodzi...

- Proszę się zastanowić.

Psycholożka czekała, wpatrzona w swoje notatki.

- No... może...

- Tak? Proszę, proszę powiedzieć.

- Ale nie wiem.... To było, kiedy miałem... byłem szefem, te pięć sześć osób miałem...

- Bzdura, miał cały departament pod sobą! – Krysia nie wytrzymała. – A potem ponad dwieście osób.

- Proszę...! - przerwała jej psycholożka stanowczym tonem, i zwróciła się na powrót do Aleksandra. – Tak, niech pan mówi dalej. I co było później?

- One były - dwie dziewczyny, właściwie pięć ich było, no ale dwie takie... No i jedna z nich...

- Tak?

- Przyszła do mnie. I kiedy podeszła, to poczułem. To się dało poczuć od razu, no, nie było daleko, od razu poczułem od niej ten zapach...

- Tak?

- Nie było wątpliwości. – Zrobił gest dłonią od swojego nosa, jakby zaleciał go odór alkoholu. - Ale powiedziałem: to ostatni jest, ostatni... - szukał właściwego słowa, ale nie przychodziło... – ostatnia... data. Nie ma mowy, i ani chwili! – Uderzył dłonią o brzeg stołu. Jego głos przez chwilę odzyskał dawną barwę i siłę. - I tak się stało. Odeszła, na-

tychmiast.

- Czy dobrze rozumiem, że zwolnił pan pracownicę? Przez alkohol?

- Tak. Przez alkohol.

- To była dobra decyzja?

- No... musiała. Nie mogłem inaczej. To była praca...

Krysia patrzyła na niego w zdumieniu. Najlepsze wydarzenie z życia? Że zwolnił pracownicę za alkohol? A co z nią? Z dziećmi? Naprawdę nic lepszego w życiu mu się nie przydarzyło? Nic?!? Sześćdziesiąt lat razem. W biedzie i w dostatku, przez karierę i choroby. Podróże po świecie, narodziny dzieci, wszyscy przyjaciele, śluby, wnuki, pogrzeby bliskich, wszystko razem, a teraz nic się z tego nie liczy?!?

Tak. Teraz widać, kim jest! Nigdy jej nie kochał... nigdy...! Nikogo nie kochał! Zawsze taki, zawsze tylko on i ta jego kariera...!

Ewa leżała na kanapie, nawet się nie rozebrała na noc. Irma rozejrzała się po mieszkaniu. Nie było tragicznie, tylko te szklanki, resztki pizzy w tekturowym pudełku, butelki. Irma bała się tego, co będzie czuła sprząając je, tymczasem wzbudzały w niej tylko złość. Wrzuciła wszystko do worka i wystawiła za drzwi. Kiedy Ewa brała prysznic, uprzątnęła resztę, schowała naczynia do zmywarki, zamiotła, nałala kefiru do ulubionego kubka Ewy i przygotowała herbatę. Kiedyś lubiła to mieszkanko. Ale to były inne czasy, jej czasy, ciemne czasy.

Mieszkały tu kiedyś we dwie, bo Hubert od czasu rozwodu był u ojca, i Irma pamiętała tylko część tamtego życia. Nie była dobrą matką. To wszystko jej wina.

Potem zrozumiała, że ciąża Ewy była jej wołaniem o pomoc. Kończyła liceum, kiedy obwieściła matce nowinę. Irma nie wytrzymała, piła przez trzy dni. Kiedy wytrzeźwiała, poszła do szkoły, na rozmowę o maturze córki. Szczęśliwie Ewa zdążyła ją napisać, a w czerwcu pojawił się Antek. I nadzieja, że już będzie dobrze, że nie wrócą butelki, smród, nieistniejące dni. Bo Antek był nadzieją. Mały cud. Zawiniątko, ciepłe ciało, zapach mleka, aksamit skóry, mięciutkie włoski... Co widziały jego czujne

żrenice? Mogłaby jeszcze być matką, jej równolatki nosiły pierwszą ciążę, a tu wnuk. Obudził w niej coś: jakiś wewnętrzny niepokój, a może tylko pragnienie, niespełnione pragnienie... Patrzyła na drobniutkie dłonie, rozprężające się przy przewijaniu, zaciskające na piersi Ewy. Czuły dotyk. Zapach... Prześlizgujące się po jej twarzy oczka. Jego czujne zmysły rejestrowały, choć nie potrafiły jeszcze nazwać.

Rzeczywistość dziecka, myślała, patrząc na niego, jest tylko i aż taka, jaką mogą odbierać niedoskonałe narządy: nie niesie informacji o promieniowaniu tła, o podczerwieni, o falach radiowych, o ciemnej materii ani o Buddzie. Nie dręczy rozpamiętywaniem błędów ani niepokojem o przyszłość. Dlatego dzieciństwo jest okresem szczęśliwej Arkadii. Wiecznym tu i teraz, zen, zatopieniem w chwili. Impulsy przebiegają z obrazu fal świetlnych i dźwiękowych w spektrum słyszalności, synapsy przekazują bodźce, powstają nowe ścieżki, połączenia, możliwości, ślad białkowy ukryty w aminokwasach, gotowy do odtworzenia tą samą ścieżką w przeciwnym kierunku, za prawie sto lat, które może upłynąć, zanim przed oczami przepłynie całe życie, zanim przyjdzie ostatni wdech, ostatni raz zamkną się oczy i pod powiekami pojawią się obrazy, zanim nastąpi pożegnanie właśnie teraz rozpoczynającego się przepełnionego miłością i zachwytem istnienia. Antek to był początek, haust nadziei, spojrzenie w dwudziesty drugi wiek.

A potem przyszły długie ciemne dni, jego płacze, kolki, niewyspanie, nieudolność Ewy, wydatki, nerwy, wściekłość, że życie, że przyszłość, że wszystko to takie beznadziejne... Przecież dopiero miało ruszyć z miejsca, miała znaleźć porządnego faceta, dopiero trzydzieści sześć lat, niebrzydka twarz, zadbana. Chciała zakotwiczyć w porządnej pracy, której nie zmieni po dwóch miesiącach, zacząć podróżować, miała teraz wszystko poukładać od nowa... Zamiast tego zmęczenie, bezsens, udręka krzyku niemowlaka, pieluch rozrzuconych po domu, zakupów i zamkniętej z nią w ich dwóch po-

kojach z kuchnią, rozmemłanej, zniechęconej Ewy... za młodej, za głupiej na to wszystko.

Nie dawała rady, nie potrafiła tego znieść. W monopolowym na dole kupiła coś na raz, żeby jedną szklaneczkę, żeby lepiej spać, żeby tylko nie słyszeć, zasnąć mocno i nie wstawać jedną noc, zostawić to Ewie, niech sama nosi po nocy rozwrzeszczane konsekwencje swojej głupoty. No, głupoty. Bo przecież uczyli ją tam w szkole, skąd się biorą dzieci, nie? Puściła się, kretynka, nawet nie chce powiedzieć z kim. Boże. Co za myśli, skąd takie myśli, przecież to jej mała Ewunia... Jak mogło do tego dojść, co przegapiła?

Wytrzeźwiała po tygodniu, kiedy Ewa zabrała jej portfel. Pozwoliła sobie, poczuć odrazę do samej siebie. Nawracające poczucie winy, które tak pięknie zniknęło, kiedy miała w czym je topić.

Bo to przecież przez nią, prawda? Tak, to przez nią.

Nie, nie, tak nie może być. Uprzątnęła mieszkanie, wyrzuciła wszystkie kieliszki i znalazła nową ofertę pracy. Nieduże biuro, niedaleko domu, spokojna robota, żadne tam kierownictwo, za które zapłaciła latami odstresowywania się wódką. Przyzwoite pieniądze, starczy na ich troje, bez szaleństw, ale dadzą radę, a za kilka miesięcy będzie można Antka dać do żłobka, Ewa znajdzie pracę, będzie lżej. Zobaczyła na horyzoncie promyk. Może będzie dobrze, nie tknie już tego syfu, który wciąga ją w jakąś otchłań. Już wiedziała, że to choroba, przestała się łudzić, i postanowiła się nie dać. Dla Antosia.

Firma była nieduża. Pięć koleżanek przy sąsiednich biurkach. Szef z ubiegłego wieku, niekomputerowy, ale spodobał jej się. Dobiegał sześćdziesiątki, dziewczyny go szanowały, wzbudzał rodzaj mieszkanki szacunku i wdzięczności.

- Dlaczego chce pani u nas pracować? To małe biuro, pani kariera, stanowiska kierownicze... ma pani kompetencje przewyższające nasze oczekiwania.

Co odpowiedzieć? Jego jasnobrązowe oczy, łagodne i czujne, wyczekiwały odpowiedzi. Miał takie miłe rysy, jakby wypisaną na twa-

rzy życzliwość.

- Nie ma co owijać w bawełnę, potrzebuję spokoju. Córka urodziła wnuka, potrzebuję więcej czasu i mniej stresu...

- Wnuka? Pani to rocznik...

- Mam trzydzieści sześć lat, zgadza się. No właśnie dlatego potrzebuję stabilnej i spokojnej pracy. Poza tym mam niedaleko do domu, to ważne.

- Rozumie pani, że potrzebujemy pracownika na stałe, nie na kilka miesięcy odpoczynku od kariery w korporacjach?

- Rozumiem, mnie też interesuje dłuższa współpraca.

Przekonała go? Zastanawiała się całą dobę, ale następnego dnia zadzwonił i to obojętnie.

- Proszę się zgłosić w poniedziałek na ósmą. Krótka i zasadniczo. Taki był dyrektor Aleksander. Zasadniczy, wymagający, merytoryczny, nie dopuszczał niedbalstwa, natychmiast wyczuwał niepewność. Miał nieomylny nos do błędów i niedopatrzeń.

Przez wszystkie miesiące czekała, aż coś się wydarzy. Jak poprzednio, szef wezwie ją któregoś dnia, obarczy winą za problem z klientem, za spóźniony raport, dociąży pracą po godzinach, oczekiwaniem niemożliwego, a ona nie będzie potrafiła wydobyć słowa, będzie się kurczyć pod jego głosem, spojrzeniem, nawet samym oddechem, będzie się czuć mała, nienaprawialna, winna wszystkim błędom tego świata.

Miesiące mijały, nic takiego się nie działo.

Poczuła się tu spokojna. Nareszcie. Jakby odnalazła przystań, do której wracała co rano po lepszych i gorszych nocach, wiedząc, że wieczorem będzie miała pełne ręce roboty z ogarnianiem mieszkania, z gotowaniem, praniem, Antkiem, którego Ewa zostawiała jej bez pytania, aby co wieczór uciec z domu do życia, którym nie zdążyła się jeszcze nażyć, zanim zamknięto ją w dożywotniej klatce macierzyńskiego obowiązku. Nie była na nią przygotowana. Teraz obie wiedziały, że wszystko może potoczyć się dobrze i było pewne: praca Irmy była święta. Jeśli jej nie straci, może to wszystko okaże się złym

snem. Irma cieszyła się z każdego dnia. Sześć ich było, każda inna, w innej dekadzie życia, każda drążąca własny korytarz w twardej skale czasu. Żadnej nie szło jak z płatką. Przy oknie siedziała Teresa, najstarsza, drobna i pomarszczona, z włosami o nijakiej długości przycinanymi chyba tylko przed Wielkanocą. Wdowa, cała w sfilcowanej czerni, przychodziła pierwsza, wychodziła ostatnia do swojego pustego domu. Starej daty księgowca, niejedno w zawodzie przeszła, specjalistka od nietypowych spraw. Kłóciły się z nią o Radio Maryja, które włączała natychmiast po przyjściu.

Naprzeciwko niej Basia, zależniona o posadę, niebawem miała wejść w ochronę przedemerytalną, bała się, że jakby co, to nikt jej nie przyjmie. Matka niepełnosprawnego dorosłego już syna. Irma nie wiedziała o jaki rodzaj niepełnosprawności chodzi, aż któregoś dnia Basia przyszła z nim po coś do biura. Miała wolne, ale czasem w tajemnicy wносиła robotę do domu, żeby zawsze było zrobione. Olbrzymi facet uśmiechał się dziwnym uśmiechem i przytulał jak dziecko do wszystkich po kolei. Tamte poklepywały go po plecach i śmiały się. Irma zeszywniała ze strachu.

Obok drzwi stało biurko Kaśki, bystrej, roziskrzanej dowcipem trzydziestojednatki. Samotna matka, z mężem – panem niewiadomogdzie pracusiem, komputerowcem, przedsiębiorcą robiącym niezrozumiałe interesy, które przeganiały go po świecie, albo tylko po mieście, Kaśka nie potrafiła powiedzieć. Nurkował albo był zajęty, na jedno wychodziło, dlatego wozila się z rozbabranym rozwodem, czekając kiedy wreszcie rozdzieli majątek, kupi mieszkanie z daleka od teściów i poczuje się z córką jak u siebie.

Ostatnia, na dwa lata przed Irmą przyszła do firmy Mira, czterdziestolatka z szelmowskim błyskiem w oku, wariatka wróżbitka, bez kart do tarota nie ruszała się z domu. Po trzech próbach samobójczych i roku w psychiatrykach odnalazła swoje powołanie w praktykach ezoterycznych i po godzinach zaczęła świadczyć usługi jako wróżka Mirabelle. Przy tym z całej piątki to ona miała najlepsze wy-

kształcenie, najbogatsze doświadczenie i z nią szef omawiał najtrudniejsze problemy podatkowe.

Marzena, sekretarka koło pięćdziesiątki, robiła kawę, odbierała maile, wklepywała korespondencję i trzymała porządek. Wieloletnia organizatorka biura księgowego, siedziała w sekretariacie, gdzie oprócz wielkiego biurka i przepastnych szaf, w których bez mrugnięcia znajdowała dokumenty sprzed wielu lat, stała kserokopiarka, ekspres do kawy i tuż obok starannie wyprasowanych haftowanych serwetek, eleganckie zastawy herbaciane i kawowe. Marzena niewiele mówiła, w zasadzie nic. Wszystkie wiedziały jednak o chorobie jej męża, o przewlekłych kłopotach syna, córkach, które były za granicą, odzywały się lub nie, raz lub dwa w roku.

I on, alfa i omega tego babinca. Zdystansowany, czujny. Promieniował od niego rodzaj pewności, który każdej, czy w ogóle każdemu, kto miał z nim do czynienia, przynosił ulgę. Dopóki on jest, jest dobrze. Ani pół żarciku na jego temat, sam szacunek, nawet we własnym gronie.

Wśród tych kobiet, rozliczających, księgujących, dziurkujących faktury i sprawdzających wyniki, z szefem o wielkim autorytecie i nienagannych manierach, zrozumiała, że nic nie musi. Po raz pierwszy nikt nie oczekiwał, że będzie coś udowadniać, że trzeba się starać, biec, być lepszą od kogoś, sprytniejszą, szybszą, czujniejszą.

Klienci przychodzili, częstowali się ciastem, pili kawę, żartowali. Szło się do szefa z pytaniami, z raportem, po decyzje. Brało się zadania tej, której nie było, po równo. Pracowały w ciszy, nie licząc mamroczącej pod oknem w kółko te same zdrowaśki Rydzikowej rozgłośni. Wybuchały głośnym śmiechem na rzucane ni stąd ni z owąd komentarze Kaśki, które rozsierdzały Teresę. Ta odgryzała się, śmiały się wszystkie, długo i szczerze. Mira rozpylała olejki i kopciła kadzidełka, od których robiło się w pokoju gęsto. Marzena wpadała z awanturą i wyrzucała niedopalone druciki, ledwo

wyczuła je w korytarzu. Wyjeżdżała z profesjonalizmem i klientami. Robiły kawę i jadły kanapki gadając o wszystkim i o niczym. Po kilku miesiącach zaczęła gadać też Irma. O Ewie, którą sama urodziła jako osiemnastolatka, o rozwodzie, o Hubercie, za którym tak rozpaczliwie tęskniła. O tym, że tak bardzo się oddała, nastawiany sączonymi do młodego umysłu opowieściami tamtej rodziny, krótko trzymany przez ojca. O cudownym Antosiu, o swoich planach, o nadziejach. I robiło jej się nagle smutno. Mijały miesiące, a w jej życiu ciągle nie następował przełom, nie zmieniał się nic. Przybiegała rano do biura, szeroko otwartymi ustami chęptała spokój i wracała do rzeczywistości samotnych wieczorów z Antosiem, w oczekiwaniu na Ewę, która znowu wróci po piwie, po winie, po drinku... A potem przyszła krótka mocna prosta w dół. Zaczęło się od imienin Kaśki.

Irma razem z Teresą zamknęły biuro i weszły do pobliskiej kawiarni. Miały tylko wspólnie wręczyć Kasi prezent. Ale na okrągłym stoliku, na każdym z sześciu miejsc stał w wysokiej szklance drink z palemką, jeden z nich czekał na nią.

Rozgadała się. Znów było dobrze. W drodze do domu, niezmiernie radosna uśmiechała się do siebie, ciesząc z lekkości bytu. Kupiła dzin. Wcale go nie wypita na raz. Dopiero nazajutrz.

W zasadzie nie było żadnej wpadki. Nic. Nadal regularne raporty dla szefa, z gumą orbit w policzku, zdawane osobiście, jego spokój, uśmiech, dystans.

- Czy wszystko w porządku, pani Irmo?

- Oczywiście, panie dyrektorze. Jutro zamynam miesiąc.

- Proszę przyjść z deklaracjami.

- Około trzynastej będą gotowe.

- Pani Irmo...

- Tak? – coś w niej zadrżało.

- Jeśli mogę w czymś pomóc... Jest pani znakomitą księgową. Ale pani to przecież wie, prawda?

Wiedziała. Wiedziała tu i teraz, kiedy to mówił, on, który potrafił znaleźć najdrobniejsze przeoczenia. Nieraz widziała, jak prosił

dziewczyny o zmiany, jak dawał artykuły do przeczytania, jak tłumaczył zmiany w zasadach... Jej nic nie musiał tłumaczyć. To one do niej zaczęły przybiegać z pytaniami. Myślała szybko, kojarzyła fakty, zasady, wyroki NSA, sprawy.

Teraz kiedy to mówił, wiedziała, że jest niezła, ale kiedy indziej nachodziły ją wątpliwości. Czy na pewno jest tak, jak sądzi? Lepiej się upewnić, doczytać, sprawdzić. Zapytać Teresę albo Mirę. I zanim uzyska odpowiedź, już wiedzieć, że mają mniej pojęcia o rzeczy niż ona sama.

- Panie dyrektorze, staram się.

- Wiem. Jeśli będzie pani potrzebować pomocy, zapraszam... w każdej sprawie.

Zanim wróciła do pokoju, wstąpiła do łazienki. W każdej sprawie. Co miał na myśli? Pociągnęła z eleganckiej stalowej pierśióweczki. Wzięła nową gumę. Nie zawiedzie go. Musi być gotowa, jeszcze sporo pracy dzisiaj, łyk na wzmocnienie, nie może sobie pozwolić teraz na rozmętlanie. Jeszcze jeden. Teraz będzie dobrze. Już dobrze. Jutro nie będzie pić. Jutro nawet nie zabierze ze sobą... no, może jeszcze jutro zabierze, żeby się czuć bezpieczniej, jakby co. Ale potem już koniec, po podatkach – będzie czysta.

Przed wypłatą pożyczyła od Teresy pieniądze na pampersy i Bebilon, bo jakoś na koncie było pusto. W następnym miesiącu od Zosi. Atmosfera w pokoju stężała. Żarty ucichły, Radio Maryja zrobiło się lepiej słyszalne. Pewnego dnia szef wezwał ją, bo, zdaje się, coś przeoczyła.

- Pani Irmo, nie wiem, co się dzieje, przecież tydzień temu o tym rozmawialiśmy.

Jak to się mogło stać? Przeoczyła jednak? Niemożliwe, to już się nie powtórzy, będzie uważać.

Minęło kilka dni. Znowu ją zaprosił. Była spokojna, a może tylko sobie to powtarzała. Weszła do jego jasnego gabinetu. Wstał, gestem zaprosił do stołu, usiadli. Wtedy to zobaczyła. Odchylił się nieznacznie, coś w jego twarzy drgnęło, uniósł lekko brwi. Zobaczyła to w jego oczach, w jego geście, w

całej sylwetce. To była odraza. Więcej, wstręt. - Pani Irmo... – zawahał się. Wstał i wyszedł z biurka. – To trudne, ale muszę to powiedzieć. Ja wiem, że panią stać na zmianę. Wie pani, o czym mówię.

Wbiło ją w krzesło. Poczuła, że waży więcej niż kiedykolwiek. A więc wiedział. Zebrała swoje siły, wstyd palił jej twarz. Podnosiła się powoli, jakby zeszywniały jej nagle wszystkie mięśnie. On stał przy biurku tuż obok i poprawiał marynarkę, jego ton stał się formalny.

- Proszę spakować swoje rzeczy. Jutro może się pani zgłosić po wypowiedzenie lub wyślemy je na pani adres. Czy muszę tłumaczyć, jaki powód będzie na wypowiedzeniu?

- Ale...

- Jedyne, co mogę dla pani zrobić, to zgodzić się na rozwiązanie umowy za porozumieniem, powiedzmy... miesiąc bez świadczenia pracy.

- Panie dyrektorze, ja... ja tylko... to ostatni...

- ...ostatni dzień w tej firmie. Jeśli odpowiada ją pani takie warunki porozumienia, proszę do pani Marzenki.

Stała na miękkich nogach, jej ciężar wbijał stopy w podłogę, nie potrafiła do końca wyprostować kolan, nie mówiąc o ruszeniu się z miejsca. Może dlatego, że wiedziała, że oczekiwała tego już od jakiegoś czasu, spodziewała się gdzieś daleko w samych głębinach trzewi, że to nastąpi, bo musi. Bo to ona, kretyńska, bo to jej wina. Jej wina.

- Osobiście nic do pani nie mam, cenię pani umiejętności, bystrość, cały czas jest pani na bieżąco. Proszę tak trzymać. I przemyśleć wszystko dobrze. Myślę, że pani wie już, że to choroba...? – Spojrzał jej w oczy, które natychmiast skierowała w dół. Jak mógł, jak mógł... - Sama pani nic z tym nie robi. Życzę pani jak najlepiej, nie wątpię, że to dla pani też będzie dobrym rozwiązaniem, proszę mi wierzyć.

Dobrym rozwiązaniem, na bruk, bez pracy. A Ewa, a Antoś, co z nimi... Musi mieć pracę! Chciała prosić, błagać o drugą szansę, obiecywać, że to się nie powtórzy, przecież ona już nie będzie, już zrozumiała, dostała nauczkę, niech tylko jeszcze pozwoli jej tu być...

Dłoń Aleksandra delikatnie dotknęła jej ra-

mienia, kierując ją ku drzwiom, pomagając się jej obrócić, jakby sama nie była w stanie wykonać najmniejszego ruchu. Ciągnął spokojnym głosem, w którym nie było cienia wahania:

- Pani praca była bez zarzutu, życzyłbym sobie samych takich pracowników. Niestety... Proszę się nad sobą zastanowić. I iść na terapię. To nie jest, proszę pani, kieliszek do obiadu. Wiem, że pani to wie. Wie pani to, prawda?

Wyciągnął rękę, podała mu dłoń odruchowo. Pochylił się ku niej i od dołu złapał jej spojrzenie. Był szczery, patrzył wprost i szukał jej wzroku, chciał mówić do niej wprost, jak najprościej, najcelniej.

- Pani Irmo. Pani da radę, ja wiem. Proszę tylko skorzystać z pomocy. Marzena da pani adres. Lepiej z tym nie zwlekać. Obieca mi to pani?

Tak to zapamiętała. Był spokojny, stanowczy, chłodny i taki... pewny. Ścisnął jej dłoń, jakoś długo, znacząco, z szacunkiem. Jakby mówił, pogubiłaś się, dziecino, ale potrafisz się odnaleźć. Przy kimś takim, gdyby miała kogoś takiego... wszystko mogłoby się potoczyć inaczej.

Nie zabrała swoich rzeczy z szafki. Chwyła tylko torebkę i z płaszczem w ręku wybiegła na deszcz. Chciałaby zapomnieć ich milczenie, ich oczy śledzące ją bardziej ze wstrętem czy litością, obie opcje parszywe, do wyrzygania obrzydliwe. Chciałaby nie pamiętać o wszystkich wcześniejszych tygodniach, kiedy tłumaczyła sobie, że nic się nie zmieniło, że nic nie widzą, że jest dyskretna, kiedy wychodzi do łazienki z torebką, w której chowa swój spokój, swoje płynne złoto. Nie pamiętać o usilnym wyciszaniu swojego niepokoju, że wiedzą, że ją obserwują, że szepczą, kiedy tylko wychodzi, że brzydzą się nią... Nic już nie pamiętać. Może tylko jego głos, ten rzeczowy ton, spojrzenie prosto w oczy, jakby po prostu zrobiła jakiś dziecięcy błąd, a on wskazywał jej sposób na jego wyprostowanie, jakby to było takie oczywiste, takie proste... Nie, nie, i żadnej litości. Fakty, spokój i tylko ten wyhamowany

odruch obrzydzenia...

Miesiąc później zgłosiła się na terapię. Wyjechała. Paradoksalnie jej nieobecność pomogła Ewie się pozbierać, przez kilka lat być normalną matką.

Kiedy wróciła, wynajęła sobie kawalerkę pod miastem, mieszkanie zostawiła Ewie. Znalazła pracę, kupiła glinę. Trzeźwiała i lepiła swoje aniołki, kwiatuszki, broszki, kubeczki, które były jej ratunkiem na terapii. Czasem myślała o dyrektorze, który w nią wierzył. Z początku może nawet przychodziły myśli, żeby odwiedzić firmę i dziewczyny, przynieść im swoje wyroby w odruchu jakiegoś, bo ja wiem... podziękowania.

Tereska pewnie dawno odeszła na emeryturę, a dyrektor jest już po osiemdziesiątce, co się stało z nimi wszystkimi?

- Idziemy. Ostrożnie! Weź to – Krysia rzucała komendy. Podała mu swoją torebkę, którą złośliwie zsuwała się z ramienia.

Schodzili szklanymi schodami, wokół wisały i stały rysunki, kolaże, wyklejanki, rzeźby, zdjęcia, fantazyjne stroje wykonane przez chorych. Nie patrzyła. Ścisnęła jego ramię, wciąż silne, wciąż podtrzymujące jej drobną, coraz drobniejszą, znikającą z roku na rok sylwetkę.

- Wolniej! Czekaj! Trzeba wziąć rzeczy z szatni. Daj torebkę. No już, rzeczy z szatni, na co czekasz!

Krótkie polecenia, głośne, tonem rozkazów. Aleksander podał jej płaszcz, potem sam się ubrał. Wyszli na jesienny chłód. Taksówka czekała. Krysia spojrzała na zegarek. Zdąży do fryzjera, tylko będzie musiała wysiąść jak najbliżej, trudno. Aleksander był tam z nią milion razy, zapłaci i ją dogoni.

- Masz tu stówę. Zapłacisz za kurs, a ja już pobiegnę, bo jestem spóźniona. Przyjdź prosto do fryzjera. Wiesz, gdzie?

- Co?

- Wiesz, które drzwi do fryzjerki? Te co zawsze, pamiętasz?

- Tak – kiwnęła głową.

Wcale nie pamiętała. Kto to jest fryzjer?

Nazywamy, definiujemy, sortujemy, roz-

sądzamy co dobre, co złe, decydujemy i kładziemy się spać w poczuciu porażki lub tryumfu. Kofysze nas przekonanie o własnej sprawczości. Coś się w świecie dzięki nam zmieniło. Ledwie drgnęło, a jednak drży. A jednak się rozedrgało! Nie, tylko ledwie drgnęło. Ledwie. Może więc nie da się nic zrobić, nic co miałoby jakieś znaczenie? Może rzeczy są, jakie są i lepiej poddać się od razu, niż szamotać w śmiesznych ośmiu miliardach rozpaczliwych drgań? Tak, tak, nie poddawać się złudzeniu względnej trwałości: w pewnym momencie i to, co sądzimy, może ulec rozfragmentowaniu, rozlecieć się na kosteczki, kruszynki, rozpuścić w mgiełkach rzeczywistości i - zaniknąć.

Irma obracała palcami w kieszeni korek. Szła od Ewy piechotą. Spacer pomagał, dawał poczucie, że poza nią dzieje się cała rzeczywistość, że można wyjść z więzienia własnej głowy. Poza tym, co rodziło się w mózgu, byli przecież jacyś inni ludzie, z większymi problemami, idący dokąds, spieszący, wracający. Bezdomni w bramach, umierający chorzy w karetce skręcającej w bramę szpitalną, śmiesznie bogaci chłopcy w kabrioletach, zagubieni staruszkowie pośrodku ulicy. Szła szybko, chciała już być w domu, zanurzyć ręce w szarej materii gliny, wyłączyć oczekiwanie na telefon od Antka albo od Ewy, kiedy już będzie po.

Myślała, że trzeba coś kupić po drodze, w lodówce nic nie ma... stop. Coś kazało jej stanąć, jakby natrafiła na szklaną taflę. Zatrzymała się w pół kroku, jak rażona piorunem. Zagubieni staruszkowie pośrodku... ulicy? Obróciła się. Stał dokładnie na środku, bezradnie wypatrując kogoś albo czegoś. Obracał się to w jedną, to w drugą stronę, kilka kroków tu, kilka kroków tam. Był jakby mniejszy, całkiem siwy, poruszał się bez tamtej energii, ale to był on. Te same piwne oczy, łagodny półuśmiech, jasny płaszcz, błękitna koszula. To na pewno był on. Coś się w niej odezwało.

Rozejrzała się. W cichej uliczce obstawionej po obu stronach samochodami, u zatrudnionej gdzieś niedaleko armii pracowników,

chwilowo nie działa się nic. O co chodzi? Co on tu robi, obracając się bez sensu? Patrzą na chodnika na osiemdziesięcioparolatka w kraciastym kaszkiecie i skórzanych butach. Ruszył przed siebie, wszedł między zaparkowane samochody, zaglądał przez szyby. Wrócił na ulicę, przeszedł na drugą stronę. Co z nim?

- Panie Aleksandrze, dzień dobry...

Wtedy ją zobaczył.

- Dzień dobry – odpowiedział tonem, w którym była sama niepewność. Uśmiechnął się. Był niedokładnie ogolony, zauważyła to od razu.

- Panie Aleksandrze, poznaje mnie pan?

Przyjrzał się jej i uśmiechnął znowu.

- Chyba... chyba nie. Przepraszam.

- Irma, pracowałam u pana, trudna historia, pan... pan mnie zwolnił, to było dawno.

- A, tak... - powiedział nieuważnie i nadal rozglądał się nerwowo.

- Panie Aleksandrze, czemu stoi pan na ulicy? Chodźmy, przejdziemy na chodnik... Panie Aleksandrze... czeka pan na kogoś?

- Nnie... tak, właściwie tak, żona... tu...

Obrócił się dookoła jeszcze raz.

- Tu...

- Dobrze. Już spokojnie.

Rozejrzała się. Uliczka była pusta. Chwileczkę, zaraz coś wymyśli. Musi się tylko zastanowić.

- Panie Aleksandrze, co pan tu robi?

- No... nie wiem. Czekam? Na żonę czekam tutaj.

- A gdzie żona?

- Nie wiem. Była, tutaj była. Chyba, bo może była tam, w tym... no...

Przenikający chłód. Fragmenty rzeczywistości: żona, ulica, oczekiwanie. Rozchlapanie skrawki żywota. Gdzie jego ciągłość, siła? Zamknęła na chwilę oczy.

Żona była... Może weszła do sklepu, tu zaraz jest spożywczy, a dalej cukiernia. Prowadziła go pod rękę i zaglądali po kolei w witryny. To na nic. Jak daleko mógł zajść?

- Gdzie pan mieszka, proszę podać adres?

- Mieszkanie...

- Tak?

- Na..., no, na tej...

- Proszę się nie spieszyć.

Powoli odgrzebywał stare warstwy mchu i spod nich wydostawał poszczególne głoski, aż w końcu wypowiedział całe słowo. Przypomniawszy sobie. Pamiętał ulicę, dobre i to. Zadzwoiła po taksówkę.

- Zawiozę pana do domu, proszę się nie martwić.

- Ale... żona... tu... - zdenerwował się, próbował wyjść na ulicę, rozpaczliwie wypatrując żony. Chwyciła go za ramię.

- Wiem. Rozumiem, ale poczekamy na nią w domu – starała się mówić spokojnym, stanowczym głosem. Musiała go przekonać, że stanie tutaj nie ma sensu. Pewnie rodzina już go poszukuje, a żona odchodzi od zmysłów. – Zrobimy kawę i poczekamy na żonę, jeśli jej w domu nie będzie. Ma pan klucze? Ustąpił. Miał klucze.

- Panie Aleksandrze... - powiedziała, kiedy siedzieli już w taksówce - ja nigdy panu... nigdy nie podziękowałam... panie Aleksandrze... dziękuję.

- Tak? Za co? – Uśmiechnął się i obrócił do okna. Nie oczekiwał odpowiedzi. Patrzał na przesuwały się miejski krajobraz. Domy, samochody, światła, skrzyżowania.

- Kiedy będziemy na ulicy proszę zwolnić, nie znam numeru – powiedziała do taksówkarza.

Uliczka nie była długa. Aleksander ożywił się, gdy w nią wjechali. Wychylił się w przód, zbliżając do ucha kierowcy.

- Tu... tu... proszę – powiedział w pewnej chwili. Rozpoznał dom.

Zapłaciła i wysiadła z taksówki. Aleksander już otwierał jej drzwi. Zanim je zatrzasnęła, on przykucnął szybko (jaki on wciąż sprawny- pomyślała), żeby podnieść coś, co wypadło z kieszeni jej płaszcza. Obrócił to w palcach i podał jej z ujmującym uśmiechem. To był korek od szampana: lekka, elastyczna i ściśliwa materia z kory portugalskiego dębu korkowego, ukształtowana w okrągły guz kapelusza i idealnie przykrojona do szyjki butelki nożkę. Seryjny gwarant pełni.



Do piekielnego dna

Marcin Mielcarek

Największy błąd jaki może zrobić facet po wejściu do baru, to podrywanie pracujących tam dziewczyn. Doskonale o tym wiedziałem, każdy to przecież wie, bo to wiedza powszechna. Sami rozumiecie, jak jest kiedy się pije, głowa staje się coraz cięższa, umysł proporcjonalnie lżejszy, a język wpada w nieskrępowaną samowolę. Nietrudno wtedy o kłopoty i robienie oczywistych głupstw. A jeżeli uważacie, że jesteście na tyle wyjątkowi, że wasza gadka ruszy magicznie jakąś barmankę czy kelnerkę, to tkwicie w dużym, smutnym błędzie.

Siedziałem przy barze na stołku pokrytym popękana, czarną skórą. Piłem piwo, bo niby co innego, cholera, mogłem tutaj robić. To ten typ baru, gdzie powietrze jest gęste od szarego, papierosowego dymu. Za ladą stała Kamila. Takie imię od niej wyciągnąłem, ale nie byłem pewien, czy nie wcisnęła mi kitu. Miała jasne farbowane włosy kończące się na ramionach, ciemne brwi i jeszcze ciemniejsze oczy. Okrągłą, przyjemną twarz zdobił srebrny kolczyk w niedużym nosie. Do tego piersi i tyłek na miejscu. W sam raz.

Oglądałem ją sobie znad kufla bardzo długo. Przez cały ten czas próbując do niej zagadać. Rzucąłem jakieś uwagi, które okazywały się drętwe. Na żartach się nie znałem, ale próbowałem coś sprzedać. Nic z tego nie wychodziło. Wyrażnie ją nudziłem.

- Ilu takich natrętnych gości, jak ja, masz w tygodniu? – zapytałem ją w końcu.

- Całą masę – parsknęła na odczepne.

- A ilu o to pyta?

- Tylu samo.

Wiedząc, że nic z tego nie będzie, zszedłem ze stołka i rzuciłem jej sowity napiwek. Niezbyt mnie było stać na takie gesty, ale chyba wypadało, to jakoś zrekompensować. Na do widzenia jeszcze raz obejrzałem sobie jej cudowną dupcię w czarnych legginsach. Cholera jasna, że też goście tacy jak ja, nigdy nie dostają podobnych słodkości. Zanim wyszedłem, podbił do mnie koleś, który chyba robił tam za ochronę.

- Jak jeszcze raz będziesz zaczepiał panie, to

inaczej pogadamy – rzucił groźnie.

- Że co?

- Mówię, żebyś się tu już więcej nie pokazywał.

- A co? To twoja matka, czy jak?

- Nie. Dziewczyna.

Zrezygnowany machnąłem na niego ręką. Pieprzony biały rycerz się znalazł.

Wylazłem stamtąd i po kilku krokach jakichś dwóch kolesi spytało mnie o ogień. Nie miałem. Chuj im w dupę, dwa dziwne typy, głupi i głupszy. Ruszyłem przed siebie, ulicą oświetloną przez wysokie lampy. Warkot aut był nie do zniesienia. Postanowiłem udać się na przystanek, a z niego pojechać do akademika. W autobusie nie wydarzyło się nic ciekawego, poza rzygającym w rogu nastolatkiem o zielonych włosach. Banda, jego mieszanych płciowo kumpli, zaśmiewała się w głos. Wysiadłem i powlokłem się do starego, szarego klocka o trzech piętach. W prawie wszystkich oknach paliło się światło. Był przecież piątek wieczór, więc mnie to kurwa nie dziwiło. Wszedłem do środka, ale portier zatrzymał mnie z zaskoczenia. Pieprzony czujny cieć, lepszy niż najdroższy system alarmowy.

- STAC! – krzyknął przejęty i wylazł ze swojej prowizorycznej strażnicy.

- O co chodzi? – spytałem znużony.

- Pan tutaj mieszka?

- Oczywiście, że tak. Co za głupie pytanie.

- Pytanie jak pytanie.

- Dwa dni temu też mnie pan zatrzymał.

Przez chwilę przyglądał mi się z uwagą. Może w końcu mnie zapamięta – mieszkałem tutaj już od przeszło dwóch miesięcy. Oczy tego starszego faceta miały dziwny, rozgorączkowany wyraz. Czoło brzydło mu się marszczyło. Na nosie wyrastał czarny, długachny włos, wywołujący odruch wymiotny. Właśnie. Zachciało mi się rzygać. Gdy już prawie na gościa puszczałem pawia, w ostatniej chwili udało mi się połknąć kwaśnego bełta.

- Czy Pan coś pił? – spytał zaskoczony.

- Pił? – odbiłem.
- Jest pan pijany?
- Nigdy w życiu.
- Przecież widzę.
- Jak Bożę kocham, że nie.

W końcu dał mi spokój. Wtedy spróbowałem wejść po schodach na ostatnie piętro – wspięcie się tam zajęło mi znacznie więcej czasu niż zazwyczaj. Wydawało mi się, że są ruchome. Uciekały spod moich nóg. Raz prawie się wywaliłem. No i nagle, nie wiadomo kiedy, natknąłem się na Baškę.

- Cześć Marcel – rzuciła z uśmiechem, zatrzymując się.
- No – odbeknąłem.
- Co ci jest?
- Za dużo wypilem.
- Idziesz do siebie?
- Chyba tak.
- Spać?
- Nie wiem. Może.

Przyjrzałem jej się w przelocie. Miała ostry makijaż. Usta wymalowała tak, że wydawały się dwa razy większe niż zazwyczaj. Biała koszulka kończyła się nad pępkiem, czarna spódniczka w połowie ud. Poza tym nic ciekawego w niej nie było. Ciemnoblond włosy z jaśniejszymi pasemkami związane w koński ogon. Małe piersi i średni tyłek. Baška jak Baška, żadna mi nowość. Byliśmy na jednym roku i nawet się lubiliśmy. Poza tym dziewczyna lubiła seks, podobno. Ja się nigdy nie załapałem, chociaż odnosiłem wrażenie, że wystarczyło zapytać. Tak jak teraz. A może to tylko alkohol. Czasami wydaje nam się, że coś wiemy, a tak naprawdę gówno wiemy.

- Mogę do ciebie wpaść za kilka minut, jak chcesz – oznajmiła, osobiście mi się przyglądając.
- Po co? – spytałem głupio.
- Po co, po co. Nie wiem. Pogadać. Napić się. Jest piątek wieczór, wciąż nie ma północy – wyjaśniła pogodnie.
- Zobaczę.
- Mieszkasz pod 304?
- Tak jest.
- No to może wpadnę. Narka.
- Trzymaj się.

Poszła na dół, a ja wspiąłem się na ostatnich kilka schodków i stanąłem wreszcie przed moimi drzwiami. Szukałem klucza w

spodniach. Nie mogłem go znaleźć. Do chuja. Gmerałem we wszystkich dziurach i nic. Chyba go zgubiłem.

Ktoś przechodząc obok mnie, zapytał, czy wszystko gra. Odpartem, że tak, ale w sumie, to nie jego biznes i może wypierdalać. Gość mnie wyśmiał, a ja w końcu znalazłem ten cholerny kluczyk. Wsadziłem go do zamka i przekręciłem. Tak jest. Wsadziłem i przekręciłem, a nie wyjąłem. Tak to się robi.

W środku nie było nikogo. I całe szczęście. Poszedłem do łazienki, zapaliłem światło i pochyliłem mój zmęczony łeb nad kibelem. Wyrzygałem się solidnie, od razu mi ulżyło. Po brudnej posadzce przebiegł duży karaluch. Urwałem dwa listki papieru toaletowego i z furją tygrysa dopadłem go. Miałem jebanego. Zabiłem. Spuściłem go w kiblu.

– Bon voyage – rzuciłem na pożegnanie. Potem przepłukałem usta zimną wodą i wyszedłem z klopa. Ciemny pokój wypełniła pomarańczowa łuna, bijąca od miejskiej lampy. Zdjąłem buty, rozebrałem się do połów i wpakowałem do wyra. Drugie łóżko, stojące pod przeciwną ścianą, było puste i idealnie zasłane. Mój współlokator, pieprzony pedant i miłośnik Lionela Richiego, pewnie pojechał do domciu, do swojej mamusi. Cwel jeden. Nienawidziłem gnoja. Z wzajemnością oczywiście.

Chyba urwał mi się film, bo ocknąłem się dopiero na odgłos pukania. Podniosłem się, chwiejnym krokiem podszedłem do drzwi i otworzyłem. Na korytarzu stała Baška. W tej swojej kusej koszulce i fajnej spódniczce. Nogi błyszczały jej niezdrowo w żółtym świetle żarówki, wiszącej w korytarzu.

- Śpisz? – spytała prześmiewczo.
- Tak.
- A co powiesz na to?
- Wyciągnęła zza pleców pół litra czystej Żubrówki. Miła dziewczyna.
- O Jezu... – wyjęczałem.
- Daj spokój. Będzie fajnie. Obiecuję.
- Okej. Wchodź.

Wpuściłem ją do środka i zajrzałem do szafek w poszukiwaniu jakiegoś szkła. W małej lodówce była butelka 7UP, należąca do mojego drogiego współlokatora. Wziąłem ją, zrobiłem nam po drinku, a potem zabrałem się do pokoju. Usiadłem na swoim łóżku, a

Baška na tym idealnie posłanym. Upiła solidnie ze szklanki.

- Cholernie mocny mi zrobiłeś! – skrzywiła się z niesmakiem.
- Nie ma za co.

Usiadła obok mnie, przyciskając swoje chude, gładkie udo do mojego. Poczułem ostry zapach jej perfum, a może dezodorantu. W każdym razie nienajgorszy. A co mi tam, pomyślałem. Żyje się raz i krótko. A potem ją pocałowałem. W usta. Długo i namiętnie. Dzieci kwiaty zamieniły nas w łatwą generację.

- Internet miał nam ułatwić życie, miał zrobić z nas nadludzi, pozwolić latać w kosmos, dać dostęp do nieograniczonej wiedzy, a my tymczasem wchodzimy głównie na strony z pornosami i się masturbujemy. Niezłe z nas małpy – wypaliłem bez powodu.
- Nigdy o tym nie myślałam, ale chyba masz rację – przyznała.

Wypiliśmy drinki, w międzyczasie sporo się całując. Gadaliśmy też trochę o duperelach i studiach. W końcu poszedłem zrobić nam po nowej porcji, a Baška schowała się w łazience. Dźwięk lejącej się z kranu wody sprawił, że zachciało mi się spać. Kiedy wyszła, oznajmiła z wyrzutem: – Widziałam w łazience karalucha.

- W całym akademiku jest ich pełno, nic nowego.
- U mnie w pokoju nie ma.
- Nie?
- No nie.

Wróciliśmy na moje wyro. Ona napiła się znowu, ale ja powąchałem tylko szklankę i od razu mi się cofnęło. Za dużo dzisiaj wypilem, zdawałem sobie z tego sprawę. Ale popadłem w dziwny stan, osobiwe szaleństwo. Chciałem więcej i więcej, do odcięcia, do końca, do piekielnego dna. Przemogłem się więc i wypilem od razu połowę, jakoś przeszło przez gardło. Dziewczyna utkwiała we mnie swoje jasne oczy.

- Hmh? – zamruczałem tylko, bo wiedziałem, że każde nowe zdanie powstające w głowie, wyjdzie z moich ust kompletnie przeinaczone.

– Masz gumki? – spytała niby obojętnie.

Pokiwałem głową twierdząco. Potem wstałem, sięgnąłem do portfela i wyją-

łem jedną. Położyłem się obok niej. Baška odstawiała pustą szklankę na parapet. Pocałowała mnie szybko, a następnie pochyliła głowę i zaczęła gmerać przy moim rozporku. Pomogłem jej i po chwili mój wciąż miękki penis wylądował w jej ustach. Przez chwilę patrzyłem na jej wargi obejmujące, będącego jak z gumy, małego. W końcu coś tam drgnęło. Pomyślałem o niesprawiedliwości w tych kwestiach, o tym, że przecież w drugą stronę, to faceci nie bardzo. Nie widzi nam się jakoś lizanie przygodnych cipek. Nie robimy tego, raczej nie – chyba ze strachu.

W każdym razie udało jej się postawić mnie do pionu. Zdjęła majtki i rzuciła je na podłogę. Podciągnęła swoją spódniczkę i usiadła na mnie okrakiem. Wszedłem w nią bez oporu i było to całkiem przyjemne. Ściągnęła przez głowę koszulkę, potem stanik i siedziała tak na mnie naga. Jej piersi naprawdę były małe i spiczaste, z drobnymi brodawkami. Jeździła na mnie i jeździła. Chyba sprawiało jej to sporo frajdy, bo co jakiś czas stękała zadowolona. Może nawet osiągnęła orgazm, nie jestem pewien. Straciłem rachubę czasu, ale w końcu przyszła i moja kolej. Baška zlaźła ze mnie, położyła się na plecach i rozłożyła nogi, a ja zadarłem tę spódniczkę do góry. Nie bardzo przyglądałem się cipce, ale raczej miała golonę na zero, bo przecież to jasne w XXI wieku, że wszyscy golą się na zero, chcąc odróżnić się od małp. Wszedłem w nią i zacząłem dymać jak zwierzak. Pchałem i pchałem, mocno i szybko, chcąc mieć to już za sobą. Nie patrzyłem na nią, tylko gdzieś w bok, w sumie to zamknąłem oczy. Długo nie mogłem skończyć, byłem w sztok zalany. Zacząłem nawet obawiać się, że nic z tego nie będzie. Tkwiłem między jej nogami i cały czas, sumiennie waliłem ją niczym zaprogramowany. Chyba jej to nie przeszkadzało. Kiedy w końcu zacząłem się spuszczać, to myślałem, że nigdy nie skończę. Wreszcie wszystko ze mnie zlaźło: cały zły wieczór, nieudana akcja z barmanką, kiepski stan ducha, słaba praca i dziesiątki odsyłanych opowiadań. Kij w oko całemu światu. Przez kilka sekund byłem królem. Kilka nędznych, ale moich, sekund. Wystarczy.



Chwila

Maria Dąbrowska-Majewska

Jeśli szukacie miłości, możecie zobaczyć ją wszędzie. Mielicie takie sytuacje, że dopowiadacie sobie historię, którą widzicie? To nie jest jakaś wielka umiejętność- zobaczyć więcej, ale nie zaraz tam jakąś mroczną tajemnicę czy coś potwornego, tylko miłość. Stać się twórcą.

*

Tak sobie patrzyłam na tych dwoje, siedzących w czułym spokoju na obskurnych paletach udających ławki, w miejscu, gdzie dobrze było dawno, dawno temu lub może tylko w założeniu, a potem życie zweryfikowało plany i silne postanowienia.

Na szczęście rosną tu drzewa, może ze trzy. Choć jeszcze niewysokie, są z tych co to rosną uparcie, dając cię i jako takie ukojenie w upale. Dodają kolorytu, tworzą złudzenie oddzielenia od świata i namiastkę parkowej alei. Zwłaszcza wtedy, kiedy przymrużają oczy i zostaną w swoim świecie. Przecież do prawdziwego parku nie pójdą! I wstyd i niebezpiecznie.

Ona otula go swoimi chudymi ramionami, głaszcze delikatnie, tak delikatnie jakby jej ręce i jego ramiona były z puchu i w puch się zanurzały. Czasami całuje lekko. Tak, jak całuje się dzieci. Nie ma miejsca na namietność, pożądanie, żądze, wyobraźnia podsuwa jedynie normalność – kąt, gdzie możesz rozwiesić swobodnie pranie, odwrócić się mimochodem i uśmiechnąć jak na filmie.

On trzyma głowę na jej ramieniu, przytula się bezwiednie. Nie oddaje pieśczoł, ale nie musi; tutaj nie ma nic typu: coś za coś. To zwykłe życie, a chwila pierwsza od dawna, w której czuje się bezpiecznie.

Kombinuję: dać im imiona? Dorobić historię? Rodzina, szkoła, ulica, pierwsza miłość, papieros, kieliszek, kreska? Bez sensu. Piękna jest chwila.

Odrzuca włosy, jest lekko spocona i zdrętwiało jej ramię, ale potrzeba okazania mu czułości zwycięża. Dokłada starań, żeby

nie zburzyć jego spokoju, odpoczynku. Nadal wyprostowana gładzi jego twarz, odgarnia włosy, próbuje zajrzeć w oczy, ale tak, żeby nie zmieścić pozycji, żeby nie budzić, nie zaburzać chwili.

O! Poruszył się. Podniósł głowę. Jest spokojnie. Nie odrywa się od niej, dalej trwają w spokoju. Teraz i on już niebezwiednie, przytula się do niej. Obejmuje ją, przytulają się. Ona nadal głaszcze jego plecy i ramiona, ale już jakoś inaczej, jakby ciężiej.

Teraz, próbują utrzymać wspólnotę uścisku, ale już wiem, że chwila przemienie, że zobaczyłam, co chciałam.

On prostuje się i podnosi. Wiem, że właśnie minęła faza, że wrócił do świata, że nic z tego co przeżył, nie dotyczyło go. Wydarzyło się w innym doświadczeniu, które na pewno nie było jego.

- Chodźmy - powiedział.

Odeszli. Mało romantycznie: bez objęć, bez głaskania; za to ze znużeniem.

Może była to dla niej jedyna szansa, żeby okazać mu swoje uczucie, dać upust czułości, kochać całą sobą...

Może on jednak coś czuł, bo błogi spokój to nie zwykłe doznanie.

*

Kiedy mówi do niej: Jedyna, obie wiemy, że nie kłamie. Kiedy bierze jej torebkę czy siatkę z zakupami, patrzy w oczy znienacka schylając się i podglądając, bo ona jakoś nigdy nie podnosi głowy, wiemy, że jest najważniejsza. Idą obok siebie i nie rozmawiają. Nie potrafią. Obojgu brakuje słów.

Wszystko ułatwia piwo. Im więcej piwa, tym większe porozumienie.

Głębokie rozmowy, dalekosiężne plany, marzenia o podróżach, wyobrażenia jak ma być, jak wygląda to życie, które za chwilę będzie ich.

-To ja jeszcze skoczę po piwo.

I ona ma już zaręczynowy złoty pierścionek, sukienkę ślubną, prawdziwy ślub i prawdziwe węsele.

On ma całkiem nowy garnitur, siedzi dumnie w rozkroku, piją go buty, ale nie sygnet, który od niej dostał.

Kolejne piwo.

Kochają się coraz bardziej i coraz głośnie. Nie, nie – to nie okrzyki ekstazy i uniesienia seksualnego, nie szczytowanie ani jego ani jej. Awantura. Taka zwykła, pijacka, bezsilna i chwiejąca się w każdą stronę.

Kolejny raz i kolejne piwo. Scenariusz kolejnego odcinka już znam.

Biorą ślub. Kolejne piwo i kolejny raz: Jedyna moja.

Urządzają mieszkanie i siebie.

Dlaczego w jej synu widzę jego? Cichy jak ona. Marzenia ma o markowych ubraniach, długonogiej blond dziewczynie, pieniądzech, które są skądś.

Powtórka? Pętla? Społeczna zaciska się na szyi, jak każda inna.

-Pójdiesz po piwo - szepcze ona.

*

Zobaczyłam już, co miałam zobaczyć. Miłość, słabość, pragnienia i żądze narkotyczno-wódczane widzę nieustannie.

Dialog – Wspomnieni

Maryla M. K. Ozga

Córka: Jeszcze szara noc snuje się po kątach domu. W oknie cięń ojca przesuwają się w blasku księżycy. Czekają na poranną zorzę. Gdy czerwone niebo przywita uprawne pola, zanurza dłonie w żyznej ziemi. W pokłonie nad nią pochylony fraszobliwie przeciera czoło, zalewane ciągłą troską o przetrwanie. Podnosząc głowę wypatruje rozśpiewanych niebieskich obłoków u zenitu nieba. To klucze powracających bocianów przywołują uśmiech na zatroskanej twarzy. Spośród pożytych zeszłorocznych traw, wydostają się zielone kielki. Wiosna rodzi życie, rozsiewa kwiaty, buduje ptasie gniazda, oświetla ponure niebo blaskiem wiosennego słońca.

Ojciec: Wschód dawał nadzieję. Łąki pełne wonnych ziół, brzęczących pszczoł i ścieżka przez nie biegnąca łączyła serca. Dziś już jej nie ma.

Córka: Ścieżka jest, głęboko wdeptana w zarosnięte chwastami ślady naszych stóp. Jest jeszcze kościół liczący setki lat i wspomnienie smaku czerwonych czereśni na odpustowym straganie. Soczyste i pachnące, jak wiosenne kwiaty na łąkach.

Ojciec: Wczoraj szukałem ścieżki na zielonej

łące. Znalazłem ją – prowadziła do serca...

Córka: ...do serca samotnej róży przy polnej drodze. Każdego dnia na nas czeka. Otwiera do słońca purpurowe kwiaty i kroplami rosy zdobi uśmiech. Polna róża zakwita dla nas, dla chłopów pracujących w polu. Stary krzak przetrwał lata rozłąki. Spogląda z tęsknotą wokoło, szukając tamtych dzieci – nas przed laty. Już od dawna nikt nie zatrzymuje się przy niej, nie podziwia urody jej kwiatów, nie wpłata we włosy purpurowej radości wakacji. Stare korzenie wrastały głęboko w ziemię, którą pokochały na zawsze.

Ojciec: Niedawno odwiedziłem rodzinne strony. Ktoś wykopał krzak dzikiej róży. Zostały wystające kikuty starych korzeni, wczepione w resztki wysuszonej trawy. Żył przy polnej drodze ponad pół wieku. Niepotrzebna, ustąpiła miejsca nowoczesnej drodze rowerowej.

Córka: Jeszcze bociany wracają do tego samego gniazda. I my w naszych wspomnieniach.

Matylda Bielicka nie krzyczała podczas porodu

Marta Kot

Rok dwutysięczny był przełomowy. Nie padły komputery; ale pies proboszcza, a potem proboszcz. Jadwiga Borkowska, dyrektorka podstawówki, przeszła na emeryturę, a w Matki Boskiej Zielnej ktoś wybił okno w remizie. To było okno z witrażem świętego Floriana. Czerwiec był tylko początkiem końca. Potem wreszcie zaczęła się lipiec.

Matylda Bielicka stała się zowitką na kilka miesięcy przed porodem. Wieść o ciąży rozeszła się nieco za szybko. Panna z dzieckiem i chop z trądem, to kary od Põnbõczka za nieposłuszeństwo ojców. Mówiło się tak, wychodząc z niedzielnej Mszy.

Matylda miała w szkole same piątki, obiady w stołówce zjadała do końca i nigdy nie prosiła o dokładkę. Czasem tylko skarżyła się, że cisną ją buty, ale nie miała starszego rodzeństwa, po którym dostałaby większą parę. Poza tym nie było z dziewczyną problemów. Długie włosy plotła w warkocz, a grubą grzywkę przyskała lakierem. Okrągłe oczy podkreślała niebieską kredką, a na usta nakładała perłowy błyszczek. Tylko nie za dużo, by nie wyglądać zbyt dyskotekowo. Wikary Machnicki powiedział kiedyś, że ma maryjną urodę i temperament, dlatego od końca podstawówki do klasy maturalnej grała Maryję w Jasełkach.

*

Jeśli ktoś się całuje pod schodami szkoły, to musi mieć ku temu prawdziwy powód. Albo bardzo się zakochał, albo przegrał zakład. Mateusz Pawlicki nigdy z nikim się nie całował. Koledzy mówili, że usta dziewczyn są lepkie i miękkie, a czasem smakują truskawką. Mateusz Pawlicki lubił truskawki. Jadwiga Borkowska udawała, że nie widzi, gdy dzieciaki zlepiają swoje wargi w nieporadnym całusie, tylko odchrząkiwała głośniejsze, wchodząc po schodach. Dyrektorka

w ogóle znała się na życiu. Nauczycielom nie robiła problemów z powodu L4, z rodzicami żyła w zgodzie, a dzieciom proponowała filmowe lekcje, zamiast zajęć z biologii.

- Panna cnotliwa i spolegliwa – mówiła na zajęciach z wychowania do życia w rodzinie. Nikt nie rozumiał o co jej chodzi, ale Borkowska żyła w dobrych relacjach z księdzem i pozowała do zdjęć na parafialnym odcisku.

Kiedy w maju proboszcz Drzewiecki zmarł, gospodyni zadzwoniła do biskupa, wójta i dyrektora Borkowskiej. Dopiero potem dała znać matce proboszcza, dwóm siostrą i kolejnym trzem siostrą, ale zakonnym. Pogrzeb transmitowała lokalna telewizja, a dyrektorka nosiła się na czarno, aż do końca roku szkolnego. Pod koniec czerwca grono pedagogiczne zorganizowało uroczyste pożegnanie dyrektorki, na którym Borkowska pojawiła się w cekinowej sukni do ziemi. Kamyczki mieniły się w odcieniach oranżu, fukcji i turkusów. Nalana blondynka nie wyglądała w kreacji najlepiej, ale w końcu to było jej święto, mogła ubrać co chciała.

Na Mszy czytaniem zajął się wuefista, psalm odśpiewała sekretarka, chłopcy służyli jako ministranci, a dziewczynki śpiewały w scholi. Po Komunii cała szkoła udała się na cmentarz, by zmówić paciorek w intencji zmarłego proboszcza Drzewieckiego i jego psa. Po modłach dzieci rozeszły się do domów, a dyrektorka, nauczyciele, trzy sprzątaczkę i konserwator udali się do remizy na imprezę. Borkowska na odchodne dostała stacjonarny rower, zestaw patelni i karnet do solarium. O północy przyjechał dzielnicowy i odwiózł wuefistę do domu, bo ten leżał już pod stołem.

*

Pies proboszcza był kundlem, ale z wilczurzym sznytem. Ludzie na wsi gadają, że ksiądz dostał psa od wójta sąsiedniej gminy. Zadbany był, zjadał miskę ryżu i trzy filety z kurczaka na dzień. Udomowiła go gospoia, Cecylka Machońska i odtąd pies jadł człowiecze jedzenie. Wszystko wygadał Mateusz Pawlicki, w którąś środę, po kolacji na probostwie. Ksiądz Drzewiecki miał taką tradycję, że zapraszał ministrantów w środy na kolację. Tylko dwóch chłopców i maksymalnie trzy razy. Takie miały zasady. Pawlicki chadzał tam nieco częściej, czasami sam. Drzewiecki miał taki zwyczaj, by pytać o rówieśników, zdradzać kto zostanie animatorem na scholi i kto nie zasługuje na zaproszenie na obiad. Wymieniał z nazwiska, ale w tajemnicy i w dobrej wierze. Mateusz ostatni raz pojawił się na farze w kwietniu, jakoś przed Wielkanocą. Rozmawiali długo i chłopak otrzymał od księdza brewiarz. Drzewiecki wiedział, że nie zostało mu dużo czasu i chciał przekazać Mateuszowi, że nadał list do kurii i biskup wie, że ministrant za kilka lat zacznie naukę w seminarium. Strasznie się wtedy pokłócili i do śmierci proboszcza już nigdy nie rozmawiali.

*

Wuefista tylko raz przyszedł do szkoły pod wpływem, ale dlatego, że córka mu się urodziła i normalnie popił, jak się to chłopom zdarza. Zrobiła się chryja, bo zasnął na ławce w parku za cmentarzem i dzieciaki go widziały. Wuefista Wawszczycki nie był ani agresywny, ani wybuchowy. Pił jak każdy, ale nigdy żony nie pobił, a dzieciakom czasem nawet po lizaku przyniósł. Uczniowie go lubili, bo zdarzało mu się nie przyjść na lekcje i mogli wtedy wlewać kisiel do ubikacji.

Raz nawet Mateusz Pawlicki z Tomkiem Widawką zerwali się z wf-u i wrzucili petardę do kibla. Huk był taki, że Jadwiga Borkowska zaczęła się drzeć i wezwała policję. Wypadła ze swojego gabinetu z proboszczem

Machnickim. Miała rozpiętą koszulę. Ksiądz groził, że wyrzuci Mateusza i Tomka z ministrantów, ale tydzień później porozmawiali na farze, gdzie Pawlicki obiecał, że już więcej tak nie zrobi, że samo wpadło i samo eksplodowało.

W Matki Boskiej Zielnej kobiety szły na Mszę przed szóstą rano i zobaczyły, że witraż ze świętym Florkiem w remizie jest rozbity. Zaczęły lamentować i pobiegły na farę powiedzieć, że to klątwa, i że na wsi coś się złego stanie. W krzakach przed strażą leżał Wawszczycki. Miał rozciętą dłoń, a twarz w kolorze krwi. Z przepicia. We wrześniu nie wrócił już do szkoły, choć uczniowie bardzo żałowali. Czasem przecież przynosił dzieciom lizaki.

*

Matylda Bielicka strasznie płakała przy porodzie, ale w ogóle nie krzyczała. Położne mówiły, że to ze wstydu, że rodzi za panny. Miały rację. Matylda marzyła, by urodzić gdzieś, gdzie nikt jej nie zna. Mały Józio urodził się trzynastego lipca i choć nikt we wsi nie był przesądny, to mówiono, że to pechowe dziecko. Józio Pawlicki zamieszkał u Bielickich, a jego ojciec, Mateusz Pawlicki odwiedził go może ze dwa razy. Gospoia zmarłego proboszcza, Cecylka Machońska mówiła Pawlińskiemu, że matka powinna dziecko wychowywać, a ojciec wspierać słowem. Podjął wtedy Pawliński decyzję, że zgodnie z wolą księdza Drzewieckiego pójdzie do seminarium. Kilka lat później wyprawiono we wsi huczne prymicie. Czytanie odprawił wfista, psalm zaśpiewał Tomek Widawka, a bigosu nagotowała Cecylka Machońska. Brakowało tylko dyrektorki Borkowskiej, księdza Drzewieckiego i Matyldy Bielickiej z Józiem. Na wsi mówili, że ktoś z kurii przyjechał do niej i zabrał do Niemiec.



Skazany

Lucyna Siemińska

Kiedy dobrowolnie zgadzasz się na utratę samokontroli, musisz być przygotowany na to, że możesz stać się ofiarą samego siebie. Naprawdę niewiele potrzeba. Wystarczy drobny błąd, nic nieznaczący incydent, chwila nieuwagi czy zbytniego rozprężenia. Jeden niewłaściwy krok, który wywołuje lawinę zdarzeń, spadających na ciebie jak grom z jasnego nieba. Tak właśnie było w moim wypadku.

Siedzę teraz na ławie oskarżonych, z nisko opuszczoną głową, z rękami splecionymi na kolanach. Zaciskam palce aż do bólu. Tak jest lepiej. Mogę skupić uwagę na dyskomforcie. Przez salę przewija się korowód świadków. Nie chcę ich widzieć. Wystarczy, że oni widzieli mnie w czasie, którego w ogóle nie pamiętam. Wiedzą lepiej. Dałbym wiele, aby ich również nie słyszeć. Niestety, nie jest to możliwe. Sala sądowa ma dobrą akustykę. Cholerni świadkowie. Skąd oni się w ogóle wzięli? Jest ich chyba ze dwudziestu. Każdy coś wie. Każdy ma tyle do powiedzenia. Tylko nie ja. Bo osobiście niczego nie pamiętam. Tak, to ja - niechlubny bohater jednego wieczoru i policyjnej rubryki w lokalnej gazecie. Chociaż do niedawna byłem zwykłym, kulturalnym i wyjątkowo spokojnym człowiekiem.

Spotkaliśmy się w sobotnie, czerwcowe popołudnie, kilka lat po ukończeniu szkoły średniej. Stara paczka dobrych kolegów, których drogi nieco się rozeszły podczas poszukiwania własnego miejsca w życiu i wspinania się po szczeblach tak zwanej kariery. Słynna czwórka niepokornych chłopaków, którzy nie raz spędzali rodzicom sen z powiek i przysparzali nauczycielom siwych włosów.

Poszliśmy do „Skrzydatego anioła”, gdzie wciąż mogliśmy liczyć na wygodne fotele i

wyjątkowy klimat z dyskretną muzyką bluesową w tle.

– No jak, panowie? Pożeglujemy trochę po ognistej wodzie? – Karol zatarł ręce. – Muzycznie, prosto z puszczy, czy bardziej po królewsku?

Stwierdził, że bliżej nam jednak do puszczy i zamówiliśmy Żubrówkę. Niejedną, rzecz jasna.

– No, co tam u was? Kto pierwszy zaczyna opowieść z życia wziętą?

– Zaczynaj, jak już jesteś przy głosie.

Karol poprawił się w fotelu, założył nogę na nogę i pogładził palcami starannie przyciętą brodę.

– Niech będzie. Otóż, jak doskonale wiecie, zawsze pociągały mnie podróże, inne kraje, niesamowite historie, przygoda, ryzyko. Nigdy nie umiałem usiedzieć w jednym miejscu. Wciąż jakby coś paliło mnie w podeszwie i gnało do przodu. Inne miejsca, inni ludzie, raz tu, raz tam. Na chwilę, nie na dłużej. Musiałem wreszcie coś z tym zrobić. Pojechałem więc do Warszawy. Skończyłem turystykę i rekreację. Obroniłem pracę magisterską i zostałem pilotem wycieczek. Muszę wam powiedzieć, że uwielbiam to zajęcie. I jeszcze mi za to płacą. Tak więc, jak będziecie chcieli wyrwać się gdzieś w nieznane, to jestem do usług.

– Pięknie! – zgodnie przyklasnęliśmy.

– Za Karola i jego wycieczki! – wznieśliśmy toast i wypiliśmy do dna, a następnie ponownie napełniliśmy kieliszki.

– Teraz Kuba. Co u ciebie?

Wyrwany do odpowiedzi Kuba chrząknął pod nosem i poprawił okulary.

– No cóż, nie będę oryginalny. Też mnie trochę nosi po świecie. Jako typowy przedsta-

wiciel naszego pokolenia, przenieśliśmy się na Wyspy. Wyjechałem z Polski jakieś trzy lata temu.

Aż pochylił się nad stołem, aby go lepiej słyszeć. Albo coś mu się pomyliło, albo jakieś bajki opowiadał. A może my źle go zrozumieliśmy?!

– Nie gadaj! Ty? Taki zatwardziały miłośnik ziemi ojczystej? Przecież to ty, na każdym kroku, wytykałeś nam każdy błąd ortograficzny, każdą gorszą ocenę z polskiego. Mówiłeś, że każdy Polak powinien znać swój język doskonale, że to jest nasz obowiązek wobec ojczyzny- domu. To twoje słowa. Nie pamiętasz? Przecież to właśnie ty, do tego pieszo, przemierzałeś Polskę wzdłuż i wszerz, z aparatem fotograficznym na ramieniu. Mogłeś nie mieć ani plecaka, ani noclegu, ale aparat zawsze miałeś przy sobie. Potem pokazywałeś zdjęcia i długo przynudzałeś o zabytkach, historii, regionalnych zwyczajach, legendach i napotkanych ludziach. Naprawdę, bez mocnej kawy tego nie dało się znieść. Z rozwianym włosiem i wypiekami na twarzy. Zawsze twierdziłeś, że nie ma piękniejszego kraju!

– Bo nie ma. I nadal tak twierdzę – Kuba uśmiechnął się. – Cieszę się, że tak dokładnie pamiętacie moją małą walkę o polskość.

– Więc skąd, do licha, nagle te Wyspy?

Kuba znów chrząknął w charakterystyczny dla siebie sposób.

– Wiecie, po wypadku rodziców zostałem praktycznie sam. Bez pracy, bez szans na studia. Miałem, co prawda, mieszkanie po rodzicach, ale nie miałem za co żyć. Wszystko mnie wtedy przerosło. Moja dziewczyna wyjeżdżała do Anglii na zmywak. Dorobić trochę. Pojechałem z nią. I tak już zostaliśmy. Teraz mieszkamy w Helston, na południu Kornwalii. Jak będziecie kiedyś przejazdem, to zapraszam.

– I co tam robicie?

– Hanka pracuje w hotelowej recepcji. A ja jako barman. Mieszkam drinki i nalewam – ro-

ześmiał się. – W sumie, fajna praca, dobrze płatna. Wracać tutaj nie zamierzamy. Przy najmniej na razie. Jest ok. A co u ciebie, gryzipiórku? Nadal mordujesz ludzi na stronach notosu? Dalej, Krystian, nawijaj!

Wychylił kolejkę. Znowu polaliśmy w kieliszki. Wyrwany do odpowiedzi, schyliłem się pod stół i wyjąłem z torby książki.

– Już nie w notesie. W książkach. Właśnie odebrałem z wydawnictwa swój drugi kryminał. Pierwszy zniknął z półek księgarń w ekspresowym tempie. To zachęciło mnie do dalszej pracy. To dla was, na pamiątkę dzisiejszego spotkania – rozdałem książki kolegom. Patrzyli z niedowierzaniem, obracając egzemplarz w dłoniach i wertując kartki.

– No, teraz to zaskoczyłeś... Stajesz się sławny! Świetna okładka, aż się chce czytać. Gratulacje! Oczywiście z autografem?

– Jasne. W końcu zawsze we mnie wierzyliście. Byliście też moimi pierwszymi czytelnikami i nie ukrywam, że pierwszymi ofiarami w moich powieściach. Kogoś przecież musiałem uśmiercić, skoro piszę kryminały.

– Dzięki ci królu za twoją hojność! Ale, żeby zaraz ofiary z nas robić? Nie mogliśmy być na przykład jakimiś komisarzami czy detektywami?

Roześmiałem się.

– Przecież wystarczyło w szkole na was spojrzeć, od razu widać było same ofiary.

– Hola, hola! Nie pozwalaj sobie! – zachnęli się, marszcząc groźnie brwi.

– A tak naprawdę, to dziękuję wam z całego serca za wszystko. To dzięki wam piszę. Na lekcjach, po kryjomu i w pełnej konspiracji, czytaliście moje wypociny. Nieraz przytłaczaliście to podławkowe czytanie, uwagę nauczyciela w dzienniku. Ale zawsze było wam mało. Zawsze chcieliście wiedzieć, co dalej. Nie nadążałem z pisaniami. A wy wciąż: co dalej i co dalej. No to teraz macie swoje dalej. Dalej są prawdziwe książki! Już mam za-

mówienie na kolejną.

– Pięknie! W górę szklanice, panowie! Za twórczość! – znowu opróżniliśmy kieliszki i ponownie je napełniliśmy. Trochę mąciło nam się już w głowach, a wieczór zapowiadał się długi.

– Teraz słuchajcie – Marcin zawiesił na chwilę głos, skupiając na sobie naszą uwagę.

Zawsze był dobrym mówcą. Nastawiliśmy się więc na długą, kwiecistą wypowiedź.

– Żenię się! We wrześnieu.

Tylko tyle. Czekaliśmy na dalszy ciąg, ale Marcin tylko się uśmiechał i pocierał nos wierzchem dłoni.

– To dopiero nowina! – pierwszy odezwał się Kuba. – Gratulacje!

Marcin dalej się uśmiechał.

– Teraz zgadujcie z kim.

– Wiem! – krzyknął Karol. – Wiem! Z rudą Kaśką! Zawsze mówiłem, że niezła z was para.

– Nie, nie z Kaśką.

– To pewnie z tą blondyną z 4c. Jagodą czy Różą?

– To była Malwina. Ale też nie zgadłeś. Nie z Malwiną.

– Z Beatą – bardziej stwierdziłem niż zapytałem. – Wszędzie ją ze sobą ciągałeś. Zresztą szliście razem na medycynę. Też ją uśmierciłem w swoim kryminale. Z całą premedytacją.

– Nie, z Beatą też nie. Już się nie wysilajcie. I tak nie zgadniecie. Oto moja przyszła żona

– Marcin wyjął z portfela zdjęcie. Chwilę to trwało, bo nie mógł trafić ręką do kieszeni spodni. Wreszcie położył zdjęcie na środku stolika. Wszyscy wbiliśmy wzrok w fotografię.

Na przemian mrużyliśmy oczy, to znów otwieraliśmy je szerzej, w końcu przecieraliśmy je palcami, aby wyraźniej widzieć. Ilość wypitego alkoholu robiła swoje. Na fotografii widzieliśmy tylko wielkie, piękne, orzechowe tęczówki w otocze śnieżnych białek.

– Eee... – nie masz jakiegoś innego zdjęcia, bardziej wyraźnego? – odezwałem się nie-

zbyt pewnie, bojąc się przyznać, że nic nie widzę. Owszem, postać kobiety wieczorową porą na tle drzewa, jakiegoś baobabu, czy coś? Odrzuciłem tę myśl jako niedorzeczną. Postać niknęła i rozplywała mi się przed oczami.

Kuba badawczo nachylił się nad stolikiem. Zsunął okulary na nos.

– A to dobre, negatyw nam przyniósł i teraz pastwi się nad nami. Dobry żart! Ha, ha, ha! Teraz dawaj pozytyw. Wyciągaj normalne zdjęcie! Ciekawi jesteśmy, jaką dziewczynę sobie wybrałeś na towarzyszkę życia.

– Właśnie taką. To jest Susan – oznajmił Marcin dumnie.

– Jaka znowu Susan? – krzyknęliśmy chórem.

– Susan. Pojechałem na pół roku do Kenii. Z wolontariatem. Jako początkujący lekarz, no może raczej jako pomoc medyczna. No i tam, w tej odległej, gorącej Kenii, poznałem Susan. Jest lekarką. Mówię wam, wspaniała dziewczyna! Naprawdę o wielkim sercu, a przy tym śliczna jak poranek słońca – rozmarzył się.

– Raczej jak środek nocy – bąknął kąśliwie Kuba.

– Czyli jak? Jest mocno opalona? – naiwnie dopytywał się Karol, nie mogąc uwierzyć w to, czego był świadkiem.

– Susan jest Kenijką. Jest czarna. Jak węgielek. I jest najwspanialszym człowiekiem, jakiego w życiu spotkałem. Nic lepszego nie mogło mi się przytrafić.

– Czyli wyprowadzasz się na stałe do Kenii? – spytałem ze smutkiem.

– Skąd! Zamieszkamy tutaj, w Polsce. W Gdańsku. Pewnie okresowo będziemy jeszcze wyjeżdżać do Kenii z misją medyczną. Ale na stałe będziemy w Polsce. A to dla was zaproszenia na ślub i wesele. Nie mówcie tylko, że wam nie pasuje. Bo się obrazimy – dodał groźnie.

– Do Kenii? – już chyba niczego nie rozumiałem.

– Nie do Kenii, do Gdańska. To trochę bliżej, co nie?

Kiwnąłem głową bez przekonania. Czarna narzeczona Marcina, ślub w Gdańsku, nie w Kenii. Co z tą Kenią? Baobab. Jednak na zdjęciu był baobab. Barman w Kornwalii mieszający drinki i pilot wycieczek, co po całym świecie krąży w poszukiwaniu bóg wie czego. Susan. Ale dlaczego nie widać jej na zdjęciu? Może to zdjęcie baobabu o imieniu Susan? W Kenii... Hm... Hm... Nie. W Gdańsku. O „Skrzydlaty aniele”! Wszystko już mi się mieszało w głowie. Toaleta. Gdzie jest toaleta?

– Zaraz wracam – zamruczałem niewyraźnie. Niepewnie wstałem od stolika. Na chwiejnych nogach, potykając się co chwilę, doszedłem do drzwi oznaczonych trójkątem. Pech chciał, że była kolejka, ale ja przecież nie mogłem dłużej czekać. Co robić? Co robić? Fizjologia ponaglała mnie coraz natrętniej. Ostatkiem świadomej woli nacisnąłem klamkę drzwi i wyszedłem na zewnątrz. Zaraz za progiem potknąłem się o jakąś linkę i runąłem jak długi na chodnik. Wtedy właśnie, krótko mówiąc, urwał mi się film.

Sędzia wezwał kolejnego świadka. Starszy mężczyzna wspierający się laską, nerwowo przestępował z nogi na nogę.

– Proszę podać swoje imię, nazwisko oraz wiek.

Mężczyzna skłonił się lekko. Przez chwilę milczał, starając się wyrównać oddech.

– Nazywam się Jan Kruk. Mam osiemdziesiąt lat. To znaczy w kwietniu skończyłem osiemdziesiąt.

– Czy świadek widział oskarżonego wieczorem trzydziestego czerwca tego roku?

– Tak.

– Proszę powiedzieć, co świadek widział?!

– Było jakoś krótko przed północą. Puszek

drapał do drzwi. Puszek, to mój piesek i wierny przyjaciel. Biały pekińczyk z rodowodem. Ubrałem się więc i poszliśmy na spacer. Zwykle prowadzę psa na długiej smyczy, aby miał więcej swobody. Tak było i tym razem. Przechodziliśmy sobie spokojnie koło baru „Skrzydlaty anioł”, gdy nagle drzwi otworzyły się z impetem i wytoczył się z nich ten człowiek. Musiał mieć nieźle w czubie, bo nie mógł ustać na własnych nogach. Gdyby nie to, pewnie przeskoczyłby przez smycz albo przystanął. Ale nie! Pędził na oślep jak opętany. No i smycz podcięła mu nogi. Przewrócił się na chodnik, klnąc na czym świat stoi. Z trudem się pozbierał i poszedł wzdłuż ulicy. Więcej nic nie widziałem. Puszek się wystraszył, zaczął szczeleć, poszliśmy dalej. Jako następna zeznawała przysadzista kobieta w sukience w grochy.

– Koło północy wyszłam z domu do ogrodu. Na papierosa. Stoję sobie i palę. Nagle słyszę jakieś hałasy, krzyki. Podeszłam bliżej płotu, bliżej rabaty z różami. Te róże, to moje oczko w głowie. Doglądałam ich każdego dnia. Wychyłam się zza krzaka jałowca i co widzę? Mężczyznę, który stoi uczipiony mojego płotu i, za przeproszeniem, sika wprost na moje ukochane róże! Niewiele myśląc, chwyciłam, co było pod ręką. No, wiaderko było. I chlusnęłam zawartością prosto na tego tu. Tfu!

– Co było w tym wiaderku?

Kobieta nerwowo zagryzła wargi.

– Nie woda... No, dobrze, powiem, jak było. Nazajutrz miałam nawozić rabatkę. Rozrobiony nawóz tam był. No, gnojówka taka zwykła. Ale rozrobiona z wodą w odpowiednich proporcjach. Do tego nawożenia, znaczy się. Chlusnęłam celnie. Myślałam, że mi sztachety z płotu powyrywa, tak się wściekłam. Zaczął szarpać, próbował koszulę z siebie zedrzeć i darł się w niebogłosy.

Podparła się pod boki. – A co? Nie będzie mi

tu jakiś pijanica, moich róż obsikiwał!

Kolejnym świadkiem była kobieta w średnim wieku, z włosami upiętymi na czubku głowy w misterny kok.

– Byłam w domu sama z dwójką małych dzieci. Mąż pracował na nocnej zmianie. Miałam za sobą naprawdę ciężki dzień. Bolała mnie głowa, więc położyłam się wcześniej. Latem zawsze śpiam przy otwartym oknie. Nagle, w środku nocy, obudziły mnie hałasy dochodzące z ulicy. Jakieś krzyki, przekleństwa, szamotanina. Podeszłam do okna i wyjrzałam na zewnątrz. Źródłem tego hałasu był oskarżony. Ledwie stał na nogach, taki był pijany. Rozbierał się do gołego i krzyczał, co chwilę kopiąc naprzemiennie nogami w ogrodzenie. Bałam się, że mi dzieci pobudzi. Niewiele się namyślając, chwyciłam telefon i wezwałam policję. Nie można przecież tolerować chuligańskiego zachowania. To cywilizowany kraj! Jak ktoś chce sobie w nocy krzyki urządzać, to niech gdzieś na pole idzie, gdzie ludzi nie ma. W końcu mam prawo do wypoczynku i do ciszy nocnej! Mam prawo się wyspać. I moje dzieci też.

Tym razem miejsce dla świadków zajął policjant w mundurze.

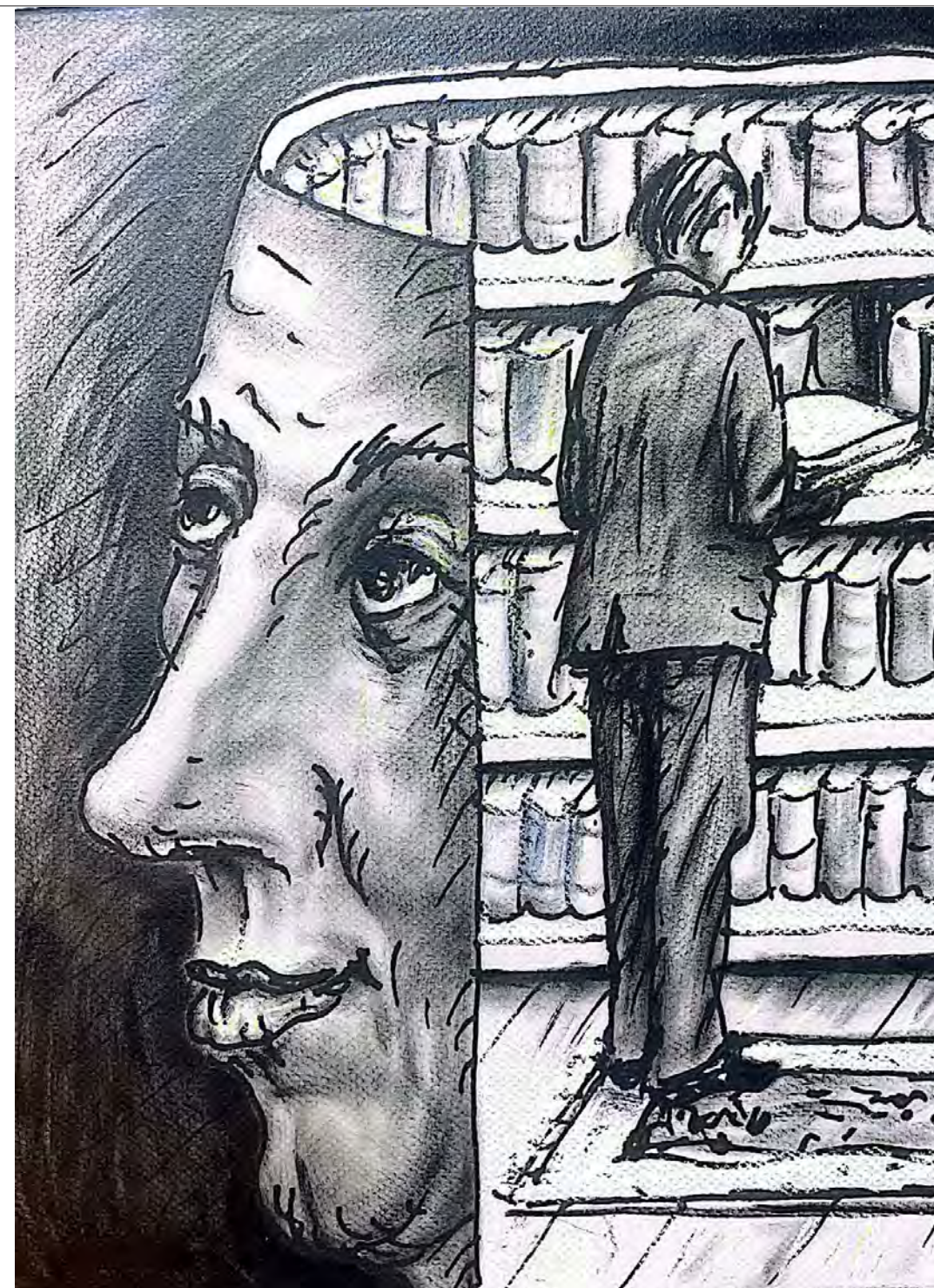
– Wraz z partnerem patrolowaliśmy ulice z użyciem pojazdu służbowego. Krótco po północy otrzymaliśmy zgłoszenie o wybryku chuligańskim w pobliżu baru o nazwie „Skrzydlaty anioł”. Podjechaliśmy pod wskazany adres. Na miejscu zastaliśmy oskarżonego. Był na wpół rozebrany, w stanie wskazującym na spożycie alkoholu. Nie posiadał przy sobie dokumentów. Nie można było nawiązać z nim kontaktu. Zachowywał się agresywnie. Młócił pięściami na prawo i na lewo. Podczas zatrzymania szarpał się z nami, więc musieliśmy użyć środków przymusu bezpośredniego. Oskarżonego w kajdankach przewieźliśmy radiowozem na komisariat, gdzie został zatrzymany na 24 godziny. Po wytrzeźwieniu,

oskarżony wyraził skruchę i złożył zeznania, które jednak niczego nowego do sprawy nie wniosły. Nie potrafił wytłumaczyć swojego zachowania. Zeznał, że owszem, pił alkohol w znacznych ilościach, ale niczego więcej nie pamięta.

Otóż to. Nie pamiętałem i nie pamiętam nadal. Utrata świadomości i samokontroli miała wyjątkowo gorzki smak. Smak porażki i moralnego upadku. Świadców było jeszcze całe mnóstwo, ale w zasadzie powtarzali to, co już zostało powiedziane wcześniej. Myślałem o sobie w kategoriach ofiary samego siebie. Sąd wziął pod uwagę moją dotychczasową niekaralność i nieskazitelną reputację. I wziął alkohol, jako czynnik dodatkowo obciążający. Moje losy skazańca ważyły się na szalach wagi Temidy, bogini sprawiedliwości z przepaską na oczach. Jakby z zaświatów usłyszałem:

– Sąd uznaje obecnego tu oskarżonego Krystiana Nowickiego za winnego zarzucanych mu czynów, popełnionych pod wpływem alkoholu, tj. załatwiania potrzeb fizjologicznych i obnażania się w miejscu publicznym, zakłócania ciszy nocnej, agresywnego zachowania wobec funkcjonariuszy policji na służbie, i skazuje go na karę...

Dostałem wyrok w zawiasach i karę pieniężną, zasądzoną na rzecz organizacji pożytku publicznego. Zostałem skazany. Sam sobie byłem sprawcą i ofiarą. Jak to się miało do rzeczywistej winy i subiektywnego poczucia niewinności? A gdyby tak... Powoli podnosiłem wyżej głowę. Głowę, w której właśnie rodził się plan kolejnej, kryminalnej powieści na miarę krajowego bestselleru.



Spis treści

Wstęp	1
Wywiad z Mirosławem Baką - Sylwester Kurowski.....	3
 Sylwetki zapomnianych artystów	
Agnieszka Modrzejewska.....	8
 Poezja	
Anna Makselon- Patoń	32
Amelia Pudzianowska	33
Anna Buchalska	35
Anna Nazar	36
Anna Przybyll	37
Anna Stanek	38
Anna Tłałka	40
Beata Poczwardowska	41
Barbara Felczak	43
Barbara Jackiewicz	44
Barbara Orłowski	45
Beata Małgorzata Moniuszko.....	46
Beata Nicoś-Trenk	47
Bogusława Chwierut-Bodzia	49
Christian M. Manteuffel	52
Danuta Chyła	54
Danuta Chmielowska	55
Joanna Janosz	55
Danuta Sut-Karykowska	56
Dorota Górczyńska-Bacik	57
Dorota Nowak	58
Ewa Kłobuch	59
Isabella Degen	61
Katarzyna Anna Koziorowska	62
Kasia Dominik	63
Katarzyna Bomba	64
Krzysztof Janiszewski	65
Lidia Ryś	66
Lilianna Pawełekiewicz-Mustafa	68
Lucyna Bełtowska	69
Małgorzata Kulisiewicz	71
Magda Bogusz	72
Magdalena Łubkowska	73
Magdalena Podobińska	74
Małgorzata A. Jędrzejewska	75
Małgorzata Borzeszkowska	76
Mariusz S. Kusion	77
Marta Basąg	79
Marta Świć	80
Mirosława Stojak	80
Marzanna Kołodziej	81
Michał Zbroja	82
Natalia Owsiana-Bilska	83
Paulina Sacharczuk	84
Shurouk Hammoud	85

Przemysław Trenk	88
Sławomir Lega	90
Stanisław Dłuski	91
Zuzanna Marciniak	91
Tadeusz Zawadowski	92
Urszula Mądrzyk	94
Waldemar Jagliński	95
Wioleta Szarwas	96
Sławomira Sobkowska-Marczyńska	97

Z cyklu: Przestrzeń Metaksy	
Zbigniew Stec - Na granicy snu - Jerzy Jabczyński	98

Esej	
Isabella Degen	107
Stanisław Dłuski	110
Walentyna Karwowska	113
Chrystian Medard Manteuffel	115
Danuta Sut-Karykowska	119
Elżbieta Anna Sadkowski (Samek)	122

cykl: Wącham czas	
Agnieszka Modrzejewska.....	125

recenzja	
Krzysztof Jankowski	128
Bożena Ciesielska	130

Z kart historii	
Waldemar Panert	132

Na indeksie	
Michalina Cendrowska	133
Agnieszka Modrzejewska	136
Dorota Czubowska	143
Marek Pietrzykowski	145
Jan Chruśliński	151
Kazimierz Kochański	156
dr hab. Grzegorz Pełczyński	159
Teresa Paprota	164
Krzysztof T. Dąbrowski	173
Sławomir Bączkowski	174
Zuzanna Menard	185
Małgorzata Kulisiewicz	188
Mirosława Stojak	190
Maciej Skomorowski	198
Waldemar Jagliński	204
Mariola Kokowska	206
Adam Wyrwa	207
Aldona Latosik	209
Beata Kępińska	210
Paweł Jaszczuk	212
Maciej Ossian Kozakiewicz	219
Ewa Kłobuch	225

Chrystian Medard Manteuffel	227
Jakub Rewiuk	230
Michał Pięta	234
Nika Retti	241
Elżbieta Anna Sadkowski(Samek)	244
Piotr Wróblewski	247
Stefania Tumidajewicz	250
Damian Kwiatek	251
Iwona Marciniak	253
Danuta Sut-Karykowska	254
Iwona Kasino	255
Roksolana Zharkova	259
Monika Orlińska	260
Marcin Mielcarek	273
Maria Dąbrowska-Majewska	276
Maryla M. K. Ozga	277
Marta Kot	278
Lucyna Siemińska	280